

BRACTWO MANDYLIONU
WOJCIECH DUTKA

Mamie

*Jakże często trzeba stracić wiarę
urzędową
nadętą
zadzierającą głowę do góry
asekurującą
głoszoną stąd dotąd
żeby odnaleźć tę jedyną
wciąż jak węgiel jeszcze zielony
tę, która jest po prostu
spotkaniem po ciemku*

Ks. Jan Twardowski

WSTĘP

W pierwszej połowie 2002 roku przebywałem na stypendium naukowym na Uniwersytecie Karola w Pradze. Dzień moich imienin, 23 kwietnia, spędziłem w gmachu praskiego Rudolfinum, siedzibie czeskiej Biblioteki Narodowej. Sporządzałem tego dnia wypisy z nudnych kościelnych schematów, czyli corocznych spisów całego wyposażenia diecezji. Musiałem je opracować dla mojego promotora z uniwersytetu.

W pewnej chwili, wiedziony ciekawością, wziąłem do ręki faksymile kodeksu oprawione w czarną skórę, leżące na sąsiednim biurku. Składał się on z kilku łacińskich tekstów pochodzących z różnych epok i dotyczących różnych

zagadnień. Pierwszy z nich, *Quattuor imagines mundi sive de virtutibus* (Cztery obrazy świata, czyli o cnotach), pióra franciszkańskiego mnicha Eustachego z Grottaferraty, był interpretacją nauczania świętego Tomasza z Akwinu o czterech cnotach kardynalnych. Następnym dziełkiem w kodeksie była hagiograficzna opowieść *Vita Annae ducissae Silesiae* (Żywot Anny, księżnej śląskiej). Ten krótki anonimowy tekst opowiadał dzieje Anny, żony księcia wrocławskiego Henryka Pobożnego, który zginął z rąk mongolskich wojowników w bitwie pod Legnicą w 1241 roku. Trzecim dziełkiem był prawdziwy rarytas dla historyków filozofii, a mianowicie komentarz Rogera Bacona do dzieła Arystotelesa o optyce, zatytułowany *De oculis mundi* (O oczach świata). Tekst został napisany znakomitą łaciną, pełną fachowej terminologii.

Ostatni tekst w owej księdze był najbardziej niezwykłym łacińskim tekstem, jaki przeczytałem w życiu: *De honesto viro gentis Anglorum ex ordine militum templi Salomonis qui Uberavit imaginem Christi manu homini non factam* (O czcigodnym mężu z narodu Anglików z zakonu rycerzy świątyni Salomona, który uratował wizerunek Chrystusa nieuczyniony ręką człowieka). Tekst liczył szesnaście kart pisanych w dwóch kolumnach. Styl pisma był dość niespotykany, albowiem nie codziennie można oglądać średniowieczny tekst pisany półuncjałą insularną (to typ łacińskiego pisma, które rozwinęło się w Brytanii pomiędzy VII i VIII wiekiem). Gdy jednak wczytałem się w łacińskie wersy, po raz pierwszy od czasów matury dziękowałem Bogu za to, że gdy moi koledzy i koleżanki z liceum bronili się przed łaciną, ja mozolnie wkuwałem słówka, ćwiczyłem łacińską gramatykę i studiowałem teksty Cyserona.

I tak natrafiłem na ślad morderczego spisku i historię Bractwa Mandylionu.

Wspomniany tekst zawierał historię anglonormandzkiego templariusza Gotfryda z Melville, pochodzącego z rodu hrabiów Gloucester, spisaną przez pewnego dominikanina około 1318 roku w Oksfordzie. Najwcześniejsza wersja

tego tekstu mogła jednak pochodzić z XIII wieku, gdyż autor odpisu, który miałem w ręce, zaznaczył w krótkim wprowadzeniu, że tekst oryginału *De honores ti viri gentis Anglorum...* przywiózł do Anglii za panowania króla Jana bez Ziemi (1167-1216) nieznany z imienia angielski templariusz. Na szczęście w średniowieczu panowała obsesja przepisywania tekstów. Dzięki niej mogła do mnie dotrzeć opowieść o człowieku, który - jak napisał ów dominikanin z Oksfordu - *poznał straszliwy smak herezji i prostą łagodność ortodoksji, i który widział na własne oczy wizerunek Chrystusa, niestworzony ręką człowieka*. Ów mnich użył greckiego słowa na określenie wizerunku Chrystusa, a mianowicie, *acheiropoietos*, co rzeczywiście znaczy „niestworzony” lub „niewykonany ręką człowieka”.

Długo nie mogłem sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach natrafiłem na to określenie. Wydawało mi się, że *acheiropoietos* nazywano w średniowieczu w Kościele wschodnim pewien typ ikonicznego wizerunku Chrystusa, ukazujący twarz dojrzałego mężczyzny z czarną brodą i ciemnymi włosami. Takie przedstawienie pojawiło się w Bizancjum w wieku IX. Wcześniej nikt nie malował Jezusa w taki sposób. Można tylko przypuszczać, że ikona zwana *acheiropoietos* mogła być inspirowana jakimś zaginionym wzorcowym wizerunkiem. Łaciński tekst z Pragi nasuwał sporo pytań w tej materii.

Zacząłem się zastanawiać, czy w jakimś kręgu ortodoksyjnych katolików w średniowieczu przetrwała pamięć o jedynym prawdziwym wizerunku Chrystusa, który Grecy nazywali *mandylion*. Według znakomitej książki angielskiego historyka Iana Wilsona *Całun Turyński*, mandylion był wizerunkiem odbitym po zmartwychwstaniu na płótnie, opisanym w Ewangelii św. Jana. W czasach rzymskich znajdował się on w Edessie w Syrii, a w połowie VII wieku został przewieziony do Konstantynopola przez armię bizantyjską, ustępującą przed wojowniczymi Arabami, Ian Wilson twierdzi, że ów tajemniczy wizerunek Chrystusa przechowywano w kaplicy Faros w

Konstantynopolu. Relikwię widział i opisał bizantyjski cesarz Konstantyn Porfirogeneta około 943 roku. Znana historia mandylionu skończyła się w 1204 roku, podczas dokonanej przez zachodnich krzyżowców krwawej rzezi w Konstantynopolu. Relikwia została wówczas skradziona przez nieznanych sprawców i od tamtego czasu słuch o niej zaginął.

Tekst z Pragi rzucał światło na to, kim byli złodzieje. I tak natrafiłem na ślad tajnego stowarzyszenia o nazwie Bractwo Mandylionu. Na kanwie tej historii powstała niniejsza powieść.

Przeczytałem historię Gotfryda kilka razy, robiąc obszerne notatki. Pod wieczór owego dnia do biblioteki przyszedł starszy ksiądz, którego twardy niemiecki akcent zabrzmiał w moich uszach wyjątkowo niemiło. Staruszek zrobił piekielną awanturę. Oskarżył mnie, że zabrałem księgę, którą on miał zamiar przeczytać. Był nieubłagany, więc bibliotekarze odebrali mi książkę. Starzec wypożyczył ją i wyszedł z biblioteki. Przez kilka następnych dni na próżno czekałem, aż ją zwróci. Jedynym śladem po księdze była sygnatura, którą zanotowałem na jakimś świstku. Gdy jednak kilka dni później poprosiłem bibliotekarzy o pomoc w odnalezieniu księgi, rewers z magazynu biblioteki zawsze wracał z adnotacją: „Takiej książki nie ma”. Wiem, że ktoś chciał tę księgę przede mną ukryć. Na wypadek gdyby się jednak odnalazła, zostawiłem bibliotekarzom mój adres w akademiku Na Kajetance.

Dwa dni przed wyjazdem z Pragi mój pokój w akademiku został zdemolowany. Ukradzono mi wszystkie notatki i dlatego całą tę historię musiałem odtworzyć z pamięci.

PROLOG

Wieża Trędowatych, dolina Aosty, wrzesień, rok 1215

Widziałem podczas krucjat potworne rzezie, których dokonywali ludzie wierzący w Boga. Chwalili się, że czynią to dla Niego. Widziałem, jak mordowano ludzi niezależnie od wyznawanej przez nich wiary. To, co sam tam czyniłem, na zawsze obciążało moje sumienie.

Teraz pożera mnie trąd. Patrzę, jak gnije moja ziemską powłoka, w której uwięziona jest moja dusza. Myśl o śmierci, prócz nadziei na wyzwolenie od bólu, napawa mnie strachem, który ścina mi krew w żyłach.

Ja, Gotfryd z Melville, rycerz zakonu templariuszy, byłem mordercą, kłamcą i wiarołomcą. Brałem udział w krucjatach, albowiem szukałem prawdy. Nie znalazłem jej.

Jestem gnijącym, ale wciąż żywym trupem. Cierpię, żeby odpokutować straszliwe grzechy mojego zakonu, a także wszystkich, którzy wyruszali na wojny w imię Boga.

De ventre inferi clamavi, et exaudisti vocem meam, et proiecisti me in profundum in corde maris, et flumen circumdedit me.

Z głębi piekieł zawołałem i Ty wysłuchałeś mego głosu, i wrzuciłeś mnie do głębin morza, i fala objęła mnie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

ŚWIĘTA EDUKACJA

Kwiecień roku Pańskiego 1170 zapowiadał się w zachodniej Anglii jako pierwszy ciepły miesiąc po zimowych chłodach. Anglia od stu lat jęczała pod normandzko-francuskim jarzmem. Tylko w ludowych pieśniach pobrzmiwał żal nad piechotą króla Harolda, zdziesiątkowaną przez ciężką normandzką jazdę w bitwie pod Hastings w roku 1066. Wilhelm Zdobywca, książę Normandii, stworzył wówczas nową, francuską Anglię. Stało się tak, albowiem większość rycerstwa, baronów, duchowieństwa i sług władcy czuła się Francuzami i myślała jak Francuzi. Ich język rozbrzmiewał w królewskim pałacu, na targu i w kościele i nikogo to nie dziwiło. Język angielski stał się językiem prostaków.

Dom mego ojca, Hugona z Melville, hrabiego Gloucester, gdzie przyszedłem na świat, był jednym z domów francuskich feudałów, którzy

osiedlili się na Wyspach wraz z normandzką dynastią. Najeźdźcy musieli poczuć się pokonani. Moja matka, Joanna z Yorku, kochała zielone wzgórza Anglii, ale i mego ojca, normandzkiego rycerza, który przybył z Francji jak wielu innych poddanych naszego ziemskiego władcy, króla Henryka II Plantageneta.

Jedyne, co pamiętam z wczesnego dzieciństwa, to to, że zawsze byłem blisko matki, która nauczyła mnie wszystkiego co dobre. Nie zapomniała również nauczyć mnie języka angielskiego. Ojciec, mówiący tylko po francusku, nieustannie robił jej z tego powodu wyrzuty. Ona, słysząc jego utyskiwania, odpowiadała zawsze:

- Hugonie, jakże nasz syn będzie rządził smolarzami, piekarzami, parobkami, którzy pasą owce i krowy, skoro nie będzie ich rozumiał?

A ja powtarzałem za ojcem, który gardził prostymi ludźmi, że wcale nie chcę ich rozumieć, tylko batożyć, gdy będą się lenili.

- Chcesz bić tych ludzi? - pytała zgorszona matka.

- Tak, mam, to przecież prostacy.

- Doprawdy? Chodź więc ze mną - rzekła pewnego dnia. Miałem wtedy piętnaście lat.

Zaprowadziła mnie na podgrodzie, gdzie w powietrzu unosił się smród krowiego łajna, ludzkiego potu i świeżo warzonego piwa. Ludzie mieli niemyte, spocone i pokryte ropiejącymi wrzodami ciała. Patrzyłem na nich ze wstrętem. Matka położyła dłonie na moich ramionach, a na jej twarzy malowały się skupienie i troska.

- Gotfrydzie, jesteś kością z mej kości i krwią z mej krwi, więc moje serce przepełnia smutek, ponieważ widzę, jak bardzo gardzisz tymi ludźmi tylko dlatego, że nie mieli tyle szczęścia co ty i urodzili się nędzarzami. Popatrz na te dzieci, czy są gorsze od ciebie?

Wskazała dzieci smolarza, wesoło taplające się w błocie.

- Tak, sanie tylko gorsze, ale i wstrętne - odpowiedziałem bez wahania.

Obeszliśmy całe podgrodzie. Wszędzie było tak samo: dzieciaki były brudne i odziane w łachmany, a ich rodzice kłaniali się unieżeniu mojej matce i mnie.

- Synu, czy uważasz, że ci ludzie są szczęśliwi?

- Nie dbam o tych ludzi bardziej niż o psy - odburknąłem. Matka milczała przez chwilę, po czym rzekła:

- Popatrz, czy radość tych dzieci jest inna od twojej?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Zaprowadziła mnie w końcu do zakonnicy, które niedaleko Gloucester stworzyły leprozorium. Wszyscy śmiertelnie bali się trędowatych. Być chorym na trąd oznaczało samotność, nędzę i cierpienie. Tych ludzi wyrzekły się nawet rodziny.

Matka wskazała starszego mężczyznę i chłopca w moim wieku, którzy stali nieopodal. Mocniej ścisnąłem jej rękę. Nie mogłem patrzeć na ropiejące rany. Ludzie ci przynieśli brudne, śmierdzące bandaże, ponieważ chcieli dostać czyste. Zakonnice układały brudne bandaże na stos. Dotykając ich, nie bały się, że się zarażą. Ja czułem nie tylko strach, ale i obrzydzenie.

- Ci ludzie żyją w nędzy, toczy ich choroba, daj temu chłopcu srebrną monetę.

Matka włożyła mi w rękę pieniążek i podprowadziła do trędowatego chłopca o twarzy pokrytej ranami, z których sączyła się krew i ropa. Nie miał nosa, w jego miejscu sterczała kość.

Bąłem się, że ci ludzie rzucą się na mnie, ale oni się cofnęli. Zrozumiałem, że bardziej boją się nas niż my ich. Cisnąłem pod nogi chłopca monetę. Podniósł ją i spojrzał na mnie, a jego oczy, choć pełne cierpienia i smutku, rozjaśniła radość. Okaleczone usta podziękowały mi bezdźwięcznie. Po raz pierwszy w życiu poczułem litość.

- Synu, dałeś temu człowiekowi jałmużnę i dobrze uczyniłeś - powiedziała potem matka. - Pamiętaj jednak, aby dawać jałmużnę nie tak, jak to

czynią bogaci rycerze, kupcy, baronowie, a nade wszystko biskupi i królowie, którzy oddają to, co im zbywa. Dawaj jałmużnę tak, aby nikt nie wiedział, że to czynisz. Wówczas w niebie spotka cię nagroda.

- W niebie? - zdziwiłem się.

- Tak. Jedni rodzą się w rynsztoku, a inni w rycerskim domu, jeszcze inni pod baldachimem z atlasu. Pamiętaj jednak, że to nie miejsce urodzenia czyni ludzi szlachetnymi, ale ich uczynki. Pamiętaj o tym, Gotfrydzie.

Matka umarła w Wielkanoc 1170 roku. Od wielu miesięcy chorowała na suchoty. Kiedy w Wielki Piątek poczuła się bardzo źle, ojciec wezwał do naszego zamku proboszcza katedry, który był też medykiem, a przynajmniej za takiego chciał uchodzić. Modlił się żarliwie, po czym puścił matce krew, wyjaśniając, że to właśnie zła krew jej szkodzi. Widziałem, jak mój ojciec wręcza mu sakiewkę, która szybko zniknęła w fałdach sutanny. Nie do końca wtedy rozumiałem sens uczynku ojca, ale teraz wiem, że księża najżarliwiej modlą się wtedy, gdy dostają złoto.

Ja również żarliwie modliłem się do Boga o ratunek dla matki, ale moje modlitwy nie zostały wysłuchane. Umarła cicho i tak spokojnie, jakby zasnęła. Długo stałem koło jej łoża i na nią patrzyłem. Po raz pierwszy widziałem martwego człowieka i było to dla mnie straszne przeżycie. Nie potrafiłem jednak płakać, bo nie docierało do mnie to, co się stało. Kiedy podczas pogrzebu zobaczyłem, jak ojciec klęczy zrozpaczony przy trumnie matki, poczułem bezsilną złość. Tak, byłem wściekły, bo to Bóg zabrał mi matkę. Postanowiłem więc, że się na Boga obrażę. Obiecałem sobie, że już nigdy nie wypowiem słów modlitwy.

□ □ □

Ojciec jednak krótko opłakiwał swoją żonę. Po trzech miesiącach ożenił się po raz drugi. Juliette, Francuzka, była znacznie młodsza od matki i niezwykle powabna. Znienawidziłem ją od pierwszego wejrzenia. Wiedziałem, że nie zna angielskiego, więc zwracałem się do niej tylko po angielsku, co

bardzo ją drażniło. Poskarżyła się na mnie ojcu, a ten stłukł mnie rzemieniem tak, że przez tydzień nie mogłem siedzieć. Pewnego dnia, kiedy cierpiąc, leżałem w łożu, przyszedł do mnie giermek ojca i rzekł:

- Twój ojciec i matka życzą sobie, abyś uczęszczał do szkoły przyklasztornej.

- Ona nie jest moją matką, głupcze! - prychnąłem. -

Nie mam zamiaru chodzić do tej szkoły. Nie chcę być mnichem. Wynoszę się...

- Nie jestem głupkiem, paniczu - odrzekł giermek spokojnie. - Mam na imię Henryk i jestem synem jednego z wasali twego ojca. Hrabia chce, abym się tobą opiekował. Także będę pobierał nauki w tej szkole. Czy ci się to podoba, czy nie - zakończył, a ja nie miałem nawet siły, by zdzielić go za taką bezczelność.

□ □ □

Szkoła przykatedralna Świętego Jakuba w Gloucester była jednym z tych miejsc, gdzie często mówiło się o Bogu, lecz trudno go było znaleźć w czyimkolwiek sercu. Miłość bliźniego zastępowała surowa dyscyplina, a dobre słowo - łacińskie sentencje.

Uczniowie byli w różnym wieku. Trzynastolatek i dziewiętnastolatek siedzący w jednej ławce nie byli niczym szczególnym. Wszyscy zaczęli od gramatyki, retoryki i dialektyki. Uczył nas ksiądz Jan, który był człowiekiem bardzo surowym. Nie znosił sprzeciwu i mówił często, że jego najlepszą przyjaciółką jest łacina i ostra trzciniowa witka. Mieliśmy się o tym przekonać na własnej skórze.

Najstraszniejsze były lekcje łaciny połączonej z retoryką. Ksiądz Jan, niezmiernie sobą zachwycony, recytował sławetne frazy z Juliusza Cezara:

- *Gallia est omnis divisa in partes tres, quarum unam incolunt Belgae, aliam Aquitani, tertiam qui ipsorum lingua Celtae nostri Gallia apellantur...*

„Cała Galia podzielona jest na trzy części, z których jedną nazywają Belgią, inną Akwitania, trzecią, którą miejscowi nazywają Celtią, my Galią zwiemy”.

Drżał z zachwytu, a my drżeliśmy ze strachu. Każdy chłopak modlił się żarliwie do Boga, aby oczy księdza Jana nie spoczęły właśnie na nim.

- Czyż te cudowne frazy was nie zachwycają? - pytał ksiądz. - Oczywiście, że zachwycają - odpowiadał sam sobie. - Ubogacają nas, wzbudzają w nas wielki podziw dla języka łacińskiego, dla jego struktury, prostej i logicznej gramatyki, która jest rozkoszą dla naszych umysłów, prawda? Henryku z Brienne, jesteś najstarszy w klasie, mniemam, że również najmądrzejszy. Wstań.

Biedny Henryk miał głowę do rachunków, a nie do łacińskiej retoryki.

- Powtórz teraz ten cudowny fragment z pamiętników Cezara.

Henryk zaczął coś dukać, a ksiądz Jan wpadł w szal.

- Wyciągnij dłonie, ty matole! Wysoki jak brzoza, a głupi jak koza! - wrzeszczał.

Henryk wyciągał dłonie, a ksiądz Jan okładał je trzcina do krwi. Dysząc, zwrócił się do mnie:

- Gotfrydzie, wyrecytuj nam frazy Cyncerona, których się ostatnio nauczyliście.

- *Quousque tandem abutere, Catilina, patientia nostra? Quam diu etiam furor iste tuus nos eludet? Quem ad finem sese effrenata iacabit audacia?* - wyrecytowałem bez zająknięcia i natychmiast przetłumaczyłem: - „Jak długo będziesz, Katylinie, nadużywał naszej cierpliwości? Jak długo jeszcze będziesz drwił z nas, szaleńcze? Dokąd panoszyć się będzie twa nieokiełznana zuchwałość?”.

- Wspaniale - pochwalił rozpromieniony ksiądz. - Czy Cynceron cię zachwycił? Powiedz szczerze.

- Nie, Cynceron wcale mnie nie zachwycił - odrzekłem spokojnie.

Ksiądz poczerwieniał jeszcze bardziej i jął mnie okładać trzcina, gdzie popadnie. Henryk miał spuchnięte dłonie, a ja twarz.

□ □ □

Ulubionym tematem pogadanek księdza Jana były także krucjaty.

Świat Zachodu już dwa razy wyprawiał się na Bliski Wschód, i to z jakże różnym skutkiem. Za pierwszym razem papież Urban V w 1095 roku na synodzie w Clermont apelował, by ratować grób Chrystusa. Nikt w kurii rzymskiej nie spodziewał się tak wielkiego odzewu. Na wyprawę ruszyła cała Europa. Najpierw poszli chłopci pod dowództwem Piotra z Amiens, ale zostali zdziesiątkowani przez choroby, głód i Turków.

Potem ruszyła wyprawa rycerska. Krzyżowcy nie mieli żadnego wyobrażenia o ludziach zamieszkujących Palestynę, jak daleko leży ona od Europy i jak długo przyjdzie im zmagać się z brudem, głodem i chorobami, zanim dotrą do bram raju. W lipcu 1099 roku krzyżowcy zdobyli Jerozolimę, dokonali krwawej rzezi mieszkańców, mordując ich niezależnie od tego, czy byli muzułmanami, czy żydami. Powstało Królestwo Jerozolimskie zorganizowane na wzór zachodni, z panami, biskupami i rycerzami zbawionymi za życia. Oraz tymi, którzy w pocie czoła na to zbawienie pracowali, czyli całą resztą.

Druga wyprawa wyruszyła w roku 1147 na wieść o zdobyciu przez muzułmanów Edessy. Wziął w niej udział mój ojciec, Hugo z Melville. Zakończyła się klęską, pomimo wsparcia cysterskiego mnicha Bernarda z Clairvaux.

Pamiętam, że kiedyś ksiądz Jan opowiadał, iż pielgrzymi często mieli podczas tej wyprawy widzieć Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, jak przechadza się po uliczkach Jeruzalem. Henryk siedział zasłuchany, a ja, widząc taki brak krytycyzmu, dałem mu bolesnego kuksańca w bok i powiedziałem głośno:

- Wielebny ojcze, jeśli prawdą jest to, co mówisz, to powinno już nastać na ziemi Królestwo Niebieskie, a tymczasem ludzie wciąż grzeszą i umierają.

- Gotfrydzie, jesteś najbardziej nieznośnym i krnąbrnym młodym człowiekiem, jakiego znam! - krzyknął ksiądz. - Czy ośmielasz się podawać w wątpliwość moje słowa? Czy twierdzisz, że nasz Pan nie cieszy się, iż zdobyliśmy dla Niego Jeruzalem?

- Wielebny ojcze, nie powiedziałem, że Jezus się nie cieszy, tylko że na pewno nie przechadza się po tym mieście, bo gdyby tak było, oznaczałoby to, że mamy już na ziemi Królestwo Niebieskie - tłumaczyłem bez mrugnięcia okiem.

- Kto cię tego nauczył?! - wykrztusił ksiądz, a jego oczy stały się okrągłe jak dwa księżycy w pełni.

- Matka - odpowiedziałem z dumą.

Pozostali uczniowie wybuchnęli gromkim śmiechem. A sługa boży Jan wziął swoją bezlitosną trzcinę.

- Zdejmij spodnie i połóż się na ławie. Zostaniesz surowo ukarany - oznajmił zimno.

Bolało straszliwie. Na moich pośladkach pojawiły się krwawe wybroczyny. Ale nawet nie pisałem. Potem moi koledzy z bursy przychodzili do mnie i mówili:

- Gotfrydzie, byłeś bardzo dzielny!

Słowa te były słodsze od miodu i z radością znosiłem piekący ból pośladków i pleców.

□ □ □

Pewnego dnia przysłano po mnie z pałacu, albowiem mój ojciec zaprosił na wieczernię biskupa Gloucester, Odilona. Gdy tylko zobaczyłem ojca i macochę, która powitała mnie dziwnie serdecznie, wiedziałem, że zanoszą się na coś niedobrego. Zauważyłem też, że Juliette rusza się ociężale i znacznie utyłła.

- Gotfrydzie, jak ty wyrosłeś - powiedziała słodko. - Czy twój anglosaski języczek nadal jest taki ostry?

- Może znów taki być, jeśli tylko tego zapragniesz, pani - odpowiedziałem, ale widząc jej wielki brzuch, zapytałem: - Czy jesteś chora, madame?

- Nie, mój mały - odparła macocha z uśmiechem. - Noszę pod sercem prawowitego dziedzica Gloucester.

Jej słowa, pełne jadu, zaboląły mnie bardziej niż różgi księdza Jana. Wybiegłem na korytarz i zderzyłem się z Henrykiem.

- Co ci się stało, paniczku? - zapytał z troską.

- Macocha powiedziała mi, że nosi pod sercem prawowitego dziedzica Gloucester! Co za wstrętna baba! Jak ojciec może ją kochać, a mnie odtrącać?

Przez moment na pogodnej twarzy Henryka zagościł smutek. Po chwili powiedział:

- Twój ojciec nie wyrzucił cię z serca... Obecność biskupa na dzisiejszej wieczerzy oznacza, że ojciec przeznaczył cię... Gotfrydzie, zrozum, że ojciec zapewne bardzo o tę wizytę zabiegał. Bądź miły dla jego ekscelencji...

- Do czego mnie przeznaczył? Mów!! - zażądałem.

- Do stanu duchownego... - wybąkał Henryk.

□ □ □

Uczta była wspaniała. Stoły przykryto najlepszymi obrusami, haftowanymi jeszcze przez moją matkę i jej dworki, wyciągnięto z kredensów srebrną zastawę. Salę oświetlały dziesiątki pochodni, a pod stołami wałęsały się psy, mające nadzieję na smakowite kąski. Wkrótce do sali wszedł błazen z tresowanym niedźwiedziem i kuglarze, którzy napełnili mroczne mury zamku śmiechem i śpiewem.

Wreszcie zagrały trąby i do sali biesiadnej zaczęli napływać goście. Zjawił się mój ojciec w srebrnoszarym kaftanie z atłasu, moja macocha i biskup Odilon. Ten dostojnik świętego Kościoła rzymskiego wywarł na mnie ogromne wrażenie. Jego gładko ogolona twarz zdradzała pewność siebie, właściwą wszystkim wielkim tego świata. Szaty miał purpurowe, a ciężki złoty łańcuch,

wart kilkuletnią pańszczyznę chłopów z dwudziestu wsi, zdołał jego szeroką pierś i duży brzuch. Ojciec i macocha ucałowali pierścień na jego pulchnym palcu. Uczyniłem to samo, a wówczas jego ekscelencja obdarzył mnie uśmiechem.

Na początek podano cebulową polewkę z chlebem, potem wniesiono pieczyście - głuszce, jagnię i mnóstwo przepiórek i kuropatw. Jedzono łąpczywie, a resztki, o których biedni ludzie z podgrodzia mogli tylko pomarzyć, poniewierały się po posadzce i nawet obżarte psy nie chciały ich jeść. Wypito też dużo wina, w tym wiele dzbanów pachnących i cierpkich win burgundzkich, i tych słabszych - alzackich. Rozmawiano na różne tematy: od polityki po ubogające duchowo przykłady męczeństwa. Wtedy też poznałem mojego dalekiego kuzyna Hugona z Morville, który bez skrępowania nadskakiwał żonie mego ojca. Wybierał dla niej najsmaczniejsze kąski i pilnował, by jej puchar zawsze był pełny, ona zaś wyglądała na niezmiernie radą. Zauważyłem również, że kładzie jej rękę na kolanie i przemawia do niej tak słodko, jakby była jego żoną. Ojciec, zajęty rozmową z biskupem, zdawał się niczego nie dostrzegać. Boże, jak ja nienawidziłem tej wstrętnej baby!

Wreszcie biskup zwrócił się do mnie:

- Gotfrydzie, czego pragniesz w życiu?

Spuściłem głowę, choć czułem na sobie wzrok ojca, który oczekiwał jednej tylko odpowiedzi.

- Chciałbym się uczyć - odpowiedziałem na złość ojcu. Macocha, która w tym czasie szczebiotała po francusku z dworkami, tego nie usłyszała, ale ojciec i biskup wpatrywali się we mnie zdumieni. Nie takiej spodziewali się odpowiedzi.

- Chłopcze - rzekł po chwili biskup - słyszałem o twoim zachowaniu w szkole. Ksiądz Jan, który uczył już wielu krnąbrnych młodzieńców, chwalił cię za inteligencję, ale rozum to przecież nie wszystko. Potrzebna jest miłość do rzeczy niewidzialnych.

- Mam nadzieję, że ty mnie jej nauczysz, ekscelencjo - odrzekłem z pokorą.

Ojciec odetchnął z ulgą, biskup zaś zaczął wypytywać mnie o różne rzeczy - o rolę Kościoła w życiu człowieka, czy odmawiam codziennie po łacinie *Ojcze Nasz* i *Zdrowaś Mario*... Mówił także o świętych i o tym, że byłoby wskazane, abym wybrał sobie jednego z nich i się do niego modlił.

- Ekscelencjo, skoro mówiłeś w niedzielę podczas kazania, że Jezus nie miał niczego na własność, ponieważ nie przykładał wagi do dóbr doczesnych, dlaczego biedacy z naszego miasta muszą ponosić wielkie wyrzeczenia na rzecz Kościoła? - odważyłem się zapytać. - Czy nie obawiasz się, ekscelencjo, że jeśli dziś rzucamy pieczone mięsivo psom, to Bóg nie okaże nam miłosierdzia, ponieważ nie potrafiliśmy się podzielić tym z biednymi?

Mówiąc to, cisnąłem pod stół kawałek kuropatwy.

Ojciec spiorunował mnie wzrokiem. Wiedziałem, że będą baty. Gdyby biskup Odilon w tym momencie zakończył swój udział w uczcie, czekałaby mnie chłosta i zamknięcie w lochu, lecz stało się coś bardzo dziwnego: biskup popatrzył na mnie przyjaźnie. Każdy ksiądz w Anglii na jego miejscu stwierdziłby, że jestem niewychowany i że mam heretyckie poglądy, bo nikt nie miał prawa krytykować Kościoła, nawet król. Odilon zaś odrzekł:

- Wiedza jest cnotą, jeśli prowadzi do prawdy. To dobrze, że jej pragniesz, Gotfrydzie. Widzę w tobie odwagę. Spożytkujemy twój cięty język na chwałę Kościoła. Zgodnie z wolą twego ojca, który pragnie, abyś służył Kościołowi, od dziś jesteś pod moją opieką.

Rozdział II

CZŁOWIEK Z KUSZĄ

Koń zatrzymał się nad jarem, a siedzący na nim człowiek, w wieku około pięćdziesięciu lat, odziany w kaftan, spodnie i buty z wyprawionej skóry łosia rozglądał się uważnie na wszystkie strony. Znajdował się w lesie Cotswold,

dobrze sześćdziesiąt mil od Gloucester. Odkąd opuścił Londyn, miał wrażenie, że jest śledzony. W leśnej gęstwinie poczuł dziwny niepokój...

Nagle usłyszał chrzęst łamanych gałęzi i rżenie konia. Nasłuchiwał. Cisza. Wtem znów trzasnęła gałązka. Rycerz na koniu odwrócił się. Dobył miecza, ale było za późno. Rozległ się świst bełtu wystrzelonego z kuszy.

Strzała przebiła pierś jeźdźca na wylot. Zacharczał, wypluł krew i runął na ziemię. Po chwili z krzaków wyszedł zabójca, przyklęknął przy ciele i uśmiechnął się.

- Myślałeś, że nas zdradzisz, psie? - mruknął.

Odłożył kuszę, przywiązał konia zabitego człowieka do drzewa, po czym wziął trupa pod pachy, zaciągnął do głębokiego jaru biegnącego wzdłuż gościńca i rzucił zakrwawione ciało na zbutwiałe liście.

Już miał przeszukać juki, gdy nagle usłyszał wesołą rozmowę prowadzoną przez dwóch ludzi. Zaklął cicho i czym prędzej czmychnął w las.

Dwa tygodnie wcześniej

W domu biskupa zaczęło się dla mnie nowe życie. Z trudem uprosiłem Odilona i mego ojca, aby pozwolili mi zabrać ze sobą Henryka, który był giermkim mego ojca, ale który został zwolniony z przysięgi. Postąpiłem nieco samolubnie, ponieważ Henryk wcale nie miał ochoty mieszkać w klasztorze, ale byłem mu wdzięczny za jego decyzję. Henryk jednak musiał pomagać przy koniach Odilona w klasztornej stajni, albowiem biskup nie zamierzał karmić darmożjada. Księża w pałacu biskupa patrzyli na mnie wrogo, bo trzymanie sługi było w ich oczach jedynie kaprysem rozpущzonego syna jego hrabiowskiej mości.

- Po co mu sługa, skoro będzie księdzem? - szemrali.

Ja jednak wcale nie miałem zamiaru zostać księdzem i szukałem sposobności, aby uciec spod biskupiej kurateli. Henryk był mi naprawdę potrzebny - w tym miejscu pełnym intrygantów posiadanie bratniej duszy było

bardzo istotne. Szybko przekonałem się, że życie pośród osób duchownych wymaga wielkiego hartu ducha. Ktoś słaby może szybko stracić wiarę.

Przede wszystkim zauważyłem, że między księżmi brakuje braterskiej miłości, powszechne są natomiast donosicielstwo i obłuda. Dużo mówią o pokorze, ale jednocześnie bardzo chętnie dają do całowania pierścieni, a przecież prawo do tego ma tylko biskup.

Księża rzadko udzielali komunii świętej prostym ludziom, a i tak pojawiały się głosy, że pospólstwu komunii należy udzielać tylko raz na rok, w Wielkanoc. Nie odprawiali mszy w tygodniu, żyli dostatnio i spokojnie i jadali lepiej od bogatych mieszczan i wielu rycerzy.

Mógłbym jeszcze wiele opowiedzieć o nieobyčajnym życiu kleru, lecz nie to jest tematem mojej opowieści.

□ □ □

Pracowałem w kancelarii biskupa i przepisując dokumenty, mogłem obserwować istny wysyp cudów. Polegały one na tym, że wszystkie spory majątkowe wielebny biskup rozstrzygał na swoją korzyść, powiększając w ten sposób swój niemały już majątek.

Któregoś dnia szturchaniec Henryka zbudził mnie dość wcześnie, a światło wschodzącego słońca łaskotało mnie po twarzy.

- Wstawaj prędko, paniczu, biskup chce cię widzieć - powiedział Henryk.

- Tak wcześnie? - Ziewnąłem.

- Powiedział, że masz się stawić natychmiast. Ubrałem się i poszedłem do mego suwerena. Siedział w fotelu

w swoim wielkim gabinecie i wyglądał na człowieka bardzo wystraszonego.

- Ekscelencjo, w jakiej sprawie pragnąłeś mnie widzieć? - Skłoniłem się nisko.

- Synu, pragnę powierzyć ci ważną i delikatną misję. Wiem, że mnie nie zawiedziesz.

- Jak sobie życzysz, ekscelencjo.

- Synu, obudziłem się dziś zlanym zimnym potem - ciągnął. - Śniłem rzecz straszną. Przybył do mego pałacu urzędnik królewski, który odebrał mi wszystkie dobra, a mnie, zupełnie nagiego, wygnał z miasta. Gdybyś widział ten szydzący z mego nieszczęścia motłoch...

Odilon ukrył twarz w dłoniach i zdało mi się, że cicho zaszlochał.

A ja widziałem oczyma duszy biedaków, każdej niedzieli czekających na odpadki z biskupiego stołu, i bijących się o każdy kęs mięsa, którego nie zdążyły zjeść psy jego ekscelencji. Musiałem bardzo się starać, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Nie znam się na snach - odpowiedziałem wymijająco.

- Chłopcze, chcę powierzyć ci misję, w której zarówno twoje znakomite pochodzenie, jak i wiedza oraz talent do przekonywania będą miały pewne znaczenie.

- Jestem zaszczycony.

- Jak zapewne słyszałeś, konflikt między prymasem Becketem i królem Henrykiem Drugim zaostrza się. Rzecz w tym, że mogę dużo stracić.

- Nie rozumiem...

Odilon rozparł się w fotelu i mówił dalej:

- Pamiętam, kiedy Becket i król byli wielkimi przyjaciółmi, a młody król często zasięgał rady prymasa. Król podarował mi wówczas okazały majątek w hrabstwie Winchester, o czym Becket nie wiedział. Dostałem też za sprawą księżnej Eleonory Akwitańskiej, królewskiej małżonki, inne dobra, położone w tym samym hrabstwie, na które chrapkę miał też prymas Becket. Potem król i prymas pokłócili się, a ja jestem w kłopotcie.

- A cóż to za kłopot, ekscelencjo?

- Chciałbym mieć te wszystkie ziemie, nie narażając się na konflikt z arcybiskupem Canterbury. Nie mogę też obrazić królowej, która potrafi być bardzo pamiętliwa.

Ty chciwy łotrze, pomyślałem.

- Widzisz, młodzieńcze, w Gloucester nie ma nikogo, komu mógłbym zaufać. Ktoś musi pojechać do króla i wręczyć mu list z prośbą, aby nie wpisywał mego imienia na listę osób będących w jego stronnictwie przeciw prymasowi. Rozumiesz, że muszę być Becketowi posłuszny w sprawach kościelnych, a nie chcę tracić przychylności króla, który na pewno odebrałby mi ziemie, gdybym poparł prymasa Anglii.

- Rozumiem, że to kwestia posłuszeństwa. Bardzo delikatna.

- W istocie, synu, niezwykle delikatna - przyznał Odilon. - Do Londynu musi pojechać ktoś, kto nie jest tym wszystkim bezpośrednio zainteresowany. Wtedy można mieć nadzieję, że sprawa zostanie załatwiona po mojej myśli. Najlepiej, by była to osoba dobrze urodzona, mająca widoki na wspaniałą karierę w Kościele. Z tego powodu zamierzam powierzyć to zadanie tobie.

- Kiedy mam jechać?

- Dzisiaj.

- Dobrze, mam tylko jedną prośbę.

- Jaka?

- Henryk z Brienne, mój druh, jedzie ze mną. Biskup nie miał nic przeciwko temu.

□ □ □

Henryk był zachwycony wyjazdem do Londynu nie mniej ode mnie. Wybrał konie, bo wiedział, które są najlepsze. Były to ogiery, szybkie i łagodne. Kuchnia biskupa zaopatrzyła nas w jedzenie. Dostaliśmy też broń - po raz pierwszy widziałem krótkie miecze i walijskie łuki, które przebijały kolczugę z odległości tysiąca kroków. Wreszcie Odilon przyjął nas w refektarzu, życząc dobrej drogi. Otrzymałem od niego listy do króla, lordów Salisbury i Mortimera oraz kilku innych wpływowych normandzkich baronów.

Rankiem pierwszego dnia sierpnia 1170 roku wyjechaliśmy przez bramę miasta. Dzień był piękny i słoneczny, jabłonie i grusze w sadach ugiwały się od

dojrzewających owoców. Ponieważ Gloucester jest otoczone od wschodu lekko pofałdowaną równiną, a na zachodzie ciemną i nieujarzmioną walijską puszcza, chcieliśmy jak najszybciej dostać się na trakt wiodący przez wzgórza, aby z góry popatrzeć na Gloucester. Gdy w pewnym momencie się odwróciłem, zobaczyłem strzelistą wieżę katedry i zarys miejskich murów.

Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że już nigdy mego miasta nie zobaczę. Oto zaczynała się moja tułaczka. Od tej chwili miałem błąkać się między światłem przebaczenia i mrokiem grzechu.

□ □ □

Byliśmy w drodze już od kilku dni.

- Panie, powiedz mi, czy naprawdę chcesz zostać księdzem? - zapytał pewnego razu Henryk.

- Jak wiesz, Henryku, mój ojciec i macocha tego właśnie chcą. Sprawując jakąś funkcję w Kościele, nie będę mógł rościć pretensji do majątku ojca. Ta Francuzka urodzi mu dziecko. Przeklęta wiedźma... - syknąłem z wściekłością.

- Jest piękną kobietą... - westchnął Henryk. - Ale rzecz nie w tym, co ja myślę i widzę, ale co myśli i widzi twój ojciec, który pojął ją za żonę. Ale... jest piękna. Minstrel, który śpiewał na uczcie, patrzył tylko na nią.

- Przestań...

- Chciałem powiedzieć tylko tyle, że rozumiem cię, paniczu - dodał Henryk. - Twój ojciec nie powinien tak szybkim ślubem kłaść pamięci twojej matki.

Popatrzyłem na niego smutno. Wspomnienie matki wciąż bolało. Popędziłem konia, nie mając ochoty na dalszą rozmowę.

□ □ □

Trakt wił się pod górę, a potem się obniżał. Przeprawiliśmy się przez kilka małych strumieni i zbliżaliśmy się do lasu Cotswold, ciągnącego się wiele mil na wschód.

Słońce skryło się za lasem, a drzewa zaszumiały długo i przeciągle, zwiastując chłód nocy. W tej właśnie chwili świsnęła strzała i wbiła się w pień zwalonego dębu. Zatrzymaliśmy konie, które zaczęły rzeć niespokojnie i strzyc uszami.

- Pokaż się, zbójcu, bo nie mierzysz do byle kogo! - wrzasnął Henryk.

Ku naszemu zaskoczeniu z krzaków wyszedł nie rzezimieszek, lecz dobrze ubrany człowiek w szarozielonej opanczy i wysokich skórzanych butach. Na ramieniu trzymał kuszę.

- Człowieku, mogłeś nas zabić! - krzyknął Henryk.

- Kim jesteście?

- To raczej ty nam powiedz coś za jeden, bo do nas strzelałeś.

Przyjrzałem się uważnie obcemu. Był wysokim mężczyzną około czterdziestu lat, z długą blizną biegnącą przez lewy policzek. Jeśli raz zobaczy się taką twarz, nie sposób jej zapomnieć.

- Co robisz w lesie z kuszą? - spytałem.

- Jadę do Gloucester. Wiozę list dla tamtejszego biskupa od królowej. Strzeliłem z kuszy, ponieważ myślałem, że jesteście banitami. Te lasy pełne są różnej maści rzezimieszków.

- Jak się nazywasz, panie? - chciał wiedzieć Henryk. Po dłuższym namyśle rzekł:

- Tomasz Glasdale. Służę królowej.

Gwizdnął przeciągle i z zarośli wyskoczył kary rumak. Ponieważ mój ojciec był bogatym szlachcicem, od razu stwierdziłem, że uprzęż należy do najwspanialszych, jakie w życiu widziałem. Skoro, jak rzekł, boi się bandytów, dlaczego jedzie na takim rumaku? Przecież kosztuje majątek! - zastanawiałem się.

- A dokąd wy zdążacie? - chciał wiedzieć.

Henryk już otwierał usta, żeby udzielić mu wyczerpującej odpowiedzi, lecz ja odrzekłem szybko:

- Wieziemy do Londynu list od biskupa Odilona. Zachowanie nieznanego natychmiast uległo zmianie; stał się miły, przeprosił, że do nas strzelił, i opowiedział nam wiele ciekawych rzeczy o Londynie. Dowiedzieliśmy się, że sytuacja w stolicy jest o wiele bardziej poważna, niż myśleliśmy. Król chce za wszelką cenę ośmieszyć prymasa Becketa, co nie jest takie proste, albowiem cieszy się on ogromnym poważaniem wśród gminu i rycerstwa. W końcu Tomasz Glasdale wsiadł na konia, pożegnał się z nami i odjechał w kierunku Gloucester.

- Henryku, czy widziałeś tę uprząż? - zapytałem.

- Tak, bardzo ładna - mruknął Henryk, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Dziwne... Mówił, że jest sługą, skąd więc takie bogactwo...

- Mówił, że jest sługą królowej, a nie znał francuskiego... - zauważył Henryk, patrząc na mnie wymownie.

Nie ujechaliśmy daleko od miejsca, w którym spotkaliśmy kusznika, gdy mój koń stanął dęba, a potem rzucił się do przodu. Cudem utrzymałem się w siodle. Poczulem w ręce ostre szarpnięcie i usłyszałem krzyk Henryka, który pospieszył mi na ratunek. Koń pędził jak oszalały. Nagle usłyszałem trzask - uderzyłem głową w gałąź drzewa. Poczulem rozdzierający ból. Wszystko zawirowało, spadłem z konia i sturlałem się na dno jaru.

Straciłem na chwilę przytomność, a gdy się ocknąłem, bolały mnie wszystkie członki. Nie mogłem złapać tchu, namacałem na głowie tęgiego guza, a z nosa płynęła mi krew. Z trudem podniosłem się na czworaki i stwierdziłem, że wylądowałem na zgniłych liściach. Śmierdziało mokrą ziemią i rozkładem. Kiedy stanąłem na nogi, zobaczyłem, że prawie dziesięć stóp nade mną przestraszony Henryk próbuje do mnie zejść. Mój koń na szczęście nie spadł i stał nad krawędzią jaru, nerwowo grzebiąc kopytem.

Po kilku chwilach Henryk był przy mnie.

- Żyjesz! Co się stało twojemu koniowi, paniczku? - dopytywał się zdyszany.

- Chyba coś go przestraszyło.

- Jesteś cały?

- Chyba tak, ale wszystko mnie boli - stęknąłem. Moją uwagę przykuły ślady na zboczu wąwozu. Podeszedłem bliżej. Ziemia była zryta, a na kamieniu zauważyłem krew.

- Henryku, popatrz, krew. Wydaje mi się, że nie moja.

- Może ktoś potrzebuje pomocy?

Brnęliśmy po śladach przez zbutwiałe liście. Wtem Henryk stanął i odwrócił się w moją stronę, a na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Co tam zobaczyłeś? - spytałem z bijącym sercem.

- Podejź i sam zobacz, paniczu Gotfrydzie.

Z liści wystawała ludzka dłoń. Była zakrwawiona i ubrudzona ziemią. Zaciśnięta pięść ścisnęła kawałek materiału. Poczulem zapach krwi. Zebrało mi się na wymioty.

Henryk odgarnął liście i naszym oczom ukazały się ludzkie zwłoki. Był to mężczyzna w skórzanym kaftanie, z jego piersi sterczał krótki belt. Pomyślałem o człowieku, którego spotkaliśmy wcześniej. Czyżby to był morderca?

Henryk ukucnął i próbował wyciągnąć kawałek tkaniny z zaciśniętych palców zmarłego.

- Zostaw! - krzyknąłem. - To należało do niego! Nie okrada się zmarłych!

- On już tego nie potrzebuje - odrzekł Henryk. - Popatrz! Co to jest...

Rozwinął materiał. Był delikatny i widniały na nim wyraźne rysy twarzy brodatego mężczyzny. Miałem wrażenie, że nie zostały namalowane. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Dreszcz przeszedł mnie od stóp po czubek głowy. W jednej chwili zapomniałem o bólu. Wpatrywaliśmy się w tę twarz i wydało nam się, że człowiek ten patrzy wprost na nas...

Rozdział III

WIZJA

Templariusz zmierzał do Londynu, mając nadzieję odnaleźć pewnego człowieka. Na poszukiwaniach strawił już miesiąc. Sprawdzał wszystkie miejsca, gdzie Jean z Rainecourt mógł się zatrzymać - oberże i gospody na przedmieściach, domy bogatych mieszczan i klasztory. Rycerz Świątyni Salomona wysłał także na poszukiwania sługi, jednak ci nie natrafili na najmniejszy ślad. Widząc bezowocność swoich poczynań, pomyślał, że stary Jean zapadł się chyba pod ziemię.

Kilka miesięcy temu do siedziby templariuszy w Paryżu przybył sługa Jeana z Rainecourt, bogatego i wpływowego szlachcica z Prowansji, przywożąc list. Jean informował w nim swego przyjaciela, że wykrył zdrajcę w gronie angielskiej kapituły tajnego bractwa, do którego należeli adresat listu oraz jego autor.

Templariusz miał złe przeczucia. Nie chciał wierzyć, że stary, liczący sobie prawie pięćdziesiąt lat rycerz, mógł samodzielnie wpaść na ślad zdrajcy. Z drugiej strony, Jean był niesłychanie uparty i kiedy coś sobie postanowił, nic nie mogło go powstrzymać.

Templariusz uzyskał zgodę przełożonych i ruszył do Anglii szukać przyjaciela, lecz z każdym dniem tracił nadzieję, że go odnajdzie.

□ □ □

Londyn przywitał nas ulewnym deszczem. Kiedy znaleźliśmy się na moście nad Tamizą, zamajaczyły przed nami, wyłaniając się z mgły, ponure mury Tower. Twierdza wznosiła się dumnie niczym zamek Cyklopa. Przeszedł mnie dreszcz.

Spiąłem ostrogami konia, chcąc jak najszybciej znaleźć się w jakimś ciepłym miejscu. Szukaliśmy dość długo odpowiedniej gospody, bo w Londynie nie było łatwo o dobry i tani nocleg.

Rozpytując, trafiliśmy w końcu do zajazdu Pod Pijanym Szkotem. Zsiedliśmy z koni i parobkowie z gospody odprowadzili je do stajni. W głównej sali było ciepło i panował przyjemny gwar. Paliły się łożowe lampy, lecz dawały

w ten ponury dzień niewiele świtała. Pachniało świeżo warzonym piwem słodowym i pieczoną baraniną. Gdzieś z końca sali dobiegały soczyste przekleństwa londyńskich mieszczan dyskutujących o polityce.

Gdy usiedliśmy za stołem, popatrzyłem w tamtą stronę.

- Ja ci mówię, Cedriku, że jesteś bluźniercą, tak jak twój król! - mówił poirytowany głos.

- Ważcie słowa, Nicols! - syknął człowiek nazwany Cedrikiem. - Nie obrażajcie króla...

- Nie obrażam króla, ty francuski piesku, tylko mówię, jak jest! - wrzasnął Nicols. - Jestem uczciwym człowiekiem i nie znoszę fałszu.

Pod powałę wzniosła się salwa śmiechu.

- To dlaczego dosypujesz trocin do chleba?! - krzyknął ktoś z sali.

Nicols zerwał się na równe nogi, złapał kufel z piwem i rzucił w Cedrika, ochlapując trunkiem jego i kilku innych gości.

- Co ty wyczyniasz, Nicols?! - krzyczeli.

- Nikt nie będzie mnie obrażał! Jestem John Nicols z Westendu, piekarz prymasa Anglii!

Nicols ruszył w stronę drzwi i zawadził nogą o stół Henryka, o mało się nie przewracając. Kiedy odzyskał równowagę, zwyzywał nas od gówniarzy i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Wreszcie podszedł do nas gruby, szpakowaty i rumiany karczmarz i zapytał łamaną francuszczyzną, czego chcemy się napić.

- Mówię po angielsku - odpowiedziałem, podnosząc na niego oczy. - Dla mnie piwo, a dla mego sługi szklanka wina. Tylko nie dolej wody!

- Z Burgundii? - zapytał karczmarz.

- Może być - odrzekł po francusku Henryk.

W tamtych czasach normandzki szlachcic mówiący po angielsku wciąż był rzadkością. Henryk się uśmiechnął. Nie potrafił porzucić swoich francuskich

przyzwyczaję, choć szklanka burgundzkiego wina kosztowała tyle, co pięć kubków piwa. Po dłuższej chwili nadszedł karczmarz z napitkiem.

- Ile możemy zjeść za złotego królewskiego funta? - zapytałem i pokazałem mu monetę z herbem Plantagenetów.

- Tyle pieczystego, ile zdołacie zjeść przez dwa dni. Izbę ze spaniem też wam dam - odpowiedział karczmarz, wpatrując się chciwie w złoty pieniądz.

- I obrok dla koni - dodałem.

- Zgoda. - Karczmarz wziął monetę i ugryzł ją tak mocno, że aż zazgrzytało. Po chwili pod gęstymi wąsami grubasa pojawił się uśmiech. Moneta była z najczystszej złota.

Poprosiliśmy o pieczone prosię, a kiedy najedliśmy się do syta, Henryk wyjął zza pazuchy chustę z rysami ludzkiej twarzy. W blasku świec wydawało się, że chusta lśni.

- Henryku, schowaj to... - syknąłem, albowiem spostrzegłem, że przypatruje nam się człowiek siedzący naprzeciwko nas, pod ścianą. Wyglądał na niezwykle poruszonego. Miał na sobie czarną opończę, pod którą widać było białą tunikę z czerwonym krzyżem, przepasaną rycerskim pasem. Musiał być członkiem zakonu templariuszy!

Ubodzy Rycerze Świątyni Salomona, bo tak nazywali się oficjalnie templariusze, stanowili trzon armii Królestwa Jerozolimskiego, a sława i bogactwo zakonu znane były w całej Europie. Rycerze poruszali się swobodnie po wielu krajach, jako że podlegali tylko władzy papieża i nikogo nie musieli prosić o pozwolenie na przejazd. W Londynie mieli swoją komandorię. Pomyślałem, że templariusz jest właśnie jednym z braci z komandorii londyńskiej. Miało się rychło okazać, że byłem w błędzie.

- Można się przysiąc? - zapytał po francusku. Przeszywał nas wzrokiem, ale nie był to wzrok człowieka

wścibskiego, tylko władcze spojrzenie nieznoszące sprzeciwu, emanowała z niego siła. Francuski akcent nie brzmiał jak ten z Wysp, ale

bardziej dźwięcznie. Pomyślałem, że ten człowiek musi być z kontynentu. Miał krótko obcięte jasne włosy, orli nos i złotawy zarost. Jego dłonie nie nosiły śladów ciężkiej pracy, widać był wysoko urodzony.

- Zimno w tym Londynie - zagadnąłem.

- W Londynie zawsze jest zimno. Ale na tym polega urok tego miasta - odpowiedział krótko.

Zrozumiałem, że nie ja będę decydował, o czym porozmawiamy. Henryk zaczerwienił się i zaczął nerwowo wiercić się na ławie.

- Co was przywiodło do Londynu? Bo jeśli się nie mylę, przybywacie z daleka? - zapytał rycerz.

- Z Gloucester - odrzekłem. - Jestem Gotfryd z Melville, syn hrabiego Gloucester. A to mój sługa i druż, Henryk z Brienne..

- Bardzo mi miło - odrzekł nieznajomy, pochylając lekko głowę. - Ja nazywam się Hubert z Croisilles. Pochodzę z Królestwa Jerozolimskiego, i jak już wiecie, jestem templariuszem.

Zaczął nas wypytywać, co zamierzamy robić w Londynie.

Henryk, pijąc już czwartą szklanekę wina, miał ochotę opowiedzieć mu wszystko, bo wino rozwiązuje język, ale kopnąłem go mocno pod stołem i z miejsca się uciszył.

Zastanowiło mnie, co templariusz robi w takiej gospodzie. Jego biała tunika z czerwonym krzyżem uszyta była z najlepszego flamandzkiego sukna. Zrozumiałem, że nie jest zwykłym zakonikiem. Przez cały czas trwania rozmowy nie spuszczał oczu z chusty, którą Henryk położył niefrasobliwie na stole.

- Późno już, panowie. Pożegnaj się - rzekł wreszcie. - Będziemy sąsiadami, bo moja izba znajduje się obok waszej.

Gdy był już przy drzwiach, zatrzymał się i dodał:

- Jestem przekonany, że wkrótce pogawędzimy dłużej.

Gdy znaleźliśmy się w naszej izbie, powiedziałem do Henryka:

- Będziemy mieli kłopoty.

- Dlaczego tak myślisz?

- Zauważyłeś, jak ten templariusz patrzył na chustę? Wprost pożerał ją wzrokiem. Zastanawiam się też, dlaczego ktoś jego pokroju zatrzymuje się w Londynie w takiej oberży jak ta. Powinien spędzać noc razem z innymi templariuszami w ich londyńskiej siedzibie.

- Może zależy mu, aby pozostać nierozpoznanym? Dlaczego mnie kopnąłeś? - zapytał z pretensją i czknął.

- Zrobię to jeszcze raz, jeśli będziesz tak paplał przy obcych! - odrzekłem zirytowany. - Gdyby nie ja, wszystko byś wygadał!

- Przepraszam - mruknął Henryk.

- Nie przepraszaj, po prostu trzymaj język za zębami! Czuję, że ta chusta jest podejrzana. Człowiek, który miał ją przy sobie, nie żyje, a ten templariusz patrzył na nas jak na złodziei!

- Nie przesadzaj, paniczu - ziewnął Henryk. - Śpijmy już...

- Musiałeś wypić tyle wina? - gderalem.

- Nie musiałem, ale chciałem - wymamrotał Henryk i po chwili usłyszałem jego chrapanie.

□ □ □

Boże, jakim cudem chusta wpadła w ręce tych ludzi, zastanawiał się gorączkowo Hubert z Croisilles. Czy coś złego stało się Jeanowi? Jeśli tak, nigdy sobie tego nie wybaczę. Mogłem przecież odwieść go od wyprawy do Anglii! Kim są ci dwaj młodzi ludzie? Czy w ogóle zdają sobie sprawę, czym jest chusta? Jak ważnym jest ona znakiem? Czy zdrajca wie o misji Jeana z Rainecourt? Dlaczego mój stary przyjaciel nie daje znaku życia?

Był tak poruszony, że nie mógł się modlić. Hubert urodził się w Palestynie jako młodszy syn hrabiego Rajmunda z Croisilles, marszałka dworu króla Jerozolimy. Natomiast Jean z Rainecourt był niegdyś jego nauczycielem

fechtunku w Trypolisie, mieście jego młodości. Hubert, wstępując do zakonu templariuszy w wieku dwudziestu czterech lat, nie przypuszczał, że raz jeszcze spotka starego nauczyciela, który, zakończywszy swój udział w krucjacie, zdecydował się wrócić do Europy.

Gdy Hubert go spotkał, Jean należał do tajnego bractwa, którego znakiem była chusta...



Nazajutrz rano napisałem list do biskupa Odilona, w którym opowiedziałem o wszystkich naszych przygodach. Stopiłem trochę wosku ze świecy, a kiedy gorące krople spadły na złożony kawałek pergaminu, przyłożyłem moją pieczęć. Postanowiłem, że wyślę list królewską pocztą kurierską. Biskup Odilon powinien go otrzymać za dwa tygodnie.

Napisałem jeszcze jeden list. Jego adresatem był mój kuzyn, Hugo z Morville, który przebywał na królewskim dworze. Byliśmy równi urodzeniem, ale Hugo został już przez króla Henryka Plantageneta pasowany na rycerza. Chciałem więc zbliżyć się do kuzyna i dzięki niemu zawrzeć użyteczne znajomości na królewskim dworze.

Ranek był słoneczny i ciepły, od Tamizy wiała przyjemna bryza. Wsiadłem na konia przyprowadzonego przez parobka i ruszyłem w drogę. W wielkich kałużach taplały się dzieci biedaków, a bezpańskie psy węszyły z żalonym błyskiem w oczach za kawałkiem chleba i odrobiną ludzkiej pieśczoży. Dzień zapowiadał się przyjemnie i nawet ponure mury Tower wydawały się w świetle słońca nieco bardziej przyjazne. Na blankach twierdzy połyskiwały w słońcu hełmy strażników, którzy obserwowali z murów, co dzieje się w mieście.

Kiedy dotarłem do miasta, moją uwagę zwrócił kościół Tempie, wotum normandzkiej dynastii za zdobycie Anglii. Zsiadłem z konia, przywiązałem go do balustrady przed świątynią i postanowiłem wejść do wnętrza. W środku było pusto i cicho. Światło z górnych okien przenikało ponad ołtarz, oświetlając

wielki krucyfiks wiszący na głównej ścianie transeptu. Napawał mnie lękiem, lecz nie mogłem oderwać od niego wzroku.

Chrystus na krzyżu miał wspaniałe długie szaty i oczy wpatrzone obojętnie w dal. Pod krzyżem stała Matka Boska o twarzy królowej Eleonory Akwitańskiej, a figura umiłowanego ucznia Jezusa, świętego Jana, była kopią posągów króla, jakie widziałem w Gloucester. Krzyż otaczały też figury baronów i rycerzy. Jedna została usunięta z cokołu, i to dość brutalnie - widać było ślady po siekierze, a stojący obok nóg pozbawionych tułowia pastorał jak gdyby czekał na swego właściciela.

Najbardziej uderzyło mnie to, że nie widać było, aby ukrzyżowany Chrystus cierpiał. Jego oblicze było obliczem surowego władcy, który nie znosi sprzeciwu. Nagle uświadomiłem sobie, że nie znam tego surowego Boga wiszącego na krzyżu.

Cofnąłem się poruszony i wtedy wydarzyło się coś niezwykłego.

Wciąż znajdowałem się w kościele, jednak jego wnętrze pulsowało dziwnym blaskiem. To niezwykle światło upajało mnie. Stałem pod krzyżem z drewna oliwnego.

Usłyszałem długi, stłumiony jęk. Popatrzyłem w górę i ujrzałem zmasakrowanego człowieka przybitego do krzyża. Był nagi. Żył. Starł się złapać jeszcze jeden haust powietrza, ale ponieważ miał ręce i nogi przybite do krzyża, ten nadludzki wysiłek sprawiał, że straszliwie cierpiał.

- Oni mnie ukrzyżowali - jęknął.

- Kto? - zapytałem zdziwiony.

- Ludzie, którzy ubrali mnie w złote szaty i sprawili, że na mojej twarzy nie maluje się cierpienie. Krzyżują mnie codziennie pasterze mojego Kościoła. Opluwają mnie ci, których wybrałem. Moi przyjaciele opuścili mnie dla wygodnego życia. Nikt nie chce cierpieć wraz ze mną.

Czyżby on chciał cierpieć? Ledwie tak pomyślałem, znów usłyszałem głos. Rozległ się w głębi mojej duszy. Był to głos władczy i obezwładniający.

Musiałem go słuchać. Nawet gdybym chciał uciec, nie zdołałbym się przed nim ukryć.

- Cierpienie jest najdoskonalszym klejnotem, jaki ci ofiarowuję. To cierpienie jest moją koroną. Czy i ty pragniesz ją nosić?

Gdy znów podniosłem oczy na wiszącego na krzyżu mężczyznę, zdałem sobie sprawę, że nie przypomina już człowieka - jego ciało było jedną wielką raną. Zalała mnie fala współczucia. Skinąłem w milczeniu głową.

- Jestem dobrym pasterzem, który oddaje życie za swoje owce. Będiesz ze mną dźwigał koronę cierniową, a twoje serce przenikną moje gwoździe - usłyszałem jeszcze, zanim wypadłem z kościoła na ulicę.

Oślepił mnie blask słońca, potrąciłem przechodzącą zakonnice i nie zauważyłem, że tuż przede mną zahamował gwałtownie wóz, ochlapując mnie błotem.

- Jak chodzisz, niezdaro?! - wrzasnął po łacinie jego nasażer.

Podniosłem głowę i popatrzyłem na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Dziękuję ci, panie, za to, że mnie nie przejechałeś - wy sapiałem, ścierając błoto z twarzy.

- Ależ bardzo proszę, hrabio Gloucester - zabrzmiał znajomy głos.

Na wozie siedział Hubert z Croisilles.

- Czy przeszkodziłem w spacerze? - zapytał, mrużąc z ironią oczy.

- Nie. Miałem zamiar wracać do domu, ale jestem cały ubłocony... czy podwieszysz mnie do zajazdu?

- Będzie to dla mnie zaszczyt - odrzekł templariusz. - Wybacz, że cię ochlapałem, ale lepsze to niż zginąć pod kołami.

Podał mi rękę i pomógł wsiąść na wóz, a jego giermek dosiadł mego konia, by jechać za nami. Hubert dał znak woźnicy i wóz ruszył. Wciąż miałem przed oczami to, co widziałem w świątyni Tempie.

- Mam wrażenie, że ujrzałeś dzieło siepaczy króla w kościele Tempie - odezwał się templariusz. - Zapewniam cię, że nie minie rok, a chytry Plantagenet dokończy to, co zaczął w tej świątyni.

- O czym mówisz, panie?

- Wybiegłeś z kościoła Tempie, więc pomyślałem, że poruszył cię widok ołtarza. Żołnierze króla odrąbali toporami postać prymasa Becketa. Gdybyś tylko widział, co działo się w Londynie tamtej niedzieli... - westchnął.

- Nie przypuszczałem, że spór jest tak poważny.

- A jakże! Ponoć Becket i król ślali skargi do papieża, ale stary Aleksander Trzeci nie kiwnie palcem, by ich pogodzić. Ma już dość awantur między sługami Kościoła i władcami.

Skąd ten templariusz wie, jak wyglądają sprawy w kurii rzymskiej? Zrozumiałem, że musi być ważną osobistością.

- Jednym słowem, sprawy mają się nie najlepiej - westchnął.

- Nie lubisz wielkich panów, prawda? - zapytałem.

- Nie, nie lubię. Nie wierzą w nic poza swoją sakiewką. I wierz mi, młody Angliku, że tak jest w całej Europie. Niestety, w Królestwie Jerozolimskim, kraju mego urodzenia, gdzie dworskie koterie, podjudzane przez wysłanników papieża, toczą ze sobą ciche wojny podjazdowe, również. A muzułmanie stają się z każdym rokiem coraz silniejsi...

- Walczyłeś z Saracenami? - Popatrzyłem na niego z podziwem.

- Oczywiście. Za kilka miesięcy znów tam wyruszam. Przez resztę drogi milczałem. Marzyłem, aby udać się do Ziemi Świętej i tam znaleźć sławę, godność i majątek. Jakież byłem wtedy głupi!

□ □ □

Następne dni spędziłem w towarzystwie kuzyna, który szybko odpisał na mój uprzejmy list i zaprosił mnie do swojej kompanii do królewskiego pałacu. Nie chcąc zostawiać Henryka samego, zabrałem go ze sobą. Hugo przyjął nas w pałacu, gdzie dostawał królewski wikt. Czuję się przy nim jak ubogi krewny.

Mój kuzyn i jego towarzysze, Reginald Fitzurse, William Trący i Richard Brito, oddawali się dość osobliwej rozrywce - stawali oni mianowicie tyłem w oknie zaniku i wypijali duszkiem dzban wina. Wygrywał ten, kto wypił więcej wina i nie spadł.

- Spróbuj! Ojciec się nie dowie! - namawiał mnie Hugo pewnego razu.

- A czemu nie - mruknąłem, albowiem nie chciałem okazać się tchórzem.

- O co się zakładasz?

Nie miałem złota, więc odpowiedziałem dyplomatycznie:

- Jeśli przegram, zrobię pierwszą rzecz, jakiej ode mnie zażadasz. Jeśli wygram, ty postarasz się dla mnie o stanowisko na dworze i tym samym uwolnisz mnie spod władzy biskupa Odilona.

Hugo i jego przyjaciele popatrzyli na siebie znacząco.

- Zgoda - rzekł.

W śmiertelnej ciszy, czując na sobie ironiczne spojrzenia towarzyszy mego kuzyna, podejrzewających mnie o tchórzostwo, skierowałem się w stronę wielkiego okna i wgramoliłem na szeroki gzyms. Poczułem strach, kręciło mi się w głowie. Chwiejąc się, spoglądałem w dół. Miałem wrażenie, że oto znalazłem się nad straszliwą przepaścią i że zaraz w nią runę.

- Pomóżcie mi! - krzyknąłem, kurczowo trzymając się framugi, a wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Hugo triumfował.

- Wkrótce zgłoszę się po moją należność - zapowiedział.

Rozdział IV

ŚMIERĆ POMAZAŃCA

Biskup Odilon pochylił się nad listem z pieczęcią Gotfryda. Po chwili zmiął pergamin i rzucił na posadzkę refektarza. Był blady, trzęsły mu się ręce.

- Glasdale, jak mogłeś dopuścić, żeby chusta wpadła w ich ręce?!

- Ekscelencjo, kiedy wlokłem ciało do jaru, usłyszałem, że ktoś nadjeżdża. Było ich dwóch, nie dałbym im rady w pojedynkę. Spróbowałem

jakoś odwrócić ich uwagę, myślałem, że mi się udało, ale koń jednego z nich spłoszył się... obserwowałem to, ukryty w krzakach... i jeździec wpadł do jaru. Znaleźli trupa, pewnie go przeszukali i tak oto mają chustę.

- Ty głupcze! Dlaczego ich nie goniłeś? Jeśli wszystko się wyda, król nawet na mnie nie spojrzy przy obsadzeniu arcybiskupstwa Canterbury. Ludzie z Bractwa donoszą o wszystkim papieżowi, a ten napisze do króla list i trafię do Tower albo do papieskiego więzienia, sam nie wiem, które gorsze!

- Skąd mogłem to wiedzieć? - bronił się Glasdale.

- Przecież wszystko zostało ustalone! Wyrok na Becketa już zapadł. A teraz taka historia! Ta chusta jest dowodem, że Jean z Rainecourt był w Anglii. To z kolei może nasunąć różnym ludziom domysły na temat mojej roli w Anglii, tym bardziej jeśli on spotkał się z prymasem...

- Nic o tym nie wiem, ale możliwe, że spotkał się z nim we Francji. Teraz Becket ma wracać na wyspę. Tak przynajmniej mówią na dworze w Londynie.

- Jeśli wie o mnie, to powie wszystko papieżowi i zawiozą mnie w łańcuchach do Rzymu! - biadał biskup.

- Ekscelencjo, nie zabiłem ich, bo powiedzieli mi, że wiozą do Londynu listy od ciebie.

Zapadła ciężka cisza. Obaj mężczyźni gorączkowo szukali wyjścia z tak trudnego położenia.

- Kiedy został napisany list, który otrzymałeś, ekscelencjo? - zapytał wreszcie Glasdale.

- Dwie niedziele temu.

- W takim razie pojedę do Londynu i odnajdę ich.

- Wiem, że jesteś sprytny i dlatego poleciłem ci zabić Jeana z Rainecourt. Bractwo Mandylionu jest potężne. Wszędzie mają swoich ludzi. Stanowią dla nas śmiertelne zagrożenie. Musimy pozbyć się Becketa, zanim dobierze się do mnie. Papież Aleksander Trzeci jest już stary. Trzeba przygotować grunt pod następną konklawe. Nie możemy dopuścić, aby papieżem został ktoś z Bractwa.

Na szczęście nie jestem sam. Mamy sympatyków wśród rzymskich rodów, które decydują na konklawe. Bractwo chce unii z Bizancjum... To jest dla nas bardzo niekorzystne... Wiesz, co znajduje się w Konstantynopolu?

- Wiem...

- Teraz chustę ma ten szczeniak - ciągnął biskup jak w gorączce. - Musisz go odnaleźć, zanim narobi nam kłopotów. Nasz spisek nie może zostać ujawniony. Odnajdź i odzyskaj chustę, zanim królowa Eleonora rękami Henryka Drugiego rozprawi się z prymasem.

- Zrobię, co każesz, ekscelencjo - odrzekł Glasdale, nisko się kłaniając.

Tego samego dnia opuścił Gloucester i skierował się do Londynu.

Eleonora Akwitańska była jedną z najbardziej wykształconych kobiet naszych czasów. Jak Europa długa i szeroka, podziwiali ją rycerze, a o życiu na jej dworze śpiewali trubadurzy.

Królowa, przebywając kiedyś w okolicach Carcassonne, spotkała kobiety żyjące we wspólnocie. Miejscowy biskup zamierzał oskarżyć je o herezję. Nazwały się beginkami* i poświęcały się modlitwie i czynieniu dobra. Niewiasty owe bardzo przypadły królowej do serca, lecz nie chcąc narażać się biskupowi, nie wzięła ich pod opiekę, tak jak tego chciały. Przyjęła jednak na swój dwór pewnego człowieka, o którym mówiono, że jest nieślubnym synem weneckiego arystokraty.

* Beginki (od łac. *beggare* - żebrać) - laickie stowarzyszenie religijne nowstałe w XII w.: potępione i ścigane przez Kościół katolicki jako herezja.

Tym człowiekiem był Tomasz Glasdale.

□ □ □

Była niedziela. Koguty już piałły, a dzwony w mieście obwieszczały jutrznię. Trzeba było ruszać na mszę. Do kościołów zmierzali kupcy w modnych flamandzkich czapach, a także młode panny w strojnych sukniach. Na mszę wybierali się też kmiecie i rycerze.

Włożyłem najlepszy kaftan z walońskiego sukna i poszliśmy do Opactwa Westminsterskiego. Podczas mszy ludzie żartowali i gawędzili - pospólstwo wcale nie przejmowało się liturgią. Na niedzielnej mszy doskonale widać było różnicę między biednymi i bogatymi. Najbliżej ołtarza stał król i jego orszak oraz baronowie, którzy przebywali w Londynie na zaproszenie króla. Dalej stali bogato odziani mieszczanie, z tyłu zaś kmiecie i parobkowie, niczego nierozumiejący z łacińskich śpiewów. Ja stałem blisko ołtarza, ponieważ byłem synem hrabiego, normandzkim szlachcicem.

Nad nami wisiał prawie taki sam Chrystus jak w kościele Tempie. Na jego twarzy nie malowało się cierpienie. Henryk szeptał po łacinie Skład Apostolski, a ja zastanawiałem się, czy moja modlitwa będzie tak samo ważna jak modlitwa króla, bogatych biskupów i baronów.

Biskup Woolfey, brat lorda Salisbury, który odprawiał mszę tej niedzieli, przemienił chleb i wino w ciało i krew Pana Naszego, a następnie, przy wtórze śpiewów, udzielono komunii tylko duchowieństwu i królowi. Zwyczajni ludzie przystępowali do niej jedynie na Wielkanoc. Nieżyjący papież Hadrian IV, który był Anglikiem i poddanym Plantageneta, mawiał, że najświętszego sakramentu wystarczy udzielać gminowi tylko raz do roku. Stojąc w katedrze, zastanawiałem się, czy dostąpimy zbawienia wszyscy jednakowo, czy też istnieje osobny raj dla króla i jego żony, dworzan, biskupów, baronów i bogaczy, a osobny dla mieszczan i chłopów?

Wreszcie chór zamilkł. Msza się zakończyła, biskup i księża wyszli, a słudzy króla przynieśli wysokie krzesło, ustawili je blisko ołtarza. Henryk II Plantagenet, król Anglii, dziedziczny książę Akwitanii, Normandii i Poitou, usiadł na nim i uniósł rękę na znak, że pragnie przemówić.

- Bóg namaścił mnie, abym z jego woli panował nad wami wszystkimi - odezwał się po francusku. - Składaliście mi przysięgę wierności, z której tylko śmierć może was zwolnić. Musicie być mi posłuszni jak apostołowie Naszemu Panu. Oznacza to, że mam prawo reprezentować moich poddanych

bezpośrednio przed Bogiem! Tymczasem w łonie Kościoła, który powinien wspierać króla, narodziła się zdrada. Prymas Tomasz Becket mnie zdradził! Uwolnijcie mnie od tego ciężaru!

Król doskonale odegrał swoją rolę: łkał i groził, przemawiał do nas jak do przyjaciół, a nie do poddanych, których losem zapewne przejmował się mniej niż losem swoich psów. Na jego twarzy widać było pewność siebie, opanowanie, pobożność i przebiegłość. Choć często się przecież zdarza, że król ma twarz błazna, a błazen z powodzeniem mógłby udawać króla.

Popatrzyłem na Henryka - był chyba jeszcze bardziej blady i przerażony niż ja. Jasnym się stało, że król wypowiedział wojnę Kościołowi, i co najbardziej niesłychane, w imię obrony tegoż Kościoła.

Ludzie wychodzili ze świątyni w ciszy i skupieniu.

Przez moment wydało mi się, że wśród obcych twarzy mignęło oblicze człowieka, którego spotkaliśmy w lesie - Tomasza Glasdale'a. Przeszedł mnie dreszcz. Co on robi w Londynie?

- Henryku, chodźmy stąd. Mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje.

- Kto może nas obserwować? - zaśmiał się Henryk. - Jest niedziela, wokół pełno ludzi.

- Idziemy - syknąłem.

Przyspieszyliśmy kroku. Wydawało mi się, że człowiek z blizną podąża za nami. W pewnej chwili, gdy przeszliśmy przez most i wkroczyliśmy w wąską uliczkę, odwróciłem się. Glasdale stał na drugim krańcu mostu.

Szturchnąłem Henryka.

- To on... - wyszeptał przerażony.

Glasdale naciągnął małą kuszę, taką, którą można schować za pazuchą. Usłyszałem nad sobą świst bełtu. Rzuciłem się na Henryka i przygniotłem go do ziemi. W ostatniej chwili, bo strzała drasnęła jego ramię, a potem wbiła się w beczkę stojącą przed jedną z bram, po chwili posypały się drzazgi. U wylotu uliczki pojawili się ludzie i Glasdale zaczął uciekać.

Gdy podniosłem głowę, już go nie było.

- Jesteś cały? - spytałem Henryka, gramoląc się na nogi. Henryk trzymał się za lewe ramię, a spomiędzy palców ciekła mu krew.

□ □ □

W gospodzie zajął się Henrykiem Fulko z Lorche z Lotaryngii, zakonny felczer i giermek Huberta. Wszyscy byli bardzo przejęci naszą przygodą i nawet Betty, karczmarka, która poprzedniego wieczoru wymierzyła Henrykowi policzek, bo się do niej nieprzystojnie zalecał, okazywała mu współczucie.

- Trzeba wypalić ranę - orzekł Fulko. - Żeby nie wdało się zakażenie.

- Czy to konieczne? - spytałem.

- Tak. Jeśli tego nie zrobię, rana zacznie gnić. Henryk był przerażony. Milczał i tylko wodził dookoła nieprzytomnym wzrokiem, ponieważ przedtem solidnie napoiłszy go winem.

Betty przyniosła rozgrzany w piecu porzebacz. Fulko włożył Henrykowi między zęby małą deseczkę, a ja oraz tęgi karczmarz przytrzymaliśmy go za ramiona. Fulko błyskawicznym ruchem przyłożył rozpalony metal do rany. Zaskwierczało. Henryk związał się z bólu, a z jego gardła wydobywał się charkot. Wierzgał nogami i szarpał się.

- Rana została oczyszczona - oznajmił Fulko, a jego twarz lśniła od potu.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - zapytałem podejrzliwie.

- Od Saracenów. Ich wiedza medyczna znacznie przewyższa naszą. O sposobie zapobiegania zakażeniom dowiedziałem się z łacińskiego tłumaczenia medycznego traktatu Ibn-al-Bajtara *O lekach*.

- Gdzie czytałeś tę księgę? - chciałem wiedzieć.

- W Jerozolimie. W tamtejszych bibliotekach jest wiele arabskich dzieł medycznych - odpowiedział Fulko.

Na koniec posmarował ranę maścią zrobioną z rozmoczonego chleba i pajęczyny, po czym owinął ramię Henryka kawałkiem białego płótna. Betty

przyniosła wielki kubek mocnego wina z miodem i waliśmy ten napój Henrykowi do gardła. Niebawem usnął.

□ □ □

- Muszę coś ci wyznać - rzekłem do Huberta, gdy skończyliśmy jeść wieczerzę. Henryk spał w izbie na górze, odurzony bólem i winem.

Templariusz popatrzył na mnie takim wzrokiem jak tego wieczoru, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Nie sposób było uciec przed jego spojrzeniem. Postanowiłem mu zaufać. Nie miałem nic do stracenia.

- Mów śmiało.

Opowiedziałem o tym, co mnie do tej pory spotkało. Kiedy skończyłem, milczał długo, przypatrując się mi.

- Panie, nic nie rzekniesz? - zapytałem w końcu, bo zaczynałem czuć się nieswojo.

- Zastanawiam się, co ci powiedzieć... Dobrze, że zabraliście chustę. Jest ona dla mnie ważnym znakiem. Mielicie dziś dużo szczęścia. Ten człowiek raczej nie chybia...

- Chusta jest znakiem? Czego? - dopytywałem się rozgorączkowany.

Hubert nie odpowiedział wprost.

- Świat jest wypełniony znakami, z których jedne mówią nam o rzeczach ukrytych w filozofii i sztuce, a inne wskazują na rzeczy istniejące poza tym światem. Chusta jest znakiem naszego bractwa.

- Jakiego... - zacząłem, ale Hubert mi przerwał.

- Powiem ci jedno: na jakiś czas musicie zniknąć z Anglii.

- Panie, nie możemy wyjechać... - próbowałem oponować.

- A chcesz pozostać przy życiu? - Zobaczyłem w jego oczach dziwny błysk. - Glasdale o was nie zapomni. Przez przypadek przeszkodziliście mu w dokonaniu tego, co zamierzał. Człowiek, którego zwłoki znaleźliście w lesie, był moim przyjacielem. Na razie więcej wiedzieć nie musicie. Jesteście w poważnych tarapatach.



Kilka dni później odwiedził nas Hugo z Morville. Gdy tylko ujrzałem go w drzwiach izby, natychmiast zrozumiałem, że nadszedł czas, w którym będę musiał spłacić dług przypieczętowany moim słowem honoru. Przybyło z nim dwóch młodych rycerzy, których widziałem na dworze. To byli świadkowie. Gdybym odmówił, okryłbym się hańbą.

- Jestem bardzo poruszony tym, co powiedział król w Opactwie Westminsterskim - zagał Hugo.

- Czemu tak bardzo przejmujesz się jego słowami? - zdziwiłem się.

- Nie wiesz, co się dzieje, Gotfrydzie. - Hugo pokiwał z powagą głową. - Twój ojciec to mężny człowiek, ale widzę, że ty jesteś tchórzem, bo boisz się wystąpić w obronie króla, który prosi cię o pomoc.

- Król nie wystosował do mnie listu z podobną prośbą - mruknąłem.

- Chcesz służyć królowi czy nie?! A poza tym jesteś mi coś winien.

- Pamiętam. Chcesz pieniędzy?

- Nie obrażaj mnie - rzekł z dumą. - Chcę, żebyś pojechał z nami. Potrzebujemy ludzi. Jest nas za mało.

Hugo był wzburzony. Tłumaczyłem sobie, że jest porywczym młodym szlachcicem, który oszalał na punkcie honoru i źle pojętej lojalności wobec króla.

Do sali jadalnej wszedł Hubert, pozdrowił mnie skinieniem głowy i usiadł przy innym stole, nie chcąc mi przeszkadzać.

- Czy zrobisz to, o co proszę? - zapytał z naciskiem Hugo. - Czyżby twoje słowo nic nie było warte?

- Co ty chcesz zrobić? - zapytałem zatrwożony.

- Zrobię to bez ciebie albo z diabłem, jeśli będzie trzeba! - krzyknął Hugo i wybiegł z zajazdu.

Wybiegłem za nim. Czułem, że szykuje się coś niedobrego. Złapałem na dziedzińcu stajennego, kazałem mu osiodłać konia i ruszyłem za Hugonem. Za

Londynem okazało się, że czeka na niego kilku młodych rycerzy. Mój kuzyn oznajmił, że jedziemy do Canterbury. Gdy spytałem po co, wszyscy popatrzyli na mnie zdziwieni. Nie chciałem, by mieli mnie za tchórze, więc postanowiłem im towarzyszyć.

Hugo wygłosił bardzo głupią przemowę o wierności królowi, która niezależnie od uczynków zapewnia zbawienie. Gdybym wiedział, że mój krewny jest nie tylko marnym teologiem, ale nade wszystko nadętym głupcem, nigdy bym z nim nie pojechał.

Drogę z Londynu do Canterbury przebyliśmy w niecały dzień, ponieważ w zajazdach czekały na nas wypoczęte konie. Wszystko zostało ukartowane.

□ □ □

Najpierw zobaczyliśmy wyrastające z mgły białe wieże opactwa Canterbury. Gdy wpadliśmy do miasta, Hugo i jego towarzysze zatrzymali się przed katedrą, zeskoczyli z koni i wbiegli do jej wnętrza. Ja nadjechałem jako ostatni. Stałem niezdecydowany na ulicy, słuchając dobiegającego ze świątyni śpiewu chóru.

Katedra w Canterbury wydała mi się najpiękniejszą budowlą świata, mimo że wciąż była w budowie. Masywne rusztowania nie zdołały jednak zasłonić delikatnego uroku fryzów i łuków przyporowych, które sprawiały, że budowla wydawała się tak lekka, jakby nie była wzniesiona ręką człowieka.

Nagle ponad śpiew chóru wzniosły się pełne przerażenia krzyki. Wydało mi się, że jedna z rzeźb z kamiennego tympanonu odwróciła ku mnie twarz - na moment stała się aniołem śmierci z bielejącymi oczami i gnijącą twarzą, z której spadały na ziemię robaki i larwy much.

Z katedry zaczęli wybiegać zakonnicy i przerażone mniszki, krzycząc, że zamordowano arcybiskupa Becketa. Wszedłem wolno do kościoła. Blisko ołtarza oświetlonego setkami świec klęczał Hugo wsparty na mieczu. Kielich mszalny leżał na posadzce. Smuga wina, które po przeistoczeniu się w trakcie mszy stało się krwią Boga, płynęła cieniutkim strumyczkiem w stronę wielkiej

kałuży ludzkiej krwi, w której leżało ciało Tomasza Becketa ubrane w złoty ornat mszalny. Tak więc krew Boga połączyła się z ludzką. Prawa ręka arcybiskupa trzymała się jedynie na kilku ścięgnach. Palec z kardynalskim pierścieniem drgnął, po czym znieruchomiał na wieki. Twarz prymasa zastygła w wyrazie zdziwienia.

Poczułem mrowienie na całym ciele i wpadłem w objęcia ciemności.

□ □ □

Gdy oprzytomniałem, ujrzałem nad sobą zatroskane oblicze Henryka.

- Żyjesz... Ty żyjesz, paniczu, dzięki Bogu... Żyjesz... - powtarzał.

- Gdzie jestem? - wyszeptałem.

- Na moim wozie - usłyszałem głos Huberta, który wyszedł zza płachty oddzielającej siedzenie woźnicy od wnętrza wozu. Był ubrany w zwykły skórzany kaftan.

- Paniczu Gotfrydzie - szlochał Henryk - twój kuzyn zabił prymasa...

Sens jego słów jeszcze nie w pełni do mnie docierał. Głowa pulsowała mi nieznośnym bólem, jakbym oberwał kamieniem.

- Miałeś szczęście nie tylko dlatego, że tłum nie rozszarpał cię żywcem, ale z powodu przezorności twego przyjaciela - odezwał się Hubert. - Zaraz po twoim wyjeździe Henryk zmusił mnie, abyśmy ruszyli za tobą. Nieodpowiedzialny młokosie! Dopędziłem cię przed katedrą i to ja uderzyłem cię kijem w potylicę.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Żeby cię uratować. Henryk mi na to pozwolił. Poza tym dowiedziałem się o twoim wyczynie w oknie pałacu...

- No to pięknie - jęknąłem. - Mój własny druh pozwala templariuszom bić mnie po głowie...

Henryk i Hubert roześmiali się, ale mnie wcale do śmiechu nie było. Rzeczywiście miałem szczęście. Rycerze króla zabili podczas mszy niemal

równego królowi pomazańca, księcia Kościoła, prymasa Anglii, Tomasza Becketa. Takiego skandalu i świętokradztwa Anglia nie widziała.

- Nie możecie pod żadnym pozorem zostać w Anglii - tłumaczył Hubert. - Wasze życie na tej wyspie się skończyło. Po co za nim pojechałeś, głupcze?!!

- A skąd mogłem wiedzieć, co zamierza? - tłumaczyłem się, - Niczego złego nie zrobiłem! Miałem przecież listy biskupa Odilona do prymasa Becketa... Miałem dług honorowy wobec Hugona!

- Nie wiesz, co mówisz szalony, głupi Angliku! - prychnął Hubert. - Król nie będzie słuchał żadnych wyjaśnień i skaże cię na śmierć tylko dlatego, że przyjechałeś z mordercami do Canterbury! Nie pokazuj nikomu listów Odilona, bo zgubisz siebie i swoją rodzinę! O biskupie opowiem wam innym razem, teraz nie mamy na to czasu. Zabicie Becketa jest częścią spisku. Nie masz chyba wątpliwości, kto stał za twoim kuzynem. Nie wiem tylko, kto jest bardziej winny: Plarttagenet czy ta wiedźma Eleonora, jego żonka...

Powoli zacząłem uświadamiać sobie tragizm mego położenia. Templariusz podał mi chustę, którą zabraliśmy w lesie zabitemu człowiekowi.

- Zostawiłeś ją w zajeździe - powiedział.

Chwyciłem ją, jak tonący chwyta się deski. Jej dotyk przepełnił mnie dziwną błogością. Mimo braku nadziei byłem spokojny.

- Dlaczego mi pomagasz? - zapytałem.

De Croisilles wyjął zza pazuchy taką samą chustę.

- Dlatego. Zostaliście mimowolnie członkami Bractwa Mandylionu. Mandylion to greckie słowo - tłumaczył. - Znaczy tyle, co kawałek płótna, którym na Wschodzie w dawnych czasach przykrywano martwego człowieka. Nie pytaj mnie, dlaczego znakiem Bractwa jest ta chusta. Sam się tego wkrótce domyślisz.

- Ale dlaczego my?

- Ty i Henryk jesteście już związani z Bractwem z powodu zbiegu okoliczności, jaki towarzyszył naszemu spotkaniu. Chusta, którą znaleźliście w

jarze, należała do członka Bractwa, prowansalskiego rycerza Jeana z Rainecourt. To na jego ciało się natknęliście. Jean był moim przyjacielem. Przybyłem do Anglii, by go odnaleźć. Nie wiem, w jakim celu tu jechał, a z jego ostatniego listu wynikało, że chce się spotkać z prymasem Becketem i ostrzec go przed królową, której służył wiele lat temu we Francji, i przed biskupem Odilonem. Żałuję, że nie napisał mi więcej o tej jędzy. Niestety, kiedy przybyłem do Londynu, nie zastałem go na dworze królewskim. Powiedziano mi, że pojechał do Gloucester do waszego biskupa. Już miałem wyjeżdżać, kiedy spotkałem was w gospodzie i zobaczyłem chustę. Zrozumiałem, że coś musiało się stać, bo takie chusty mają tylko członkowie Bractwa.

Byłem zrozpaczony. Wydawało się, że wszystko stracone.

- Nie miej złudzeń, mój młody przyjacielu; widziano cię przed katedrą razem z mordercami - dodał Hubert. - Król się ich wyprze, powiesi sobie na szyi pochwę od miecza, włoży zgrzebnny wór i dostanie od papieża rozgrzeszenie, bo jest królem! Wy nie...

- Przecież nic nie zrobiłem! - próbowałem się bronić.

- I właśnie to jest twoja wina: nic nie zrobiłeś! A przecież mogłeś! - W jego głosie wzbierała irytacja. - Kiedy już było jasne, po co przybyliście do Canterbury, trzeba było zarznąć Hugona przed kościołem!

- Nigdy nie zabiłem człowieka - wyjąkałem.

- Ach... młody hrabio Gloucester - westchnął templariusz - gdybym był twoim ojcem, stłukłbym cię na kwaśne jabłko...

- Bóg mnie ukarze - wyszeptałem.

- Sam się ukarałeś swoją własną głupotą, a ja muszę cię ratować przed szafotem. Twojej rodziny i tak kara nie ominie.

- Co?!

- A co myślałeś, młokosie? Król musi przecież ratować swój królewski tyłek. Musicie uciekać jeszcze dzisiaj.

- Pojadę z tobą, paniczu. Nic mnie w Anglii nie trzyma - rzekł Henryk, który do tej pory przysłuchiwał się w milczeniu naszej rozmowie.

Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale Hubert machnął niecierpliwie ręką.

- Lepiej już nic nie mów!

□ □ □

Zabójców Becketa ujęli mieszczanie i zawieźli ich do Londynu. Na nic zdały się błagania ich narzeczonych i matek. Król też płakał, rwał włosy z głowy i codziennie leżał krzyżem w Opactwie Westminsterskim, napisał również do papieża list z prośbą o rozgrzeszenie dla morderców. Ułaskawił ich rodziny, czemu kościelni hierarchowie się nie sprzeciwiali. Na szczęście nikt nie wymienił mnie w gronie morderców prymasa. Ale na wszelki wypadek musiałem opuścić Anglię.

Morderców skazano na poćwiartowanie. Przed śmiercią król odebrał im pasy rycerskie i pożegnał każdego z nich ojcowskim pocałunkiem. Podest będący miejscem kaźni obito czerwonym suknem, którego nie używano przy ścinaniu mieszczan i chłopów. Czterej młodzi ludzie szli na śmierć z podniesionymi głowami. Nieludzkie wrzaski rozległy się dopiero wtedy, kiedy kat odrąbał im ręce i nogi. Głowy odrąbano na końcu.

A kiedy kaźń, jakiej Anglia jeszcze nie widziała, dobiegła końca, prości ludzie, którzy nie znają ani smaku władzy, ani kościelnej łaciny, wymyślali zabójcy od szubrawców i morderców. Czy król Henryk II spał odtąd spokojnie, tego nie wiem i wiedzieć nie chcę.

□ □ □

Biskup Odilon przybył do Londynu na uroczysty pogrzeb prymasa i zamieszkał w Opactwie Westminsterskim. Pewnego wieczoru ktoś zapukał w umówiony sposób - trzy razy - do drzwi jego komnaty. Drzwi uchyliły się i do wnętrza wszedł człowiek z blizną na twarzy.

- Spóźniłeś się, Glasdale - rzekł oschle Odilon.

- Niech wasza eminencja mi wybaczy.

- Nie nazywaj mnie eminencją. Nie jestem kardynałem - skarcił Tomasza biskup.

- Wybacz mi, ekscelencjo - odparł Glasdale.

- Załatwiłeś sprawę jak należy?

- Nie, ekscelencjo, chybiłem. Drugi raz nie zdołałem naciągnąć kuszy i musiałem uciekać, bo nadchodzili jacyś ludzie. Gdyby mnie złapano, obaj bylibyśmy w opałach...

- Grozisz mi? - syknął Odilon.

- Ekscelencjo, gdzieżbym śmiał! - Glasdale uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Ale to nie koniec złych wieści. Udało mi się ustalić, że Gotfryd z Melville mieszkał przez pewien czas w zajezdzie Pod Pijanym Szkotem. Nie przejąłbym się tym, gdyby nie fakt, iż w tym samym zajezdzie zatrzymał się Hubert z Croisilles...

- To bardzo źle! Jeśli Gotfryd opowiedział mu o wszystkim, to mamy naprawdę twarde orzech do zgryzienia. Musisz ich odnaleźć, Glasdale, zanim będzie za późno.

- Jak każesz.

- Czy wiesz, co się stało z Gotfrydem?

- Nie, nie wiem, ale podejrzewam, że wyjechał z Anglii. Po jego śludze też nie ma śladu. Hubert z Croisilles na pewno jakoś im pomógł.

- Glasdale, musisz ich odnaleźć! - powtórzył stanowczo biskup.

- Wedle życzenia, ekscelencjo - odrzekł Glasdale, kłaniając się nisko.

- Ruszaj zatem ich szukać. Dam ci listy do Jakuba. Tydzień później Tomasz Glasdale wsiadł w Plymouth na statek płynący do Hawru.

Rozdział V

WTAJEMNICZENIE

Hubert zorganizował naszą ucieczkę, ale jakież było moje zdziwienie, gdy odprowadzając nas w nocy na statek, oświadczył, że nie popłynie z nami do Flandrii. Na kontynent przewieźli nas zaprzyjaźnieni z Hubertem przemytnicy z

wyspy Wight. Templariusze mieli ciemne sprawki na sumieniu; plotkowano, że przemytnicy przewożą dla nich tajne przesyłki, ludzi, którzy muszą nagle zniknąć, przyjaciół zakonu, konfratrów, uciekających przed obowiązkiem feudalnym wobec swych wasali, lub księgowych wiedzących za dużo.

Popłynęliśmy więc sami do obcego kraju i w dzień świętego Walentego roku 1171 zawędrowaliśmy do Leuven. Według Huberta właśnie w tym mieście mieliśmy oczekiwać na tajemniczego Ruperta z Paderbornu.

Byliśmy bardzo zmęczeni. Gdy znaleźliśmy w końcu zajazd, po dłuższej chwili podszedł do nas karczmarz w towarzystwie dwóch tęgich młodzieńców i oświadczył nam, że nie mamy tu czego szukać.

- Dlaczego? - zapytaliśmy zdziwieni.

- Mówicie po francusku?

- Jesteśmy Normanami z Anglii - odrzekł Henryk.

- Dla mnie możecie być nawet posłami papieża. Nie obsługujemy Francuzów. Wyglądacie jak włóczędzy, a Leuven jest miastem porządných ludzi. Dlatego lepiej wynoście się stąd, bo inaczej was wyrzucę - odrzekł karczmarz.

- Co? Jak śmiesz tak do nas mówić?! Jesteśmy szlachcicami! - wykrzyknął oburzony Henryk.

Karczmarz wyglądał na człowieka, który niczego się nie boi.

- Jesteś, młokosie, ode mnie znacznie młodszy i mógłbym obić cię teraz jak psa, ponieważ znajdujesz się w moim domu. Zgodnie z prawem miasta mogę nie przyjąć pod dach włóczęgów i ludzi, którzy mi się nie podobają, szczególnie Francuzów, bo ich tutaj nie chcemy. Dlatego mówię, że macie sami wyjść, a jak nie, to oni wyrzucą was na zbity pysk.

Wskazał osiłków, z którymi nie chciałem zawierać bliższej znajomości. Henryk położył dłoń na jelcu miecza. Awantura wisiała w powietrzu.

- Henryku, proszę, wyjdźmy. - Mówiąc to, popchnąłem go lekko w stronę drzwi.

Czułem, jak drży z wściekłości, ponieważ nigdy nas w ten sposób nie upokorzono. Ale wtedy upokorzenie wydawało mi się lepsze od więzienia. Przed oczyma przez cały czas miałem miejsce kaźni w Londynie.

Wyszliśmy na dwór. W zimnym powietrzu wirowały płatki śniegu. Słyszałem, jak Henryk mamrocze coś gniewnie. Ja również byłem wściekły, ale starałem się opanować.

We mgle, ponad dachami kamienic, zamajaczyła wieża wielkiego kościoła. Wtem z tumanów śniegu wirujących w wąskiej uliczce wynurzył się wóz zaprzężony w cztery gniadosze. Ledwo zdołałem odciągnąć Henryka na bok.

- A niech cię piekło pochłonie! - krzyknąłem po francusku.

O dziwo, wóz stanął. Przez chwilę myślałem, że ktoś zrozumiał to przekleństwo i zaraz złoł mi skórę. Niezależnie od nienawiści tych ludzi do francuskiego króla język francuski był we Flandrii powszechnie zrozumiały. Z tyłu wozu otworzyły się drzwiczki obite mosiądzem. Ujrzeliśmy człowieka w brązowym benedyktyńskim habicie, który zeskoczył w błoto na ulicy.

- *Pax vobiscum* - rzekł.

- *Et cum spiritu tuo* - odpowiedziałem.

- Dlaczego z waszych ust padło tak straszne przekleństwo? - zapytał po francusku, ale z twardym akcentem, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. - Czy uczyniłem wam coś złego?

- Klecho, o mało nas nie przejechałeś!

- Jesteśmy cudzoziemcami i nikt nas nie szanuje w tym przeklętym kraju!
- dodał z goryczą Henryk.

- Wybaczcie mi - rzekł spokojnie mnich. - Mój woźnica pewnie was nie zauważył.

Zastanawiałem się, kim ów człowiek jest, bo zwykły opat, za jakiego go wzięłem, jadąc tak okazałym wozem, rzuciłby mi pod nogi srebrnego denara i odjechał.

- Jesteście Francuzami? - zapytał.

Znów to samo! Ludzie we Flandrii widać chorują na nienawiść do Francji.

- Wasza wielbność - ubiegł mnie Henryk - już pytano nas o to samo w tutejszej oberży i wyrzucono nas na bruk, mimo iż jesteśmy szlachcicami. Jesteśmy Normanami z Anglii.

- Hmm... z Anglii? - mruknął nasz rozmówca. - Wyrzucono was? Temu akurat się nie dziwię, bo rzeczywiście mieszkańcy tego kraju nie kochają Francuzów, poza tym mówicie po francusku bez obcego akcentu, co tłumaczyłoby nagły przyływ gniewu oberżysty.

- I ty, ojcze, nie lubisz cudzoziemców? - zapytałem.

- Ja nie żywię uprzedzeń w stosunku do żadnego człowieka - odrzekł mnich. - A niesnaski między mieszkańcami Flandrii i Francuzami wcale mnie nie obchodzą, bo jestem Niemcem.

Intuicja podpowiedziała mi, że nie możemy pozwolić, by człowiek ten tak po prostu odjechał. Czułem, że mogę mu zaufać.

- Przybyliśmy do tego miasta za radą naszego dobrodzieja, rycerza Huberta z Croisilles. Mamy zwrócić się do hrabiego Ruperta z Paderbornu. Czy znasz tego człowieka, czcigodny ojcze?

- Hmm... Może go znam, a może nie - rzekł tajemniczo. - Jedno jest pewne: jesteście zziębnięci i przemoczeni. Lecz jeśli udacie się do następnej oberży, nie sądzę, aby potraktowano was lepiej niż za pierwszym razem. Wyglądacie... - urwał.

- Wyglądamy jak świniopasy - dokończył Henryk.

- Ja tego nie powiedziałem - odpowiedział spokojnie mnich, choć zdawało mi się, że dotknął dłonią ust, jakby chciał ukryć uśmiech. - Ja również odbyłem długą podróż i przez was zdążyłem zmarznąć, dlatego nie wybaczyłbym sobie, gdybyście teraz odeszli. Udaję się tam. - Wskazał wielki kościół stojący nieopodal. - Chodźcie ze mną.

- To nie jest opactwo benedyktynów - zauważyłem. - Benedyktyni żyją z dala od miast.

- Rzeczywiście, młody człowieku. Ale kanonicy regularni na pewno was przyjmą, skoro przyjmą mnie.

□ □ □

Powitano nas serdecznie. Słudzy proboszcza przynieśli w kadziach gorącą wodę, napełnili balię i kiedy wyszli, uznaliśmy z Henrykiem, że kapaliśmy się tak dawno temu, iż ablucja na pewno nam nie zaszkodzi, a w dodatku rozgrzeje.

Woda była bardzo gorąca, ale zanurzyliśmy się w niej z radością. Dostaliśmy czyste odzienie, potem podano posiłek, niewyszukany, ale smaczny: chleb, ser, jabłka i wino. Wskazano nam komnatę w wieży kościoła. Była skromnie urządzona, przypominała klasztorną celę, a nie wygodną izbę dla gości. Po chwili ktoś zapukał do drzwi. Był to nasz wybawca.

- Mam nadzieję, że jesteście w nieco lepszych humorach. Chciałbym, abyście wyjaśnili mi kilka spraw - rzekł, siadając na krześle. - Pozwoliłem sobie przejrzeć wasze bagaże...

- Jakim prawem... - zerwałem się na równe nogi.

- I znalazłem w nich listy biskupa Gloucester do wysoko postawionych ludzi w Anglii - ciągnął Niemiec, nie zwracając uwagi na moje oburzenie. - Jak miewa się czcigodny Odilon? Czy nadal po kryjomu popija mszalne wino?

Popatrzyłem na niego uważnie. Wyglądał może na czterdzieści lat, wysokie czoło sprawiało, że jego inteligentna twarz była pociągła, lecz orli nos dodawał jej zadziorności. Wciąż nie wyjawiał nam swego imienia.

- Dlaczego interesuje was templariusz Hubert z Croisilles? Czy jesteście braćmi z tego zakonu?

- Nie - odpowiedzieliśmy zgodnie.

Zakonnik spoglądał na nas podejrzliwie. Henryk drgnął, jakby przeczuwał niebezpieczeństwo. Zdałem sobie sprawę, że izba w wieży może stać się naszym więzieniem. Nie mieliśmy ochoty tu gnić, więc uznałem, że trzeba wyjawić

przynajmniej część prawdy. Wyjąłem z mieszka chustę, która, mimo iż mokra, wyglądała pięknie. Mnich dotknął jej nieśmiało. Był niezwykle poruszony.

- Skąd to macie? - wyszeptał.

Opowiedziałem mu całą historię, pominąłem jednak przyczyny, które zmusiły nas do opuszczenia Anglii.

Wysłuchał mnie w milczeniu, a z jego twarzy trudno było wyczytać, co myśli.

- Jeśli przybywacie z Anglii, to zapewne wiecie, co się tam teraz dzieje - rzekł podejrzliwie.

- Słyszeliśmy o strasznym nieszczęściu od kupców z Antwerpii. Nie wiem, jak nasz król mógł dokonać zamachu na życie czcigodnego prymasa. Przeraziły nas te wieści, bo teraz jest pewne, że papież obłoży Anglię interdyktem, a króla ekskomuniką.

- Mądrze rzekłeś - przyznał benedyktyn.

Wstał z krzesła, życzył nam spokojnej nocy i wyszedł. Jak wielkie było moje zdumienie, kiedy po chwili zgrzytnął przekręcany w zamku klucz. Zostaliśmy uwięzieni.

□ □ □

Nad ranem byliśmy tak zziębnięci, że choć leżeliśmy na jednym pościu, nie mogliśmy się rozgrzać. Kiedy umilkły śpiewy na komplecie, drzwi się otworzyły i na progu stanął niemiecki mnich.

- Zmarzliście? - zapytał uprzejmie.

- Tak, bardzo - odparł Henryk, szcękając zębami.

- Trudno, teraz wszystkim jest zimno, ale niektórzy z księży znaleźli na to sposób: grzeją garniec piwa lub wina, wypijają go duszkiem i śpią jak zabici.

Też mi rada, pomyślałem. Twarz Niemca była nieodgadniona, jakby nosił maskę. Poprowadził nas w dół po krętych schodach.

Weszliśmy do jasnego i ciepłego refektarza, gdzie posilało się kilku braci.

- Na co czekacie? Jedzcie! - Wskazał stół zastawiony jedzeniem.

Cóż to było za śniadanie po głodnej i zimnej nocy! Podano ciepłe mleko i placki z prosa. Czułem, że niemiecki mnich uważnie nam się przygląda.

- Ojczy, dlaczego nas uwięził? - ośmieliłem się w końcu zapytać.

- Opowiedz mi, młody człowieku, jeszcze raz wszystko, co wiecie o Bractwie Mandyliionu i jak chusta trafiła w wasze ręce - poprosił, ignorując moje pytanie.

- Chciałbym wam nie wierzyć - westchnął, gdy skończyłem. - Ale wszystko, co mówicie, brzmi prawdopodobnie, no i macie listy biskupa Odilona.

- Otworzyłeś te listy?! - wykrzyknąłem oburzony. Mnich milczał.

- Dziwi mnie, dlaczego znaleźliście się we Flandrii - rzekł w końcu podejrzliwie.

Odpowiedział mu Henryk:

- W posiadanie tej chusty weszliśmy przypadkiem, a całe to zamieszanie wokół nas i to, że nas więzisz, wydaje nam się niepojęte. Wdzięczni ci jesteśmy za poczęstunek i nocleg, ale chcielibyśmy czym prędzej wyruszyć w drogę.

Niemiec się uśmiechnął.

- Młody człowieku, przypominam, że wyglądacie na włóczęgów, a nie szlachciców. Zewsząd was przegonią.

Mówiąc te słowa, wstał i wyszedł z refektarza, a my musieliśmy wrócić do wieży.

□ □ □

Z nudów zaczęliśmy grać w kości. Nie miałem do tego talentu, a mistrzostwo Henryka było jak cierń dla mojej pysznej natury.

- Oszukujesz! - krzyknąłem wściekle, gdy przegrałem po raz kolejny.

- Klnę się na honor, że nie! Paniczu, ty nie potrafisz przegrywać.

- Nieprawda!

Kłócąc się, nawet nie zauważyliśmy, że do naszej celi znów wszedł niemiecki mnich.

- Na relikwie świętego Benedykta z Nursji! - wykrzyknął. - Wydzieracie się tak, że słyszy was pół miasta. Ach, wy pyszni, szaleni Anglicy, brak wam głady!

Już miałem coś odpowiedzieć, ale postanowiłem uczyć się pokory, więc zmilczałem.

- Chodźcie za mną - polecił. - Weźcie swoje rzeczy. I wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Pełni obaw, co nas spotka, ruszyliśmy po schodach, niosąc nasze tobołki. Schodząc, wyrząłem przez małe okno i poczułem na twarzy powiew ciepłego wiatru.

W refektarzu siedział człowiek w czarnej opończy.

- Hubert! - wykrzyknąłem. - Ten mnich trzymał nas w wieży od tygodni bez słowa wyjaśnienia! - poskarżyłem się.

- Młodzi angielscy nicponie! - odrzekł z uśmiechem templariusz. - Wiedźcie, że czcigodny Rupert, hrabia Paderbornu, opat klasztoru benedyktynów w Sankt Gallen, trzymał was w lochu na moją prośbę.

- Co?!

- To prawda - rzekł Rupert. - Cztery niedziele temu otrzymałem od Huberta list, w którym napisał, iż spodziewa się dwóch angielskich awanturników, których należy nauczyć pokory, ale przyjąć jak braci. Co czyniłem sumiennie, sami to przyznacie, prawda?

- O wszystkim wiedziałeś, ojcze? Jak mogłeś nas więzić? - pytałem zdumiony.

- Mogłem i zrobiłem to. Wiem, że powiedzieliście prawdę.

- Dlaczego nie wyjawiałeś nam, jak się nazywasz? - zapytał Henryk.

- Bo nie pytaliście.

- Chyba nadszedł czas na wyjaśnienia - oznajmił Hubert. Aby nikt nas nie podsłuchał, poszliśmy do kościoła. Było w nim pusto i przeraźliwie cicho.

Sklepienie z szarego granitu, podtrzymywane przez kamienne żebra, sprawiało wrażenie niezwyklej lekkości. Benedyktyn wskazał fresk.

- Czy widzicie postać Chrystusa, Pana Naszego? - spytał. - Twarz naszego Pana jest twarzą lekkomyślnego młodzika! Cóż miał czynić malarz, który nie wiedział, jak namalować fresk w pełni oddający chwałę Pana? W końcu zdecydował, że chwała ziemską pragnie ziemskiego powabu, i zwrócił się o pomoc do biografy cesarza Karola Wielkiego, Alkuina, a ten wpadł na pewien pomysł. Cesarz chciał oddać jak najwierniej wygląd Chrystusa, kłopot jednak w tym, że ewangelie nie opisały, jak on wyglądał, bo nie było to dla ich autorów ważne. Alkuin namówił wówczas cesarza, aby na modela wyznaczył najpiękniejszego spośród frankońskich młodzieńców. Zgłosił się młody hrabia Roland. Jego pycha dopiero po latach została ukarana przez Basków, kiedy osłaniał odwrót cesarza podczas wyprawy przeciw Maurom w Hiszpanii.

- Roland pozował do portretu Chrystusa? To niebywałe! - wyszeptał Henryk.

- Tak, to był Roland! - Rupert pokiwał głową. - Chrystus na fresku ma twarz Rolanda! - Jego głos odbił się od ścian kościoła niczym wichur. Niemiec ciągnął, nie kryjąc oburzenia: - Wszyscy modlą się teraz przed obliczem tego próżniaka! Tak jest w Akwizgranie, Trewirze i innych miejscach w Europie!

Pewien ubogi francuski rycerz, Hugo z Paynes, kilkadziesiąt lat temu wyruszył na pierwszą krucjatę i przybył, jak tysiące innych rycerzy, do Konstantynopola. Był ubogi i nie stać go było ani na dobrego konia, ani na porządną kolczugę. Zebrał takich jak on, biednych i pobożnych rycerzy, i założyli w Jerozolimie zakon templariuszy. Hugo zobaczył kiedyś procesję z dziwnym wizerunkiem Chrystusa, który nie jest znany na Zachodzie, a o którym Grecy mówią *eidolon acheiropoietos*, co znaczy dosłownie, tłumacząc z greki, „wizerunek nieuczyniony ręką człowieka”. Jest najbardziej strzeżoną i najświętszą spośród świętych relikwii wschodniego Kościoła.

- I co ów Hugo z Paynes uczynił? - chciał wiedzieć Henryk.

- Był pod ogromnym wrażeniem tego wizerunku. Wkrótce krzyżowcy wyruszyli do Azji Mniejszej. Po szturmie na Antiochię, gdzie przelano rzekę muzułmańskiej krwi, pobożny rycerz ocalał od śmierci arabskiego alchemika, który potrafił na jedwabiu odbijać delikatne wzory. Na jego polecenie wykonał on sto siedemdziesiąt siedem chust. Jedną macie wy...

Rozwinąłem ją. Miałem wrażenie, że patrzę na twarz żywego, umęczonego człowieka.

- Musicie wiedzieć, że człowiek zabity w jarze był członkiem Bractwa - ciągnął Rupert. - Nazywał się Jean z Rainecourt. Zabił go Glasdale. Jean zamierzał odnaleźć w Anglii zdrajcę, który chce nas zniszczyć. Członkami Bractwa byli prymas Becket i... biskup Odilon z Reinault.

Nogi się pode mną ugięły. Biskup członkiem Bractwa!

- Nie wiemy, co się naprawdę wydarzyło w Bractwie w Anglii - ciągnął benedyktyn. - Podejrzewamy, że ktoś zdradził i teraz próbuje wywieść nas w pole. Glasdale jest bękartem weneckiego doży. Wychowywał się na dworze Eleonory Akwitańskiej. Myśleliśmy, że zaginął wiele lat temu w Palestynie podczas krucjaty. Teraz odnalazł się i zabija. Wiemy, że znał Jeana, święc, Panie, nad jego duszą, bo byli razem na drugiej krucjacie.

- Dlaczego ten człowiek chciał nas zabić?

- Nie wiem. Czy mówiłeś komuś jeszcze, że znaleźliście zwłoki w jarze? - zapytał Hubert.

- Chyba nikomu... - mruknąłem zamyślony. - Nie! Wysłałem z Londynu list do biskupa Odilona, w którym opisałem, co nas spotkało w drodze do Londynu. Zapewniłem go, że wypełnię powierzoną mi misję.

- Wielkie nieba! - Rupert zaczął chodzić nerwowo między ławkami.

- Po pierwsze nie wiemy, czy Glasdale rozmawiał z biskupem Odilonem, który do tej pory był zaufanym i lojalnym członkiem Bractwa. Jeśli tak było, Bractwu grozi niebezpieczeństwo - wyjaśnił Hubert.

- Dlaczego? - zdziwił się Henryk.

- Myślę, że wasz opiekun może być zdrajcą. W Anglii próbowałem śledzić Glasdale'a. Z tego, co udało mi się ustalić, jest zaufanym królowej. Wiecie, co to oznacza? Że zdrada sięga samych szczytów dworu w Anglii. Nie wiemy, jakie ma zamiary. Możliwe jednak, że jest na waszym tropie.

- Poczekajcie - rzekłem - czy nie za wcześnie połączyliśmy sprawę zdrady w Bractwie z biskupem Odilonem i zamordowaniem Becketa?

- Masz rację, młody człowieku - przyznał Rupert - to tylko domysły. Ale cóż innego nam pozostało? Przecież Glasdale chciał was zabić, prawda? Wiemy, że Bractwo jest zagrożone, bo w krótkim czasie zginęło dwóch ważnych jego członków. Teraz musimy ratować nie tylko was, ale i nasze wspólne dzieło. Czy wiecie, że wielu władców tego świata chciałoby mieć relikwię, którą widział w Konstantynopolu założyciel zakonu templariuszy Hugo z Paynes? Nasze Bractwo pragnie ją pozyskać dla zachodniego Kościoła.

- A czym tak naprawdę jest wizerunek z Konstantynopola?

- Sama nazwa grecka wskazuje, że nie jest uczyniony ręką człowieka. Nie wiadomo, czym jest, bo nikt nie widział go z bliska ani nie dotknął... Hugo oglądał go z pewnej odległości, ale zauważył, że jest to duża tkanina, na której ten wizerunek jest odbity albo namalowany przez... Boga - wyjaśnił.

- Nikt nie wie, gdzie znajduje się owa relikwia. Grecy dobrze jej strzegą. Szukamy jej od lat. Bez skutku - dodał ojciec Rupert.

Milczeliśmy. Byliśmy pionkami w grze sił, z których istnienia nie zdawaliśmy sobie sprawy. Poczuję się nieważny, śmiesznie mały...

- Chcecie, żebyśmy zniknęli? - zapytałem otwarcie.

- Jak to zniknęli? - Henryk był przerażony. - Co się z nami stanie?

- Dobrze, że o to zapytałeś, Gotfrydzie - pochwalił mnie Hubert. - Nie możecie tutaj zostać, zwłaszcza jeśli Glasdale jest na twoim tropie, co bardzo prawdopodobne, gdyż przemytnicy, ci sami, którzy pomogli wam uciec z wyspy na kontynent, powiedzieli mi, że osobnik podobny do niego przepłynął się przez kanał z początkiem lutego.

- Kiedy mamy stąd wyjechać?

- Jak najszybciej - rzekł Rupert. - Ale jeszcze jakiś czas spędzicie w wieży, dla waszego bezpieczeństwa. Wyruszyście, gdy tylko obmyślimy z Hubertem, co dalej z wami zrobić.

Tej nocy nie zmrużyliśmy oka.

Rozdział VI

ZABŁĄKANE OWCE

Dwadzieścia lat wcześniej, ziemie Bizancjum

Druga wyprawa krzyżowa wyruszyła z Europy w roku 1147 na wieść o zdobyciu przez muzułmanów pierwszego państwa krzyżowców na Wschodzie, Edessy. Zakończyła się niepowodzeniem. Jednak klęska nie była wynikiem militarnej porażki. Kłótnie, zawiść, wzajemne pretensje między feudałami francuskimi i niemieckimi, którzy mieli stanowić o sile europejskiej wyprawy, stały się smutnym zarzewiem niezgody między chrześcijanami, która trzydzieści lat później miała się przyczynić do upadku chrześcijańskiej Jerozolimy.

Droga do Europy dla wielu rycerzy była koszmarem. Atakowani ze wszystkich stron przez Turków, dręczeni głodem i pragnieniem, zrezygnowani i wyczerpani, marzyli tylko o tym, aby bezpiecznie dotrzeć do Konstantynopola. A gdy się tam znaleźli, papież pozostawił ich samym sobie. Ci pobożni rycerze próbowali dociec, czemu krucjata, mająca za cel walkę w imię Boga, poniosła klęskę. Byli przekonani, że wierząc w Boga, zyskali umiejętność odgadywania Jego zamiarów. Nie mogli zatem pojąć, jak Bóg mógł dopuścić do ich porażki. Dodatkową gorycz wlewał w ich serca fakt, że wyprawa zakończyła się niepowodzeniem z powodu zażartych sporów, jakie wybuchły w łonie armii krzyżowców. To niepowodzenie sprawiło, że zrodziła się w nich niepewność. Zaczęli wątpić, czy papież i jego słudzy dobrze rządzą wspólnotą Kościoła powszechnego.

Te pytania nasunęły z kolei wątpliwości co do wartości ich dotychczasowego życia. Przecież dla Boga wyzbyli się pychy (tak przynajmniej

myśleli), porzucili żony i dzieci, wyrzekli się rozkoszy współżycia z kobietami, choć wiele jawnogrzesznic w Konstantynopolu nęciło ich swymi wdziękami. Wyrzekając się tego wszystkiego, chcieli być bliżej Boga, lecz im bardziej niezłomnie trwali w swoich postanowieniach, tym bardziej narastało w nich pragnienie odkrycia tej jedynej, absolutnej prawdy. Wydawało im się, że to właśnie ludzie Kościoła, będąc bardzo blisko Boga, ukryli ją przed nimi.

Było ich czterech. Poznali się na krucjacie i zaprzyjaźnili. Prowansalczyk Jean z Rainecourt, rycerz Odilon z Reinault z Normandii, Wenecjanin Enrico Dandolo, oraz czwarty, najbogatszy i najbardziej zatroskany o losy chrześcijaństwa, dziedzic wspaniałego zamku Carcassonne. To właśnie on, odziany w zgrzebny wór, opuścił swoich przyjaciół, pragnąc oddać się służbie Najczystszej Dziewicy, o której Grecy mówili, że jest *Theotokos*, Bożą Rodzicielką. Przebywał wśród żebraków w pobliżu pałacu Bukoleon, mając nadzieję, że spośród nędzarzy tego świata właśnie jego Boża Rodzicielka upodoba sobie najbardziej. Pościł i tak wynędzniał, że jego ciało pokryło się wrzodami, które codziennie przychodziły lizać psy. Upodobił się do biblijnego Łazarza. Pragnął cierpieć. Przyjaciele postanowili jednak go ratować. Był ich suwerenem i w myśl *homagium*, feudalnej przysięgi, którą złożyli przed wyruszeniem na krucjatę, nie mogli go teraz opuścić.

Wśród żebraków zbierających się codziennie pod wielkim pałacem Bukoleon był także były bułgarski mnich prawosławny, Simon. Chociaż pochodził z bogatej bułgarskiej rodziny winiarzy, porzucił dostatni żywot dla radykalnego, ale tępionego bezlitośnie przez bizantyjskie władze i grecki Kościół ruchu religijnego. Simon był heretykiem odrzucającym zwierzchnictwo Kościoła i państwa, uważał je za dzieło szatana. Nie był w swych poglądach odosobniony. W górach Bułgarii żyło wielu ludzi, którzy myśleli podobnie. Nazwali się bogomiłami. Stanowili oni dla Bizantyjczyków nie lada problem, gdyż nie dość, że było wśród nich wielu fanatyków i społecznych radykałów, to

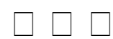
rzucali wyzwanie Kościołowi prawosławnemu, który stanowił ideologiczną podstawę władzy greckiego cesarza.

Prowansalski rycerz spotkał Simona przy rozdzielaniu chleba. Ponieważ rycerz znakomicie znał grekę, gdyż wiele lat spędził na poszukiwaniu Boga w krajach Bliskiego Wschodu, mogli rozmawiać. Prowansalczyk zapragnął żyć tak jak bogomiłowie i dlatego, nie mówiąc nic o swoich zamiarach trzem przyjaciółom, opuścił Konstantynopol i wyruszył w góry Bułgarii. Mieszkał wśród bogomiłów przez ponad rok. Był od nich znacznie lepiej wykształcony i szybko zdobył sobie ich szacunek, układając modlitwy, żyjąc skromnie i żywiąc się tylko tym, co dała przyroda. Nie jadał mięsa i głosił bardzo radykalne poglądy, czym wzbudził zazdrość Simona. Doszło między nimi do poważnego konfliktu, w wyniku którego członkowie sekty orzekli, że Simon jest wysłannikiem szatana i skazali go na śmierć głodową. Zamurowano go w jaskini, a prowansalski rycerz stał się duchowym przywódcą ruchu bogomiłów i w niczym nie przypominał już dawnego krzyżowca. Doznał oświecenia, był przekonany, że przemówił do niego sam Bóg. Odtąd kazał zwać się „Mistrzem”, „Panem” lub „Wielkim Budowniczym”. Wierzył, iż poznał prawdę, i głosił, że jeśli ludzie nie nawrócą się na jego naukę, czeka ich śmierć w piekle. W przeciwieństwie jednak do nauki Kościoła rzymskiego i greckiego rozumiał piekło bardzo dosłownie i twierdził, że to właśnie ziemia jest piekłem. Jediną drogą do odpuszczenia grzechów i do nieba jest zawierzenie jemu, drugiemu największemu prorokowi, jakiego Bóg zesłał na ziemię. Pierwszym prorokiem miał być Jezus, przy czym Prowansalczyk odmówił mu boskości. A drugim on - Wielki Budowniczy.

Jego dawni kompani wiedli zgoła odmienny żywot. Dandolo zabijał dla pieniędzy, przy czym nie robiło mu wielkiej różnicy, kogo i po co zabija, byle dobrze mu za to zapłacono. Odilon z Reinault nawrócił się w Konstantynopolu i został wyświęcony na księdza. Głosił słowo boże wśród zachodnich łacinników

przebywających w Konstantynopolu. Jean z Rainecourt pomagał ubogim i pragnął umrzeć dla Chrystusa śmiercią męczeńską.

Jako pierwszego spotkał Prowansalczyk właśnie Jeana. Ten zaś ucieszył się, widząc dawnego druha w dobrym zdrowiu, przeraziła go tylko bladość jego oblicza i fanatyzm płonący w jego oczach. Był jednak pod takim wrażeniem jego pokory, że postanowił mu pomóc. Odnaleźli pozostałych kompanów. Odilon długo się opierał, bo Wenecjanie obiecali mu wsparcie w uzyskaniu na zachodzie Europy dobrego latyfundium, liczył ponadto, że za ich pieniądze będzie mógł kupić od zdemoralizowanej rzymskiej kurii tytuł biskupi, i nie przeliczył się. Papież, uzależniony od Wenecjan i rzymskich koterii, sprzedał mu tytuł biskupa Leptis Magna w Afryce. Oczywiście diecezja ta nie istniała już od wielu setek lat, zrujnowana w czasie wielkiego najazdu Arabów na północną Afrykę. Jednak zostanie biskupem tytularnym umożliwiło Odilonowi starania o jakieś nowe, istniejące biskupstwo. Prowansalczyk dostrzegł w niezmiernych ambicjach Odilona szansę dla siebie.



W owym czasie w Konstantynopolu, w dzień Epifanii, czyli dzień Objawienia Pańskiego, które w Kościele wschodnim jest świętem ważniejszym od Bożego Narodzenia, urządzano procesję. Patriarcha Konstantynopola w towarzystwie cesarza obnosił po murach relikwię najświętszą ze świętych, zwaną mandylionem z Edessy. Nikt nie wiedział, czym naprawdę jest owa relikwia, albowiem dla Greków była tak święta, że nikt nie mógł na nią spojrzeć. Kto zaś na nią spojrział bez spowiedzi, karany był oślepieniem. Prowansalczyk oraz Jean z Rainecourt byli jednymi z niewielu ludzi Zachodu, którym udało się zobaczyć tę procesję. Patriarcha niósł osłonięty złotą materią relikwiarz.

Procesja uświadomiła Prowansalczykowi, że ważnym czynnikiem jednoczącym członków nowego ruchu religijnego jest tajemnica. A taką tajemnicę stanowi w Kościele wschodnim mandylion. Mistrz postanowił zdobyć go dla sekty i starania w tej sprawie powierzył Jeanowi z Rainecourt.

Zamierzenie było szalone, bo jak sekta licząca w samym Bizancjum kilka tysięcy członków mogłaby wykraść najświętszą dla Greków relikwię? Wkrótce jednak władze bizantyjskie pokrzyżowały nieświadomie plany Mistrza, zapoczątkowując prześladowania jego sekty. Jednak ani bogomiłowie, ani rycerz z Rainecourt o mandylionie nie zapomnieli.



Urzednicy cesarscy postanowili krwawo rozprawić się z bogomiłami, ponieważ zagrażali oni porządkowi społecznemu cesarstwa. Władze bizantyjskie, zaalarmowane przez grecki Kościół, który nie potrafił sobie poradzić z bogomiłami na drodze teologicznych dysput, rozpoczęły krwawe i bezlitosne prześladowania. Zginęły tysiące ludzi.

Jednak Prowansalczyk szczęśliwie umknął bizantyjskim szpiegom. Ukrył go wśród swoich służących Odilon. Przed opuszczeniem Konstantynopola na zawsze Prowansalczyk pojął za żonę grecką mniszkę Sofię. Kobieta ta zachwyciła się jego płomiennymi kazaniami i uznała, że Bóg wybrał ją, by oddała prorokowi duszę i ciało. Trudno powiedzieć, czy zbłądziła, owładnięta namiętnością, czy też była jedną z tych mniszek, które oddane do klasztoru przez rodzinę, nie przejawiały duchowych predyspozycji do surowego, pełnego wyrzeczeń życia w murach klasztoru. A może Sofia należała do tych mniszek, które słysząc wewnętrzny głos, biorą go za głos Boga, podczas gdy to szatan, władca ciemności, który, jak pisał apostoł Paweł, potrafi podszywać się pod ducha światłości?

Odilon słyszał w nocy na statku płynącym do Italii, jak tych dwoje zaspokajało pragnienie swych ciał. Jean z Rainecourt, Odilon i Dandolo mieli do Mistrza pretensję, ponieważ głosząc czystość cielesną, sam nie przestrzegał tego przykazania i łączył się z połowicą w miłosnym akcie. Ów brak przychylności przyjaciół sprawił, że postanowił dokonać kodyfikacji rządzących wspólną reguł. Rozumiał, że bogomiłowie, tak jak wszyscy ludzie, podlegają prawom ciała. Ta kwestia stanowiła dla niego poważny problem natury etycznej i

teologicznej, bo skoro uważał, że cała materia jest zła, to również złe jest ludzkie ciało, więc stosunki cielesne między kobietą i mężczyzną są przeklęte i ściągają na ludzi potępienie. Wymyślił zatem doktrynę, według której stosunki cielesne zostały uznane za zło konieczne, ale tylko w małżeństwie. Natomiast wszelkie romanse czy nawet niewinne flirty, powinny być karane śmiercią - bo jak stwierdził Mistrz - lepiej, by zginęło ciało, które i tak jest skazane na unicestwienie przez śmierć, niżby dusza, cząstka bogomilskiego Boga, miała zostać skazana na wieczne męki za folgowanie żądom ciała.

□ □ □

Mijały lata. Mistrz oraz jego grecka żona wrócili do Prowansji i rozpoczęli nauczanie w duchu bogomilskim. Wkrótce nowy ruch religijny zyskał wielu zwolenników pośród biedoty, która miała dość nieustannych wyrzeczeń na rzecz potężnego, bogatego rzymskiego Kościoła. I podobnie jak miało to miejsce na ziemiach Bizancjum, Kościół katolicki okazał się wobec nowego ruchu religijnego bezradny. Kolejne misje wysyłanych przez papieża księży i zakonników napotykały mur obojętności. Papiestwo w ciągu dwudziestu lat straciło Prowansję. Heretycy zaczęli nazywać się katarami. Nazwę tę wymyślił oczywiście Mistrz, znając doskonale język grecki, którego frazeologia była znacznie bogatsza od łaciny pod względem teologicznym. Słowo to oznaczało ludzi „czystych” nie w aspekcie fizycznym, lecz duchowym.

Wkrótce sekta, rozprzestrzeniając się w Prowansji i Langwedocji, wykształciła dwa podstawowe stany: zwykłych ludzi, którzy mogli wstępować w związki małżeńskie i płodzić dzieci, oraz fanatycznych kapłanów i kapłanki, żyjących zgodnie z nauką Mistrza. Zyskali oni wkrótce silną podporę w osobie Rajmunda, hrabiego Tuluzy.

□ □ □

Jean starał się żyć według zasad katarów, jednak pokochał prostą kobietę i zapragnął pojąć ją za żonę. Mistrz zgodził się i wkrótce Jean mógł cieszyć się małżeńskim szczęściem. Kobieta ta, będąc przedtem służącą Sofii, żony

Mistrza, urodziła dwoje dzieci. Pierwsza przyszła na świat śliczna dziewczynka i otrzymała imię Katarzyna, które można tłumaczyć jako „przezczysta”. Dwa lata po niej na świat przyszedł chłopiec, Jakub. Ojciec pragnął, aby syn odziedziczył po nim wszystkie ziemie, nadania i bogactwa związane z prawem dziedziczenia ziemi. Jednak wówczas w życie tej rodziny wkroczył Mistrz.

Młody Jakub z Rainecourt od najwcześniejszych lat przejawiał skłonność do głębokich przeżyć duchowych i surowej ascezy. Jean nie widział, że małżonka wychowuje dzieci w duchu bezgranicznego i ślepego oddania sekcje. Mistrz postąpił perfidnie, wprowadzając do łóżnicy swego przyjaciela piękną i ponętą służącą swej żony. Owa kobieta imieniem Matyllda była żarliwą katarą. Mistrz zażądał od Jeana, by oddał syna pod jego opiekę. Jean nie chciał się na to zgodzić, wówczas Mistrz nakazał Czystym rozgłaszać, że Jean z Rainecourt oddał duszę diabłu. Doszło do buntu. Z Carcassonne wygnano przy okazji wszystkich Żydów, którzy z taką samą nieufnością odnosili się do katarów jak i do katolików, gdyż i jedni, i drudzy zamykali ich w gettach. Jean de Rainecourt poprzysiągł dawnemu przyjacielowi zemstę.

Udał się do Rzymu, gdzie wyspowiadał się i odpokutował za to, że był członkiem sekty, spędzając w papieskim lochu trzy niedziele o chlebie i wodzie. Papież Hadrian IV nakazał hrabiemu z Rainecourt udać się do opactwa Sankt Gallen, gdzie pewien młody mnich, potomek jednego z najznakomitszych niemieckich rodów, stanął na czele bractwa, które miało być tajną bronią Kościoła w walce z heretykami w Europie. Zakonnikiem tym był Rupert, syn margrabiego Paderbornu, wybrany w dzień świętych Piotra i Pawła 1162 roku opatem klasztoru benedyktynów w Sankt Gallen.

Fanatyzm sekty rozdzielił męża, żonę i dzieci, lecz Jean nie przestał szukać sposobu wydobycia rodziny z rąk katarów. Gdy przekonał się, że to niemożliwe, poprzysiągł, iż poświęci życie, by katarów zniszczyć.

Jego dzieci rosły. Jakub był pomocnikiem Mistrza i jego potencjalnym duchowym następcą, a Katarzyna stała się dziewczyną tak piękną, że nawet

katarzy nie mogli odwrócić wzroku od jej cudownych włosów w kolorze słońca i skóry delikatnej jak kwiat róży.

Rozdział VII

KRAINA HERETYKÓW

Któregoś dnia Rupert wezwał nas do siebie i zapytał:

- Czy wiecie coś o herezji katarów?
- Nie - odpowiedzieliśmy zgodnie.
- Skąd herezja wzięła się w Prowansji? - zdziwił się Henryk.

Rupert zamyślił się, po czym odpowiedział:

- Wszystko zaczęło się przed dwudziestoma laty, kiedy papież i cesarz okładali się klątwami. Podobno kilku krzyżowców, wracając z Palestyny, spotkało na ziemiach należących do Bizancjum tamtejszych heretyków, zwanych bogomiłami. W dość tajemniczych okolicznościach rycerze ci zawędrowali do Prowansji, gdzie założyli sektę głoszącą podobne prawdy, jakie głosili bogomiłowie, choć byli znacznie bardziej radykalni. Stworzyli w rezultacie nowy porządek społeczny, inny niż ten z wasalami, lennikami i chłopstwem.

Rupert umilkł na chwilę. Miałem wrażenie, że wie dużo więcej, niż chce powiedzieć.

- Ich herezja jest straszna... - wyszeptał wreszcie.
- Dlaczego? Czyżby mordowali dzieci? - zapytałem z ironią.
- Nic podobnego, ale to najstraszniejsza spośród znanych mi herezji, ponieważ jeżeli ktoś wpadnie w jej sieci, nic go nie uwolni. Nie na darmo Ojcowie Kościoła mówią o herezjach rodzących się w łonie Kościoła jak o pięknych kobietach, które uwodzą wiernych i skazują ich na wieczne potępienie. Zwykła herezja podkopuje wiarę w obecność Chrystusa w Kościele i jego sakramenty, natomiast to, co dzieje się w Prowansji, przerasta możliwości duszpasterskie Kościoła. Heretycy nie tylko odrzucają całą naukę Kościoła, ale

tworzą nowy porządek. Nie uznają też żadnych ziemskich autorytetów: ani króla, ani papieża, ani cesarza.

- W takim razie to zwykli buntownicy - orzekłem. - Dlaczego nikt się z nimi nie rozprawi?

- Bo nikt po katolickiej stronie nie chce, by Prowansja spłynęła krwią - wyjaśnił Rupert. - Wiesz dlaczego?

- Nie, ojcze.

- Heretycy sami tworzą piekło na ziemi - ciągnął. - Najgorszym rodzajem piekła jest ślepe przekonanie, że można stworzyć raj na ziemi. Zakładają, że miałby zniknąć podział na biednych i bogatych i że w ten sposób wszyscy będą szczęśliwi. To czysta ułuda, mająca swe korzenie w fałszywym przekonaniu, że ludzie są sobie równi.

- A nie są? - wtrącił się Henryk.

- Nie w sensie ziemskim. Bogaci byli, są i będą, czy to się komuś podoba, czy nie. Równość istnieje natomiast w niebie. Tam jedynym bogactwem jest miłość. Miłość jako całkowite wyrzeczenie się siebie oraz swoich pragnień. Takiej miłości wymaga od chrześcijan Chrystus. Żadne bogactwo ani ziemską sława nie ma w oczach Boga znaczenia.

- Czy równość, o której mówisz, ojcze, nie jest odwiecznym marzeniem ludzkości? - drażył Henryk.

- Nie, to majaczenie szaleńców - prychnął Rupert. - Nie ma równości. Taka jest prawda o tym świecie i trzeba ją zaakceptować. Oczywiście nie oznacza to, że katolicy nie powinni dbać o sprawiedliwy podział dóbr materialnych.

- A więc katolicy powinni tylko patrzeć i nic nie robić, gdy ci, co posiadają ziemię, wyzyskują prostych ludzi? Do tego zmierza twoja interpretacja, ojcze? - Teraz z kolei ja miałem wątpliwości.

- Mylisz się, Gotfrydzie - rzekł Hubert. - Ludzie, którzy wyzyskują innych ludzi, grzeszą, ale grzeszą również ci, którzy kradną i mordują w imię

sprawiedliwości. Jednak nie czas teraz na takie dysputy. Chcę, abyście udali się do Prowansji, sami, bez eskorty. Czekam do zachodu słońca na waszą decyzję.

Już miał odejść, gdy odwrócił się i dodał:

- Jeżeli rzeczywiście chcielibyście się dowiedzieć, jak to jest być członkiem Bractwa Mandylionu, musicie przyjąć do wiadomości, że czasami wolność polega również na tym, żeby czynić to, czego czynić nie chcemy.

Wtedy chyba po raz pierwszy dotarło do mnie, jak bardzo uwikłałem się w całą tę historię. Nie wiedziałem, czy pomysł Ruperta, by wysłać mnie i Henryka do tego siedliska heretyków świadczy o jego krótkowzroczności, bo widzi on jedynie doraźne korzyści dla Bractwa, czy może jest przemyślaną decyzją, stanowiącą dowód jego mądrości?

O zachodzie słońca przyszliśmy do refektarza i powiedzieliśmy, że się zgadzamy.

- Dobrze. Wyruszenie rano - odpowiedział Rupert. - Spróbujcie dowiedzieć się, dlaczego Jean z Rainecourt musiał umrzeć i kto odpowiada za jego śmierć.

Na prośbę Ruperta zostawiłem mu wszystkie listy, jakie dostałem od biskupa Odilona. I tak były mi niepotrzebne, a mogły zdradzić moją przeszłość. Nie miałem zamiaru ukrywać mego nazwiska, ale gdyby dostały się w niepowołane ręce, mógłbym mieć kłopoty - wszak Prowansja była krainą heretyków, cokolwiek to znaczyło. Rupert obiecał, że ich nie przeczyta.

Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że ten niemiecki mnich albo przewidział wszystko, co miało nas spotkać, albo poddał nas próbie, najsurowszej z możliwych. Z początkiem kwietnia 1171 roku znów byliśmy w drodze. Najpierw jechaliśmy na zachód, a potem głównym traktem na południe, aby pozostawić miasto Charleroi po prawej ręce. Trakt, którym jechaliśmy, biegł wzdłuż koryta rzeki Mozy. Minęliśmy w końcu otoczone winnicami zamczysko Verdun. Za twierdzą trakt łączył się z gościńcem wiodącym w stronę

Nancy i Strasburga, miast należących do księcia burgundzkiego. Po paru tygodniach znaleźliśmy się w sercu Burgundii, kierując się do Lyonu.

Lyon był miastem ludnym i bogatym. Przybywali tam kupcy z Burgundii, a także z Owernii, wytwórcy serów mieszkający u podnóża śnieżnych Alp i kupcy z dalekiej Hiszpanii. Miasto nie należało do króla Francji, ale do biskupa, którego wielki zamek wznosił się obok katedry Świętego Jana.

Będąc na mszy, słyszeliśmy, jak biskup Lyonu ostrzega wszystkich przed błędami katarów, którzy wedle jego słów szerzą zwodnicze nauki we wsiach i miasteczkach Prowansji i Langwedocji. Mówił też, że drwią oni z papieża, biskupów i z całego Kościoła, burząc uświęcony porządek. Dało mi to dużo do myślenia. Nie lękałem się jednak katarów bardziej niż słabości mego grzesznego ciała, które wielokrotnie dało mi odczuć, jak ciężkie może być życie samotnego młodego mężczyzny.

Z Lyonu trakt wiódł nas dalej na południe, doliną Rodanu, gdzie podobno robią najlepsze wino na świecie.

□ □ □

- Henryku, czy uważasz, że to dobrze, iż uczyniliśmy to, czego chciał Rupert? - zapytałem pewnego dnia.

- Panie, nie ja tu jestem od myślenia.

- Nie żartuj sobie ze mnie - odrzekłem, choć po minie Henryka widać było, że mówi poważnie. - Coś mi się widzi, że ta wyprawa ma być dla nas próbą wierności, zanim będziemy gotowi zostać członkami Bractwa.

- A czy zadałeś sobie pytanie, kim są ludzie, którzy stoją za Bractwem? Nic o nich nie wiemy - zauważył Henryk. - A ci, których poznaliśmy, być może wiedzą więcej o sprawie tego zamordowanego rycerza, ale nie chcą nam tego powiedzieć. Nie ufam takim niby to tajnym bractwom. Nie wiemy, komu naprawdę służą.

- To prawda, ale ja nie podejrzewałbym o nieczne zamiary Ruperta ani Huberta z Croisilles. Po co mieliby nas narażać na niebezpieczeństwo?

- A może chcieli się nas pozbyć? - podsunął Henryk. - Wszak chustę z tym dziwnym wizerunkiem zdobyliśmy w niezwykłych okolicznościach, sam to przyznasz, panie. Za dużo wiemy.

- Może masz rację. Jeśli rzeczywiście to Jean z Rainecourt został zamordowany, wiele ryzykujemy, próbując odnaleźć jego ślad w Carcassonne, ale przecież jeśli uznamy, że robi się niebezpiecznie, zawsze możemy wrócić. Rupert mówił, że herezja katarów jest straszna tylko dla tych, którzy pozwolą się jej opętać. Ja wiem, w co wierzę. Ty chyba też.

- Nie o to chodzi, panie. Nie lękam się spotkania z heretykami, ale nie podoba mi się ten Niemiec. Kiedy mówił o tajemniczym wizerunku Chrystusa, który założyciel zakonu templariuszy, Hugo z Payens, kazał arabskiemu alchemikowi odbić za pomocą jakiejś tajemnej techniki na chustach, miałem wrażenie, że nie chciał, aby wiedza o tym dotarła do papieskiej kurii czy cesarskiej kancelarii. Nie odniosłeś takiego wrażenia?

- Właściwie tak... - przyznałem.

- Nie wydaje ci się to dziwne, panie? Bo mnie tak. Szczerze mówiąc, sprawa Bractwa zaczynała mnie niepokoić, choć starałem się to ukryć, bo chyba nadal uważałem Henryka za sługę, a nie za przyjaciela. A pan nigdy słudze się nie skarży. Po chwili rzekłem:

- Wierzę, Henryku, że mimo wszystko do Bractwa należą dobrzy chrześcijanie. Próba odnalezienia jakichś śladów po Jeanie z Rainecourt nie jest wyzwaniem, któremu nie sprostamy. I myślę, że Bractwo ma coś ważnego do przekazania.

- Komu? - zapytał Henryk z ironicznym uśmiechem.

- Chrześcijaństwu i Europie - odpowiedziałem bez wahania.

- Paniczu, ja w to nie wierzę. Nawet jeśli Bractwo miałyby jakieś ważne przesłanie dla chrześcijan w Europie, to nikt go nie posłucha, a już na pewno nie królowie, hrabiowie, ale też nie papież i nie cesarz, którzy skaczą sobie do oczu.

Henryk mnie pokonał. Wszyscy dobrze wiedzieli, jak cesarze niemieccy, którzy, wiedzeni pychą, nazywali siebie rzymskimi, walczyli z papieżem, nie przebierając w środkach. Papieżstwo nie pozostawało im dłużne. Do legendy przeszedł cesarz Henryk IV, który ukorzył się przed papieżem pod zamkiem w Canossie. Papieżstwo i cesarstwo zwalczały się zażarcie od przeszło stu lat i końca tej walki nie było widać, a tymczasem prości ludzie, którzy mieli różnorakie powinności względem swoich panów, zarówno tych kościelnych, jak i świeckich, żyli w nędzy. Panowie, tacy jak mój ojciec, pragnęli, aby ich zamki stały się jeszcze bardziej bogate i potężne. Duchowni, którzy ślubowali przecież ubóstwo, nie dość, że lubowali się w złotych kielichach i ornatach, za które można było kupić kilka wsi wraz z ich mieszkańcami, jadali wyszukane potrawy na srebrnych talerzach i za nic mieli tych, dzięki którym pracy mogli je mieć. I gdzie w tym wszystkim było miłosierdzie? Bycie bogatym człowiekiem, który ma herb i ziemię, jest bardzo przyjemne. Wiem o tym dobrze, bo jako syn hrabiego Gloucester nigdy nie zaznałem głodu. Ale czy trędowaci, których kiedyś pokazała mi matka, również nie pragnęli dostatniego życia, jakie wiodłem ja? Czy ich pragnienie było grzeszne? Czy zasługiwali na pogardę?

Z takimi pytaniami wjechałem do Prowansji, pachnącej lawendą i tymiankiem krainy heretyków, którzy odrzucili istniejący porządek i pragnęli stworzyć własny raj.



Był początek czerwca, w tym roku nadzwyczaj dusznego i upalnego. Słońce grzało na południu Francji zdecydowanie mocniej niż w zimnej i deszczowej Anglii, gdzie lata niewiele różnią się od zim. Jechaliśmy przez słoneczną krainę, która przypadła mi do serca. Jej mieszkańcy wielką niechęcią darzą Francuzów z północy. Rozumieją mowę francuską, ale ich własna, prowansalska, jest inna, bardziej melodyjna.

Okazało się, że nie wszyscy Prowansalczyki są heretykami, a wielu z nich sympatyzuje z herezją tylko dla świętego spokoju i w miarę wygodnego

życia. Nie wyróżniali się niczym szczególnym. Ich dzieci śmiały się tak samo jak dzieci wieśniaków spod Gloucester. Nie wiedzieliśmy jednak, jaka jest istota wyznawanej przez nich herezji i dlaczego Kościół odnosi się nieprzyjaźnie do ich nauki. Dziwiliśmy się ich nowej wierze tym bardziej, że widzieliśmy wspaniałe kościoły ze strzelistymi wieżami w Montpellier, Arles i Nîmes. Dziwiło nas także, że w niedziele świecą pustkami. Biskup i księża byli bezradni - nikt nie chciał ich słuchać. Heretycy nie prześladowali co prawda kleru, ale wrogość wobec świeckich katolików wzrastała z każdym dniem. Zauważyliśmy, że ściany budynków pokryte są obraźliwymi napisami, przy czym „katolickie świnię” należały do w miarę łagodnych określeń.



W mieście Narbonne byliśmy świadkami dysputy między proboszczem katedry i jednym z heretyków.

Na rynku jako pierwszy zaczął nauczać kanonik katedry. Opowiadał ludziom o błędach herezji oraz o karach doczesnych i wiecznych, jakie ściągają na swoje dusze, jeśli dadzą posłuch heretykom. Mówił o piekle i szatanie, który z rozkoszą przypala dusze potępionych rozpalonym do czerwoności żelazem. Mówił też długo i zawile o Trójcy Świętej oraz o sakramentach Kościoła. Używał bardzo skomplikowanego języka teologicznego, którego prości ludzie nie rozumieją z takiego samego powodu, dla którego pies niewiele wie o słońcu, poza tym, że świeci i daje ciepło.

Kiedy umilkł, ludzie zaczęli się śmiać. Pomyślałem, że klęska Kościoła w Prowansji i Langwedocji jest całkowita. Ludzie na rynku nie chcieli słuchać ani francuskiego króla, ani francuskiego Kościoła. Wtem z tłumu wyszedł błądy i chudy młody mężczyzna, ubrany w szarą opończę. Wydał mi się zarazem odrażający i fascynujący, słaby i silny, mocny i kruchy.

- Paniczu, on jest zagłodzony - szepnął Henryk.

W tym przeraźliwie chudym młodzieńcu było coś drapieżnego i nieludzkiego. Przypominał głodnego wilka. Zaczął odpowiadać na zarzuty

księdza z pasją i przekonaniem. Odrzucił w swojej płomiennej mowie cały Kościół, z papieżem, świętymi, męczennikami i sakramentami. Twierdził, że wszelkie zło płynie z ludzkiego ciała i jego popędów oraz z prywatnej własności, którą uważał za niemoralną, bo z jej istnienia brali się bardzo biedni i bardzo bogaci. Odrzucał wszystkie przyjemności, w tym te najbardziej prozaiczne, jak jedzenie wyszukanych smakołyków i picie drogiego wina. Moje zdziwienie nie miało granic, ponieważ mieszkańcy w Narbonne wyglądali na zadowolonych z życia i nie sprawiali wrażenia zagłodzonych, tak jak ów człek. Pojąłem, że nawet jeśli mieszczanie sympatyzują z heretykami, to nie żyją według zasad przez nich głoszonych. Jeżeli porażka Kościoła w Prowansji jest jedynie wynikiem tego, że ludzie z Narbonne widzą, jak niemoralnie żyje katolickie duchowieństwo, a katarzy wedle tego, co głoszą, to nazwałbym porażkę Kościoła chwilową. Bo prędzej czy później Kościół rzymski zdławi herezję, choćby miał użyć siły.

Tymczasem chudzielec skończył przemawiać i ludzie nagrodzili go oklaskami. Kanonik katedry, zawstydzony i smutny, powlókł się do swojej plebanii, a ludzie zaczęli z wolna się rozchodzić. Chudzielec rozmawiał jeszcze przez jakiś czas z młodzieńcami z Narbonne - dawał im widocznie jakieś rady, bo żywo gestykulował, a młodzi ludzie kiwali z zapałem głowami.

Mieliśmy właśnie udać się na poszukiwanie jakiejś gospody, by przenocować, gdy chudzielec ruszył w naszą stronę. Poczułem mrowienie na całym ciele.

- Nosicie broń? - zdziwił się, widząc nasze miecze. - Nie wiecie, że noszenie broni to grzech? - Mówił po francusku, choć z wyraźnym prowansalskim akcentem.

- Czy noszenie krótkich mieczy do obrony również jest złe? - zapytałem zaczepnie.

- Oczywiście. Musicie być cudzoziemcami, skoro tego nie wiecie. Prawdziwi katarzy wiedzą, że noszenie broni jest grzechem i że jest zakazane.

- Wybacz, panie, nie wiedzieliśmy, że prawo i obyczaje w tym kraju zabraniają noszenia broni. Przybywamy z Lyonu - wyjaśnił Henryk.

- Nie nazywaj mnie panem. Tu nie ma panów. Mówisz, że przybywacie z Lyonu? Jesteście szpiegami tej katolickiej świni, arcybiskupa? - prychnął.

- Nie jesteśmy niczymi szpiegami - oburzył się Henryk. - Przybyliśmy w te strony, bo jesteśmy zainteresowani nauką, jaką głosisz - skłamał.

Posłałem mu wymowne spojrzenie, ale po chwili zrozumiałem, że zachował więcej zimnej krwi niż ja.

- Nie powinniście zatem nosić broni - upierał się chudzielec. - Jeśli jesteście zainteresowani moją nauką, możecie mi towarzyszyć. Idę dzisiaj do Carcassonne, skąd pochodzę.

Patrząc na tego człowieka, miałem niejasne przeczucie, że pakujemy się w kłopoty.

- Świetnie się składa, bo celem naszej podróży jest właśnie Carcassonne - oznajmił Henryk. - Szukamy rycerza Jeana z Rainecourt.

Na dźwięk tego nazwiska chudzielec otworzył szeroko oczy.

- Szukacie Jeana z Rainecourt? Dobrze się składa... Boja jestem Jakub z Rainecourt i mówicie o moim ojcu.

□ □ □

Towarzystwo Jakuba było bardzo uciążliwe. Wtrącał się do wszystkiego i nie znosił sprzeciwu. Starłem się go polubić, ale nie mogłem. Natomiast Henryk słuchał go z zapartym tchem, co niezmiernie mnie dziwiło. Nigdy nie podejrzewałbym go o skłonność do dawania wiary heretykom. Ale może tylko udawał? Henryk już nieraz mnie zaskoczył.

Jakub nauczał po wsiach i mówił o swojej wierze z ogromnym zapalem. My jechaliśmy na koniach, on szedł piechotą. Słuchając go, utwierdzałem się w przekonaniu, że naprawdę wierzy w to, co mówi. Nie potrafiłem jednak dostrzec w nim czegoś innego poza fanatyzmem i połączeniem kilku cech charakteru,

które powinny się wykluczać. Był uosobieniem strachu i nadziei, a wyglądał śmiesznie i zarazem poważnie, budził też odrazę.

I miał w sobie coś, co magnetyzowało prostych ludzi. Jeżeli prowansalscy wieśniacy naśmiewali się z grubych biskupów, to w osobie Jakuba z Rainecourt mieli żywe potwierdzenie tego, że można żyć inaczej, uczciwiej niż oni. Jakub nigdy się nie śmiał, albowiem śmiech uważał za największe nieszczęście człowieka. Jeżeli ktoś wybuchał śmiechem, doprowadzało go to do szewskiej pasji; krzyczał i wymachiwał rękami, a potem nagle się uspokajał i potrafił mówić urzekająco pięknie i logicznie.

Carcassonne miało opinię miasta bogatego i urokliwie położonego, a tamtejsza twierdza należała do najpotężniejszych w całej Prowansji. Jakub powiedział nam, że Carcassonne jest jednym z głównych ośrodków ruchu katarów. Wyjaśnił nam pochodzenie słowa „katarzy”. Nazwa ta wywodziła się nie z łaciny, ale z języka greckiego, i oznaczała „ludzi czystych”.

Otóż owi Czystańcy stanowili elitę ruchu. Byli fanatycznymi ascetami, podobnymi z ubioru i zachowania do Jakuba. Były między nimi również kobiety, które z ogolonymi głowami i ubrane w zgrzebne koszule straszyły przechodniów zapadniętymi z głodu policzkami i kościstymi ramionami. Wedle słów Jakuba, w Tuluzie i mieście Albi znajdują się inne ważne ośrodki katarów. Powiedział nam, że władca Tuluzy, hrabia Rajmund, sprzyja katarom. Już sama obecność żołnierzy hrabiego w twierdzy Carcassonne świadczyła o tym, że kwestia katarów ma również aspekt polityczny.

W końcu dotarliśmy do Carcassonne, gdzie trudno było nawet bezgrzesznie oddychać. Wszyscy napotykanii przez nas ludzie zaciekle dyskutowali o naturze grzechu; przekupki na targu, pasterze, świniopasy, którzy twierdzili, że świnie są ich braćmi i że zabicie wieprza jest grzechem. Natomiast zebrani pod bramami żebracy oczekiwali cudów. Te jednak się nie zdarzały.

W gospodzie, gdzie za radą Jakuba się zatrzymaliśmy, karczmarz od razu zaczął nas wypytywać, kim jesteśmy i po co przybyliśmy do Carcassonne.

Najbardziej interesował się jednak, czy byliśmy w Rzymie i czy widzieliśmy tam szatana na papieskim tronie. Henryk odpowiedział:

- Panie, zapewniamy cię, że aniołowie usługują papieżowi przy stole, a on sam ma dużo pieniędzy i wielką armię.

Gospodarz wyglądał na przestraszonego i dał nam najlepszą izbę. Zdarł przy tym z nas straszliwie, co nie przeszkadzało mu opowiadać, jak bardzo nienawidzi pieniędzy i bogactwa. I rzeczywiście, mieliśmy się przekonać, że im biedniejsi są członkowie tego ruchu, z tym większą nienawiścią wyrażają się o bogaczach i biskupach. Od „zwykłych” biedaków odróżniali się tym, że byli bardziej zajadli.



Nazwisko Rainecourt znaczyło w Carcassonne bardzo dużo, a znajomość z Jakubem dawała mi możliwość przyjrzenia się z bliska życiu członków sekty. Poza nienawiścią do Kościoła i bogaczy łączył ich ascetyczny styl życia i pogarda dla spraw ziemskich, szczególnie zaś dla wszystkiego, co łączy się z ciałem. Tymczasem Henryk, który zaczął zachowywać się dziwnie, spędzał dużo czasu z Jakubem i nie ukrywał, że bardzo go podziwia.

- Henryku, dlaczego zachowujesz się tak, jakby mnie w ogóle nie było? - zapytałem go pewnego dnia. - Myślałem, że masz się mną opiekować.

- Paniczu, nie jestem twoim niewolnikiem! - oburzył się.

- Dlaczego podnosisz na mnie głos? Traktuję cię jak przyjaciela, ale jestem też twoim panem!

- Tutaj nie ma ani sług, ani panów!!! - wrzasnął Henryk i wypadł z gospody, trzaskając drzwiami.

Tego dnia już nie wrócił. Szukałem go wszędzie. Na próżno. Byłem zrozpaczony, bo znajdowałem się w obcym mieście, wśród heretyków. Gdy w nocy wróciłem do gospody, gospodarz czekał na mnie z wieczerzą, lecz nie miałem apetytu. Usiadłem na schodkach przed gospodą i gorzko zapłakałem.

Zostałem sam.



Nadszedł wrzesień. Jakub wyjechał do Narbonne, a ja musiałem nauczyć się żyć wśród katarów. Zaciągnąłem się do załogi twierdzy. O dziwo, przyjęto mnie bez żadnych pytań. Nikt nie interesował się, skąd pochodzę ani czy mam wojenne doświadczenie. Żołnierze Rajmunda, hrabiego Tuluzy, nudzili się śmiertelnie w tej wielkiej twierdzy. W lochach nie siedzieli żadni więźniowie i nie wykonywano egzekucji. Całymi dniami grali więc w kości i pili mnóstwo wina.

Nadszedł dzień winobrania. Tego dnia słońce weszło otoczone krwawą poświatą, a ja dołączyłem do ludzi, którzy szli do winnic z wiklinowymi koszami. Łagodne stoki wzgórz rozbrzmiewały śmiechem i pieśniami. Wino wytwarzano tu tak jak przed setkami lat. Katarzy przymykali na to oko, bo na szczęście tradycja była silniejsza od fanatyzmu. Zapowiadał się dobry rocznik. Owoce nęciły słodyczą i rozplływały się w ustach. W winobranii pomagali chętnie żołnierze z twierdzy. W ciągu całego dnia zebrałem wiele koszy winogron, a pod wieczór, czując ból w ramionach i plecach, stwierdziłem, że muszę się ochłodzić w pobliskim strumieniu. Wystarczyło tylko zejść w dół zbocza do potoku, który pluskał między kamieniami. Nagle między rzędami winorośli zamajaczył jakiś kształt i usłyszałem śpiew. Zacząłem skradać się w stronę, skąd dobiegał. Przystanąłem przy ostatnim rzędzie winorośli i drżącymi dłońmi rozsunąłem liście.

Zobaczyłem cud.

Natychmiast się ukryłem. Krew pulsowała w moich żyłach, jakby miała się zagotować. W strumieniu stała naga dziewczyna, tak piękna, że przez moment zapomniałem o bożym świecie. To ona śpiewała. Potem wiele razy wracało do mnie pytanie, czy mógłbym bardziej nasycić oczy widokiem jej ciała, gdybym patrzył bez pożądania, które zrodziło się we mnie w tej samej chwili, gdy ją ujrzałem? Dla mnie ta chwila warta była więcej niż wszystkie skarby świata. Graniczyła z objawieniem, albowiem widziałem tę niewiastę

czystą, nieskalaną i obezwładniającą mój umysł i wolę. I ten widok pozostał we mnie na zawsze.

Jej piersi były niczym wzgórze, na których rosły winnice, marzyłem, żeby dotknąć jej gładkiego brzucha. Byłem wtedy niewinny i choć widziałem wonny ogród jej łona, nie zhańbiłem go, co zapewne uczyniłoby wielu żołdaków.

Zgrzeszyłem wtedy w sercu, ale grzech ten przepelnił mnie taką słodyczą, że nie wstydzę się tego wyznać.

□ □ □

Od tamtego dnia nic już nie było takie samo. Zapomniałem o Henryku, chciałem za to koniecznie dowiedzieć się, kim jest owa dziewczyna. W nocy sen nie chciał nadejść. Widziałem tylko jej jasne włosy, jej ciało. Przemierzyłem wszystkie okoliczne wsie, ale nie mogłem jej odnaleźć. Sama myśl, że być może kocha się z nią jakiś inny mężczyzna, co noc, tak jak ja tego pragnąłem, doprowadzała mnie do rozpacz. Nie znałem ani jej imienia, ani rodziny, a mimo to nie ustawałem w poszukiwaniach.

Każdy ranek składał mi obietnicę, że ją odnajdę, wieczór zaś witał mnie rozczarowaniem. Zachowywałem się jak głupiec, ale moje serce przepelniała radość. Kiedyś zatrzymała mnie na drodze stara kobieta i powiedziała, że musiała mnie ukłuć jedna z tutejszych róż i że martwe róże więdną, a ich piękność przemija. Te słowa były zapowiedzią mego cierpienia, ale wówczas tego nie rozumiałem.

Nocami rozbrzmiewał w moich snach śpiew, który usłyszałem nad strumieniem. Żyłem między snem i jawą. Rozkoszna udreka zdawała się nie mieć końca.

□ □ □

Nie zauważyłem nawet, kiedy nadeszła wiosna. Któregoś dnia żołnierz, z którym dzieliłem izbę w twierdzy, obudził mnie nad ranem silnym szturchnięciem w bok.

- Zbudź się, prędko, panie.

- Co się stało?

- Jakub z Rainecourt wrócił z Narbonne i pragnie cię zobaczyć.

Wstałem pospiesznie. Czy Jakub wie o zniknięciu Henryka? - zastanawiałem się, wkładając odzienie. Miałem dziwne przeczucie, że ma on z tym zniknięciem coś wspólnego. Przed bramą czekał na mnie jakiś człowiek i zaprowadził mnie do jednego z domów, gdzie w głównej izbie siedział przy stole Jakub. Był jeszcze bardziej wychudzony i odpychający niż w zeszłym roku. Ale jednocześnie promieniowała z niego większa siła.

- Witaj, Jakubie, długo cię nie było - rzekłem na powitanie. - Henryk opuścił mnie bez pożegnania. Może ty wiesz, gdzie on jest?

- Może tak, może nie - odrzekł lakonicznie Jakub. - Nawet teraz widzę, że traktujesz go jak sługę, a to źle. Nikt nie może być sługą drugiego człowieka. Henryk wybrał wolność.

- Jaką wolność masz na myśli? - syknąłem rozdrażniony.

- Taką, którą osiąga się przez poznanie prawdy. Został moim uczniem. Jestem pewien, że teraz będzie szczęśliwy.

- Skąd ta pewność?

- Bóg mi to objawił - odparł poważnie Jakub.

- W to akurat nie wątpię. - Z trudem powstrzymałem ironiczny uśmiezek. - Czego ode mnie chcesz?

- Pragnę cię nawrócić na moją wiarę - rzekł Jakub spokojnie. - Obiecałem sobie, że pokażę ci moją prawdę, udowodnię, że twoja wiara jest fałszywa, bo jesteś nieufny i uparty.

- Nie twoja sprawa. Nie chcę twojej prawdy i brzydzę się twoją wolnością - warknąłem.

Jakub popatrzył na mnie z politowaniem.

- Jesteś też bezczelny i odważny, bo mówisz do mnie tak, jak nie odważyłby się żaden człowiek w tym mieście. I właśnie dlatego muszę cię nawrócić. Muszę...

- Ala ja tego nie chcę.

- To nieważne, czego ty chcesz. Ja wiem lepiej, czego ci trzeba. Człowiek nie może sam wybierać tego, co jest dla niego najlepsze.

- I to też Bóg ci objawił? - zapytałem drwiąco.

- Tak, objawił mi to - odpowiedział Jakub, jakby nie usłyszał sarkazmu w moim głosie. - Zjesz ze mną?

Stwierdziłem, że mam do czynienia z szaleńcem. Pomyślałem, że jeśli mu odmówię, nigdy nie zobaczę Henryka. A właśnie zrozumiałem, że Henryk jest dla mnie kimś więcej niż sługą i opiekunem, jest przyjacielem. Nie mogę go zostawić w rękach sekty.

- Czemu nie, Jakubie? - Wzruszyłem ramionami. - Ale sądziłem, że uważasz jedzenie za zło...

- To zło konieczne, bo niezbędne do życia - padła szybka odpowiedź.

Pomyślałem, że chyba zwariowałem, skoro zgodziłem się zjeść posiłek z jednym z bardziej wpływowych katarów w Carcassonne. Ale czy Pan Nasz, Jezus Chrystus, także nie zasiadał do stołu razem z celnikami i grzesznikami? To nieco mnie uspokoiło. Jakub klasnął w dłonie.

I wtedy do komnaty weszła ona. Kobieta, której śpiew i wspomnienie nagiego ciała przeszywało mnie tyleż bolesnym, co rozkosznym dreszczem. Siedziałem jak zaczarowany, gdy podawała nam chleb, ser i wodę. Zapomniałem o Jakubie i jego heretyckim szaleństwie.

Sen stał się jawą.

Wszystko w niej było doskonałe. Patrzyłem na jej twarz, włosy, jasne jak złoto i pachnące jaśminem, na jej oczy i ramiona. Była ubrana w suknię, która, choć skromna, podkreślała jej urodę. Dziewczyna postawiła na stole dzban z wodą i koszyk z chlebem i serem, po czym wyszła bez słowa, nie obdarzając mnie nawet przelotnym spojrzeniem.

Zgodziłem się przychodzić na nauki do Jakuba, byle tylko ją widywać. Od tego poranka moje pożądanie stało się jeszcze bardziej bolesne, czekałem tylko na chwilę, kiedy znów ją zobaczę. Te momenty trzymały mnie przy życiu.

W końcu, po kilku miesiącach, mogłem przychodzić do domu Jakuba, kiedy tylko chciałem, ponieważ zaczął mi ufać. Spotykali się tam katarzy z okolicy i innych miast. Jakub był jednym z przywódców ruchu w Prowansji. Nie obchodziło mnie to. Starłem się dowiedzieć, kim jest ta dziewczyna. Pewnego dnia Jakub wreszcie mi ją przedstawił. Kiedy poznałem jej imię, usiadłem bezsilny na schodkach przed domem Jakuba i ukryłem twarz w dłoniach.

Pani mego serca nazywała się Katarzyna z Rainecourt i była siostrą Jakuba. Tego dnia postanowiłem, że zrobię wszystko, by być blisko niej.

Rozdział VIII

LAWENDOWE WZGÓRZE

Odkąd zacząłem bywać w domu Jakuba, moje położenie wyraźnie się zmieniło: katarzy zaczęli mnie poznawać i traktować jak brata. Przywódcy katarów uważali się za ludzi doskonałych pod względem moralnym, wymagali więc od innych bezwzględności posłuszeństwa oraz całkowitego wyrzeczenia się wszelkich przyjemności. Potępiali wszystkie cielesne aspekty życia. Jednak zwykli ludzie, choć z pozoru słuchali przywódców sekty, tak naprawdę nie różnili się od katolików, zarówno w dobrym, jak i złym, przywódcy sekty zaś, tacy jak Jakub, nienawidzili kościelnych podatków i władzy francuskiego króla. Władca z Paryża nie pozostawał im dłużny i oskarżał katarów przed papieżem o bezczeszczenie hostii i różne najstraszniejsze zbrodnie.

Któregoś dnia, włócząc się po mieście, spotkałem Henryka. Schudł, nosił zgrzebną koszulę, jak większość katarów, i nieznośnie cuchnął, bo katarzy uważali kąpiel za złamanie nakazu pogardy dla ciała. I oto stał przede mną. I nadal był moim przyjacielem. Wzruszenie okazało się silniejsze od gniewu. Objąłem go jak brata.

- Dlaczego odszedłeś? - wyszeptałem. Milczał.

- Czy teraz mnie nienawidzisz?

I na to nie odpowiedział.

- Co takiego jest w tych szaleńcach, że do nich przystałeś?

- Zabraniam ci mówić źle o świętych mężach... - rzekł wreszcie. - Odszedłem od ciebie, bo oni mają wiedzę i wolność, a ja zawsze chciałem być wolny, nie chciałem mieć nad sobą żadnego pana. Nie możesz mi wyrzucać, że pragnę wolności.

- Taką wolność masz na myśli? - Wskazałem jego ubiór. - Zapewniam cię, że jeśli będziesz tak żył, prędzej umrzesz z głodu, niż zobaczysz wrota raj.

- Kiedyś byłem twoim sługą, a teraz sam jestem sobie panem!

- Henryku, wiesz dobrze, że nigdy nie byłeś sługą i zawsze traktowałem cię jak brata.

- Doprawdy? Chyba sam w to nie wierzysz, Gotfrydzie. Muszę już iść. Moi prawdziwi bracia na mnie czekają. - Odepchnął mnie i odszedł.

Przepełniało mnie poczucie winy.

Miał rację, mówiąc, że zawsze traktowałem go jak sługę. Czulem jednak, że któregoś dnia wróci. Henryk coś przede mną ukrywał. Jego duszę toczyła choroba. Wiem, że próbował znaleźć na nią lekarstwo u katarów, byłem jednak przekonany, że nie tędy droga.

□ □ □

Mijały miesiące. Pragnąłem Katarzyny coraz goręcej i wiedziałem, że Jakub nigdy nie odda mi siostry. W bezsenne noce zmagalem się z pożądaniem. Zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę nie znam tej kobiety. Nigdy z nią nie rozmawiałem. Spotykaliśmy się tylko na kilka chwil, kiedy przychodziłem do domu jej brata na nauki. Byłem dla niej obcy. Nie wiedziałem, czy mnie kocha. Nie wiedziałem nawet, czy darzy mnie choćby sympatią.

Pewnego wieczoru szedłem pustymi i cichymi uliczkami Carcassonne. Gdzieś na murach wielkiego zamku zakwilił nocny ptak. Chwilę później

zobaczyłem kobietę w długim płaszczu. Wyglądała jak zjawa. Serce powiedziało mi, że to Katarzyna.

- Dlaczego chodzisz, pani, w nocy sama po mieście? Twój brat będzie się niepokoił - zagadnąłem, wyłaniając się z cienia.

Odwróciła się gwałtownie.

- Przestraszyłeś mnie! Nie spodziewałam się spotkać nikogo o tej porze.

Jej twarz oświetlało światło księżyca. Wydała mi się dziwnie blada, ale mimo to najpiękniejsza na świecie.

- Wydaje mi się, że gdzieś cię widziałam, panie. Czy nie odwiedzasz domu mego brata?

- W istocie, widziałas mnie u Jakuba, i choć nie zwracasz na mnie uwagi, uważam, że jesteś najpiękniejszą istotą na świecie.

Katarzyna uśmiechnęła się.

- Na pewno jesteś cudzoziemcem, bo żaden młodzieniec z Prowansji nie mówi kobiecie podczas pierwszej rozmowy takich rzeczy, chyba że jest pijany i chce ją uwieść.

Poczułem się niezręcznie. Marzyłem o spotkaniu z tą dziewczyną, a kiedy wreszcie mogłem porozmawiać z nią w cztery oczy, wyszedłem na głupca.

- Panie, wyglądasz jak prawdziwy katar, który spotykając kobietę, mówi jej komplement, a zaraz potem, gdy przypomina sobie nauki mego brata, milknie. Jesteś uczniem mego brata, prawda? - zapytała, rozbawiona moją niepewną miną.

- Chodzę do niego na nauki, ale nie wiem jeszcze, czy przystanę do katarów. Czy Jakub nie powiedział ci tego?

- Jakub jest zajęty sobą i uszczęśliwianiem innych - westchnęła.

Wyczułem ironię w jej głosie. Czyżby nie podzielała poglądów brata? A może tylko próbuje wybadać, czy będę prawowiernym katarzem?

- Ja nie pragnę uszczęśliwiać ludzi, bo szczęście jest przecież inne dla każdego człowieka. Wiem natomiast, co jest szczęściem dla mnie - powiedziałem, podchodząc do Katarzyny.

- I co to takiego?

- Rozmowa z tobą.

- Czy nie jesteś nazbyt śmiały? - spytała, ale się nie cofnęła.

- Bóg widzi, że moje zamiary są uczciwe.

- Jesteś Francuzem? - Katarzyna nieoczekiwanie zmieniła temat. - Tylko Francuzi potrafią uwodzić kobiety pięknymi słówkami.

- Nie, jestem Normanem. Pochodzę z Anglii.

- Nieważne, z jakiego kraju pochodzisz i czyim jesteś poddanym, bylebyś miał serce szlachetne i maniery szlachcica. Mogę cię zapewnić, panie, że jako poddany Plantagenetów w Carcassonne nie musisz się niczego obawiać...

- Nie boję się niczego w Carcassonne. Dlaczego mówisz mi o sprawach, które nie powinny obchodzić kobiety?

- A skąd wiesz, panie, co powinno, a co nie powinno mnie obchodzić? Chciałam być po prostu miłą, bo jesteś cudzoziemcem.

Nagle rozległy się miarowe kroki. To szedł nocny patrol straży miejskiej. Katarzyna złapała mnie za rękę i pociągnęła w głąb ciemnej bramy.

- Nikt nie powinien widzieć, że rozmawiam z tobą o takiej porze - szepnęła.

Przez cały czas trzymała mnie za rękę. Jej skóra była delikatna. Czułem zapach jej włosów ukrytych pod kapturem, pachniały jaśminem. Chciałem, aby ta chwila trwała wiecznie. Gdy patrol nas minął, Katarzyna puściła moją dłoń.

- Jak masz na imię? - zapytała szeptem.

- Jestem Gotfryd z Melville.

- W takim razie do zobaczenia... Gotfrydzie - wyszeptała, posyłając mi uśmiech, i zniknęła w mroku nocy. Jeszcze długo stałem oparty o mur kamienicy.

Tamtej nocy nie zasnąłem. Trawiło mnie pożądanie. Nie chciałem jednak wpaść w sidła grzechu. Słyszałem, że niektórzy mężczyźni zaspokajają się sami, ale ja nie chciałem tego robić. Modliłem się, lecz żar w moich lędźwiach nie gasł. W końcu sporządziłem bicz z kilku rzemieni, które znalazłem w stajni. Pierwsze uderzenie było jak dotyk anioła. Była to rozkosz pożądania i piekącego bólu. Uderzałem wiele razy i choć cierpienie było wielkie, przyniosło mi ulgę. To ja kierowałem moim ciałem, a nie ciało mną.

□ □ □

Następnego ranka do Carcassonne wpadło jak burza kilkunastu jeźdźców. Straż nawet nie próbowała ich zatrzymać. Skierowali się prosto do domu Jakuba. Jeden z nich, barczysty mężczyzna o twarzy zeszpeconej blizną, zsiadł z konia i obrzucił pogardliwym spojrzeniem grupę uczniów Jakuba stojących przed domem, po czym obciągnął skórzaną kamizelę i zastukał kołatką do drzwi.

- Glasdale do Mistrza Jakuba! - zabrzmiał jego gardłowy głos.

Po chwili drzwi skrzyknęły i przybysz wszedł na dziedziniec. Nie zważając na służących, skierował się prosto do komnat gospodarza. Jakub patrzył w okno. Wschodziło słońce.

- Czekałem na ciebie, Glasdale - powiedział cicho.

- Witaj. - Glasdale skłonił się nisko, choć Jakub nie odwrócił się w jego stronę.

- Czy widzisz, Glasdale, że słońce wschodzi tak samo dla wszystkich ludzi? - zapytał nagle.

- Jakubie, nie czas na...

- Każdego ranka, kiedy patrzę na wschód słońca, wiem, że jesteśmy coraz bliżej celu - ciągnął Jakub. - Chcę zniszczyć tę wszeteczną, siedlisko demonów.

- O czym ty mówisz? - spytał niecierpliwie Glasdale.

- O Kościele rzymskim. Codziennie się o to modlę. Masz chustę?

Glasdale nie odpowiedział.

- Masz chustę?! - syknął wściekle Jakub. - Ojciec zawsze miał ją przy sobie!

- Oto listy od biskupa Odilona - rzekł Glasdale, kładąc przed Jakubem zapieczętowany pergamin. - W nich jest wszystko wytłumaczone. Musimy się spieszyć.

- Czas nie ma znaczenia - westchnął Jakub, biorąc pergamin do ręki. - Zawsze byliście z Odilonem skorzy do pośpiechu. Mój ojciec taki nie był. Zastanawiało mnie, dlaczego, choć był z wami na wyprawie krzyżowej, nie potrafił zrozumieć, że nauka, jaką przekazali nam bogomiłowie, ukazuje inne rozumienie czasu i życia?

- Wybacz, Jakubie, ale nie jestem filozofem. Mam zabijać i robię to. Jeśli ktoś mi za to płaci, dobrze. Jeśli nie, mogę robić to dla idei. Wierzę w twoją naukę i dlatego zabiłem twego ojca - odpowiedział Glasdale.

- To dobrze - rzekł Jakub, patrząc mu w oczy. - Mój ojciec nas zdradził, chciał opowiadać wszystkim o istocie naszej nauki. Chciał dać Kościołowi broń do ręki. Nie miałem wyboru. Chcę, abyś razem ze swoimi ludźmi zaszył się gdzieś pod miastem. Twoi rzeźnicy robią za dużo hałasu.

Wychodząc, Glasdale zastanawiał się, kim jest człowiek, który przewodzi wszystkim katarom. Na pewno mieszka gdzieś w Prowansji. Glasdale myślał kiedyś, że jest nim Jakub, ale Odilon przekonał go, że nie. Twórcą religii katarów był ktoś inny i Odilon chyba go znał. Kiedyś biskup wspominał, że podczas powrotu z drugiej krucjaty pewien prowansalski rycerz spotkał na ziemiach Bizancjum, w okolicach Adrianopola, sektę bogomiłów i przystał do niej. Po latach wrócił do Prowansji i zaczął nauczać. Miał wielu zwolenników. Rozpoczął walkę z Kościołem.

□ □ □

Przychodziłem do domu Jakuba, kiedy tylko mogłem. Katarzyna była coraz śmielsza i zaczęliśmy rozmawiać. Myślę, że brat miał na nią ogromny

wpływ, choć była dziewczyną o niezwykłych poglądach. Uważała, że kobieta powinna mieć własne zdanie, a jej rola to nie tylko prowadzenie domu i chodzenie do kościoła. Podziwiałem ją i z każdą chwilą kochałem coraz bardziej.

Katarzyna była kobietą wykształconą: znała język prowansalski i francuski, czytała biegle po łacinie. Wszystkiego nauczył ją ojciec. Z jej opowieści wywnioskowałem, że stary rycerz, Jean z Rainecourt, na pewno był członkiem sekty. Katarzyna bardzo go kochała. Opowiedziała mi, że był człowiekiem niezwykle religijnym, ale bolało go bogactwo księży i klasztorów. W takim duchu wychował Jakuba. Ale potem coś się stało: ojciec odszedł i zostawił ich własnemu losowi.

- A Jakub? Czy nie chciał wiedzieć, co się dzieje z ojcem? - spytałem.

- Mój brat żyje we własnym świecie. Poza swoją wiarą nie widzi niczego. Nawet mnie.

Popatrzyła mi przy tym głęboko w oczy, a w jej spojrzeniu malowały się samotność i cierpienie. Byłem pewny, że kocha brata, ale nie potrafi mu pomóc. Zwierzyła mi się również, że Jakub ostatnio napomknął coś o jej zamążpójściu. Jej małżonkiem miał zostać jakiś starszy człowiek z okolic Carcassonne.

- Katarzyno, powiedz, proszę, czy to, że Jakub jest mi tak przychylny, ma związek z tym, iż pochodzę z Anglii?

- Tak, ponieważ chce poznać angielskich katarów i pomyślał, że będziesz jego posłem. A ja miałam nadzieję, że być może słyszałeś coś o moim ojcu.

- To w Anglii są katarzy? - zdziwiłem się.

- Nie słyszałeś o królowej? Eleonora Akwitańska, kiedy przebywała we Francji, wiele razy spotykała się z Mistrzem. To ona postanowiła ściągnąć katarów do Anglii.

Zamarłem. Pomyślałem, że to z polecenia królowej Hugo z Morville i jego towarzysze zabili prymasa Becketa.

Powiedziałem jej o ojcu. Zapłakała, a ja po raz pierwszy ją przytuliłem. Czulem bicie jej serca. Chciałem, by ta chwila trwała wiecznie.

- Zabierz mnie stąd... - wyszeptała.

- Dobrze... Ale muszę powiedzieć ci coś jeszcze.

Jej duże błękitne oczy znów się we mnie wpatrywały, ale teraz uśmiechała się przez łzy. Wyciągnąłem zza pazuchy miszki z chustą i rozłożyłem ją. Delikatny wizerunek umęczonego mężczyzny nie stracił nic ze swej wyrazistości.

- O Boże... Chusta...

- To chusta twego ojca. Znalazłem ją przy nim. Katarzyna wzięła tkaninę i wpatrywała się w milczeniu

w wizerunek brodatego człowieka. Było w jej spojrzeniu niedowierzanie i uwielbienie. Nie rozumiałem wówczas jej reakcji. Myślałem, że wspomniała ojca. Jednak tak nie było. Patrzyła na tę chustę jak na coś, co stanowiło jądro wiary katarów.

- Czy wiesz, co to jest? - zapytałem.

- Kiedyś o niej słyszałam i wiem, skąd się wzięła. - Katarzyna była podekscytowana. - Tak wygląda mandylion, który jest niezwykle przedmiotem. Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa, że to ty ją masz.

Nie słuchałem, co mówi, tylko wpatrywałem się w nią zachwycony.

- Czy Jakub pozwoli nam się spotykać? - spytałem.

- Nie wiem. Musimy być bardzo ostrożni - odpowiedziała. - Nieopodal miasta, na wzgórzu, stoi mała kapliczka. Od lat nikt do niej nie zagląda. Spotkajmy się tam za dwie niedziele.

□ □ □

Z początkiem następnego tygodnia w koszarach w zamku, gdzie mieszkałem, pojawił się Henryk. Był wychudzony i brudny. Kiedy otworzyłem drzwi, przestraszyłem się, ponieważ bardziej przypominał upiora niż człowieka. W jego oczach zobaczyłem rozpacz.

- Co się stało?
- Odszedłem od katarów - wyszeptał.
- Dlaczego?
- Oni nie znają prawdy i nie mogą mi pomóc.

A więc to tak, pomyślałem, szukałeś prawdy wśród tych szalonych heretyków. To była próba ucieczki przed samym sobą. Henryk cierpiał, a jego cierpienie było z gatunku tych chorób duszy, których nie uleczy przelotna miłośćka ani religijne uniesienie. Ponieważ był moim przyjacielem, zdecydowałem, że nie będę dociekał przyczyn jego odejścia do katarów oraz szybkiego powrotu na łono Kościoła.

- Pomóż mi, panie... Spojrzałem na niego zdziwiony.

- Muszę wyjechać z Carcassonne - ciągnął. - Proszę, nie pytaj dlaczego. Jeżeli kiedyś Bóg pozwoli, wszystko ci wyznam.

- Dokąd chcesz się udać?

- Chciałbym zaciągnąć się jako najemnik. Może w królestwie Aragonii lub Kastylii przyda się jeszcze jeden miecz. Tam walczą z muzułmanami.

- Oszalałeś? Przecież nigdy nie walczyłeś, a ponoć siła pogan jest wielka. Zabiją cię, Henryku...

Ukrył twarz w dłoniach, a po chwili wyszeptał:

- Potrzebuję tego. Papież ogłasza odpuszczenie grzechów wszystkim, którzy pójdą walczyć z poganami. A ja bardzo pragnę oczyszczenia.

Podniósł głowę. Z wyrazu jego oczu wyczytałem, że zdecydowany jest odmienić swoje życie albo zginąć. Ukrywałem go prawie przez dwie niedziele. Wypoczął i nabrał sił. Kiedy odjeżdżał, z trudem powstrzymałem łzy. Kiedy wsiadł na konia, odwrócił się do mnie i powiedział:

- Jesteś dobrym człowiekiem, Gotfrydzie. Pamiętaj o mnie i o misji, jaką powierzył nam Rupert.

Henryk po raz drugi w życiu zwrócił się do mnie po imieniu. Chciałem coś powiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle.

- Wrócisz? - wykrztusiłem wreszcie.
- Jeśli Bóg pozwoli.
- Uważaj na siebie.
- Dziękuję, że pozwoliłeś mi odejść. Zawsze chciałem być wolny.

I odjechał. Długo patrzyłem na postać samotnego jeźdźca, jadącego traktem na zachód w kierunku Langwedocji i łańcucha Pirenejów. W końcu Henryk zamienił się w mały punkt, który na przemian znikał i znów wynurzał się na wzgórzach porośniętych lawendą i winną latoroślą. Byłem pewny, że już nigdy go nie zobaczę.



Spotkanie z Katarzyną w samotnej kapliczce na Lawendowym Wzgórzu było jak sen. Rozmawialiśmy bardzo długo o Bogu i o życiu. Opowiedziałem jej moje dzieje. Ufałem jej.

I czułem, że i ona mi ufa. Na koniec zaśpiewała mi pieśń znanego w Prowansji minstrela Bernarda de Ventadoura. Wtedy również po raz pierwszy ją pocałowałem. Zapewniłem ją, że moje uczucie do niej nie jest grzeszną zachcianką ciała.

Zacząłem przychodzić pod dom Jakuba wieczorami, żeby chociaż zobaczyć Katarzynę w oknie.

- Musisz być bardzo ostrożny - powtarzała ciągle. Jednak miłość uczyniła mnie ślepym. Wcale nie byłem ostrożny. Widziano mnie kilka razy pod jej domem i ktoś doniósł o tym Jakubowi. Pewnego dnia kazał mi do siebie przyjść.

- Czy jest prawdą, że przychodzisz do mojej siostry? - zapytał.

- Czasami ją widuję, ale nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków.

Jakub popatrzył na mnie przenikliwie. Mogłem go uważać za religijnego szaleńca, ale na pewno nie był głupcem.

- Dlaczego jesteś taki oporny, Angliku?

- Oporny? Nie! Po prostu nie rozumiem twojej nauki - próbowałem się bronić. - Katarzyna mi ją objaśnia.

- Nie chcesz jej zrozumieć. Nie wezwałem cię tylko po to, aby zapytać o twoje stosunki z moją siostrą. Gdzie jest Henryk?

- Nie wiem - skłamałem. - Odkąd stał się twoim uczniem, nie widziałem go.

- Nie wierzę ci. Henryk został naszym bratem i muszę wiedzieć, gdzie jest.

- Już ci powiedziałem, że nie wiem. Poza tym mam wrażenie, iż podstawą twojej nauki jest wolność człowieka. Głosicie konieczność wyzwolenia się z więzów materii i odrzucacie przywiązanie do innych ludzi. Przypuśćmy, że Henryk postanowił odejść. Czy według twojej nauki miał do tego prawo czy nie?

Na wychudzonej twarzy Jakuba pojawił się ironiczny uśmiech. Zrozumiał, że przyłapałem go na niekonsekwencji.

- Jesteś bystry, ale ci nie wierzę - rzekł z naciskiem. - Wiem, że kłamiesz, ale muszę przyznać, że nie mam dowodów, iż miałeś coś wspólnego ze zniknięciem Henryka.

- Nie musisz mi wierzyć, Jakubie. Wierzysz w to, w co chcesz wierzyć. Ja czynię podobnie.

Jakub popatrzył na mnie krzywo i powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Zabraniam ci widywać się z moją siostrą! Jeśli nadal pragniesz przychodzić, by słuchać moich nauk, proszę bardzo. Ale pamiętaj, że moja siostra jest przeznaczona komu innemu.

□ □ □

Mijały miesiące samotności. Prawie nie jadłem, źle spałem. Wkrótce zamienię się w takiego chudzielca jak Jakub, pomyślałem. Nic nie mogło ukoić tęsknoty serca: ani służba na zamku w Carcassonne, ani praca w winnicach, ani nauki katarów. Brakowało mi Katarzyny. Zrozumiałem, że stała się moim drugim oddechem, moim drugim życiem. Pragnąłem jej do szaleństwa.

W końcu, podczas jednego z katarskich nabożeństw, na jakie zacząłem chodzić z nudów i w nadziei, że ją zobaczę, usłyszałem, że Jakub, w porozumieniu z Wielkim Budowniczym, zarządził, iż odtąd wierni powinni zwracać większą uwagę na potępienie ciała. Ponieważ małżeństwo traktowano jako zło konieczne, uznano, że pan młody powinien oddać swą właśnie poślubioną małżonkę innemu katarowi. W ten sposób zniknie zazdrość i pożądliwość.

Uważałem, że to szaleństwo.

□ □ □

Którejś nocy jeden z kompanów w twierdzy Carcassonne obudził mnie, szarpiąc moje ramię.

- Angliku, jakaś kobieta stoi przed bramą i pyta o ciebie. Serce mówiło mi, że to Katarzyna. Nie myliłem się. Stała w bramie ubrana w długi czarny płaszcz, w którym widziałem ją po raz pierwszy spacerującą nocą po mieście. Rzuciła mi się na szyję.

- Jakub wyjechał do Tuluzy na dysputę z wysłannikiem papieża - mówiła rozgorączkowana. - A ja wyrwałam się z domu, by cię zobaczyć.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Zalała mnie fala szczęścia.

- Katarzyno, czy zostaniesz moją żoną? - zapytałem drżącym głosem.

Nie odpowiedziała, ale w jej oczach wyczytałem wszystko, co chciałem wiedzieć.

- Jeżeli weźmiemy ślub w obrządku katarów, wówczas zażądamy, abym oddał cię jakiemuś chudzielcowi, podobnemu do twego brata. A wtedy zabiję i tego człowieka, i Jakuba, i siebie...

Katarzyna położyła palec na moich ustach.

- Nie mów tak. Zabraniam ci. W Carcassonne jest katolicki ksiądz, który nie uciekł.

- Gdzie mieszka?

- Chyba zamknął się na plebanii katedry. Katarzy nie wyrzucili go siłą. Brzydzą się przemocą.

W ciągu godziny wyciągnąłem księdza z łóżka. Był niemal tak wychudzony jak Jakub. Cierpiał głód i niedostatek, bo wszyscy parafianie go opuścili, a bez nich nie miał ofiar; ponieważ żył z pracy innych ludzi i nie potrafił uprawiać ziemi - głodował. Nasz widok tak go przeraził, że od razu przysiągł, iż pragnie stać się pobożnym katarzem, i błagał, żebym go nie zabijał. Kiedy wyjaśniłem mu cel naszej wizyty, zdumiał się wielce, bo od dwóch lat nikt nie prosił go, by udzielił ślubu.

Pobraliśmy się w nocy w kapliczce na Lawendowym Wzgórzu. Proboszcz chyba nie grzeszył rozumem, bo bez przerwy mylił słowa przysięgi. Kiedy nas pobłogosławił, szybko uciekł do swej plebanii.

A my zostaliśmy sami. Moje marzenie stało się rzeczywistością. Nad nami na ciemnym niebie iskrzyło się tysiące gwiazd i lśniła wielka tarcza księżyca. Wiał chłodny wiatr. Ta noc została nam подарowana przez Boga. Rozłożyłem na posadzce kaplicy derkę. Zdjęliśmy ubrania.

Pierwszy dotyk jej ciała był dla mnie jak objawienie...

Rozdział IX

UCIECZKA

Marzec, rok 1172

W opactwie Sankt Gallen, położonym wśród zaśnieżonych szczytów Alp, czas mijał na nieustannej modlitwie i pracy. Benedyktyni żyli według maksymy *Ora et labora* - módl się i pracuj - i ziemskie sprawy nie miały dla nich znaczenia. Mnisi dziwili się więc, że opat spędza ostatnio dużo czasu na dyskusjach z członkami tajnego bractwa, które zebrało się w murach klasztoru. Na zaproszenie opata przybyła cała kapituła owego bractwa. Spotkanie trwało trzy dni. Rozmawiano o zdradzie. Było jasne, że ktoś z członków bractwa spiskuje i zamierza zdobyć mandylion.

Opat Rupert prosił, aby tylko jeden z członków kapituły został z nim dłużej. Był to templariusz Hubert z Croisilles. Pewnego wieczoru, gdy już wszyscy wyjechali, zasiedli obaj przed kominkiem w refektarzu.

- Naszym celem pozostaje przejęcie mandylionu - odezwał się Rupert. - To nie będzie łatwe. Ponieśliśmy już ogromne koszty. Sama siatka szpiegów w Konstantynopolu kosztuje dwadzieścia tysięcy sztuk złota rocznie. Nie wspominając o naszych rezydentach w Królestwie Jerozolimskim. Na szczęście główne koszty ponosicie wy, templariusze, bo my nie mamy tyle pieniędzy, a rzymska kuria jak zwykle nie daje nam nic prócz modlitwy i obietnic.

- To nie takie złe wsparcie - zauważył Hubert. Rupert popatrzył na niego przenikliwie.

- Rzeczywiście, modlitwy nigdy nie za wiele - odrzekł - ale bez waszych pieniędzy łaska Boga i modły Rzymu na nic się zdadzą. Łaska boska opiera się zawsze na naturze. Poza tym, jak wiesz, mamy wewnętrzne problemy. Zdrada w Anglii może sięgać znacznie głębiej, niż przypuszczaliśmy. Hubercie, wciąż myślę o zamordowaniu Becketa. Bractwo w Anglii liczy zaledwie kilkanaście osób i wśród nich należy szukać zdrajcy.

- Masz na myśli biskupa Odilona? - zapytał templariusz.

- Tak - odparł bez wahania benedyktyn. - Prześledziłem jego losy na podstawie dokumentów przywiezionych z Rzymu przez młodego oficjalistę kurii, którego poznałem na spotkaniu, Lotariusza z Segni. Wspaniały młody człowiek...

- Uważaj z tymi pochwałami, Rupercie - zażartował Hubert. - Może ten chłopak zostanie papieżem.

- Niezbadane są wyroki boskie - westchnął Rupert, wznosząc na moment oczy do nieba. - Z owych dokumentów wynika, że Odilon rozpoczął piękną kościelną karierę za papieża Hadriana Czwartego, jak do tej pory jedyne Anglika na Stolicy Piotrowej. Przez pewien czas był nawet specjalnym przedstawicielem Rzymu w Prowansji, gdzie miał za zadanie wytępić herezję

katarów. Do tamtej chwili był członkiem Bractwa co najmniej od lat dwunastu. Tymczasem z listu, jaki wysłał do Rzymu, wynikało, że w walce z heretykami odniósł pewne sukcesy. A przecież wiemy, że to nieprawda. Heretycy nadal pienia się w Prowansji i są coraz bardziej niebezpieczni. Poza tym, jak usłyszeliśmy od przyjaciół z kurii rzymskiej, Odilon został już przedstawiony papieżowi przez króla Henryka Drugiego jako kandydat do tronu arcybiskupa Canterbury i na stanowisko prymasa Anglii... O Boże!!! - wykrzyknął nagle Rupert, zrywając się z zydlu.

- Co się stało?

- Przecież ten młody Anglik, którego wysłaliśmy rok temu do Prowansji, żeby szukał śladów biednego Jeana z Rainecourt, jest wychowankiem Odilona.

Templariusz nie nadążał za tokiem rozumowania Ruperta. Zresztą mnich, mówiąc po łacinie, śmiesznie seplenił, przez co momentami nie można go było zrozumieć.

- No i co z tego? - Hubert wzruszył ramionami.

- Listy!

- Jakie listy?

- Młody Anglik miał listy Odilona do prymasa Becketa i do króla! Boże, Boże, jaki ze mnie głupiec! W dniu jego wyjazdu do Prowansji przyrzekłem mu, że tych listów nie przeczytam.

- Pamiętam! - wykrzyknął Hubert. - Zapomnieliśmy o nim i jego słudze! Gdzie są te listy? Anglik je chyba zabrał, prawda?

- Chyba nie...

Rupert starał się przypomnieć sobie, co zrobił z pergaminami. Po chwili na jego twarzy zagościł uśmiech.

- Wiem, wiem, wiem! Są w klasztornej bibliotece! Brat Malachiasz, który jest naszym bibliotekarzem, na pewno je odnajdzie.

Rupert ruszył do drzwi refektarza.

- Na co czekasz? Chodź ze mną - rzucił.

Prowansja

Minęło pięć miesięcy. Od tamtej upojnej nocy na Lawendowym Wzgórzu nie widziałem Katarzyny. Zostałem wyznaczony przez dowódcę garnizonu na setnika, zacząłem również otrzymywać większy żołd. Dla szlachcica takiego jak ja być kondotierem znaczyło mniej więcej tyle, co stracić honor. Ale wtedy liczyła się dla mnie tylko Katarzyna i chciałem być blisko niej. Pragnąłem zapewnić jej przyszłość. Na majątek ojca liczyć przecież nie mogłem.

Któregoś wieczoru przyszedł do mnie jeden z moich ludzi.

- Jakaś kobieta czeka przed bramą i domaga się widzenia z tobą, panie - oznajmił.

Pobiegłem natychmiast przed bramę. Czekała na mnie Katarzyna. Była zmęczona, blada, ale rozpromieniona. Przytuliłem ją. Drżała z zimna.

- Chodź ze mną... - szepnąłem.

Dzięki dyskrecji owego żołnierza mogłem niepostrzeżenie zaprowadzić ją do izby, którą zajmowałem w jednej z wież.

- Co się stało? - spytałem zaniepokojony.

- Uciekłam! Jakub wrócił niedawno z Tuluzy... Jest niebezpieczny. Nie mogłam dłużej zostać w jego domu.

Moja żona cicho łkała.

- Łajdak - syknąłem. - Zabiję go.

- Gotfrydzie, proszę, wysłuchaj mnie. Wszystko zaczęło się psuć między mną i bratem, od kiedy zaczęłam się źle czuć. Pewnego ranka zauważył, jak wymiotuję na dziedzińcu przed domem. Jakub zna się na ludzkich słabościach. Nie jest głupi. Od tamtego dnia zaczął mnie zamykać w izbie. Opiekowała się mną jakaś kobieta, chuda prawie tak jak on sam. Ten babsztyl pilnował mnie dzień i noc.

- Co on ci zrobił? - zapytałem zrozpaczony. - Ten człowiek nie ma serca.

- Wytrzymałabym to wszystko, ale kiedyś wszedł nagle do mojej izby i kazał opiekunce wyjść. Zapytał mnie, czy jestem w ciąży, a jeśli tak, to kim jest ojciec dziecka.

Zamarłem. Dopiero w tamtej chwili dotarł do mnie sens tego, co mówiła Katarzyna.

- Powiedziałam, że mężczyzna, który jest ojcem mojego dziecka, jest moim mężem, i że zostałam mu zaślubiona przed Bogiem. Jakub wrzeszczał, że każe mnie wychłostać jak zwykłą ladacnicę. Ale nie złamał mnie. Powiedziałam, że imię mojego męża zna Bóg i moje serce i tak już zostanie. Jakub powiedział na to, że zdradziłam go i muszę zostać ukarana. Na jutro zwołał posiedzenie kapituły katarów w Carcassonne. Zarzucił mi cudzołóstwo. To dla katarów jeden z najstraszniejszych grzechów! Grozi za to kara śmierci.

Objąłem żonę. Pocałowaliśmy się tak mocno i tak gorąco, że w tamtej chwili żadna siła nie mogłaby nas rozdzielić.

- Jak zdołałaś uciec?

- Jakuba nie było w domu. Moja opiekunka na chwilę odwróciła się do okna wychodzącego na dziedziniec i wtedy uderzyłam ją z całej siły w głowę szkatułą z drewna. Potem przebrałam się w jej łachy i wyszłam. Widzieli mnie dwaj katarzy, którzy rozmawiali przed domem, ale mnie nie poznali.

Odgarnąłem jej włosy z czoła.

- Kocham cię - powiedziałem.

- Ja też cię kocham...

Uśmiechnęła się. Myślała o tym samym, co ja. Wspominała tę jedyną noc, którą spędziliśmy razem w starej kapliczce pod gwiazdami.

- Musimy uciekać z Carcassonne - powiedziałem bez wahania.

Tylko że nie bardzo wiedziałem dokąd. Mogłem próbować odnaleźć Ruperta, niemieckiego mnicha, który wysłał mnie do Prowansji. Ale ucieczka z ciężarną żoną? Wykluczone. Z pomocą przyszyła mi Katarzyna. - Gotfrydzie,

znam tę krainę lepiej od ciebie. Właściwie o ucieczce myślę od dłuższego czasu. W pobliżu jest ktoś, kto może nam pomóc.

Popatrzyłem na nią jednocześnie zdumiony i zawstydzony. Ta kobieta ułożyła cały plan ucieczki, nie wydała mnie swemu szalonemu bratu, ogłuszyła katarke, która jej pilnowała, uciekła, i co najważniejsze, nosi pod sercem moje dziecko!

- Pojedziemy do przyjaciela mojego ojca, hrabiego Gilles'a z Rouvres - oznajmiła.

- Kto to jest? Nigdy wcześniej mi o nim nie wspominałaś - zapytałem podejrzliwie.

- Przyjaźnił się z moim ojcem. To spokojny człowiek. Jest szlachcicem i zawsze pomagał naszej rodzinie. Jest dziedzicem Carcassonne, ale teraz mieszka poza miastem, w małym zamku.

- Czy jest katarem? Czy dobrze go znasz?

- Pamiętam go z dzieciństwa. Jako mała dziewczynka często bywałam w jego zamku. Zawsze zabierał mnie i Jakuba do siebie, kiedy ojciec wyjeżdżał. Jego żona, Sofia, jest Greczynką. Poznali się w czasie jednej z jego wypraw. Nie mają własnych dzieci. Lubili nas. Myślę, że nam pomoże. Mogłabym zatrzymać się u niego do czasu rozwiązania. Potem pomyślimy, co dalej.

Musiałem przyznać, że Katarzyna dobrze to obmyśliła. W tej chwili ona i dziecko byli najważniejsi.

Poszedłem do wozowni i mimo późnej pory obudziłem stajennego i kazałem natychmiast zaprząć dwa gniadosze do dużego wozu. Poprosiłem również strażników, aby otworzyli mniejszą bramę w południowym skrzydle muru okalającego twierdzę. Wielka brama była zamykana na noc i jej otwarcie obudziłoby pół miasta.

Jeszcze przed północą byliśmy w drodze do zamku Gilles'a z Rouvres. Katarzyna spała, a wóz cicho turkotał na drodze. Kiedy pędziłem na koniu za

Hugonem z Morville do opactwa Canterbury, odczuwałem takie samo podniecenie.

□ □ □

Brat Malachiasz, wysoki małomówny mnich, szybko odnalazł listy biskupa Odilona. Pergaminy były złożone na czworo, przewiązane rzemykiem i oznaczone znaną tylko bibliotekarzowi sygnaturą.

- Są nietknięte - stwierdził z zadowoleniem Rupert, oglądając woskowe pieczęcie biskupa Gloucester.

Podziękował bratu Malachiaszowi i razem z Hubertem poszedł do wielkiego skryptorium, gdzie dziesiątki mnichów z zapalem przepisywało i ilustrowało księgi.

Skierowali się w stronę wolnego miejsca.

- Siadaj przy mnie - nakazał Rupert templariuszowi.

Hubert zauważył, że pracujący tu benedyktyni są zaskoczeni zachowaniem opata, który do klasztornego skryptorium wprowadził obcego człowieka. Siedząc przy stołach, przeszywali templariusza wzrokiem.

- Nie zwracaj na nich uwagi - szepnął Rupert. - Jestem opatem i w moim klasztorze mogę wszystko.

Pergaminy były cztery.

Niemiecki benedyktyn sprawnie złamał pieczęcie kościstymi palcami, odwiązał rzemień na pierwszym liście i rozłożył go. Był to list biskupa Odilona do lorda Mortimera. Benedyktyn i templariusz nie znaleźli w nim niczego ciekawego. Otworzyli następny. Był adresowany do króla. Przeczytali w nim niepokojący zapis. Odilon pisał mianowicie, że Becket nadużył zaufania króla i jeśli Jego Wysokość, król Anglii, uzna za stosowne, prymas powinien zostać niezwłocznie ukarany. Był to dowód nielojalności biskupa, który musiał okazywać Becketowi przynajmniej formalne posłuszeństwo. Rupert uznał, że ten list mógłby stanowić przeszkodę dla ambitnego Odilona, gdyby rzeczywiście chciał zabiegać przed papieżem o arcybiskupstwo Canterbury.

List do samego Becketa był najbardziej intrygujący. Odilon pisał, że odrzuca jego napomnienia i nie może zejść z drogi, jaką obrał wiele lat temu. Dalej pisał, że już niedługo okaże się, kto miał rację w sporze, i aby prymas Becket modlił się do Boga o odpuszczenie grzechów, gdyż niedługo stanie przed nim twarzą w twarz.

- Ależ to groźba! - szepnął podekscytowany Rupert.

- Czytajmy dalej - mruknął Hubert.

Odilon oznajmił, że już niedługo Bractwo Mandylionu zostanie zniszczone mocą stokroć potężniejszą od mocy piekieł, które w przekonaniu Odilona miał uosabiać Rzym i papież. Nie mogli uwierzyć, że biskup Odilon jest zdrajcą. Jednak ten list, niezwykle arogancki, świadczył o tym dobitnie.

- On pisze tak, jakby nie był chrześcijaninem. - Rupert z niedowierzaniem kręcił głową. - To język zemsty i gniewu. - Ostatnie słowa wypowiedział niemal szeptem.

- Rupercie, czy kiedykolwiek spotkałeś Odilona? - chciał wiedzieć Hubert.

- Nie, nigdy. Jak wiesz, jako członek kapituły mam obowiązek utrzymywać kontakty jedynie z innymi członkami kapituły i nie muszę znać wszystkich, którzy stoją w hierarchii Bractwa niżej od nas. O tym, że Odilon jest członkiem Bractwa, przed czterema laty powiedział mi sam Becket, kiedy spotkaliśmy się we Francji. Już wtedy jego stosunki z królem nie były najlepsze i wolał na jakiś czas wyjechać z Anglii. W tysiąc sto siedemdziesiątym roku postanowił wrócić i sam wiesz, jak to się dla niego skończyło.

- Został zabity - westchnął templariusz. - Uważam, że powinniśmy dokładnie przeanalizować ten list, bo nie udowadnia niczego poza tym, że Odilon miał nadzieję na objęcie arcybiskupstwa Canterbury jeszcze za życia Becketa. Może to dowodzić jego niezdrowych ambicji, ale nie musi świadczyć o zdradzie. To oczywiście niczego nie tłumaczy, nie mogę jednak zrozumieć,

dlaczego prymas postanowił wracać do Anglii, skoro wiedział, że król jest mu niechętny?

- Hubercie, znałem dobrze Becketa - odrzekł Rupert. - Należał do kapituły naszego Bractwa i zawsze był człowiekiem kompromisu. Może chciał dojść z królem do porozumienia? Może chytry Plantagenet pragnął, żeby prymas wrócił pod pretekstem zawarcia ugody i wtedy nasłał na niego tych nieszczęsnych rycerzy? Tego się już nigdy nie dowiemy. Mamy listy Odilona. To są fakty. - Mnich postukał palcem w pergamin. - Ten list adresowany do króla wyraźnie świadczy o nadziei na tron prymasa. Kiedy Gotfryd przywiózł list do Londynu, prymas jeszcze żył, a to z kolei może oznaczać, iż być może Odilon wiedział o planowanym zabójstwie.

- Tak, ale list do Becketa jest pełen niejasności - zauważył Hubert. - Zwróć uwagę na słowa: *nie mogę już zawrócić z drogi, którą obrałem wiele lat temu*. Co to znaczy?

- Był biskupem... Nie mógł zawrócić z tej drogi... Nie rozumiem! - wyznał Rupert.

- W moim przekonaniu ten list jest odpowiedzią na wcześniejszy list Becketa do Odilona. Odilon napisał, że nie może zawrócić z drogi, którą już obrał, a jeśli założymy, że Becket znał ważniejszych członków Bractwa w Anglii, to być może okaże się, że to prymas odkrył już wcześniej zdradę Odilona i upomniął go. Odilon, spiskując z królem przeciw prymasowi, wiedział, że po powrocie Becketa do Anglii król i jego otoczenie spróbują zorganizować zamach na prymasa. Wiemy, że dokonali tego ci młodzi rycerze w Canterbury. I dlatego pozwolił sobie na tak arogancki list do prymasa. Czuł się pewnie, ponieważ był przekonany, że król go wesprze, jeśli prymas go potępi. Sprytne. Sam przyznasz.

- Dobrze, Hubercie, ale z tego, co powiedziałaś, wynika, że Odilon działał w porozumieniu z królem.

Popatrzyli sobie w oczy, po czym benedyktyn powiedział cicho, z przerażeniem w głosie:

- Chryste, król został wciągnięty w spisek przeciwko Bractwu. Kto za tym stoi?

- Biskup Odilon - odrzekł z przekonaniem Hubert.

- Dlaczego tak uważasz?

- Ponieważ śmierć Becketa z rozkazu króla była mu bardzo na rękę!

Czytaj: *Bractwo zostanie zniszczone mocą silniejszą od mocy piekieł.* - Hubert wskazał odpowiedni fragment listu. - Przecież ta deklaracja to niemal wypowiedzenie wojny nam wszystkim, na Boga!

Pracujący przy księgach zakonnicy popatrzyli przerażeni na opata i jego gościa, który wymówił imię Pana Boga nadaremno. Niektórzy nawet się przeżegnali.

- Wybaczcie, bracia - przeprosił Rupert. - Wracajcie do pracy! Już wychodzimy.

Opat i Hubert szybko opuścili skryptorium. Rozmowę dokończyli w gabinecie opata.

- Powiedziałeś, Rupercie, że Odilon musiał działać z królem przeciw Bractwu. Niekoniecznie. Posłuchaj, Odilon jest bardzo sprytny. Brał udział w spisku króla wymierzonym przeciwko prymasowi, ale zataił przed nim prawdziwe powody swego postępowania. Teraz wiemy, że zdradził Bractwo i że jest heretykiem. Wynika z tego, iż jest wrogiem papieża i Rzymu. Czy zgodzisz się, że tak też mogło być?

- Nie zaprzeczę - rzekł Rupert. - My, czyli Bractwo, стоимy na straży teologicznego bezpieczeństwa Kościoła. Jeśli ktoś spiskuje przeciw papieżowi, spiskuje przeciw nam.

- Tak! A teraz zbierzmy resztę faktów, które poznaliśmy dzięki Gotfrydowi. Nasz człowiek, Jean z Rainecourt, pojechał do Anglii, żeby zdemaskować Odilona. Zginął w lesie, zastrzelony przez kusznika. Ja z kolei

wiem, że ten kusznik, niejaki Glasdale, był kiedyś członkiem Bractwa i sługą Jeana z Rainecourt.

- Skąd to wiesz?

- Od starego Jeana. Glasdale jest synem weneckiego doży i zakonnicy, która wystąpiła z klasztoru. Nazwisko Glasdale sam sobie nadał, kiedy trafił do Anglii, ale nie wiem, jak naprawdę się nazywa. To on zabił Jeana. Potem próbował zabić Gotfryda i jego giermka na moście w Londynie. Jest więc prawdopodobne, że to Odilon kazał śledzić Gotfryda, żeby mieć pewność, iż jego korespondencja trafi we właściwe ręce.

- Dobrze mówisz - pochwalił Rupert.

- Możemy też założyć, że byłem śledzony. Glasdale, którego Gotfryd spotkał w lesie niedaleko miejsca, gdzie leżało ciało Jeana, chciał go usunąć, bo był świadkiem. Wtedy, w Londynie, mu się to nie udało. Listy, które mamy dzięki temu Anglikowi, naprowadziły nas na ślad morderczego spisku. Zbierz to wszystko...

- Boże... - wyszeptał przerażony Rupert. - A my wysłaliśmy tego młodzika do Prowansji!

- I zapomnieliśmy o nim. A on nie wraca! - dodał Hubert. Opat złapał się za głowę i zaczął nerwowo chodzić po gabinecie.

- Hubercie, skąd pochodził Jean? - zapytał po chwili.

- Z okolic Carcassonne.

- Jedź tam natychmiast i znajdź tego młodego Anglika. Jesteśmy mu to winni. Możesz wziąć z klasztoru tyle koni i pieniędzy, ile ci potrzeba. Będziesz musiał wziąć też ludzi do pomocy.

- Nie mam czasu, by pojechać do naszego zamku w Paryżu - odparł templariusz. - Pojadę z moimi giermkami. Będzie nas trzech.

Dwa dni potem Hubert wraz z giermkami wyruszył z opactwa na zachód. Była połowa marca i śniegi na alpejskich przełęczach zaczynały topnieć. Postanowił skrócić sobie drogę do północnej Italii, jadąc przez przełęcz

Świętego Gotarda. Stamtąd, wzdłuż koryta Padu, zamierzał udać się do Turynu, a potem, doliną Aosty, dotrzeć na przełęcz Świętego Bernarda. Po burgundzkiej stronie Alp wiódł już trakt przez Awinion w kierunku Prowansji. Do Carcassonne zamierzał dotrzeć przed upływem czterech miesięcy, zanim nadejdzie jesień.



Do zamku Gilles'a z Rouvres dotarliśmy po dwóch dniach. Zapukaliśmy w bramę i po chwili rozległy się kroki. Zgrzytnął zamek i otworzyło się małe okienko, w którym ukazała się nalana twarz.

- Czego chcecie? - warknął ktoś.

- Jestem Katarzyna de Rainecourt. Powiedz swemu panu, że potrzebuję pomocy.

Grubas zmierzył moją żonę podejrzliwym spojrzeniem, po czym zamknął okienko. Znów usłyszeliśmy kroki. Miałem uczucie, że nie powinniśmy przekraczać progów tego zamku, ale bałem się o Katarzynę. Bo gdzież mógłbym znaleźć bezpieczniejsze schronienie dla niej i dziecka? Po dłuższej chwili znów usłyszeliśmy kroki, tym razem przeplatające się z głosami. Ktoś krzyczał: „Ruszać się!”. Wielka brama z masywnych dębowych bali rozwarła się przed nami. Stał w niej człowiek w skromnym szarym kaftanie. Zastanowiło mnie, dlaczego nosi się tak jak Jakub i inni katarzy, ale moja żona rzuciła mu się na szyję.

- Wujek Gilles!

- Katarzyno, dziecko moje, gdy odźwierny powiedział mi, że czekasz pod bramą, pomyślałem, że to niemożliwe, ale skoro teraz cię widzę, to znaczy, że Bóg zgotował mi wspaniałą niespodziankę - mówił Gilles, nie kryjąc wzruszenia.

Był to człowiek lat około pięćdziesięciu. Miał siwe, długie, opadające na ramiona włosy, ale jeden szczegół zaniepokoił mnie bardziej od szarej szaty -

oczy tego mężczyzny emanowały dziwną energią, przyciągały uwagę, nie pozwalały uciec spojrzeniem w inną stronę.

- A to kto? - spytał, spoglądając na mnie podejrzliwie.

- Mój mąż - odparła cicho Katarzyna.

Podszedł do mnie. Nigdy nie czułem wobec żadnego innego człowieka takiej bojaźni.

- Jeśli jesteś mężem Katarzyny, jesteś w takim razie również moim synem. Jak cię zwa?

- Gotfryd z Melville, dziedzic Gloucester.

□ □ □

Glasdale lubił długo spać, ale tego dnia zbudził go silny kopniak. Zerwał się wściekły, ale dopiero kiedy zobaczył, kto go tak obcesowo obudził, uklęknął przestraszony.

- Mistrzu, wybacz moją opieszałość - wyszeptał.

- Glasdale, bracie, jedź do Jakuba z tym listem. - Mężczyzna wręczył mu rulon pergaminu.

- Jestem na twe rozkazy...

□ □ □

Po raz pierwszy od dłuższego czasu byłem spokojny o przyszłość. Gilles przyjął nas serdecznie i zacząłem wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Miałem zostać ojcem i miałem obok siebie kobietę, którą kochałem. Wreszcie uśmiechnęło się do mnie szczęście.

Mieszkaliśmy z Katarzyną we wschodnim skrzydle zamku. Komnata była obszerna, z zasłaną skórą podłogą. Znajdowało się w niej tylko jedno okno przesłonięte błoną, ale i tak słońce wpadało przez szpary i oświetlało wnętrze.

Pewnej nocy zbudził mnie tętent kopyt. Podszedłem do okna i zobaczyłem jeźdźca, który pędził w kierunku gościńca wiodącego do Carcassonne.

Rozdział X

WIELKI BUDOWICZY

Moja ukochana postanowiła, że będzie lepiej, jeśli wrócę do Carcassonne. Tłumaczyła, iż powinienem uczynić to dla jej bezpieczeństwa, a także by nie budzić podejrzeń. Miałem zresztą służbę na zamku. Poza tym Jakub, jeśli już wie, że Katarzyna uciekła, będzie miał pretensje tylko do mnie. Oczywiście nie mógł mieć pewności, że to ja kochałem ciało i duszę jego siostry, ale nawet przez chwilę nie wątpiłem, że gdyby chciał tę pewność zyskać, jego liczni zwolennicy pomogliby mu w tym i w dodatku przynieśli na tacy moją głowę. Katarzyna miała urodzić dopiero za cztery miesiące, udałem się więc do Carcassonne z przeświadczeniem, że wszystko będzie dobrze i że już nic nas nie rozdzieli.

Pierwszym ostrzeżeniem powinna być dla mnie obojętność i wyniosłość Jakuba. Spodziewałem się, że po ucieczce siostry wpadnie w szal i będzie mnie wypytywał, czy wiem, gdzie ona jest. Wyobraziłem sobie, że na pytania będę odpowiadał w taki oto sposób: Nie jestem stróżem, ani tym bardziej mężem jego siostry i jeśli zaginęła, chętnie pomogę mu ją odszukać.

Ale Jakub o nic nie pytał i nie chciał ze mną rozmawiać. Widziałem go kilka razy podczas procesji. Nie sprawiał wrażenia człowieka przejętego losem siostry.

Gdy minęły cztery miesiące, postanowiłem, że podczas kilku wolnych dni pojedę do majątku Gilles'a z Rouvres, by zobaczyć żonę i dziecko.

□ □ □

Bramy zamku były zamknięte. Objechałem kilka razy całą posiadłość, ale nikt wewnątrz murów nie dawał znaku życia. Zsiadłem z konia i bezsilny uderzałem pięściami w bramę. Odpowiedziała mi głucha cisza. W pewnym momencie usłyszałem gdzieś na murach czyjeś kroki. Słyszałem je wyraźnie: ciężkie, podkute buty stukały o kamienie.

Chwyciłem konia za uzdę i poprowadziłem go na zwodzony most, ponieważ chciałem widzieć człowieka nad bramą. Gdy go ujrzałem, było już za

późno. Mierzył do mnie z kuszy. W jednej chwili go poznałem. Ten sam kaptur, ta sama sylwetka! Kiedy wsparta o ramię kusza miała wystrzelić śmiercionośny bełt, zdałem sobie sprawę, że jestem bezbronny. W ostatniej chwili ukryłem się za koniem. Usłyszałem tylko świst strzały i przeraźliwe rzenie śmiertelnie rannego wierzchowca. Jego krew obryzgała mi twarz, bo grot utkwiał głęboko w szyi. Zwierzę przechyliło się i wpadliśmy do ciemnej wody wypełniającej fosę. Pomyślałem, że to koniec, za chwilę nadbiegną pachołkowie Gilles'a i zatłuką mnie kijami. Ponieważ most był dość wysoko nad fosą - około trzydziestu, czterdziestu łokci - a sama fosa dość głęboka, kusznik miał teraz utrudnione zadanie i nie trafił.

Nie pamiętam, jak zdołałem uwolnić się od trupa konia, który ciągnął mnie na dno. Jestem przekonany, że to Bóg mnie ocalił. Na szczęście nie miałem na sobie kolczugi, bo gdybym ją włożył, na pewno bym się utopił. Wypłynąłem na powierzchnię i złapałem się belki mostu, oślizłej i pokrytej glonami. Usłyszałem, jak otwiera się brama. Na most wybiegło kilku ludzi. Wpatrywali się w wodę, na której unosił się mój płaszcz.

- Trafiłeś go?

Był to głos Jakuba. Nie wiem, w jaki diabelski sposób zdołał dotrzeć do zamku Gilles'a!

- Tak, paniczu Jakubie - odrzekł z dumą drugi głos, który także wydał mi się znajomy. - Widziałem, że próbował schować się za koniem, ale pewnie grot kuszy zabił i jego, i konia. Kusza brata Tomasza z trzystu kroków przebija najtwardszą kolczugę.

Już wiedziałem, kto to mówi - ksiądz, który udzielił ślubu mnie i Katarzynie!

- Ciało nie wypłynęło - stwierdził Jakub.

- Może miał na sobie kolczugę? - zabrzmiał trzeci głos. - Albo koń go przygniół. Niech zgnije w tej fosie. Nie masz się już kim przejmować, Jakubie. Ten Anglik na pewno nie żyje. Glasdale świetnie strzela.

Przeszedł mnie dreszcz. Trzeci głos należał do Gilles'a. Katarzyna i dziecko znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Dziękuję, że wreszcie któryś z was mnie docenił - mruknął Glasdale.

Moi prześladowcy stali jeszcze chwilę na moście, po czym wrócili do zamku. Słyszałem, jak brama zamyka się z brzękiem łańcuchów.

Obolały, z pękniętymi żebrami, wyteżalem wszystkie siły, żeby nie puścić się oślizłej belki mostu. Każda chwila w wodzie była udręką. Czułem, że długo nie wytrzymam. Zdołałem wreszcie podплыnąć kilka łokci w stronę stromego brzegu fosy, aby stanąć na mulistym i grząskim dnie. Odetchnąłem z ulgą.

Postanowiłem, że zostanę tu do zmroku. Towarzyszyły mi jedynie żaby, które po zachodzie słońca zaczęły wesoło kumkać. Byłem mokry, oblepiony wodorostami, błotem i krwią mojego konia. Czekałem na noc, by pod jej życzliwą osłoną uciec. Wciąż myślałem o Katarzynie. Świadomość, że może ją zabito, była straszna. Jedyne, co mi pozostało, to starać się dotrzeć do Carcassonne i sprowadzić żołnierzy hrabiego Tuluzy.

□ □ □

Hubert i jego trzech giermkowie po wielomiesięcznej podróży zatrzymali się jakieś dziesięć mil na wschód od Carcassonne. Postanowili niezwłocznie udać się do miasta i próbować dowiedzieć się czegoś o młodym człowieku z Anglii. Przed mniej więcej dwoma laty przybył do miasta w towarzystwie służącego. Postanowili sprawdzić wszystkie karczmy, gospody i popytać w zamku komendanta twierdzy. Hubert miał przy sobie sporo złota, więc gdyby zaszła konieczność wręczenia komuś łapówki, sprytny templariusz nie zawahałby się zrobić z klasztornych pieniędzy użytku. Wszak cel uświęca środki.

□ □ □

Kiedy miałem zamiar wygramolić się wreszcie na brzeg fosy, posypało się na mnie coś białego i usłyszałem soczyste przekleństwa:

- A niech was gzy pokąsają! Psubraty, cholerne dusigrosze! Jesteście jeszcze gorsi od tych skapiradeł mnichów, którzy przynajmniej dwa razy na rok płacili złotem za mąkę! - wrzeszczał ktoś.

- Salgado, grzeszysz! - rozległ się z murów melodyjny i spokojny głos Jakuba.

- A niech cię szlag trafi, Jakubie! Myślisz, że będę oddawał mąkę za darmo, za obietnicę twojego raję? Nigdy!

- Powinieneś dbać o życie wieczne! - odparł, teraz już gniewnie, Jakub. - Jesteś opętany pragnieniem posiadania złota!

- Ja to nazywam troską o moje dzieciaki i żonę, która narzeka, że nie ma co do garnka włożyć! Od roku nie płacisz mi za mąkę, ty skąpy łotrze!

- Bo mielesz ją ze zboża, które rośnie na mojej ziemi! - odciął się Jakub.

- Ale należy mi się zapłata za jej zmielenie i dostarczenie! - upierał się młynarz. - Skoro nie płacisz, zabieram mąkę. Możesz mnie straszyć piekłem! Poskarżę się hrabiemu Tuluzy!

- Opamiętaj się, grzeszniku! - grzmiał z murów Jakub. - Jesteś potępiony! Czy nie rozumiesz, że zło bierze swój początek z wszelkiej materii, z pieniędzy, które chcesz ode mnie dostać, a których ja nie mam, gdyż się nimi brzydzę? Mogę ci zapłacić za mąkę moimi naukami!

- Wolałbym słuchać beczenia owiec! Niech was wszystkich piekło pochłonie! - odkrzyknął młynarz.

- Ogień piekielny spali cię, grzeszniku, kiedy nadejdzie koniec świata! - rzucił gniewnie Jakub i odszedł.

Zauważyłem przez szpary w belkach mostu, że młynarzowi towarzyszą parobkowie. Przez most przejechały dwa wozy. Kiedy drugi wóz zjeżdżał z mostu na suchą drogę, konie czegoś się przstraszyły i nerwowo szarpnęły do przodu. Wóz zachybotał się i do fosy wpadł z pluskiem wielki worek mąki.

Młynarz posłał pod adresem parobków wiązanę strasznych przekleństw.

- Nuże do wody! - wrzeszczał. - Skaczcie i natychmiast wyciągnijcie mi ten worek!

- Ależ, Salgado, tam jest głęboko! - protestowali parobkowie.

- Do wody! Bo nie dostaniecie dzisiaj jeść! Wreszcie jeden z wyrostków wskoczył do fosy.

- Uważaj - ostrzegł go młynarz - w wodzie może być trup tego łotra, którego dzisiaj zatłukli przed bramą.

Serce zabiło mi szybciej.

Parobek wypłynął blisko mnie, ale mnie nie dostrzegł, bo schowałem się za przęsłem. Zanurkował. Kiedy się wynurzył, powiedział do swego pana stojącego na brzegu:

- Nie widzę worka. Musiał pójść na dno!

- A niech was wszystkich piekło pochłonie! - pomstował młynarz. - Masz nurkować tak długo, póki go nie wyłowisz!

- Salgado, komu potrzebny worek mokrej mąki? - pytali parobkowie.

- A co was to obchodzi? Nie chcę zostawiać w tym miejscu nawet czegoś takiego - warknął młynarz.

I wtedy chłopak mnie zauważył. Znieruchomiał.

- Nie krzycz - poprosiłem szeptem. - Jeżeli mnie wydasz, ludzie Jakuba mnie zabiją.

- To do was dziś strzelali, panie? - zapytał po cichu chłopak.

- Co tam się dzieje?! - wrzasnął strażnik pełniący wartę na murach. - Państwo chcą spać, a wy wrzeszczycie!

- Worek z mąką wpadł mi do fosy! - odpowiedział Salgado.

- To wyciągnijcie go i znikajcie - warknął strażnik i poszedł dalej.

Dzięki ci, Boże, pomyślałem, że strażnicy są tacy leniwi.

- Chłopcze - rzekłem do parobka - jestem szlachcicem. Idź na brzeg i powiedz swemu panu, że jeśli mnie wyciągnie, nie minie go nagroda. Zapłacę za całą mąkę. Błagam, pomóż mi.

- Dobrze - zgodził się chłopak po chwili.

Popłynął do brzegu i zawołał swoich. Widziałem, jak pomagają mu wygramolić się na brzeg. Kilku z nich trzymało płonące pochodnie.

Młynarz gderał przez cały czas:

- Co za nieroby! Nie potrafią wyciągnąć worka z wody! Potrącę wam za ten worek! Niech was wszystkich szlag trafi, darmozjady jedne! Żyjecie z mojej krwawicy!

Potem nastąpiła chwila ciszy, dla mnie niewyobrażalnie długa. Nagle Salgado zaczął mówić od rzeczy:

- Co?! Za ciężki! Mój worek jest pod mostem i się nie rusza? Co ty mówisz, Paul? Co to za bzdury? To dobrze... he, he, he, jest zmoczony, oblepiony wodorostami? Kiedy podpłynie pod brzeg, będzie nam łatwiej go wyciągnąć! - To ostatnie słowo powiedział z naciskiem.

Nagle zrozumiałem. Z trudem łapiąc powietrze, zacząłem płynąć do brzegu.

- Zgaście pochodnie! - syknął młynarz.

Kiedy zrobiło się ciemno, ktoś rzucił mi sznur. Ostatkiem sił złapałem się go i podciągałem na rękach, a po chwili pochwyciły mnie silne ręce parobków.

Mimo ciemności poznałem młynarza po wielkim brzuchu.

- Dziękuję... - wysapałem.

Zanim straciłem przytomność, usłyszałem śmiech Salgada i okrzyk:

- Worek się znalazł! Ruszamy!

□ □ □

Minęło wiele dni. Mój wybawca, młynarz Salgado, zaopiekował się mną troskliwie. Wiedząc, że ma na pieńku z Jakubem, i chcąc zdobyć jego zaufanie, zdecydowałem się opowiedzieć dużą część mojej historii. Gdy doszedłem do ślubu z Katarzyną, Salgado złapał się za głowę.

- Biedny chłopcze, twoja żona musiała się naprawdę w tobie zakochać, skoro wzięła ślub katolicki. Musisz jednak poznać prawdę.

- Jaką prawdę? - czułem, że bledną.
- Katarzyna zawsze była złym cieniem brata.
- Jak to?

- To ona przewodziła katarskim kobietom w Carcassonne. Katarzy traktowali ją jak kapłankę. Moja żona wiele razy uczestniczyła w ich nabożeństwach. Widziała tam Katarzynę. To ona kierowała Jakubem, a nie on nią.

- Przecież była w ciąży... - wyjaśniłem. - Uciekła przed bratem do Gilles'a de Rouvres...

Młynarz patrzył na mnie ze smutkiem. Zrozumiałem, że wie coś niecoś o Gilles'u, Katarzynie, katarach i starym Jeanie z Rainecourt. Po chwili rzekł:

- Gilles jest jeszcze gorszym człowiekiem od Jakuba. To on przed wieloma laty odebrał dzieci mojemu panu. Wiem o tym, bo mój pan, rycerz Jean z Rainecourt, bardzo cierpiał. Szczególnie bolał nad losem córki. Katarzyna uważała się za wcielenie Marii Magdaleny, która przed wieloma setkami lat przybyła z Palestyny do Prowansji. Została najbardziej gorliwą uczennicą Gilles'a. Nie mogłeś gorzej trafić, młodzieńcze - westchnął Salgado.

Zapłakałem. Jednak nie nad sobą, tylko nad moją żoną, która wykorzystwała i brata, i mnie. Lecz moja miłość do niej była szczerą. Pomyślałem, że jeśli nie spróbuje, jej odnaleźć i wyrwać ze szponów sekty, do końca życia będą mnie dręczyły wyrzuty sumienia.

Była moim porankiem i moim wieczorem, moją muzyką i moją ciszą, spełnieniem pragnień i nocnym odpoczynkiem. Nie mogłem o niej zapomnieć.

- A ksiądz? - zapytałem ze łzami w oczach. - Przecież udzielił nam ślubu...

- Kiedyś był księdzem - odrzekł Salgado - ale teraz jest katarzem. Wszystko zostało ukartowane. Spotkałem tego księdza na zamku Gilles'a. Jest jego uczniem.

- Jean de Rainecourt nie żyje - wyjawilem. - Przybyłem do Prowansji, aby dowiedzieć się, dlaczego został zamordowany...

Salgado ukrył twarz w dłoniach i długo milczał.

- Kto go zabił? - spytał wreszcie.

- Tomasz Glasdale. Jego też znasz? Młynarz skinął głową.

- To bękart weneckiego doży. Służył memu panu, a potem uciekł z jedną z dworów królowej Eleonory Akwitańskiej do Anglii. To morderca.

Uśmiechnął się gorzko. W oczach miał łzy. Włożył rękę za pazuchę i wyciągnął mały skórzany woreczek. Rozsupłał węzeł i wyjął złożoną... chustę.

- Jean de Rainecourt był moim panem. Wiele lat temu służyłem mu podczas krucjaty w Jerozolimie - rzekł.

Ponieważ obaj mieliśmy chusty, Salgado przysiągł, że nie zostawi mnie w potrzebie. Poza tym był przekonany, że spotkaliśmy się z woli bożej. Dzięki niemu zdołałem odtworzyć przebieg pierwszej wyprawy Jeana z Rainecourt do Ziemi Świętej. Jego towarzyszem, który pierwszy na ziemiach cesarstwa bizantyjskiego spotkał sektę bogomiłów, był Gilles z Rouvres. To on był Wielkim Budowniczym, przywódcą katarów.

Salgado powiedział mi, że dla katarów jest on tym, kim papież dla katolików. Zacząłem podejrzewać, że Katarzyna celowo nas do niego zaprowadziła. Jej dwulicowość bardzo mnie bolała. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego wzięła ze mną ślub. Dlaczego udawała, że mnie kocha? Salgado wytłumaczył mi, że być może Jakub i Gilles chcieli mnie nawrócić na swoją wiarę, ale widząc mój upór, Jakub podsunął mi Katarzynę. Nie mógł jednak przewidzieć, że jego siostra się we mnie zakocha. Kiedy urodziło się dziecko, postanowili nas rozdzielić.

Salgado dość dobrze orientował się w zamiarach katarów. Znał przecież uczestników nieszczęsnej wyprawy, która zabłądziła na ziemiach należących do Bizancjum i przyniosła stamtąd herezję do południowej Francji.

Te dni były dla mnie czasem duchowych męczarni. Brakuje mi słów, by opisać piekło, w jakim się znalazłem. Żyłem na jawie i jednocześnie we śnie. Mój ból był zbyt wielki, abym go udźwignął. Znalazłem się o krok od szaleństwa.

W malignie miałem wizję. Początkowo wyglądała jak mgielka, która wpłynęła do izby. Z wolna zaczęła formować się z niej ludzka postać. Po chwili rozpoznałem zjawę - stała przed mną moja matka. Wyglądała jak wtedy, kiedy po raz ostatni widziałem ją w świecie żywych.

- Synu...

Słyszałem wyraźnie jej głos, choć nie poruszała ustami.

- Synu... musisz żyć...

- Jak mam żyć bez niej? Kocham ją...

- I ona kocha ciebie. Nie poddawaj się rozpacz, albowiem nie ma takiego ciężaru, którego nie można unieść dla miłości.

- Jak mam ją odnaleźć? - pytałem zrozpaczony.

- Spotkacie się w ciemnej dolinie. Nie bój się, to miejsce jest na ziemi - odrzekła matka.

Jej głos zaczynał się oddalać, a postać rozplýwać w powietrzu.

- Musisz żyć... - usłyszałem jeszcze. Znowu byłem sam. Nie czułem już jednak bólu w duszy. Uwierzyłem w to, co powiedziała mi matka: Katarzyna mnie kocha. Gdy się ocknąłem, zobaczyłem zatroskaną twarz młynarza

- Panie, majaczyłeś przez trzy dni. Myśleliśmy z żoną, że już po tobie. Bogu dzięki, żeś się ocknął.

- Jestem głodny - wyszeptałem.

- To znaczy, że wraca ci ochota do życia - ucieszyła się Debora, żona młynarza, kobieta tęga i rumiana jak jej mąż.

□ □ □

Debora chodziła od czasu do czasu na nabożeństwa katarów. Mogła również swobodnie wchodzić do zamku Gilles'a z Rouvres, bo zanosila tam

świeże jaja, sery i chleb. To ona dowiedziała się, że Katarzynę wywiózł gdzieś Glasdale ze swoimi zbirami. Bez dziecka.

Najważniejsze było jednak to, że miałem syna. Katarzyna nazwała go Baldwin. Nie został ochrzczony i wychowywała go żona Gilles'a. Debora dowiedziała się również, że z Carcassonne sprowadzono dla dziecka mamkę, ponieważ Katarzyna źle zniosła poród i nie miała pokarmu. Na samą myśl, że Gilles i Jakub rozdzielili matkę i dziecko, ogarnął mnie ślepy gniew. Przysiągłem sobie, że mi za to zapłacą i dołożę wszelkich starań, aby zniszczyć katarów.



Któregoś dnia wybrałem się z Salgadem do Carcassonne, choć młynarz uważał, że nie powinienem się tam pokazywać. Przebrałem się za parobka i dźwigałem wory mąki, ja, normański szlachcic! Byłem wychudzony i miałem długą brodę. Gdyby widział mnie mój ojciec! Poczulem się jak jeden z tych biedaków na podgrodziu Gloucester.

Gdy wracaliśmy z targu, Salgado zauważył, że obserwuje nas jakiś człowiek. Nosił białą tunikę z czerwonym krzyżem, na którą narzucił długą czarną opończę. Nie odwracając się, zapytałem młynarza o kolor jego włosów. Powiedział, że są jasne jak pszenica.

- Hubert! - wykrzyknąłem i bez namysłu ruszyłem w jego stronę.

Poznał mnie natychmiast, mimo mojej długiej brody i nędznego odzienia, lecz nie okazał emocji.

Dopiero za miastem padliśmy sobie w objęcia.

- Gotfrydzie, ojciec Rupert kazał mi cię odnaleźć, lecz znalazłem nie dumnego szlachcica z Albionu, ale... przytłoczonego życiem parobka - rzekł smutno. - Co cię spotkało, że tak wyglądasz? - pytał, spoglądając na moje łąchmany.

- To długa historia...

W ciągu kilku następnych dni młyn stał się miejscem zawiązania spisku. Opowiadanie Salgada utwierdziło Huberta w przekonaniu, że biskup Odilon z Renault, rycerz Gilles z Rouvres i Jakub z Rainecourt zamierzają zniszczyć Bractwo Mandylionu. Dlaczego? Wyjaśnił to Hubert. Wyznał, że wraz z Rupertem przeczytali listy biskupa, które dałem Rupertowi na przechowanie przed wyruszeniem do Prowansji. Katarzy chcieli przejąć mandylion, zanim uczyni to Bractwo. Opowiedziałem Hubertowi o Katarzynie i o moim synu. Postanowiliśmy, że chłopca za wszelką cenę trzeba odebrać Gilles'owi.

Niestety, dokąd została wywieziona Katarzyna, nie wiedział nikt.

Zastanowiło mnie, dlaczego wśród katarów znajduje się oddział zbrojnych, wszak katarzy brzydzą się przemocą.

- Widać, Gotfrydzie, nie wszyscy stosują się do tego zakazu - wyjaśnił Hubert. - Uważam, że Glasdale zebrał kilkunastu najemników. Zabijają dla pieniędzy. Poza tym dobrze się stało, że wyjechali. Szanse na odbicie twego syna są przez to większe.

Debora przekazała nam wiadomość, iż Gilles zamierza uznać dziecko Katarzyny za swoje i uczynić je dziedzicem.

Za tydzień miało się odbyć katarskie Święto Życia, które obchodzono w pierwszą niedzielę po wiosennej pełni księżyca - w tym samym czasie, kiedy katolicy obchodzili Zmartwychwstanie Pańskie. Na samą myśl o tym, że Gilles chce ukraść mi syna, obudziła się we mnie żądza zemsty. Debora nie zdołała dowiedzieć się niczego o losie mojej żony. Uznaliśmy, że najlepszym czasem na wykradzenie dziecka będzie moment, kiedy Gilles ruszy do Carcassonne na święto.

Przygotowaliśmy starannie zasadzkę: rozstawiliśmy czujki wzdłuż gościńca prowadzącego od posiadłości Gilles'a do Carcassonne. Ludzie Huberta ukryli się wśród pinii rosnących wzdłuż gościńca. Dzień wcześniej giernkowie Huberta ścięli okazałe drzewo i ułożyli je w poprzek na drodze. Pozostało tylko czekać.



Gilles podróżował wozem w towarzystwie kilku sług na koniach. Nie mieli broni. Kiedy usłyszeliśmy, że słudzy Gilles zatrzymali się, przecięliśmy im drogę. Całkowicie zaskoczeni, nie stawiali oporu. Mistrz nauczał przecież, że przemoc jest złem.

Sam Wielki Budowniczy także nie próbował się bronić. Zaskoczył go tylko widok Salgada, który w geście triumfu pomachał chustą z wizerunkiem Chrystusa. Oczy Gilles'a zapłonęły wściekłością, kiedy ujrzał białą tunikę z czerwonym krzyżem, jaką miał na sobie Hubert. Podjechałem do wozu.

- Oddaj mi syna - zażądałem.

- Ty...Ty... przecież nie żyjesz! - wyjąkał Gilles.

- Gdzie jest mój syn?

- W moim zamku. Jeśli chcesz go odzyskać, musisz zdobyć zamek - odpowiedział zimno.

- Kłamiesz, ty heretycka świnio - syknąłem. - Jedziesz z moim synem na święto heretyków do Carcassonne.

Gilles popatrzył na mnie z nienawiścią.

- To dziecko jest święte. Jest nasze... Położyłem dłoń na jelcu miecza.

- Jeszcze raz usłyszę, jak mówisz tak o moim synu... zabiję. Oddawaj dziecko!...

- A co mi zrobisz?

- Zarżnę cię jak wieprza. Oddawaj moje dziecko!

- Nie! Chłopiec należy do mnie. - Gilles był nieubłagany. Skinąłem na Huberta, a on dał znak jednemu z giermków, aby przeszukał wóz. Po chwili wywłókł z niego przerażoną czarnowłosą kobietę, trzymającą na rękach niemowlę, które natychmiast zaczęło płakać.

Żona Gilles'a odsunęła kocyk i ujrzałem małą twarzyczkę Baldwina. Wzruszenie ścisnęło mi serce. Skinąłem na Salgada, który zsiadł z konia i wziął dziecko na ręce.

- Nigdy nie dowiesz się, Angliku, co stało się z Katarzyną - wycodził hrabia Rouvres. - Nigdy cię nie kochała. Urodziła to dziecko dla nas... Ono będzie Antychrystem, który zniszczy tę splugawioną dziwkę, Kościół rzymski! - krzyczał. - Jesteś już trupem! Tak jak całe to Bractwo! Dopadniemy was wszystkich, mamy ludzi wszędzie, na wszystkich dworach w Europie...

Mówiłby tak zapewne bardzo długo, ale wrzasnąłem:

- Przestań ujadać, psie!

Dobyłem miecza. Jak przez mgłę pamiętam krzyk moich przyjaciół: „Nie rób tego!”. Obróciłem się w siodle, żeby lepiej zadać cios. Uderzyłem tak mocno, że ostrze miecza przecięło głowę Gilles’a aż po zęby, a jego broczące krwią ciało zważyło się na wóz. Greczynka rzuciła się na męża, szlochając spazmatycznie. Słudzy próbowali mnie dopaść, ale nie potrafili walczyć, dlatego trzech z nich zginęło z rąk templariuszy, zanim choćby mnie dotknęli.

Hubert spojrzał na zawodzącą Greczynkę i trupa we krwi.

- Coś ty zrobił najlepszego, Gotfrydzie? - wyszeptał. - On był nam potrzebny. Bez niego nie dowiemy się niczego o zamiarach katarów. Zabiłeś bezbronno człowieka - dodał.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to przecież heretyk. To prawda, Gilles z Rouvres był heretykiem, ale przede wszystkim był człowiekiem stworzonym, tak jak ja, na obraz i podobieństwo Boga.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział XI

POWRÓT SYNA MARNOTRAWNEGO

Następne lata były dla mnie latami tułaczki. Zostałem najemnikiem i użyczałem mego miecza akwitańskim feudałom, którzy prowadzili wojny z królem Francji. Wyćwiczyłem się w wojennym fachu. Wychowanie mego syna było kosztowne, a w ten sposób zarabiałem godziwe pieniądze.

Baldwin wyrósł na ładnego chłopca. Był bardzo podobny do Katarzyny: miał jej usta, mały nos i błękitne oczy, i co najważniejsze, takie same włosy jak ona - w kolorze dojrzałej pszenicy. Tylko siłę i charakter odziedziczył po mnie. Przez pierwszych dwanaście lat wychowywał go Salgado i jego żona Debora. Kochali mego syna, jakby był ich własnym dzieckiem, ponieważ sami dzieci nie mieli.

Wychowali go dobrze, jednak oboje byli już starzy i zmęczeni, więc gdy Baldwin skończył dwanaście lat, postanowiłem, że sam się nim zajmę. Chciałem, aby był lepszym człowiekiem i lepszym żołnierzem niż ja. Po śmierci Debory Salgado wyjechał do Hiszpanii. Był z pochodzenia Aragończykiem i ciągnęło go na starość w rodzinne strony. Chwalił się, że wyrusza na krucjatę, bo Aragończycy, podobnie jak Katalończycy czy Kastylijczycy, walczyli z Arabami w Hiszpanii. Już nigdy go nie zobaczyłem. Niech dobry Bóg zaopiekuje się jego duszą.

Ponieważ uważałem, że dzieci nie powinny być rozpieszczane, oddałem Baldwina do klasztoru cystersów niedaleko Bordeaux, aby tam zdobył wykształcenie. Mnisi nauczyli go czytać i pisać po łacinie i francusku. Żałowałem, że nie zdołałem nauczyć go mowy angielskiej, języka mojej matki. Jednak Baldwinowi nie podobała się klasztorna dyscyplina. Zupełnie tak jak mnie przed wieloma laty. W wieku czternastu wiosen zaczął mi towarzyszyć. Codziennie ćwiczyliśmy walkę na drewniane miecze i chociaż czasami był poobijany, widziałem w jego oczach normańską zawziętość. Któregoś dnia pokonał mnie i nabił mi kilka guzów.

Hubert wrócił do siedziby templariuszy w Paryżu, a Rupert, mimo swych pięćdziesięciu trzech lat, trzymał się dobrze i przewodził Bractwu żelazną ręką. Przez te lata dostawałem od niego listy, w których coraz więcej uwagi poświęcał roli Bractwa w Królestwie Jerozolimskim, które od przeszło stu lat było forpoczta Europą na Bliskim Wschodzie.

Ktoś jednak o mnie nie zapomniał. Jakub od czternastu lat był przywódcą katarów. To on decydował, co dobre, a co złe w dziwnym świecie heretyków, szaleńców i mistyków. To on został Wielkim Budowniczym.

Kiedy czternaście lat temu Gilles z Rouvres nie przybył na święto do Carcassonne, katarzy się zaniepokoiłi. Jakub tego samego dnia zarządził poszukiwania. Znalaziono ciało Gilles'a z rozplataną głową. Jakub jednak po nim nie płakał, bo ludzkie uczucia coraz rzadziej miały dostęp do jego duszy. Tak naprawdę nie miał powodu do smutku, ponieważ wraz ze śmiercią Gilles'a został najważniejszym wśród katarów.

Wiem, że przez wiele lat mnie szukał, ale nie mógł natrafić na mój ślad. Wiedział, że odzyskałem dziecko. Powiedziała mu o tym żona Gilles'a. Będąc najemnikiem w Akwitanii, dowiedziałem się od katarów zatrzymywanych tam przez katolickich wielmożów, że sekta poszukuje dziecka. Nie jestem jednak pewien, czy po tylu latach chodziło im o mego Baldwina, czy też potrzebowali innego dziecka, któremu z niezrozumiałych dla mnie powodów zamierzali oddawać cześć.

Nienawiść do katarów zapuściła głęboko korzenie w mojej duszy. Wciąż rozbrzmiewały mi w uszach słowa Gilles'a, który powiedział, że Katarzyna nie była wobec mnie szczerą nawet wtedy, kiedy się ze mną kochała w kapliczce na Lawendowym Wzgórzu. Nie chciałem wierzyć, że cały czas działała w porozumieniu z Jakubem. Spotykani przez mnie heretycy opowiadali, że jedna z katarskich kobiet stworzyła żeńską wspólnotę w okolicach Tuluzy. Mówiła o sobie, że jest wcieleniem Marii Magdaleny. Wiedziałem, że to Katarzyna. Trudno mi było żyć ze świadomością, iż jest teraz innym człowiekiem niż ta radosna i piękna dziewczyna, którą pokochałem. Bałem się, że gdy kiedyś się spotkamy, nie będziemy mieli sobie nic do powiedzenia. Bałem się jej nienawiści i fanatyzmu. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak powiem Baldwinowi, że jego matka jest heretyczką.

Wielkanoc 1187 roku postanowiliśmy spędzić w opactwie w Sankt Gallen, macierzystym klasztorze Ruperta. W Wielki Czwartek, na pamiątkę Wieczery Pańskiej, miało się tam odbyć tajne zebranie Bractwa, na którym spodziewano się Huberta z Croisilles i wielu innych templariuszy.

□ □ □

W drodze do Sankt Gallen postanowiliśmy zatrzymać się w Lyonie. Tamtejszy biskup zwołał wszystkich rycerzy i wielmożów katolickich z całej Prowansji, ponieważ chciał raz jeszcze wysłać do katarów kilku wysokich rangą dostojników Kościoła rzymskiego, by spróbowali ich nawrócić.

- Boże, co za głupcy - westchnąłem, wysłuchawszy słów biskupa. - Chcą nawrócić katarów!

- Co w tym złego? - zapytał Baldwin. Popatrzyłem na mego syna. Był ciekawy świata i ludzi. Był także bardzo mądry i spostrzegawczy jak na swój wiek.

- Synu, katarzy nie dbają o dobra doczesne, mają także surowe zasady moralne. Czy widziałeś, w jak bogatych szatach biskup odprawiał mszę? Kościół rzymski nie chce zrozumieć, że nie nawróci katarów, kłując ich w oczy bogactwem.

- Ojcze, czasami mówisz tak, jakbyś nie pragnął dobra Kościoła ani zwalczania heretyków - odrzekł Baldwin.

- Nawracanie drugiego człowieka może odbywać się tylko w przestrzeni jego duszy. Nie można nikogo nawrócić perswazją ani tym bardziej siłą. To zaprzeczenie wiary w Chrystusa. Wiara katarów jest jasna i prosta i w przeciwieństwie do doktryny katolickiej, nie wymaga od wyznawców myślenia. Członkowie sekty muszą być posłuszni i zazwyczaj są... dla świętego spokoju. Poza tym katarzy wiedzą, że ich przywódcy nie są hipokrytami, ponieważ żyją ubogo, jak inni. Zauważ, że dostojnicy Kościoła katolickiego, począwszy od papieża, a skończywszy na obwieszonych złotem biskupach, bardziej dbają o

swoje sakiewki niż o wiernych. Kościół rzymski, synu, choć to wciąż mój Kościół, bardzo mnie martwi.

- Z jakiego powodu?

- Ponieważ próbuje nawracać ludzi siłą, a także z powodu pychy jego przedstawicieli, którzy dążą do pomnażania ziemskich bogactw, upajają się władzą, grzeszą brakiem pokory, nie chcą życia w ubóstwie.

- Czy mógłbyś to lepiej wyjaśnić?

Pomyślałem, że młodzieńcom w wieku Baldwina najlepiej jest wyjaśniać wszystko na konkretnych przykładach. Powiedziałem więc:

- Król włada poddanymi, a syn musi być posłuszny ojcu, czy tak?

Baldwin skinął głową.

- Pamiętaj jednak, że o swojej duszy decydujesz tylko ty. Król może wydawać ci rozkazy, ale nie może żądać od ciebie czynów niegodnych. Dlatego sądzę, że nawracanie kogoś siłą nie może się udać.

- Ojciec, wielu ludzi Kościoła uznałoby, że masz heretyckie poglądy.

- Czym jest herezja w naszych czasach? Heretycy najwyraźniej nie zdają sobie sprawy, że nimi są, a samo słowo „heretyk” jest obelżywe. Wystarczy oskarżyć kogoś o herezję, aby przejąć jego majątek, co chętnie czynią szubrawcy. Powiedz mi, kto jest większym hipokrytą: prosty heretyk, który szuka swojej prawdy i żyje cnotliwie, czy bogaty prałat Kościoła, który utrzymuje kochankę i wygłasza kazania o naśladowaniu Chrystusa?

- Myślę, że prałat.

- Masz słuszość, synu.

- W takim razie, dlaczego Kościół potępia katarów? - chciał wiedzieć Baldwin.

- Bo mu zagrażają i odbierają wiernych, a więc i pieniądze. Każdy wierny Kościoła jest przecież zobowiązany do łożenia na ów Kościół. Ale myślę, że w Kościele katolickim są w dalszym ciągu ludzie, którym zależy na czystości samej doktryny. Oni zauważają, że katarzy są zagrożeniem dla porządku

naszego świata, gdzie każdy zna swoje miejsce. Mamy papieża, który klóci się z cesarzem o wpływy we Włoszech. Mamy książąt i ludzi, którym się wydaje, że są zbawieni już za życia, ale którzy za nic mają prostych ludzi.

- Katarzy potrafili upomnieć się o tych maluczkich, prawda?

- Tak, synu, jednak i oni popełnili błąd.

- Jaki błąd?

- Podzielili ludzi na czystych i nieczystych. Są dwie części sekty: jedna, najliczniejsza, składająca się ze zwykłych ludzi, którzy heretykami stali się dla świętego spokoju. Druga jest bardziej niebezpieczna, to fanatycy, gardzący rozkoszami stołu i łoża, a także pieniędzmi i władzą.

- Czy są szczęśliwi?

- Nie, synu, nie są... - Przypomniałem sobie Jakuba i Katarzynę. - Nigdy ci tego nie mówiłem, ale miałem okazję poznać kilkoro z nich. Nazywają siebie *katharoi*. To greckie słowo oznacza „czyści”, ale w aspekcie duchowym, nie cielesnym. Inni ludzie, którzy nie myślą tak jak oni, są w ich mniemaniu brudni i grzeszni. Katarzy dzielą ludzi już za życia na zbawionych i potępionych. Popełniają zatem ten sam błąd, który popełniają fanatyczni katolicy.

- Nie rozumiem cię, ojczec.

- Fanatycy, tak heretycy, jak i katolicy, tak naprawdę mało się od siebie różnią, ponieważ lubią dzielić ludzi na dobrych i złych, szczerych i fałszywych, prawomyślnych i nieprawomyślnych. Lubią skazywać innych na okrutne kary za domniemane błędy. U siebie nie dostrzegają belki w oku, za to u drugiego widzą drzazgę. Jednym słowem, przywódcy katarów, tak jak fanatyczni katolicy, bawią się w Boga, ferując wyroki w jego imieniu. Przypomnij sobie słowa naszego Pana, który powiedział do apostołów: *Nie sądzcie, byście nie byli sądzeni. Bo takim sądem, jakim sądzicie, i was osądzą**. Uważam, Baldwinie, że nie mamy prawa osądzać innych, jeśli nie potrafimy ocenić uczciwie siebie samych.

* Mt. 7,1 - Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

Mój syn zamyślił się głęboko. Cieszyłem się, że te trudne sprawy obchodzą go bardziej niż rozrywki, jakim oddają się młodzieńcy w jego wieku. Po chwili zadał mi następne pytanie:

- Wierzymy, że Kościół posiada jedyną prawdę. Ojciec Święty ma prawo potępiać tych, którzy tej prawdy nie znają, lub takich, którzy nie chcą się jej podporządkować.

- To prawda, synku. Widzę, że mnisi dobrze cię wyedukowali. Masz rację, mówiąc, że Kościół katolicki może uważać się za depozytariusza prawdy. Problem jednak polega na tym, że są ludzie, którzy nie wierzą, iż ją posiadł. I co z nimi zrobić? Zabić czy pozwolić im żyć w herezji, narażając na wieczne potępienie?

- Nie wiem. - Baldwin wzruszył bezradnie ramionami.

- Ja też nie wiem. Chociaż uważam, że w Kościele głos zabierają teraz ludzie, którzy myślą, iż nie można zostawić heretyków z ich herezją, bo zbłądzili i skończą w piekle. Lepiej, żeby cierpieli tutaj, na ziemi, w więzieniach, niż mieliby cierpieć w piekle.

- Zgaduję, ojcze, że ty nie podzielasz tego poglądu?

- Oczywiście, że nie, ponieważ jestem pewien, że zabijanie grzeszników w imię głoszenia prawdy osłabi Kościół i przyniesie mu szkodę.

- Dlaczego?

- Katarzy, żydzi albo na przykład muzułmanie mówią: podporządkuj się nakazom religii, co znaczy, wypełniaj religijne prawo. Jezus mówi: wybieraj, jesteś wolny, ale od twego wyboru zależy twój żywot wieczny. Czy zatem fakt, że Chrystus szanuje wolność człowieka, który zawsze jest wolny, niezależnie od tego, czy czyni dobro, czy zło, nie oznacza, że każdy ma prawo zachować odrębność?

- Ale przecież heretycy...

- Staram ci się zasugerować, że jako katolicy nie mamy nawet prawa zadawać sobie pytania, czy powinniśmy wymordować heretyków, bo tylko my jesteśmy prawowierni. Tak samo jak nie mamy prawa twierdzić, że heretycy nie pasują do naszego świata i z tego powodu muszą być prześladowani.

- Ojczy, rozumiem, że jesteś przeciwnikiem karania grzeszników i heretyków śmiercią, ale czy właśnie życie według przykazań Kościoła, niezależnie od tego, czy zostały narzucone siłą, czy też nie, nie zapewni życia wiecznego błędzącym ludziom, ponieważ tylko Kościół katolicki może zapewnić zbawienie?

Zamyśliłem się.

- Synu, nawet jeśli wierzę, że Kościół zapewnia zbawienie, to sądzę, że przez to ludzie Kościoła nie są lepsi - rzekłem po chwili.

- To odważne, co mówisz.

- Baldwinie, chcę ci powiedzieć, że proste rozwiązania i proste odpowiedzi na zagadki, jakie ma dla nas ten świat, są zarzewiem herezji. Bo herezja, synu, to nic innego jak negowanie świata w każdej jego formie. Z tego powodu fanatycy tworzą piekło na ziemi. Chcą dobrze, ale czynią źle.

Baldwin lubił zadawać pytania, a ja lubiłem na nie odpowiadać. Zdałem sobie sprawę, że w tym zwariowanym świecie zdołałem przekazać synowi część mojej wiary.

□ □ □

Do pałacu, gdzie zamieszkaliśmy wraz z innymi francuskimi rycerzami, pewnego ranka przybyło dwóch ludzi. Mówiono, że są z Hiszpanii. Mieli na sobie ciemne płaszcze, przyjechali na czarnych koniach. Obserwowałem ich, stojąc na dziedzińcu. Nagle stwierdziłem, że jeden z nich jest mi znajomy. Po chwili opanowało mnie trudne do opisu wzruszenie. Baldwin spojrzał na mnie zaskoczony.

- Co się stało, ojczy?

Ruszyłem w stronę jednego z Hiszpanów, który zdejmował właśnie siodło z konia.

- Witaj, Henryku! - rzekłem.

Mężczyzna upuścił siodło na ziemię i odwrócił się. Nie miałem wątpliwości. To był on, Henryk z Brienne, mój dawny sługa i przyjaciel. Postarzał się, broda dodawała mu powagi, a przez policzek biegła długa szrama.

- Panicz... Gotfryd? - zapytał Henryk z niedowierzaniem. Pomyślałem, że Bóg zabrał mi Katarzynę, ale oddał starego

druha. Patrzyliśmy przez chwilę na siebie, po czym padliśmy sobie w objęcia.

- Gotfrydzie, ile to już lat?

- Chyba czternaście... Postarzałeś się - zauważyłem.

- Ty też.

- Kto to? - zainteresował się Henryk, wskazując Baldwina.

- To mój syn, Baldwin - odrzekłem z dumą.

- Twój syn? - Henryk nie posiadał się ze zdumienia.

- Tak. Jego matkę poznałem w Carcassonne.

Henryk przedstawił mi swego towarzysza, młodego Hiszpana urodzonego w mieście Caleruega. Miał miłą powierzchowność, twarz bladą i krótko ostrzyżone rude włosy. Był młody, nie miał więcej niż siedemnaście lat.

- Jestem Dominik Guzman - przedstawił się cicho.

□ □ □

Pierwszy tydzień spędziliśmy z Henrykiem na wspomnianiu starych czasów oraz opowiadaniu o czynach, których dokonaliśmy w ciągu długich lat rozłąki. Opowiedziałem mu także o mojej miłości do Katarzyny, o ucieczce, narodzinach Baldwina i śmierci Gilles'a z Rouvres.

- Dlaczego wyjechałeś? - zapytałem.

- Potrzebowałem wreszcie czegoś, w co mógłbym uwierzyć. Nie chciałem trwać w herezji katarów. Nie potrafiłem poradzić sobie z samym sobą, lecz

teraz, po latach walki, po tym, jak zostałem uwięziony w muzułmańskim lochu, czuję się silny.

Henryk zmienił się, ogorzał, nabrał pewności siebie, a przede wszystkim dojrzał. Zadziwiło mnie, że więzili go muzułmanie. Henryk opowiedział, jak w Hiszpanii szukał chleba u możnych i królów. Walczył najpierw za władcę Léonu przeciw Baskom, a potem bronił grobu świętego Jakuba w Santiago de Compostela przed atakami muzułmanów. W Aragonii także walczył przeciw muzułmanom. Brał udział w przegranej bitwie i został wzięty do niewoli, lecz z niej uciekł. Zaczął służyć na dworze kastylijskim. W Oviedo spotkał ludzi, którzy, podobnie jak Bractwo, czcili chustę podobną do mojej - w Hiszpanii nazywano ją *sudarium*. Zapytałem Henryka, czy towarzyszący mu Hiszpanie wiedzą o Bractwie Mandylionu.

Henryk pokazał mi list od starego Ruperta, który zaprosił czcicieli *sudarium* z Hiszpanii na zjazd naszego Bractwa do Sankt Gallen. A zatem jechaliśmy w tym samym kierunku.

Wybraliśmy trakt przez przełęcz Świętego Bernarda. Było ciężko, bo przekraczaliśmy Alpy, kiedy jeszcze leżały śniegi. Konie chwilami nie chciały iść i trzeba było zasłonić im oczy, aby dały się choć prowadzić za uzdę.

Po drodze dołączali do nas inni podróżni. Któregoś zimnego wieczoru, siedząc przy ognisku, zaczęliśmy rozmawiać o Prowansji oraz o mieszkających tam heretykach.

- To piękny kraj - rzekł Guzman. - Jestem pewien, że gdyby nie herezja, Prowansja mogłaby być rajem.

- To prawda. Prowansalczyki są dobrymi ludźmi - przyznałem.

- Tak - zgodził się Hiszpan - ale są heretykami.

- Nie potępiaj ich zbyt pochopnie - przerwałem mu.

- A dlaczego uważasz, że ich potępiam? Wcale nie mam zamiaru tego czynić.

- Przepraszam, jeśli źle cię zrozumiałem. Jest wielu katolików, którzy odsądzają katarów od czci i wiary, choć nigdy nie spotkali choćby jednego z nich.

- Nie zamierzam nikogo potępiać, Angliku - zapewnił Dominik. - Jadę na spotkanie waszego Bractwa, ponieważ mamy ten sam cel, a jest nim odnalezienie mandylionu. Wcześniej walczyłem u boku twego przyjaciela Henryka i widziałem różne okropne rzeczy. Jedyne uczucie, jakim mogę obdarzyć ludzi, którzy je popełniali, to współczucie.

- A któż to jest tak wart współczucia?

- Współczuję katolikom, albowiem często nie szanują słów Boga, jakby były to słowa przekupki. Wielu spośród nich żyje w obłudzie i hipokryzji. Nie mniejsze współczucie odczuwam wobec katarów, którzy błędzą i żyją w ciemności grzechu - odpowiedział Hiszpan.

Jego wyjaśnienie wydało mi się logiczne. W moim przekonaniu grzech nie byłby tak powszechny, gdyby ludzie mieli w sobie choć odrobinę pokory. Ja zgrzeszyłem ciężko, zabiłem człowieka, heretyka, jednego z najzagorzalszych wrogów Kościoła. Być może jakiś biskup nazwałby mnie bohaterem, ale ja wstydziłem się tego i nienawidziłem katarów, choć nie chciałem się przyznać do tej nienawiści nawet przed samym sobą.

Dominik Guzman był niezwykłym człowiekiem. Pisząc te słowa, wiem, że ze wszystkich znanych mi ludzi to właśnie on po prostu przeczuwał Boga. Mało powiedziane - żył Nim, dla Niego i przez Niego. Ja, przeciwnie, uciekałem przed Bogiem niczym biblijny Jonasz. Ale jak się potem okazało, Bóg schwytał mnie w sidła zastawione właśnie przez Dominika, który odcisnął niezatarte piętno na moim życiu. Lecz wówczas, na przełęczy Świętego Bernarda, pośród ośnieżonych szczytów, nie zdawałem sobie z tego sprawy. Miałem go spotkać jeszcze raz, po wielu latach moich zbrodni i szaleństw, i z jego ust miałem usłyszeć, że Bóg mi wybaczył.

Podczas tej podróży po raz pierwszy ujrzałem dolinę Aosty. Było to miejsce niezwyklej piękności. Słyszeliśmy jednak plotki, że w dolinie znajduje się kolonia trędowatych. Na samą myśl o tych ludziach, których ciało gnije za życia, robiło mi się niedobrze. Co za ironia losu, że stałem się jednym z nich.

Rozdział XII

DYSPUTA

Nigdy wcześniej nie byłem w Sankt Gallen. Uderzyła mnie przede wszystkim cisza panująca w murach opactwa. Ta cisza, jak wyjaśnili nam benedyktyni, to głos Boga. Tu milkł gwar świata i zaczynało się życie w samotności, z Bogiem. Uświadomiłem sobie, że w tym miejscu panuje inny porządek, któremu sens nadaje reguła świętego Benedykta z Nursji.

Święta Wielkanocne spędziliśmy w skupieniu, modląc się. Ojciec Rupert, widząc mnie któregoś razu w kościele, rzekł, że dobrze się stało, iż Bóg ciężko mnie doświadczył, bo teraz jestem już gotów, aby zostać członkiem Bractwa. Domyśliłem się, że nie żałował ani przez chwilę, iż przed laty wysłał mnie do Prowansji. Przedstawiłem mu mego syna, a on wyraził nadzieję, że Baldwin będzie wspaniałym krzyżowcem. Henryka w pierwszej chwili nie poznał, ten zaś powiedział Rupertowi, że przez kilka ostatnich lat walczył jako krzyżowiec w Hiszpanii, z czego mnich był niezmiernie rad.

- Wkrótce zaczynamy nasze obrady - oznajmił ojciec Rupert. - Czekam tylko na delegację z Rzymu. Ty, Gotfrydzie, opowiedz o zdradzie, jaką przed laty odkryłeś w Prowansji. Musimy wyrównać rachunki z Odilonem.

- Co się z nim teraz dzieje?

- Uciekł. Nasz człowiek w Rzymie, biskup Lotariusz z Segni, ściągnął go do tego miasta, ponieważ papież chciał go mieć na oku. Wtrąciliśmy go do więzienia, ale po sześciu latach zbiegł. Ktoś z kurii mu pomógł. Myślę, że był to ktoś bardzo wpływowy, co oznacza, że zdrada sięga głębiej, a katarzy mają swoich ludzi na wielu wysokich kościelnych stanowiskach.

- Czy przybędzie Hubert z Croisilles?

- Nie. Od kilku miesięcy przebywa w Jerozolimie - odparł Rupert. -
Dziwię się, że nie dostałem jeszcze od niego żadnego listu.

□ □ □

Nad Wenecją zapadł zmierzch. Na wodzie igrał jeszcze odblask zachodzącego słońca. Do komnaty starego doży wszedł jeden z jego sekretarzy i oznajmił, że właśnie przybyli ludzie, na których czekał od miesiący.

Starzec nikomu nie zdradzał swoich planów, a w szczególności kupcom weneckiej signorii, którzy z zazdrością patrzyli na jego złoto, władzę i wpływy. Enrico Dandolo, niegdysiejszy towarzysz Gilles'a z Rouvres, rozpoczął grę, której zamysł zrodził się przed wieloma laty, kiedy jako młody marynarz zawitał po raz pierwszy do Konstantynopola. Od razu znienawidził Greków za ich bogactwo, pieniactwo i wyższość, jaką okazywali Wenecjanom.

Kilka tygodni wcześniej jeden z jego bękartów, Tomasz Glasdale, odwiedził go po latach i powiedział mu, że jest w Konstantynopolu przedmiot o niezwykłym religijnym znaczeniu, którego przejęcie uderzy w Kościół rzymski.

Stary doża wspierał pieniędzmi wszystkie swoje dzieci, choć wiele z nich widział jeden lub dwa raz w życiu. Gdy Tomasz udowodnił, że zna wielu katarów, doża uznał, iż mógłby wykorzystać heretyków do swoich celów. Przy okazji utrze nosa papieżowi, z którym rywalizował o polityczne wpływy we Włoszech. Dawno niewidziany syn poprosił go też o pomoc dla byłego katolickiego biskupa, który parę lat przesiedział w papieskim więzieniu w zamku Świętego Anioła w Rzymie i teraz szuka schronienia. Doża schronienia udzielił, choć wiedział, że Odilon z Reinault to nad wyraz sprytny i bezwzględny intrygant. Wiedział też, że ma wiele wspólnego z katarami.

Dandolo stał na czele katolickiej republiki i oficjalnie nie mógł wspierać heretyków. Był realistą i nigdy nie ukrywał, że sprawy Kościoła niewiele go obchodzą. Nie wierzył ani w Boga, ani tym bardziej w diabła, i z tego też powodu nie miał żadnych duchowych rozterek. Oczywiście jak każdy Wenecjanin spowiadał się, modlił i chodził na msze. Ale skoro biskup Wenecji,

syn jednego z możliwych weneckich rodów, też w Boga nie wierzył i miał kochanki, cóż znaczyła pomoc okazana przez Dandolo zatwardziałemu heretykowi i jego pomocnikowi, synowi z nieprawego łoża? Doża uznał, że hipokryzja jest bardzo wygodna i daje duże możliwości oddziaływania na ludzi.

Zamierzał wysłać na dwór w Konstantynopolu dwóch szpiegów, którzy będą donosili mu o zamysłach i posunięciach greckiego cesarza. Uznał, że dobry w tej roli może być jego bękart, który z uwagi na intrygi na weneckim dworze nie mógł przebywać w mieście. Mógłby stać się pionkiem w politycznej grze przeciw sędziwemu ojcu, a tego doża nie chciał. Jeszcze jeden syn w Wenecji to kolejne obciążenie dla szkatuły republiki i tak już nadwątlonej przez pijaństwo, rozpustę i hulaszczyste życie innych nieślubnych dzieci.

Dandolo uznał, że doskonałym szpiegiem będzie sam czcigodny biskup Odilon. Byłemu biskupowi będzie zależało na zatarciu po sobie wszelkich śladów, gdyby dyplomacja watykańska chciała go wytropić. Doży nie obchodziły ani zamiary tego heretyka, ani Tomasza, który prawdopodobnie również skażony był herezją. Chciał mieć informatorów i czekał, albowiem jego plan zrujnowania Konstantynopola wymagał sporo trudu, ofiar, intryg, mordów i przekupstw. W samym Konstantynopolu przebywało wielu Wenecjan, najemnych żołnierzy, służących w cesarskiej flocie, ale z oczywistych względów nie mogli pełnić roli, jakiej doża by od nich oczekiwał. Nie mieli dostępu ani do pałacu cesarskiego, ani do prawosławnego patriarchy Konstantynopola.

□ □ □

Doża wszedł do komnaty służącej do tajnych spotkań. Czekał tam już na niego syn, wysoki i barczysty mężczyzna z blizną na lewym policzku, oraz czcigodny Odilon. Wygląd byłego biskupa trochę zaskoczył dożę. Prezentował się teraz zupełnie inaczej niż w czasach, gdy się lepiej znali. Odilon nosił na sobie ślady tortur w papieskim więzieniu, które wcale nie różniło się od innych więzień Europy. Wychudł, policzki, niegdyś rumiane, teraz były blade i obwisłe.

Zachował tylko niezwykłą bystrość spojrzenia oraz największy oręż - błyskotliwy umysł.

- Jesteście, *amici mei*, na swój sposób do siebie podobni - powiedział doża na powitanie.

- Enrico, stary przyjacielu, co masz na myśli? - zapytał Odilon.

- Każdy z was pragnie uciec przed czymś lub przed kimś. Jeśli chodzi o ciebie, Odilonie, wcale mnie to nie dziwi, ponieważ już przed laty w Konstantynopolu wiedziałem, że nade wszystko pragniesz władzy. Teraz będziesz miał sposobność zaspokoić swe ambicje oraz przy okazji mi pomóc. Opłaciłem wasz pobyt w Konstantynopolu. Nikt nie będzie was szukał. Musicie tylko dbać o interesy Wenecji jak o swoje własne. Idźcie, noc już zapadła - zakończył doża, zanim któryś z przybyłych zdołał powiedzieć słowo, i otulił się pledem, który narzucił na jego ramiona sekretarz.

Glasdale i Odilon, nieco zdziwieni tak zdawkowym przyjęciem, wyszli z pałacu poprowadzeni przez wartownika. W porcie czekał na nich statek i wygodne kajuty.

Po wschodzie słońca statek obrał kurs na Morze Egejskie i największe miasto ówczesnego świata, Konstantynopol.

□ □ □

Do Sankt Gallen przybyło ponad stu najznamienitszych ludzi Kościoła, baronów, margrabiów, konstablów oraz rycerzy. Zauważyłem również kilkunastu templariuszy. Wśród możnych był Henryk Hohenstauf, dumny i dzielny syn cesarza Barbarossy. Z Rzymu przybył arcybiskup Lotariusz z Segni. Był to trzydziestoparoletni, przystojny mężczyzna o orlim nosie i długich szczupłych palcach.

Pierwsza debata miała zostać poświęcona herezji katarów. Na początku przemówił Rupert, który opowiedział o dziejach naszego Bractwa oraz o jego misji, jaką było przeciwstawianie się wszelkim stowarzyszeniom oraz tajnym związkom zagrażającym Kościołowi bądź papieżowi. Ze strony niemieckich

członków Bractwa, związanych z cesarzem, podniosły się głosy, że służalczość wobec świeckiej władzy papieża nie służy nadrzędnemu celowi Bractwa, jakim jest odnalezienie mandylionu.

Arcybiskup Lotariusz, jako oficjalista rzymskiej kurii, miał w tej materii inne zdanie.

- Dostojny Henryku - zwrócił się do cesarskiego syna - umacnianie władzy papieża jest gwarancją zwalczania herezji, albowiem większość heretyków lekceważy urząd papieski.

Syn cesarza nie miał jednak ochoty na dyskusję z legatem papieża. Milczał, więc odezwałem się:

- Nieprawda, ekscelencjo. Największą bolączką Kościoła stanowi herezja katarów, którą dobrze znam. Niestety, umacnianie władzy papieża, jak to określiłeś, wcale nie pomogło w jej zwalczaniu. Wręcz przeciwnie, katarzy jeszcze bardziej się zradykalizowali, a ludzie, którzy do tej pory wahali się, po której stanąć stronie, teraz otwarcie popierają herezję. Dlaczego, ekscelencjo? - Odczekałem, żeby moje słowa wywarły odpowiednie wrażenie, i po chwili podjąłem: - Widząc, jak heretycy w teologicznych dysputach zapędzają w kozi róg grubych, bogatych papieskich prałatów, prości ludzie w Prowansji orientują się, czyją trzymać stronę. Wybierają ludzi bardziej szczerych. Katarów.

- Co więc radzisz, Gotfrydzie z Melville? - zapytał Rupert, rzucając mi gniewne spojrzenie.

- Nie mam prawa niczego wam radzić. Jesteście mądrzejsi ode mnie - odrzekłem z ironią. - Uważam, że Prowansja i Langwedocja są dla Kościoła stracone.

Wszyscy spojrzeli na mnie zaintrygowani. Powiedziałem prawdę, której żaden z członków Bractwa nie chciał przyjąć do wiadomości.

- Angliku - rzekł arcybiskup - jestem zdania, że tych ludzi trzeba za wszelką cenę nawrócić. To, o czym mówisz, jest dla Boga nie do zniesienia.

- Dla Boga? A może dla rzymskiej kurii? A może dla francuskiego króla, który najchętniej położyłby rękę na Prowansji!

Twarz arcybiskupa spłoszyła.

- Gotfrydzie, jego ekscelencja chciał powiedzieć, że ludzie ci wpadli w sidła grzechu i trzeba ich nawrócić, żeby zbawić ich dusze - powiedział z naciskiem Rupert.

- A wiesz, dostojny ojciec Rupercie, dlaczego owi heretycy odeszli od Kościoła? - spytałem.

- No właśnie, dlaczego? - odezwały się głosy innych członków Bractwa, zasiadających w wielkim refektarzu.

- Ludzie ci odeszli od świętego Kościoła rzymskiego, ponieważ nie znaleźli w nim niczego prócz pychy i bogactwa, prócz żądzy władzy i rozpusty! - przemawiałem w uniesieniu. - Kościół zostawił tych ludzi własnemu losowi i nie przejmował się, kiedy posiadacze ziemscy podnosili czynsz, skazując wielu Prowansalczyków na biedę, jakiej żaden z was nigdy nie zaznał! To ludzie Kościoła się do tego przyczyniali. Ciekawi mnie, ile majątków miał Kościół w Prowansji, zanim sekta wszystko przejęła?

- Błuzni! - odezwały się głosy.

- Nie bluźnię! Mówię prawdę! Kiedy ludzie przestają wierzyć w Boga z winy Kościoła, zaczynają wierzyć w każdą ułudę, która daje im nadzieję! Dominik Guzman, siedzący pod ścianą, wpatrywał się we mnie w milczeniu. Czulem na sobie jego spojrzenie, czulem, że myśli to samo co ja, choć nie zabierał głosu.

- W takim razie pozostaje nam nawrócić ich siłą - powiedział w końcu arcybiskup Lotariusz.

- Siłą?! - wykrzyknąłem oburzony. - Zapoczątkujecie zbrodnie, nad którymi nikt nie będzie w stanie zapanować. Sprzeniewierzycie się także Chrystusowi, który na krzyżu oddał za nas życie! Pan nasz słowem nawracał, nie mieczem!

- Tak właśnie czynił! Masz rację, Angliku - potwierdził arcybiskup. - Ale my powoli wyczerpujemy środki perswazji. Nie możemy tolerować katarów. Są zagrożeniem dla naszej wiary. Zgadzam się jednak z tobą, że nadal trzeba próbować z nimi rozmawiać. Pojedzie do nich nasz przedstawiciel, może coś wskóra.

- Nie wierzę w powodzenie takiej misji, ekscelencjo - rzekłem z goryczą.
- Książęta Kościoła mają zwykłych ludzi za nic. Jak mogą ich rozumieć, skoro nie wiedzą, co to znaczy być głodnym i nie mieć chleba dla dzieci?

- Gotfrydzie, przesadziłeś - wtrącił się Rupert.

- Ani trochę - odrzekłem zimno, po czym zwróciłem się do arcybiskupa: - Powiedz mi, ekscelencjo, czy znasz w Rzymie choćby jednego proboszcza, który byłby głodny?

Myślałem, że arcybiskup się wścieknie i że to moje ostatnie chwile jako członka Bractwa. Jednak Lotariusz z Segni okazał się człowiekiem myślącym.

- Twoje słowa są twarde, ale widzę, że jesteś szlachetny, dlatego cię słucham - rzekł. - Co więc mamy zrobić z katarami?

- Bractwo musi wystąpić przeciw katarom, ale nie przeciw wszystkim, żeby nie zamienić nawracania tych ludzi w masakrę. Najbardziej niebezpieczni dla Kościoła są tak zwani Czyści, czyli przywódcy. Oni mają w Prowansji rząd dusz. Oni pociągają za sznurki. Wysłannicy papieża są wyśmiewani, bo w porównaniu z Czystymi wyglądają jak upudrowane rzymskie kokoty.

Ludzie w Prowansji chcą prostej, skutecznej prawdy i katarzy im ją dali. Wierzą w nią. I będą jej bronili, nawet za cenę życia. To Kościół jest winny tej herezji, bo pozostawił tych ludzi samym sobie. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Usiadłem. Byłem zaskoczony, że tak wybuchłem, ale musiałem wyrzucić z siebie emocje, które nagromadziły się we mnie przez wszystkie te lata. Zapadła cisza. Po chwili przemówił Rupert:

- Bracia, staram się rozumieć naszego brata z Anglii, ponieważ to on wykrył bardzo groźny spisek wewnątrz Bractwa, który groził jego unicestwieniem. Nie bez kozery zaczęliśmy naszą debatę od kwestii katarów, ponieważ w ciągu kilku ostatnich lat zebraliśmy dowody świadczące niezbicie, że jeden z naszych byłych członków, biskup Odilon z Reinault, był zaprzędany herezji katarów i maczał palce w spisku na życie naszego najdroższego brata, nieżyjącego już od wielu lat Tomasza Becketa, arcybiskupa Canterbury.

Przez salę przeszedł szmer niedowierzania. Rupert opowiedział historię Jeana z Rainecourt oraz biskupa Odilona, którego oskarżył o udział w zamachu na życie prymasa Anglii. Mówił też o mandylionie oraz o tym, że spiskowcy Odilona - także przywódcy katarów - zamierzają zdobyć mandylion.

- Nie możemy do tego dopuścić - zakończył Rupert. Wtedy głos zabrał Dominik Guzman.

- Pochodzę z Hiszpanii - przemówił po łacinie z miękkim południowym akcentem. - W Oviedo znajduje się relikwia, którą nasi przodkowie przywieźli z Jerozolimy, kiedy do Hiszpanii wkraczali od strony cieśniny Arabowie. Tę tkaninę nazywamy *sudarium* i wierzymy, że jest to chusta grobowa, którą święty Piotr zobaczył w grobie Chrystusa, jak mówi Ewangelia świętego Jana. Nie widziałem *sudarium*, ale są tacy, którzy mówią, iż są na nim ślady zakrzepłej krwi oraz odbicie twarzy brodatego mężczyzny.

- Twarz na mandylionie też jest twarzą mężczyzny z brodą... - wyszeptał Rupert.

- Chcemy się do was przyłączyć - oświadczył Guzman. Słowa te przyjęto z entuzjazmem. Rupert powiódł wzrokiem po zebranych.

- Bracia - rzekł - próbujemy już od dłuższego czasu dowiedzieć się, gdzie przechowywany jest mandylion w stolicy Bizancjum. Bezskutecznie. Grecy są skryci i odnoszą się do łacinników z wielką niechęcią. Przebywający w mieście ludzie słyszeli jednak o relikwii, która jest traktowana przez Greków niemal jak namacalny dowód istnienia Boga. Nie sposób niestety ustalić, gdzie ją

przechowują. Potrzebne są nam pieniądze, ponieważ szpiedzy w Konstantynopolu żądają sowitej zapłaty.

Templariusze, których pieniądze stanowiły ogromną część majątku Bractwa, oświadczyli, że ich główna baza, Cypr, musi wziąć na siebie ciężar wspomagania Królestwa Jerozolimskiego i teraz przeznaczać będą na Bractwo mniejsze kwoty. Dyskutowano również o tym, jakie cele na najbliższe lata powinno wyznaczyć sobie Bractwo. Templariusze mówili o niepewnej sytuacji Królestwa Jerozolimskiego, rządzonego przez nowego króla Gwidona z Lusignan, a także o muzułmańskim władcy Saladynie i jego potężnej armii. Dysputy i spory na temat roli Bractwa trwały długie godziny. Rupert został wybrany mistrzem Bractwa na następne dziesięć lat.

Obrady przerwało przybycie niemieckiego margrabiego, który przywiózł list do ojca Ruperta. Benedyktyn wziął pergamin, rozwinął go, szybko przebiegł wzrokiem i oznajmił:

- Bracia, cesarz Fryderyk Barbarossa prosi wszystkich, aby udali się do Trewiru i tam na niego czekali. Napisał, że to sprawy najwyższej wagi.

□ □ □

Dominik Guzman nie pojechał z nami do Niemiec. Postanowił wrócić do Hiszpanii, aby tam przekazać wieści od Ruperta i arcybiskupa Lotariusza. Ten człowiek miał dar, bożą iskrę nadziei. Kiedy odjeżdżał, zrozumiałem, że Kościół katolicki, chcąc przetrwać i zyskać nowych wyznawców, musi porzucić wielkie słowa, władzę i potęgę. Musi zejść do ludzi, w samo piekło ich codziennego życia, w ból ich upokorzeń, w trud walki o byt.

Guzman nadawał się do tego jak mało kto. Czas miał pokazać, że miałem rację.

□ □ □

Pod koniec sierpnia 1187 roku znaleźliśmy się wreszcie w katedrze trewirskiej i czekaliśmy na cesarza. Zauważyłem, że oprócz kapituły naszego Bractwa przybyło także wielu niemieckich możnowładców.

Baldwin i Henryk stali obok mnie. W tej zadziwiającej harmonii granitowego świata katedry nagle zabrzmiały dobrze nam znane słowa antyfony śpiewanej przez kilkuset mnichów:

Ave Regina Caelorum

Ave Regina Angelorum...

Staliśmy, wsłuchując się w ten śpiew zaczarowani i oszołomieni. Głosy mnichów odbijały się od kamiennego sklepienia katedry i wracały na dół, do ludzi, jeszcze potężniejsze, groźne, wspaniałe i zniewalające. Popatrzyłem na Henryka. Modlił się z zamkniętymi oczami. Baldwin również wyglądał na poruszonego. Słuchaliśmy, jak każdy dźwięk składający się na chorał wyłania się z poprzedniego, wzmocniony, jeszcze doskonalszy. Chorał gregoriański miał być podobny do pieśni, jakie anioły śpiewały Bogu.

W końcu otworzyły się wielkie okute drzwi katedry. To przybył cesarz Fryderyk Rudobrody. Poprzedzali go młodzi rycerze ze Szwabii, rodowego państwa cesarza. Nieśli krótkie topory. Cesarz nawiązywał w ten sposób do tradycji władzy konsula w dawnym Rzymie, albowiem pragnął być jak cesarz Konstantyn Wielki. Wśród niemieckich możnowładców znajdował się również gruby Albrecht, margrabia Brandenburgii, o którym krążyły plotki, że codziennie pije słowiańską krew. Był także palatyn reński, Reinhard, margrabia Hesji, Otto, oraz król Czech, najpotężniejszy wasal cesarza, a także książę Leopold Austriacki, pan Wiednia i margrabia Styrii. W orszaku cesarskim znajdował się również bogaty Polak, książę wrocławski Henryk Brodaty, który poślubił niemiecką księżniczkę Meranu, Jadwigę, oraz inni świetni panowie niemieccy, których imion nie znałem.

Barbarossa był majestatyczny i dostojny. Mógł mieć nawet ponad sześćdziesiąt lat. Stałem daleko i nie widziałem dokładnie jego twarzy, ale wydał mi się skupiony, poważny, jak gdyby przytłoczony jakimś strasznym ciężarem. Jego twarz skrywała ruda broda, której nigdy nie golił, bo miała ponoć przynosić mu szczęście. Idąc przez katedrę, złożył pobożnie ręce jak do

modlitwy na wysokości złotego relikwiarza, który nosił na kolczudze. Największe wrażenie wywarł na wszystkich jego strój: była to biała tunika z czerwonym krzyżem narzucona na kolczugę.

- Ojczy, jak on jest ubrany? - zdziwił się Baldwin. Zrozumiałem powagę sytuacji, choć Baldwin niestety nie.

Nie miałem odwagi mu powiedzieć. Henryk i ja popatrzyliśmy na siebie wymownie. Już wiedzieliśmy, po co cesarz wezwał nas aż tutaj. Łudziłem się jeszcze, że to nie może być prawda...

Gdy cesarz wkroczył do głównej nawy, w katedrze zapadła cisza. Wówczas Barbarossa został podniesiony na wielkiej tarczy przez kilku roślących giermków, aby widzieli go wszyscy zebrani. Dał ręką znak, że chce przemówić.

- Stała się rzecz straszna - zaczął twardą niemiecką łaciną. - Muzułmanie wkroczyli do Jerozolimy! Grób Chrystusa jest w rękach Saladyna!

Te przerażające słowa przetoczyły się po trewirskiej katedrze niczym grzmot. Młodszy rycerze lub kandydaci na rycerzy, jak mój syn, zaczęli klękać i jęczeć w bezsilnej rozpaczycy niczym dzieci po stracie rodziców. Powiodłem wzrokiem po twarzach członków Bractwa. Nigdy nie widziałem moich druhów tak upokorzonych i zbolących.

Ktoś krzyknął: „Hańba!”, i nagle, jak jeden mąż, wszyscy niemieccy wielmoże, rycerze i ich giermkowie wyciągnęli miecze, unosząc je w górę na znak, że zamierzają wziąć odwet na muzułmanach. Wzniesli je do nieba przesłoniętego przez kamienne sklepienie. Nastął czas kamienia i stali. Od tej chwili wszyscy staliśmy się krzyżowcami.

Rozdział XIII

TURNIEJ

Wiadomość o zdobyciu Jerozolimy przez armię Saladyna wywołała w Europie przygnębienie. W krajach niemieckich, a także we Francji oraz w Italii i Anglii zaczęto mówić o nowej wyprawie krzyżowej. Dla mnie było to oczywiste. Nie wiedziałem jednak, czy mam wyruszyć do Ziemi Świętej z

Anglikami, czy też pozostać przy Niemcach. Ciężyła mi przeszłość. Po tylu latach wciąż bałem się, że ktoś powiąże moje imię z zabójcami prymasa Becketa. Zdecydowałem się w końcu pozostać przy Niemcach. Baldwin czynił mi z tego powodu wyrzuty:

- Ojcze, dlaczego wahasz się iść na krucjatę ze swoim królem?

Musiałem wyznać mu prawdę. Pomogli mi w tym Henryk i stary Rupert. Opowiedzieli o tym, o czym ja opowiadać nie miałem odwagi - o zamordowaniu wielbego Tomasza Becketa, o Bractwie Mandylionu, o katarach i spisku. Po rozmowie z nimi Baldwin przyszedł do mnie i powiedział, że jest dumny, iż nie podniosłem ręki na pomazańca bożego, którym był Tomasz Becket. Zrozumiał również, dlaczego nie możemy wyruszyć na wyprawę krzyżową z angielskim królem.

Barbarossa, by nas nieco pocieszyć, postanowił urządzić wielki turniej. Bardzo pragnąłem wziąć w nim udział, jednak nigdy nie zostałem pasowany na rycerza. Nie miałem też stosownej zbroi.

Pewnego dnia Rupert, widząc moje przygnębienie, rzekł:

- Gotfrydzie, jesteś wspaniałym wojownikiem, widziałem, jak ćwiczysz z synem i uczysz go rycerskiego fachu. Nikt nie wie, że nie zostałeś pasowany na rycerza... - puścił do mnie oko.

- Namawiasz mnie do oszustwa?! - wykrzyknąłem oburzony.

- Ależ skąd! - rzekł Rupert z niewinną miną. - Jeśli nie zwyciężysz, nie będzie miało żadnego znaczenia, czy jesteś rycerzem, czy nie, a jeśli wygrasz... no, cóż... Wtedy będziemy się martwili.

Tak więc problem został rozwiązany, przynajmniej na razie, ale pozostał jeszcze jeden - nie miałem odpowiedniej kolczugi. I znów z pomocą przyszedł mi Rupert. Napisał do swego brata, margrabiego Odon, i w ciągu trzech tygodni jego słudzy przywieźli arcydzieło płatnerskiego kunsztu.

Kolczuga, zupełnie czarna, została wykonana przez mistrza płatnerskiego Albrechta z Wiesbaden i była jedną z najdroższych i najpiękniejszych kolczug,

jakie widziałem. Jej czarna barwa była wynikiem zmieszania podczas kucia zgniętego końskiego kopyta z gorącym żelazem. Składała się z tysięcy twardych żelaznych kółek o przekroju palca dorosłego mężczyzny. Pełny hełm bez przyłbicy, w kształcie garnka, który całkowicie zakrywał twarz jeźdźca, także zrobiony był ze stali czarnego koloru. Postanowiłem, że na tę czarną kolczugę włożę czarną tunikę. Opat Rupert zgłosił mnie do turnieju jako czarnego rycerza bez imienia, poświadczył także własną pieczęcią, że jestem szlachcicem i inni rycerze nie poniosą uszczerbku na honorze, potykając się ze mną. Nie musiałem wyjawiać mego tytułu ani imienia, chyba że zostałbym pokonany. Przed turniejem dużo ćwiczyłem, w czym pomagał mi Henryk. Okazało się, że jest doskonale wyszkolonym żołnierzem. Przez dwa miesiące uczył mnie walki na kopie na pędzącym koniu. Nie ustępowałem mu ani wyszkoleniem, ani zręcznością. Lata, które spędziłem, walcząc w małych feudalnych wojnach, teraz miały zaowocować.

□ □ □

Wreszcie nadszedł dzień turnieju. Poranek był rzeński, a nad łąkami otaczającymi miasto unosiła się mleczna mgła, która podnosiła się, w miarę jak przygrzewało słońce. Jadąc kłusem do katedry na mszę otwierającą turniej, patrzyłem na łąki obsypane kwiatami, nad którymi unosiły się pszczoły. Zastanawiałem się, czy Bóg patrzy na ludzi z taką samą obojętnością, z jaką ludzie patrzą na te pracowite owady? Czy nasze wysiłki, miłość, zdrady i szaleństwa są w oczach Boga więcej warte niż ich praca?

Jednak jeśli popatrzeć na nasze życie tylko z takiej perspektywy, nie byłoby przecież warte więcej niż życie pszczoł. Co zatem odróżnia w oczach Boga ludzi od innych stworzonych przez niego istot? Musi istnieć coś, bez czego moje życie, a także życie wszystkich innych ludzi, nie miałoby sensu. Pojąłem, że bez wcielenia Boga w ciało człowieka - Jezusa - bez jego śmierci i zmartwychwstania, życie ludzi i pszczoł byłoby tak samo jałowe.

□ □ □

Po mszy wszyscy rycerze udali się do głównego namiotu, gdzie kolejność stojących w szranki losował sam cesarz. Mnie przypadł numer piąty. Następnie każdy z rycerzy udał się do swojego namiotu. Namioty te na koszt cesarza postawiono na miejskim rynku. Pośrodku znajdował się plac boju, miejsce rycerskiej chwały lub hańby.

- Ojczy - rzekł Baldwin - wiem, że boisz się tego turnieju, ale jeśli nie czujesz się na siłach, pozwól, bym ja potykał się z tymi butnymi Niemcami.

- Synu, moje umiejętności wystarczą, by pokonać niemiecką butę. Oszczędzaj siły na walkę z Saladynem!

Plac do walki zaprojektowano tak, aby rycerze mieli miejsce do rozpędzenia konia. Na rynku ustawiono drewniany płot wysokości człowieka, mający stanowić zabezpieczenie przed zderzeniem się jeźdźców. Przyjęto również zasadę, że można uderzyć tarczę przeciwnika tylko specjalną włócznią zakończoną ołowianą kulą. Każdy z rycerzy uczestniczących w zawodach otrzymał cztery takie włócznie. Gdyby złamał wszystkie, musiałby ustąpić pola.

Z podnieceniem oczekiwano na pierwszy pojedynek - cesarskiego syna, Henryka Hohenstaufa, z margrabią saskim Henrykiem Lwem. Sas należał do najzjadlejszych przeciwników cesarza w niemieckiej Rzeszy. Nienawidzili się i rzucali sobie kłody pod nogi. Jednak wieść o upadku Królestwa Jerozolimskiego sprawiła, że powołując się na zasadę *Treuga Dei*, pokoju bożego, cesarz wezwał Henryka Lwa na krucjatę. Henryk Lew oraz Sasi nie mogli odmówić.

Znak do rozpoczęcia turnieju miał dać Barbarossa, rzucając chustę. Wszyscy wpatrywali się w niego wyczekująco, a konie rżały niespokojnie. Wreszcie cesarz upuścił chustę. Giermkowie, trzymający ogiery za uzdy, odskoczyli, lecz koń syna cesarza, jakby dzielając emocje swego pana, stanął dęba, omal nie zrzucając jeźdźca z grzbietu. Jednak Henryk utrzymał się w siodle, spiął konia ostrogami i natarł na saskiego rycerza. Sas, ubrany w błyszczącą kolczugę i błękitną tunikę, skierował kopię dokładnie w jego tarczę. Miał nadzieję, że siła tego ciosu zwali cesarskiego syna z siodła, doprowadzając

do jego porażki, a przez to również do porażki cesarza, którego Henryk reprezentował. Barbarossa miał już sześćdziesiąt lat i był zbyt leciwy, by stanąć do walki.

Jednak młody i zapalczywy saski możnowładca popełnił błąd, odchylając tarczę nieco za bardzo w lewo. Chytry Hohenstauf, mający większe doświadczenie turniejowe, wiedział, że w takim przypadku wystarczy tylko uderzyć z odpowiednią siłą w tarczę pędzącego z naprzeciwka rycerza, aby pozbawić go równowagi. Uderzenie młodego Hohenstaufa było bardzo silne, ale nie tak mordercze, jak przypuszczał. Saski rycerz krzyknął z bólu, tarcza bowiem, przyjmując na siebie potężny cios, zwichnęła mu ramię. Sas, jęcząc z bólu, spadł z konia. Giermkowie podbiegli do niego i pomogli mu się podnieść. Po naradzie, kiedy stało się jasne, że młody Sas nie może już uczestniczyć w turnieju, herold ogłosił zwycięstwo Henryka Hohenstaufa.

Teraz nadeszła moja kolej.

- Waclaw, syna króla Czech, przeciwko czarnemu rycerzowi! - obwieścił herold.

Zauważyłem, że czarna kolczuga i także barwa mojej tuniki wywarły na widzach duże wrażenie. Pomysł starego Ruperta był znakomity - zwróciłem na siebie uwagę Barbarossy.

Zauważyłem, że mój przeciwnik jest ode mnie wyższy. Kłaniał się na lewo i prawo oraz posyłał całusy cesarskim dworcom i niemieckim szlachciankom.

Herold zatrąbił, co oznaczało, że powinniśmy rozpocząć walkę. Ruszyliśmy. Przywarłem do mojej karej klaczy, pochyliłem kopię, aby mieć w jej zasięgu prawy bok pędzącego z naprzeciwka Czecha. Mijały sekundy. Słysząc było tylko tętent końskich kopyt.

Mój cios był celny i silny: Czech zachwiał się w siodle, a jego ciężki bojowy rumak przestraszył się i go zrzucił. Czeski rycerz zgubił przy upadku hełm, miał rozbitą głowę, jednak próbował się podnieść. Wierni giermkowie,

widząc porażkę swego pana, ruszyli mu na pomoc. Syn króla Czech żył, ale był porządnie poobijany. Herold obwieścił moje zwycięstwo. W jednej chwili z nieznanego rycerza stałem się jednym z faworytów. Zauważyłem, że stary Rupert, który siedział z kilkoma biskupami na zadaszonej trybunie po prawej stronie rynku, nie kryje zadowolenia z takiego obrotu sprawy. Tylko mój pojedynek oraz pojedynek Hohenstaufa zakończył się przed czasem. Pomyślałem, że byłoby cudownie dotrzeć do finału i zmierzyć się z synem cesarza.

□ □ □

W pewnej chwili do Ruperta, z uwagą śledzącego potyczki, podszedł jakiś niemiecki rycerz, nachylił się ku niemu i spytał:

- Wielebny ojcze, czy poświęcisz mi parę chwil?

- Kim jesteś, rycerzu?

- Jestem Konrad z Montferratu. Jak zapewne słyszałeś, pretenduję do jerozolimskiego tronu.

- Owszem, twoje imię obilo mi się o uszy na dworze cesarskim - odrzekł Rupert.

- Tak się składa - ciągnął rycerz - że poparł mnie cesarz, a jak wiesz, słowo miłościwie panującego nam cesarza jest święte.

Rupert spojrzał na twarz Konrada. Był to człowiek w wieku prawie trzydziestu lat, o pociągłej twarzy. Brodę miał starannie przystrzyżoną. Paniczyk, pomyślał stary mnich. Hrabowie z Montferratu byli skoligaceni z flandryjską dynastią panującą w Jerozolimie. Ojciec Rupert zastanawiał się, czy przypadkiem Konrad nie został przysłany przez cesarza lub któregoś z magnatów. Wprawdzie klasztor w Sankt Gallen był zwykłym klasztorem, ale o ojcu Rupercie mówiono, że jest głową jakiegoś tajnego kościelnego bractwa oraz że ma duże wpływy i utrzymuje stosunki z templariuszami.

- Mówże, panie, jaśniej - zniecierpliwił się zakonnik.

- Wiem, że pragniesz zdobyć dla zachodniego Kościoła pewną relikwię, ale nie pytaj, skąd to wiem, wielbny ojcze. Wiem również, że jej zdobycie jest niemożliwe z uwagi na miejsce, w którym się ona znajduje. Dostojny opacie, mówię w imieniu tych niemieckich panów, którzy chętnie pomogą tobie lub twoim mocodawcom w ukaraniu greckich schizmatyków.

- Nie pojmuję...

- Ojcze, mam przyjaciół w Rzymie, ale ty także ich masz - mówił Konrad.
- Nie udawajmy, że stolica apostolska nie jest zainteresowana zmianą stosunków między Kościołem zachodnim a schizmatyckim Kościołem greckim. Jak zapewne zauważyłeś, nie jestem księdzem, ale zarówno ja, jak i moi przyjaciele... powiedzmy wpływowi politycy z Rzeszy... pragniemy zaproponować nasze usługi, gdyby zaszła konieczność... Chcemy wspomóc bożą łaskę silnym świeckim ramieniem.

- To interesujące - mruknął Rupert, wciąż wpatrując się w twarz rycerza.

- Wiesz dobrze, ojcze, że król jerozolimski, Gwidon z Lusignan, jest w niewoli u Saladyna. Uważam, że po śmierci małżonki Sybilli utracił prawo do jerozolimskiej korony.

- Cóż z tego?

- Ja jestem jedynym pretendentem do tronu, albowiem z dawną rodziną panującą łączą mnie więzy krwi. Rozmawiałem już o tym z cesarzem Barbarossą. Zgodził się, abym to ja, po zdobyciu Jerozolimy, zasiadł na tronie. Mówię ci, dostojny opacie, że wasze Bractwo może liczyć na pomoc ze strony mojej i mojej rodziny, gdyby doszło do konfliktu z Bizancjum.

- Jesteś bardzo pewny siebie, Konradzie. Kto ci powiedział o Bractwie?

- Cesarz. Powiedział mi także, że byłoby dobrze ukrocić wreszcie bezczelność tych obrzydłych papieżowi greckich schizmatyków. Jeśli ty, ojcze, poprzysz mnie w staraniach o tron jerozolimski, to ja i moja rodzina przysięgamy, że pomożemy ci zawsze, kiedy twoje Bractwo znajdzie się w tarapatkach.

Stary Rupert doskonale pojął sens słów hrabiego z Montferratu. Zasepił się. Nie wiedział, co powinien odpowiedzieć temu Niemcowi, jednak z całą pewnością nie mógł go zlekceważyć. Konrad z Montferratu był zbyt ważną osobą, choćby przez wzgląd na swoje rodzinne koneksje z dynastią panującą na tronie jerozolimskim. To właśnie tacy ludzie jak on - bezwzględni, szaleni, i pobożni - stworzyli Królestwo Jerozolimskie. Rupert odpowiedział Konradowi, że Bractwo wkrótce ustosunkuje się do jego propozycji.

Rupert żałował, że w takiej chwili nie ma przy nim Huberta z Croisilles. Hubert popłynął rok temu do Palestyny na wezwanie króla jerozolimskiego i dotąd nie było o nim żadnych wieści. Stary Rupert obawiał się, że templariusz podzielił los rycerzy zakonnych wziętych do niewoli po klęsce pod Hittinem i został z rozkazu Saladyna stracony.

□ □ □

Na placu zostało już tylko ośmiu rycerzy. Wśród nich byłem ja. Przeciwników tym razem losowała córka jednego z niemieckich możnowładców, dworka na dworze Barbarossy, imieniem Elfride. Miała opinię kobiety pięknej, lecz mnie się nie podobała. Niemki są albo za grube, albo za chude, albo rude i piegowate, a ich głos nie ma w sobie nic ze słodkiego gruchania zakochanej gołębicy, przypomina raczej kwakanie. Ręka owej damy nie była dla mnie szczęśliwa, albowiem przydzieliła mi księcia Styrii i Wiednia, Leopolda von Habsburga. Był to człowiek możny, wpływowy i dumny.

Postanowiłem nie zdejmować hełmu, bo reguły turnieju nakazywały ukazać twarz tylko w przypadku porażki lub zwycięstwa w całym turnieju. W tym drugim przypadku cesarz musiał wiedzieć, kogo nagradza. Leopold Habsburg przysłał do mnie jednego ze swych giermków, który powtórzył słowa swego pana:

- Kimkolwiek jesteś, czarny rycerzu, to ja będę zwycięzcą.

Nie przestraszyłem się. Kazałem powtórzyć Habsburgowi, że to niebiosy rozstrzygną, kto zwycięży. Ponieważ mój przeciwnik na mnie patrzył, skinąłem mu dumnie głową.

Wsiadłem na konia. Baldwin podał mi kopię, po czym wolno ruszyłem w stronę placu. Przypomniał mi się fragment Pisma Świętego, w którym Izraelici stanęli na pustyni przed wyborem: albo umrzeć, albo ocalić życie, patrząc na węża rozpiętego na wysokiej włóczni. Czułem, że sympatia widzów jest po mojej stronie. Ludzie nie lubili dumnego i zarozumiałego Habsburga.

Gdy herold dał znak, ruszyliśmy. Słyszałem tylko tętent kopyt. Mój przeciwnik jechał pochylony w siodle. Wiedziałem, że nie będzie łatwo.

Uderzenie mojej kopii było tak mocne, że jej drzewce pękło w połowie wysokości. Zachowałem jasny umysł i podniosłem złamaną kopię do góry, aby nie zranić mojego konia. Leopold Habsburg również trafił w moją tarczę i jego cios sprawił, że się zachwiałem, lecz sam obrócił się i zanim się zorientowałem, że coś się stało, koń włókł go po ziemi. Ludzie wstali z miejsc. Pozostali rycerze, a także giermkowie Habsburga, rzucili się na pomoc. Wreszcie konia z niemałym trudem pochwycono, a jeźdźca uwolniono ze śmiertelnej pułapki.

Książę Leopold, przy pomocy giermków, zdołał podnieść się z ziemi. Był obolały, z rozciętej brwi kapłała krew. Gdy herold ogłosił moje zwycięstwo, zaczęto wznosić okrzyki na moją cześć. Podjechałem do Habsburga, na którego twarzy, wykrzywionej bólem i upokorzeniem, ujrzałem nie tylko nienawiść, ale i szacunek. Czarna kolczuga i anonimowość robiły odpowiednie wrażenie.

- Jesteś mistrzem... czarny rycerzu - wyszeptał po łacinie. Tymczasem na trybunie stary benedyktyn nie mógł narzekać na brak zainteresowania ze strony dworzan cesarza. Podszedł do niego jeden z ludzi Barbarossy i zapytał, czy nie mógłby wyjawić cesarzowi tożsamości owego czarnego rycerza, którego postawa, a także zwycięstwo nad Leopoldem Austriackim, wywarły na Rudobrodym wielkie wrażenie. Rupert popatrzył dworzaninowi w oczy i odpowiedział:

- Powiedz swemu panu, największemu monarsze Europy, że nie mogę wyjawić jego imienia, gdyż dałem mu słowo, iż do czasu jego porażki lub zwycięstwa w turnieju pozostanie nieznany.

- Dostojny opacie, ale cesarz... - nalegał dworzanin.

- Gdyby czarny rycerz reprezentował cesarza, czyż twój pan nie zechciałby pozostawić jego tożsamości w tajemnicy?

- Chyba tak... - wybąkał mężczyzna.

- W takim razie sam widzisz, że cesarz musi uzbroić się w cierpliwość. Daj cesarzowi to. - Rupert wyjął z kieszeni habitu chustę z twarzą Chrystusa i podał ją zaskoczonemu dworzaninowi.

- Twój pan wie, co ona oznacza - powiedział benedyktyn. Po chwili opat klasztoru w Sankt Gallen spojrział tam, gdzie siedział cesarz, który słysząc słowa dworzanina, odwrócił się w stronę zakonnika i... uśmiechnął się.

□ □ □

Pierwszą parę w półfinale stanowili Henryk Hohenstauf i margrabia Hesji - Lotar. Rozpoczęli pojedynek tradycyjnie, chyląc przed sobą czoła, jak nakazywały rycerskie obyczaje. Jednak uprzejmości szybko się skończyły i dwaj jeźdźcy skoczyli na siebie niczym dwa wilki, które walczą zawzięcie, dopóki jeden z nich nie będzie martwy. Ale ku zaskoczeniu wszystkich, obydwaj przeciwnicy już w pierwszym starciu złamali kopie. Syn Barbarossy zachwiał się w siodle, co zdenerwowało przybyłych licznie biskupów niemieckich, będących na każde zawołanie cesarza. Zaraz jednak wziął od giermków nową kopię i znowu był gotów do walki.

Ruszyli na siebie. Zapadła cisza, tylko echo podawało tętent koni drzewom, drzewo liściom, a spomiędzy liści wiatr niósł go dalej, aż przed tron boży w niebie, gdzie za wstawiennictwem niemieckich biskupów oraz ich obwieszonych złotem prałatów losy turnieju miały być rozstrzygnięte na korzyść Hohenstaufa. Drugie uderzenie Henryka było równie silne jak pierwsze, ale teraz hrabia Lotar popełnił taki sam błąd jak jeden z młodszych rycerzy na

początku turnieju: wystawił się na potężny cios, zbyt odchyłając tarczę i tym samym odsłaniając bok. Lotar zachwiał się w siodle i upadł, lecz nie doznał uszczerbku na ciele. Syn cesarza znalazł się w finale turnieju. Tłum wiwatował, ale Barbarossa gestem uciszył widzów. Chciał w ten sposób osłodzić gorycz porażki swego najpotężniejszego stronnika w Rzeszy.

Moim przeciwnikiem był syn margrabiego Brandenburgii, Rudolf. W przerwie służba cesarska wysypała plac boju świeżym sianem. Mój syn powiedział mi, że nie będzie patrzył na ten pojedynek.

Brandenburczyk nie okazał mi szacunku i nie odpowiedział na moje pozdrowienie, ale nie dbałem o to. Czuję na sobie wzrok Rudobrodego. Słyszał on w Europie z tego, iż pilnował, by przestrzegano rycerskich reguł.

Cesarz upuścił chustę i walka się zaczęła. Uderzenie Brandenburczyka o mało nie zważyło mnie z siodła. Nie pozostałem mu dłużny i złamałem na nim kopię. Tłum, który po cichu liczył, że i trzeci przeciwnik czarnego rycerza znajdzie się na ziemi już po pierwszym starciu, wydał jęk zawodu. Gdy znów zajęliśmy nasze pozycje, natychmiast podbiegł do mnie Baldwin, mówiąc:

- Myślałem, ojcze, żeście się obaj pozabijali, tak straszliwe były to uderzenia, ale Niemiec jest silny, nadal siedzi w siodle!

- Przecież mówiłeś, że nie będziesz patrzył!

- Nie mogłem się powstrzymać...

Wziąłem od niego nową kopię i znów ruszyliśmy. Po kilku chwilach rozległ się zgrzyt stali o stal, a trzask łamanego drewna i łoskot rozdieranej blachy rozszedł się po całym rynku. Znów zachwiałem się w siodle, ale tym razem mój przeciwnik nie miał tyle szczęścia co poprzednio. Odwracając się, zobaczyłem, że spadł z konia, a jego giermkowie próbują go podnieść.

- Zwyciężył czarny rycerz! - krzyczał już herold.

Na placu boju pozostali już tylko syn cesarza Barbarossy, Henryk Hohenstauf, i nieznanemu nikomu rycerz w czarnej kolczudze.

Podczas przerwy w turnieju Henryk Hohenstauf posłał do mnie księcia Leopolda Austriackiego, z którym niedawno walczyłem. Widząc go, zerwałem się na równe nogi i założyłem hełm. Leopold wydawał się zaskoczony, że czarny rycerz, który pokonał tylu przeciwników, ma tak skromny poczet, złożony z jednego młodego giermka i jednego żołnierza, Henryka z Brienne.

Popatrzyłem na mego niedawnego rywala. Stwierdziłem, że nie stracił nic ze swej buty. Ponieważ spodziewałem się podstępny, byłem mile zaskoczony, gdy okazało się, że Leopold Habsburg przybył, by przekazać mi pozdrowienia od Henryka Hohenstaufa oraz od samego cesarza.

- Jestem niezwykle zaszczycony - odpowiedziałem po łacinie.

Wymieniliśmy uprzejmości i wreszcie zapytałem księcia:

- Co tak nędzny człek jak ja może uczynić dla cesarza? Ukorzyłem się celowo, gdyż byłem pewny, że Habsburg powtórzy każde moje słowo.

- Rad jestem to słyszeć - odparł Leopold Habsburg - gdyż syn cesarza pragnie złożyć ci propozycję. Henryk Hohenstauf chciałby, abyście walczyli ostrymi kopiami.

Nie wahałem się ani chwili.

- Zgoda.

Leopold skłonił się i wyszedł, wiedziałem jednak, że bacznie mnie obserwuje, szukając oznak słabości.

- Możesz zginąć - zauważył Henryk. - W takiej walce nie ma żartów.

- Wiem.

- Jesteś w rękach Boga - dodał.

Mój syn milczał. Wiedziałem, że się o mnie boi, jednak nic nie mogłem zrobić - kości zostały rzucone.

- Synu - rzekłem - jestem pewny, że nic mi się nie stanie. Syn cesarza będzie w takim samym niebezpieczeństwie jak ja. Zrozum, to tylko turniej. Jestem przekonany, że to nie pomysł Henryka Hohenstaufa, ale jego ojca,

Barbarossy, który chce się dowiedzieć, jakim jestem człowiekiem. Jeśli niemiecki cesarz myślał, że stchórzę, to się pomylił.

Nadeszła godzina próby. Dźgnąłem konia ostrogami. Ruszyliśmy, z początku wolno, potem coraz szybciej. Pochyliłem drzewce kopii. To samo uczynił syn Barbarossy. Przyłgnałem do wierzchowca i mocniej przyciągnąłem do siebie tarczę. Nie chciałem popełnić błędu, który tym razem mógł mnie kosztować życie.

Nastąpiło zderzenie - krótkie, gwałtowne i potężne. Dźwięk, jaki wydaje stalowy grot kopii, uderzając w tarczę, jest niesamowity. Złamane drzewce kopii młodego Hohenstaufa świsnęło tuż obok mojej głowy. Czuję, że zadany przeze mnie cios był silny, ponieważ jednak mój koń pędził naprzód, nie wiedziałem, jaki był jego skutek. Gdy zatrzymałem się na przeciwległym krańcu placu, zobaczyłem, że Henryk wciąż siedzi w siodle. Mój przeciwnik był wojownikiem niezwykle doświadczonym, gdyż nie każdy rycerz wie, jak podczas turnieju stosować uniki, jak zmienić nachylenie tarczy, aby skierować siłę uderzenia przeciwnika w inną stronę.

Wziąłem nową kopię. Znowu ruszyliśmy. Odczuwałem coraz boleśniej siłę uderzeń mojego rywala, ale jednocześnie byłem pewny, że i jemu ubywa sił.

W końcu Baldwin podał mi ostatnią, czwartą kopię.

- Ten pojedynek musi rozstrzygnąć się teraz - szepnąłem do niego.

Spiąłem konia, pochyliłem kopię i ruszyłem naprzód.

Zwarliśmy się po raz kolejny. Cios, jaki zadałem Henrykowi, był tak silny, że z jego tarczy posypały się iskry. Wydawało mi się, że stracił równowagę, ale pewność uzyskałem dopiero wówczas, kiedy zawróciłem konia i zobaczyłem, jak słudzy podnoszą go z ziemi. Tłum ucichł. Byłem zwycięzcą. Barbarossa dał znak, abym podjechał do trybuny, gdzie siedział razem z możnowładcami Rzeszy. Zsiadłem z konia i ukląknę. Ja byłem zwycięzcą turnieju, ale on był cesarzem, a więc najważniejszym człowiekiem na tym placu.

- Zdejmij hełm i wyjaw swe imię - powiedział po niemiecku.

Herold przełożył jego słowa na łacinę, ponieważ nie rozumiałem niemieckiej mowy. Barbarossa zszedł z trybuny i utkwiał we mnie władcze i przenikliwe spojrzenie. Czekał, co powiem.

- Nazywam się Gotfryd z Melville, jestem synem hrabiego Gloucester.

- Jesteś Anglikiem?

- Normanem angielskim.

- A więc nie jesteś moim poddanym? - zdziwił się Rudobrody.

- Nie. Jestem poddanym króla Anglii.

- W takim razie król Lwie Serce będzie miał z ciebie pożytek, gdyż okazałeś się pierwszym pośród świetnych rycerzy.

- Wasza Wysokość - wyszeptałem - muszę Waszej Wysokości coś wyznać...

Król uniósł brwi.

- Mów.

- Jestem szlachcicem, lecz nie jestem rycerzem... Los sprawił, że...

- Wiem o tym - przerwał mi Rudobrody. - Zaraz to naprawimy. Zasługujesz na to, by zostać rycerzem, jesteś nieustraszony i wspaniale walczysz.

Wyciągnął rękę, a sługa podał mu miecz, którym dotknął mego ramienia. Ze wzruszenia nie mogłem wykrztusić słowa.

- Wstań - rozkazał Barbarossa.

Gdy wstałem, włożył mi na szyję złoty łańcuch. Był to drugi władca Europy, którego mogłem oglądać z bliska. Sześćdziesiąt kilka lat Rudobrodego uwidoczniło się w zmarszczkach na czole, ale jego żywe, niesamowite oczy zdradzały, że jest silny i ma jasny umysł. Zrozumiałem, że mam przed sobą doskonałego rycerza, człowieka honoru, pobożnego chrześcijanina i największego spośród wszystkich koronowanych władców Europy.

- Mam nadzieję, hrabio - przemówił cesarz po łacinie z silnym niemieckim akcentem - że zasiądziesz dziś wieczorem przy moim stole.

- To dla mnie zaszczyt - odparłem.

- Szkoda, że nie będę miał cię u swego boku, gdy ruszę na Saladyna, żeby odebrać mu Jerozolimę - dodał cesarz, nie wiedząc, że czekałem na te słowa.

- Najjaśniejszy panie, skoro dziś Bóg pozwolił, abym pokonał twoich lenników, a także twego syna, to może Bóg nie będzie miał nic przeciwko temu, abym towarzyszył ci w drodze do Ziemi Świętej?

- W takim razie bądź moim przyjacielem, czarny rycerzu. - Barbarossa uśmiechnął się szeroko. - Tylko co powie na to twój pan, król Lwie Serce?

- Ja już od dawna nie mam pana - odpowiedziałem, a cesarz był inteligentnym człowiekiem i o nic więcej nie pytał. Tym samym zgodził się na mój udział w krucjacie.

Gdy szedłem na ucztę, jaką cesarz wydał na cześć zwycięzcy oraz wszystkich rycerzy walczących w turnieju, usłyszałem, jak rycerze śpiewają pieśń niemieckich krzyżowców:

*Już odmienione życie moje, z zacnego godniejszym się stało, aby ujrzały grzeszne oczy moje Ziemię piękną i wspaniałą. **

* Tekst pieśni Petera von der Vogelweidego został zaczerpnięty z płyty Jacka Kowalskiego *Rycerze Dobrej Opieki*, wyd. Paganini, Poznań 2003.

Rozdział XIV

SALADYN

Zamek w Gloucester, Anglia, grudzień, rok 1189

Hugo z Melville od kilku miesięcy ciężko chorował i nawet proboszcz kościoła katedralnego w Gloucester, który był też medykiem, powiedział, że hrabia powinien przygotować się na spotkanie ze Stwórcą.

Stary hrabia był niespokojny. Nie wiedział, co się stało z jego synem z pierwszego małżeństwa. W Gloucester pojawiały się plotki, że Gotfryd był wśród zabójców Becketa oraz że kręcił się przy templariuszach w Londynie, jednak o jego losie nie można było się dowiedzieć niczego pewnego. Hrabia podejrzewał, że syn udał się do Ziemi Świętej, jak czyniło to wielu młodych

szlachciców, którzy, nie mając szans na godne życie w kraju urodzenia, wyjeżdżali do Królestwa Jerozolimskiego.

Hrabia popatrzył na dwudziestoletniego, przystojnego młodego człowieka, na którego przelał całe ojcowskie uczucie.

- Robercie, podaj mi wody - wyszeptał.

Młody człowiek podał ojcu kielich z wodą. Starzec pił chciwie, po czym zmęczony opadł na poduszki.

- Robercie, chciałbym ci powiedzieć o czymś bardzo ważnym, co nie daje mi spokoju.

- Tak ojcze...

- Masz brata... To mój syn z pierwszego małżeństwa, zwie się Gotfryd. Ukrywałem to przed tobą. - Hrabia urwał, by nabrać tchu. - Odszedł od nas prawdopodobnie z twojego powodu... Skrzywdziłem go. Razem z twoją matką postanowiliśmy oddać go do klasztoru. Twoja matka wymogła to na mnie, albowiem pragnęła, abyś to ty odziedziczył po mnie tytuł hrabiowski, ziemię i majątek. Dla was dwóch nie było tu miejsca. Zostałem jednak ukarany już wkrótce po jego zniknięciu. Twoja matka, Robercie, zmarła w połogu. Straciłem dwie żony i syna! - Hrabia zamknął oczy, jakby poczuł ukłucie bólu. - Obie są pochowane w kościele. Chcę spocząć obok nich. Wybacz mi...

Hugo zakasłał chrapliwie, a na chustce, którą otarł usta, pojawiła się krew.

- Jak mogłeś milczeć przez tyle lat!

- Synu, nigdy sobie tego nie wybaczyłem! - Usta hrabiego wykrzywiły się z wysiłku. - Chciałbym, żebyś mi coś przysiągł. - Hugo chwycił syna za rękę.

- Jaka jest twoja wola?

- Przysięgnij, że go odszukasz i powiesz mu, że go kochałem - wyszeptał Hugo.

- Gdzie mam go szukać? Jak mam tego dokonać?

- Zdaj się na głos serca.

Stary hrabia opadł na poduszki. Syn ukląkł przy łóżku i dotknął delikatnie pomarszczonej dłoni hrabiego.

- Przysięgam - wyszeptał.

Przycisnął do ust pierścień, który Hugo nosił na palcu wskazującym, i spojrzał na twarz ojca. Jego oczy były otwarte, lecz już nie oddychał.

Po pogrzebie ojca Robert wyznaczył tymczasowego szeryfa Gloucester i z kilkudziesięcioma ludźmi postanowił dołączyć do króla Ryszarda Lwie Serce, który ogłosił krucjatę przeciwko Saladynowi i zbierał armię w całej Anglii.

□ □ □

Hubert przybył do Królestwa Jerozolimskiego na początku 1187 roku i święto Objawienia Pańskiego spędził już w Jerozolimie. Pewnego styczniowego dnia postanowił udać się do swojego przełożonego, wielkiego mistrza templariuszy, Gerarda z Ridefortu. Szedł ulicami starego miasta w stronę siedziby templariuszy, zwanej *templum*, położonej w miejscu dawnej Świątyni Salomona, w bezpośrednim sąsiedztwie meczetu Al-Aksa, który służył templariuszom za stajnię.

Hubert nie lubił wielkiego mistrza, który był człowiekiem zarozumiałym, mającym w pogardzie muzułmanów, żydów, a także chrześcijan obrządku greckiego. Jego poglądy podzielali prawie wszyscy templariusze.

Hubert, urodzony w Trypolisie potomek francuskich krzyżowców, lepiej rozumiał sytuację swojej ojczyzny niż przybysze z Europy. Znał doskonale grekę i język arabski, a z innymi krzyżowcami rozmawiał po francusku i łacinie. Zdawał sobie sprawę, że przetrwanie Królestwa Jerozolimskiego zależy tylko i wyłącznie od pokojowego współżycia chrześcijan i muzułmanów. Ta polityka zdawała egzamin za panowania nieszczęśliwego króla Baldwina Trędowatego, lecz po jego śmierci do głosu doszli zwolennicy wojny, wśród których templariusze odgrywali główną rolę, i dlatego pokój stanął pod znakiem zapytania.

Gerard siedział w fotelu w sali audiencyjnej. Jego biała tunika z czerwonym krzyżem była taka sama jak tunika Huberta, ale rycerze różnili się w kwestii wojny z muzułmanami.

- Witaj, bracie - rzekł Gerard. - Już niedługo ruszymy na pogan i mam nadzieję, że będziesz walczył wraz z nami.

- A mam inne wyjście? - mruknął Hubert.

- Szczerze mówiąc, nie.

- Dostojny bracie, proszę, abyś przemyślał raz jeszcze decyzję o wojnie. Do tej pory udawało nam się odnosić zwycięstwa nad muzułmanami, lecz teraz sytuacja uległa zmianie. Wydaje mi się, że nie mamy już nad Saracenami przewagi.

- Jak mam rozumieć twoje słowa? - Gerard ściągnął brwi.

- Jeszcze nie mierzyliśmy się z takim przeciwnikiem jak Saladyn. Do tej pory wygrywaliśmy wszystkie starcia, ale teraz będziemy mieli przeciwko sobie cały świat islamski. Zapewniam cię, że Europa nam nie pomoże. Wracam stamtąd i nie mam co do tego złudzeń.

- W takim razie brak ci wiary! - wykrzyknął wielki mistrz, wstając. - Armia Jezusa Chrystusa nie może zostać pokonana! Jesteś naszym bratem i wzywam cię do posłuszeństwa, Hubercie z Croisilles!

□ □ □

Hubert doskonale zdawał sobie sprawę, że dotychczasowe sukcesy krzyżowców w starciach z muzułmanami wcale nie były zasługą jakości ich stali, lecz tego, że wyznawcy proroka nienawidzili się nawzajem bardziej, niż nienawidzili przybyszów z Europy. Do czasu, kiedy pojawił się Saladyn. To on zmienił układ sił. Hubert poznał go dwadzieścia lat temu, gdy Saladyn był dowódcą kurdyjskich oddziałów w służbie sułtana Egiptu. Spotkali się w górach Libanu.

Oddział Huberta natknął się na oddział Saladyna. Doszłoby zapewne do walki, gdyby nie pogoda. Była zima i w górach spadł obfity śnieg, co zdarzało

się bardzo rzadko. Zarówno muzułmanie, jak i chrześcijańscy żołnierze musieli przeczekać zamieć. Hubert pozwolił muzułmanom ogrzać się przy tych samych ogniskach, przy których jego ludzie przygotowywali sobie strawę. Dwaj dowódcy długo rozmawiali.

Saladyn wywarł na Hubercie wielkie wrażenie. Był niezwykle inteligentny. To on zjednoczył wszystkich wyznawców Allacha zamieszkujących Syrię i Egipt. Siły zbrojne tych dwóch krain miały okazać się wystarczające przeciwko źle dowodzonym krzyżowcom. Hubert wiele razy zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej zabić wtedy Saladyna. Ale jak mógł zabić bezbronnego człowieka, który poprosił go o możliwość ogrzania się przy ognisku?

Wychodząc od wielkiego mistrza, Hubert czuł, że przybył do Palestyny w złym czasie. Jednak nie mógł się wycofać. Stary Rupert wysłał go na wschód, aby odnalazł mandylion, lecz

Hubert postanowił odwiedzić Jerozolimę i znalazł się trochę wbrew sobie w pochodzie pod Rogi Hittinu*, gdzie zapisał się w najtragiczniejszym rozdziale w dziejach zmagania krzyża z półksiężycem.

* Rogami Hittinu nazywano dwa wzniesienia w Judei. Tam stoczona została decydująca bitwa między wojskami jerozolimskimi i Saladynem w dniu 4 lipca 1187 roku.

Hubert wiedział, że wojna jest postanowiona, a nowy król jerozolimski, Gwidon z Lusignan, mąż królowej Sybilli, siostry wybitnego, choć nieszczęśliwego króla Baldwina Trędowatego, jest zbyt młody i niedoświadczony, aby poradzić sobie z wielką polityką. Baronowie i zakony rycerskie ciągle się ze sobą kłócili. Król Gwidon, choć nie brakowało mu fantazji błędnego rycerza, nie miał szans w starciu z tak silną osobowością jak Saladyn. Kiedy doszło do wojny, którą sprowokował sprzymierzony z templariuszami książę Zajordanii, Reynald z Chatillon, Palestyna zarojła się od

muzułmańskich proporców, a tętent tysięcy koni wojowników Saladyna odmierzał koniec Outremeru, zamorskiego państwa krzyżowców.

Klęska chrześcijan w bitwie pod Hittinem była sromotna. Otoczeni ze wszystkich stron, zmęczeni upałem, zasypywani gradem strzał nie mieli szans. Tysiące trupów zasiało pustynię, a młody król Gwidon zobaczył na własne oczy, jak wielka jest jego porażka i jak głęboko upokorzeni są chrześcijanie. Najświętsza relikwia, drewno z Krzyża Świętego, wpadła w ręce kurdyjskich żołnierzy Saladyna. Sułtan, nie mogąc powstrzymać bitewnego szału swoich ludzi, zgodził się na zabicie wszystkich wziętych do niewoli rycerzy zakonnych. Wszyscy szpitalnicy świętego Jana oraz templariusze i bożogrobcy zostali ścięci, a egipscy mamelukowie ułożyli z ich głów kilka dużych stosów. Saladyn postanowił wypłacić swoim żołnierzom po pięćdziesiąt dinarów złotem za każdą ściętą głowę zakonnego rycerza. Żałosny koniec spotkał też Reynalda z Chatillon, głównego sprawcę wojny, chciwego i groteskowego rozbójnika, napadającego na muzułmańskie karawany, a zarazem konfratra templariuszy i księcia Zajordanii. Sułtan zabił go, podrzynając mu gardło nożem. Saladyn ocalał tylko trzech ludzi: króla Gwidona, mistrza templariuszy Gerarda z Ridefortu, i jeszcze jednego rycerza, którego znał i którego uważał za syna palestyńskiej ziemi - Huberta z Croisilles.

Wieczorem, po bitwie, egipscy żołnierze przywlekli przed oblicze sułtana poranionego i pogodzonego z losem Huberta. Jego podarta biała tunika z czerwonym krzyżem drażniła kacyków i szejków zebranych w namiocie Saladyna. Jednak sułtan znał tego człowieka zbyt dobrze, by pozwolić na jego egzekucję. Dlatego uspokoił szejków ruchem dłoni.

- *Aszhadu anna la ilaha Ula Allah, wa anna Muhammad rasul Allah!** - odezwał się sułtan na powitanie rycerza, wypowiadając *aszshahadę*, muzułmańskie wyznanie wiary. Tym samym dał mu do zrozumienia, że jedynym sposobem na ocalenie życia jest przejście na islam.

* *Aszhadu...* (arab.) - Nie ma Boga nad Allacha i Mahomet jest jego prorokiem.

Wszyscy inni rycerze zostali ścięci po tym, jak jeden po drugim odmawiali zmiany wyznania. Saladyn nie chciał jednak śmierci człowieka, który kiedyś uratował mu życie. Podszedł więc do jeńca i zapytał go po arabsku, wiedząc, że Hubert świetnie zna ten język:

- Czy przyjmiesz świętą wiarę Proroka?

Hubert podniósł brudną, umęczoną twarz i spojrzał na sułtana, po czym odpowiedział:

- Nie zrobię tego z tego samego powodu, dla którego ty, Wasza Wysokość, nie przeszedłbyś na chrześcijaństwo, gdybyś znalazł się na moim miejscu. - Zgromadzeni w namiocie szejkwowie zaszemrali, dziwiąc się jego doskonałemu arabskiemu. - Jeśli chcesz, zabij mnie. Wszystko mi jedno...

- Mogę cię zabić - odrzekł sułtan - lecz co powiem Prorokowi, kiedy po śmierci stanę u bram raju? Czy powiem mu, że zabiłem człowieka, który podczas szalejącej zamieci pozwolił mi się ogrzać przy ognisku? Jak się usprawiedliwię przed Allachem?

Teraz Hubert już wiedział, że Saladyn go oszczędzi, bo kiedy egipscy mamełukowie przywlekli go przed jego oblicze, nie mógł mieć takiej pewności. Był przekonany, że zetną mu głowę, tak jak wszystkim templariuszom i joannitom wziętym do niewoli.

- Będziesz żył - powiedział Saladyn - albowiem taka jest moja wola. Wasz król oraz wódz templariuszy pozostaną moimi jeńcami. Wszyscy twoi bracia umarli, bo taki był ich los.

- Dlaczego ich zabiłeś?

- Dla przykładu! Wy podli, szaleni i wiarołomni Frankowie! - krzyknął wzburzony Saladyn. - Zbyt długo was znosiłszy! Gdy w Jerozolimie panował Król Trędowaty, dotrzymywałem układów, bo on na swoim ciele nosił dowód waszej hańby i z miłości do Boga cierpiał męki, lecz wy go nie słuchaliście! To

wy zerwaliście rozejm! Czy myślisz, że kazałem ich zamordować dlatego, że odnajduję radość w zabijaniu? Wszystkich chrześcijańskich rycerzy prosiliśmy, by uwierzyli w Allacha, lecz oni tego nie uczynili, bo chcieli umrzeć na tej pustyni! Lecz ty będziesz żył i zanieśiesz do Europy moje słowa, że oto nastał czas Proroka, a krzyż, na którym umarł wasz Bóg, zawiozę jako trofeum do mego pałacu!

Saladyn kazał jeńcowi wstać i podszedł do niego tak blisko, że ich twarze prawie się stykały. Hubert zauważył, że Saladyn ma czarne, inteligentne oczy, ale nie dostrzegł w nich żądy zemsty. Pomyślał, że chrześcijanie sami są sobie winni, bo jak nisko musieli upaść, skoro drewno Krzyża Świętego miało zostać pohańbione...

Władca kazał go rozwiązać, wykapać i nakarmić. Dał mu też dobrego konia i zapas wody i powiedział, że może się udać, dokąd chce. Wyjeżdżając z obozu Saladyna, Hubert zobaczył pobojuwisko i zapłakał. Ciała chrześcijańskich żołnierzy już zaczęły gnić w wieczornym upale. Widział też stosy głów swoich zakonnych braci. Tylko sępy, hałaśliwi towarzysze śmierci, zlatywały się z całej pustyni, zwabione odorem gnijącego mięsa.

Trzy dni później

Słońce prażyło niemiłosiernie. Hubert kołysał się w siodle, nie wiedząc, gdzie jest i jak długo przemierza pustynię. Pochłoną mnie te piaski, pomyślał. Lepiej byłoby zginąć z rąk Saladyna. Nagle gdzieś przed nim, w nagrzanym drgającym powietrzu zamajaczyły wieże, a po chwili mury nadmorskiej twierdzy.

- To Askalon! Dzięki ci, Boże! - wyszeptał. Strażnicy pełniący wartę na wieży wkrótce go dojrzeli.

Zobaczywszy jego białą tunikę z czerwonym krzyżem, nie mieli wątpliwości, że to nie wróg. Gdy koń wjechał na zwodzony most, jeździec zachwiał się i spadł na deski.

- Zanieście mnie do komandora twierdzy - wyszeptał po francusku do wartowników, którzy go podnieśli.

Zaniesiono go do wielkiego refektarza, gdzie oprócz komandora, braci służebnych, kilku księży i ochrzczonych arabskich mieszkańców podgrodzia znalazło się także wielu żołnierzy z twierdzy. Komandor Askalonu był templariuszem. Zdziwił się na widok współbrata nie mniej niż wartownicy. Zapytał go, co stało się z królewską armią.

- Klęska... straszliwa... król i mistrz są w niewoli u Saladyna... Jerozolima... stracona...

- Ile dni tutaj jechałeś, bracie?

- Nie wiem... Bóg mnie ocalił. Mówię wam, bracia, nie obronicie Askalonu, kiedy nadejdzie Saladyn.

- Twierdza jest mocna - odpowiedział komandor, templariusz Piotr z Beauvaux. - Wytrzymamy.

- Nie macie szans. Ilu masz ludzi?

- Musiałem oddać dwustu żołnierzy królowi - westchnął komandor. - Mam w tej chwili niecałą setkę.

- Saladyn ma tysiące... Nie zostawi Askalonu w spokoju, bo twierdza stoi na szlaku do Egiptu. Poza tym sułtan nie pozwoli, by istniała chrześcijańska twierdza na lewej flance Jerozolimy. Będziesz miał gości w ciągu miesiąca, komandorze. Jestem tego pewny.

Bracia służebni umyli go, ubrali w czyste odzienie, napoili i nakarmili. Hubert poczuł się lepiej.

Opowiedział im, co Saladyn zrobił z templariuszami i innymi rycerzami wziętymi do niewoli pod Hittinem. Słuchacze byli wstrząśnięci.

- Jerozolima jest potężną twierdzą - powiedział nieśmiało jeden z młodych braci.

- Jerozolima jest stracona! - wykrzyknął Hubert. - Nie rozumiecie, że król Gwidon ogołocił miasto z żołnierzy, będąc tak pewnym zwycięstwa, i teraz, po jego klęsce, Jerozolimy nie będzie miał kto bronić? Wszystko stracone...

W komnacie zawisła ciężka cisza. Komandor Piotr siedział z kamienną twarzą, bo wiedział, że Hubert ma rację. To, iż Jerozolima, zdobyta z takim trudem przed niespełna stu laty, mogła teraz wpaść w ręce muzułmanów, było dla wszystkich chrześcijan z Askalonu bolesnym ciosem.

- Jak mogę ci pomóc? - zapytał Piotr.

- Muszę się stąd wydostać - odpowiedział bez wahania Hubert.

- Skoro Jerozolima jest oblegana, pozostaje ci tylko droga morska.

- Czy w porcie stoi jakiś statek?

- Tylko łodzie rybaków... Chociaż... czekaj! Za dwa dni ma przybyć kilka statków bizantyjskich, należących do Teodora Laskarisa.

- Kto to taki?

- Bogaty grecki kupiec, który jest nam winien pieniądze.

Będzie płynął z ładunkiem pieprzu, mirry, goździków i wina do Konstantynopola.

- W takim razie poczekam na niego.

□ □ □

Dwa dni później, wczesnym rankiem, gdy tylko słońce ukazało się na horyzoncie, zalewając blaskiem piaski pustyni, wartownicy zauważyli, że w stronę twierdzy zmierza spora grupa ludzi. Całą załogę postawiono w stan gotowości, lecz już wkrótce obawa, że to wojska Saladyna, ustąpiła miejsca smutkowi. Po błękitnej chorągwi ze złotym krzyżem, jaka zamajaczyła w oddali, wartownicy i ludzie, którzy wylegli na mury, poznali, że to uciekinierzy z Jerozolimy. Tego dnia do twierdzy przybyło ich dwa tysiące.

Okazało się, że Jerozolima skapitulowała przed Saladynem po niecałym tygodniu zaciętych walk. Bronili jej wszyscy mieszkańcy. Obawiano się, że Saladyn po zdobyciu miasta będzie bezlitosny. Nie doszło jednak do masakry.

Wszyscy obrońcy, w tym dowódca garnizonu, hrabia Balian z Ibelinu, oraz jego brat, a także biskup Wilhelm z Tyru, mogli bezpiecznie wycofać się aż do morza, gdzie zaopiekował się nimi hrabia Trypolisu, Rajmund.

Do Askalonu przybyli ormiańscy kupcy z rodzinami, wielu rannych żołnierzy i mnóstwo księży, w tym patriarcha Jerozolimy, dostojny biskup Herakliusz, z rzeszą pochlebców, sług i kuframi zawierającymi skarby, które zdołał wywieźć z miasta. Dostojnik Kościoła natychmiast zażądał najwygodniejszej komnaty, chleba, jadła i napojów dla siebie i swoich ludzi - księża i słudzy biskupa przywykli bowiem do przywilejów, tak jak ich pan.

- Nie, dostojny arcybiskupie, będziesz jadł to co wszyscy i spał tam gdzie wszyscy! Na gołej ziemi! - uciał Hubert.

- Wiesz, kim jestem?! Jak śmiesz tak do mnie mówić?! - oburzył się biskup.

- Wiem, kim jesteś. I nie będzie dla ciebie, ekscelencjo, żadnych przywilejów. Setki uciekinierów z Jerozolimy pragną się schronić w tej twierdzy!

- Bóg cię ukarze za twoją pychę, rycerzu! - prychnął biskup, wykrzywiając z wściekłości usta.

- Bóg już ukarał nas głupotą, która spowodowała, że król wypowiedział wojnę Saladynowi, nie mając szans na jej wygranie. Ty, ekscelencjo, również się do tego przyczyniłeś, i gdybyś miał honor, położyłbyś głowę pod topór, tak jak wszyscy templariusze i joannici!

Gdy nastał wieczór, Herakliusz, spożywając na kolację tylko chleb i wodę, zastanawiał się, dlaczego Bóg opuścił chrześcijan, którzy przecież chcieli dla niego wygrać wojnę.

□ □ □

Tymczasem muzułmanie dziękowali, że miłosierny Allah wysłuchał ich modlitw i pozwolił, aby jedyny sprawiedliwy władca, sułtan Egiptu i zarazem władca Syrii, Al-Malik Salahad-Din Yusuf Abu Al Muzzafar Ibn Ayyub Al

Kurdi, znany w świecie chrześcijan jako Saladyn, rozgromił armię znienawidzonych krzyżowców w wielkiej bitwie pod Hittinem i odebrał im Jerozolimę, w której przed wiekami prorok Mahomet miał wstąpić do nieba.

Pierwszą noc po zdobyciu miasta Saladyn spędził na modłach w meczecie Al-Aksa. Zanim jednak przestąpił jego progi, kazał go okadzić, gdyż meczet służył wcześniej templariuszom za stajnię.

Sułtan nie chciał zaognić religijnego konfliktu. Mówił do swoich żołnierzy:

- Oszczędźcie chrześcijan, nie ze względu na nich samych, ale po to, aby w tej wojnie moralna racja była po naszej stronie. Zachowujcie się godnie i nie atakujcie chrześcijańskich mieszkańców miasta. Chrześcijanie powiedzą wówczas, że zachowaliśmy się godniej i sprawiedliwiej niż oni przed osiemdziesięcioma laty.

Saladyn dobrze wiedział, że krzyżowcy, zdobywając miasto w roku 1099, zabili w ciągu dwóch dni wszystkich mieszkańców, niezależnie od wyznawanej przez nich religii. Wielu muzułmanów uważało, że trzeba postąpić tak samo z chrześcijanami. Co więcej, radykalni imamowie nawoływali podczas codziennych modłów do zburzenia kościołów i naznaczenia ich murów krwią chrześcijan.

Władca nie był głupcem ani fanatykiem religijnym. Jego chytra kurdyjska natura podpowiadała mu, że zdobycie Jerozolimy będzie wstrząsem dla świata chrześcijańskiego. Wiedział, że prędzej czy później staną naprzeciw jego wojsk silne armie z Europy. Wiedział też, że Jerozolimę może utracić tak samo, jak ją odzyskał. Dlatego postanowił działać rozważnie. Pojmował swoją dziejową misję w sposób odmienny od większości muzułmanów, uważał się za kogoś, kto ma strzec boskiego ładu. Dotrzymywał warunków pokoju z chrześcijańską Jerozolimą podczas panowania Baldwina IV, jednak po jego śmierci to chrześcijanie zerwali pokój, atakując muzułmańskie karawany w Zajordanii.

Wybuchła wojna, którą wygrał. Lecz zwycięstwo nie ucieszyło go tak jak jego współwyznawców.

Saladyna wciąż frapowała pewna nierozstrzygnięta kwestia natury moralnej. Skoro muzułmanie i chrześcijanie wierzą w tego samego Boga - a tego był pewien - to czyż nie grzeszą, zabijając się nawzajem? To pytanie nie dawało mu spokoju. Zastanawiał się, dlaczego krzyż jerozolimski* tak łatwo został przejęty pod Hittinem, skoro wisiał na nim chrześcijański Bóg? A im więcej nad tym rozmyślał, tym częściej dochodził do wniosku, że Bóg nie opuścił chrześcijan, bo przecież Bóg nikogo nie opuszcza. To chrześcijanie opuścili swojego ukrzyżowanego Boga.

* Krzyż jerozolimski był częścią relikwii Krzyża Świętego odnalezionej w Jerozolimie przez Helenę, matkę Konstantyna Wielkiego w IV w.; w czasach wypraw krzyżowych uznawano go za najświętszą relikwię chrześcijaństwa.

Pobożny sułtan obawiał się, że дума muzułmanów po starciu na prochu chrześcijańskiej armii pod Hittinem obróci gniew boży przeciwko nim. Był pewien, iż muzułmanie mogą zapłacić wysoką cenę z powodu przyrodzonej wszystkim ludziom skłonności do grzechu (w mniemaniu władcy muzułmanie nie byli wyjątkiem). Żywił przekonanie, że kiedy Allah znów rozgniewa się na swoich wyznawców, okrutni zachodni Frankowie ponownie wzniosą krzyż nad Jerozolimą. Saladyn wiedział, że wszystko jest kwestią czasu.

Lecz fanatyczni imamowie, dyszący żądzą zemsty, zaklinali Saladyna, aby pozwolił muzułmanom dopełnić bożej pomsty i wymordować wszystkich Franków. Sułtan długo milczał, po czym odpowiedział im, że Bóg nikogo nie chce mordować, ponieważ Allah jest sprawiedliwy i miłosierny i brzydzi się przelewaniem krwi, niezależnie od tego, czy jest to krew chrześcijan, czy muzułmanów, i następnie kazał wygnać z Jerozolimy wszystkich radykalnych imamów.

Wygnani nauczyciele Koranu nie mogli zrozumieć, dlaczego sułtan zakazał burzyć chrześcijańskie kościoły, i wciąż powtarzał, że wszystko na tej ziemi jest kwestią czasu.



Teodor Laskaris uważał się za wyjątkowo zdolnego człowieka. Miał sporo racji; był szczęściarzem, który potrafił wydobyć siebie i swoich ludzi niemal z każdej opresji. Do czasu, aż zapożyczył się u templariuszy. Bracia zakonnicy, posiadając we wschodniej części Morza Śródziemnego kilka banków, udzielali kredytów na bardzo korzystny procent, jednak Laskaris nie wywiązał się ze zobowiązań i teraz, by spłacić dług, musiał dla nich szpiegować. Powiadamiał ich o wszystkim, co działo się na dworze cesarskim w Konstantynopolu, gdyż był zaufanym wielkiego logotety, Michała Androniketa, czyli najważniejszego bizantyjskiego ministra. Właśnie na połowę lipca 1187 roku Laskaris ustalił spłatę kolejnej raty w wysokości dwustu pięćdziesięciu sztuk złota. W tym celu jego flotylla, składająca się z czterech żaglowców wypełnionych towarami, płynęła w stronę nadmorskiej twierdzy templariuszy, Askalonu. W głębi duszy Laskaris czuł się kimś lepszym od zachodnich krzyżowców i gardził nimi. Nie bez kozery Grecy, obywatele Bizancjum, mówili sami o sobie *Romaioi* *, czym doprowadzali do pasji łacinników wiernych papieżowi. Ale Bizancjum miało teraz kłopoty. Cesarstwo słabło, rozdzielane przez zwalczające się wielkie rody, dworskie koterie, kupców oraz fanatycznych mnichów. Autorytet cesarza był coraz mniejszy. Wysokie mniemanie o sobie, a także kompleksy Bizantyjczyków, zazdroszczących swoim zachodnim kuzynom sukcesów w wojnach, szczególnie tych w Palestynie, miały na kupca fatalny wpływ. Był kłębkim nerwów. Czuł, że szczęście w interesach zaczęło go opuszczać. Płynąc do Askalonu ze złotem dla templariuszy, chciał jak najszybciej załatwić tę sprawę i wyruszyć do Konstantynopola.

* *Romaioi* (gr.) - Rzymianie.



Laskaris od razu zauważył, że coś jest nie w porządku. Straże portowe nawet nie poprosiły go o spis towarów i nie kazały zapłacić myta.

Kupiec udał się wprost do komandora Piotra. Nie znosił templariuszy, ale też śmiertelnie się ich bał. Mieli opinię zajadłych wrogów islamu i greckiej schizmy. Ruszył do górnego zamku, mijając licznych uciekinierów. Poprowadzono go do refektarza, gdzie zastał kilku templariuszy oraz bogato odzianego biskupa i licznych kościelnych wielmożów, kłócących się o coś. Laskaris nie znał francuskiego i niczego nie rozumiał, lecz przeczuwał, że sytuacja chrześcijan w Askalonie nie jest najlepsza.

W końcu spostrzegł go komandor Piotr.

- Ach, Laskarisie, przyplynałeś... to dobrze - rzekł po grecku. - Bardzo nam się przydasz.

- Co się stało? - zapytał kupiec, siadając bez zaproszenia na jednym z krzeseł.

Hubert popatrzył na niego. Laskaris był wysokim, szczupłym człowiekiem o czarnych włosach i ciemnej karnacji, takiej jak u Arabów. Miał orli nos, a inteligentne, ciemnobrązowe oczy spoglądały na zebranych rycerzy spod kruczoczarnych brwi.

- Jerozolima została zdobyta przez Saladyna - oznajmił Hubert po grecku.
- Król Gwidon został wzięty do niewoli.

Laskaris dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przecież Askalon roi się od uciekinierów. Te kobiety i dzieci...

- Kiedy miasto padło?

- Przed kilkoma dniami. Saladyn na pewno zjawi się wkrótce pod Askalonem. Nie mamy zbyt dużo czasu.

Sprytny Grek uświadomił sobie, że on i jego flotylla są teraz templariuszom bardzo potrzebni. Stał się ostatnią deską ratunku, musi więc być

bezwzględny. Pomyślał, że to Bóg dał mu szansę uwolnienia się spod upokarzającej władzy żelaznych mnichów. Musi wykorzystać sytuację.

- Potrzebujemy twojej pomocy - ciągnął Piotr. - Część uciekinierów z Jerozolimy opuści Askalon na twoich statkach. Musisz zawieźć ich do Tyru, pod opiekę hrabiego Rajmunda. Tamta twierdza jest potężniejsza od Askalonu i bez wątpienia Saladyn nie odważy się jej zaatakować.

- Zrobię to, ale nie za darmo... - zaczął Laskaris.

- Ty łotrze! - syknął Piotr.

- Jeśli mnie zabijecie, wszyscy uciekinierzy z Jerozolimy zginą! Ja jestem waszą jedyną nadzieją!

- Zostaw go - powiedział Hubert do komandora. Hubert pomyślał, że Bractwo Mandylionu szuka człowieka, który wprowadzi szpiegów do Konstantynopola. Kupiec, który stał przed nim, nadawał się do tego doskonale.

□ □ □

W styczniu 1190 roku hrabia Robert z Melville wyruszył na krucjatę, wypływając z portu w Plymouth.

Wojna go przerażała, gdyby jednak został w domu, obejmując schedę po zmarłym ojcu, okryłby się hańbą, albowiem wszyscy rycerze w jego wieku towarzyszyli Ryszardowi Lwie Serce. Robert nie miał pojęcia, jak daleko od Europy jest Ziemia Święta. Przypuszczał, że bardzo daleko, ale zupełnie nie potrafił sobie wyobrazić, jak wyglądają Saraceni, z którymi ma walczyć. W Anglii, tuż przed wyprawą, księża opowiadali, że mogą mieć skórę czarną jak smoła. Mówili też, że muzułmanie są synami szatana. Mimo tych opowieści Robert chciał się przekonać, jak wygląda Jerozolima i czy rzeczywiście znajdują się tam wspaniałe pałace i ogrody.

Młodzieniec martwił się, że nie zdoła odnaleźć swojego zaginionego brata i w ten sposób wypełnić woli zmarłego ojca. Nie miał nawet pewności, czy wróci żywy.

Rozdział XV

CÓRKA IZRAELA

Estera była córką Jaira ben Haddaja, bogatego żydowskiego bankiera. Mieszkali w Wiedniu. Jair został głównym wierzycielem księcia Leopolda Austriackiego, który zapożyczył się u niego, gdyż wyruszając na krucjatę, chciał wystawić liczny poczet zbrojnych.

Córka przestrzegała Jaira:

- Ojczy, musisz być ostrożny. Nie ufam księciu.

- Dlaczego? Przecież pożyczka od nas pieniądze. A skoro pożyczka, to musi oddać. Tak nakazuje honor.

- Uważam, że księżę Leopold jest nieobliczalny. Proszę, bądź ostrożny!

Stary bankier liczył, że księżę Leopold, pożyczając złoto na sfinansowanie wyprawy do Ziemi Świętej, zabawi w Jerozolimie kilka lat i w ten sposób pożyczona kwota wzrośnie o odpowiedni procent. Perspektywa zysku bardzo ucieszyła starego Jaira.

- Ojczy, boję się krzyżowców. Nie rozumiem, z czego się tak cieszysz - utyskiwała Estera.

- Niepotrzebnie. Jahwe obiecał nam Jeruzalem. Utraciliśmy nasze miasto dawno temu, bo byliśmy grzeszni. Teraz, mając złoto, będę mógł przyczynić się do tego, że Jeruzalem przynajmniej w części znów stanie się żydowskie - zażartował starzec.

Estera pokręciła głową, dziwiąc się słowom ojca. Niedawno zdemontowano kantory kilku żydowskim lichwiarzom, a Jair był chyba najbardziej znanym pośród nich.

Mijały dni, aż któregoś poranka Estera zauważyła, że w stronę ich domu zmierza tłum ludzi z zapalonymi pochodniami, wnosząc groźne okrzyki.

- Żydzi ukrzyżowali Chrystusa! - krzyczał kapelan księcia Leopolda, mnich Piotr z Fuldy. - Naszym obowiązkiem jest pomścić śmierć naszego Boga!

- Pomścimy go! - wrzeszczała tłuszcza.

Estera stała w oknie i z przerażeniem patrzyła, jak miejska biedota, podjudzana przez księdza, rozpoczęła plądrowanie żydowskich domów kupieckich i kramów. Postanowiła ostrzec ojca, który przy świecy podliczał zyski z ostatniego miesiąca. A kiedy Jair liczył pieniądze, zapomniał o całym świecie. Zdażyła go ostrzec w ostatniej chwili. Starzec, słysząc o napastnikach, bardzo się rozgniewał i nie miał najmniejszego zamiaru uciekać.

- Estero, nie jesteśmy przestępcami. To nie moja wina, że jestem bogaty - powiedział.

Wyszedł przed dom. Zabrał ze sobą srebrny krzyż, który zastawił jeden z rycerzy księcia Leopolda, i uniósł go do góry. Ludzie, widząc starego Żyda z krzyżem w ręku, cofnęli się.

- Po co tutaj przyszliście?! - krzyknął Jair. - Chcecie rabować?! Macie ochotę na moje złoto? Weźcie je sobie, lecz jak wytłumaczycie się przed waszym ukrzyżowanym Bogiem z tego, że kradliście?

- Błuźnisz, Żydie! - odpowiedział mu ksiądz Piotr z Fuldy. - Jesteś synem zatracenia, jak Judasz, który miał pieczę nad sakiewką apostołów, a potem zdradził Jezusa! Żydzi to złodzieje!

- Ukarać bezbożników! - wtórował mu tłum.

Estera stała w oknie jak skamieniała. Ojciec podszedł do Piotra z Fuldy.

- Piotrze, bluźnisz bardziej ode mnie, bo powołujesz się na Jezusa, zapominając, kim był! - krzyknął.

- A kim według ciebie był Jezus? - zapytał drwiąco ksiądz.

- Był Żydem z krwi i kości!

Tłum zawrzało. Wiadomo było, iż wcale nie chodzi o Boga, ludźmi kierowała obrzydliwa zazdrość. Nienawidzili Jaira, ponieważ był bogaty, jadał na srebrnej zastawie i miał ich wszystkich w kieszeni.

- Zabić go! - wrzasnął Piotr z Fuldy.

Ludzie ruszyli na bankiera, który wcale nie miał zamiaru się bronić. Podnieśli go na oczach córki i unieśli w górę. A stary Żyd, wiedząc, że nadeszła jego ostatnia godzina, zaczął się modlić:

- Boże Abrahama, Izaaka i Jakuba, zawsze byłem ci wierny...

Tłuszcza rozdarła go na strzępy, wrzucając jego oderwane ręce do rynsztoka, a głowę wbijając na włócznię.

Estera, niewiele myśląc, zbiegła po schodach i uciekła, tak jak stała, w samej tylko sukni, tylnym wyjściem, wyprowadzającym na ciemne, lecz spokojne zaułki.

Wkrótce wieść o pogromie wiedeńskim rozeszła się po krajach niemieckich, docierając także do Trewiru, gdzie zbierała się wielka niemiecka armia krzyżowców.

□ □ □

Uczta, jaką Barbarossa wydał na cześć uczestników turnieju, była wspaniała. Na rynku ustawiono wielkie stoły i zarznięto dwieście prosiaków, które upieczono na roznach. Wielu rycerzy zazdrościło mi, gdyż cesarz pozwolił mi usiąść przy swoim stole. Usługiwałem mu, co było dla mnie wielkim zaszczytem. Rudobrody miał umysł bystry, a język ostry. Potrafił mówić o swoich obowiązkach władcy z ironią, co jak podejrzewam, wcale nie jest u władców częste.

Cesarz zdradził swoje plany co do krucjat. Zamierzał zebrać możliwie jak największą armię w krajach niemieckich i ruszyć wzdłuż koryta Dunaju. Chciał podzielić wojsko na kilka mniejszych oddziałów, aby przemarsz tak wielkiej armii przez ziemie Węgrów i Bizantyjczyków był łatwiejszy. Zdawał sobie sprawę, że przejście przez ziemie wschodniego cesarstwa jest koniecznością i że nie da się uniknąć zadrażnień, albowiem Grecy z Bizancjum i zachodni chrześcijanie nienawidzili się nawzajem. Dowiedziałem się także, że Ryszard Lwie Serce już wypłynął do Palestyny, lecz jego flota, zatrzymawszy się w sycylijskich Syrakuzach, zajęła port i miasto i je złupiła. Król Ryszard

rozwścieczył tym samym wielkiego cesarza, dla którego Sycylia była rodowym matecznikiem, najwspanialszym klejnotem w koronie Hohenstaufów. Niemieccy rycerze z oburzeniem mówili o poczynaniach angielskiego króla. Miało się wkrótce okazać, że król Ryszard został sam w najcięższych chwilach w Palestynie, właśnie z powodu swojej niezmierzonej pychy i kłótności.

□ □ □

Nadeszła wiosna. Lasy Szwarcwaldy zazieleniły się, a na łąkach zagościły bociany. Nadszedł czas rozstania z Rupertem. Benedyktyn żegnał nas znakiem krzyża. Wiedziałem, że upłynie bardzo dużo czasu, nim znów się spotkamy. Postanowiłem oddać mu czarną kolczugę.

- Wiem, że ludzie żartują w Europie z naszego niemieckiego skapstwa - rzekł - ale myślę, iż ta kolczuga bardziej przyda się tobie w Palestynie niż mojemu opactwu.

Taki był Rupert. Benedyktyn z fantazją rycerza.

□ □ □

Rudobrody ruszył na krucjatę w niespokojnym czasie. Wprawdzie spacyfikowano włoskie miasta i opozycję gwelfów*, ale wielu spośród możnowładców marzyło po cichu, aby Rudobrodemu podczas tej krucjaty powięła się noga.

* Gwelfowie - zwolennicy papieżstwa we Włoszech w XII-XV w.

Ziemie, przez które przechodziliśmy, miały nas żywić. Na przednówku krzyżowcy odbierali chłopom zboże i widziałem, iż żaden z nich nie przejmował się tym, co będą jadły chłopskie dzieci. Część religijnych i pobożnych rycerzy zdecydowała, że w drodze do Jerozolimy będzie przestrzegała postu. Jednak księża wyperswadowali im to jako niezdrowe, udzielając na czas krucjaty dyspensy od dań mięsnych. Rudobrody zadbał zresztą o należyte zaopatrzenie armii w mięso. Wybito chyba wszystkie dziki, jelenie, sarny, niedźwiedzie i tury żyjące w lasach Szwarcwaldy. Mięso zaszolono w beczkach i wieziono na wozach za maszerującą armią. Jednak część mięsa zepsuła się po drodze z

powodu upałów i ludzie, którzy je zjedli, skonali w męczarniach. Były to pierwsze śmiertelne ofiary krucjaty.

Wieśniacy - niezależnie od tego, czy byli to Niemcy, czy Węgrzy - śmiertelnie bali się niezliczonych niemieckich zastępów krzyżowych, ciągnących wzdłuż Dunaju w stronę granicy bizantyjskiej. Uczucie strachu towarzyszyło też chyba papieżowi, który co dwa tygodnie słał do cesarza listy pełne pokory i modlitewnej zadumy. Powód jego troski był jasny: co by się stało, gdyby Barbarossa zrezygnował z marzeń o Jeruzalem i wybrał się do Rzymu na czele sześćdziesięciu tysięcy uzbrojonych po zęby zbirów? Papież odetchnął dopiero wtedy, gdy jego legaci donieśli mu, iż Barbarossa ominął alpejskie przełęcze i skierował się do Wiednia. Tam cesarz zdecydował o podziale armii. Jeden duży korpus, złożony głównie z piechoty, wsiadł na rzeczne barki i statki i popłynął w dół Dunaju do Morza Czarnego, mając kierować się do Konstantynopola. Natomiast jazda, pod dowództwem samego cesarza, ruszyła przez Węgry w stronę wielkiej twierdzy bizantyjskiej, Adrianopola. Ja zostałem przy księciu Leopoldzie.

□ □ □

Wiedeń był miastem, gdzie mieszkało wielu Żydów. Któregoś wieczoru książę Leopold podczas wieczerzy rzekł do mnie:

- Mam z Żydami same kłopoty. Mnożą się jak psy i niestety musiałem się u nich zapożyczyć na tę krucjatę. Interesuje mnie, czy w Anglii zdołaliście sobie jakoś z nimi poradzić.

- Co masz na myśli, książę?

- Jak to co? Pogromy...

Nie przypuszczałem, że w Wiedniu mój syn spotka różę, której kolce zranią jego serce, tak jak inna róża, spotkana przeze mnie w Prowansji, zraniła moje.

□ □ □

Pewnego dnia Baldwin postanowił zwiedzić okolice Wiednia w towarzystwie młodego niemieckiego rycerza Hermanna von Salzę, którego poznał w Trewirze i który był giermkim księcia Leopolda Austriackiego. Obydwaj młodzieńcy wsiedli na konie i wyruszyli razem z kilkoma sługami księcia. Przejeżdżali przez dzielnicę żydowską, gdzie dymiły jeszcze zgliszcza po niedawnym pogromie Żydów.

Nagle słudzy Hermanna zauważyli błakającą się wśród zgliszcz młodą Żydówkę. Jej kruczoczarne, długie włosy były potargane, a suknia w strzępach. Jako że była bardzo ładna, słudzy Hermanna postanowili się z nią zabawić. Otoczyli ją na koniach. Dziewczyna padła na kolana, błagając, żeby nie robili jej krzywdy. Mój syn przyglądał się temu z narastającą wściekłością, bo wychowałem go na człowieka honoru. Zachowanie sług księcia Leopolda było haniebne, choć niestety powszechne wśród żołdaków. Hermann ujął to dość lapidarnie, mówiąc do mego syna:

- Kto by się przejmował cnotą jakiejś Żydóweczki? Gdy jeden ze służących zsiadł z konia i złapał dziewczynę za włosy, Baldwin zwrócił się do Hermanna von Salzy z pytaniem:

- Zamierzasz im na to pozwolić?

Niemiecki rycerz odwrócił się z niesmakiem, mówiąc:

- Sama jest sobie winna. Porządne chrześcijańskie dziewczyny nie chodzą w podartej sukni po mieście i nie rzucają na mężczyzn uroku.

- Nie masz zamiaru im przeszkodzić? Przecież widać, że uszła z pogromu tylko w tym, co miała na sobie.

- Cóż, czeka nas wojna, Baldwinie. Niech ludzie się wyszumiają. Papież ogłosił odpuszczenie wszystkich grzechów uczestnikom krucjaty, zarówno tych przeszłych i przyszłych, nieprawdaż?

Baldwin przyznał mu rację, nie mógł jednak oderwać wzroku od tego, co się działo. Słudzy księcia zdarli z dziewczyny suknię i powalili ją na ziemię. Jeden z nich rozłożył jej nogi, aby ułatwić kolegom dostęp do jej łona. Słudzy

księcia cmokali z zadowoleniem, chwając pośladki i piersi Żydówki. Dziewczyna krzyczała przeraźliwie. Jeden z nich zakrył jej ręką usta.

Baldwin nie zdzierzył. Zeskoczył z wierzchowca i z uniesioną szpicrutą ruszył na podnieconych mężczyzn. Smagnął jednego z nich po gołym siedzeniu, a ten wrzasnął przeraźliwie, gdyż ostra szpicruta przecięła mu skórę do krwi. Baldwin z całej siły kopnął w twarz drugiego sługę, który klęczał i przytrzymywał nogi dziewczyny. Mój syn rozdawał razy na lewo i prawo. Słudzy księcia nie śmieli wstać z kolan, choć pierwszemu z nich, który był gotowy, by posiąść Żydówkę, stwardniała już męskość. Był tak zaskoczony, że nie zdążył podciągnąć spodni. Baldwin kopnął go w krocze, a następnie pomógł wstać przerażonej dziewczynie, popatrującej to na oprawców, to na swego wybawiciela. Zdjął płaszcz i okrył ją.

Dopiero teraz Hermann zareagował - uderzył mojego syna szpicrutą w twarz. Z rozciętego policzka Baldwina popłynęła krew.

- Zostaw ich! - syknął von Salza. - Spełniają chrześcijański obowiązek. Żydzi są potępieni przez Boga, ponieważ odrzucili Pana Naszego i wydali go na śmierć!

- Ty fałszywy draniu! - wrzasnął Baldwin. - Gwałt na niewinnej dziewczynie nazywasz chrześcijańskim obowiązkiem?! Jeśli tak myślisz, to jesteś podłym, niegodnym rycerskiego stanu wyrzutkiem! - I splunął mu pod nogi.

Hermann znowu zamachnął się na mojego syna, lecz ten ubiegł go i złapał tak mocno za kaftan, że ściągnął go z konia i skopał jak psa.

- Gdyby nie krucjata, zabiłbym cię, tak samo jak ich, draniu - wycedził.

Baldwin pomógł dziewczynie wsiąść na konia, a sam, trzymając uzdę, ruszył do obozu krzyżowców, wiedząc, że od tej chwili ma w Hermannie śmiertelnego wroga.

Dziewczyna miała na imię Estera. Gdy znaleźliśmy się w obozie, w naszym namiocie, wysłuchaliśmy jej smutnej opowieści. Okazało się, że jest córką zamordowanego w czasie pogromu bankiera Jaira. Wściekły tłum ograbił ich dom, zabierając wszystkie kosztowności, weksle, gotówkę w złotych i srebrnych monetach, a następnie go spalił. Dziewczyna powiedziała, że do pogromu podjudził ludzi ksiądz Piotr z Fuldy.

Mój syn wpatrywał się w Esterę z zachwytem. Cieszyłem się z jego szczęścia, ale jednocześnie wiedziałem, że miłość do Żydówki może mu przynieść tylko cierpienie i udrękę niespełnionego uczucia. Dziewczyna, spoglądając na mego syna, rumieniła się.

Do tej pory nie wiem, jak to możliwe, że miłość potrafi połączyć ludzi pochodzących z tak różnych światów. Ich uczucie nie mogło przetrwać również z tego powodu, że już wkrótce mieliśmy ruszyć na wschód. Podczas nieobecności Baldwina powiadomiono mnie, że armia ma wymaszerować za dwa dni. W ciągu tego czasu mój syn miał przeżyć największe szczęście i największe cierpienie w swoim życiu.

Widząc, jak w tych dwóch młodych sercach wzbiera uczucie, uznałem, że dobrze, by mój syn stał się mężczyzną, łącząc się w miłości z kobietą, która go kocha. Zostawiłem ich samych.

Usiedliśmy z Henrykiem przy ognisku i długo wspominaliśmy dawne dzieje.

□ □ □

Rano zostaliśmy wezwani przed oblicze księcia Leopolda. - Twój syn pobił moich ludzi. Zachował się niegodnie - wycedził z wściekłością książę.

Serce zabiło mi mocniej.

- Doprawdy? A ja słyszałem, że twoi słudzy napastowali niewinną dziewczynę i mój syn stanął w jej obronie - odpowiedziałem.

Gdyby Leopold był moim seniorem, nigdy nie odezwałbym się do niego w taki sposób. Ale ja byłem na tej krucjacie wolnym strzelcem, i choć

podlegałem cesarzowi, nawet on nie mógł mi nakazać, bym postępował niegodnie.

Leopold zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem, wstał z krzesła i klasnął w dłoń. Po chwili zjawił się mnich w cysterskim habicie.

- To czcigodny ojciec Piotr z Fuldy, mój spowiednik i kaznodzieja - oznajmił ksiązę Leopold.

Był to człowiek, o którym Estera powiedziała, że podburzył mieszkańców Wiednia przeciwko Żydom. Miałem wrażenie, że jest bardzo podobny do Jakuba z Rainecourt, nie z twarzy, lecz z charakteru. Jak się miało okazać, dobrze go oceniłem. Był to mnich, który uważał, że przemawia do niego sam Bóg.

- Ojcze, powiedz temu rycerzowi z Anglii, że czyn jego syna jest godny potępienia - rzekł ksiązę, siadając na krześle.

- Tak, mój panie. Czyż Żydzi nie ukrzyżowali naszego Pana, Jezusa Chrystusa? - zwrócił się do mnie klecha. - Byli narodem wybranym, winnicą Pańską, lecz porzuciwszy Chrystusa, stali się sługami szatana, wodzącymi na pokuszenie synów światłości! Tak, ogień Pana wypali ich! Wytraci żydowskich grzeszników! - mówił coraz głośniej. - Ta dziewczka jest córką najbogatszego żydowskiego lichwiarza w Wiedniu, którego Pan już osądził! Ma ona na sumieniu wielu chrześcijańskich młodzieńców, albowiem podstępnie zwiódła ich na pokuszenie! Podejrzewaliśmy już od dłuższego czasu, że oddaje się niecznym praktykom żydowskiej kabały! Zajmowała się astrologią, czarami, wywoływaniem duchów i wzywaniem mocy piekielnych! Wszystko to są najcięższe przestępstwa wymierzone w prawdę i dobro! Porządni chrześcijanie, słudzy młodego rycerza Hermanna von Salzy, zeznali, klnąc się na Ewangelię, że ta Żydówka skusiła ich i rzuciła na nich urok. Jej wina jest bezsporna. Czy pragniesz, aby Bóg przeklął wyprawę krzyżową, jeśli oszczędzimy tę żydowską jawnogrzesznicę?

Zrozumiałem, że muszę ratować życie Baldwina bez względu na to, co ma się stać z Esterą. Teraz wszystko zależało od tego, co zrobię. Mogłem przecież zgubić syna i jego ukochaną, mówiąc jakieś głupstwo. Ale mogłem też uratować Baldwina, skazując Esterę na śmierć. *Tertium non datur* - trzeciej możliwości nie było...



Gdy wróciliśmy do namiotu, znalazłem tam zrozpaczonego Baldwina. Powiedział, że strażnicy księcia zabrali Esterę. Próbował jej bronić, ale został przytrzymany przez dwóch knechtów.

Nie potrafiłem go pocieszyć. Zapewniłem go tylko, że Bóg ją uratuje, skoro już raz uczynił to jego rękami.

- Ojcze, błagam cię, zrób coś, ocal ją! Nie chcę bez niej żyć!

- Synku, nie wiesz, ile człowiek może wytrzymać. Skoro ludzie księcia ją zabrali, to mieli ku temu powody. Nie możesz z nią żyć i nie możesz jej zabrać na wyprawę, bo okryjesz się hańbą. Nawet gdyby przyjęła chrzest, w co wątpię, nie zaznalibyście spokoju. Ludzie by was zaszczuli. Na pewno dostanie karę chłosty i ją wypuszczą. Wstawię się za nią u księcia Leopolda - skłamałem.

- Naprawdę?

- Tak, mój synu.

- Ja ją kocham!

- Wiem, co czujesz. Ja też tak kogoś kochałem... Przytuliłem go, chociaż doskonale zdawałem sobie sprawę

z tego, co stanie się z Esterą. Wiedziałem, że jego ból będzie nieukojony, choć wspomnienie pięknej, choć krótko trwającej miłości warte jest przecież więcej niż lata spędzone przy kobiecie, która z czasem więdnie i usycha jak róża.

Tego samego dnia wyruszyliśmy. Odjeżdżając, zobaczyliśmy, jak niedaleko od miasta, w pobliżu obozu krzyżowców, zapłonął stos, na którym

spalono dziewczynę. Miałem wrażenie, że płomienie już wkrótce osiągną nas wszystkich. Byłem pewny, że Bóg pomści Estere, córkę Jaira.

Rozdział XVI

BASILEUS*

* Basileus (gr.) - tytuł przysługujący cesarzowi bizantyjskiemu.

Hubert przybył do Konstantynopola na pokładzie statku Teodora Laskarisa. Zamieszkał w Perei, łacińskiej dzielnicy, gdzie templariusze utrzymywali, za przyzwoleniem bizantyjskich władz, mały dom bankierski. Władze tolerowały tę placówkę, gdyż stale pożyczaly od templariuszy pieniądze. Jednak Hubert nie zajmował się finansami. Śledził w Konstantynopolu wszystkie wzmianki dotyczące mandylionu. Bractwo podejrzewało, że mandylion jest przechowywany gdzieś w mieście, ale nikt nie potrafił powiedzieć gdzie. Hubert miał na swych usługach Laskarisa i postanowił go wykorzystać. Teodor mógł uważać się za ofiarę nieszczęśliwego zrządzenia losu - gdy przybył do Konstantynopola, okazało się, że greccy wierzyciele już przejęli za niespłacone długi jego majątek. Teodor stał się więc bankrutem. Widząc jego kłopoty, Hubert zaproponował mu kolejną pożyczkę...

□ □ □

Nad Konstantynopolem zachodziło słońce, a w wielkim kościele Mądrości Bożej właśnie trwało nabożeństwo. Patriarcha Konstantynopola, Teofanos, ubrany w kapiący od złota ornat, śpiewał psalm. Pieśń ta miała wdrzeć się głęboko do dusz wiernych. Cesarz Izaak II Angelos zamknął oczy i modlił się żarliwie. Miał wrażenie, że z fresku na kopule bazyliki spoglądają na niego surowe oczy Króla Niebios.

Cesarz starał się zrobić wszystko, aby uchronić to wielkie i dumne miasto przed zalewem muzułmańskich barbarzyńców ze wschodu i katolików z zachodu Europy. Miał wrażenie, że szatan, ten zbuntowany anioł, o którego nawrócenie codziennie modliły się setki prawosławnych mnichów, wyciąga łapy

w stronę miasta Konstantyna. Nad Bosforem już od dłuższego czasu zdawano sobie sprawę, że najgroźniejszymi wcieleniami złego są papież oraz krzyżowcy. Władca czuł się osamotniony. Wiele razy prosił Boga o pomoc. Błagał, aby Stwórca postawił na jego drodze dobrego doradcę.

I Bóg zesłał basileusowi pomoc. Jednym z jego doradców został nawrócony na prawosławie katolicki biskup Odilon z Reinault, który przed laty przybył do miasta nad Bosforem, a w pałacu cesarskim był nazywany ojcem Eugeniuszem.

Kiedy pojawił się w Konstantynopolu, nic nie zapowiadało, że osiągnie tak wiele. Tu nie musiał ukrywać, że nie podziela poglądów papieża. Patriarcha Teofanos dostrzegł w nim sprzymierzeńca. Odilon znał przecież doskonale sekrety polityki kilku ostatnich papieży. Z tego powodu patriarcha uznał jego sakrę biskupią, mimo że nadano ją w znienawidzonym Rzymie. Odilon znów coś znaczył. Jak za dawnych lat.



Wreszcie Laskaris znalazł kogoś, kto wiedział coś o mandylionie. Był to stary, ślepy bibliotekarz cesarski, za bluźnierstwo skazany na obcięcie palców i oślepienie.

Nazywał się Nikodemos i był swego czasu bardzo zdolnym iluminatorem. Laskaris pokazał templariuszowi owoce jego pracy - zaginioną *Ewangelię Judasza*, która nie weszła do kanonu ewangelii uznawanych przez Kościół zachodni i wschodni. Templariusz, który widywał nieraz pięknie ilustrowane kodeksy pergaminowe, powstałe w Cluny, zdziwił się, widząc tę księgę, ponieważ nie była napisana na pergaminie, a na niezwykle białym i trwałym materiale, którego wcześniej nie widział.

- Co to takiego? - zapytał zaintrygowany.

- To papirus - wyjaśnił Laskaris. - Robi się go z trzciny rosnącej w Egipcie. Nasi kupcy kupują go od Arabów. Jest bardzo drogi.

Karty księgi były białe i grecka majuskuła* wyglądała na nich bardzo schludnie. Litery były duże, o pięknie zarysowanych krawędziach. Hubert stwierdził, że księga musi być bardzo droga.

* Majuskuła - rodzaj pisma średniowiecznego, składającego się tylko z wielkich liter.

- Masz rację, panie - powiedział Laskaris. - Była bardzo droga. Można za nią kupić kilkanaście wsi. Nikodemos powiedział mi, że wykonał ją dla doradcy basileusa, dostojnego biskupa Eugeniusza.

Rycerz, znając grekę, bez trudu odczytał kilka fragmentów. Mógł się przekonać, że to tekst heretycki, gdyż tezy w nim zawarte były znamienne dla sekty kainitów, heretyków zaciekle zwalczanych przez Kościół.

- Czy znasz biskupa Eugeniusza? - zapytał Hubert.

- Czy ja, Teodor Laskaris, go znam?! - wykrzyknął Grek. - Wszyscy w pałacu cesarskim i w urzędzie logotety go znają. Jest bardziej wpływowy od wielu ministrów cesarza.

- Dlaczego doradca cesarza interesuje się tymi heretyckimi bredniami? Opowiedz mi o nim.

- To mąż wielkiej mądrości, ale, jak powiedzieli mi cesarscy urzędnicy, jest także człowiekiem chciwym i zawistnym. Zapewne zdziwisz się, ale moi przyjaciele twierdzą, iż biskup Eugeniusz jest nawróconym na świętą wiarę prawosławną biskupem łacińskim.

- Co takiego?!

- Tak mówią urzędnicy! Z tego powodu bardzo zyskał w oczach naszych greckich księży. Ponoć nawet szlachetny patriarcha Teofanos liczy się z jego zdaniem.

Hubert nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Biskup, który z własnej woli przeszedł na prawosławie, musi być albo szalony, albo skłócony z kurią rzymską. Jednak intuicja podpowiadała mu, że powinien dowiedzieć się o nim nieco więcej.

- Powiedz mi, Teodorze, czy twoi przyjaciele mówili, kiedy ów Eugeniusz przybył do Konstantynopola?

- Podobno dziesięć lat temu wstąpił do monasteru, gdzie służył jako zwykły mnich - odrzekł Grek. - Ponieważ jego przypadek był niezwykle, zainteresował się tym sam patriarcha Teofanos. Widząc jego pobożność i wielką wiedzę o Kościele rzymskim, przydzielił mu urząd, uznając jego sakrę biskupią. Eugeniusz mógł stać się prawdziwym Grekiem.

Hubert podejrzewał, kim jest biskup Eugeniusz. Dziesięć lat temu z papieskiego więzienia uciekł przecież Odilon z Reinault. Templariusz uznał, że jego obecność w mieście nad Bosforem nie jest przypadkowa.

□ □ □

Basileus Izaak II Angelos miał wyrzuty sumienia. Zdobyć tronu cesarskiego i purpury kosztowało go mnóstwo wyrzeczeń, popełnił wiele strasznych grzechów, między innymi uśmiercił swojego poprzednika, basileusa Andronika z rodu Komnenów.

Ta egzekucja przypominała mu się zawsze, ilekroć patrzył na purpurę swojego płaszcza. Był to kolor przeznaczony tylko dla cesarza. Dla tego koloru ludzie gotowi byli zabijać i dopuścić się każdej podłości. Cesarz usprawiedliwiał swój okrutny rozkaz troską o własne życie. Jego poprzednik był taki sam jak on: żądny władzy, rozpustny, mściwy, ostentacyjnie pobożny i zły. Stał się zagrożeniem, które należało usunąć. Zabijając tę kanalię, basileus Izaak II Angelos czuł, że wyświadczył cesarstwu wielką przysługę. Jednak wspomnienie egzekucji wciąż przejmowało go dreszczem. Andronik został rozebrany do naga, a kaci przecięli mu ostrymi nożami żyły pod kolanami. Izaak patrzył, jak powoli się wykrwawia, i powiedział na chwilę przed jego śmiercią, spoglądając na krew spływającą z jego nóg:

- Teraz, mój bracie, możesz czuć się cesarzem. Masz purpurowe buty...

Potem kaci odcięli mu głowę, którą zatknęli na bramie wiodącej do portu w Galacie, a umęczone ciało wrzucili do wód cieśniny. Izaak II Angelos bał się

śmiertelnie, że jego spotka taki sam los, gdy pojawi się następny pretendent do tronu. Zwierzał się z tych obaw jednemu człowiekowi, któremu ufał.

Tym człowiekiem był biskup Eugeniusz.

Cesarz rozpaczliwie potrzebował pieniędzy. Zbliżał się czas, w którym musiał zapłacić słowiańskim oraz nie mniej groźnym normańskim najemnikom, którzy stanowili trzon jego armii. Zwrócił się z prośbą o radę do Eugeniusza.

Biskup Eugeniusz wiedział, jak zdobyć fundusze, nie narażając bogatego prawosławnego Kościoła na straty. Zdarzało się przecież w przeszłości, że cesarze sięgali po kościelne skarby. W samym Konstantynopolu mieszkało prawie dwadzieścia tysięcy mnichów i mniszek, którzy nie płacili basileusowi podatku. Klasztory były bogate, a kościoły ociekały złotem. Eugeniusz obawiał się jednak, że jeśli skieruje uwagę zachłannego cesarza na kościelne skarby, może stracić zaufanie innych duchownych. Nikt przy zdrowych zmysłach nie podcina przecież gałęzi, na której siedzi. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli basileus poszuka pieniędzy u kogoś, kogo nienawidzą zarówno prawosławni mnisi, jak i lud stolicy.

- Najdostojniejszy panie - rzekł pewnego dnia do basileusa - popatrz, jak wielkie skarby mają kupcy genueńscy, którzy mieszkają w dzielnicy Perea. To oni są złym duchem tego miasta. To oni wysysają życiodajne siły z twoich poddanych. Wygnaj ich i skonfiskuj ich majątki. Rozpraw się z nimi, najjaśniejszy panie!

- A Wenecjanie?

- Oni mogą zostać. Wenecjanie nie są twoimi wrogami.

Eugeniusz, podsuwając cesarzowi pomysł wszczęcia rozruchów przeciwko genueńskim kupcom, miał ukryty cel. Odilon z Renault, zostając prawosławnym biskupem, nie musiał już martwić się o karę wymierzoną przez papieża i zyskiwał nieograniczone możliwości poszukiwania mandylionu. Poza tym przebywał w Konstantynopolu dzięki pomocy weneckiego doży.

Sprytny biskup miał jeszcze jeden cel. Kilka miesięcy wcześniej opłacani przez niego szpiegowie donieśli mu, iż pewien urzędnik, Teodor Laskaris, prawdopodobnie szpieguje dla templariuszy. Mnisi ci tak przerażali Odilona, że postanowił zniszczyć ich dom bankierski w Perei. Nie wiedział jednak, że w mieście przebywa jego śmiertelny wróg, Hubert z Croisilles.

□ □ □

Pewnego popołudnia basileus postanowił się zdrzemnąć i nikt pod groźbą chłosty nie mógł mu przeszkadzać. Jednak gdy tylko legł w łożu, drzwi do komnaty otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich blady jak płótno biskup Eugeniusz.

Cesarz zerwał się wściekły.

- Jak śmiesz mi przeszkadzać? A gdybym tak leżał w łożu, zażywając rozkoszy z damą dworu, czy też wszedłbyś tu, trzaskając drzwiami? Nawet ty powinienesz mnie uprzedzać, że zamierzasz złożyć mi wizytę.

- Wybacz najdostojniejszy *Auguście** - rzekł pokornie Eugeniusz, kłaniając się nisko - ale mam wiadomości najwyższej wagi.

* Cesarze bizantyjscy, chociaż byli Grekami, przywiązani byli do łacińskiej tytulatury - miano *Augustus* przysługiwało w Rzymie właśnie cesarzowi.

- Mów!

- Do Konstantynopola przybyli właśnie gońcy z Adrianopola. Posterunki i komendant twierdzy donieśli nam, że od strony Dunaju do naszych granic zbliża się ogromna armia. Zwiadowcy nigdy takiej nie widzieli.

- Co to za armia? - wyjąkał cesarz, blednąc.

- To wojska krzyżowe. Zmierzają do Palestyny. Komendant doniósł, że ta armia ciągnie się na wiele mil. Jednak twierdza została już otoczona przez niemieckich chłopów, którzy chcą, abyśmy dali im żywność i pozwolili zamieszkać w opuszczonych domach. Natomiast zachodni rycerze zażądali

podobno jednego naszego kościoła, gdzie ich księża mogliby odprawiać nabożeństwa.

- Co!? Katolicy w świętej cerkwi? Nigdy!! - wykrzyknął Izaak. - Wyślijcie gońca do Adrianopola, aby przekazał komendantowi, że ma zamknąć bramy i nikogo nie wpuszczać! Niech zdychają pod murami!

- Panie - rzekł strapiony Eugeniusz - komendant jest przerażony liczbą żołnierzy, którzy codziennie przekraczają Dunaj. Goniec powiedział mi, że są to w większości Niemcy, Burgundczycy i Flamandowie.

- Barbarzyńcy! - syknął cesarz. - Nie przejdą przez moje ziemie! Każ zebrać armię!

Eugeniusz ukląkł przed cesarzem, przerażony jego słowami.

- Panie, to są wojska krzyżowe! Musimy je przepuścić. Im szybciej sobie pójdą, tym lepiej dla nas.

- Zbierzmy przeciw nim armię! - powtórzył cesarz, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że nie może być pewny siły państwa, którym włada. - Mamy przecież armię, prawda?

- Nie możemy zebrać armii - oznajmił Eugeniusz ze smutkiem.

- Jak to?

- Nie zapłaciliśmy najemnikom. Skarbiec jest pusty. Grecy przecież nie chcą się bić. Wołają, gdy zachodni najemnicy czynią to za nich.

Cesarz dopiero teraz zrozumiał, że państwo jest bezbronne, podczas gdy u jego wrót stoi ogromna armia. Zdał sobie sprawę, że może tylko pokornie poprosić Niemców, aby przeszli szybko przez jego terytoria, jak najmniej rabując i paląc. Zdawał sobie również sprawę, że jeśli zażądają od niego prowiantu dla armii i obroku dla koni, będzie musiał im to dać. Natychmiast zadał sobie następne pytania: A jeśli krzyżowcom spodoba się Konstantynopol? Kto obroni miasto? Czy będzie musiał podnieść podatki? Kto obroni go przed wściekłością poddanych? Te pytania go przerażały.

- Kto dowodzi tą armią? - chciał wiedzieć.

- Sam cesarz rzymski - usłyszał w odpowiedzi. Gdyby nie okoliczności, dumny Izaak II Angelos skarciłby

biskupa za użycie w stosunku do niemieckiego barbarzyńcy (jak nazywał Fryderyka Barbarosę cesarz bizantyjski) terminu „cesarz rzymski”. Izaak tylko siebie uznawał za prawowitego następcę rzymskich cesarzy. Szybko jednak doszedł do wniosku, że tytuły w takich okolicznościach nie są ważne. Izaak Angelos był teraz najbardziej bezbronnym władcą na ziemi.

- Każ wezwać patriarchę Teofanosa! Natychmiast! - wrzasnął.

Tego samego wieczoru cesarz Izaak II Angelos nakazał patriarsze wydać urzędnikom cesarskim wszystkie kościelne skarby celem przetopienia ich na złote i srebrne monety. Patriarcha nie mógł się temu sprzeciwić, ponieważ był uzależniony od cesarza. Postanowił jednak podburzyć przeciw Izaakowi lud Konstantynopola, gdyż nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić, by złoto i srebro prawosławnego Kościoła nappełniło cesarski skarbiec.

□ □ □

Gdy pod sztandarami cesarza Barbarossy dotarliśmy do wielkiej bizantyjskiej twierdzy Adrianopol, zastaliśmy zamknięte bramy. Krzyżowcy zawrzeli z oburzenia.

- Greckie psy! - złorzeczyli niemieccy i flamandzcy rycerze. - My idziemy walczyć o grób Chrystusa, a oni zamykają przed nami drzwi!

Ponieważ Barbarossa wysłał piechotę na statkach i barkach w dół Dunaju, armia składająca się jedynie z kawalerii nie mogła pokusić się o zdobywanie twierdzy. Nie miałyby to żadnego militarnego sensu. Jednak Barbarossa nie mógł darować Grekom upokorzenia, jakiego doznali u zamkniętych bram. Nakazał rycerzom, aby splądrowali greckie wsie w promieniu wielu mil od miasta. Armia potrzebowała przecież żywności. Wówczas przydali się liczni niemieccy chłopci, towarzyszący krzyżowcom. Nakazano im pozostać pod Adrianopolem i otoczyć miasto tak szczelnie, aby nikt nie mógł go opuścić. Tysiące niemieckich i flamandzkich rycerzy ruszyło jednak na południowy

wschód, w kierunku Konstantynopola, żeby zmusić greckiego cesarza do udzielenia pomocy krzyżowcom. Nie mogli postąpić inaczej, bowiem przez Konstantynopol wiodła najkrótsza droga do Azji Mniejszej.

Pewnego dnia podczas postoju cesarz przysłał do mnie jednego z niemieckich możnowładców, hrabiego Konrada z Montferratu. Ów dostojnik poprosił mnie, abym udał się do cesarza, który chce mi powierzyć ważne zadanie.

Barbarossa przyjął mnie w swoim namiocie. Wyczułem, że jest spięty.

- Dobrze, że jesteś, Angliku - rzekł. - Wezwałem cię, albowiem chciałbym powierzyć ci misję, której nie może podjąć się nikt inny. - Utkwił we mnie badawcze spojrzenie. - Musisz pojechać do Konstantynopola z moimi listami. Jesteś przecież poddanym króla Ryszarda Lwie Serce.

- I cóż z tego?

- Ryszard Lwie Serce przed kilkoma miesiącami spustoszył moją Sycylię. Grecy z pewnością już o tym wiedzą. Uważam, że potraktują cię inaczej, powiedzmy, bardziej przyjaźnie, niż na przykład Konrada, którego po zdobyciu Jerozolimy mianuję jej królem.

- Panie, ależ...

- Masz wykonać rozkaz - uciał Barbarossa. - Misja, jaką ci powierzam, jest bardzo ważna, albowiem bez pomocy bizantyjskiego dworu nie będę mógł przeprowadzić armii na azjatycki brzeg i ruszyć dalej, ku Palestynie. Musimy tak postępować z Grekami, aby uniknąć awantury. Nie chciałbym traktować Konstantynopola jak wrogiego miasta, ale nie chciałbym też prosić o pomoc tego greckiego młodzika na bizantyjskim tronie.

- Rozumiem, Wasza Wysokość. Czy mógłbym wiedzieć, co będą zawierały owe listy? - ośmieliłem się zapytać.

- Obiecuję w nich greckiemu cesarzowi pomoc w odzyskaniu ziem utraconych na rzecz Turków. Taka obietnica niewiele przecież kosztuje.

Naszym celem jest Jerozolima i Saladyn, a nie grupa tureckich emirów walczących z Bizancjum. Ruszaj jak najrychlej!

Rozdział XVII

SZCZĘŚLIWY ŚLEPIEC

Hubert, nie zważając na mżawkę, spacerował niespokojnie po dziedzińcu siedziby komandorii. Gdy wreszcie zobaczył w bramie wóz, spostrzegł, że na koźle obok Teodora siedzi zgarbiona postać ubrana w długi płaszcz z kapturem. Widząc, iż człowiek to leciwy, skinął ręką, dając znak swoim giermkom, aby pomogli mu zsiąść z wozu. Gdy starzec znalazł się na ziemi, Hubert podszedł do niego, by się przywitać. Zauważył, że starzec drży.

- Niczego się nie obawiaj - powiedział do niego po grecku.

Starzec odwrócił głowę w stronę, z której dobiegał głos, i wtedy templariusz zobaczył, że człowiek ten nie ma oczu.

- Teodor powiedział mi, że rozpytujesz o mandylion, dostojny panie - powiedział mężczyzna. - Chciałbym wiedzieć dlaczego i kim jesteś.

Hubert milczał.

- Nie po to chcę znać twe imię, aby wydać cię sługom patriarchy - zapewnił przybysz. - Chcę wiedzieć, komu pomagam, gdyż nienawidzę wszystkich, którzy strzegą mandylionu. To przez nich popadłem w taką niedolę.

Ślepiec uniósł dłoń na wysokość głowy. Nie miał palców.

- Czy widzisz, co ze mną zrobili?

- Widzę - wyszeptał Hubert.

- W takim razie ugość mnie, abym mógł nacieszyć się dobrym jadłem i wybornym winem. Musisz jednak wiedzieć, że to, co mam do powiedzenia, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu.

- Jak sobie życzysz - powiedział templariusz, wpatrując się w twarz starca. - Jestem Hubert z Croisilles, rycerz Świątyni Salomona...

- Mój Boże, a więc jesteś członkiem zakonu templariuszy, którymi matki w Konstantynopolu straszą niegrzeczne dzieci?

- Tak właśnie.

- I pomożesz mi podczas posiłku?

- Tak.

- I zapewnisz mi ciepłe odzienie, kiedy będę marzł w dżdżyste dni?

- Tak.

- I przyślesz mi sługi, aby mnie nakarmili i umyli, gdy tego zażądam?

- Tak. Zapewnię ci też dach nad głową.

Starzec zastanawiał się przez krótką chwilę, po czym rzekł:

- Przysięgnij na Najświętszą Dziewicę i waszego rzymskiego papieża, że dotrzymasz tej umowy.

- Przysięgam.

Dla rycerza usługiwać niższemu stanem oznaczało poniżyć stan rycerski. Ale Hubert wiedział, że mandylion wart jest każdego upokorzenia.

Gdy weszli do izby Huberta, ten pomógł zdjąć ślepcowi płaszcz.

- Nie zabieraj mi płaszcza, gdyż sam dostojny Teodor Laskaris podarował mi go, abym miał się czym okryć, gdy będę szedł do kościoła - poprosił starzec.

- Nie obawiaj się, nie zamierzam go ukraść. Jeśli powiesz mi, gdzie jest mandylion, przysięgam, że do końca życia niczego ci nie zabraknie - zapewnił rycerz.

- Nie przysięgaj pochopnie. Znałem wielu ludzi, którzy przysięgali na Najświętszą Dziewicę, Chrystusa, apostołów i... mandylion, a nie dotrzymywali słowa. Popatrz na mnie: nie mam palców, nie mam oczu, żyję w nędzy, więc nie przysięgaj, ponieważ ja chcę ci powiedzieć o mandylionie wszystko, co wiem, i nie uczynię tego dla nagrody, lecz z chęci zemsty.

- Kto wyrządził ci krzywdę? Na kim pragniesz się zemścić? - dopytywał się templariusz.

- Najpierw nalej mi wina.

Hubert wziął kielich, nalał do niego słodkiego wina z attyckich winnic i przytknął do ust ślepcę - czuł smród jego łachmanów i ropiejących wrzodów.

Ślepiec pił łączywie. Opróżnił dwa kielichy, po czym otarł usta brudnym rękawem.

- Kiedy miałem piętnaście lat - zaczął, mlaskając ze smakiem - rodzice przeznaczili mnie do stanu duchownego. Byli ludźmi głęboko wierzącymi i chcieli podarować Bogu swój najcenniejszy skarb, mnie. Odbyłem więc nowicjat, potem złożyłem śluby i jak wielu młodzieńców z Konstantynopola musiałem żyć życiem, którego nigdy nie chciałem... życiem mnicha. Postanowiłem, że zajmę się studiowaniem ksiąg, aby osłodzić sobie żywot bez kobiet i uciech. Przedstawiłem moją prośbę przełożonym, a ci, widząc moje zaangażowanie, zezwolili na to. Myślę jednak, że pewną rolę odegrały pieniądze moich rodziców, którzy, będąc ludźmi bogatymi, ofiarowali klasztorowi pięćdziesiąt tysięcy sztuk srebra. Musisz wiedzieć, że w Konstantynopolu żaden młodzieniec nie może piąć się w kościelnej hierarchii, jeśli nie zapłaci odpowiedniej sumy patriarsze lub przeorowi klasztoru. Zostałem więc mnichem i nie byłem z tego zadowolony. Któregoś dnia moje nudne życie się odmieniło. Zmarł główny bibliotekarz cesarskiej biblioteki, wybudowanej jeszcze za Justyniana Wielkiego, a ja zająłem jego miejsce. Jednak w głębi serca nie pragnąłem zaszczytów, lecz wiedzy. Lubiłem woń starych ksiąg. Uwielbiałem je przeglądać, a nade wszystko czytać. Są takie księgi w Konstantynopolu, na które nie wolno spojrzeć nikomu pod groźbą śmierci.

- Co to za księgi? - zainteresował się templariusz.

- To heretyckie księgi, zakazane przez władze i Kościół pisma monofizyckie, mówiące tylko o jedynej, a mianowicie boskiej naturze Chrystusa, lub pisma wyklętego mnicha z Aleksandrii, Ariusza, który twierdził, że Jezus wcale nie był Bogiem, lecz człowiekiem. Są też inne heretyckie pisma. Wśród tekstów znajdujących się w wielkiej bibliotece Justyniana znalazłem istne cudo, skarb nad skarbami.

- Co to takiego?

- To jedyna istniejąca kopia tekstu zatytułowanego *Opowieść o wizerunku z Edessy*, którego autorem był cesarz Konstantyn Porfirogeneta.

- Czyli „urodzony w purpurze”... - dodał templariusz.

- Istotnie. Dużo wiesz o Bizancjum, czym zdajesz się przewyższać swoich ziomków z krajów zachodnich - pochwalił starzec.

- Nie urodziłem się w Europie, tylko w Królestwie Jerozolimskim, z matki Greczynki i ojca Francuza - wyjaśnił templariusz. - Mów dalej - poprosił.

- Tekst *O wizerunku z Edessy* powstał około trzystu lat temu. Wspominają o nim liczni kościelni pisarze, spisujący opowieści o świętych i męczennikach, lecz nikt nigdy nie natrafił na jego oryginał. Uznano go za zaginiony. Jednak on nie zaginął. Po prostu został ukryty.

- Przez kogo?

- Należałoby raczej zapytać: dlaczego został ukryty?

- A zatem, dlaczego?

Starzec się uśmiechnął. Zainteresowanie templariusza mile łechtało jego dumę.

- Cesarz Konstantyn Porfirogeneta tylko jeden raz oglądał relikwię, której żaden człowiek w Konstantynopolu nie widział. Jest tak święta, że nikt nie jest godzien, żeby na nią spojrzeć.

- Boże... to mandylion! - wykrzyknął Hubert.

- Masz rację. Dawniej nasi cesarze mogli oglądać mandylion tylko raz w życiu, w dniu koronacji. Lecz jakieś dwieście lat temu Teofano, matka niemieckiego cesarza Ottona Trzeciego, zakazała pokazywać relikwię komukolwiek, pod groźbą śmierci. Nie wiem, dlaczego tak uczyniła. Być może obawiała się papieża, który chętnie widziałby relikwię u siebie w Rzymie, a może z jakiegoś innego, nieznanego mi powodu. Znalazłszy ów tekst, przepisałem go, oryginał zaś odłożyłem na miejsce. Może uczyniłem to ze zwykłej próżności człowieka, dla którego całym życiem były uczone księgi? Zachowałem go dla siebie i trzymałem w mojej celi.

- Czego dotyczył tekst cesarza?

- Gdy przeczytałem go po raz pierwszy, zdałem sobie sprawę, że w rękach cesarza i patriarchy Konstantynopola znajduje się bez wątpienia najbardziej święta i tajemnicza relikwia świata chrześcijańskiego. Otóż wyobraź sobie, że tekst Porfirogenety zaczyna się od ostrzeżenia.

- Ostrzeżenia? - zdziwił się Hubert.

- Cesarz napisał we wstępie, że nie wie, jak to się stało, iż bez użycia farb i sztuki malarskiej został odbity na powierzchni płótna ślad ciała Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, i nie uległ on zniszczeniu, mimo upływu czasu. Cesarz zaznaczył też, że jeśli ktoś spróbuje objąć to wszystko jedynie rozumem, popadnie bez wątpienia w otchłań niepewności. Mandylion jest przedmiotem materialnym, jednak jego znaczenie ma związek ze sferą ducha. Bez wiary nie dostrzeżesz w nim żadnej wartości. Powiesz, że to zwykły kawałek lnianego płótna. Ja jednak uważam, iż mandylion jest dowodem na to, że Jezus zmartwychwstał. Czy pamiętasz słowa z Listu świętego Pawła, że bez zmartwychwstania próżna jest nasza wiara?

- Pamiętam.

- W Konstantynopolu znajduje się przedmiot będący dowodem na to, że ewangelie mówią prawdę. Dlatego jest tak cenny. I dlatego nikt nie może go dotykać. Ba, nikt nawet nie wie, czym naprawdę jest mandylion. Odtworzyłem historię płótna po wielu latach poszukiwań w bibliotekach Konstantynopola. Jeśli pragniesz tę historię poznać, musimy przenieść się do czasów, kiedy po Ziemi Świętej chodził Chrystus.

- Czy ta historia ma związek z przepisaną kiedyś przez ciebie księgą, znaną jako *Ewangelia Judasza*? - zainteresował się templariusz.

- Nie, skądże. *Ewangelia Judasza* nie jest ewangelią, tylko zawiłym, wyjątkowo nudnym tekstem gnostyckim. To prawda, że ją przepisałem. Zrobiłem to dla biskupa Eugeniusza, który wtedy nie był jeszcze Eugeniuszem, a uciekinierem z Zachodu. Chciał mieć tę księgę, a ja lubiłem pieniądze.

- Nigdy nie sympatyzowałeś z heretykami?

- Musisz wiedzieć, że nie jestem heretykiem i nigdy nie zaprzeczyłem w moim sercu dwoistości natury Chrystusa: boskiej i ludzkiej. Aczkolwiek nikt tak naprawdę nie wie... ani nasz patriarcha, ani wasz papież... jak przebiegała w osobie Jezusa granica pomiędzy tym co boskie i ludzkie. To na zawsze pozostanie tajemnicą.

- To prawda - przyznał Hubert. - Masz sporą wiedzę teologiczną - dodał z podziwem. - Powiedz teraz, czego dowiedziałeś się o mandylionie ze starych ksiąg.

- Muszę ci powiedzieć, panie, że natrafiłem na trzy anonimowe, niekanoniczne teksty, które mówiły, że rzymski toparcha Edessy, miasta w Syrii, imieniem Abgar, dowiedział się o Chrystusie uczącym w Judei i Galilei. Chorował na trąd i lekarze wróżyli mu rychłą śmierć. Wysłał on list do Jezusa, lecz nie wiedząc, jaki język zna adresat poza aramejskim, napisał go po grecku, albowiem był to język rozumiany powszechnie na wschodzie cesarstwa. Śludzy Abgara spotkali Chrystusa w drodze do Jerozolimy, na dwa tygodnie przed Świętem Paschy, podczas którego miał zostać ukrzyżowany. Jezus, widząc w ich duszach, z czym do niego przyszedli, odpowiedział, nie czytając listu, że ich pan zostanie uzdrowiony, gdy tylko dotknie jego grobowego płótna. Nikt jednak nie wiedział, co te słowa znaczą, więc śludzy postanowili zostać w Jerozolimie tak długo, aż przekonają Chrystusa, aby udał się z nimi do Edessy.

- Oczywiście Pan Nasz nigdy nie był w Edessie - zaznaczył Hubert.

- Masz rację, ale wkrótce po jego ukrzyżowaniu Abgar dostał od apostołów coś, co sprawiło, że ozdrowiał.

- Co to było?

- Cesarz Konstantyn Porfirogeneta powtórzył błędnie za kronikarzami syryjskimi... ich dzieła nie zachowały się do naszych czasów, a on czytał je przed trzema wiekami... że przedmiotem, który sprawił, iż Abgar ozdrowiał, była chusta, którą Jezus otarł spoconą i zakrwawioną twarz podczas drogi na

Golgotę. Zauważ, iż żadna z ewangelii nie wspomina o chuście Weroniki, co znaczy, że ta opowieść musi być późniejsza niż ewangelie.

- Co to ma wspólnego z mandylionem?

- Zmierzam do tego, mój panie, że sam cesarz Konstantyn Porfirogeneta, pisząc o mandylionie, nie wiedział, czym tak naprawdę jest ta relikwia, bo widział ją tylko przez chwilę. Mogło się to stać tylko w dniu koronacji, ponieważ etykieta na bizantyjskim dworze tylko na tyle pozwalała. Dlatego uznał, że była to chusta, którą Chrystus wytarł swoją świętą twarz, idąc na śmierć. Tymczasem prawda jest inna. To nie była chusta...

- Skąd więc mamy pewność, że mandylion, czymkolwiek jest, istnieje i jest przechowywany w tym mieście? - dociekał Hubert. - Przecież po Europie krążą różne relikwie niewiadomego pochodzenia, a zdarzały się także przypadki, że znajdowano w różnych kościołach po dwie głowy świętych, na przykład świętej Agnieszki, świętej Genowefy lub świętego Liboriusza z Paderbornu! Przecież cesarze bizantyjscy mogli nakazać wykonanie kopii tej relikwii, aby dać pożywkę motłochowi, który pragnie już nie tylko chleba i igrzysk, ale także cudów. Co ty na to?

Starzec się uśmiechnął.

- Masz słuszność jedynie w części, panie - odrzekł. - Albowiem prawdą jest, że kopia mandylionu, która w Wielki Piątek jest obnoszona w uroczystej procesji po Konstantynopolu, została stworzona dla potrzeb ludzi i jest przechowywana w kaplicy kościoła Mądrości Bożej. Ale prawdziwy mandylion jest w innym miejscu.

- Skąd mam wiedzieć, starcze, że mówisz prawdę? Na te słowa ślepiec uniósł kikuty dłoni.

- Właśnie to jest dowód, że mówię prawdę! To właśnie ja, Nikodemos, bibliotekarz cesarski, jestem jedynym człowiekiem, który widział prawdziwy mandylion i go dotykał. To właśnie była zbrodnia, za którą odrąbano mi palce u rąk i wypalono oczy...

Widząc cierpienie na twarzy Nikodemosa, Hubert postanowił, że nie będzie podawał w wątpliwość jego prawdomówności. Zastanawiał się, dlaczego tak strasznie okaleczono człowieka, którego jedyną przewiną była żądza wiedzy.

Napili się wina. Na dworze rozszalała się ulewa. Deszcz bębnił o dach.

- Mówisz, że widziałeś mandylion - podjął Hubert. - W jakich okolicznościach?

- Nie było to łatwe. Przede wszystkim musiałem dowiedzieć się, gdzie jest przechowywany. Przez ponad dwa lata węszyłem, przekupywałem ludzi, całe moje życie podporządkowałem pragnieniu zobaczenia, dotknięcia i zdobycia mandylionu.

- Postradałeś rozum! - wykrzyknął Hubert.

- To prawda - odpowiedział Nikodemos, smutno kiwając głową. - Pragnienie zdobycia mandylionu stało się moją obsesją. Ludzie modlą się o różne rzeczy: jedni o to, aby mogli osiąść pożądaną przez siebie kobietę lub mężczyznę, inni, aby powiodło im się w interesach, jeszcze inni modlą się, aby Bóg ukarał tych, których nienawidzą. Ale ja nigdy nie pragnąłem niczego, tylko przedmiotu, którego dotykał Jezus. Rozumiesz?

Hubert milczał. Mam do czynienia z szaleńcem, to pewne, pomyślał. Ślepiec ciągnął:

- Przez dwa lata układałem plan. Dowiedziałem się od przekupionego sługi patriarchy, który towarzyszył mu podczas wizyty w pałacu Bukoleon, położonym nad morzem Marmara po europejskiej stronie cieśniny Bosfor, że na terenie pałacu znajduje się mała kaplica Matki Bożej z Faros, gdzie odprawiano msze, gdy cesarz przebywał w pałacu. Wedle słów tego sługi, to tam właśnie miał się znajdować mandylion. Rozumiesz jednak, że nie mogłem pozwolić, aby ten sługa wiedział to samo, co ja.

- Co więc uczyniłeś? - zapytał zatrwożony rycerz.

- Nasłałem na niego zbirów, a oni go zabili - wyznał ślepiec bez cienia wahania. - Musiałem to zrobić! Wiedz jednak, że nie zostawiłem jego rodziny

bez pieniędzy. Dałem jego synowi posadę w bibliotece, którą kierowałem, żeby chłopak zdobywał wiedzę, a nie żył jak jego ojciec, parając się brudnymi interesami i zdradzając świątobliwego patriarchę.

Hubert stwierdził teraz, że ma do czynienia nie tylko z szaleńcem, ale ze zbrodniczym i spaczonym umysłem, który całkowicie zatracił zdolność odróżniania dobra od zła.

- W końcu dowiedziałem się - opowiadał ślepiec - że patriarcha Konstantynopola odprawia mszę w Wielki Czwartek na pamiątkę ostatniej wieczerzy Pana Naszego, przed prawdziwym mandylionem. Przebrałem się za sługę i znów przekupując kogo trzeba, zdołałem dostać się do jego świty. I tak znalazłem się w kaplicy. To mała kaplica, gdyż, jak pamiętam, z trudem mieściło się w niej dwadzieścia osób.

- Gdzie jest mandylion? - Hubert coraz bardziej się niecierpliwił.

- Ukryto go w specjalnym schowku w ikonostasie. Ikonostas przedstawia stworzenie świata przez Boga, błogosławione siedem dni. W miejscu, gdzie zostało wyryte złotymi literami greckie słowo *logos*, oznaczające Chrystusa, czyli życiodajne boskie Słowo, przez które wszystko zostało stworzone, znajduje się dźwignia. Należy nacisnąć literę gamma i wówczas otworzą się drzwiczki. Widziałem to. Patriarcha nacisnął właściwą literę i naszym oczom ukazał się relikwiarz, w nim tkanina.

- Jak wyglądała?

- Mniej więcej tak, jak opisał ją Konstantyn Porfirogeneta. Ale myślę, że Konstantyn pomylił się co do istoty mandylionu.

- Co masz na myśli?

- Jak już mówiłem, mandylion nie jest chustą, którą Jezus wytarł swoją boską krew i pot z twarzy podczas drogi na Golgotę.

Hubert poczuł dreszcz na plecach. Czekał na odpowiedź ślepeca z zapartym tchem.

- Cesarz pomylił się, ponieważ widział mandylion tylko przez chwilę i z pewnej odległości, która uniemożliwiła mu odkrycie prawdy.

- Ale jaka, do kroćset, jest ta prawda?!

- Przedmiot ma związek z czymś najważniejszym dla chrześcijan, ze zmartwychwstaniem - powiedział ślepiec drżącym głosem. - Mandylion nie jest chustą, tylko o wiele większą tkaniną złożoną na osiem. Zrobiono tak, żeby ochronić to, co znajduje się na jej powierzchni.

Hubert wstał i zaczął chodzić nerwowo po izbie.

- W takim razie, czym jest mandylion? - zapytał.

- Jeszcze nie rozumiesz? Lepiej odpowiedz sobie, czym nie jest. Na pewno nikt go nie namalował, gdyż widziałem go na własne oczy. Mam w pamięci fakturę tego płótna. Jest lniane, ale takiego płótna w Bizancjum nikt nie tka. Splot jest inny. Dotykając go, mogłem się o tym przekonać. Wierzę, że ktoś, kto wejdzie w posiadanie mandylionu, zyska niezwykłą moc i szczęście.

- To dziwne - mruknął Hubert. - Tobie pragnienie posiadania mandylionu przyniosło raczej zgubę. Podejrzewam, że cię złapali, czy tak?

- Poznawszy już miejsce, gdzie płótno jest przechowywane, postanowiłem włamać się do pałacu Bukoleon i zakraść do kaplicy Matki Bożej. Pewnego dnia ukryłem się w wielkim koszu z owocami, który przyniesiono do pałacu. Kiedy nastąpiła noc i wszyscy położyli się spać, wydostałem się, i korzystając z planu pałacu, który wcześniej znalazłem w mojej bibliotece, zakradłem się do kaplicy. Otworzyłem skrytkę, lecz przypadkiem potrąciłem srebrny lichtarz, który, spadając, narobił hałasu. Chwyciwszy relikwiarz z mandylionem, rzuciłem się do ucieczki i może zdołałbym uciec, gdyby nie ciężar relikwiarza. Nie mogłem jednocześnie biec i go nieść. Porzuciłem relikwiarz i zabrałem tylko płótno.

- Święty Boże! Rzeczywiście jesteście szalony!

- Może i jestem. Ale przez tę jedną krótką chwilę byłem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi! Dotykałem płótna, którego dotykał

Jezus. Dotykałem prawdziwego płótna grobowego Chrystusa, z utrwalonym na jego powierzchni wizerunkiem, jaki powstał, kiedy nasz Pan przeniknął przez nie podczas tych kilku niewyobrażalnie krótkich chwil zmartwychwstania. Czy teraz rozumiesz? To płótno nie jest chustą, którą Weronika wytarła twarz Chrystusowi. Ja miałem w ręku jedyny realnie istniejący dowód, jedyny ślad zmartwychwstania! To płótno grobowe Chrystusa!

Hubertowi zrobiło się żal starca. Nie miał już wątpliwości, że granica pomiędzy pragnieniem obcowania ze świętością i grzesznym opętaniem jest bardzo niewyraźna. Ową granicę można łatwo przekroczyć, ale bardzo trudno powrócić spoza niej do normalności.

Rycerz postanowił opisać wszystko, czego dowiedział się o mandylionie. Opowieść ślepego zajęła cztery pergaminowe karty.

Hubert dotrzymał słowa - dał Nikodemosowi izbę i wyżywienie. Jednak tydzień później jeden z giermków znalazł ślepego martwego. Przyciskał do piersi lnianą szmatę, widocznie wyobrażając sobie, że to mandylion. Giermek powiedział Hubertowi, że ślepiec uśmiechał się, jak gdyby w chwili śmierci był najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Rozdział XVIII

NAD BOSFOREM

Gdy po raz pierwszy ujrzelśmy Konstantynopol, oniemieliśmy, bo tak wielkiego i wspaniałego miasta nigdy dotąd nie oglądaliśmy. Potężne mury ciągnęły się wiele mil, a strzegły ich liczne wieże, których nie sposób było zliczyć. Pomyślałem, że ludzie w zachodniej Europie nigdy nie zbudują tak wielkiego miasta. Jego ogrom mnie przerażał. Uświadomiłem sobie również, że Barbarossa miał rację, mówiąc, że bez dobrej woli Bizantyjczyków nie będzie w stanie przeprowadzić swoich wojsk do Azji.

- Każda armia może połamać sobie zęby na tych murach - zauważył Henryk, próbując objąć wzrokiem ogrom Konstantynopola.

- Ciekawe, jak zostaniemy przyjęci? - zastanawiałem się. To było pytanie retoryczne. Nie mieliśmy wątpliwości, że Bizantyjczycy potraktują nas jak wrogów.

Kiedy przekroczyliśmy bramę północną, okazało się, że prawdziwe kłopoty są dopiero przed nami. Nie wiedzielibyśmy nawet, jak się poruszać po mieście, gdyby nie kilku węgierskich najemników w służbie bizantyjskiej, którzy powiedzieli nam po łacinie, gdzie znajduje się pałac wielkiego logotety, głównego bizantyjskiego ministra. Właśnie jemu mieliśmy wręczyć listy od cesarza Barbarossy. Urzędnicy w pałacu powiedzieli nam, że logoteta Michał Androniketas wkrótce nas przyjmie. Na czas oczekiwania przydzielono nam kwatery w obszernym pałacu należącym do jakiegoś greckiego urzędnika. Urzędnik ten nazywał się Teodor Laskaris.



Ulice Konstantynopola były czyste i schludne, a ściany budynków bielone wapnem. Bizantyjskie świątynie ze złotymi kopułami świadczyły o tym, że grecki Kościół dorównuje potęgą Kościołowi zachodniemu.

Tego dnia miasto zasnuły ciężkie deszczowe chmury, a wzburzone fale cieśniny coraz wścieklej uderzały w port w Galacie i szarpały łańcuchem zawieszonym pomiędzy europejskim i azjatyckim brzegiem Bosforu. Ulice miasta opustoszały. Place, do niedawna zastawione kramami, teraz świeciły pustkami, i tylko wróble zażarcie kłóciły się o okruszki. Ciemne chmury odbijały się w kałużach, tworzących archipelagi, przesmyki i kanały.

Laskaris tego właśnie dnia przyszedł do komnaty, którą zajmowałem wspólnie z moim synem, i powiedział, abym szybko się ubrał i poszedł z nim. Na pytanie, dokąd zamierza mnie zaprowadzić, odpowiedział, że chce się ze mną spotkać pewien człowiek. Baldwin spał i nie zauważył, że wyszedłem, a z sąsiedniej komnaty dobiegało chrapanie Henryka. Włożyłem skórzany kaftan, przypiąłem pas z mieczem, a na to wszystko narzuciłem wełniany płaszcz. Laskaris prosił mnie, abyśmy szli w milczeniu, gdyż możemy być śledzeni przez

cesarskich szpiegów. Powiedział mi również, że nie może mnie oficjalnie zaprowadzić do człowieka, którego powiadomił o moim przybyciu do Konstantynopola. Gdy zapytałem, kim ów człowiek jest, Grek powiedział tylko, że to mój przyjaciel.

Laskaris poprowadził mnie do dzielnicy zwanej Perea. Byłem coraz bardziej zaciekawiony, kim może być osoba, która chce mnie widzieć. Wreszcie w cieniu wejścia do okazałego budynku zobaczyłem mężczyznę w ciemnym płaszczu. Podszedłem do niego, a on rzekł:

- Witaj, Gotfrydzie. To już tyle lat... Był to Hubert z Croisilles.

Kilka miesięcy wcześniej

Laskaris był zaniepokojony, kiedy pewnego dnia wezwał go przed swoje oblicze sam doradca cesarza, biskup Eugeniusz.

- Ekscelencjo, jestem zaszczycony. - Skłonił się nisko. Eugeniusz utkwiał w Teodorze badawcze spojrzenie, wstał od

stołu, podszedł do małego stolika, po czym nalał sobie białego wina, nie zamierzając poczęstować nim gościa.

- Wiem, że pochodzisz z rodziny skoligaconej z Komnenami - zagaił.

Rodzina Komnenów była niegdyś rodziną panującą, lecz obecny basileus, Izaak II Angelos, skazał ich na wygnanie.

- To prawda, ekscelencjo, ale nigdy nie traktowano mnie jak członka rodziny. Nigdy również nie uczestniczyłem w żadnych spiskach...

- Teodorze, nikt cię nie posądza o takie rzeczy - zapewnił biskup. - Zastanawia mnie jednak fakt, że człowiek skoligacony z dawnym rodem cesarskim zadowala się tak prostym życiem. Mógłbyś mierzyć znacznie wyżej.

- Mógłbym, ale dobrze wiem, iż ludzie, którzy podnoszą zbyt wysoko głowę, często są o nią skracani. Ja natomiast lubię moją głowę i zależy mi, żeby jak najdłużej była na swoim miejscu - odpowiedział Teodor.

- Mądrze mówisz. W takim razie dlaczego masz konszachty z wrogami?

- O jakich konszachtach mówisz, ekscelencjo?

- Mówię o templariuszach, którzy mają w naszym mieście jedną niewielką placówkę i z którymi prowadzisz interesy.

Teodor postanowił odegrać biednego, wykorzystywanego, ale wiernego syna Bizancjum. Był Grekiem, a każdy Grek jest nieco egzaltowany, zapłakał więc nad swoim losem, przyznał, że ma długi, i zapewnił, że musiał wziąć od templariuszy pożyczkę na pokrycie poprzednich wierzycelności, ponieważ żaden dom bankierski w mieście nie chce pożyczyć mu pieniędzy. Templariusze zaproponowali mu dogodne warunki.

Eugeniusz usiadł za stołem. Milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Dobrze się stało, że wzięłeś pieniądze od templariuszy. Nie jesteś jedynym, który od nich pożyczka. Cesarz robi to samo, żeby opłacić najemników. Teraz jednak możesz się przydać swemu cesarzowi.

- Co miałbym dla niego uczynić?

- Musisz nam donosić o wszystkim, co dzieje się u templariuszy.

□ □ □

Hubert zaprowadził mnie do siedziby zakonu. Nie mogłem uwierzyć, że spotykaliśmy się znowu, po tylu latach! Chciałem czym prędzej zawiadomić o tym szczęśliwym wydarzeniu Henryka i Baldwina, pchnąłem więc do nich posłańca.

- Skąd wiedziałeś, że przyjechałem do Konstantynopola? - zapytałem.

- Od Laskarisa. Ten Grek pracuje dla mnie i kiedy doniósł mi, że jesteś posłem cesarza Barbarossy, kazałem mu natychmiast cię przyprowadzić.

Powiedziałem, że wojska Barbarossy są kilka dni drogi od Konstantynopola.

Templariusz zamyślił się, po czym rzekł:

- Atmosfera w mieście nie jest najlepsza. Sam widziałeś, co się dzieje. Te puste ulice są zwiastunem czegoś niedobrego. Grecki cesarz chce skonfiskować kosztowności należące do Kościoła. Kościół prawosławny nigdy się na to nie zgodzi.

Długo rozmawialiśmy. Pod wieczór do faktorii templariuszy przybyli Henryk oraz mój syn. Ucztowaliśmy, nie wiedząc, jak niewiele spokojnych dni nam zostało.



Perea była dzielnicą zamieszkaną głównie przez przybyszów z zachodu Europy. Można było tam spotkać bogatych weneckich kupców oraz rywalizujących z nimi Genuńczyków. Nikogo nie dziwiła też obecność włoskich Normanów z Sycylii, Węgrów i przedstawicieli wielu innych zachodnich nacji. Jak nietrudno się domyślić, mieszkańcy Perei skupili na sobie nienawiść Greków, którzy uważali, iż osłabienie Bizancjum, a także ich ciągłe kłopoty związane z drożyzną lub niedostatkami zboża, to wina obcych, czyli Franków, którym to mianem określano wszystkich ludzi z Zachodu. Prawdę mówiąc, Grecy mieli sporo powodów, by żywić do nich nienawiść. To Wenecjanie i Genuńczycy, zażarcie ze sobą rywalizując, doprowadzili do tego, że w mieście brakowało żywności, a ceny zboża rosły.

Zamieszki w Konstantynopolu zaczęły się dwa dni po naszym przybyciu. Prawosławni mnisi wezwali biedotę, aby stanęła w obronie Kościoła, któremu zagrażają wrogowie. Nie sprecyzowali jednak, kim ci wrogowie są. Intrygę uknuł biskup Eugeniusz, którego list do wiernych odczytano we wszystkich kościołach. Wezwał w nim do czujności i nieustannej troski o prawdziwą prawosławną wiarę, której zagrażają obcy - zachodni kupcy i krzyżowcy - ostrzegając, że barbarzyńska armia krzyżowców stoi już pod murami Adrianopola. Motłoch znad Bosforu uzyskał potwierdzenie, że zagrożenie jest nie tylko wytworem wyobraźni szaleńca, ale czymś realnym, jak drożyzna, brak chleba i polityczne awantury na dworze cesarskim.

Nie rozumiałem, dlaczego Bizantyjczycy tak postępują. Wyjaśnił mi to Hubert:

- Dla mnie zamiary bizantyjskiego dworu są jasne. Cesarstwo jest w kryzysie, który z każdym rokiem się pogłębia, trzeba więc odwrócić uwagę od

realnych problemów, skierować niezadowolenie motłochu na łatwego do określenia wroga. Krzyżowcy świetnie się do tego nadają.

Mogliśmy tylko czekać i patrzeć, jak wielkie miasto zamienia się powoli w ognisko nienawiści do obcych.

□ □ □

Dwa dni po przybyciu do Konstantynopola poselstwa cesarza Barbarossy Laskaris został nieoczekiwanie wezwany przed oblicze biskupa Eugeniusza.

- Uczynię wszystko, czego ekscelencja ode mnie zażąda - zapewnił żarliwie, padając na kolana.

- Wszystko? - Biskup uśmiechnął się ironicznie. - Mój drogi Teodorze, to się wkrótce okaże. Wstań.

Gdy Laskaris podniósł się z klęczek, zauważył, że biskup Eugeniusz jest nieco zdenerwowany.

- Doniesiono mi, że do Konstantynopola przybyło właśnie poselstwo od niemieckiego cesarza Barbarossy - rzekł Eugeniusz.

- To prawda, ale to zwykłe poselstwo, zapewne wkrótce wyjedzie - stwierdził uspokajająco Teodor Laskaris.

- Właśnie w tym sęk, Teodorze. Człowiek, który przybył do miasta w poselstwie, jest moim starym wrogiem. Zwie się Gotfryd z Melville.

Laskaris popatrzył podejrzliwie na dostojnika.

- W czym ci zawinił, ekscelencjo?

- To dawne dzieje i nie czas i miejsce na przywoływanie bolesnej przeszłości - odparł wymijająco Eugeniusz. - Ten człowiek nie może się dowiedzieć, że jestem w mieście. Nie mogę działać oficjalnie, ponieważ reprezentuję cesarza. Pragnę jednak, aby zamilkł raz na zawsze.

- Chcesz jego śmierci! - wykrzyknął Laskaris, który brzydził się mordem.

- Sam rozumiesz, że nie mogę pozwolić, aby moja przeszłość dopadła mnie w Konstantynopolu, mieście, gdzie zacząłem nowe życie i gdzie odzyskałem godność, którą papież próbował mi odebrać.

- Dlaczego prosisz o pomoc właśnie mnie?

- Ponieważ jesteś moim dłużnikiem - wyjaśnił Eugeniusz. - Wszedłeś w kunszacht z templariuszami, Teodorze. Już to wystarczy cesarskim urzędnikom, aby wtrącić cię do więzienia. Dlatego nie możesz odmówić mi pomocy. Ale uspokój się, nie chcę, żebyś zabił tego rycerza własnymi rękami.

- W takim razie co mam uczynić? - spytał przerażony Laskaris.

- W Konstantynopolu w jednym z klasztorów mieszka pewien człowiek. To mistrz w strzelaniu z kuszy. Chciałbym, żeby to on zabił Anglika, a ty mu w tym pomożesz.

- Jak mam tego dokonać?

- Nie wiem! Do stu tysięcy demonów, rusz głową! Wymyśl coś! - warknął dostojnik. - Anglik nie może opuścić miasta żywy. Jeśli zawiedziesz, dowody twoich kłótni z templariuszami na pewno znajdą się na biurkach odpowiednich cesarskich sędziów.

□ □ □

Za radą Laskarisa, który nie mógł zaręczyć, że będziemy bezpieczni, gdy wybuchną zamieszki, postanowiliśmy przenieść się do Perei, do templariuszy.

Następnego dnia rano, po mszy, zebraliśmy się wszyscy na śniadaniu. Zauważyłem, że oprócz Huberta w komandorii mieszka tylko dwóch rycerzy, Włoch i Duńczyk, a oprócz nich kilku giermków oraz paru doświadczonych księgowych, którzy byli stowarzyszeni z templariuszami na zasadzie konfraterni. Po śniadaniu przy stole zostaliśmy tylko we trzech: ja, Hubert oraz Henryk.

- Zdobyłem bezcenne dla Bractwa informacje na temat mandylionu - oznajmił templariusz.

- Mów, na Boga! - wykrzyknąłem, niezwykle przejęty.

- Wiem już, gdzie jest przechowywany. Chciałbym wam pokazać to miejsce. W tym celu musimy wybrać się do miasta przebrani za Greków. Tylko ja będę mówił, ponieważ znam grecką mowę.

- Skoro w mieście wybuchły zamieszki, czy nie byłoby rozsądniej, abyśmy zabrali ze sobą twoich giermków oraz Henryka i mojego syna? - Spojrzałem na Henryka, który najwyraźniej nie miał ochoty spędzać kolejnego dnia beczynnie. Chciałem, aby Baldwin oraz Henryk zobaczyli piękne marmurowe pałace Konstantynopola.

Już mieliśmy wychodzić, gdy giermkowie templariusza znaleźli pod drzwiami kawałek kory, na którym ktoś napisał:

STRZEŻCIE SIĘ CZŁOWIEKA Z KUSZĄ.

□ □ □

Gdy przed laty Tomasz Glasdale przybył do Konstantynopola razem z wyklętym przez zachodni Kościół biskupem Odilonem, nie przypuszczał, że jego życie tak bardzo się zmieni. Zgodnie z wolą Odilona razem wstąpili do prawosławnego klasztoru, zmieniając wyznanie. Zarówno dla jednego, jak i dla drugiego wygnańca ta konwersja nie miała większego znaczenia. Obydwaj znaleźli się w Konstantynopolu wbrew własnej woli, ale kiedy już zawitali do tego wielkiego miasta, stwierdzili, że muszą to wykorzystać. Byli przecież zaufanymi ludźmi Jakuba z Rainecourt, zaprzysięgłymi katarami, i chcieli odnaleźć mandylion, który przed wieloma laty wywarł tak wielkie wrażenie na Gilles'u z Rouvres.

Tomasz Glasdale pozostał w klasztorze. Przeszedł coś w rodzaju wewnętrznej przemiany. W jego religijności, wypaczonej przez wyznawaną przez wiele lat herezję katarów, pierwiastki heretyckie oraz prawosławne stopiły się, tworząc dość dziwną mieszankę. Teraz niewiele brakowało Tomaszowi do fanatycznych, często niepiśmiennych mnichów bizantyjskich, którzy żyli w licznych klasztorach w mieście. Jednak Eugeniusz-Odilon nie zapomniał o swoim kompanie, ponieważ potrzebował od czasu do czasu jego usług. A Tomasz był przede wszystkim mordercą.

Dzień po przybyciu poselstwa Barbarossy kusznik otrzymał polecenie śledzenia posłów. Bez trudu rozpoznał Gotfryda oraz jego dawnego służącego

Henryka, gdy obserwował ich ukryty przed willą Laskarisa. Postanowił, że musi dokończyć dzieła i zabić obu. Pozostawało czekać na odpowiedni moment.

□ □ □

- Co to ma znaczyć? - pytałem wzburzony, oglądając kawałek kory. - Może to prowokacja Bizantyjczyków? Uprzedzano mnie, że możemy zostać tu źle przyjęci.

Mina Henryka mówiła mi, że nie powinniśmy tego listu lekceważyć.

- To dziwne - stwierdził. - Któż mógłby nas ostrzec przed niebezpieczeństwem? Wydaje mi się, że człowiek, który nam to przysłał, chce, byśmy czym prędzej wynieśli się z miasta.

- Ja też tak uważam - zgodziłem się z przyjacielem.

- Pozwólcie, że coś przypomnę - odezwał się Hubert. - Z listów Odilona z Reinault, które ty, Gotfrydzie, przywiozłeś z Anglii, dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnym zdrajcą w Bractwie był biskup Odilon. Zastanówmy się nad tym listem na korze... Napisany jest po grecku... więc pewnie pisał go Grek. Mamy strzec się człowieka z kuszą. Czy coś wam to mówi?

Zdałem sobie sprawę, że jest mi znany tylko jeden człowiek, który posługuje się kuszą i który już raz przed wieloma laty o mało nie pozbawił nas życia na moście w Londynie.

- Tomasz Glasdale - syknąłem, czując, że ogarnia mnie wściekłość.

- Skąd on się wziął w Konstantynopolu? - zastanawiał się Henryk.

- Sądzę, że ten wściekły pies przypałał się tutaj za swoim panem - powiedział Hubert.

- Kogo masz na myśli?! - zapytaliśmy z Henrykiem niemal jednocześnie.

- Starego znajomego z Anglii: Odilona z Reinault.

- Co?!

- Dowiedziałem się z pewnego źródła, że w otoczeniu cesarza Izaaka Drugiego Angelosa jest człowiek nazywany przez Greków Eugeniuszem. Przybył przed mniej więcej dziesięcioma laty do Konstantynopola jako

uciekinier z papieskiego więzienia. Nie wiemy, kto pomógł mu uciec ani kto umożliwił mu dotarcie aż tutaj. Przez dziesięć lat Odilon nie próżnował. Wiem, że najpierw wstąpił do prawosławnego klasztoru, a potem został wyniesiony na stanowisko cesarskiego doradcy w wyniku splotu okoliczności, o których nie czas teraz mówić. Mogę jedynie podejrzewać, że wie, iż przybyłeś do miasta jako poseł Barbarossy.

- Chętnie złożyłbym wizytę jego ekscelencji biskupowi - wycedziłem z wściekłością.

- Może będziesz miał powód do takiej wizyty - rzekł Hubert. - Mój plan jest następujący: skoro wiemy, że jesteśmy śledzeni, zachowujmy się, jakby nic się nie stało. Oczywiście, że wejdziemy do miasta, ale nie sami. Moi i twoi giermkowie będą szli w pewnej odległości, ale tak, by zabójca nie zorientował się, że są naszą obstawą...

- Złapmy tego mnicha. Zobaczymy, co to za pobożny ptaszek... - zapalił się Henryk.

□ □ □

W tym samym czasie w dzielnicy Perea doszło do wypadku, który zapoczątkował groźne rozruchy wymierzone przeciw Frankom. Załoga jednego z genueńskich statków poszła do gospody, gdzie za niewielkie pieniądze można było zażywać rozkoszy stołu i łoża. Takich miejsc było w Konstantynopolu bardzo wiele. Odwiedzali je głównie marynarze i mieszczanie. Genueńczycy chcieli mieć całą gospodę dla siebie, ponieważ zamierzali uczcić urodziny swojego kapitana. Szynekarz zażądał sowitej zapłaty, na co Genueńczycy zgodzili się, aczkolwiek dość niechętnie. Szynekarz nazwał ich „wrednymi genueńskimi liczykrupami” i ta złośliwość uszłaby uwagi marynarzy, gdyby nie żona Greka. Marynarze, nie wiedząc, kim jest owa niewiasta, potraktowali ją jak uliczną dziewczkę i zamierzając zażyć z nią rozkoszy, próbowali zedrzeć z niej suknię. Jej małżonek tego nie zdzierzył. Nie mogąc w pojedynkę poradzić sobie z kilkunastoma krzepkimi marynarzami, wezwał na pomoc służących. Grecy

zaskoczyli pijanych Genuńczyków i wybawiwszy z kłopotów żonę szynkarza, wszystkich ich zabili. Wkrótce wieść o mordzie rozeszła się po mieście. Było jasne, że Grecy solidaryzują się z mężem, który pomścił hańbę żony. Natomiast wśród genueńskich najemników w porcie wojennym i licznych zachodnich przybyszów, śmierć pobratymców wywołała oburzenie i chęć zemsty.

W ciągu kilku godzin w dzielnicy Perea wybuchły zamieszki. Początkowo były to awantury, kłótnie, w których używano pięści i kijów. Jednak Grecy mieli nad zachodnimi przybyszami przewagę: znali miasto. Wkrótce do bijatyk w Perei przyłączały się zastępy wygłodniałej, rozwścieczonej drożyzną biedoty. Poszły w ruch kamienie i dachówki. Greckie kobiety, stojąc na dachach i balkonach, lały na rozwścieczonych najemników gorącą wodę. Wkrótce do mieszkańców Konstantynopola dołączyły bizantyjskie oddziały. Masakra trwała cały dzień i noc. Zamordowano kilka tysięcy Genuńczyków, Wenecjan i innych przybyszów z zachodniej Europy.

Fanatyzm zatriumfował. Mur wrogości między Bizantyjczykami i przybyszami z Zachodu wzmocnił się. Jad nienawiści, do tej pory skrywanej i maskowanej koniecznością prowadzenia wspólnych interesów, teraz sączył się w zachodnie i greckie dusze niczym głos biblijnej Jezabel.

□ □ □

Mój syn za nic w świecie nie chciał zostać sam w komandorii. - Ojcze, jeśli mi nie pozwolisz, nie chcę cię znać! - groził. - Wybiorę się samotnie na tułaczkę i zapewne umrę!

Cóż mogłem począć? Taka jest dola ojca samotnie wychowującego dziecko! Giermkom templariusza oraz moim niemieckim kompanom nakazałem chronić mego syna, ale tak, aby Baldwin tego nie zauważył.

Ruszyliśmy. Zgodnie z planem pierwszy wyszedł Henryk, który nie bał się niczego, a poza tym miał z kusznikiem zadawnione porachunki. Pod szare tuniki włożyliśmy kolczugi, jednak wiedziałem, że kusznik ma broń, której strzały przebijają kolczugę z odległości dwustu kroków i nie jest ona skuteczną

ochroną. Nadzieja była w tym, że zdołamy złapać mordercę, zanim wypuści śmiercionośny belt.

Idąc ulicami Perei, nie myślałem o niebezpieczeństwie, ale o dziwnym zrządzeniu losu, które zawiodło mnie tak daleko od zielonych wzgórz i sadów Gloucester. Hubert zauważył, że mijani przez nas ludzie są w większości zachodnimi kupcami. Słyszeliśmy mowę włoską i niekiedy francuską; Perea była przecież dzielnicą Franków. Przywykłem do tego określenia, mimo że nie było właściwe. Byłem Normanem z Anglii, Hubert łacinnikiem urodzonym w Królestwie Jerozolimskim, byli też z nami Niemcy i francuscy giermkowie Huberta.

Zza chmur wyszło słońce, co było przyjemną odmianą po wielu dniach deszczu.

- Dokąd nas prowadzisz, Hubercie? - spytałem, gdy przechodziliśmy przez targ.

- Idziemy do dzielnicy pałaców. Mam nadzieję, że zdołam pokazać ci miejsce, gdzie jest przechowywany mandylion.

- Jeśli kusznik nas do tego czasu nie zabije - mruknąłem. Powiedziałem to w złą godzinę. Ledwo oddaliliśmy się kilka kroków od kramów z przyprawami, gdy Henryk przystanął. Po chwili dał nam znak ręką, abyśmy do niego podeszli.

- Słyszycie? - zapytał. Pokręciłem głową.

Po chwili jednak doszły do naszych uszu odgłosy walki, jaka toczyła się zapewne na sąsiedniej ulicy, szczęk mieczy, przekleństwa po włosku i krzyki rannych.

- Co tam się, u diabła, dzieje? - zapytał Hubert, dobywając miecza.

- Jeśli ktoś jest krzywdzony, nie możemy stać z założonymi rękami - odpowiedziałem.

Ruszyliśmy wszyscy w stronę, z której dobiegały odgłosy potyczki. Po kilku chwilach byliśmy na miejscu i stwierdziliśmy, że dwóch Wenecjan bije się z uzbrojonymi w widły, drągi i sztachety greckimi wyrostkami. Jeden z

Wenecjan był ranny w głowę. Grecy napastnicy nie mieli jednak żadnych szans przeciwko naszej kompanii. Zabiliśmy wszystkich.

Wenecjanie podziękowali nam za ocalenie. Słyszając, że jestem angielskim Normanem i posłem Barbarossy, uradowali się, sądząc, że cesarz bez wątpienia zajmie miasto. Odpowiedziałem im, że Barbarossa wcale nie ma zamiaru atakować Konstantynopola, ponieważ jego celem jest odbicie Jerozolimy z rąk muzułmanów.

Jeden z Wenecjan, ranny w głowę, powiedział:

- Nazywam się Luigi Poggi i jestem sługą doży. Uratowaliście nam życie i jestem pewien, że będę mógł się wam odwdziaczyć.

- W takim razie miło cię poznać, Luigi - odpowiedział Henryk.

Wenecjanin okazał się bogatym i wpływowym kupcem, który został zaskoczony w swoim domu przez własnych służących, Greków.

- Mówię wam, dostojni panowie, że wszyscy Grecy są tacy sami, to zdrajcy i szaleńcy. Są gorsi od Saracenów.

Luigi był postawnym mężczyzną mniej więcej czterdziestoletnim, szczupłym, ze szpakowatymi włosami. Orli nos przydawał jego twarzy surowości. Wyczuwałem w tym człowieku fałsz i obłudę. Pomyślałem, że musi być wyjątkowym draniem.

Stojąc twarzą do mnie, wpatrywał się w kogoś za moimi plecami. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Don Luigi, na co patrzysz?

- Na greckiego mnicha z kuszą - wyszeptał.

Odwróciłem się gwałtownie. Głasdale stał jakieś sto kroków od nas.

- Ukryjcie się! - krzyknąłem.

Ale było za późno. Usłyszeliśmy świst. Mój syn i Hubert znaleźli się na linii strzału. Hubert bez wahania rzucił się na Baldwina, zasłaniając go swoim ciałem.

Głasdale znów naciągnął kuszę. Niemcy z mojej obstawy, ja i Henryk nie mieliśmy nic do stracenia. Pobiegliśmy w jego stronę, ile sił w nogach, dzierżąc miecze. Głasdale zawahał się, choć gdy tak pędziliśmy, mógł naciągnąć kuszę co najmniej dwa razy, ale wystrzelił tylko raz. Jeden z niemieckich rycerzy zacharczał i runął na bruk.

- Brać go żywego! - krzyknąłem.

Henryk był najszybszy. Dopadł Głasdale'a, kiedy ten naciągnął kuszę po raz kolejny. Nie zdążył. Potężny cios zadany przez Henryka powalił go na bruk. Henryk skopał go bezlitośnie, ale nie zabił. Postanowiłem, że zanim Głasdale poniesie zasłużoną karę za swoje zbrodnie, wszystko nam wyśpiewa.

Hubert leżał na prawym boku w kałuży krwi, a Baldwin trzymał na kolanach jego głowę. Miał lzy w oczach, ponieważ bardzo polubił templariusza. Fulko, giermek i lekarz Huberta, obejrzał jego ranę. Strzała przebiła tunikę, kolczugę i utkwiała w plecach na wysokości mostka. Spojrzałem w twarz Huberta. Była pobladła z bólu.

- Panie mój - rzekł Fulko - strzała utkwiała głęboko w plecach, blisko kręgosłupa, i jeśli spróbuję ją wyjąć, mogę naruszyć kość. Jesteś, panie, w ręku Boga.

Hubert pokiwał głową. Uklękliśmy wszyscy koło niego, poza dwoma Niemcami, którzy pilnowali mordercy. Zmówiliśmy modlitwę, a gdy skończyliśmy, Hubert dał znak, że chce mi coś powiedzieć.

Nachyliłem się nad nim, a on odezwał się cicho:

- Gotfrydzie... Mandylion... Opisałem wszystko... W mojej celi...

- Hubercie, ty nie umrzesz... nie możesz... - szeptałem zrozpaczony.

Hubert drżącą dłonią dał znak, bym zamilkł. Wiedział, że jeszcze tego dnia stanie przed Panem.

- Gotfrydzie... Obiecuj, że odnajdziesz historię mandylionu, którą spisałem... W mojej celi... W komandorii... W szkatule z kości słoniowej...

Zamilkł. Dał nam ręką znak, że chce być obrócony na wznak i usiąść. Mój syn i Fulko wzięli go pod rękę. Hubert nakreślił znak krzyża, kierując dłoń w stronę kusznika. Wybaczył mu.

Zaraz potem skonał.

□ □ □

Liczyłem na to, że Głasdale załamie się w obliczu śmierci, bo nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, jaki czeka go los. Zaprowadziliśmy go do portu. Kazałem mu uklęknąć.

- Gadaj, psie, po co przybyłeś z Odilonem do Konstantynopola?

- Jestem tu z własnej woli - odpowiedział spokojnie.

- Zabiłeś mojego przyjaciela. Nie możesz spodziewać się łaski. Wiem, że nie powiesz mi niczego o biskupie Eugeniuszu... Chcę tylko wiedzieć, czy u kresu swego nędznego żywota odczuwasz wyrzuty sumienia?

Popatrzył mi w oczy. W jego spojrzeniu nie było strachu.

- Zanim mnie zabijesz, dowiedz się, że jestem synem weneckiego doży Enrica Dandola. On pomści moją śmierć.

Tomasz Głasdale miał zakończyć swoje życie tak, jak na to zasłużył. Powiedziałem Henrykowi, żeby zaczynał. Odsunęliśmy się od skazańca. Henryk miał kamienną twarz. Wiedziałem, że chce sam wymierzyć kusznikowi karę. Zadzwęczał miecz z hiszpańskiej stali wyjęty z pochwy. Głasdale odwrócił się w stronę morza i rozłożył ręce, jakby chciał pomóc swej grzesznej duszy wydostać się z ciała. Zamknął oczy, szepcząc jakieś heretyckie modlitwy. Henryk uniósł miecz.

Stal błysnęła w słońcu. Trzasnął przecięty kręgosłup. Trysnęła krew, a głowa zdrajcy potoczyła się po nabrzeżu.

□ □ □

Dwa dni później, gdy pochowaliśmy Huberta w kościele Świętego Andrzeja, spotkałem się z wielkim logotetą Michałem Androniketasem. Nie chciał rozmawiać o zamieszkach, w wyniku których zginęło wielu

zachodnioeuropejskich gości przebywających w stolicy Bizancjum i kupców. Przekazałem listy od Barbarossy, a urzędnik, przeczuwając, iż osłabione Bizancjum nie jest w stanie obronić się przed niemiecką armią, wydał zgodę na jej przemarsz. Bizantyjskie statki miały przewieźć wszystkich rycerzy Barbarossy oraz ich konie do Azji. Droga do Palestyny stanęła przed nami otworem.

Poprzysiągłem temu zdradzieckiemu miastu zemstę. Grecy nienawidzili nas, ale sami nie robili nic, żeby przeciwstawić się islamowi. Zanim opuściliśmy Konstantynopol, pomogliśmy dwóm templariuszom, Florentyńczykowi i Duńczykowi, spakować wszystkie rzeczy. Ich pobyt w Konstantynopolu nie miał już sensu.

Wyjeżdżałem przepelniony gniewem i goryczą i zapewne dlatego zapomniałem zabrać szkatułę zawierającą historię mandylionu. Pozostała w budynku faktorii handlowej...

Rozdział XIX

ŚMIERĆ BARBAROSSY

Oddziały krzyżowców minęły Adrianopol, drugie wielkie miasto greckiego cesarstwa położone w jego europejskiej części. Cesarz zgodził się na rekwizycje trzody chlewnej, zboża i drobiu, ponieważ krzyżowcy nie chcieli jeść dłużej solonego mięsa. Wytrwale zmierzał do celu, którym była Jerozolima. Chciał tam znaleźć sławę i świętość.

Wkrótce jego ogromna armia stanęła pod Konstantynopolem. Widząc znów mury tego miasta, poczułem gniew, albowiem kojarzyło mi się ono ze śmiercią Huberta. Grecy potraktowali niemieckich rycerzy jak dzikich barbarzyńców z lasów północy, a nie jak sprzymierzeńców, idących na wojnę ze wspólnym wrogiem - islamem. Niemcy są dumnymi ludźmi i wielu z nich poprzysięgło Grekom zemstę.

Kiedy żołnierze przeprawili się na bizantyjskich statkach i łodziach na brzeg azjatycki, uświadomiłem sobie, jak bardzo Grecy są nam obcy. Niby

byliśmy tacy sami, gdyż takie same mieliśmy marzenia o sławie, a także wierzyliśmy w tego samego Boga cierpiącego na krzyżu. Grecy byli jednak ludźmi dumnymi, wpatrzonymi w swoich świętych namalowanych na ikonach, i zapomnieli o zdrowym rozsądku. Stojąc na azjatyckim brzegu cieśniny, patrzyliśmy wraz z Henrykiem i Baldwinem na piękno Konstantynopola, na złote kopuły kościołów, na cesarskie pałace. Zrozumiałem, że jeśli mandylion znajduje się tutaj, to Grecy nie są godni, by go posiadać. Przysięgłem na duszę Huberta, że jeśli Bóg pozwoli mi raz jeszcze stanąć u wrót cieśniny Bosfor, zrobię wszystko co w ludzkiej mocy, żeby odebrać go Grekom.

Dalsza droga wiodła przez lasy i bezdroża Azji Mniejszej. Dokuczał nam upał, choroby i ciągły brak wody. Kilkudziesięciu rycerzy ze Szwabii napiło się raz wody ze studni w jakiejś greckiej wiosce i nabawiło krwawej biegunki. Wszyscy umarli w męczarniach. Uznano, że to sprawka Greków, więc wioska została spalona, a ludzie wygnani. Na wieść o tym komendant Nikei, wielkiej bizantyjskiej twierdzy leżącej na szlaku krucjaty, zamknął przed krzyżowcami bramy. Ponieważ nie mieliśmy już prawie jedzenia, gdyż zapasy, jakie ze sobą zabraliśmy, dawno się wyczerpały, a te dostarczone z Konstantynopola również się skończyły, głodnym krzyżowcom pozostało siłą zdobyć wodę i strawę. Spustoszone wszystkie wioski w promieniu dwudziestu mil od miasta, a stare gaje oliwne, pamiętające jeszcze czasy rzymskich cesarzy, wycięto. Grecy musieli żyć w wielkim strachu, gdyż przez dwa tygodnie ogromna niemiecka armia zbierała pod miastem zapasy, rekwirując chłopom zboże, zabierając zwierzęta i oliwę.

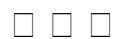
Maszerując w głąb Azji, nie napotykaliliśmy już tak wrogo nastawionej ludności. Jednak te anatolijskie bezdroża dały nam się ostro we znaki. Ludzie mdleli z pragnienia i podupadali na duchu.

- Gotfrydzie, coś mi się zdaje, że ta wyprawa źle się skończy - biadał Henryk.

Popatrzyłem mu w twarz i zobaczyłem w jego oczach strach. Z każdym dniem Europa była coraz dalej, a przed nami dzika, groźna, obca i nienawistna Azja.

Zwierzęta również źle znosiły marsz. Konie wlokły się kopyto za kopytem, zjadając resztki owsa, który zabraliśmy chłopom.

Pomyślałem, że gdyby muzułmanie teraz zaatakowali, z pewnością pokonaliby nas bez użycia broni. Jednak nie napotkaliśmy nawet śladu Turków z sułtanatu Ikonium.



Barbarossa skierował się na południowy wschód, w stronę Cylicji, krainy o łagodnym klimacie, położonej nad brzegiem Morza Śródziemnego. Zamieszkiwali ją głównie chrześcijanie i życzliwie nastawieni do krzyżowców Ormianie. Z podziwem patrzyłem na Barbarosę - mimo wieku cierpliwie znosił trudy marszu, dając chwalebny przykład chrześcijańskiej pokory wobec prób, jakie zgotował nam los.

Pewnego dnia zmarło dwóch giermków margrabiego Palatynatu. Po upływie doby, tuż przed pogrzebem, na ich ciele zauważono liczne czerwone plamy, jak przy ospie. Wybuchła panika. Zabobonni rycerze uwierzyli słowom księdza Piotra z Fuldy, że zaraza jest karą boską za to, iż nie dość gorliwie zwalczali wrogów Boga. W rezultacie jego kazań po pogrzebie młodych Niemców w pierwszej napotkanej wiosce krzyżowcy powiesili wszystkich Żydów. Takich okrutnych czynów dopuszczano się coraz częściej. Barbarossa nie karał jednak morderców. Wiedział, że frustracja i gniew ludzi muszą znaleźć ujście. Coraz częściej widywano cesarza noszącego zgrzebną koszulę na znak pokuty. Był to widok wstrząsający. Mogłem jedynie podejrzewać, dlaczego Barbarossa tak ukorzył się przed Bogiem; chciał prosić o wybaczenie za okrucieństwa, jakich dopuściło się jego wojsko.

Armia dotarła w końcu do rzeki Salef w Syrii, która toczyła swe wody w łagodnej dolinie, pomiędzy wzgórzami porośniętymi dzikim jaśminem i gęstymi krzewami, wyciągającymi gałęzie ku słońcu.

Rzeka płynęła z północy na południe i wpadała do Morza Śródziemnego, przecinając wąwozami liczne doliny porośnięte soczystą trawą. Pasterze prowadzili wiosną na wzgórza nad rzeką stada kóz i owiec, które zanim nadeszło ciepłe i upalne lato, zjadały większość roślinności, pozostawiając na resztę roku nagie wzgórza, więc armia krzyżowców była z tych wzniesień dobrze widoczna.

Krzyżowcy mówili, że skoro Bóg oszczędził ich w drodze przez suchy anatolijski płaskowyż, to teraz w imię oswobodzenia Jerozolimy zniosą wszystko. Woda w rzece była zimna, a nurt bystry. Ormianie, którzy pełnili rolę naszych przewodników, wskazali dogodny bród. Jednak doradcy cesarza mieli złe przecucia. Do tej pory w ogóle nie napotkaliśmy wrogów. Dziwiliśmy się, że wokół nas, w promieniu wielu mil, rozciąga się pustka - ani jednego muzułmańskiego żołnierza.

Któregoś dnia na wzgórzu pojawili się dwaj ludzie. Ubrani byli na czarno, na głowach mieli turbany. W milczeniu wpatrywali się w wielki obóz na brzegu rzeki.

- Allah jest naprawdę wielki, Mahmudzie, skoro mamy przed sobą tak łatwy cel - rzekł po chwili młodszy. - Te niewierne psy są w zasięgu naszego wojska.

Mahmud był człowiekiem w sile wieku, miał szerokie bary świadczące o tężyznie fizycznej. Jego czarne oczy wpatrywały się w setki niemieckich namiotów.

- Dobrze mówisz, Osmanie. Allah nie może znieść widoku tych chrześcijańskich psów. Myślę, że wojska, które widzimy, to armia Czerwonobrodego, który jest największym wojownikiem spośród wszystkich Franków.

Nienawiść zimna jak lód z gór Syrii znów zagościła w sercu Mahmuda. Pobratymcy morderców jego jedynej siostry znów wkraczali na te ziemie. Besmeh, po arabsku „uśmiech”, matka Osmana, została zamordowana przed sześcioma laty, gdy jechała w karawanie zaatakowanej przez ludzi Reynalda z Chatillon, księcia Zajordanii. Rodzina Al-Faisów walczyła z krzyżowcami od stu lat.

- Nikt nie dorówna Saladynowi, naszemu panu - rzekł Osman.

- Prócz tego czerwonoobrodego Franka - mruknął Mahmud, wpatrując się obozowisko.

Jak widać, sława Barbarossy dotarła do jego wrogów na długo przed nim samym.

- Pomódlmy się, zanim ruszymy do Damaszku, żeby powiadomić naszego pana, iż ludzie krzyża wkrótce przekroczą rzekę Salef i zanim minie tydzień, znajdą się w sercu Syrii - rzekł Mahmud do swoich żołnierzy.

Osman ukląkł razem z wujem na piasku, i pochylając się, po cichu szeptał słowa pierwszej sury Koranu. Gdy skończyli modlić się do wielkiego i wiekuistego Allacha, zeszli ze wzgórza niezauważeni przez wrogów. Po drugiej stronie czekał tuzin groźnych wojowników w czarnych szatach powiewających na gorącym wietrze.

Oni, sprawiedliwi muzułmanie, szukający prawdy, członkowie sekty asasynów, wiedzieli, że oto nadszedł czas miecza. Ucieszyli się, słysząc wieści od wodza i jego siostrzeńca, chcieli bowiem ponieść chwalebną śmierć dla Allacha i jego Proroka. Mogli tego dokonać, walcząc z niewiernymi.

□ □ □

Niemieccy dowódcy kłócili się o wszystko: kto ma mieć dostęp do najlepszych pastwisk w okolicy, kto będzie władał Edessą, a kto dostanie inne miasta Królestwa Jerozolimskiego... Dzielili włości, choć jeszcze ich nie zdobyli. Co za głupcy, myślałem z goryczą. Wielu rycerzy z armii Barbarossy narzekało na trudy wyprawy, a margrabia brandenburski wciąż powtarzał, że

konie są zmęczone. Był to wybieg, bo po prostu nie miał ochoty walczyć. Barbarossa patrzył na to bezradnie. Widziałem, jak bardzo jest zmęczony.

Moja sława pogromcy niemieckich możnowładców, a także przyjaźń z Barbarossa zjednały mi wielu przyjaciół. Moi ludzie byli Niemcami, ale pochodzili z różnych niemieckich krajów i byli mi bezgranicznie oddani. Miałem też pod sobą kilkunastu wasali niemieckich, którzy albo stracili swoich panów, albo niedawno zostali pasowani na rycerzy. Nie zdziwiłem się więc, kiedy cesarz poprosił mnie, abym razem z nimi ruszył na zwiad.

Pojechaliśmy w dół rzeki. Po czterech dniach, kiedy wracaliśmy, Baldwin zauważył ludzkie zwłoki płynące z nurtem. Były wzdęte i nie mogliśmy rozpoznać, czy należą do krzyżowca, czy muzułmanina. Baldwin dostrzegł na brzegu rzeki inne zwłoki zaczepione o korzeń. Podeszedł do trupa, po czym odwrócił się i krzyknął do nas:

- Ten człowiek nie wygląda na Saracena!

□ □ □

Kiedy dotarliśmy do obozu, okazało się, że wczoraj, kiedy znajdowaliśmy się w dole rzeki, duży oddział szwabskiej i heskiej jazdy przeszedł bród i zgodnie z rozkazami Barbarossy miał zapuścić się na jakieś dziesięć do dwudziestu mil w głąb Syrii, by zasięgnąć języka. Kiedy hufce niemieckich krzyżowców przekraczały rzekę, nagle, jakby znikąd, pojawił się duży oddział saraceńskiej kawalerii. Mówiono, że muzułmańscy wojownicy odziani byli w długie czarne szaty, nosili czarne turbany i także chusty na twarzach. Wyglądali jak posłańcy burzy, ponieważ spadli na niespodziewających się zasadzki Niemców niczym grom z jasnego nieba. Zaskoczeni krzyżowcy, obsypani gradem strzał z łuków, ponieśli poważne straty, a hufce, które już przekroczyły rzekę, zostały zepchnięte w jej nurt. Saraceni okazali się wyśmienitymi łucznikami. Wybierali pośród Niemców znaczniejszego rycerza i dziurawili go strzałami jak sito, a rycerz wraz z rannym, wierzgającym koniem wpadał do rzeki. Porywał go nurt, a w najgorszym wypadku zagradzał drogę odwrotu tym,

którzy podjęli bezpośrednią walkę. Muzułmanie, mając przewagę liczebną i lepsze konie, zdołali otoczyć krzyżowców. Nie docenili jednak waleczności i taktyki Niemców. Wprawdzie walczyli oni jak każda armia europejska, tocząc szereg konnych pojedynków, ale w chwili zagrożenia stosowali sprawdzony manewr: formowali krąg, a jeden rycerz osłaniał tarczą drugiego. Taka stalowa obręcz, złożona z setek ludzi na koniach, nie była łatwa do pokonania. Zażarta obrona dała cesarzowi czas na zorganizowanie kontrataku.

Barbarossa wdział kolczugę i zamierzał osobiście poprowadzić atak na wroga, choć giermkowie błagali go, by tego nie robił. Hermann von Salza zaklinał go na imię Marii Panny, aby nie narażał życia. Barbarossa uderzył go pięścią i wybił mu dwa zęby, ale szarży nie poprowadził. Von Salza obnosił z dumą po obozie dziury po zębach i powtarzał, że bezpieczeństwo cesarza było warte takiej ofiary.

Szarżę poprowadził syn cesarza, Henryk Hohenstauf. Kilka tysięcy rycerzy rzuciło się przez rzekę. Wbili się głęboko w szereg muzułmanów i siekąc ich mieczami, i kłując włóczniami, zaczęli ich spychać. Zaczęła się masakra. Lekkie uzbrojenie saraceńskich jeźdźców nie zapewniało im dostatecznej ochrony. Ich wierzchowce, ranione włóczniami i kopane przez zahartowane w boju niemieckie rumaki, płoszyły się. Saraceni zaczęli się cofać. Dziesiątki muzułmańskich wojowników leżało martwych na brzegu rzeki. Jednak wraz z odwrotem Saracenów bitwa się nie skończyła, ponieważ krzyżowcy, widząc uciekających wrogów, ruszyli za nimi w pogoń. I chociaż niejeden saraceński wojownik, dopędzony przez krzyżowca, dostawał mieczem po karku i kończył żywot, muzułmańska konnica zgotowała krzyżowcom przykrą niespodziankę. Wielu łuczników strzelało świetnie również w pełnym biegu. Kilkudziesięciu niemieckich rycerzy zginęło albo od strzał, albo tracąc wierzchowce, albo wpadając pod kopyta rozpędzonych koni. Ci nieszczęśnicy, którzy zaplątali się w strzemiona i wleczeni byli przez oszalałe z bólu zwierzęta, kończyli życie w męczarniach.



Jeżeli można mówić o pierwszej ofierze religijnego fanatyzmu podczas tej krucjaty, to w sensie metaforycznym został nią sam cesarz. Milczący, zatopiony w modlitwie, nieczuły na jęki rannych, których pozostawiono własnemu losowi, Barbarossa zmierzał ku swemu wyśnionemu Jeruzalem. Myślę, że po bitwie nad rzeką zwątpienie i zniechęcenie wdarło się w serca wielu krzyżowców. Okazało się, że muzułmańscy wojownicy są waleczni i odważni, co zadziwiło naszych rycerzy, którzy do momentu bitwy nigdy nie oglądali na oczy islamskiego innowiercy. Zaskoczenie wywołała także taktyka Saracenów: atakowali znienacka i robili wszystko, żeby uniknąć bezpośredniego starcia. Niemieccy rycerze uznali taki sposób prowadzenia walki za mało honorowy. Cóż, może i mało honorowy, ale na pewno skuteczny. Armia krzyżowa poniosła ogromne straty... zginęło trzystu siedemdziesięciu rycerzy, drugie tyle było rannych.

Po pogrzebie krzyżowców, którzy zginęli w bitwie, Baldwin zapytał mnie:

- Ojcze, powiedz, czy Bóg naprawdę potrzebuje ofiary tych ludzi?

- To trudne pytanie. Nie jestem Bogiem, mój synu. Wydaje mi się, że skoro ponieśliśmy już te ofiary, nie możemy się wycofać.

- Wybacz, ojcze, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Czy Bóg potrzebuje krwi tych ludzi? Benedyktyni uczyli mnie, że Bóg pragnie miłosierdzia, a nie krwi.

Zastanowiłem się głęboko, po czym odrzekłem:

- Myślę, że decydując się na krucjatę, zdecydowaliśmy się powierzyć nasze życie Bogu.

Po chwili dodałem zdecydowanie i stanowczo, chcąc zakończyć tę rozmowę, w której nie znalazłem argumentów mogących odeprzeć wątpliwości mojego syna:

- Uważam, że walczymy dla Boga.



Nazajutrz stwierdziłem, że muszę podkuć konia. Kowal z Meklemburgii, imieniem Manfred, zdążający do Ziemi Świętej wraz z krzyżowcami, na każdym dłuższym postoju otwierał prowizoryczną kuźnię. Zostawiłem u niego konia i poszedłem przejść się wzdłuż rzeki. Widziałem, że mimo rozkazu cesarza nie wszyscy rycerze zwinęli namioty. Blisko rzeki rozbili się Sasi. Będąc przeciwnikami Hohenstaufa, musieli dołączyć do armii krzyżowej w świętej wojnie o Jerozolimę. Podczas krucjaty miałem wiele okazji, by przekonać się, iż Sasi to straszne lenie, udawali tylko, że walczą, a że byli bardzo sprytni, cesarz nie miał do nich zastrzeżeń. W pewnej chwili usłyszałem rozmowę:

- Leopold Austriacki oraz syn cesarza muszą zostać zwabieni gdzieś na stronę. To musi wyglądać na wypadek - przekonywał jakiś człowiek.

- W zamieszaniu, jakie powstało po bitwie, nie będzie to trudne - zapewnił drugi.

Jego głos wydał mi się znajomy.

- W moim przekonaniu przeszkoda tkwi gdzie indziej - dodał.

- Gdzie?

- W jego przyzwyczajeniach. Kąpiel w rzece nie wchodzi w rachubę. Umartwia się i nie pozwoli sobie na taką przyjemność. Musimy wszystko obmyślić tak, aby wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek. Choć i tak nie unikniemy podejrzeń.

- Nie dbam o to - prychnął trzeci mężczyzna. - Chcecie zgnić na tych bezdrożach? Ja mam dość. Wracam do domu.

- Możesz wracać, margrabio, jeśli taka twoja wola, ale ja mam w Palestynie interesy, które wezmą w łeb, jeśli się go nie pozbędziemy - powiedział drugi z rozmówców.

- Jesteś pewien, że zmienił zdanie, jeśli chodzi o koronę jerozolimską? Przecież Gwidon z Lusignan podobno wciąż jest w niewoli u Saracenów - przypomniał pierwszy.

- Kiedy ja zostanę królem Jerozolimy, postaram się, żeby Saladyn nigdy go nie uwolnił. Moim kłopotem nie jest Gwidon z Lusignan, tylko Henryk Hohenstauf. Cesarz zrobi swojego syna królem. Pomyślcie, że straciecie w Rzeszy wszelkie wpływy, kiedy Hohenstaufowie przejmą tron jerozolimski, mając już koronę niemiecką i sycylijską.

- Będą potężniejsi niż kiedykolwiek przedtem - stwierdził z przekonaniem ochryply trzeci głos.

- Margrabi, czy jesteś pewny tego konia?

- Oczywiście. Sprawdzalem go w walce. Jest pięknym arabem czystej krwi, ale w wodzie dostaje szału - zapewnił człowiek o ochryplym głosie

- W takim razie niech się stanie wola boska - westchnął drugi.

Wreszcie rozpoznałem, do kogo należy drugi głos - do Konrada z Montferratu. Odwróciłem się i najciszej jak mogłem ruszyłem do mojego namiotu. A tam czekały na mnie nowe rozkazy: mam dowodzić przednią strażą całej armii krzyżowców, na czele trzech tysięcy rycerzy ruszyć do południowych wrót Syrii, nad rzekę Orontes.

- Kiedy mamy wyruszyć?

- Jutro nad ranem - odparł Henryk.

- Gdzie jest cesarz? Muszę natychmiast powiadomić go o spisku.

- Jakim spisku?! - wykrzyknęli jednocześnie Henryk i Baldwin.

Opowiedziałem im wszystko. Nie mogli uwierzyć w to, co usłyszeli. Konrad z Montferratu miał opinię wiernego krzyżowca. Zamach na człowieka, którego władza pochodziła od Boga, był nie tylko szaleństwem, ale czymś tak nieprawdopodobnym, że teraz, po latach, wcale się nie dziwię, iż Baldwin i Henryk nie dali mi wiary. Uznali, że muszę żywić urazę do tego znakomitego rycerza i kandydata do korony jerozolimskiej. Kiedy zapytałem, czy Barbarossa jest w swoim namiocie, odpowiedzieli, że cesarz udał się w towarzystwie kilku rycerzy, żeby wypróbować nowego wierzchowca.

- Od kogo dowiedzieliście się o wyjeździe cesarza?

- Od Hermanna von Salzy. Powiedział też, że nowy rumak cesarza jest najpiękniejszym zwierzęciem na ziemi - odpowiedział Henryk. - Cesarz wyjechał z obozu dość dawno i na pewno nie zdołasz go dogonić.

□ □ □

Nad ranem zbudziło mnie nagłe szarpnięcie.

- Ojcie, wstań! Nieszczęście! - mówił rozgorączkowany Baldwin.

- Co się stało? - powiedziałem zaspany.

- Cesarz... Nie żyje...

Koszmar stał się rzeczywistością. Nie przypuszczałem, że zamachowcy zdołają tak szybko wprowadzić swój morderczy plan w życie. O zamachu wiedziałem tylko ja. Nikt by mi nie uwierzył, gdybym teraz wyznał, co usłyszałem.

Kiedy wyszliśmy z namiotu, stwierdziłem, że nikt w obozie nie śpi. Wiadomość rozchodziła się z szybkością błyskawicy.

Powiedziano nam, że cesarz udał się zeszłego wieczoru obejrzeć bród. Rzeka nie była głęboka, ale nowy koń cesarza poniósł, kiedy tylko zamoczył kopyta w wodzie. Barbarossa miał na sobie kolczugę, która krępowała mu ruchy. Koń przewrócił się i przygniół monarchę. Kiedy syn cesarza, Henryk, wraz z towarzyszącymi mu rycerzami wyciągnął ojca na brzeg, ten już nie żył.

W obozie krzyżowców zapanowało przygnębienie. Wyprawę postanowili kontynuować Leopold Austriacki oraz syn cesarza, młody Henryk Hohenstauf.

Przed nami rozciągała się groźna i urzekająca Syria, ojczyzna Saladyna i brama do Jerozolimy.

Rozdział XX

ASASYNI

Po śmierci Barbarossy wielu uwierzyło, że wyprawa jest przeklęta i że Bóg na pewno zostawi krzyżowców na pastwę losu. Ja w to nie wierzyłem, albowiem nie należałem do ludzi, którzy w obliczu zagrożenia umykają jak sarny przed wilkami. Wycofać się teraz, u bram Syrii, znaczyło okryć się hańbą.

Kilka tysięcy niemieckich krzyżowców pod wodzą księcia Leopolda von Habsburga i Henryka Hohenstaufa dowlokło się w końcu do Syrii, pięknej i groźnej krainy, skrywającej w piaskach dawne kościoły, a teraz będącej we władaniu wojowniczych muzułmanów.

Krzyżowcy wiedzieli o muzułmanach niewiele ponad to, co opowiadano o nich w Europie, a mianowicie że są żądni krwi, że walczą na pustyni niczym szakale i że są śmiertelnymi wrogami chrześcijan. Jednak podczas tej wyprawy miałem się przekonać, że największymi wrogami chrześcijaństwa są sami chrześcijanie.



Było upalne lato 1191 roku. Wiał coraz mocniejszy pustynny wiatr, który Arabowie zwa *hamsin*. Przed jego gorącym oddechem za dnia kryją się wszystkie zwierzęta, nawet te najdrobniejsze, jak pustynne jaszczurki i dzikie króliki. Kolczugi rycerzy nie chroniły przed maleńkimi, rozpalonymi drobinkami piasku, które potrafiły znaleźć drogę do skóry i bezlitośnie ją chłostać.

Trzech jeźdźców na wielbłądach nie wyglądało na przestraszonych wiatrem. Byli to asasyni, najbardziej fanatyczni spośród wszystkich muzułmańskich wojowników. Wpatrywali się w gardziel suchej doliny, wijącej się między wielkimi wydymami. Na jej dnie ujrzeli szeregi ciężkozbrojnej europejskiej jazdy, które w tym skwarze poruszały się niewiarygodnie wolno.

- To krzyżowcy - rzekł Mahmud. - Zapewne część armii Franków, którą aż do wrót Syrii poprowadził wielki wojownik z długą czerwoną brodą. Powiedz mi, mój umiłowany bracie, Fatihu al-Amakrze, czy wieści, które przekazałeś nam wczoraj rano, są prawdziwe?

- Allah jest wielki! - powiedział Fatih. - Schwytani przez nas kupcy z narodu Ormian, którzy służą krzyżowcom, powiedzieli naszym braciom, że wielki Frank z czerwoną brodą utonął w rzece Salef.

- Zaiste, dobra to nowina! Allach wysłuchał zatem naszych modłów i ukarał krzyżowców.

- Niech dzięki będą Allachowi! - wykrzyknęli jego dwaj towarzysze. - Oby niewierni zostali wybici do nogi!

Asasyni jeszcze przez kilka chwil wpatrywali się w maszerującą kolumnę wojsk, po czym zawrócili wielbłądy i zniknęli między wydmami niczym duchy.

Zauważyłem ich i poczułem niepokój. Śledzili nas, to pewne.

- Ale upał - jęknął Henryk, chwiejąc się w siodle. Odkąd armia niemiecka, a raczej to, co z niej zostało po śmierci cesarza, opuściła rejon rzeki Salef, prześladowały nas potworne upały. Ludzie mdleli ze zmęczenia. Staraliśmy się jechać wzdłuż morza, licząc na to, że okręty Wenecjan zechcą nas wspomóc prowiantem i obrokiem dla koni. Jednak Wenecjanie nas zawiedli. Musieliśmy racjonować żywność. Wiele koni padło. Los wyprawy był coraz bardziej niepewny. Kierowaliśmy się w stronę jedynej chrześcijańskiej twierdzy, jaka w tej części Syrii mogła dać nam oparcie i schronienie przed muzułmanami. Tą twierdzą była Akka.

Wciąż myślałem o ludziach, których zobaczyłem na wzgórzu. Nie mówiąc nic dowódcom, utworzyłem z podległych mi rycerzy grupę pościgową. Asasyni nie mogli nam umknąć. Trzeba było ich złapać, albowiem Niemcy maszerowali od chrześcijańskiej Antiochii drogą wskazaną przez ormiańskich przewodników, wiodącą przez suche, wyżynne tereny, na które zapuszczały się tylko szakale, władcy pustynnego bezkresu.

Od ormiańskich szpiegów dowiedzieliśmy się, że Saladyn zamierza zatrzymać krzyżowców w północnej Syrii i zgromadził tam wojska złożone z najlepszych kurdyjskich żołnierzy. Gdyby asasyni przekazali wiadomości o nas swoim muzułmańskim pobratymcom, bylibyśmy zgubieni. Nie wyobrażałem sobie walki osłabionych rycerzy i giermków z ludźmi, dla których pustynia i górzyste bezdroża Syrii są drugim domem. Chwytałem się jednak myśli, że do takiej masakry chrześcijan jak pod Hittinem nie może dojść po raz drugi.

Kiedy konie wjechały na szczyt podłużnego piaszczystego wzniesienia, stwierdziłem, że asasyni są całkiem niedaleko. W gorącym powietrzu widziałem wyraźnie ich czarne dżibby. Jeden z jeźdźców odwrócił się, zatoczył małe koło i ruszył za towarzyszami. Zapewne chciał ocenić, jak daleko od nich się znajdujemy i czy zdołają nam umknąć. Wiedziałem, że nasze konie są zmęczone i mogą paść podczas pogoni, uznałem jednak, że ta ofiara jest konieczna.

□ □ □

Mahmud al-Fais dobrze poznał swoich wrogów, walcząc przez długie lata przeciwko Królestwu Jerozolimskiemu. Wkraczał właśnie w czterdziesty dziewiąty rok życia i wiedział, że najpiękniejszym zwieńczeniem jego żywota będzie męczeńska śmierć dla Allacha. Jednak nie miał zamiaru umrzeć na pustyni, ścigany jak zwierzę przez znenawidzonych *al-sanabijin*, ludzi czerwonego krzyża.

Miał wrażenie, że zostali zauważeni, ale jego serce nie znało trwogi. Nie chciał rzucić się do ucieczki wcześniej niż to konieczne. Zawrócił wielbłąda i zaczął wpatrywać się w pustynię. Dostrzegł kilkunastu jeźdźców. Poruszali się szybko i nie miał złudzeń, że wielbłądy zdołają umknąć pędzącym galopem koniom. Liczył jednak, iż konie krzyżowców są zmęczone długą drogą. Od chrześcijańskiego Trypolisu dzieliły ich trzy dni drogi, a do obleganej przez innych gaurów Akki kolejne kilka dni. Mahmud al-Fais obawiał się, że krzyżowcy połączą siły. Wiedział, w jak wielkim niebezpieczeństwie mogą znaleźć się muzułmanie.

Niech Allah będzie błogosławiony, że podarował nam Saladyna, pomyślał wojownik. Niech będzie błogosławiony po trzykroć!

Pamiętał, że cztery lata temu, kiedy Saladyn odebrał Jerozolimę niewiernym, sułtan przestrzegał wszystkich muzułmanów, aby nie cieszyli się tak bardzo z triumfu, ponieważ Allah miał znów wystawić swoich wiernych wyznawców na próbę. Mówił o wielkich armiach, jakie w ciągu kilku lat

przybędą z Europy, aby spróbować odbić miasto, w którym prorok Mahomet wstąpił do nieba.

Wierzył, że ta ucieczka, która w istocie była sprytnym manewrem, wciągającym krzyżowców w pułapkę, jest zamysłem Allacha. Wiedział, że musi wycisnąć z wielbłąda wszystkie siły. Kilka mil dalej znajdowali się przecież jego ludzie, najwierniejsi spośród wiernych, asasyni.

□ □ □

Nie było czasu do stracenia. Bezlitośnie bodłem konia ostrogami, na twarzy czułem gorący wiatr. Odwróciłem głowę. Henryk skulił się na koniu i miałem wrażenie, że stanowi z nim jedność. Wiedziałem, że dzięki zdecydowaniu i poświęceniu moich towarzyszy dopadniemy wrogów Boga i krzyża. Nie dadzą wziąć się żywcem, pomyślałem.

□ □ □

Mahmud al-Fais co chwila spoglądał za siebie. Niewierni zbliżali się bardzo szybko. Stwierdził, że ich konie istotnie są zmęczone upałem, tak jak przypuszczał. Widział już odbłyśki słońca na stalowych szyszakach. Zauważył, że część żołnierzy nosi hełmy kryjące twarze. Jego zdaniem ukrywanie twarzy podczas walki było dowodem tchórzostwa. Na samą myśl, że niewierni, wyznawcy trójgłowego Boga, mogą go dogonić na syryjskiej ziemi, budziła się w jego sercu złość.

Musi stoczyć z nimi walkę.

□ □ □

Henryk gnał na przedzie. Gdy nagle zatrzymał wierzchowca, uczyniłem to samo.

Jeden z muzułmanów, najprawdopodobniej dowódca zwiadu, zmierzał w naszą stronę. Najwyraźniej chciał walczyć. Patrzyliśmy na siebie, mierząc swoje siły. Asasynów było trzech, nas trzydziestu. Dopiero teraz zauważyłem, że po drodze dołączyło do nas wielu rycerzy i giermków. Chociaż rozum podpowiadał

mi, że wynik starcia jest przesądzony, pomyślałem, że nasi wrogowie muszą być bardzo odważni.

Nagle na linii horyzontu zamajaczyły postacie na wielbłądach. Zrozumiałem, że muzułmanie wciągnęli nas w pułapkę. Sami, na pustyni, mieliśmy stać się łatwym celem.

Muzułmańscy jeźdźcy, którzy wyłonili się zza falujących w gorącym powietrzu wzgórz, zachodzili nas z boku. Starłem się oszacować ich siły i szybko obmyślić taktykę. Naliczyłem pięć dziesiątek wielbłądów. Miałem w pamięci straty, jakie armia niemiecka poniosła podczas przekraczania rzeki Salef, wiedziałem, że arabscy jeźdźcy świetnie strzelają z łuków podczas jazdy. Mieli też więcej wojowników i większą siłę rażenia. Już chciałem wydać rozkaz, by ruszono do szarży, ale ubiegł mnie Henryk:

- Utwórzcie krąg! - krzyknął.

Niemcy popatrzyli po sobie zdziwieni. W takiej sytuacji widzieli tylko jedną możliwość: ponieść bohaterską śmierć za wiarę, atakując przeważające siły wroga.

Henryk wrzasnął, że jeśli go nie posłuchamy, wszyscy zginiemy i nasze ciała zostaną na pustyni wydane na pastwę drapieżnym ptakom. Niemieccy rycerze spojrzeli na mnie. Jako seniorowi byli mi winni posłuszeństwo. Henryk także. Ale ja nie miałem w sobie tyle siły co mój przyjaciel. Zrozumiałem, że z nas wszystkich on jest najbardziej doświadczonym wojownikiem, ponieważ poznał arabską taktykę prowadzenia bitew w Hiszpanii, gdzie walczył przed laty.

- Róbcie wszystko, co Henryk z Brienne wam powie! - rozkazałem.

Utworzyliśmy krąg. W jednej chwili zrozumiałem, do czego zmierzał Henryk. Krąg wojowników zakutych w kolczugi, najeżony włóczniami był dla muzułmanów dużo trudniejszym celem niż pojedynczy ludzie, wdający się w pojedynki. Zrozumiałem, że Henryk ratuje nam życie.

Mahmud podziękował Allachowi, że jego bracia w wierze, groźni i bezlitośni asasyni, zjawili się w porę. Ten pustynny lis doskonale wiedział, że przewaga liczebna daje mu jedyną szansę unicestwienia krzyżowców. Z tym większym niepokojem obserwował ze wzgórza, co robią niewierni: utworzyli krąg i nie mieli zamiaru atakować. Widząc to, umiłowany siostrzeniec Mahmuda, Osman, rzekł:

- Szlachetny Mahmudzie, czy pozwolisz mi wybrać najlepszych wojowników i zaatakować niewiernych? Czy pozwolisz zatopić nasze ostrza w ich grzesznych i brudnych ciałach? Czy będę mógł przywieźć ci głowę ich wodza na chwałę Allacha i Jego Proroka?

Mahmud popatrzył na siostrzeńca. O, piękna Besmeh, siostrzo moja, jakże musisz być dumna w raj, widząc twego syna, dla którego śmierć nic nie znaczy, pomyślał. Po chwili rzekł do Osmana:

- Nie, Osmanie, nie pozwolę.

Chłopak jęknął, nie wiedząc, że wuj zamierza wypróbować jego charakter. Po śmierci ojca i matki wychowywał go jak syna i Osman winien mu był posłuszeństwo.

Po chwili Mahmud powiedział:

- Nie zaatakujesz ich sam, Osmanie, unicestwimy ich razem.

Osman zsiadł z wielbłąda i skłonił się przed wujem, po czym wyciągnął z pochwy wspaniałą zakrzywioną szablę z damasceńskiej stali, zwanej po arabsku shafra, i krzyknął:

- Allach jest wielki! Nie ma Boga nad Allacha!

- Zabijmy Jego wrogów!!! - zawtórowali mu asasyni.

□ □ □

Widzieliśmy, jak jeźdźcy na wielbłądach się zbliżają. W końcu nas otoczyli.

- Niech nikt z was, bracia, nie rzuca się naprzód! - krzyczał Henryk. - Przeżyjemy tę walkę, jeśli będziemy trzymali się razem. Uszczelnić krąg!

Przysunęliśmy się do siebie - koń obok konia, człowiek obok człowieka - i osłanialiśmy się nawzajem tarczami. Po prawej miałem Henryka, po lewej Baldwina. Modliłem się, żeby Bóg miał go w opiece. Jeśli któryś z nas ma zginąć, to proszę, Boże, spraw, żebym to był ja, błagałem.

Widzieliśmy już twarze naszych wrogów. Świsnęły strzały. Pochyliliśmy włócznie, aby kilka wielbłądów nadziało się na ich ostre groty. Ranne zwierzęta mogą zablokować drogę pozostałym, co ułatwi nam obronę. Czekaliśmy w napięciu na atak, lecz nie mogliśmy odpowiedzieć strzałami. Muzułmanie strzelali celnie i kilku naszych towarzyszy poległo. Strzały nadlatywały ze wszystkich stron, nie mieliśmy gdzie się przed nimi ukryć.

Wiedziałem jednak, że w bezpośrednim starciu możemy mieć przewagę, bo władaliśmy białą bronią lepiej od muzułmanów, dla których walka twarzą w twarz była ostatecznością.

□ □ □

Mahmud al-Fais prowadził wielbłąda szybko, lecz spokojnie. Gorący wiatr smagał go po twarzy, ale pustynnemu wojownikowi na moment przed walką za islam i Proroka podmuch takiego wiatru przypominał pieszczotę pięknej kobiety, zapowiedź raj, do którego miała go zaprowadzić chwalebna śmierć na polu bitwy. Oczywiście Mahmud nie miał zamiaru umierać, jednak świadomość nagrody, jaka czeka na niego po śmierci, dodawała mu sił.

Teraz widział już dokładnie chrześcijańskich wojowników. Był zaskoczony, że nie rzucili się do ucieczki. Przypomniawszy sobie, że w wielkiej bitwie pod Hittinem chrześcijanie również nie stchórzyli. Widać pokładają nadzieję w swym trójgłowym Bogu, pomyślał z irytacją.

- Allah jest wielki! - krzyknął.

Za chwilę moja szabla zaczerwieni się od krwi niewiernych, cieszył się. Allah jest po naszej stronie.

□ □ □

- Bóg jest z nami! - krzyknął Henryk, wyciągając miecz z pochwy.

Kiedy pierwszy szereg muzułmańskich wojowników nas dopadł, skierowaliśmy włócznie wprost na wielbłądy. Ranne zwierzęta, rycząc przeraźliwie, zrzuciły jeźdźców z grzbietów. Zabiłem dwóch, rozłupując im czaszki.

Zwarliśmy szeregi jeszcze bardziej, zacieśniając krąg. Pierwszy atak został odparty, ale zaraz runęła następna fala muzułmanów. Zaczęła się walka wręcz. Jeden z Arabów ruszył na mnie z szablą, lecz odbiłem ją i przebiłem go mieczem. Jego miejsce natychmiast zajął napastnik. Nie było chwili wytchnienia. Asasyni się przeliczyli. Nie tylko wytrzymałszy dwa ich ataki, lecz widząc, że mamy przewagę, sami zaatakowali.

Tarcza uderzała o tarczę, żelazo o żelazo. Gdy któryś z muzułmańskich wojowników tracił tarczę, rzucał się na krzyżowca z szablą. Na swój sposób Arabowie okazali się odważniejsi niż europejscy rycerze, którzy po utracie tarczy zaczęliby się niecierpliwie rozglądać za giermkim, mającym obowiązek nieść zapasową tarczę dla swego pana. Takie zachowanie asasynów sprawiło, że trzecia odsłona pustynnego dramatu była najdłuższa i najkrwawsza, przy czym straty w ludziach po obu stronach były tak samo dotkliwe. Kilku niemieckich rycerzy zaczęło już śpiewać pieśń zwycięstwa, gdy zauważyłem, że nie ma obok mnie mojego syna, który przez cały czas nie odstępował mnie na krok.

Zacząłem się rozglądać i w końcu go zauważyłem. Baldwin stracił konia i odpierał ataki muzułmanina na rumaku, stojąc na ziemi. Dzieliło mnie od niego sto, może sto pięćdziesiąt kroków. Spiąłem konia ostrogami i ruszyłem naprzód. Widziałem, że Baldwin jest bardzo dzielny, celnie i zręcznie paruje uderzenia szabli napastnika. W ostatniej chwili zdołałem złapać wbitą w piach włócznie i przeszyłem nią plecy muzułmanina, rzucając ją z odległości może dziesięciu kroków. Jego koń spłoszył się i zrzucił martwe ciało w piach pustyni.

Asasyni zaczęli uciekać, zostawiając rannych. Zeskoczyłem z konia, podszedłem do mego syna i uściskałem go serdecznie.

- Mało brakowało, ojciec - wyszeptał, spoglądając na Araba przesytego włócznią.

Podszedł do trupa i ukląkł, chcąc przyjrzeć się jego twarzy. Był to młody człowiek, zapewne w wieku mojego syna. Życie za życie, pomyślałem. W odległości trzystu kroków od nas muzułmański jeździec krzyczał przeraźliwie, wznosząc do góry zakrwawioną włócznię.

□ □ □

Bitwa zaczęła się po myśli Mahmuda. Jego ludzie otoczyli krzyżowców i zaatakowali ich, wznosząc pełne nienawiści okrzyki, lecz ku jego zaskoczeniu, chrześcijanie obrali niespotykaną taktykę. Mahmud spodziewał się, że krzyżowcy ruszą im naprzeciw i w ten sposób staną się łatwym celem, tak jak pod Hittinem, gdzie jazda Saladyna wybiła znaczną część armii jerozolimskiej. Tutaj jednak chrześcijanie nie ruszyli się z miejsca i stojąc wojownik przy wojowniku, odpierali ataki żołnierzy Mahmuda.

Muzułmański wódz przypuścił trzy ataki, ale przy trzecim stalowa ściana rycerzy ruszyła, pokonując jego ludzi. Jednak najgorsze miało dopiero nadejść. W szale bitewnym Mahmud stracił z oczu swego umiłowanego siostrzeńca Osmana. Dostrzegł go podczas jednego z najbardziej dramatycznych momentów walki. Osman chciał zabić jakiegoś chrześcijańskiego wojownika, lecz jeden z niewiernych, ubrany w czarną kolczugę, przebił go włócznią, zanim Mahmud zdążył przyjść z pomocą.

Krzyk rozpaczony wydobył się z gardła Mahmuda. Wpatrywał się w ciało siostrzeńca, do którego podeszli zabójcy. Starał się zapamiętać ich ubiór i herby.

- Przysięgam, że nim minie rok, zatopię ostrze w waszych ciałach, wy chrześcijańskie psy - syknął.

Wiedział, że powinien pojechać do swoich ludzi i ruszyć z nimi do Damaszku, by zanieść smutną wieść, że druga armia chrześcijańska połączy się z pierwszą, która od dwóch miesięcy oblega Akkę.

Mahmud i jego ludzie mieli jednak do spełnienia obowiązek. Kiedy chrześcijanie oddalili się, zabierając swoich poległych, Mahmud odnalazł ciało Osmana. Nie chciał, aby zostało rozszarpane przez drapieżne ptaki. Wojownik miał złamane serce, albowiem ostatnia niejaka łączyła go ze zmarłą siostrą, została brutalnie przecięta.

Jadąc do Damaszku, przysiągł na Allacha, że odnajdzie człowieka, który zabił Osmana, i pomści śmierć siostrzeńca.

Rozdział XXI

KRÓL JEST NAGI

Po wielu miesiącach uciążliwej wędrówki wreszcie dotarliśmy do Akki. Nad miastem górowała wielka twierdza, po której murach jeszcze niedawno przechadzali się żołnierze Saladyna. Gdy powiała bryza znad morza, czuliśmy słodkawy smród rozkładających się zwłok muzułmanów, gnijących za murami.

Dopiero w Akce zrozumiałem paradoks krucjat: szal religijny ustępował miejsca gorzkiej zadumie nad tymi, którzy polegli, a okrucieństwo stawało się drugą naturą ludzi, którzy jeszcze do niedawna uważali się za apostołów pokoju.

Patrzyłem na syna, odnajdując w nim siebie, gdy byłem w jego wieku. Przeżywałem na nowo wszystkie te chwile, które decydują o tym, czy życie jest szczęśliwe. Baldwin poznał smak zakazanej miłości i chociaż wiedziałem, że Estera umarła, miałem pewność, że ta miłość nie pozwoli mu być takim rycerzem, jakimi byli inni krzyżowcy - fanatycznym, okrutnym i żądnym sławy i bogactwa. Chciałem, by Baldwin był lepszym rycerzem niż ja, a nade wszystko pragnąłem, aby był lepszym niż ja człowiekiem.



Gdy niemieccy krzyżowcy dotarli do Akki, pewien człowiek dziękował Bogu oraz patronowi swojego szczęśliwego miasta, świętemu Markowi, za ocalenie z niechybnej śmierci. W Akce, spotkawszy swoich pobratymców, Luigi Poggi, nieślubny syn weneckiego doży, znów znalazł się w swoim żywiole.

Udawał kupca, lecz tak naprawdę stał na czele wszystkich weneckich szpiegów działających we wschodnim basenie Morza Śródziemnego.

Wenecjanie pragnęli klęski wyprawy. Nie robili tego z powodu religijnego indyferentyzmu, ale kierowani przekonaniem, że wyprawy krzyżowe, wymierzone w państwo Saladyna, mogą przynieść im same straty. Wenecjanie handlowali ze wszystkimi i handel stanowił o ich potędze. Odkąd przepędzono ich z Konstantynopola, interesy zaczęły iść źle, robili więc wszystko, by przekupić krzyżowców, aby najpierw „ukarali” za zdradę chrześcijaństwa Greków i ich cesarstwo, a dopiero potem, kiedy wzmocnią się na gruzach Bizancjum, zaatakowali Ziemię Świętą, znajdującą się w rękach Saladyna. Wenecjanom został więc tylko Ryszard Lwie Serce, choć miał opinię awanturnika. Ich nadzieje nie były pustymi mrzonkami pozbawionymi politycznych podstaw. Flota angielska po drodze do Palestyny złupiła Sycylię, należącą do Hohenstaufów, a ostatnio, jak niosła wieść, Ryszard Lwie Serce, zdobywszy Cypr, sprzedał go templariuszom. Luigi Poggi szukał wśród krzyżowców człowieka, który byłby na tyle szalony, bezwzględny i żądny przygód, by ruszyć z armią na Bizancjum. Wenecjanin miał tylko jeden problem - nie wiedział, jak znaleźć się blisko angielskiego króla.

□ □ □

Mahmud al-Fais modlił się żarliwie w meczecie Umajjadów w Damaszku. Opłakiwał śmierć Osmana. Cała rodzina Mahmuda pogrążona była w smutku, bo wszyscy kochali zabitego młodzieńca i uważali go za jednego z najzdolniejszych wojowników. O jego śmierci oraz o bitwie na pustyni dowiedział się także władca Damaszku i Egiptu, Saladyn, który w tym czasie przebywał w syryjskiej stolicy. Wezwał on Mahmuda przed swoje oblicze.

Saladyn dbał o swych wojowników i ich rodziny. Jeżeli kogoś spotykała krzywda, często sam dopominał się o sprawiedliwość. Tak stało się w przypadku starego nauczyciela, który podążając z karawaną z Egiptu, wpadł w ręce ludzi Reynalda z Chatillon niedaleko zamku Kerak de Moab, największej

twierdzy krzyżowców w Jordanii. Ludzie Reynalda zabili jego oraz wszystkie towarzyszące mu osoby. Zginęła wówczas Besmeh, siostra Mahmuda. Sułtan nie darował tego wiarołomnym Frankom. Najechał Jerozolimę, w wyniku czego miasto dostało się w ręce muzułmanów, a Reynald z Chatillon został zabity przez samego sułtana.

Saladyn, będąc niegdyś kurdyjskim najemnikiem, wiedział, że kluczem do zwycięstwa islamu nad giałurami jest jedność muzułmańskiego świata. Nie miał jednak na myśli jedności politycznej, a jedność zasad i moralności. Mahmud od wielu lat należał do kręgu zaufanych ludzi Saladyna, razem wyruszali na wojenne wyprawy.



Komnatę w twierdzy Saladyna w Damaszku zalewało światło zachodzącego słońca. Mahmud padł przed sułtanem na twarz.

- Wstań, przyjacielu - rzekł sułtan.

Saladyn od razu spostrzegł, że jego starego druha coś dręczy.

- Z czym przybywasz? - zapytał i wskazał miejsce na poduszkach obok siebie.

- Muszę się zemścić - odpowiedział Mahmud.

- Na kim?

- Na pewnym niewiernym.

- Co złego ci uczynił?

- Zabił mojego umiłowanego siostrzeńca Osmana, syna Besmeh.

Mahmud opowiedział sułtanowi o bitwie na pustyni, ten zaś wyciągnął z pochwy u pasa sztylet z rękojeścią ozdobioną kością słoniową.

- Gdyby Osman został zabity w uczciwej walce, nie mógłbym ci pomóc, ale, jak powiedziałaś, twój siostrzeniec, niech raduje się w raju, został zaatakowany z zaskoczenia. Pozwalam ci zatem na zemstę. Weź to świetne ostrze i unurzaj je we krwi niewiernego, aby twój siostrzeniec zyskał spokój w raju.

- Niech Allah cię błogosławi - wyszeptał wzruszony Mahmud.

- Skoro pragniesz dokonać zemsty, Mahmudzie, podzielę się z tobą wiedzą na temat czekającej nas wielkiej wojny. Niewierni dowiedzieli się o naszym triumfie i szykują przeciw nam wielką armię. Niestety, Akka padła i król niewiernych, zwany przez nich Lwie Serce, jest teraz silniejszy niż ten pies, Gwidon z Lusignan, którego uwolniłem, bo dano za niego okup. Diabeł sprawił, że nasi nieprzyjaciele są chytry. Wiem, że w Akce przebywa człowiek, który chce za wszelką cenę doprowadzić do pokoju między mną i królem Franków.

- Kto to taki?

- To człowiek przebiegły jak szakal, który zasmakowawszy w mięsie młodych antylop, oczekuje na narodziny kolejnego zwierzęcia, aby je pożreć. A ponieważ nie ma niczego podlejszego od chytryści, przeto nazwę tego niewiernego *Al-Dżiz*, bo jak egipski żuk toczy kulkę gnoju, tak on toczy przed sobą podstęp i chytryść. *Al-Dżiz* przywiózł nam listy od władcy pewnego plemienia Franków, doskonałych żeglarzy.

- Na Allacha! - wykrzyknął Mahmud. - To Wenecjanie! Zaiste, podli to ludzie, nawet Ormianie mówią, że są gorsi od wściekłych psów! *Al-Dżiz* musi być zatem Wenecjaninem.

- Listy od niego dowodzą, że armia niewiernych jest podzielona i że panuje w niej nieufność. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie wykorzystali tak sprzyjających okoliczności.

- Co więc zamierzasz uczynić, mój panie?

- Chcę, abyś udał się jako poseł na dwór Franków. Sprawdzisz przy okazji, czy jest prawdą, że armia niewiernych jest tak olbrzymia, jak mówią Ormianie. Porozmawiasz w cztery oczy z królem Lwie Serce, ponieważ chcę wiedzieć, czy to człowiek szlachetny. Jeśli jest prawym wojownikiem, ja również okażę się prawy względem niewiernych. Jeśli natomiast jest człowiekiem złym i wiarołomnym, nie będę miał litości dla jego ludzi.

Po chwili zadumy podniósł wzrok na Mahmuda i dodał:

- Wyślij posłańca z rozkazem, aby czym prędzej z Egiptu wyruszyła armia mameluków. Będę też potrzebował moich braci Kurdów i wszystkich arabskich pułków, jakie zdołamy sformować w Syrii. Musisz zostać w Akce tak długo, bym miał czas na przygotowanie armii.

- A moja zemsta?

- Zemsta jest obowiązkiem każdego muzułmanina, którego spotyka hańba. Płacę nad losem twego siostrzeńca. Przebywając wśród Franków jako mój poseł, będziesz mógł odnaleźć zabójcę Osmana. Ale pamiętaj, Mahmudzie, że zemsty na tym człowieku nie możesz dokonać jako mój poseł, bo zhańbiłbyś mnie i musiałbym cię zabić.

- Zabiję go w walce, jak wojownik wojownika.

- Wiem, że mnie nie zawiedziesz.

□ □ □

Wróciwszy z niewoli u Saladyna, król jerozolimski Gwidon z Lusignan postanowił za pożyczone od Wenecjan pieniądze wyprawić wielką ucztę. Zaprosił na nią wielu rycerzy, a ja znalazłem się wśród nich.

Nawet uczta u Barbarossy, wydana przed rozpoczęciem krucjaty, nie była w połowie tak wspaniała jak ta. Stoły zastawiono mięsiwem i ciastami oraz winami, jakie tylko można było sobie wymarzyć. Były wina greckie, cierpkie wina trackie, łagodne cypryjskie i gęste, aromatyczne wina z Syrii. Stwierdziliśmy z Henrykiem i moim synem, że Gwidon przypomina nam błędnego rycerza, ale osobliwy błysk fanatyzmu w oczach sprawiał, że nie mógłbym go polubić. Przez jedną krótką chwilę zobaczyłem oczy Jakuba z Rainecourt - na moment powróciła bolesna przeszłość.

Baldwin szybko znalazł wspólny język z młodymi normandzkimi szlachcicami, bo tak jak oni mówił tylko po francusku. Między szlachetnie urodzonymi pannami - zarówno tymi przybyłymi z Europy, jak i tymi urodzonymi na Bliskim Wschodzie, chociaż z języka i przyzwyczajień mogły uważać się za Europejki - a ucztującymi mężczyznami nawiązywały się dziwne

więzi. Czasami muśnięcie palcem dłoni mężczyzny było dowodem uczuć. Na Bliskim Wschodzie kobietę i mężczyznę oddzielał tylko blask świecy.

Miała na imię Tamara. Była córką Ormianki i jednego z rycerzy z dworu hrabiego Trypolisu. Chyba po matce odziedziczyła uroczy uśmiech i długie, gęste, czarne włosy, które mnie oczarowały. Nalała mi słodkiego wina i powiedziała, że jestem przystojniejszy od jej męża, odrażającego grubasa. Czym prędzej udaliśmy się do komnaty, gdzie próbowaliśmy po ciemku nauczyć się na pamięć naszych ciał. Chciałem tego, tak samo jak ona, i nie czuję wyrzutów sumienia. Lęk przed śmiercią sprawiał, że pragnąłem żyć pełnią życia.

□ □ □

W dzień Rozesłania Apostołów, 1191 rok

Z twierdzy Akka, z bożej łaski wciąż należącej do Chrystusa. Luigi Poggi, rezydent najjaśniejszej Republiki Weneckiej do doży Enrica Dandola słów kilka.

Najczcigodniejszy Panie!

Całuję ręce Waszej Miłości, mając na względzie, że Twoja łaska zawsze będzie towarzyszyć mnie, wiernemu słudze. Jestem teraz, mój Panie, w niezwykle trudnym położeniu, lecz mając nadzieję na powiększenie wielkiej chwały naszej republiki, wypełniłem Twoje rozkazy i oczekuję wieści od władcy muzułmanów. Grecy i Ormianie mówią mi, że Saladyn jest najprzebieglejszym z ludzi. Odzyskał Jerozolimę, więc pośród swoich wyznawców może uchodzić za człowieka, który wypełnił już swoje obowiązki. W oczach wszystkich Arabów jest bohaterem i zapewne takim pozostanie przez resztę swego żywota, a i po śmierci. Cóż z tego, że gardzimy Arabami, skoro potrzebujemy ich pomocy? Jak rzekłeś, Najdostojniejszy Panie, przed moim wyjazdem na Wschód, nie musimy myśleć o religii. Religia jest dla prostaków. A ja, tak jak ty, gardzę prostakami. Musimy myśleć za nich i dla nich. To my dbamy zatem o potęgę naszej republiki.

Saladyn zgodził się przyjąć nasze poselstwo. Wie, że ta wojna nadwyreży jego siły, ale do nowej wojny nie jest przygotowany. A poza tym nie ma nic przeciwko temu, żeby krzyżowcy, zbierający się już od dwóch lat na syryjskim

wybrzeżu, odpłynęli do Konstantynopola. Wiem, że będzie przestrzegał religijnego rozejmu i że wpuści chrześcijan do Jerozolimy. Gdyby tylko o to chodziło w tej świętej i niepotrzebnej wojnie, papież mógłby zawrzeć pokój z Saladyńem już teraz. Ale obydwaj wiemy, że to niemożliwe. W wojnie tej religia jest tylko zarzewiem, szaleńczą uludą, za którą znów zginą setki ludzi.

Potrzebujemy pokoju, żeby uderzyć w Bizancjum. To zdemoralizowane państwo dojrzało do upadku. Uczynię wszystko, żeby poseł Saladyńa, który wkrótce ma przybyć do Akki zajętej przez krzyżowców, został wysłuchany przez angielskiego króla. Ryszard Lwie Serce jest wielką niewiadomą. Czy to człowiek pragmatyczny, czy też dotknięty religijnym szaleństwem, tego nie wiem. Ale mam nadzieję, że już wkrótce się dowiem, a wraz ze mną dowiesz się tego i Ty.

Całuję pokornie stopy Waszej Miłości.

□ □ □

Do Akki wraz Gwidonem przybyło również wielu karierowiczów i dawnych wielmożów upadłego królestwa. My, ludzie z Europy, słyszeliśmy tylko o wyszukanych rozrywkach, jakim oddają się rdzenni mieszkańcy Outremeru. Dla większości z nas, wychowanych w trudzie codziennej walki o przetrwanie, upajające zmysłowością kobiety, śpiewy, muzyka były czarowne. Czuliśmy się gorsi. Nienawidziliśmy tych chrześcijan, żyjących lepiej i piękniej od nas. Dla większości moich ludzi, z którymi wyruszyłem z Niemiec, Syria była przedsiönkiem rajy. Moi rycerze byli biedni. Dla wielu z nich krucjata stanowiła jedyną szansę na odmianę losu, bo dotychczas znali tylko życie trzeciego lub czwartego syna, czekającego w kolejce na resztki majątku ojca.

Mijaliśmy właśnie pałac jakiegoś wielmoży, rześciście oświetlony pochodniami, gdy z jego wnętrza, gdzie zapewne trwała wesoła uczta, dobiegły nas wrzaski, przekleństwa i brzęk rozbijanego szkła. Słudzy wyrzucili właśnie na ulicę jakiegoś grubasa.

- Nie wiecie, kim jestem, psy! - wrzasnął po francusku. Wstał i ruszył z powrotem do drzwi, zatrzymało go jednak

dwóch tęgich osiłków o ciemnych twarzach i zmierzwionych włosach. Grubas zmagał się z nimi przez chwilę, rozdając kuksańce, jednak pokonało go wypite wino. Mężczyźni odepchnęli grubasa z taką siłą, że upadł na plecy. Wymieniliśmy z Henrykiem porozumiewawcze spojrzenia. Pamiętaliśmy, jak przed wieloma laty we Flandrii potraktowano nas podobnie, wyrzucając z gospody na śnieg i mróz. Uznaliśmy, że nie godzi się, aby krzyżowiec, choćby w stanie grzesznego upojenia winem, leżał na drodze, na której konie zostawiają cuchnące łajno.

Jego twarz oświetlił blask pochodni, a także księżyc w pełni. Leżał bez zmysłów. Mógł mieć ze trzydzieści lat. Miał krótkie, szczeciniaste włosy i gęstą, jasną brodę, lico okrągłe i obwisły podbródek. Wydawało mi się, że już gdzieś go widziałem...

- To musi być ktoś ważny. Na pewno jest rycerzem - szepnął Henryk. - Popatrz na ten kaftan z jagnięcej skóry, godny najlepszego rymarza w Yorkshire. Zwróć także uwagę na złoty sygnet. Złoto pierścienia połyskiwało trupio bladym, odbitym światłem księżyca.

- Kimkolwiek jest ten miłośnik syryjskiego wina, nie możemy go tutaj zostawić - orzekłem.

Próbowaliśmy go podnieść, ale grubas był bardzo ciężki. Zalaływało od niego wszystkimi trunkami świata.

- Co za dureń! - wysapał Henryk. - Nie dość, że napytał sobie biedy, teraz i my mamy przez niego kłopot.

Powlekliśmy go za ręce na plażę, a gdy fala obmyła jego głowę, jęknął:

- *Mon Dieu!* Moja głowa!

- Oczywiście, przyjacielu, że boli cię głowa! - zaśmiał się Henryk. - Wypiłeś dzisiejszego wieczoru tyle wina, ile ja w ciągu całego mojego życia. Miałeś zresztą szczęście, że ci, którzy wyrzucili cię na zbity pysk, nie dołożyli ci jeszcze kilkudziesięciu kijów, ty opoju. Wówczas bolałaby cię nie tylko głowa, ale i tyłek, na którym teraz siedzisz.

Grubas skwitował uwagę Henryka głośnym beknięciem.

- Kimkolwiek jesteście, dziękuję wam - wybełkotał.

- Nie ma za co, dobry człowieku - odpowiedziałem rozbawiony.

- Potrzebuję kąpieli - oznajmił, z trudem dźwigając się na nogi.

W jego wyglądzie było coś, co nie dawało mi spokoju. Człowiek ten nie był szaleńcem, ale zachowywał się tak, jakby wszystko mu było wolno. Gdy zdjął koszulę, ujrzeliśmy jego duży brzuch, ale i krzepkie bicepsy. Był otyły, a mimo to silny jak tur z lasów Szwarzwaldu.

Nieznajomy, nagi do pasa, ruszył w stronę morza. Pomyśleliśmy z Henrykiem, że jest tak pijany, iż niechybnie się utopi, i już mieliśmy pędzić, by wyciągnąć go z wody, ale machnął na nas ręką, jakby odganiał natrętne muchy. Po kilku minutach pluskania się, któremu towarzyszyło parskanie i stękanie, wyszedł na brzeg i zaczął się ubierać. Henryk szepnął, że być może to kolejny awanturnik, taki jak Reynald z Chatillon.

Myśląc o nieżyjącym księciu Zajordanii, który sprowokował ostatnią wojnę z Saladynem, miałem przeświadczenie, że właśnie przez takich ludzi wypaczeniu uległa nie tylko idea wypraw krzyżowych, ale i sama wiara chrześcijańska.

- Lepiej się czujesz? - zapytałem.

- Zdecydowanie tak - odparł nieznajomy.

- Dziękujmy opatrności, że kąpiel w morzu sprawiła, iż nieco otrzeźwiałeś - dodał Henryk.

- Nic mi nie będzie. Dziękuję za troskę.

Gdy skończył się ubierać, powiedział, że na Sycylii przeżył niedawno podobną przygodę. Dodał, że klimat na południu jest znacznie łaskawszy dla jego członków i z powodu przemoczenia na pewno nie zachoruje. Mówił po francusku jak Norman z Anglii. To powinno dać nam do myślenia, ale Bóg sprawił, że nasze oczy pozostały zamknięte, choć widziały, i nasze uszy pozostały głuche, choć słyszały.

Wtem rozległ się tętent końskich kopyt. Pomyśleliśmy, że to nocny patrol. Byliby nas nie zauważyli, lecz rycerz jadący jako pierwszy, najpewniej dowódca, usłyszał naszego nieznanego, który rzucił w stronę żołnierzy wiązaną przekleństw i huknął:

- Co jest, do stu diabłów?! Nie poznajecie mnie, hultaje?

Dowódca podjechał bliżej i zsiadł z konia, chcąc sprawdzić, kim jest ten człowiek i co robi w mieście w nocy, łamiąc zakaz angielskiego króla, który zabraniał włóczęgostwa. Nie zdążył jednak zadać żadnego pytania, bo nieznanomy ryknął:

- To ja!!!

Wówczas stało się coś niezwykłego. Młody rycerz ściągnął szyszak i uklęknął na jedno kolano.

- Proszę pokornie o wybaczenie. Jest noc, dlatego nie rozpoznałem... Poza tym nie spodziewałem się, że Wasza Królewska Mość tu będzie... - wyjąkał rycerz.

- Milcz, hrabio Gloucester - rzekł nieznanomy. - Możesz widywać swojego króla codziennie, nawet pijanego, ale nigdy nie możesz mówić do nas tak, jakbyśmy nie byli twoim władcą.

Wymieniliśmy z Henrykiem zdumione spojrzenia. Nieznanomy nazwał młodzieńca hrabią Gloucester, a przecież jedynym człowiekiem, który mógłby rościć pretensje do tego tytułu, byłem ja. Kim więc jest ów młodzik? Na samą myśl, że może to być człowiek, który odebrał moje lenno i moją ziemię, zawrzał we mnie gniew.

- Kim jest wasz pan? - zapytał grubas.

- Ja nie mam pana - odparłem, patrząc mu prosto w oczy. Odczekał chwilę, po czym wymierzył mi cios pięścią w twarz.

Runąłem na ziemię, lecz kątem oka zobaczyłem, że Henryk sięga po miecz.

- Henryku, nie rób tego! - krzyknąłem. Podniosłem się z ziemi i ukląknąłem tak samo jak młody rycerz. Henryk poszedł w moje ślady.

- Pokornie prosimy o wybaczenie. Nie wiedzieliśmy...

- Macie milczeć w naszej obecności! Czy wiesz, człowieku, za co udzieliliśmy ci lekcji pokory?

- Nie, nie wiem.

- Za ton. Powiedziałeś, że nie masz pana. Cóż to znaczy? W Akce wszyscy mają pana i jestem nim ja!

Ale Henryk także wypił chyba do wieczery zbyt dużo wina, bo zapytał:

- Kim jesteś, panie? Nie zwykłem klękać przed ludźmi, których godności nie znam.

Zapadło niezręczne milczenie. Myślałem, że grubas i Henrykowi udzieli lekcji pokory, ale tego nie zrobił.

- Ryszard Lwie Serce, oto moje imię - padła odpowiedź. Powiedziawszy te słowa, król podał nam do ucałowania królewski sygnet, wybacząc nam bezczelność i mimowolną obrazę majestatu.

- Wstańcie i mówcie, do kroćset, kim jesteście!

Gdy się przedstawiłem, młody dowódca królewskiej jazdy spojrzał na mnie, jakby zobaczył ducha.

Rozdział XXII

POSEŁ

Karawana liczyła dwadzieścia siedem wielbłądów. Niosły one podarunki od Saladyna, sułtana Egiptu i emira Damaszku, dla króla Anglii, Ryszarda Lwie Serce. Mahmud al-Fais wybrał najlepszych pustynnych wojowników, aby stanowili ochronę. Duszę Mahmuda zżerał jad nienawiści. Ilekroć wspominał zabitego siostrzeńca, tylekroć przysięgał sobie, że krwawo pomści jego śmierć. Przed wyjazdem do Akki przybył posłaniec Saladyna, który powtórzył jego słowa:

- Zastanów się, miły bracie, czy zemsta ukoi twą duszę? Skoro twój siostrzeniec, oby znalazł radość w raju, zakończył życie tak, jak przystało na wielkiego wojownika islamu, co znaczy twoja chęć zemsty wobec woli Najwyższego? Ja nie mogę ci nakazać, abyś zemsty zaniechał. Ale ty musisz sam sobie odpowiedzieć na pytanie, czy zemsta, która nie zwróci życia siostrzeńcowi, nie przyniesie jeszcze więcej łez.

Pan Damaszku, pogromca krzyżowców, zabronił swoim wojskom mścić się w Jerozolimie. Zabronił również prześladowania chrześcijan, do czego nawoływało wielu radykalnych imamów. Najwyraźniej dżihad oznaczał dla Saladyna samodoskonalenie się i walkę z grzechem. Taka interpretacja wydawała się jednak Mahmudowi krucha niczym wyschnięta trawa, którą można zdeptać. Uważał, że za świętym Koranem powinien stać miecz ścinający głowy wszystkim bluźniercom, w tym żydom i chrześcijanom. Poprzysiągł sobie, że dokona zemsty nawet wbrew nakazowi sultana. Chodziło przecież o jego honor. A honor jest cenniejszy od życia. Zdecydował, że poszuka w Akce mordercy swego siostrzeńca i ukarze go tak, jak podpowie mu Allah. Mahmud nie zdawał sobie sprawy, że łamiąc nakazy władcy i pokrętnie interpretując Koran, nie kroczy już ścieżką sprawiedliwego człowieka, ale zaczyna podążać drogą prowadzącą ku samotności, nienawiści i pustce.

□ □ □

Król Ryszard stwierdził, że skoro go uratowaliśmy, nic się nie stanie, jeśli uratujemy go po raz drugi - zaprowadziliśmy go więc do naszych komnat, by wypoczął. Morska woda otrzeźwiła go tylko na chwilę, ale ilość wina, jaką wypił, niejednego człowieka zwałaby z nóg. Ryszard spał więc w moim łóżu przez dziesięć godzin. Kiedy się obudził, zażądał jajecznicy z dwudziestu jaj i antałka piwa. Niestety, piwo nie było w Syrii znane.

- Ileż ja poświęciłem dla tej krucjaty! - westchnął na tę wiadomość.

Gdy się posilił, zwrócił się do mnie:

- A więc to ty jesteś tym czarnym rycerzem, o którym Niemcy mówią, że podczas turnieju w Trewirze pokonał kilku najlepszych niemieckich rycerzy?

- Tak, Wasza Królewska Mość, to ja.

Król rzucił mi długie, nieufne spojrzenie. Poczuję się nieswojo.

- Panie, skoro wiesz już o zwycięstwie mego przyjaciela, który jako czarny rycerz pokonał wszystkich niemieckich rycerzy - wtrącił się na szczęście Henryk - nie możesz, Wasza Wysokość, nie wiedzieć, że cesarz Barbarossa był pod tak wielkim wrażeniem jego triumfu, że poprosił, aby udał się z nim na krucjatę.

- Barbarossa stoi teraz przed Bogiem - przypomniał król Ryszard. - Prowadziłem z nim spory, ale o umarłych powinniśmy mówić dobrze albo wcale. Imponujesz mi, Gotfrydzie. Czy zatem pomożesz mi odzyskać Jerozolimę? Czy dołączysz do mojej armii, którą gromadzę przeciwko Saladynowi?

- To będzie dla mnie zaszczyt, Wasza Królewska Mość. Skłoniłem się nisko, a Ryszard Lwie Serce podał mi do pocałowania swój królewski pierścień.

□ □ □

Gdy w Akce rozeszła się wieść, że przybył poseł Saracenów, zaczęły się spekulacje, cóż to może oznaczać. Wszyscy krzyżowcy zdawali się rozumieć, że przysłanie posła jest w istocie próbą zyskania na czasie, bo Saladyn zbiera armię i tak jak chrześcijanie przygotowuje się do wojny. Wszyscy byli ciekawi, kto też tym posłem jest. Gdy ludzie ujrzeli muzułmańskiego wojownika odzianego w czerń, w turbanie na głowie i z bujną brodą, wielu stwierdziło, że to sam diabeł. Wierzono, że sześćset sześćdziesiąt sześć wersetów Koranu to wersety diabelskie. Europejczycy powoli popadali w manię zacieklego tropienia domniemych i urojonych przejawów działania złego.

Strój i wygląd posła Saladyna wydał się chrześcijanom podejrzany. Nie wiedzieli, że dla wyznawców islamu kolor czarny to kolor Proroka, symbolizujący oddanie, prawość uczynków i gotowość do walki w jego imieniu.

Z drugiej strony, wielu muzułmanów miało fałszywe wyobrażenie o chrześcijanach, którzy ich zdaniem oddają cześć trzem bogom, a nie jednemu w trzech osobach. Odmienne pojmowanie Boga przez chrześcijan i muzułmanów sprawiło, że nie można było tych wyznań pogodzić. Poza tym z każdym dniem po obu stronach narastały uprzedzenia i wzajemne pretensje. Obie strony uważały, że posiadły prawdę jedyną, świętą i doskonałą.

Na przybycie muzułmańskiego posła niecierpliwie czekał Luigi Poggi. Od jego przyjazdu zależała bowiem przyszłość jego misji. Wenecjanin zapragnął spotkać się z nim, zanim król Ryszard Lwie Serce udzieli mu audiencji. I dlatego napisał list po arabsku. Władał tym językiem, ponieważ jako szpieg doży na Bliskim Wschodzie musiał rozmawiać z ludźmi, którzy nie znali łaciny.

W Imię Jedyne i Wiekuistego Boga, szesnastego dnia szóstego miesiąca 569 roku od ucieczki Proroka, poseł władcy miasta Wenecja do posła Saladyna, emira Damaszku, śle słowa pokoju.

Niech będzie pochwalone Imię Przedwiecznego i Wiekuistego Boga, oby błogosławił Tobie i Twoim dzieciom.

Skoro przybyłeś do Akkonu, który teraz znajduje się w rękach chrześcijan, rozważ me słowa i bądź łaskaw przekazać Twemu panu propozycję mojego pana.

Wenecja proponuje układ między chrześcijańskimi wojskami i emirem Damaszku i gotowa jest wypłacić obydwu stronom sto tysięcy dinarów w złocie, byle tylko dwie strony gotujące się do wojny o Jerozolimę doszły do porozumienia i pokonały stokroć bardziej podstępного wroga, złego i rozpustnego cesarza Bizancjum, który drwi sobie ze wszystkich sprawiedliwych na tym świecie, okrada ich i nie pozwala osiągać uczciwych zysków, które byłyby prawdziwym skarbem dla wszystkich ludzi.

Pan mój oczekuje odpowiedzi na list i prosi, aby emir Damaszku zechciał skierować do niego swoje mądre słowa.

Z każdym dniem jad nienawiści wżerał się coraz głębiej w duszę Mahmuda. Tamtego smutnego dnia na pustyni myślał, że Allah pobłogosławi zamiarowi stoczenia bitwy ze ścigającymi ich chrześcijanami. Stało się inaczej. Osman zginął. Mahmud cierpiał, bo obydwie żony urodziły mu tylko córki. Dla muzułmanina nie ma niczego cenniejszego niż syn, dlatego Mahmud przelał na siostrzeńca wszystkie ojcowskie uczucia.

Przeczytawszy list od Wenecjanina, dostrzegł dla siebie szansę. Wprawdzie Saladyn zabronił mu dokonać zemsty podczas wykonywania obowiązków posła, ale Mahmud uznał, że przecież jego pan wcale nie musi się o tym dowiedzieć. Jego ludzie go nie zdradzą. Postanowił, że zaprosi *Al-Dżiza* do willi, którą król Lwie Serce przeznaczył na jego kwatere, i pod pozorem zainteresowania jego polityczną propozycją dowie się, kim jest znienawidzony czarny rycerz, morderca Osmana.



Nad Akką zapadał zmierzch. Od morza wiał chłodny, ale przyjemny wiatr. W powietrzu unosiły się portowe zapachy: soli, ryb i rozkładających się resztek jedzenia. Jednak w komnatach zajmowanych przez muzułmańskiego posła i jego ludzi pachniało olejkiem różanym, którym Mahmud kazał umyć podłogę, ściany oraz wszystkie sprzęty, których dotykali chrześcijanie.

Wenecjanin przybył o umówionej porze. Był ubrany w ciemnofioletową szatę z atlasu, a na jego piersi skrzył się złoty łańcuch. Jest bogaty, pomyślał Mahmud, witając go odpowiednim cytatem z Koranu. Sam ubrał się w czarną, długą, jedwabną szatę, a czarny turban przyozdobił szafirem oprawionym w złoto, ponieważ chciał wyrzucić na niewiernym wrażenie, i osiągnął cel - Wenecjanin popatrzył chciwie na szafir zdobiący turban Mahmuda. Z wdzięcznością przyjął także bogate dary, w tym olejek z opium i róży. Odwdzieczył się prezentem, którego Mahmud nie spodziewał się ujrzyć w rękach niewiernego - Wenecjanin przyniósł mu bowiem zwój Koranu oprawiony w kość słoniową i złoto. Gość wyjaśnił, że kupił ów drogocenny

egzemplarz na rynku w Tunisie. Serce Mahmuda uradowało się na widok świętej księgi Proroka, a zarazem zrodziła się w nim jeszcze większa złość na chrześcijan. Jak śmieli kupczyć słowami podyktowanymi ongiś Prorokowi? Wiedział jednak, że musi znieść tę potwarz z uśmiechem.

Mahmud zaprosił Wenecjanina, aby zajął miejsce na poduszkach. Kazał podać gościowi miskę z wodą i ręcznik, aby ten umył twarz i ręce, co Luigi Poggi skwapliwie uczynił. Zjedli następnie daktyle, świeże figi, pieczone jagnię i wypili wodę z olejkiem miętowym. Mahmud nie mógł wyjść z podziwu, jak biegle Wenecjanin mówi po arabsku.

- Czy przekażesz propozycję mojemu władcy twojemu władcy?

- Uczynię to, choć jest ona dla mnie tak zaskakująca jak śnieg na pustyni - odparł muzułmanin. - Dlaczego twojemu władcy tak bardzo zależy na pokoju między ludźmi krzyża a moim sułtanem? Przecież jesteśmy wrogami, choćby z powodu wiary, jaką wyznajemy.

- Mój władca - odpowiedział Wenecjanin - postrzega problem wiary w nieco innym świetle, niż czyni to większość krzyżowców. Wiara nie może stać na przeszkodzie rozsądnym ludziom, którzy powinni dbać o to, aby mieć jak najmniej wrogów i na wszelkie możliwe pokojowe sposoby pomnażać swe dobra. Mniemam, że takim władcą jest twój sułtan, bo takim człowiekiem jest na pewno doża Wenecji.

Mahmud, słysząc słowa Wenecjanina, zrozumiał, że sułtan mówił prawdę: Wenecjanie działają na szkodę chrześcijan. Mahmud gardził chrześcijanami i nie zależało mu na pokoju. Wiedział przecież, że przelaną krew najlepiej zmyć krwią. Dlatego postanowił pokierować rozmową tak, aby wyciągnąć z niej jak najwięcej korzyści.

- Zaiste, mądrze rzekłeś - przyznał. - Mój pan niczego innego nie pragnie, jak tylko pokoju. Musisz jednak wiedzieć, że zwrot Jerozolimy nie wchodzi w rachubę. Mogę ci tylko przekazać obietnicę sułtana, że zagwarantuje on

swobodny dostęp do miasta wszystkim chrześcijanom. Wiemy, że jest dla was święte.

Luigi Poggi był zadowolony z odpowiedzi Mahmuda. Muzułmanin widział to na jego obliczu. Niczego bowiem tak dobrze Mahmud nie nauczył się w życiu, jak czytać z ludzkich twarzy. Instynktownie potrafił wyczuć człowieka nieuczciwego, podstępного i zdraдлиwego. A takim był Poggi.

- Jestem przekonany, że trwały pokój zagości między chrześcijanami i muzułmanami. Skoro wołają twego pana jest zawrzeć pokój, jego pragnienie ma szansę się ziścić, gdyż Wenecja uczyni wszystko, aby nie doszło do wojny między sultaniem i królem Ryszardem Lwie Serce - zapewnił Luigi Poggi.

Ten człowiek jest albo szalony, albo zupełnie nieświadomy powagi sytuacji, pomyślał Mahmud. Ryszard Lwie Serce, zdobywając Akkę, zabił wszystkich muzułmanów, a przecież, gdy padła Jerozolima, Saladyn nikogo na śmierć nie skazał. Mahmud nie był głupi i doskonale wiedział, że pragnienie pokoju ma inną przyczynę. Domyślał się, że Wenecjanie pragną osłabić Bizancjum. Nie mógł jednak pojąć dlaczego.

- Dlaczego tak wam zależy na upokorzeniu greckiego władcy? - zapytał.

- Cóż... Bizancjum jest słabe, rozdierane wewnętrznymi sporami. Pragniemy wzmocnić to państwo.

Mahmud zrozumiał, że Wenecjanie chcą zniszczyć Bizancjum rękami krzyżowców, ale uznał, że walki między chrześcijanami mogłyby odciążać nadwątlone przez sześć lat bezustannej wojny siły Saladyna i doprowadzić do wewnętrznej konsolidacji jego monarchii. Skoro Wenecjanie sami wkładają sultanowi argument do ręki, byłby głupcem, gdyby go odrzucił.

Długo rozmawiali o polityce i religii. Gdy po kilku godzinach ucztowania na dobre rozwiązały im się języki, Mahmud zaczął pytać o imiona rycerzy i możnych, którzy przybyli do Akki. W pewnym momencie zapytał o czarnego rycerza.

- Dlaczego on cię interesuje? - zdziwił się Poggi.

- Spotkaliśmy się w walce, w drodze do Syrii. Pokonał mnie i okazał się znakomitym wojownikiem. Pragnę poznać jego imię, albowiem chcę wiedzieć, z kim przegrałem.

Widząc wahanie na twarzy Wenecjanina, Mahmud dodał cicho:

- To sprawa honoru. Wśród muzułmanów pojawiła się plotka, że stchórzyłem. Wiesz, jacy ludzie potrafią być nieżyczliwi, widząc czyjąś sławę. Rozgłoszę więc, że pokonał mnie ów rycerz, i wtedy plotki ucichną.

- To rzeczywiście świetny rycerz. Nazywa się Gotfryd z Melville.

Mahmud obdarował Wenecjanina drogocennym pierścieniem. Nie powiedział mu, że ów pierścień odciął wraz z palcem od dłoni jakiegoś chrześcijanina pod Hittinem. Około północy mężczyźni się pożegnali. Ustalili, że bez względu na wynik rozmów Mahmuda z królem będą wymieniali listy.

□ □ □

Jednak Mahmud i Poggi nie wiedzieli, że ich rozmowę podsłuchiwał karzeł, który skrył się na tarasie pałacu. Był to nadzwyczaj zdolny szpieg, Arab, tak jak Mahmud, ale chrześcijanin, jak wielu Arabów urodzonych na Sycylii. Nosił imię Latif. Parał się alchemią i miał rozległą wiedzę, znał arabski, łacinę i grekę.

Kiedy zobaczył, że poseł Saladyna żegna się z Wenecjaninem, zniknął bezszelestnie. Całą rozmowę miał zamiar powtórzyć człowiekowi, który kazał mu śledzić Wenecjanina.

Tym człowiekiem był król Ryszard Lwie Serce.

□ □ □

Kiedy król Anglii dowiedział się od swego wszechwiedzącego karła o przybyciu posła Saladyna, instynkt wojownika podpowiedział mu, że muzułmański władca zechce negocjować, dlatego był niezmiernie ciekaw, co muzułmanin będzie miał mu do powiedzenia. Skoro chcesz pokoju, szykuj się do wojny - ta stara maksyma przyświecała poczynaniom króla. Nie chciał, aby muzułmański poseł powtórzył Saladynowi po powrocie, jakimi chrześcijanie

rozporządzają siłami, toteż kazał wyprowadzić z miasta wszystkich rycerzy, ich giermków i żołnierzy. Zdawał sobie sprawę, że zaskoczenie może być decydujące. Szykował plan kampanii. Słyszając o wyczynie niemieckich krzyżowców, którzy w piaskach północnej Syrii zdołali pokonać asasynów, Ryszard postanowił skorzystać z tego cennego doświadczenia. Szykował więc Saladynowi niespodziankę.

Król jadł właśnie śniadanie, kiedy w jego komnacie zameldował się Latif i opowiedział o wszystkim, co usłyszał w nocy. Ryszard wiedział, że Wenecjanie będą chcieli wciągnąć go w wojnę z Bizancjum.

- Robert z Melville pragnie złożyć ci wizytę - zakończył karzeł. - Powiedziałem, że Wasza Królewska Mość jeszcze śpi.

- Nigdy nie kłam, Latifie, nie lubię tego - rzekł król, wstając.

Włożył czystą koszulę i skórzany kaftan. Lwie Serce na co dzień niczym nie różnił się od zwykłego rycerza. Czuł się żołnierzem i gardził modnymi pięknisiami.

- Teraz poproś tego chłopaka.

- Jak Wasza Wysokość sobie życzy. - Latif skłonił się nisko. - Czy masz dla mnie jakieś polecenia?

- Tak. Powiedz kapelanowi, żeby przygotował się do mszy w kaplicy. Zejdę tam, kiedy skończę rozmawiać z Robertem.

Latif wyszedł. Po chwili w komnacie pojawił się Robert z Melville. Na jego przystojnej twarzy malował się smutek.

- Co się stało? - zapytał król.

- Mam poważny kłopot - wyznał młody człowiek.

- Brakuje ci pieniędzy? Wiesz, że nie płacę długów moich rycerzy...

- Nie obrażaj mnie, Najjaśniejszy Panie. Przyszedłem po radę, ponieważ nie wiem, co uczynić. Kilka dni temu spotkałem cię, Wasza Wysokość, w porcie, w towarzystwie dwóch rycerzy. Myślałem początkowo, że cię napadli...

Widząc zakłopotanie króla, hrabia Gloucester powiedział wprost:

- Sądzę, że jeden z tych rycerzy jest moim bratem. Młodzieniec opowiedział królowi historię swego rodu. Nie

wspomniął jednak o przyczynach zniknięcia starszego brata, wyraził tylko domysł ojca, że Gotfryd pojechał na krucjatę, nie mogąc znieść tego, że ojciec ożenił się po raz drugi.

Ryszard stwierdził, że jeśli Gotfryd jest rzeczywiście starszym synem hrabiego Hugona, bracia będą musieli rozstrzygnąć, kto ma prawo do tytułu hrabiego. Wyraził jednak obawę, że to może być trudne, gdyż on, jako najwyższy senior, nie może arbitralnie podzielić hrabstwa. Nadmienił także, że Gotfryd ma chyba syna w wieku Roberta i zapewne to on będzie dziedziczył po nim tytuł i majątek.

- A jaka była wola twego zmarłego ojca?

- Ojciec chciał, abym odnalazł brata.

Ryszard Lwie Serce wstał i zaczął nerwowo przechadzać się po komnacie.

- Nie wiem, co powinienesz zrobić. To trudne położenie. - Król się zasepił.

- Uważam, że powinienesz z bratem porozmawiać.

- Nie wiem, czy on zechce ze mną rozmawiać. Uciekł z mojego powodu na Bliski Wschód.

- Przecież ty nic nie zrobiłeś. Nie może winić cię za to, że się urodziłeś. To byłoby dziecinne i niehonorowe.

- Wiem, ale mimo to boję się. Chciałem prosić cię, Wasza Wysokość, abyś nie zdradził mu mojego imienia, dopóki nie uznam, że jestem na to gotowy. Po prostu nie wiem, jak powinienem postąpić.

Ryszard popatrzył na chłopaka ze współczuciem. Król przywiązywał się do ludzi. Nie zapomniał, że siedem miesięcy temu, podczas awantury na Sycylii, Robert uratował mu życie.

Król postanowił opowiedzieć Robertowi o tym, czego dowiedział się od Latifa - że poseł Saladyna, Mahmud al-Fais, wypytywał o Gotfryda. Poprosił, by Robert przy najbliższej okazji ostrzegł brata.

□ □ □

Nadszedł dzień audiencji. Muzułmańskiego posła Ryszard Lwie Serce postanowił przyjąć w dużym refektarzu w twierdzy. Zebrali się tam wszyscy znakomici rycerze, dwaj pretendenci do tronu jerozolimskiego - Konrad z Montferratu i Gwidon z Lusignan - oraz wielu krzyżowców, pragnących na własne oczy zobaczyć człowieka, którego Saladyn wysłał do króla Anglii.

Muzułmanin kroczył dumnie i rozglądał się, próbując wypatrzeć czarnego rycerza. Jego ludzie nieśli dary dla króla Anglii: złote szkatułki wypełnione buteleczkami z drogocennym olejkiem różanym, bogato zdobioną broń i dywany. Sam Mahmud niósł coś specjalnego: koszyk gruszek zerwanych w Jerozolimie, kiedy nie były dojrzałe, a które po długiej podróży stały się słodsze niż miód. Kiedy tłumacz, skromny ksiądz z Akki, przełożył królowi słowa Mahmuda na francuski, zebrani w sali goście wydali okrzyk podziwu dla umiejętności dyplomatycznych Saladyna, dla jego pewności siebie i wyzwania, jakie sułtan rzucił królowi Anglii.

Poseł powiedział bowiem:

- Jeśli pragniesz zdobyć Jerozolimę, mój pan, najszcześniejszy władca naszego czasu, Saladyn, przesyła ci te oto dorodne owoce, które własnoręcznie zerwał w ogrodach Jerozolimy, abyś już teraz nasycił się ich kształtem i słodyczą.

- Twój pan zaskoczył mnie. Dlaczego przysyła mi owoce właśnie z Jerozolimy? - zdziwił się Ryszard.

- Abyś wiedział, jak smakują, bo już nigdy ich nie skosztujesz, albowiem sułtan nie pozwoli ci zdobyć Jerozolimy.

Zapadła cisza. Wszyscy zrozumieli, że Saladyn wezwał Ryszarda, by stanął do walki. Król odrzekł na to, że już wkrótce okaże się, kto jest

znakomitszym wodzem. Wyraził też przekonanie, iż za rok Saladyn będzie go prosił o pozwolenie na odbycie pielgrzymki do Jerozolimy, do świętego meczetu Al-Aksa, ponieważ zamierza odzyskać Jerozolimę w ciągu roku.

Ryszard także okazał się niezwykle hojny: podarował sułtanowi dorodną klacz białej maści, a Mahmud zachwycił się urodą zwierzęcia przyprowadzonego przez giermków. Król kazał powtórzyć sułtanowi, że posyła mu ten dar, aby miał na czym uciec z Jerozolimy.

Po audiencji wydano ucztę na cześć posła. Król posadził go *po* swojej prawicy, a po lewej Gwidona z Lusignan. Był to jeszcze jeden afront dla Niemców, którzy liczyli na to, że Lwie Serce odda tron jerozolimski Konradowi z Montferratu. Król Ryszard wiedział, że muzułmańscy goście nie jedzą potraw z wieprzowiny i nie piją wina, dlatego, aby okazać im szacunek, jadł to samo, co oni: owoce, ryby i pieczoną jagnięcinę. Gest Ryszarda Lwie Serce muzułmanie przyjęli z zadowoleniem. Mahmud uznał go za godnego przeciwnika dla swego sułtana.



Nie wszyscy byli jednak radzi. Luigi Poggi przysłuchiwał się wymianie zdań między królem Ryszardem, sprawującym faktyczną władzę w Palestynie, i posłem muzułmańskim, i zrozumiał, że starcie jest nieuniknione. Zdawał sobie sprawę, iż Ryszard nie może zawrzeć pokoju, jeśli nie spróbuje odzyskać świętego miasta, a Saladyn, mówiąc ustami swego posła o pokoju, tak naprawdę szykuje się do wojny. Muzułmanie nie wybaczyliby mu, gdyby próbował układać się z chrześcijanami. To oznaczałoby fiasko misji Wenecjanina, zanim zdoła on osiągnąć wymierne polityczne efekty. Obydwaj władcy stali się więc zakładnikami swoich religii.

Drugim milczącym i smutnym człowiekiem tego wieczoru był Robert z Melville, ponieważ na uczcie obecny był jego brat. Przypatrywał się jego twarzy i ruchom. Dostrzegł w nim podobieństwo do swego nieżyjącego ojca. Młody

człowiek czuł się bardzo samotny, widząc, ile uwagi czarny rycerz poświęca swemu synowi.

Trzecim człowiekiem, który z trudem maskował narastającą wściekłość i niezadowolenie, był Mahmud al-Fais. Podczas uczty siedział o dziesięć miejsc od człowieka, który zabił Osmana, i chociaż próbował ze wszystkich sił o tym zapomnieć, nie mógł. Podczas uczty, wymieniając uprzejmości z królem Lwie Serce, obmyślił straszną zemstę.



Po powrocie do Damaszku Mahmud przekazał sułtanowi list od Wenecjan i konia od Ryszarda Lwie Serce. Sułtan kochał konie, miał ich ponad trzysta, i uznał, że klacz podarowana przez króla Anglii jest jednym z najpiękniejszych zwierząt, jakie widział. Saladyn wiedział już, że Ryszard Lwie Serce będzie najtrudniejszym przeciwnikiem, z jakim przyszło mu się zmierzyć. Z tym większą starannością postanowił przygotować się do wojny. Miał do dyspozycji ponad dwadzieścia pięć tysięcy kurdyjskich i arabskich żołnierzy. Zamierzał ściągnąć z Egiptu mameluków, najlepszych jeźdźców w całym świecie arabskim, oraz dzikich Tuaregów na wielbłądach, ludzi pustyni.

Rozdział XXIII

BITWA

Wódz krzyżowców nie miał zamiaru zapuścić się z armią w głąb Palestyny. Nie chciał popełnić błędu króla jerozolimskiego, Gwidona z Lusignan, który kilka lat wcześniej dał się wciągnąć Saladynowi w pułapkę wśród piasków i stracił całą armię. Ryszard Lwie Serce zamierzał odciąć Saladyna od Egiptu, maszerując wzdłuż wybrzeża i zdobywając Askalon, wielką twierdzę nad morzem, usytuowaną w strategicznym miejscu - na lewej flance Jerozolimy. Nie miał zamiaru toczyć bitwy na warunkach Saladyna - chciał narzucić wielkiemu władcy muzułmanów swój styl walki.

Armia liczyła prawie dwadzieścia tysięcy ludzi, w tym samej jazdy sześć tysięcy, z czego połowa byli to Normanowie. Szli z Ryszardem także Francuzi,

Włosi, Hiszpanie i zakony rycerskie. Templariuszy było czterdziestu, przybyli z garnizonów na Cyprze i Rodos. Szpitalnicy, w czarnych płaszczach z białym krzyżem, stawili się w liczbie zbliżonej do templariuszy. Rycerze ci przysięgali przed wyruszeniem z Akki, że pomszczą hańbę spod Hittinu albo zginą.

Wyprawa była dobrze przygotowana, zaopatrzona w świeże mięso, które w postaci tysięcy wieprzy i baranów gnano za wojskiem. Ryszard okazał się znakomitym dowódcą. Zdołał narzucić swoją wolę większości europejskich baronów, którzy niewiele wiedzieli o taktyce.

Król miał dla muzułmanów niespodziankę: piechota krzyżowców została wyposażona w długie włócznie. Władca odpowiadał zdziwionym baronom, kiedy pytali go o przeznaczenie tej nowej broni, że niespodzianki polegają właśnie na tym, że nikt o nich nie wie, dopóki nie sprawdzą się w działaniu.

□ □ □

W Damaszku zaś zebrała się prawie trzydziestotysięczna armia muzułmańska. Saladyn poczuł się pewnie, gdy dołączyli do niego egipscy mamelucy. Miał przewagę nad chrześcijanami, albowiem posiadał zaprawioną w boju jazdę. Szpiedzy donieśli mu, że król Ryszard wyruszył z Akki, kierując się w stronę Jerozolimy.

Mahmud al-Fais miał poprowadzić zwiad liczący dwa tysiące jeźdźców. Ta ariergarda wojsk Saladyna była na pustyni oczami i uszami władcy. Saladyn wiedział, że manewr spod Hittinu, kiedy armia chrześcijan wyszła na pustynię, z dala od źródeł wody, raczej się nie powtórzy. Obawiał się spotkania z Ryszardem Lwie Serce, ponieważ był pod wrażeniem słów Mahmuda. Poseł opisał króla Anglii jako człowieka mającego nie tylko lwa w sercu, ale i przenikliwy umysł. Saladyn miał pod swoimi rozkazami około trzydziestu tysięcy wojowników, w tym Kurdów, mameluków i nieliczne oddziały tureckie, jednak dwie trzecie tej armii stanowili Arabowie z Egiptu i Syrii. Liczył na przewagę konnicy. Z tymi siłami postanowił zastąpić drogę krzyżowcom na wysokości Jaffy, tydzień marszu z Damaszku, w miejscu, gdzie nadbrzeżny

trakt zbliżał się niebezpiecznie do morza. Zamierzał zepchnąć chrześcijan nad morze i wybić.

Tymczasem Mahmud modlił się żarliwie, by Allah pozwolił mu zatopić ostrze szabli w piersi znienawidzonego wroga.



Ryszard musiał zdobyć Jaffę, ponieważ w mieście znajdowały się studnie, w których armia mogłaby uzupełnić zapasy wody oraz napoić zwierzęta. Woda w tej kampanii odgrywała ogromnie ważną rolę - kto tracił dostęp do wody, ten umierał.

Sytuacja krzyżowców nie była dobra. Armia rozciągnięta była na odcinku wielu mil na wąskim nadbrzeżnym trakcie i gdyby atak przyszedł ze wschodu, niechybnie zostałyby rozbita. Król prowadził wojska w sposób ryzykowny, ale nie miał innego wyjścia. Nagła koncentracja pod Jaffą tak wielu tysięcy ludzi i koni na pewno sprowokuje atak muzułmanów. A przecież nie istnieje nic gorszego w sztuce prowadzenia wojny niż oblegać twierdzę, mając za plecami armię przeciwnika. Lwie Serce o tym pamiętał.

Krzyżowcy, mimo morderczego upału, posuwali się dość szybko. Idący na przedzie Niemcy zauważyli, że bramy Jaffy są otwarte, a turecko-arabski garnizon dopiero szykuje się do obrony. Krzyżowców zasłoniły bujne zarośla akacji i drzew oliwnych rosnących pod miastem. Zobaczywszy otwarte bramy, książę Leopold Austriacki i Henryk Hohenstauf zdecydowali, że miasto należy zdobyć natychmiast, nie czekając na Ryszarda, który miał przybyć dopiero wieczorem. Tak też uczynili. Muzułmańscy obrońcy byli tym atakiem całkowicie zaskoczeni. Zdziwiła ich też szybkość, z jaką krzyżowcy przybyli pod Jaffę. Wymordowano wszystkich mieszkańców. Na wieży meczetu górującego nad miastem, skąd muezini nawoływali wiernych na modlitwy, Niemcy zatknęli swoje chorągwie.

To wspaniałe zwycięstwo nie zapowiadało dramatu, jaki rozegrał się pod wieczór tego samego dnia.



Król Ryszard nie spieszył się. Jechał w asyście możliwych panów, lordów i kilku biskupów. Zewsząd otaczała go piechota, która poruszała się wolniej od jazdy. Znajdowaliśmy się blisko króla, kiedy na horyzoncie, w blasku zachodzącego słońca, uniósł się tuman kurzu.

- Suchy, piekielny wiatr tańczy na wydmach - stwierdził jeden z biskupów.

- Myli się ekscelencja - mruknął Henryk, wpatrując się w dal. - To jeźdźcy... Poznaje, że to nasz zwiad.

Henryk miał rację. Wkrótce pojawił się młody rycerz, którego poznaliśmy w Akce. Zsiadł z konia, podszedł do króla, i ciężko dysząc, ukląkł przy królewskim wierzchowcu.

- Wstań, Robercie - rzekł król. - Przestraszyłeś nuncjusza papieskiego. My także byliśmy przekonani, że to sam diabeł chce nas zatrzymać przed twierdzą!

Wszyscy zaśmiali się z królewskiego dowcipu. Robert wstał i zameldował:

- Leopold Austriacki i Henryk Hohenstauf zajęli przed południem Jaffę! Miasto jest nasze!

Wszyscy czekali na tę radosną wieść. Jediną osobą, która nie okazała radości, był król. Popatrywał z kamienną twarzą to na posła, to na zachodzące słońce, i nerwowo drapał się pulchnymi palcami po brodzie, na której widać było kilkudniowy złoty zarost. W końcu zapytał:

- Jakie sztandary Niemcy zatknęli na murach twierdzy? Zaskoczony tym pytaniem Robert odpowiedział dopiero po chwili.

- Swoje, Wasza Wysokość.

Ryszard nie czekał na orszak. Spiął konia i pogalopował jak szalony w stronę Jaffy.

Ruszyliśmy za nim. Ja, Henryk, Baldwin, Robert i kilkunastu rycerzy wyprzedziło znacznie swiętego króla. Biskupi i ich słudzy nie jeździli konno tak dobrze jak zaprawieni w bojach rycerze i ich giermkowie. Widzieliśmy, jak w przyływie gniewu król odtrącił niemieckich knechtów strzegących bramy miasta.

Widok, jaki ujrzeliśmy po przekroczeniu bramy, był przerażający. W mieście, choć szybko zapadał wieczór, było widno z powodu licznych pożarów. Knechci zabijali kogo popadnie, nie zważając, czy mordowani są Arabami czy Syryjczykami. Bez wątpienia wybito całą muzułmańską załogę Jaffy. Ciała leżały na ulicach w kałużach zakrzepłej krwi, inne rzucono na stosy i podpalano w obawie przed wybuchem zarazy. Jeszcze inne, poobgryzane przez bezpańskie psy, wyglądały jak makabryczne kukły. Wszędzie unosił się smród rozkładającego się mięsa.

Ryszard szybko odnalazł niemieckich dowódców, którzy urządzili sobie popas w twierdzy. Na jej murach w wieczornym wietrze powiewały ich proporce. Dogoniliśmy króla w ostatniej chwili. Leopold Austriacki rozmawiał właśnie ze swoimi rycerzami na dziedzińcu. Nie poznał króla, gdy ten, czerwony z wściekłości, o mało na niego nie najechał.

- Co to za szaleniec! - wrzasnął książę Leopold. - Związać go!

Kilku Niemców ze swiętego księcia skoczyło na Ryszarda, który zdążył zsiąść z rumaka. Dzielni niemieccy rycerze nie przypuszczali nawet, jaką krzepę ma król Anglii. Dwóch pierwszych, którzy zastąpili mu drogę, złapał pod ramiona i zderzył ich głowami. Całe szczęście, że Niemcy byli w hełmach, co uratowało im życie. Padli tylko ogłuszeni na bruk. Następnego Niemca, który dobył miecza, Ryszard powalił na ziemię jednym mocnym ciosem pięścią w brzuch.

Nemieccy rycerze świetnie władali bronią, lecz nie potrafili bić się na pięści. Ryszard miał w tej materii spore doświadczenie zdobyte w normandzkich oberżach i londyńskich karczmach, gdzie wdawał się w bójki z największymi

osiłkami. I choć czasami wychodził z tych potyczek fioletowy jak śliwka, powtarzał z dumą, że przyszły król musi z równym zapalem ściągać podatki, jak bić opornych chłopów.

Ryszard już miał rzucić się z pięściami na Leopolda Austriackiego, kiedy mój syn, Robert oraz kilku krzepkich normandzkich rycerzy odciągnęło na bok dyszącego z wściekłości władcę.

- Ty podły niemiecki szczurze! - wrzeszczał Ryszard. - Ukradłeś moje zwycięstwo, zająłeś twierdzę beze mnie! Nie daruję ci tego!

Leopold nie zdzierzył takiej obelgi, wyciągnął sztylet i rzucił się na króla. Powstrzymali go jego rycerze, w taki sam sposób, w jaki my okiełznaliśmy Ryszarda.

- Jak mnie nazwałeś, ty angielski wieprzu?! Ty beczko smalcu, śmiesz mi mówić, co mam robić!? - wściekał się Leopold.

- Szczam na ciebie, niemiecka łajzo! - wycedził Ryszard. - Twoi ludzie mają natychmiast ściągnąć sztandary z mojej twierdzy! Ja dowodzę tą wyprawą, nie ty!

Niemcy i my z całej siły trzymaliśmy tych dwóch szaleńców, aby nie zrobili sobie nawzajem krzywdy.

- Nie będziesz mi rozkazywał! Nie składałem ci przysięgi! Nie jesteś moim seniorem! Nie ściągnę sztandarów! - gorączkował się Leopold.

- Ściągniesz, jak mi Bóg miły, albo sam to zrobię! Nagle Ryszard Lwie Serce, w przypływie nadludzkiej wręcz krzepy, odepchnął nas sześcioro, którzyśmy trzymali go za ręce, i pobiegł po schodach na blanki, zrywając zatknięte tam niemieckie chorągwie. Niemcy patrzyli na to wściekli, a księżę Leopold miał łzy w oczach. Ksiądz Piotr z Fuldy, którego moc słowa miałem już okazję poznać w Wiedniu, przekonywał krzyżowców, aby nie wszczynali waśni, bo przecież jeszcze wiele muzułmańskich głów ma zostać ściętych angielskimi i niemieckimi mieczami.

Leopold przetykał upokorzenie, patrząc z nienawiścią na mury. Ryszard zdołał zedrzeć wszystkie niemieckie sztandary i rzucił je na bruk. Kiedy skończył i zszedł po schodach, kazał Robertowi zatknąć jeden sztandar - z czerwonym krzyżem templariuszy na biało-czarnym polu. Taki znak Ryszard miał na tunice podczas krucjaty. Białego płaszcza zakonnego z oczywistych powodów nosić nie mógł.

Kiedy zaalarmowany awanturą przybiegł Henryk Hohenstauf, było już po wszystkim.

- Co tu się dzieje? - zapytał.

- Ja zakończyłem mój udział w tej krucjacie - oznajmił Leopold. - Przysięgam na świętą Madonnę, że nadejdzie dzień, kiedy wpadniesz w moje ręce, Ryszardzie, a wtedy będziemy rozmawiali inaczej.

Ryszard opanował nieco wściekłość. Widząc konsekwencje swego zachowania, burknął pod nosem: „Zobaczymy”, po czym wsiadł na konia i odjechał.

Próbowałem porozmawiać z Niemcami, ponieważ dobrze znałem ich język. Prosiłem, żeby nie opuszczali armii, teraz, kiedy nadciąga Saladyn ze swoimi zastępami. Po chwili Henryk położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

- Daj spokój. To nie ma sensu. To nie oni zawinili, tylko nasz król.

□ □ □

To była bezsenna i smutna noc. Król Ryszard zamknął się w namiocie z jednym z biskupów, by się modlić. Szybko ochłonał z gniewu. Wiedział, że jest winny. Wiedział też, że tego, co się stało, nie można cofnąć.

Tej nocy zwierzyłem się Baldwinowi i Henrykowi z moich najczarniejszych obaw. Wiedzieliśmy, że po odejściu kilku tysięcy niemieckich krzyżowców nasze szanse na zwycięstwo znacznie się zmniejszyły. Mówiono, że rankiem do portu w Jaffie ma przypląć flota z zaopatrzeniem i żołnierzami Konrada z Montferratu.

- Za miesiąc możemy być martwi - powiedziałem do Baldwina.

Popatrzył na mnie z troską.

- Ojciec, nie wierzysz już w zwycięstwo?

- Nie, nie wierzę. A wiesz dlaczego? Moją wiarę w szlachetność naszego zamiaru odzyskania Jerozolimy zabił dzisiaj Ryszard. Nie widziałem w całym moim życiu bardziej pysznej osoby. To, co uczynił, obraziłoby każdego przyzwoitego człowieka...

- A czy Leopold Austriacki zasługuje na miano człowieka honoru, ojciec?

- przerwał mi Baldwin. - Wydaje mi się, że jest tak samo pyszny jak Ryszard. Wierzę, mimo wszystko, w szczęście króla Anglii. Jeśli ma odzyskać Jerozolimę dla chrześcijaństwa, to gotów jestem oddać za niego życie...

- Nie mów tak! Zabraniam ci!

- Nie rozumiem cię, ojciec. Skoro zaszliśmy tak daleko, skoro przelano tyle krwi, byłoby grzechem się wycofać. Zapewniam cię, że Niemcom ich uczynek nie przysporzy chwały. Jeśli Ryszard dopnie swego, a chciałbym, żeby tak się stało, nikt nie będzie pamiętał, że pozrywał w przyływie gniewu niemieckie proporce w Jaffie. Zwycięzców się nie osądza.

- Ryszard nie jest jeszcze zwycięzcą - zauważyłem.

- Ale będzie, z pomocą bożą! - rzucił zagniewany Baldwin i nie czekając, co odpowiem, wybiegł z namiotu.

□ □ □

Mahmud al-Fais znacznie wyprzedził główne siły Saladyna. Muzułmańska armia znajdowała się o cały dzień drogi za dwutysięcznym oddziałem arystokraty z Damaszku. Zadaniem Mahmuda było oszacowanie, ilu żołnierzy liczy armia Ryszarda Lwie Serce, oraz zasięgnięcie języka. Mahmud nie zaniechał myśli o zemście. Przeciwnie, z każdym dniem pragnął jej coraz bardziej.

Codziennie przed wymarszem Mahmud dokonywał rytualnej ablucji - mył dokładnie ręce, a na czole zawiązywał białą opaskę, znak czystości. Jego wojownicy, widząc religijny zapał swego wodza, czynili to samo. Pragnęli

zostać *szachidami*, świętymi męczennikami islamu. Byli gotowi na wszystko, a śmierć wydawała im się drobnostką, małym, nic nieznaczącym epizodem, który miał im otworzyć bramy do rajy Allacha.

□ □ □

Gdy obudziłem się nad ranem, Baldwina nie było w namiocie. Pomyślałem, że nadal się na mnie gniewa, bo nie zmieniłem zdania i byłem pewny, że zdołam przekonać go do moich poglądów. Zacząłem powątpiewać w sens wyprawy. Ponieważ odeszli Niemcy obrażeni przez Ryszarda Lwie Serce, obawiałem się, że zostaniemy pokonani. Nie chciałem, aby moja nabita na włócznię głowa gniła w słońcu. Nie chciałem też, aby coś złego spotkało mojego syna. Uznałem, że będę się trzymał z dala od królewskiego dworu.

Zwlokłem się z posłania, włożyłem spodnie, koszulę, a na to wszystko skórzaną tunikę. Wtedy do namiotu wszedł Henryk, poparzył na mnie spode łba i oznajmił:

- Twój syn wyruszył na zwiad z Robertem. Jeden z dworzan mi to powiedział. Baldwin podobno mówił im, że nie chce cię znać. Co ty mu zrobiłeś? - W głosie Henryka usłyszałem pretensję.

- Nic. Po prostu pokłóciliśmy się o to, co król uczynił niemieckim krzyżowcom. Postąpił niehonorowo, zrywając sztandary. To przecież Niemcy zdobyli Jaffę.

- Na litość boską, Gotfrydzie, nie ma teraz znaczenia, co zrobił król! Patrol francuski, który wrócił z nocy, doniósł królowi, że w odległości kilkunastu mil stoi muzułmańska kawaleria.

- Dla mnie to ma znaczenie - odparłem zimno.

- Nie chcesz walczyć?!

- Tego nie powiedziałem. Walczyć będę, ale straciłem szacunek do Ryszarda. Nie przejmowałbym się muzułmańską kawalerią. Będą unikali starcia, dopóki cała armia Saladyna nie zastąpi nam drogi. Baldwin sobie poradzi. Wy tłumaczę mu wszystko, kiedy wróci.



Robert miał wyrzuty sumienia. Zabrał na zwiad syna Gotfryda, w dalszym ciągu nie mówiąc mu, że jest bratem jego ojca. Dziwne to było braterstwo. Bracia nigdy wcześniej się nie widzieli, a Robert był zaledwie dwa lata starszy od swego bratanka. Zdążył polubić tego młodego człowieka, który przy ognisku, popijając wino, zwierzył mu się ze wszystkich swych obaw. Robert jednak nie chciał zbyt dużo opowiadać o sobie. Nie czuł się jeszcze gotowy.

Robert był człowiekiem szlachetnym. Każdy, będąc w jego sytuacji, starałby się uczynić wszystko, by nie odnaleźć zaginionego brata. Prawo dziedziczenia nie znało litości, a Gotfryd z Melville był starszym synem i to on dziedziczyłby tytuł hrabiego Gloucester wraz z majątkiem. Robert był synem drugiej żony ich ojca, tracił więc prawo do majątku. Nie myślał jednak w ten sposób. Chciał, by Baldwin mu ufał. Pragnął go poznać i zaprzyjaźnić się z nim. Czuł, że gdy nadejdzie właściwa chwila, wyzna Baldwinowi całą prawdę.

Baldwin dużo opowiadał o ojcu. Kochał go, choć zarzucał mu tchórzostwo - bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że Gotfryd krytykuje króla? Słyszając pełne goryczy słowa młodego człowieka, Robert przypomniał, że podczas pochodu niemieckich krzyżowców przez Syrię Gotfryd z Melville dzielnie walczył - wszyscy wiedzieli o wygranej potyczce na pustyni.

Rankiem, tuż po wschodzie słońca, z królewskiego namiotu przybiegł goniec, przynosząc rozkaz: oddział Roberta ma natychmiast wyruszyć na zwiad. Baldwin postanowił dołączyć do swego nowo poznanego przyjaciela. Wyruszyli w czterdziestu konnych.



Dopiero wieczorem tego dnia, kiedy Baldwin pojechał na zwiad z oddziałem Roberta, armia krzyżowców sformowała szyk marszowy i ruszyła nadmorskim traktem na południe. Po lewej stronie rozciągały się połacie piasku, po prawej morze, które było spokojne, a fale łagodnie omywały plaże.

Ryszard Lwie Serce prowadził około szesnastu tysięcy ludzi. Zauważyliśmy, że w głównej kolumnie maszeruje kilka tysięcy piechurów wyposażonych w długie włócznie, trzy razy wyższe od dorosłego mężczyzny. Czyżby to miała być niespodzianka, jaką król przygotował dla muzułmanów? Następnego dnia armia dotarła do wioski Arsuf, zamieszkaną przez ubogich rybaków.



Zwyczajem asasynów było palenie fajek nabitych ziołami powodującymi oszołomienie, zwanymi po arabsku *al-haszi-szijja*. Wypalenie takiej fajki wywoływało u wojowników trans prowadzący do szału bitewnego. Takiemu człowiekowi niestraszna była śmierć ani rany.

Gdy Mahmud poczuł zapach haszyszu i gdy z zamkniętymi oczami wdychał dym z fajki, odmawiając w myślach święte sury Koranu, powoli wprowadzał się w trans. Modlił się, aby ostrze jego szabli szybko poczerwieniało od krwi. Zaprażył unicestwić wszystkich wrogów Proroka. Jego ludzie, zaprawieni w bojach wojownicy, tak długo czekali na dzień, w którym prorok Mahomet zatriumfuje nad obrzydliwym potrójnym Bogiem chrześcijan.

Gdy wypalili haszysz, Mahmud nakazał wymarsz. Wkrótce dwutysięczny oddział jazdy ruszył na spotkanie wroga. Mahmud zapomniał o słowach Saladyna, który jeszcze w Damaszku, przed wyruszeniem na wyprawę, zapowiedział surowe kary za znęcanie się nad jeńcami i bezczeszczenie chrześcijańskich symboli religijnych. Wciąż powtarzał, że muzułmanie i chrześcijanie wierzą w tego samego Boga. Jednak Mahmud wyrzucił te słowa z pamięci. Wydawały mu się ulotne jak pustylny wiatr. Stał się fanatykiem. I jak każdy fanatyk twierdził, że tylko on zna myśli Stwórcy.



Czterdziestu ludzi Roberta z Melville oddaliło się o jakieś piętnaście mil od czoła armii. Nie zdawali sobie sprawy, że zmierzają prosto na dwa tysiące muzułmańskich wojowników, dowodzonych przez żadnego zemsty fanatyka.

Rycerze jechali bardzo powoli, bo upał doskwierał im niemiłosiernie. Zapuścili się w samo serce Judei. Mijali wydmy, wzgórza porośnięte drzewami oliwnymi i krzakami jaśminu. Zamierzali odnaleźć źródło, by napoić konie. Zatrzymani przez nich palestyńscy wieśniacy powiedzieli, że jedna z dobrych, głębokich i starych studni znajduje się pośród wzgórz, w uskoku skalnym otoczonym pionowymi ścianami z wapienia. Krzyżowcy niezwłocznie się tam udali.

Zatrzymali konie w wąwozie. Otaczały ich zwirowe wzniesienia upstrzone gigantycznymi głazami, wyglądającymi jak monstrualne ciernie. Między skałami, chłostane gorącym wiatrem, rosły karłowate akacje. Gdy ludzie i zwierzęta ugasiли pierwsze pragnienie, Robert rozejrzał się uważnie po okolicy. Wydawało mu się, że gdzieś wysoko, pośród wzgórz, usłyszał przeciągłe rzenie konia. Po chwili doszedł do wniosku, że to echo rzenia ich własnych rumaków, potrząsających radośnie łbami. Jednak echo nie cichło. Przeciwnie, wzmagalo się. Upał może pomieszać zmysły, pomyślał młody rycerz i zanurzył spierzchnięte usta w chłodnej wodzie, której nalał sobie do hełmu. Nagle ktoś krzyknął:

- Patrzcie!

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę kilku samotnych jeźdźców stojących na szczycie wzniesienia. „Nie do wiary - szepnął Baldwin - to asasyni”. Jeden ze starszych kawalerzystów potwierdził jego słowa: jeźdźcy nosili czarne turbany.

Wkrótce rozległ się tętent setek koni. Niektórzy krzyżowcy dobyli mieczy, inni biegali w kółko, nie wiedząc, co robić. Znaleźli się w śmiertelnej pułapce, otoczeni przez muzułmańskich jeźdźców. Wiedzieli, że są bez szans. Robert poczuł gwałtowny skurcz w gardle. Po raz pierwszy stanął oko w oko z

tak groźnym i licznym wrogiem. Bał się, a strach mieszał się z upokorzeniem. Król Ryszard mu zaufał, dał czterdziestu ludzi. To on ponosi odpowiedzialność za to, że znaleźli się w takiej opresji. Nie wiedział, co robić. Milczał, podczas gdy jego żołnierze pytali zatrwożeni:

- Co mamy czynić?

Wreszcie Baldwin szarpnął go mocno za ramię i wycedził przez zęby:

- Mam nadzieję, że nie chcesz poddać się bez walki. Król by ci tego nie wybaczył.

Te słowa przywróciły Robertowi zdolność logicznego rozumowania.

- Bóg tak chce! - krzyknął, a jego ludzie w mig pojęli, co mają robić.

Każdy schował się, gdzie mógł, bo walka na koniach nie miała sensu. Jeździec jest o wiele łatwiejszym celem dla znakomitych łuczników arabskich niż żołnierze kryjący się za tarczami. Jednak odważna decyzja młodego dowódcy nie zmieniła ani na jotę rozpaczliwego położenia czterdziestoosobowego zwiadu krzyżowców. Byli skazani na śmierć.

Jeden z asasynów wyrzeszczał arabską komendę i muzułmańscy wojownicy ruszyli w dół...

□ □ □

Gdy większość chrześcijan już nie żyła, a przy studni rozpaczliwie broniło się zaledwie kilku, Mahmud uniósł dłoń. To oznaczało, że tylko on ma prawo zdecydować o życiu wrogów.

Krzyżowców było ośmiu - zakrwawionych, mokrych od potu i wyczerpanych. Bronili się jak umieli, czego rezultatem była śmierć kilku muzułmanów. Kilkunastu innych zostało rannych. Asasyni rozstąpili się przed swym wodzem. Teraz Mahmud mógł przyjrzeć się wrogom z bliska.

Robert czuł, że drętwieje mu nadgarstek. Zabił trzech muzułmanów i tak jak jego ludzie walczył desperacko, chcąc drogo sprzedać życie. Walka trwała jednak krótko, bo uderzenie rozpędzonej jazdy było druzgocące i nawet najwaleczniejsi musieli ulec. Ciała krzyżowców leżały wokół studni. Kiedy

Robert chciał rzucić się na włócznię jednego z asasynów, ktoś pociągnął go za kaftan. Był to Baldwin, który pokazał mieczem, że asasyni najwyraźniej nie zamierzają już więcej atakować.

- Teraz możemy się poddać, nie tracąc honoru - wysapał. Młody rycerz otarł miecz o rękawicę i zdjął hełm. Byli

wyczerpani. Oprócz ich dwóch przeżyło tylko sześciu ludzi. Wpatrywali się w milczeniu w swoich przeciwników, gdy nagle usłyszeli dźwięk rogu. Nad wzgórzami unosiły się kłęby pyłu. Ktoś nadjeżdżał.

- Może to ich wódz? - szepnął Robert do Baldwina.

- Mogłem zostać z ojcem - jęknął młodzieniec. - Kiedy dowie się, że dostałem się do niewoli, będzie zrozpaczony.

- A co ja mam powiedzieć? Jestem dowódcą straży króla Ryszarda - westchnął smutno Robert. - To ja jestem winien naszej hańby.

Muzułmanie rozstąpili się, robiąc przejście człowiekowi w czarnym turbanie o władczy i surowy spójrzeniu. Towarzyszył mu mężczyzna z jasną brodą, w spiczastym hełmie owiniętym materia.

□ □ □

Tymczasem szesnaście mil dalej rozegrały się inne, nie mniej tragiczne wydarzenia. Nikt z nas nie wiedział, jak naprawdę zaczęła się bitwa pod Arsufem, ponieważ znajdowaliśmy się na tyłach, blisko obozu, razem z konnicą. Wypatrywałem mojego syna, jednak nigdzie go nie było. Henryk powiedział mi, że zwiad, z którym wczoraj wyruszył, jeszcze nie wrócił. Pomyśleliśmy, że tych kilkudziesięciu ludzi wkrótce się odnajdzie. Zdarzało się nieraz, że zwiadowcy wracali dopiero po dwóch lub trzech dniach i nikogo to nie dziwiło.

Nagle, daleko na horyzoncie, podniosły się tumany kurzu. Henryk krzyknął, że wzbijają je setki końskich kopyt i tysiące piechurów.

- Saladyn zajechał nam drogę. To pułapka - stwierdziłem. Jednak żołnierze Ryszarda nie wpadli w panikę. Wkrótce

nadjechał król. Był w swoim żywiole. Rozkazywał i gestykułował, pokazując, jak należy sformować szyk.

- Ruszać się! Formować kolumnę! - krzyczał. Wkrótce zniknął, galopując gdzieś naprawę skrzydło, a jego

heroldowie przynieśli zaskakujące rozkazy: krzyżowcy mają ustawić się w dwóch równoległych szeregach. Za nimi, na jedynej w okolicy wydmy, Ryszard ustawił tysiąc genueńskich kuszników i dwa tysiące walijskich łuczników. Półokrąg opierał się o linię plaży i zabezpieczał boki. Ryszard Lwie Serce cofnął jazdę na sam szczyt wydmy i nakazał atakować tylko na wyraźny rozkaz. Dla wielu rycerzy rozkazy króla były niezrozumiałe i szeptali między sobą niezadowoleni. Jednak armia Saladyna wyłaniała się już z obłoków pyłu. Popatrzyłem na Henryka, który stanął obok mnie, w jednej ręce trzymając uzdę konia, a w drugiej obnażony miecz. Jego mina mówiła wszystko: zwyciężymy lub umrzemy.

□ □ □

Wojska, które zgmiotły armię jerozolimską pod Hittinem cztery lata wcześniej, były coraz bliżej. Widzieliśmy berberyjską jazdę na wielbłądach, egipskich mameluków i kurdyjską gwardię sułtana na najlepszych koniach krwi arabskiej. Gdzieś na prawym skrzydle majaczyli niczym pustynne zjawy asasyni w czarnych turbanach, niosący wielką czarną chorągiew Proroka. Widzieliśmy też szeleszczący las chorągwi w kolorach zielonym i czerwonym, na których wyszyto cytaty z Koranu. Były to oddziały z Syrii.

Muezini zaczęli modlitwy. Ich przeciągły śpiew irytował krzyżowców. Nie godziło się milczeć, więc część piechurów odpowiedziała głośnym gwizdem, by jeszcze bardziej rozsierdzić wroga. Z muzułmańskich szeregów dobiegły okrzyki wściekłości.

Zrozumieliśmy, że Saladyn, zwlekając z atakiem, spostrzegł, iż jego armia wcale nie zajęła dobrej pozycji. Jediną wydme, z której można było obserwować całe pole bitwy, zajęli królewscy walijscy łucznicy oraz

Genueńczycy. Henryk, wspierając się doświadczeniem wyniesionym z wojen krzyżowych w Hiszpanii, powiedział, że jedyne, co Saladyn może teraz zrobić, to spróbować zepchnąć chrześcijan z wydmy do morza. Zrozumiałem, że rzuci całą jazdę wprost na wydme. Jeśli ją zdobędzie, Ryszard będzie musiał, o ile zdoła, wycofać się do Jaffy, a wtedy krucjata na pewno zakończy się kieszką. Zrozumieliśmy, że losy wyprawy rozstrzygną się w ciągu kilku godzin.

Nagle muezini umilkli i ogromna ściana muzułmańskiej jazdy ruszyła naprzód. Tak jak przypuszczał Henryk, Saladyn próbował zepchnąć nas z wydmy. Zaatakowali z trzech stron. Widzieliśmy, jak arabskie konie i berberyjskie wielbłądy nabierają rozpędu. Poczulem mrowienie w kręgosłupie. Widok tysięcy arabskich jeźdźców był nie do opisania. Słyszeliśmy ich dzikie okrzyki.

Tysiące muzułmańskich jeźdźców dopadło wydmy. Widzieliśmy dokładnie ich kolczugi, broń i końskie rzędy. Wtedy Ryszard dał znak. Dwa tysiące walijskich łuczników w okamgnieniu naciągnęło łuki, skierowało je w niebo i wypuściło strzały. Nie mierzyli przed siebie, z uwagi na stojącą przed nimi piechotę. Strzały nabrały wysokości i spadły na rozpędzonych wojowników Saladyna niczym grad. Jeźdźcy w pierwszych szeregach zostali przygwożdżeni, a ranne konie padały, blokując drogę następnym wojownikom. I wtedy znów zasypały ich dwa tysiące strzał. Muzułmańscy wojownicy padali na ziemię, a ranni nie mieli szans, żeby o własnych siłach wydostać się z tego piekła. Kolejny ostrzał zatrzymał całą jazdę Saladyna. Muzułmańscy dowódcy, w tym wielu członków rodziny wodza, oraz berberyjscy przywódcy klanów, widząc, jak straszną śmierć zgotowali im niewierni, dali znak do odwrotu.

Muzułmanie się przegrupowali. Saladyn wysłał swojego brata oraz dwóch kuzynów, aby poprowadzili atak na nasze prawe skrzydło. Widzieliśmy, jak muzułmańska kawaleria, będąca poza zasięgiem strzał, ruszyła kłusem na prawe skrzydło. Ryszard Lwie Serce też to dostrzegł i kazał łucznikom przesunąć się na prawo.

Znów rozgorzała walka. Muzułmanie pędzili jak wicher. Od włóczni naszej piechoty dzieliło ich kilkaset stóp. Świsnęły strzały. Konie upadały, a ranne wielbłądy zrzuciły jeźdźców. Muzułmanie parli naprzód, jednak nasi żołnierze nie ruszali się z miejsca. Czekali. I wtedy muzulmanie napotkali jeszcze jedną przeszkodę - las włóczni. Łucznicy przestali strzelać, nie chcąc narażać naszych ludzi. Berberowie dopadli do linii piechoty. Dziesiątki koni nadziewały się na włócznie, a ostrza berdyszów raniły ich golenie. Rozpaczliwe rzenie zwierząt mieszało się z krzykami rannych ludzi.

- Zepchnąć ich! - rozkazał Ryszard.

Pierwszy szereg piechoty zrobił kilka kroków do przodu. Berberyjska jazda była bezradna wobec włóczni. Czuliśmy słodkawy zapach krwi i smród rozdieranych trzewi, zwierzęcych i ludzkich. Muzułmanie cofali się z prawego skrzydła, tymczasem łucznicy, mający po pięćdziesiąt strzał w kołczanach, znów zaczęli strzelać. Nawet najodważniejsi muzulmańscy wojownicy wiedzieli, że nie sposób atakować tak skutecznie broniącego się nieprzyjaciela. Berberowie, a także konnica z Syrii, zostali zdziesiątkowani.

Ale to nie był jeszcze koniec. Saladyn miał odwody - setki asasynów oraz kurdyjskich gwardzistów sułtana - i nie zamierzał się poddać. Wiedział już, że główna część jego jazdy, osiem tysięcy wojowników, została zdziesiątkowana, ale zostali jeszcze mamelucy. Gdy ci fanatyczni wojownicy w liczbie pięciu tysięcy ruszyli naprzód, sułtan nakazał Kurdom i asasynom podążyć za nimi. Wiedzieliśmy, że to ostatni atak.

Mamelucy ruszyli, ale znalazłszy się w zasięgu strzał, stanęli i zaczęli szyć z łuków. Tym razem to my ponieśliśmy straty. Zginęło wielu naszych ludzi. Mamelucy parli naprzód. Dosięgły ich strzały walijskich łuczników, ale to nie mogło zachwiać ich wiary w zwycięstwo Koranu i Proroka. Bitwa na krótko wymknęła się spod kontroli króla Ryszarda. Piechurzy ruszyli naprzód, łamiąc szyk i wystawiając się na atak jazdy, zaś mamelucy, siekąc szablami, wbili się klinem w piechotę. Trzask łamanych włóczni, kwiczenie koni, przedśmiertne

krzyki, jęki rannych i wrzaski żywych zlewały się w jeden straszliwy tumult. Wydawało się, że z tej ludzkiej kipieli nikt nie ujdzie żywy. Od czasu do czasu ranny koń z wbitą w grzbiet włócznią wyrывał się, aby paść z bólu u podnóża wydmy. Niekiedy taki koń włókł martwego, a czasami żywego człowieka. Nagle zniknęła pod kopytami chorągiew świętego Jerzego z czerwonym krzyżem na białym polu. Piechota cofnęła się w stronę łuczników, ci zaś zaczęli nerwowo spoglądać w naszym kierunku i także cofać się krok po kroku.

- Co robi Ryszard, do stu diabłów?! - krzyknął Henryk. Byłem przerażony nie mniej od niego. Stało się jasne, że

piechota długo nie wytrzyma, tym bardziej że Berberowie na wielbłądach zaatakowali ponownie prawe skrzydło. Ryszard nadal czekał.

- Przebili się - stwierdził Henryk.

I rzeczywiście, między frontem łuczników i piechotą powstała wyrwa, w którą wlewała się rzeka muzułmańskiej kawalerii. Kurdowie ruszyli galopem pod górę. Wydawało się, że wydma należy do nich. Wówczas Ryszard dał znak łucznikom i kusznikom. Odsunęli się na bok, robiąc miejsce nam, sześciu tysiącom jeźdźców. Jednak zanim król dał znak, Genueńczycy wystrzelili z kuszy i bełty dosięgły kurdyjskich żołnierzy. Zatrzymali się.

Wtedy na zmęczonych muzułmanów uderzyła jazda krzyżowców, którą Ryszard trzymał w odwodzie do ostatniej chwili. Pochyliwszy włócznie, rycerze galopowali na wroga. Mamelucy i Kurdowie, kłuci włóczniami i cięci mieczami, rzucili się do ucieczki.

W ferworze walki nikt nie zauważył, jak jeden z rannych Kurdów, leżąc na ziemi, rozpruł szablą brzuch konia, na którym siedział Ryszard Lwie Serce. Król runął na ziemię, jednak szybko się podniósł, choć cały był poobijany. Wiedział, że pokonał Saladyna.

Wojska muzułmańskie poniosły ogromne straty. Pryśła sława niezwycięzonego sułtana. Po zakończeniu bitwy stało się coś niesłychanego:

Kurdowie donieśli o wypadku Ryszarda sułtanowi, a ten podarował mu swoją białą klacz, bo, jak powiedział, nie godzi się, by król nie miał konia.

Uczynek Saladyna zjednał mu sympatię wielu krzyżowców, którzy opowiadali o jego prawości. Ryszard także był tym poruszony. Zakazał ścigać pokonanego Saladyna i zapowiedział, że jeśli zgodnie z Koranem będą chcieli pochować poległych, nie ma nic przeciwko temu. Saladyn zostawił pod Arsufem tysiąc wojowników, którzy zgłosili się do świętego obowiązku pogrzebania zwłok. Wielu naszych pomogło im kopać groby - ponad osiem tysięcy mogił. Widzieliśmy, że ocalali muzułmanie cierpieli, odnajdując wśród zabitych swoich bliskich krewnych, synów lub braci. Naszych poległo tysiąc pięciuset. Żałowałem, że mój syn nie zobaczył tych rozdzierających scen.

Rozdział XXIV

ŻYCIE ZA ŻYCIE

Dwa dni po zwycięstwie Ryszarda w wielkiej bitwie nad morzem do obozu krzyżowców przybył wyczerpany jeździec z jednym jucznym koniem, na którego grzbiecie spoczywały zwłoki. Do tego samego konia przywiązany był także duży worek pokryty plamami zakrzepłej krwi. Wkrótce stało się jasne, że zwiad złożony z czterdziestu ludzi nigdy nie wróci. Gdy Anglicy i francuscy wasale Ryszarda ujrzeli, że rycerz na koniu ma na sobie królewską tunikę z trzema lwami, wielu rzuciło się, żeby mu pomóc. Zdjęli go z konia, napoili i obmyli twarz. Kilku dworzan króla rozpoznało Roberta z Melville. Młody człowiek osunął się na kolana i zapłakał.

- Co ja powiem bratu? Chryste, jak ja mu to powiem... - powtarzał.

□ □ □

Obudziłem się przed świtem przepełniony niepokojem. Kiedy usłyszałem zamieszanie w obozie, natychmiast ubrałem się i wyszedłem sprawdzić, co się dzieje. Podszedłem do dużej grupy rycerzy, oni rozstąpili się przede mną. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że Baldwinowi mogłoby stać się coś złego, teraz

jednak wiedziałem, że zdarzyło się nieszczęście. Szedłem wolno. Miałem wrażenie, że każdy krok jest jak tysiąc kroków.

- Gdzie jest mój syn? Gdzie jest Baldwin? - zapytałem cicho.

W świetle przedświtu zobaczyłem dwa konie, a także zapłakanego Roberta, który podbiegł do mnie i zaczął mi coś gorączkowo tłumaczyć: że walczyli, że wrogów było wielu, i że tylko on ocalał... Wpatrywałem się w ciało leżące na grzbiecie konia.

- Nie żyje... Baldwin został zabity - wyszeptał Robert. Wyjąłem nóż i ruszyłem w stronę rumaka. Zarżał, a ja przeciąłem przywiązany do jego szyi worek, z którego wysypały się odcięte ludzkie dłonie. Było ich trzydzieści osiem. Nie mieliśmy już złudzeń, że cały zwiad, który wyruszył z obozu pod dowództwem Roberta z Melville, został wyrżnięty.

Zwłoki Baldwina owinięte były w płaszcz. Ściągnąłem je z wierzchowca, wziąłem na ręce i ruszyłem w stronę namiotu, nic nie słysząc i nic nie widząc przez łzy.

□ □ □

Ośmiu ocalałych zwiadowców zostało otoczonych przez setki asasynów. Robert miał nadzieję, że zostaną wzięci do niewoli, a nie zabici. Był przecież dworzaniem króla Anglii i w takich przypadkach król zawsze płacił okup za swoich ludzi.

Patrząc na dowódcę asasynów, Robert miał nieodparte wrażenie, że gdzieś już widział tego człowieka. Rysy twarzy, wyraz oczu, z których biła złość, nie wróżyły niczego dobrego. Wkrótce muzułmanie wezwali chrześcijańskiego jeńca, który służył im jako tłumacz.

- Nazywam się Tarik Mahmud al-Fais ab Azziz - rzekł wódz asasynów. - Z woli mego pana, najszcześniejszego władcy naszych czasów, Saladyna, emira Damaszku i sułtana Egiptu, jesteście teraz moimi więźniami.

- Co z nami uczynisz? - chciał wiedzieć Robert.

- Gdyby to ode mnie zależało, już teraz ściałbym wam głowy i zawiózł je memu panu. Pojedźcie jednak ze mną jako jeńcy i zdacie sprawę ze wszystkich swoich grzechów. Sułtan was osądzi.

- Twój pan nie ma władzy odpuszczania grzechów - wtrącił się Baldwin. - Walczymy za naszą wiarę, przeciwko waszemu fałszywemu prorokowi.

Tłumacz zawahał się, słysząc te słowa, ale Mahmud ponaglił go, aby przekładał wszystko, co słyszy. Gdy tłumacz powtórzył słowa chłopaka, muzułmanie zawrzeli z oburzenia. Nie spodziewali się takiej hardości po człowieku, który zdany jest na łaskę ich wodza. Podniosły się gniewne głosy, aby ukarać zuchwalca bluźniącego przeciwko świętej osobie Proroka, lecz Mahmud uspokoił swoich ludzi ruchem ręki, zrobił krok w stronę Baldwina, spojrzał mu w oczy, po czym rzekł:

- Przywykłem już do waszych bluźnierstw. Mógłbym cię zabić jak psa, co nie przyniosłoby chwały ani mnie, ani memu panu, wszakże już się poddaliście. Musisz jednak wiedzieć, że jeśli jeszcze raz powiesz coś przeciw osobie Proroka, zabiję cię.

- Panie, nie słuchaj mego młodego przyjaciela! - wykrzyknął Robert. - To ja jestem dowódcą i ja odpowiadam za tych ludzi. Jeśli więc będziesz chciał ukarać kogoś śmiercią, to ukarż mnie, a moich ludzi zostaw przy życiu.

- Kim jesteście i jak się nazywacie? - zapytał Mahmud.

- Nazywam się Robert z Melville, jestem synem hrabiego Gloucester, pochodzę z normańskiej Anglii. A to jest Baldwin z Melville, mój bratanek, syn sławnego czarnego rycerza, o którym zapewne słyszeliście.

Robert nie zdawał sobie sprawy, że popełnił największy błąd w życiu. Baldwin patrzył oniemiały na przyjaciela, nie wierząc w to, co usłyszał, a Mahmud wydał dziki okrzyk. Oto nadeszła godzina zemsty, pomyślał. Podziękował w duchu Allachowi, że wysłuchał jego modłów.

Zastanawiał się przez chwilę, którego jeńca poświęcić, aby zadośćuczynić świętemu prawu zemsty. Po chwili dokonał wyboru i odwrócił się z uśmiechem.

Roberta przeszedł dreszcz. Nagle przypomniał sobie, gdzie widział ten uśmiech - na uczcie u króla Ryszarda Lwie Serce, wydanej na cześć muzułmańskiego posła. Przypomniał sobie słowa króla... Muzułmanin miał jakieś porachunki z czarnym rycerzem... Co ja zrobiłem! - pomyślał zrozpaczony. Widząc, że Mahmud zrobił krok w stronę niczego nierozumiejącego Baldwina, rzucił się pod nogi wodza asasynów, błagając:

- Zostaw go, on jest niewinny! Jeśli chcesz, zabij mnie!

- Niewinna krew zostanie pomszczona krwią niewinnego - odrzekł Mahmud.

Kopnął Roberta w brzuch, przewracając go. Młodzieniec nie mógł złapać tchu, po chwili jednak ukląkł, ciężko dysząc. Mahmud uśmiechał się, patrząc na Baldwina, a ten spojrzał mu w oczy z gniewną obojętnością wobec śmierci. Mahmud stanął z jego prawej strony, wyciągnął sztylet z pięknie inkrustowaną rękojeścią, przyłożył ostrze do gardła Baldwina i poderznął je jednym wprawnym ruchem. Z tętnic szyjnych trysnęła krew. Baldwin klęczał jeszcze przez chwilę, po czym upadł twarzą w piach. Robert rzucił się z krzykiem, próbując zatamować krew rękami. Baldwin poruszał jeszcze ustami, chcąc coś powiedzieć, lecz po chwili skonał.

Robert popatrzył zimno na Mahmuda, ten zaś umoczył ręce w krwi Baldwina i posmarował nią policzki oraz czoło.

- Allah jest wielki! - wykrzyknął.

Nakazał ściąć głowy pozostałym jeńcom, co jego żołnierze skwapliwie uczynili. Odcięli też zabitym wcześniej w walce prawe dłonie. Głowy oraz odcięte dłonie zapakowali do worka.

Robert trzymał na kolanach głowę Baldwina. Nie chciał zostawić go na żer drapieżnych ptaków.

- Zawieszysz mój prezent dla twego króla - rzekł Mahmud, wskazując worek z makabryczną zawartością. - Możesz także zabrać ciało tego chłystka. Jeśli spotkasz Gotfryda powiedz mu, że to ja, Mahmud al-Fais, wojownik

Proroka, pomściłem mego umiłowanego siostrzeńca Osmana, którego on pozbawił życia.

- Powiem mu, kim jesteś - wycharczał Robert. - Zabije cię.

Mahmud zaśmiał się szyderczo.

- Zostawiamy ci dwa konie i zapas wody, abyś słał miłosierdzie islamu - rzekł.

Poszedł do swoich ludzi i powiedział im, że jeśli sułtan będzie pytał o jeńców, mają powiedzieć, iż żaden z Franków nie chciał się poddać.

Gdy Arabowie wsiedli na konie, Robert zapłakał. Szlochał długo, dopóki ostatni z muzułmańskich wojowników nie zniknął za skałami.

□ □ □

Henryk pomyślał, że Gotfryd oszalał, ponieważ ani na moment nie chciał odejść od zwłok syna, które wciąż trzymał w swoim namiocie. Smród rozkładającego się w upale ciała był tak przykry, że wszyscy przechodzący obok namiotu zatykali nosy. W środku brzęczały setki much. Robert chciał się cofnąć, lecz Henryk złapał go za łokieć i weszli do środka.

Gotfryd wpatrywał się w trupa i mamrotał coś niezrozumiale, kołysząc się w przód i w tył. Nawet nie zauważył, że ktoś wszedł. Henryk popatrzył na Baldwina. Cały był przykryty płaszczem - oprócz twarzy. Henryk, nie mogąc znieść tego straszego widoku, pospiesznie nasunął płaszcz na głowę martwego chłopaka.

- Odsuń płaszcz, bo Baldwin się udusi - wyszeptał Gotfryd.

Henryk ukucnął obok przyjaciela.

- Co ty robisz, Gotfrydzie? - odezwał się łagodnie.

- Czekam, aż syn się obudzi.

- On nie żyje. Błagam, pozwól nam go pochować. Gotfryd milczał, nie przestając się kołysać.

- Proszę, pozwól mi pochować twego syna. Czy chcesz patrzeć, jak jego ciało gnije? Popatrz, wszędzie są muchy - szepnął Henryk.

- Tak, widzę je, lecz nie wiem, skąd się wzięły. - Gotfryd popatrzył na przyjaciela nieprzytomnym wzrokiem.

- Przyleciały tutaj zwabione odorem rozkładającego się ciała - tłumaczył Henryk. - Jest upał. Czy chcesz, żeby wybuchła zaraza? Proszę cię, pozwól nam pochować twego syna.

Gotfryd zatkał uszy. Trwał tak przez kilka chwil, po czym wycharczał:

- Pochowajcie go.

Rycerze z oddziału dowodzonego przez Gotfryda wykopali grób. Nie mogli jednak zbić trumny, ponieważ w okolicy nie rosło żadne drzewo. Gotfryd wpatrywał się w owinięte płaszczem ciało syna, dopóki nie znikło pod piaskiem. Wszyscy z przerażeniem zauważyli, że osiwił w ciągu jednej nocy.

□ □ □

Gotfryd w niczym nie znajdował pocieszenia.

- Nienawidzę słońca, Henryku! - krzyczał. - Tak samo jak nienawidzę gwiazd na niebie i blasku księżyca! Niech przestaną świecić! Niech dni staną się nocami! Nie obchodzi mnie Jerozolima, może być żydowska albo muzułmańska, wszystko mi jedno!

- Dlaczego mówisz tak straszne rzeczy? - pytał Henryk.

- Bo mój syn nie żyje! Wraz z jego śmiercią wyrwano mi serce! Chciałbym, żeby wszyscy muzułmanie cierpieli tak jak ja!

- Gotfrydzie, przyjacielu, tak zaczyna się obłąd.

- Nie ma dla mnie nadziei...

- Nie wiem, czy Baldwin chciałby, żebyś tak rozpaczał. Nie poddawaj się! Gotfryd ukrył twarz w dłoniach.

- Nie chcę żyć. Nie mam dla kogo - powiedział szeptem. - Zginął z mojej winy. Gdybym się z nim nie pokłócił dzień przed wyruszeniem oddziału...

Henryk uznał, że nadszedł moment, aby jego przyjaciel poznał całą prawdę o śmierci syna.

- To nie twoja wina. Śmierć Baldwina to nie był przypadek. To prawda, że gdyby zginął w walce, nie mógłbyś nikogo winić. Ale twój syn nie zginął w walce. Został zamordowany przez człowieka, który z niewiadomych dla mnie powodów cię nienawidzi.

Gotfryd zerwał się z posłania i wbił wzrok w przyjaciela.

- O czym ty mówisz? - syknął.

- Najlepiej będzie, jeśli usłyszysz całą prawdę z ust człowieka, który widział, jak umarł Baldwin. Czy pamiętasz młodego rycerza z orszaku króla, Roberta?

- Tak, pamiętam. Przywiózł ciało Baldwina.

- Czy wysłuchasz tego, co ma ci do powiedzenia? Czeka przed twoim namiotem.

Robert opowiedział swemu przyrodniemu bratu o wszystkim, co widział. Gotfryd był szczęśliwy, że jego syn nie umierał samotnie.

Nie mógł sobie jednak przypomnieć, kiedy skrzywdził Mahmuda. Pamięć przywrócił mu Henryk.

- Podczas bitwy z asasynami na pustyni syryjskiej uratowałeś Baldwinowi życie. Zabiłeś wtedy młodego wojownika.

- Zabiliśmy wtedy wielu asasynów, Henryku - prychnął Gotfryd.

Jednak po chwili przypomniał sobie muzułmańskiego żołnierza, który potrzasał włócznią i wykrzykiwał groźne słowa, stojąc nad zwłokami jednego z asasynów.

Robert pragnął także wyjawić prawdę o łączących ich więzach krwi, lecz gdy spojrział na udęczonej twarz brata, odwaga go opuściła.

□ □ □

W obozie krzyżowców wciąż rozmawiano o tym, co zaszło w ciągu ostatnich dni. Bitwę z wojskami Saladyna wprawdzie wygrali, lecz armia wroga nie została wybita. Poniosła straty, ale nadal była groźna. Marsz w kierunku Jerozolimy przez palestyńskie bezdroża był niemożliwy. Krzyżowcy nie mieli

zapasów wody, a przypuszczano, że Saladyn po porażce pod Arsufem zasypie lub zatruje źródła i studnie w Galilei.

Ryszard Lwie Serce postanowił pomaszerować na Askalon, wielką twierdzę nad morzem, położoną w bezpośrednim sąsiedztwie Gazy, na południowy zachód od Jerozolimy. Chciał przycisnąć Saladyna do muru i czekać na jego ruch. Przewaga była teraz po stronie chrześcijan. Przynajmniej do czasu, kiedy Saladyn nie zbierze wszystkich sił z Egiptu i Syrii.

Gdy król dotarł do celu, przeraził się, ponieważ zamiast zamku w niebo strzelały kikuty wież. Załoga muzułmańska zniszczyła go i wycofała się bez walki do Jerozolimy. Saladyn uniknął strat i znów miał przewagę nad wyczerpanymi marszem i upałem krzyżowcami. Wzmocnione ludźmi z Askalonu, jego wojska stanowiły dobrą osłonę Jerozolimy przed armią Ryszarda. Sułtan kazał też wzmocnić mury miasta, nadwątlone przez jego szturm przed paroma laty. Wtedy to Saladyn oblegał miasto. Teraz miał go bronić.

Ryszard Lwie Serce musiał czekać na posiłki z Europy. Wysłał w tej sprawie listy do papieża i swoich lenników we Francji. Liczył też, że zdoła kupić przychylność Konrada z Montferratu, jedyne spośród niemieckich krzyżowców, który nie wrócił do Europy. Jego flota i prywatna armia, licząca cztery tysiące ludzi, stanowiły zbyt ważne wsparcie, aby Ryszard mógł się bez nich obejść w następnej kampanii. Niemiec i jego żołnierze przebywali w Jaffie. Ryszard zdawał sobie sprawę, że będzie musiał drogo zapłacić za przychylność Konrada.



Tymczasem Mahmud wrócił do Damaszku. Jego trzecią żoną została szesnastoletnia kuzynka Saladyna, Selene. Pomysł tego ożenku wyszedł od sułtana, który chciał w ten sposób wzmocnić wpływy swojej rodziny. Mahmud cieszył się ciałem młodej żony, a ona wkrótce stała się brzemienna.

- Oby Allah dał ci wielu pięknych synów - mówili mu przyjaciele, żołnierze i słudzy.

Pierwsza żona Mahmuda była w jego wieku, druga miała trzydzieści lat. Obie urodziły mu osiem córek, lecz ani jednego męskiego potomka! Tymczasem o tym, czy arabski mężczyzna cieszy się poważaniem, decyduje liczba spłodzonych synów. Mahmud uwierzył, że to, iż nie ma synów, to przekleństwo.

Gdy bratanek zginął na syryjskiej pustyni z ręki przeklętego niewiernego, marzenia Mahmuda się rozwiały. Zamierzał bowiem adoptować siostrzeńca, który wychowywał się przecież bez ojca. W ten sposób Osman mógłby zostać jego umiłowanym synem i spadkobiercą. Lecz teraz, gdy sułtan oddał mu za żonę kuzynkę, Mahmud zamierzał płodzić tylko synów. Nie było ważne, czy żona będzie żyła dziesięć, czy piętnaście lat, co roku miała wydawać na świat syna!

□ □ □

Trwał rozejm ogłoszony przez króla Ryszarda i Saladyna. Król Anglii zbierał siły, a Saladyń musiał odbudować fortyfikacje Jerozolimy. Na ten czas Ryszard Lwie Serce, wiedząc o tragedii, jaka spotkała Gotfryda, postanowił wysłać go jako członka poselstwa do Damaszku. Uznał, że Gotfryd znakomicie nadaje się do tej misji, a konieczność podporządkowania się rozkazom powinna pomóc mu wrócić na utarte ścieżki żołnierskiego życia. Posłem króla został jeden z biskupów.

Gotfryd zamierzał wykorzystać tę podróż, aby dowiedzieć się wszystkiego o zabójcy swego syna. Henryk był pełen złych przeczuć. Powiedział Robertowi, że martwi się o stan duszy swego przyjaciela. Obaj doszli do wniosku, że Gotfryd będzie szukał albo zemsty, albo śmierci, albo, co najgorsze, jednego i drugiego.

□ □ □

Niektórzy mówią, że Damaszek jest najpiękniej położonym miastem świata. Najwygodniejszy trakt wiodący do miasta biegnie z Libanu. Kiedy karawana wjedzie na południowe stoki gór Antylibanu, oczom wędrowców ukazuje się białe miasto, przypominające gigantyczny ul.

Gotfryd i jego towarzysze patrzyli zauróczeni. Nie byli pierwszymi krzyżowcami zachwyconymi stolicą Syrii. Prawie pół wieku temu armia jerozolimska oblegała bezskutecznie Damaszek. Teraz miasto było stolicą sułtanatu Ajjubidów, dynastii, którą założył Saladyn.

Drzewa złociły się już w przeczuciu nadciągającej jesieni, a rolnicy rozpoczęli przygotowania do zbioru oliwek. Kiedy krzyżowcy wjechali do miasta, na ulice wyległo wielu mieszkańców, chcących zobaczyć z bliska Franków, którzy przybyli z poselstwem do ich sułtana.

Saladyn przyjął posłów króla Ryszarda iście po królewsku: wyznaczył im na kwatery jeden z pałaców w pobliżu wielkiego meczetu Umajjadów. Zrobił to celowo, chcąc pokazać posłom chrześcijańskiego króla chwałę islamu i Proroka. Jak się okazało, biskup Wilhelm z Tyru znakomicie nadawał się do roli posła. Mówił dobrze po arabsku i znał się na dyplomacji. Miał za zadanie przeciągać rozmowy tak długo jak to możliwe, by dać królowi bezcenny czas.

Gotfryd nie nosił już czarnej kolczugi, bojąc się, że zostanie po niej rozpoznany. Henryk i Robert nie odstępowali go na krok. Wiedzieli, że szuka mordercy swego syna. Pomógł mu przypadek.

Trzecia żona Mahmuda urodziła syna i szczęśliwy ojciec postanowił wydać ucztę na cześć swego pierwszego męskiego potomka. Sułtan przybył na ucztę, a wraz z nim posłowie króla Ryszarda. Zaprosił ich, chcąc im pokazać, że jego potęga ma oparcie w poddanych, którzy służą mu nie z musu, lecz z wyboru.

Gotfryd obserwował uważnie Mahmuda i całą jego rodzinę. Widział ich szczęście oraz radość z powodu narodzin syna, którego nazwano Husejn, a w głębi jego duszy czaiła się zimna nienawiść. Wciąż myślał o swoim synu,

którego ciało gniło w ziemi. Wiedział, że szczęście Mahmuda zostało zbudowane na niesprawiedliwości. Baldwin był przecież tak samo niewinny, jak nowo narodzony syn muzułmanina. Został zamordowany przez człowieka, który teraz, na jego oczach, świętuje narodziny swego dziedzica.

□ □ □

Kiedy misja się zakończyła, Gotfryd zebrał swoich ludzi, niemieckich rycerzy oraz Henryka i Roberta i rzekł:

- Chciałbym wam podziękować za troskę, jaką mi okazaliście po śmierci mojego syna. Baldwin musi zostać pomszczony.

Rycerze pokiwali głowami. Robert, czując się winnym śmierci Baldwina, nie odezwał się słowem, ale Henryk, wiedząc, do czego zmierza jego przyjaciel, nie mógł milczeć i zapytał:

- Gotfrydzie, na rany Chrystusa, co zamierzasz zrobić? Przyjaciele spojrzeli sobie w oczy.

- Zamierzam pomścić Baldwina i wyrznąć całą rodzinę, Mahmuda. Czy chcesz mi pomóc?

- Przyjacielu, kiedyś znalazłem się na dnie - odrzekł Henryk po namyśle - a ty mi pomogłeś. Teraz ja chcę pomóc tobie. Zemsta to nie jest dobre rozwiązanie. Zastanów się, czy chciałby tego twój syn i czy chciałby tego Chrystus.

- Chronź mnie, Boże, od takich przyjaciół jak ty, a z wrogami i z mordercą mojego syna poradzę sobie sam! - krzyknął Gotfryd. - Wyrzekam się ciebie i Boga, który zabrał mi syna!

- Opamiętaj się! Tyś postradał rozum!

- Dobrze wiem, co robię, ty heretyku, ty tchórze! Opowiedz wszystkim o tym, jak byłeś członkiem sekty katarów! No, mów! Nie potrzebuję twoich pouczeń. Sam z moimi ludźmi pomszczę syna. Zejdź mi z oczu! To koniec naszej przyjaźni!

- W takim razie niech będzie, jak chcesz. Żal mi ciebie, Gotfrydzie - rzekł zimno Henryk i odszedł.

□ □ □

Przed wyruszeniem z Damaszku ludzie Gotfryda porwali tłumacza, który mieszkał w domu Mahmuda. Wskazał go Robert, ponieważ doskonale pamiętał jego twarz. Gotfryd uznał, że ten chrześcijanin, który przeszedł na islam, jest współwinny śmierci Baldwina.

Tłumacz został związany i ukryty w jednym z wozów poselstwa. Nikomu w Damaszku nie przeszło nawet przez myśl, że rycerz wchodzący w skład poselstwa dopuścił się porwania. Gdyby wyszło to na jaw, Ryszard Lwie Serce musiałby wydać Gotfryda w ręce Saladyna. Gotfryd to wiedział, dlatego jego ludzie złożyli przysięgę, że zachowają wszystko w sekrecie. Robert także złożył tę przysięgę, choć nie bez oporów. Był przerażony tym, że sensem życia jego brata stała się zemsta.

Gotfryd i trzydziestu niemieckich rycerzy odłączyli się od poselstwa w górach Libanu. W orszaku biskupa, liczącym ponad czterystu ludzi, nie zwrócono na ten fakt większej uwagi.

□ □ □

Mahmud zbliżył się do swej trzeciej małżonki niecałe dwa tygodnie po narodzinach Husejna. Był szczęśliwy, że łono jego żony okazało się tak zdrowe i płodne, i dlatego czym prędzej postanowił znowu napełnić ją swoim nasieniem, by powiła następnego syna.

Uznał, że byłoby rzeczą wielce rozsądną, aby jego trzecia małżonka, umiłowana Selene, oraz cała jego rodzina udali się do Mekki. Każdy muzułmanin powinien przynajmniej raz w życiu odbyć tę pielgrzymkę, a Mahmud do tej pory nie spełnił tego świętego obowiązku. Jego pierwsza żona, wkraczająca już w pięćdziesiąty rok życia, powiedziała mu, że Allah tak długo nie chciał mu błogosławić, ponieważ Mahmud nie był w Mekce. Teraz, kiedy łono Selene wydało syna, odbycie tej pielgrzymki było świętym obowiązkiem.

- Zaiste, mądrość przemówiła przez ciebie, kobieto. Proszę, opiekuj się Selene, aby niczego jej nie brakowało - rzekł do swej pierwszej żony.

- Jylahmudzie, nie mogę dać ci synów, bo moje łono wyschło. Uważam jednak, że zanedbujesz drugą żonę, która ma dopiero trzydzieści lat. Wylewa codziennie morze łez, ponieważ nawet na nią nie spojrzysz. Wstydz się, na Allacha!

Słyszając wyrzuty z ust najstarszej żony Nur (co po arabsku znaczy „światło”), przed rozpoczęciem pielgrzymki do Mekki postanowił zapłodnić łono drugiej żony, Rai. Uznał, że jeśli po powrocie z Mekki obydwie żony urodzą synów, będzie to znak, że gniew Allacha minął.

□ □ □

Gotfryd i jego rycerze zaszyli się w jaskiniach Libanu. Upolowali kilka dzikich kóz, upiekli ich mięso i jedząc, układali plan szaleńczego ataku.

- Tłumacz powiedział mi, że rodzina Mahmuda wkrótce wybiera się z pielgrzymką do Mekki. Wiem dokładnie, jaką drogą pójdzie jego karawana - rzekł Gotfryd. - Pamiętajcie, że ten człowiek nie tylko zabił mojego syna, ale też zaatakował was nad rzeką Salef. To śmiertelny wróg naszej wiary.

- Karawany są zwykle chronione - zauważył Robert.

- To prawda, ale tylko takie, które wiozą towary. Te zmierzające do Mekki nie są chronione, ponieważ tylko przechodzą przez terytoria arabskie. Zresztą nikt nie spodziewa się ataku cztery dni drogi od Damaszku.

Gotfryd zamierzał dokonać zuchwałej zbrodni, dorównującej rzeziom i napadom Reynalda z Chatillon, zwanego przez Arabów *Āmat* („słoń”), który napadał na karawany. Skończył marnie, zabity przez Saladyna.

□ □ □

Wyruszyli w nocy. Konie pędziły przez mrok. Pasterze, widząc ich, myśleli, że to stado diabłów wyskoczyło z piekła i poluje na niewinne dusze.

Z Damaszku odchodził na południe w stronę pustyni arabskiej tylko jeden szlak, którym musiała przejść karawana. Biegł przez pustynne wzgórza, gdzie

trzydziestoosobowy oddział mógł z łatwością się ukryć. Gotfryd spodziewał się zjadłej obrony i chciał spotkać śmierć. Uznał, że lepiej jest zginąć, próbując pomścić śmierć syna, niż żyć w poczuciu winy. Sumienie mówiło mu co prawda, że nie można odpowiadać zbrodnią na zbrodnię, jednak wściekłość zdusiła wszelkie wyrzuty sumienia, wszelką litość.

- Zabijcie wszystkich - powiedział do swoich ludzi. Robert postanowił, że użyje miecza tylko w obronie brata.

Nie będzie zabijał ani kobiet, ani dzieci.

Dwaj ludzie powlekli tłumacza na szczyt wzgórza, z którego mieli obserwować, czy zbliża się karawana. Gotfryd postanowił, że atak nastąpi dopiero wtedy, kiedy cała karawana znajdzie się na ich wysokości.

Czekali. Gotfryd słyszał bicie swego serca i szum krwi w tętnicach. Wpatrywał się w morze piasku i czuł się przeraźliwie samotny.

□ □ □

Karawana liczyła sto pięćdziesiąt wielbłądów. Jechały w niej żony i córki Mahmuda z mężami i służbą. Sam wódz asasynów miał dołączyć do rodziny za dwa lub trzy dni. Został w Damaszku na prośbę Saladyna, który chciał, by uczestniczył w naradzie wojennej.

Bystre oczy przewodników karawany szybko dostrzegły jeźdźców zjeżdżających ze wzgórza. Nie wyglądali na Arabów. Zaczęli zbliżać się do traktu. Pędzili coraz szybciej.

- Oni nas zabiją - wyszeptała Selene, tuląc synka.

□ □ □

Mimo ostrych podmuchów gorącego wiatru, pochylony nad końskim łbem Robert usłyszał okrzyki przerażenia i płacz. Kilku młodych ludzi, zięciów Mahmuda, próbowało się bronić, ale szybko zostali zabici. Krzyki kobiet mieszały się z rykami przestraszonych wielbłądów. Po paru chwilach było po wszystkim.

Atakujący zsiadli z koni i rozpoczęli przeszukiwanie wozów. Gotfryd, Robert i dwóch Niemców skierowali się w stronę najokazalej wyglądającego wozu. Gdy rozcięli płótno, ujrzeli trzy niewiasty. Jedna miała około pięćdziesięciu lat, druga dobiegała trzydziestki, a najmłodsza wyglądała jak dziewczynka. Gotfryd pomyślał, że to córka tej starej, ale tłumacz wyjaśnił, iż to trzecia żona Mahmuda.

- To ona urodziła mu pierwszego syna, Husejna - dodał. Widząc go, najstarsza żona Mahmuda syknęła:

- Mój mąż kiedyś darował ci życie, ty gadzie. Ja mówiłam mu, że powinien cię zabić!

Zeszła z wozu, podeszła do tłumacza i plunęła mu w twarz. Ten wytarł ślinę i uderzył starą kobietę tak mocno, że zatoczyła się i upadła. Druga żona, Raja, zeskoczyła z wozu i pomogła jej wstać. Dziecko Selene zaczęło płakać.

- Pozwólcie mi go nakarmić. Jest głodny, a moje piersi są pełne pokarmu - prosiła młoda matka.

- Połóż syna na piasku, a zachowasz życie, ty muzułmańska suko - warknął Gotfryd.

Selene mocniej przytuliła niemowlę, a rycerz ruszył w jej stronę. Przeczuwając, że chce skrzywdzić maleńkiego Husajna, Nur rzuciła się na niego jak lwica, ale Gotfryd był szybszy. Lewą ręką chwycił ją za gardło i przebił na wylot trzymanym w prawej ręce mieczem. Krew trysnęła jej z ust, kobieta zatoczyła się i padła martwa na piach.

Córki Mahmuda, widząc śmierć Nur, ukłękły przy jej ciele, szlochając. Selene chciała uciec, ale potknęła się i przewróciła. Nie wypuściła jednak z objęć Husejna. Gotfryd zdarł z jej głowy chustę i poderżnął gardło. Skonała, przyciskając dziecko do piersi.

Robert rzucił się na brata, złapał go za ramiona i odciągnął od dziecka płaczącego w ramionach martwej matki.

- Zabiłeś już dwie niewinne kobiety, ale dziecka nie pozwolę ci tknąć. Będziesz musiał zabić najpierw mnie! - krzyknął. Gotfryd rzucił się na Roberta. Zaczęli walczyć. Szczęk mieczy rozbrzmiewał w całej dolinie. Niemieccy rycerze patrzyli na nich oniemiałi.

Gotfryd w pewnej chwili zadał tak silny cios, że Robert zachwiał się i odsłonił, a wtedy Gotfryd z całej siły uderzył go w twarz ozdobną głownią znajdującą się u podstawy jelca.

Robert upadł, a jego szyszak potoczył się po piasku.

- Zabiję cię! - krzyczał Gotfryd. - To przez ciebie mój syn nie żyje!

Uniósł miecz, by zadać cios, lecz Robert błyskawicznie przewrócił się na brzuch i ostrze rozorało żwir. To rozwścieczyło Gotfryda jeszcze bardziej. Gdy zamachnął się, by zadać śmiertelny cios, Robert krzyknął:

- Jestem twoim bratem!

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział XXV

SZALENIEC Z AKKI

Rzym, rok 1201

Stary Rupert, hrabia Paderbornu i opat klasztoru benedyktynów w Sankt Gallen, otrzymał kapelusz kardynalski z rąk papieża Innocentego III, niegdyś kardynała Lotariusza z Segni, jednego z najbardziej zaufanych ludzi ojca Ruperta. Benedyktyn należał do nielicznych kardynałów spoza Rzymu. Czuł się spełniony jako kapłan i sługa papieża.

Wyprawa Ryszarda Lwie Serce zakończyła się połowicznym sukcesem. Odzyskano zaledwie jedną trzecią terytorium dawnego Królestwa Jerozolimskiego, ale właśnie w tej części znalazły się najważniejsze porty: Askalon, Jaffa, Tyr i Trypolis. Joannici trzymali się mocno na Rodos, templariusze rządzą twardą ręką w Akce, a nowy król jerozolimski, Jan z

Brenny, okazał się zdolnym administratorem. Cóż to za królestwo bez stolicy? - pomyślał gorzko Rupert. Jerozolima należała do sułtanatu Ajjubidów. Muzułmanie dotrzymywali układów zawartych jeszcze z Ryszardem Lwie Serce i nie nękali chrześcijan udających się na pielgrzymkę do grobu Chrystusa i innych świętych miejsc. Zapanował rozejm na zasadzie *status quo*. Wznowiono handel. Wszyscy byli zmęczeni wojną.

Rupert pomyślał z żalem o tych, którzy odeszli na zawsze. Ryszard Lwie Serce dwa lata wcześniej zginął w Normandii w jakiejś awanturze ze swoimi wasalami. Nie żył także od lat dziesięciu templariusz Hubert z Croisilles, a jego umiłowany uczeń, Gotfryd z Melville, po śmierci syna ponoć oszalał. Powracający z Ziemi Świętej do Europy rycerze przywieźli o nim tyleż smutne, co przerażające wieści. Mówili, że dopuścił się strasznych czynów i zniknął.

□ □ □

Któregoś dnia do Rzymu przybyli dwaj templariusze i poprosili o rozmowę z kardynałem, a ten przywitał ich niezwykle serdecznie. Henryka pamiętał bardzo dobrze, ale nie ukrywał zaskoczenia, że dawny sługa, a potem przyjaciel Gotfryda, został komturem zakonu templariuszy.

- Gdzie jest teraz twoja komandoria, bracie? - zapytał kardynał.

- To komandoria pod wezwaniem świętego Mateusza, a znajduje się na Cyprze - odrzekł Henryk.

Młodszy templariusz nosił białą tunikę z czerwonym krzyżem, rycerski pas z mieczem i biały płaszcz z kapturem. Miał zadbaną, krótką brodę.

- Eminencjo, to Robert z Melville - przedstawił go Henryk. - Przyrodni brat Gotfryda.

Słudzy kardynała odebrali od rycerzy płaszcze i rynsztunek i gdy wszyscy rozsiedli się wygodnie, Rupert natychmiast zaczął opowiadać gościom o swojej wizji odzyskania Jerozolimy.

- Eminencjo... - próbował mu przerwać Henryk.

- Wiem, że znacie się na wyprawach wojennych znacznie lepiej ode mnie. Wybaczcie staremu... - zmitygował się starzec.

- Ależ, eminencjo, nie miałem zamiaru ci przerywać...

- Owszem, komturze, miałeś... - Rupert ściągnął brwi, ale po chwili rozchmurzył się i rzekł: - Zapraszam was na wieczerzę.

Był piątek, dzień postu, dlatego odmówiwszy modlitwę, zjedli gotowaną rybę. Była znakomita.

- Przepis na tę rybę jeden z moich braci benedyktynów znalazł w bibliotece klasztoru na Monte Cassino - rzekł Rupert, nakładając sobie spory kawałek. - Przepis pochodzi z książki kucharskiej rzymskiego poganina, Apulejusza, *De piscis et altris fructis mari*, - „O rybach i innych owocach morza”. Podobno w dawnym Rzymie spożywano tak przyrządzone minogi. Przyznacie, że ryba jest pyszna.

- Tak, eminencjo. Odwykliśmy od dobrego jedzenia. Jadamy, że tak powiem... raczej skromnie - westchnął Henryk.

- No i słusznie, moi drodzy bracia! - Kardynał chyba nie dosłyszał jego słów. - Cieszę się, że mogę was poczęstować tym, co sam jadam. Gdybyście tylko spróbowali muli gotowanych w białym winie, wspaniałych krabów z cieśniny messyńskiej... Palce lizać!

- W takim razie miejmy nadzieję, że owemu poganinowi, kucharzowi Apulejuszowi, będą oszczędzone męki w czyścicu, skoro tyle wieków po śmierci sprawił tyle radości synom i córkom świętego Kościoła - spuentował Robert ten kulinarny wątek.

□ □ □

Po wieczerzy wszyscy trzej zasiedli w komnacie, w której kardynał Rupert zwykł przyjmować gości. Starzec był teraz skupiony i poważny.

- Drodzy bracia, ogromnie się cieszę, że do mnie przybyliście - zaczął - albowiem mam nadzieję, iż wyjaśnicie mi kilka spraw. Brat Henryk powinien pamiętać, że poznałem go w nader interesujących okolicznościach. Zarówno ty,

bracie, jak i twój przyjaciel, Gotfryd z Melville, zostaliście członkami Bractwa Mandylionu. W wyniku splotu różnych wydarzeń nasz cel, jakim było odnalezienie mandylionu, nie został osiągnięty. Teraz jednak zaistniały okoliczności, które pozwolą nam doprowadzić dzieło do końca. Zakon templariuszy, który wydatnie przyczynił się do dzisiejszej potęgi Bractwa, a którego jesteście członkami, będzie miał w naszym wspólnym dziele wielką rolę do odegrania. Ale najpierw powiedzcie mi, czy to prawda, co mówią o Gotfrydzie?

Templariusze posmutnieli. Historia Gotfryda stała się w Europie znana, odkąd rycerze króla Ryszarda Lwie Serce zaczęli wracać do domów po zakończonej krucjacie. W tych opowieściach, zazwyczaj mocno ubarwionych, było jednak sporo prawdy.

- W większości to prawda, co mówią ludzie - odparł smutno Henryk, a słowom tym towarzyszyło westchnienie. - Lepiej jednak, jeśli tę smutną historię usłyszysz, eminencjo, od Roberta, który był naocznym świadkiem wielu wydarzeń, w tym śmierci Baldwina, syna Gotfryda, oraz tego, co nastąpiło potem.

- Mahmud al-Fais, wódz syryjskich asasynów, i Gotfryd wyrządzili wiele zła - powiedział Robert - a ich krwawe porachunki doprowadziły do tego, że zginęli niewinni ludzie. Jeśli pozwolisz, zacznę od dnia, w którym Gotfryd stracił syna...

Syria, południowy szlak z Damaszku do Mekki, jesień, rok 1191

Miecz upadł na piasek.

- Jestem twoim bratem! - powtórzył Robert. Gotfryd milczał. Robert wstał powoli.

- Jestem synem Hugona z Melville i Juliette, której tak bardzo nie lubieś - ciągnął. - Ojciec powiedział mi o tobie. Kiedy umierał, prosił mnie, abym cię odnalazł. Myślałem, że kiedy to zrobię, wyjaśnię ci wszystko i zyskam w tobie przyjaciela. Zawiodłem się. Jesteś mordercą. Zabiłeś dwie kobiety, które nie

zrobiły ci nic złego, zabiłeś sługi oraz zięciów Mahmuda. Jeśli musisz pomścić syna, to zabij Mahmuda, ale nie zabijaj jego dzieci. Nie zwrócisz życia Baldwinowi.

Gotfryd wpatrywał się w brata. Jego twarz przypominała Robertowi twarz ojca.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - wykrztusił wreszcie Gotfryd.

- Bóg mi świadkiem, że wiele razy chciałem ci o tym powiedzieć, ale kiedy zginął Baldwin, nie wiedziałem... Nie mogłem... Popatrz, co zrobiliśmy. Zaatakowaliśmy ludzi, którzy nie uczynili nam nic złego. Zawinił Mahmud, to on jest mordercą. Niczym się od niego nie różnisz!

- Milcz! - syknął Gotfryd.

- Zostawmy tych ludzi. Mają wielbłądy, jedzenie, nie zginą...

- Nie. Zostanę tu i poczekam na Mahmuda - powiedział Gotfryd zimno. - Niech Bóg rozstrzygnie!

Robert zdał sobie sprawę, że jego brat pragnie śmierci.

- Czy twoja śmierć komukolwiek pomoże? - perswadował. - Błagam cię, odejźmy stąd. Nie wskrzesisz Baldwina. On odszedł na zawsze.

Robert podszedł do brata i położył mu dłoń na ramieniu. Gotfryd popatrzył na swoje ręce, po czym powiódł wzrokiem dookoła. Na piasku leżało kilkadziesiąt ciał.

- Dobrze. Odejźmy stąd - powiedział, a słowa z trudem wydobywały się z jego wyschniętego gardła.

Dał swoim ludziom znak, by wsiedli na konie. Zabrano tylko część łupów, zostawiając Raję z córkami i trupami Nur i Selene, ciałami ich mężów i sług oraz maleńkim dzieckiem.

□ □ □

Mahmud al-Fais dotarł do miejsca, gdzie karawana została tak brutalnie zatrzymana, wieczorem tego samego dnia. Raja siedziała oparta plecami o wóz, z dzieckiem w ramionach, kołysząc się w tył i w przód i wpatrując

niewidzącymi oczami w bezkres piasków. Jej córki siedziały nieopodal. Mahmud stanął przed nią. Po jego policzkach spływały łzy.

- To nie byli rozbójnicy - wyszeptała Raja. - To był oddział Franków, a dowodził nimi człowiek, w którego oczach zobaczyłam obłęd. Widziałam też naszego tłumacza; darowałeś mu życie. To on pomógł Frankom nas znaleźć. Ten szalony chrześcijanin chciał zabić twego syna, ale jeden z Franków mu w tym przeszkodził... - Urwała i zaczęła spazmatycznie szlochać. Mahmud padł na kolana.

- Kobieto, ja jestem temu winny, bo zabiłem syna tego niewiernego, chcąc pomścić śmierć Osmana. Niech będzie przeklęty dzień, w którym go spotkałem!

- Musisz odnaleźć i zabić tego człowieka - rzekła Raja. - On jest niespełna rozumu i na pewno znowu nas dopadnie.

Mahmud zerwał się na równe nogi.

- Uczynię to, na Allacha, ale najpierw zabiję ciebie, bo nie obroniłaś Selene.

Raja zawołała na pomoc swe córki, lecz one śmiertelnie bały się ojca i nie pospieszyły jej na ratunek. Wiedziały, że bez mężów stały się niczym.

Mahmud poderznął Rai gardło, tak jak w krajach arabskich podrzyna się gardła niewiernym żonom lub córkom.

Chcąc ukryć swój czyn, kazał rozgłaszać, że okrutny Frank zabił także jego drugą żonę.

Husejn został z córkami Rai, które zaopiekowały się nim troskliwie. Mahmud dał im eskortę i kazał wracać do Damaszku. Sam zaś udał się na poszukiwanie Gotfryda. Przysiągł sobie, że albo go zabije, albo sam zginie.

□ □ □

Kiedy skończył się ramadan, asasyni znów pokazali swoją siłę. W błyskawicznym ataku, który przeprowadzili w Trypolisie, a więc na ziemiach chrześcijańskich, zamordowali króla jerozolimskiego Konrada z Montferratu.

- Na litość boską, Konrad z Montferratu był najwybitniejszym krzyżowcem po Ryszardzie Lwie Serce! Jego śmierć to dla Królestwa Jerozolimskiego straszliwy cios! - przerwał młodemu templariuszowi ojciec Rupert. - Koresponduję z jego kuzynem, hrabią Bonifacym z Montferratu.

- W jakiej sprawie, eminencjo? - zainteresował się Robert.

- W sprawie mandylionu. Musimy przecież odzyskać tę relikwię. Obiecałem sobie, że teraz to się stanie.

- Nie bardzo rozumiem, co wspólnego z odzyskaniem mandylionu ma Bonifacy z Montferratu - zdziwił się Henryk. - Słyszeliśmy o nim co nieco i niestety nie jest to nic dobrego. Ma opinię awanturnika.

- Zaufajcie mi. Opowiem wam wszystko w swoim czasie. Bonifacy z Montferratu jest częścią naszego nowego planu zdobycia mandylionu - rzekł tajemniczo ojciec Rupert. - Opowiadaj dalej - poprosił Roberta.

□ □ □

Po ataku na karawanę Gotfryd zamknął się w sobie jeszcze bardziej. Nakazał Robertowi wracać do króla, aby nie posądzono go o udział w napadzie, zwolnił także swoich Niemców z przysięgi. Część z nich pragnęła wrócić do Europy, ponieważ spełnili swój obowiązek i nie mieli nic do roboty. Gotfryd pozostał w górach Libanu. Pragnął jedynie śmierci.

Mahmud zdecydował, że do Egiptu wyruszy tylko w asyście trzech najlepszych ludzi. Powiadomił Saladyna, że zastosuje się do jego rozkazów, ale postanowił wyruszyć w góry Libanu, przeczuwając, że tam ukrył się Gotfryd. Jeden z jego ludzi był bystrym tropicielem, miał na imię Semir.

Pewnego dnia pod wieczór ujrzeli ślady konia - zawracały, po czym skręcały w zupełnie nielogicznym kierunku lub urywały się nad przepaścią.

Postanowili skrócić w jedną z licznych dolin, gdzie zmierzały ślady. Spodziewali się, że pod skalnymi uskokami znajdą źródło i napoją wielbłądy. W pewnej chwili Semir zauważył wspaniałego czarnego rumaka. Zawołał na towarzyszy, aby przyspieszyli i dołączyli do niego. Szybko odmówili kilka

wersetów Koranu, albowiem w ich sercach zagościła obawa, że czarny koń wcale nie należy do poszukiwanego przez nich człowieka, a raczej do jakiegoś złośliwego pustynnego dzina.

- Co to za rumak? - zapytał zdziwiony Mahmud.

- To koń, którego śledzimy od dwóch dni - wyjaśnił Semir.

Jego wprawne oko dostrzegło, że koń ma uprząż, zauważył też kontur wysokiego siodła. Mahmud nie odczuwał strachu, ale dziwny niepokój.

- Semirze, przyprowadź nam tego konia - rozkazał młodemu człowiekowi.

Semir ociągał się z wykonaniem polecenia. Samotny koń z siodłem, bez jeźdźca, pośrodku pustyni, nie był częstym widokiem. W końcu Semir uderzył wielbłąda nahajką w zad i zwierzę ruszyło posłusznie przed siebie.

Po kilku chwilach tropiciel znalazł się blisko konia. Było to najpiękniejsze zwierzę, jakie widział w życiu. Rumak był zadbany, miał lśniąca sierść i wyszczotkowaną grzywę. Semir złapał konia za uzdę i nagle usłyszał świst. Już miał się odwrócić, gdy poczuł przeszywający ból, a z gardła chlusnął mu strumień krwi. Po chwili runął martwy w piach pustyni.

Trzej pozostali asasyni, widząc, jak ich druh spada z wielbłąda, popatrzyli po sobie zdezorientowani.

- *Allah Akbar!!!* - syknął Mahmud.

Zaraz potem usłyszeli gwizd i zobaczyli człowieka ubranego na czarno, wyłaniającego się zza krzewu akacji. Wiedzieli już, że zostali zwabieni w pułapkę. Jeden z asasynów, brat Semira, wydobył szablę, spiął wielbłąda i ruszył na intruza z przeraźliwym krzykiem.

- Stój, głupcze! - wrzasnął Mamhud. - To pułapka!! Ale młodzieniec nie słuchał. Chciał koniecznie pomścić Semira, chciał dopaść mordercę i go zabić. Po chwili i on leżał martwy na piasku przeszyty bełtem z kuszy.

- Wycofujemy się!!! - rozkazał Mahmud jednemu ocalałemu słudze.

Wiedział, że wróg na koniu dogoni ich bez trudu. Byle tylko wydostać się z doliny, a wielbłąd poradzi sobie lepiej między głazami, myślał gorączkowo. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że śmiertelny wróg sobie z niego zakpił. To on miał go odszukać, a teraz sam jest ścigany. Niewierny, odziany w czarną arabską szatę, wskoczył na konia i rozpoczął pościg.

Mahmud szybko stwierdził, że ucieczka na nic się nie zda. I czyż nie byłaby hańbą? Oto Allah dał mu możliwość walki na śmierć i życie z najbardziej nienawidzonym przez niego człowiekiem. Albo zwycięzę i zanurzę żelazo w ciele mego wroga, albo zginę, pomyślał.

Kiedy zatrzymał wielbłąda, człowiek w czerni dopadł jego towarzysza i rozplątał mu mieczem głowę. Zostali tylko oni dwaj, Mahmud al-Fais, syn islamu, i krzyżowiec Gotfryd z Melville. Wpatrywali się w siebie w milczeniu. Mahmud wiedział, że czarny rycerz jest doskonałym wojownikiem.

- Twój syn rzeźił jak wieprz, kiedy umierał - wysyczał.

- Ty muzułmański psie - odpowiedział Gotfryd po arabsku. - Zabiję cię.

Mahmud ściągnął krzaczaste brwi.

- Zsiądź z konia, chrześcijaninie - rzekł. - Stocz ze mną walkę na śmierć i życie. Moja szabla przeciw twemu mieczowi.

Zeskoczyli na ziemię. Wielbłąd natychmiast położył się w cieniu dużego głazu, a koń prychał niecierpliwie. Damasceńska szabla brzęknęła przy wyciąganiu z pochwy z węzowej skóry. Ostry jak brzytwa miecz wydał wyższy, ale nie mniej przerażający dźwięk.

Mahmud rzucił się na Gotfryda. Szabla ze świstem przecięła gorące powietrze. Miecz odbił jej ostrze. Gotfryd uniósł miecz nad głowę i trzymał go, patrząc w oczy Mahmuda posuwającego się wokół niego po niewidzialnym okręgu. Arab znów zaatakował. Nie znając europejskiej sztuki walki na miecze, zbliżył się za bardzo i zamiast zadać zdradziecki cios w pierś krzyżowca, musiał parować razy. Nagle zachwiał się i poczuł w ręce przeszywający ból, ale szabla

z damasceńskiej stali wytrzymała. Mahmud uderzył. Cios za cios, uderzenie za uderzenie. Walczyli zaciekle, wzbijając tumany piasku.

Mahmud wiedział już, że pokonanie Gotfryda nie będzie łatwe, a Gotfryd miał świadomość, że może stracić życie, choć to dawało mu nadzieję, że wreszcie spotka się z synem. Był pewien, że nawet jeśli zabije Araba, nie odnajdzie sensu życia. Ten sens zniknął wraz ze śmiercią Baldwina.

Walczyli już dobrą godzinę. Mahmud miał głęboką ranę na lewej ręce, a Gotfryd na prawej nodze. Obydwaj byli wyczerpani. Arab uznał czarnego rycerza za równego sobie przeciwnika - uśmiercenie go przysporzy mu chwały.

- Już niedługo się spotkamy, synu - szepnął w pewnej chwili Gotfryd, spoglądając w niebo.

Wprawdzie jego miecz zranił lewe ramię asasyina, ale nie zdołał zadać śmiertelnego cięcia. Musiał trzymać miecz oburącz, bo już brakowało mu sił. I wtedy muzułmanin rozpoczął decydujący atak. Gotfryd odbijał cięcia szabli tak długo, jak mógł utrzymać miecz. Muzułmanin nie był jednak tak szybki jak na początku. On też był zmęczony. W pewnej chwili Gotfryd potknął się o kamień, stracił równowagę i upadł. Nie miał siły wstać. Czuł, że mógłby tak leżeć bez końca, oddychając ciężko i czekając na śmierć.

- Wstawaj - wysapał Mahmud.

- Zabij mnie - odrzekł Gotfryd. - Moje życie nie ma sensu, nie przedłużaj moich cierpień. Skoro zabiłeś mego syna, spraw, bym się z nim połączył.

- Gdybyś był muzułmaninem, podbilibyśmy cały świat na chwałę Proroka. Jesteś jednak niewiernym psem i musisz umrzeć. Nie żałuję, że zabiłem twojego syna. Ty zabiłeś mojego siostrzeńca Osmana, który był dla mnie jak rodzony syn.

Gotfryd z trudem dźwignął się na kolana i spojrzał na Mahmuda, który był tak pewny zwycięstwa, że stracił czujność. Gotfryd wiedział, że musi zaatakować w ułamku sekundy.

Mahmud uniósł szablę.

- Giń!!! - wrzasnął. - Allach jest wielki!

Gotfryd pochylił głowę, a ostrze szabli ze świstem przecięło powietrze. Prawą ręką wy dobył sztylet i z całej siły wbił go między żebra Araba. Na twarzy Mahmuda odmalowało się bezbrzeżne zdumienie.

- Mój syn był lepszym człowiekiem niż ty - wycedził Gotfryd przez zęby.

Wyszarpnął ostrze i wbił je ponownie. A potem jeszcze raz, i kolejny. Wpadł w szal. Jego dłoń była czerwona od krwi. Muzułmanin próbował rękami podtrzymać wypływające trzewia. Gotfryd, dysząc ciężko, stał nad nim, chcąc zobaczyć, jak kona. Gdy Mahmud oddał ducha Bogu, Gotfryd wsiadł na konia, nie dbając o to, dokąd zmierza.

□ □ □

Rupert słuchał tej opowieści z zapartym tchem.

- Zgaduję, bracia, że to nie koniec? - zapytał wreszcie.

- Oczywiście, że nie - zapewnił Robert. - Skąd dowiedziałbyś się, eminencjo, o tym, czy mój brat przeżył w libańskich górach, gdzie się teraz znajduje oraz skąd my to wszystko wiemy?

- Właśnie, właśnie, kto wam o tym opowiedział?

- No więc...

□ □ □

Mnisi z eremu Świętego Jerzego wędrowali przez pustynię, prowadząc kilka jucznych osłów. Szli, podziwiając piękno i dzikość otaczających ich jałowych wzgórz i skalnych ścian, wznoszących się niczym kamienne olbrzymy. Trzy razy w ciągu dnia stawali, by odpocząć, gotowali strawę i modlili się, recytując psalmy.

Zapadał wieczór. W pewnej chwili zauważyli samotnego jeźdźca. Nie wyglądał na kupca, raczej na żołnierza. Jego koń włókł się kopyto za kopytem, jakby był bardzo zmęczony. Gdy ta dziwna para się zbliżyła, mnisi stwierdzili, że jeździec ledwo trzyma się w siodle.

Podbiegli do niego i pomogli mu zsiąść z konia. Z jego nogi sączyła się krew, majaczył. Napoili go i postanowili, że zabiorą do klasztoru.

Mijały miesiące. Czarny rycerz nie chciał nikomu wyjawić swego imienia. Gdy wydobrzeał, poprosił przeora, by pozwolił mu zostać w klasztorze. Oddał jednemu z mnichów swoją zbroję, miecz i sztylet i powoli uczył się świata od nowa. Musiał nazwać na nowo światło i ciemność i nauczyć się żyć bez syna. Był to czas trudny, ale błogosławiony. Rana, jaką miał w sercu, zablizniała się powoli. Odnalazł radość w wykonywaniu codziennych czynności, bo podświadomie wiedział, że syn pragnąłby, aby żył.

Mnisi podejrzewali, że ten człowiek ma coś na sumieniu, ale nie śmieli go wypytywać. Uznali, że jeśli zechce, to im opowie. Po sześciu miesiącach poprosił przeora o spowiedź. Wysłuchawszy, co ma do powiedzenia ten nieszczęśnik, przeor pozwolił mu zostać w klasztorze tak długo, jak zechce. I zaczął się codziennie za niego modlić.

Po niemal roku od pojedynku w dolinie do klasztoru przybyła grupa krzyżowców, szukających rycerza, który zaginął w tych stronach. Przewodził im Robert z Melville. Tak więc bracia stanęli twarzą w twarz. Robert ujrział wychudzonego człowieka o płonących oczach, który poruszał się jak we śnie. Wydawało się, że jego myśli błądzą gdzieś daleko, jakby doczesne życie dla niego nie istniało.

- Gotfrydzie, wróć ze mną do Akki - poprosił Robert.

- Po co? - Gotfryd wzruszył ramionami.

- Dla mnie. Dla pamięci ojca, który kazał mi cię odnaleźć.

- Nie ma dla mnie odkupienia. Zabiłem niewinnych ludzi. Straciłem syna. Próbowałem zabić brata. Nosilem krzyż na piersi i czynilem zło w jego imię. Czy uważasz, że po tym wszystkim powinienem wrócić?

- Tylko tak będziesz mógł odkupić winy.

- Jeśli to zrobię, będzie to oznaczać, że zbrodniarze mogą chodzić po ziemi bez kary. Nie mogę się na to zgodzić. Muszę ponieść karę. Zostanę tutaj, Robercie.

- Co się stało z Mahmudem al-Faisem? - chciał wiedzieć Robert.

- Zabiłem go. - Gotfryd w krótkich słowach opisał, co się wydarzyło.

- Tak przypuszczałem - westchnął Robert, gdy brat skończył opowieść. -

Nie interesuje cię, czy Ryszard odzyskał Jerozolimę?

- Nie, ale zgaduję, że nie odzyskał.

Robert opowiedział o ostatniej kampanii króla Anglii, o zaciętych walkach na przedpolu Jerozolimy. Anglicy podeszli bardzo blisko. Ryszard nie chciał jednak oglądać miasta, którego nie mógł wyzwolić. Nakrył głowę połami płaszcza i gorzko zapłakał.

- Wiem, dlaczego król Ryszard nie chciał patrzeć na Jerozolimę - powiedział Gotfryd po długiej chwili milczenia.

- To powiedz mi, bo ja tego nie pojmuję.

Gotfryd popatrzył na brata, a w jego oczach malowało się cierpienie.

- W drodze do Jerozolimy uczynił wiele zła. Z tego samego powodują nie chcę wracać do dawnego życia i dawnego bólu. Pozwól mi tu zostać.

Robert był bezradny. Został w klasztorze jeszcze jeden dzień, lecz widząc, że nie przekona brata, odjechał do Akki. Czuł się przegrany bardziej niż król Ryszard Lwie Serce.

Rozdział XXVI

PRZEBUDZENIE

- Wracacie, moi drodzy, na Bliski Wschód - oznajmił Rupert. - Nie możemy pozwolić, by Gotfryd, nasz brat w Chrystusie, pozostał w piekle ciemności i zwątpienia. Bóg działa za pośrednictwem ludzi, dlatego musicie wydostać go z tej pustelni. To nie miejsce dla niego.

- Zgadzam się, eminencjo - odrzekł Robert. - Jednak wątpię, abyśmy potrafili znaleźć drogę do jego serca. Jest przekonany, że nie ma dla niego wybaczenia.

- To najgorszy z jego grzechów! Zwątpienie w miłosierdzie boże ma dla duszy oplakane skutki. Tym bardziej musicie do niego jechać. Jest jedynym człowiekiem, który wie, gdzie znajduje się opis historii mandylionu, sporządzony przed laty przez Huberta z Croisilles.

- Wiem, eminencjo, widziałem jego śmierć - rzekł smutno Henryk.

- Nie muszę ci więc mówić, że jeśli nie odzyskamy tego dokumentu, będziemy musieli przyznać, iż śmierć Huberta na nic się nie zdała. Bez tego, co zapisał, nasz plan się nie uda. Musicie sprowadzić tu Gotfryda. Za wszelką cenę.

Dwa dni później rycerze odebrali z kancelarii kardynała listy do wielkiego mistrza zakonu i pojechali do Ostii. Chcieli wsiąść na statek do sycylijskich Syrakuz. W tamtejszej komandorii templariuszy zamierzali nieco odpocząć przed znacznie dłuższym rejsiem do Ziemi Świętej. Mieli nadzieję, że dotrą tam, zanim nadejdzie lato.

Rupert napisał jeszcze jeden list i wysłał go do Wenecji.

Wielki Mistrz Bractwa Mandylionu do Enrica Dandola, doży najjaśniejszej Republiki św. Marka.

Ekscelencjo!

Myślę, że nic nie stoi już na przeszkodzie, abyśmy przystąpili do realizacji naszego wspólnego planu. Papież był członkiem naszego Bractwa jako kardynał Lotariusz z Segni i jestem przekonany, że poprze nasz zamiar z całego serca i w odpowiednim czasie udzieli nam swego błogosławieństwa.

Zgadzam się w kwestii większości zagadnień zarysowanych w listach Waszej Ekscelencji. Myślę, że Ekscelencja doskonale zdaje sobie sprawę, że Ojciec Święty nie może oficjalnie zaangażować się w otwarte atakowanie Bizancjum. To chrześcijański kraj, choć zasadniczo różnimy się, jeśli chodzi o kościelną jurysdykcję. Naszym celem jest zorganizowanie takiej wyprawy

krzyżowej, która utrwaliliby zdobycze chrześcijan na Bliskim Wschodzie. Pragniemy, aby wzięło w niej udział Bizancjum. Jesteśmy przekonani, że warunkiem powodzenia takiej wyprawy byłaby unia między Kościołem wschodnim i zachodnim, z zachowaniem prymatu papieża. Pozwolę sobie powiedzieć, że w tej chwili nie zamierzamy prowadzić rozmów na temat uznania zwierzchnictwa papieża nad Kościołem wschodnim. Grecy po prostu nie są na to gotowi. Wolą ojca świętego Innocentego III jest odzyskanie Jerozolimy, a tego można dokonać tylko wraz z Bizancjum. Z całą stanowczością pragnę jednak podkreślić, że należy Greków przyprzeć do muru, postraszyć tak, aby zaczęli z nami współdziałać. Ojciec Święty uważa, że Republika św. Marka na tu ogromną rolę do odegrania. Wszystkie zyski, jakie przyniesie pokonanie muzułmanów oraz odzyskanie Jerozolimy, zostaną sprawiedliwie podzielone. Wenecja na pewno nie straci na tym przedsięwzięciu.

Wedle naszego rozeznania potrzebujemy sprzyjającego rozwoju sytuacji politycznej nad Bosforem i zorganizowanej wyprawy. W kwestii pierwszej zdaję się na dyplomację Republiki. Wasza Ekscelencja wie zapewne więcej na temat tego, jakimi sposobami doprowadzić do korzystnego dla nas rozwoju wypadków na dworze konstantynopolitańskim. Wymarzona sytuacja byłaby następująca: pretendent do tronu prosi o interwencję krzyżowców pod pretekstem konieczności wspólnej walki z muzułmanami. Druga sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Ojciec Święty nie zgodzi się z pewnością, by armia krzyżowa zaatakowała Bizancjum. Tutaj nie mam żadnego pola manewru. Wyprawa musi zostać zorganizowana inaczej. Kompetentny w tej materii będzie hrabia Bonifacy z Montferratu, z którego rodziną od kilku lat prowadzimy rokowania. Polecam Waszej Ekscelencji tego młodego ambitnego człowieka.

Liban, jesień, rok 1201

Pustelnia Świętego Jerzego w libańskich górach stała się dla mnie czymś więcej niż tylko miejscem pokuty - była drugim domem.

Od kiedy tam zamieszkałem, zaczął się mój powrót do świata. Przez długi czas łudziłem się, że zabicie Mahmuda będzie dopełnieniem zemsty i w ten sposób odzyskam spokój - nic takiego nie nastąpiło, bo dopiero wtedy zaczęło się piekło. Często śniłem w nocy, że przychodzi do mnie Selene, żona Mahmuda, i mówi mi, że przeze mnie nie może kochać swego dziecka. Zdałem sobie sprawę, że zrobiłem to samo, co Mahmud uczynił mnie - zabiłem niewinnego człowieka. Zważyłem we wszystko, nawet w Boga.

Wtedy we śnie przyszedł do mnie Baldwin.

Śniło mi się, że czuję na twarzy powiew ciepłego wiatru. Znajdowałem się w sadzie pełnym kwitnących drzew. Słońce chyliło się ku zachodowi, lecz miałem wrażenie, że w tym miejscu ono nigdy nie zachodzi. Próbowałem wydostać się z labiryntu drzew, ale drogę zastępowały mi jabłonie, grusze, morele i granatowce. W pewnej chwili zauważyłem młodego człowieka, który patrzył na mnie spomiędzy drzew. Zawołał mnie po imieniu, a ja zdałem sobie sprawę, że to mój syn.

- Baldwinie, czy to ty?

- Jestem przy tobie - odrzekł.

- Chcę wiedzieć, czy to naprawdę ty.

- A co mówi ci twoje serce?

- Moje serce mówi mi, że to ty, ale...

Zbliżył się do mnie. Był taki sam jak wtedy, kiedy widziałem go po raz ostatni. Nie miał rany na szyi i promieniał szczęściem. W pewnej chwili usłyszałem w głowie jego głos: „Chodź ze mną”. Przeszliśmy przez dziwny kwitnący sad i znaleźliśmy się nad rzeką.

- Musisz wejść ze mną do wody - powiedział Baldwin.

- Dlaczego?

- By się oczyścić, inaczej nie będziesz mógł przedostać się na drugi brzeg.

Zanurzyłem się w chłodnej toni. Baldwin poruszał się tak, jakby siła nurtu nie miała nad nim władzy. Zanim dotarłem do środka rzeki, on był już na brzegu. Zawahałem się. A jeśli się utopię?

- W tej rzece nie można się utopić, ojcze. Tutaj nie ma śmierci - wyjaśnił mój syn.

Czułem siłę tej rzeki, lecz byłem spokojny. Jej nurt przenikał do najtajniejszych zakamarków mej duszy. Stwierdziłem, że nie szumi jak zwykła rzeka, że jej szum przypomina śpiew.

Poczułem w sobie muzykę. Śpiewał ten sam pradawny głos, który wezwał mojego syna z doliny umarłych i postawił go przede mną.

- Odgadłeś, ojcze. Ta rzeka to pierwsza brama, przez którą muszą przejść wszyscy tu przybywający.

- A ogród, który widzieliśmy?

- Ten ogród jest zaledwie przedsmakiem tego, co znajduje się na drugim brzegu. Tam nigdy nie zachodzi słońce i nigdy nie kończy się wiosna.

Dobrnąłem jakoś do brzegu i zauważyłem, że nie jestem mokry. Czułem się oczyszczony.

- Synu, czy ty cierpisz tak jak ja?

- Tutaj nie ma cierpienia.

- Wiesz, że bardzo pragnę, abyś wrócił.

- To niemożliwe.

- Powiedz mi, gdzie jesteś?

- Znajdujemy się poza czasem, więc słowa „gdzie”, „kiedy”, „potem” nic nie znaczą. Tutaj jest życie, które nigdy się nie kończy. Jestem teraz z tobą, ojcze, ponieważ tego chciałeś.

- Ale ja chciałbym, żebyś był przy mnie. Jak dawniej.

- Jestem z tobą - powtórzył mój syn, uśmiechając się wyrozumiale. - Nigdy nie przestałem z tobą być. Z wyjątkiem chwili, kiedy zaatakowałeś karawanę.

Przeszedł mnie dreszcz. Przypomniałem sobie, że przecież od dnia, kiedy Robert przywiózł ciało mojego syna, czułem, że Baldwin jest blisko mnie. Wtedy, przed atakiem, to uczucie mnie opuściło.

- Wiesz, co zrobiłem, prawda? - zapytałem. Baldwin milczał. Wiedział, że jestem mordercą. Zauważyłem, iż na jego szyi pojawiła się ciemna smuga. Wytrysnęła z niej krew, barwiąc jego nieskazitelnie białą szatę. Patrzył na mnie ze smutkiem. Dotknął szyi, po czym wyciągnął do mnie rękę. Cała była we krwi.

- Oto, co zrobiłeś. - Podniósł głowę. - Co uczyniłeś każdemu niewinnemu człowiekowi, mnie uczyniłeś.

- Synu... sprawiasz mi ból.

- Popatrz na mnie - powiedział twardo.

Nie byłem w stanie mu się sprzeciwić. Kiedy na niego spojrzałem, rana na szyi zniknęła. Znów był taki jak dawniej; czysty, nieskazitelny, piękny.

- Chcę, ojcze, żebyś pozwolił mi odejść na drugi brzeg rzeki. Twoja rozpacz sprawia, że muszę przebywać w ogrodzie, w którym się spotkaliśmy. Pragnę przejść przez rzekę i przebywać tam, gdzie nie zachodzi słońce. Nie zatrzymuj mnie.

- Synu, jak mam tego dokonać? Nie chcę, żebyś mnie opuścił.

- Nie opuszczę cię. Ty sam pozwolisz mi odejść.

- Kocham cię, synku.

- Wiem, i dlatego musisz pozwolić mi odejść. Obudziłem się, krzycząc „nie!”. Jeden z mnichów przybiegł, by sprawdzić, co się stało.

Z niecierpliwością wyczekiwałem godziny spoczynku, by znów przyszedł do mnie Baldwin.

Przez kilka następnych nocy się nie pojawił, jednak pewnej nocy, kiedy wydawało mi się, że nie zasnę, nie wiedząc kiedy, zapadłem w sen.

Znalazłem się na kwiecistej, rozświetlonej słońcem łące wysoko w górach. Otaczały ją ośnieżone szczyty, a ich biel raziła moje oczy. Łąkę

zalewało jasne światło, silniejsze niż za dnia. Nie sposób było odgadnąć, z której strony pada. Z daleka dobiegały dźwięki muzyki.

Nagle poczułem jego obecność.

- Czy to ty, Baldwinie?

- Tak, ojcze.

- Dlaczego tak długo nie przychodziłeś? Wiesz, że na ciebie czekałem.

- Nie mogłem do ciebie przyjść, ponieważ mi nie pozwalałeś.

- Dlaczego?

- Źle się modliłeś.

- A jak powinienem się modlić?

- Modlisz się tylko o to, żebyś nie cierpiał. W twoich modlitwach na pierwszym miejscu jesteś ty, nie ja. Twój egoizm nie pozwala ci ujrzeć mnie takiego, jakim jestem teraz.

Nie widziałem go. Mówił do mnie z wnętrza światła. Słyszałem jego głos wszędzie, jakby przemawiała do mnie cała górską łąka.

- Wybacz, synku, jeśli wyrządziłem ci zło - wyszeptalem.

Wtedy go zobaczyłem. Wszedł ze światła. Wyglądał znacznie młodziej niż w pierwszym śnie. Wtedy ukazał mi się jako dziewiętnastoletni młodzieniec, jakim był w dniu swej śmierci, teraz przyszedł do mnie jako piętnastolatek. Miał na sobie prostą tunikę z szarego płótna. Spojrzałem na jego twarz - była z niej przejmująca, niepojęta i niezniszczalna siła.

- Synku, czy jesteś tutaj sam? Uśmiechnął się.

- A co to jest samotność? To twoja rozpacz sprawia, że jesteś sam. Gdybyś tylko przez chwilę zdał sobie sprawę, jaki jestem szczęśliwy, przestałbyś rozpaczać. Chodź ze mną.

Poszliśmy na skraj urwiska.

- Zrób krok do przodu.

- W przepaść?

- Tak. Zaufaj mi. Zamknąłem oczy i zrobiłem krok...

Znalazłem się w pobliżu zamku mego ojca. Zobaczyłem moją matkę oraz siebie samego, gdy miałem kilkanaście lat. Matka prowadziła mnie do zakonnice, które opiekowały się trędowatymi. Pamiętałem doskonale tamtą scenę, słyszałem, jak rozmawiam z matką. Wyczułem, że to ważna wizja. Baldwin chciał mi coś powiedzieć.

- Dlaczego mi to pokazujesz?

- Nie ja ci to pokazuję, tylko On - odpowiedział Baldwin. Wiedziałem, kim jest On - słowem, początkiem i końcem, wzgardzonym pasterzem...

- Chrystus chce ci powiedzieć coś ważnego. Popatrz na twarz trędowatego chłopca - nakazał mi Baldwin.

To była moja twarz. Teraz wiedziałem, jaka będzie moja pokuta. Zrozumiałem, że rozpacz, która przywiodła mnie na skraj piekła, obraziłem Boga.

- Chcę, żebyś był szczęśliwy, synu.

Pozwoliłem mu odejść i nagle, po raz pierwszy od dziesięciu lat poczułem się wolny. Odzyskałem władzę nad moim umysłem i uczuciami.

Zamknąłem we śnie oczy, a kiedy je otworzyłem, znalazłem się nad urwiskiem opadającym do oceanu. Morze mieniło się wszystkimi odcieniami błękitu. Baldwin znów stał obok mnie. Tym razem miał lat dziewiętnaście.

- Pięknie tu - powiedział. Fale rozbijały się o klif.

- Twoja rozpacz sprawiła, że przyszedłem cię wyzwolić. Nie możesz rozpaczać, wiedząc, że jestem szczęśliwy.

Wiedziałem, że to pożegnanie. Popatrzyłem w dół i zobaczyłem łódź z małym białym żaglem.

- Jak wygląda twoja wieczność? Baldwin zatoczył krąg ręką.

- Przecież ją widzisz. Jest jak słońce i morze. To był ostatni sen.

□ □ □

Pewnego dnia przed klasztorem rozległ się tętent końskich kopyt. Kilku mnichów, widząc jeźdźców, przstraszyło się, że to napad, jednak przeor

zachował zimną krew, a gdy wyszedł przed bramę, zobaczył dwóch templariuszy na koniach oraz kilkunastu giermków i żołnierzy. Wyglądali na zmęczonych, a ich płaszcze były szare od kurzu. Przeor zgodził się, by wypoczęli w murach klasztoru. Templariusze wjechali więc na mały dziedziniec i zaprowadzili konie do studni. Przeor już miał udać się do siebie, gdy młodszy z rycerzy zapytał:

- Czcigodny ojcze, czy w tej pustelni mieszka człowiek, który przybył tu przed mniej więcej dziesięcioma laty?

- Tak, pracuje i żyje z nami, choć nie jest zakonnikiem - potwierdził mnich.

- Czy mógłbym z nim porozmawiać?

- Powiem mu, że o niego pytałeś. Jak brzmi twe imię?

- Robert z Melville. Ten człowiek jest moim bratem. Mnich się zasepił, a po chwili odrzekł:

- Nigdy nie wyjawiał nam swego imienia. W ciągu kilku ostatnich miesięcy przeżył coś w rodzaju odnowy duchowej. Twierdzi, że we śnie przychodzi do niego jego zmarły syn. Zapewnia, że już pogodził się z jego śmiercią, ale nie może sobie wybaczyć, że zabijał niewinnych ludzi. Mówi, iż pobyt u nas jest dla niego karą. Jeśli chcesz go namówić, by wrócił do waszego świata, może ci się to nie udać.

- Spróbuję. Ale nie sam. Pójdę z komturem. - Robert wskazał człowieka stojącego obok pijących wodę koni.

□ □ □

Leżałem na posłaniu, próbując się zdrzemnąć. Byłem bardzo zmęczony, ponieważ przez cały dzień pracowałem przy zbiorze oliwek. Nagle na korytarzu rozległy się kroki. Ktoś zapukał do drzwi mojej celi i otworzył. Był to przeor. Zerwałem się na równe nogi.

- Masz gości, bracie - oznajmił.

Zobaczyłem w progu dwóch templariuszy. Wydało mi się, że ich znam.

- Czy ja was już kiedyś spotkałem, bracia? - spytałem. Popatrzyli po sobie.

- To ja, Robert - odezwał się młodszy z nich. Dopiero teraz go poznałem. To był mój brat. Kiedy widziałem

go po raz ostatni, miał dwadzieścia lat. Teraz zmężniał i nosił strój templariusza.

- Po co tu przybyliście? - spytałem niechętnie.

- Chcemy, żebyś pojechał z nami... - odpowiedział.

- Widzę, że zostałeś templariuszem. A co się stało z majątkiem ojca? - chciałem wiedzieć.

Brat się uśmiechnął.

- Król Jan mi go odebrał, ponieważ uznał, że nie wróciłem z krucjaty.

- Król Jan? Przecież Ryszard...

- Ryszard Lwie Serce nie żyje. Po krucjacie wdał się w awanturę z normandzkimi lennikami i zginął, trafiony przez przypadek strzałą z kuszy.

- To smutne... Był mężnym żołnierzem - westchnąłem.

- To prawda. Jego brat, Jan bez Ziemi, nie dorasta mu do pięt. Ale, bracie, pomówmy o tobie.

- Trwam tutaj...

- Tak, to dobre słowo. Bo trudno nazwać to życiem.

- Jestem zbrodniarzem, nie zapominaj o tym, Robercie.

- Wiem, ale teraz możesz odkupić swoje grzechy - powiedział drugi templariusz, znacznie starszy od Roberta.

To był Henryk.

- Henryku... Obraziłem cię tak bardzo, że żaden człowiek nigdy by mi tego nie wybaczył. A teraz ty, po dziesięciu latach, przychodzisz do mnie...

Henryk położył dłoń na moim ramieniu. Biel jego ubioru kontrastowała z łachmanami, jakie nosiłem.

- Wybaczyłem ci już dawno - rzekł łagodnie. - Teraz jednak nadszedł czas, abyś ty wybaczył sam sobie.

- Jesteś nam potrzebny - dodał Robert. Wzruszenie odebrało mi mowę. Przyjaciele mnie nie opuścili, choć ja nie doceniłem ich przyjaźni. Teraz zyskałem sposobność uczynienia czegoś dobrego.

- Jestem z wami - szepnąłem, tłumiąc łzy.

Długo rozmawialiśmy. Przyjaciele opowiedzieli mi o sytuacji politycznej, choć odniosłem wrażenie, że nie mówią mi wszystkiego.

- Henryku, powiedz, proszę, dlaczego odszukaliście mnie po dziesięciu latach?

- Jesteś zbyt inteligentny, żeby nie dostrzegać tak oczywistej prawdy - zaśmiał się Henryk.

- Ależ...

- Czekaj, przyjacielu, wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Nie wymyśliliśmy tego sobie we dwóch. Przez lata próbowaliśmy do ciebie dotrzeć, ale zadania stawiane nam przez zakon były ważniejsze. Rok temu zostałem komturem konwentu na Cyprze. Jak wiesz, to jedna z najważniejszych komandorii naszego zakonu we wschodnim basenie Morza Śródziemnego.

- Zostałeś ważnym człowiekiem, Henryku. Mój przyjaciel uśmiechnął się skromnie.

- To prawda. Kilka miesięcy temu otrzymałem list od naszego starego druha. Popłynęliśmy do Rzymu i spotkaliśmy się z nim. To on kazał cię odnaleźć.

- O kim mówisz?

- Kardynał... opat klasztoru w Sankt Gallen. Złapałem się za głowę.

- Mój Boże, to stary Rupert was tu przysłał?!

- Tak, Gotfrydzie - powiedział Henryk. - Zamierzamy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: chcemy cię stąd wyciągnąć i odzyskać mandylion.

Opowiedział mi o zamiarach Ruperta.

- W przeciwieństwie do starego kardynała zawsze uważałem ten pomysł za szaleństwo. Tego miasta nie da się zdobyć. Nikt nigdy tego nie dokonał. Od tysiąca lat Konstantynopol jest niezdobytą fortecą. To przecież największe miasto świata - przypominałem.

- To prawda - przyznał Henryk. - Ale Rupert ma plan. Na razie nie zdradził nam szczegółów. Myślę, że templariusze będą mieli w nim ważną rolę do odegrania.

- A co ja mam zrobić?

- Tylko ty wiesz, gdzie Hubert ukrył pergamin z historią mandylionu. Jest tam też napisane, gdzie mandylion jest ukryty.

Musiałem się zastanowić. W ciągu ostatnich dziesięciu lat niewiele myślałem o mandylionie i o sprawach Bractwa. Po paru chwilach wyłoniło się z otchłani mojej pamięci wspomnienie.

- Tak... przed śmiercią Hubert powiedział mi o dokumencie, który sporządził na podstawie relacji jakiegoś starego bizantyjskiego bibliotekarza. Po śmierci Huberta nie zabrałem go ze skrytki, w której go zostawił. Rękopis został w Konstantynopolu, w budynku faktorii handlowej zakonu.

- Zakon nie prowadzi już placówki bankowej w Konstantynopolu - zauważył Robert.

- Dlaczego, do stu piorunów, go nie zabrałeś?! - wykrzyknął Henryk.

- Wyjeżdżaliśmy w pośpiechu...

- Cóż, będziemy musieli go odnaleźć - westchnął Henryk. - Podejrzewam, że Rupert, za wiedzą papieża, paktuje z Wenecjanami i szykuje coś przeciwko Bizancjum. Mam złe przeczucia. Chcą pchnąć na miasto wielką wyprawę. Nie wiem tylko, jak zdołają tego dokonać.

□ □ □

Pożegnałem libańskich mnichów. Przeor wyznał mi, że jego zdaniem nigdy nie należałem do tego miejsca, ponieważ uciekałem w życie zakonne

przed światem. Wyraził przekonanie, że dobrze się stało, iż postanowiłem do niego wrócić.

Wyruszyliśmy. Po raz pierwszy od lat dosiadłem konia. W ciągu dwóch tygodni dotarliśmy do Akki. Tam podjąłem najbardziej brzemienne w skutki decyzję w moim życiu: za radą brata postanowiłem zostać templariuszem. Odbyłem skrócony nowicjat i w dzień Wszystkich Świętych 1201 roku włożyłem biały płaszcz z czerwonym krzyżem. Zostałem przyjęty do konwentu Świętego Mateusza, gdzie komturem był Henryk, mój dawny sługa. Co za ironia losu.



Do wspólnoty beginek w południowej Prowansji należały głównie kobiety niemające nadziei na zamążpójście lub takie, które chciały pozostać wolne. W zasadzie wszystkie wyznawały osobliwy spirytualizm Wolnego Ducha, ale każda z grup inaczej interpretowała wiarę. Niektóre z beginek w Prowansji były katarakami, inne nie.

Jedną z najważniejszych postaci była Katarzyna z Rainecourt, siostra Jakuba. Za jego przyzwoleniem uwiodła pewnego rycerza, młodego angielskiego Normana, ale nie przypuszczała, że go pokocha. Gilles z Rouvres oraz jej brat zmusili ją, by go porzuciła. Gdy jednak zdała sobie sprawę, co zrobiła, było już za późno. Urodziła syna, który miał być przywódcą wspólnoty, ale ojciec dziecka wykradł je, zabijając Gilles'a z Rouvres, przywódcę katarów. Katarzyna odsunęła się wtedy od brata i założyła własną grupę modlitewną, która w ciągu lat przekształciła się w największą w Europie wspólnotę beginek. Wiedziała, że Jakub nie potrafi jej skrzywdzić, i postanowiła to wykorzystać. Wymogła na nim zgodę na opuszczenie Carcassonne.

- Nie spędzę ani dnia w tym mieście - oznajmiła. - Nienawidzę go tak samo jak ciebie. Nienawidzę katarów.

- Nie wiesz, co mówisz, siostró - rzekł Jakub. - Anglik cię uwiodł i uczynił grzesznicą.

- Nie, Jakubie. Kochałam go. A ty zabrałeś mi szczęście. I odeszła.

Katarzyna żyła we wspólnocie przez trzydzieści lat. Beginki trzymały się z daleka od teologicznych sporów z katolikami i królem Francji. Latem 1201 roku stało się coś, co sprawiło, że musiała opuścić wspólnotę, którą założyła i której służyła tak długo.

Z początku była tylko osłabiona, dokuczała jej też gorączka utrzymująca się przez wiele tygodni. Potem zaczęła tracić czucie w palcach.

Wreszcie nadszedł dzień strasznej prawdy. Pewnej nocy Katarzyna śniła o młodym człowieku, który oznajmił, że jest jej synem. Powiedział też, że spotka się z Gotfrydem w ciemnej dolinie. Ona nie może się bać, ponieważ on, jej syn, będzie ją prowadził.

Obudziła się przerażona. Zauważyła, że na rękach ma białe bolące plamy.

- Jestem trędowata - wyznała ze łzami w oczach kobietom ze wspólnoty.

Beginki wiele razy pomagały trędowatym, których przeganiano nieustannie z miejsca na miejsce. Zmieniały im opatrunki i karmiły.

Katarzyna nie miała złudzeń. Dla dobra sióstr musiała odejść. Kilka jej najwierniejszych towarzyszek uznało, że też mogą być zarażone, i zdecydowały, że pójdą wraz z nią, dokądkolwiek się uda.

Katarzyna przez gońca powiadomiła brata o swoim stanie. Jakub szalał z rozpaczy. Wiedział, że siostra jest stracona dla świata, i poradził jej, aby udała się do doliny Aosty.

Rozdział XXVII

SEN STAREGO DOŻY

Wenecja, rok 1202

Doża Enrico Dandolo był jednym z tych władców, których charakteryzowała ogromna autoironia. Mówi się, że jest on autorem modlitwy do siebie samego, zgryźliwie ironicznej wersji *Ojcze nasz*:

Dożo nasz,

Który mieszkasz w białym pałacu,

*Złość się imię Twoje,
Powiększ się królestwo Twoje,
Jako w Wenecji, tak na całej ziemi.
Chleba naszego powszedniego
Nie dawaj Genuńczykom,
I wszelkiej innej hołocie.
Odpuść nam nasze winy,
Ale, broń Boże, nie odpuszczaj
Win naszym winowajcom.
I nie rań nas wysokimi podatkami,
Ale zbaw nas ode złego Greka.*

Doża i wpływowi Wenecjanie nade wszystko kochali pieniądze, a ponieważ pragnęli mieć ich więcej i więcej, byli gotowi na wszystko, byle tylko powiększyć zasoby swojego skarbcu.

W treści modlitwy pojawia się zły Grek. Faktycznie, Wenecjanie nienawidzili Bizancjum. Od kiedy doża zdał sobie sprawę, że nie będzie mógł zmonopolizować handlu nad cieśninami Bosfor i Dardanele ani załatwić pomyślnych dla republiki kontraktów, posługując się przekupstwem i intrygami, doszedł do wniosku, że może zadbać o interesy Wenecji, podbijając Konstantynopol. Dandolo zbyt dobrze znał mentalność dumnych Greków, by mieć nadzieję, że dadzą się podporządkować. Umieścił więc na przekupnym, zepsutym do szpiku kości bizantyjskim dworze wielu szpiegów, w tym tego najcenniejszego, biskupa Eugeniusza, jednak wciąż daleki był od wprowadzenia swoich planów w życie. Doża potrzebował pretekstu, jakiegoś wydarzenia, które pozwoliłoby zachować pozory sprawiedliwego działania, a w rzeczywistości dokonać najbardziej zuchwałego i bezwzględного zaboru w dziejach. Czekał i rozmyślał. Rozmawiał nawet z przywódcą tajnego, ale bardzo wpływowego bractwa, mającego bezpośredni wpływ na papieża Innocentego III. Bractwo to zamierzało zdobyć cenną relikwię ukrywaną przez Greków w Konstantynopolu.

Doża w ogóle nie interesował się sprawami religii, lecz uznał, że każdy, kto ma coś przeciwko Konstantynopolowi, jest jego przyjacielem. Cel miał uświęcić środki.

Mistrz tego bractwa, kardynał Rupert, opat klasztoru benedyktynów w Sankt Gallen, doniósł mu w liście o projekcie wielkiej wyprawy krzyżowej, w której, oprócz zachodnich krzyżowców dowodzonych przez hrabiego Bonifacego z Montferratu, wzięliby udział Grecy. Doża stwierdził, że taka wyprawa wzmocniłaby Bizancjum, a on był ostatnim człowiekiem na świecie, który dobrze życzył Grekom. Na razie postanowił grać na zwłokę. Mógł przecież przeciągnąć rokowania z wysłannikami papieża i w tajemnicy przed nimi realizować swój plan.

□ □ □

Doża obudził się w radosnym nastroju, bo nieczęsto miewał miłe sny. Śnił, że stąpa po złocie Bizancjum. Ten sen tak bardzo mu się spodobał, że natychmiast zapragnął opowiedzieć go swemu najbliższemu przyjacielowi, osiemnastoletniemu Andrei, sekretarzowi i powiernikowi. Czasami też dzielił z nim łożo. Srebrnym dzwoneczkiem przywołał młodzieńca.

- Mamy dziś piękny dzień, wasza miłość - rzekł Andrea na powitanie, rozsuwając story, by wpuścić do sypialni światło.

- Zbliź się, Andreo - polecił Dandolo. Młodzieniec usiadł na skraju łoża, a jego pan przytulił go i pocałował namiętnie w usta.

- Mój drogi, śniłem rzecz nadzwyczajną - rzekł rozpromieniony doża. - A trzeba ci wiedzieć, że przez ostatnie lata moje sny się sprawdzały, choć najczęściej zwiastowały kłopoty. Sam doskonale wiesz, ile ich mam: moi nieślubni synowie wciąż upominają się o pieniądze, których nie posiadam, bo wszystkie należą do Republiki, moja żona robi mi wymówki niczym potwór z piekieł, a moi słudzy potajemnie mnie okradają.

- Ja nigdy cię nie oszukałem, mój panie - zapewnił żarliwie Andrea.

- Wiem, i dlatego kocham cię najbardziej na świecie - rzekł doża, gładząc go po policzku. - Śniłem, że przechadzam się bosy po bizantyjskim złocie i piję najlepsze wino z greckiego kielicha mszalnego. Przeczuję, że moje największe marzenie: ukaranie tego zdradliwego, podłego, schizmatyckiego miasta, wkrótce się ziści.

- Mój panie, pragnę cię zawiadomić, że hrabia Bonifacy z Montferratu jest dzisiaj umówiony na audiencję.

- Doskonale! Przypilnuj, aby nasi szpiedzy nie odstępowali go na krok. Muszę wiedzieć, o czym rozmawia ze swoimi ludźmi, żeby się odpowiednio przygotować. To bardzo przebiegły polityk. Kardynał Rupert mnie przed nim ostrzegał.

- Stanie się według woli waszej miłości - zapewnił Andrea.

- Czy nadeszły listy z Konstantynopola?

- Tak, panie. Położyłem je na biurku. Gdy tylko wstaniesz i zjesz śniadanie, natychmiast ci je odczytam.

□ □ □

Tymczasem w wielkim mieście nad Bosforem wrzało. Ludzie mieli już dość wysokich podatków, zdemoralizowanego cesarskiego dworu, spekulacji, zachodnich łacinników i drożyzny. Cesarz Izaak II Angelos zaniknął się w dzielnicy pałacowej i praktycznie jej nie opuszczał. Był zdany na łaskę i niełaskę węgierskich i słowiańskich najemników, których opłacał, przetapiając na monety nieprzeliczone skarby wschodniego Kościoła.

Basileus żył w strachu. Bał się nawet ludzi ze swego najbliższego otoczenia. Biskup Eugeniusz próbował otoczyć władcę kordonem wiernych sług i szpiegów, ale z każdym tygodniem narastającego kryzysu jego wysiłki stawały się coraz mniej skuteczne. Eugeniusz dobrze wiedział, że wraz z upadkiem Izaaka on również upadnie. Przez ostatnie dziesięć lat stał się najpotężniejszym cesarskim urzędnikiem. Uzależnił od siebie basileusa, który ufał mu bezgranicznie. Biskup wiedział, że jego upadek jest coraz bliższy, robił więc

wszystko, żeby mu zapobiec. Stworzył siatkę szpiegów i skrytobójców, krążących dniami i nocami po mieście. Dzięki nim wiedział doskonale, jakie są nastroje konstantynopolitańskiej ulicy.

Eugeniusz miał wrogów. Przewodzili im urzędnicy, kanceliści, stający się z dnia na dzień bohaterami ulicy, fanatyczni mnisi, widzący we wszechwładnym biskupie wcielenie szatana, oraz motłoch Konstantynopola. Ci ludzie najbardziej nienawidzili zachodnich łacinników, których Eugeniusz wyraźnie faworyzował. Poddani republiki stanowili prawie jedną trzecią floty cesarstwa, a kupcy weneccy panoszyli się w mieście. Nawet pamięć o rzezi sprzed lat dziesięciu, w której zginęło tak wielu kupców z zachodniej Europy, nie mogła stłumić ich żądzy zysku. Konstantynopol powoli umierał, ale jego bogaci obywatele doskonale się bawili.

Najgroźniejszym przeciwnikiem Eugeniusza był Teodor Laskaris, niegdyś kupiec pożyczający od templariuszy pieniądze, teraz wielki logoteta. Z punktu widzenia Eugeniusza najgorszą rzeczą było to, iż to sam biskup podsunął cesarzowi tę kandydaturę. Miał bowiem nadzieję, że Teodor będzie kolejnym figurantem, jednym z tych biernych i wiernych ludzi, którzy nigdy nie odważą się samodzielnie myśleć. Srodze się zawiódł. Laskaris postanowił skorzystać ze swobody, jaką mu zostawił wszechwładny doradca cesarza, i obmyślił nowy podatek dla zachodnich kupców przepływających przez Bosfor na Morze Czarne. Odciążając ludność Konstantynopola, skierował uwagę fiskalnej maszyny na znienawidzonych łacinników, którzy nie protestowali (podatek nie był wysoki), gdyż nie chcieli stracić korzystnych kontraktów. W taki oto sposób uniezależnił się od swego dawnego protektora. W gruncie rzeczy cały czas gardził nim i go nienawidził, ale do tej pory nie mógł sobie pozwolić na ujawnienie swych prawdziwych zamiarów. Nowy podatek nie tylko napełnił kasę państwa brzęczącym srebrem, ale też zjednał Laskarisowi mieszkańców Konstantynopola. Zauważył to także cesarz, który, nie znając się na finansach państwa, powierzył mu państwową kiesę. I tak Laskaris został wielkim logotetą.



Wreszcie nadszedł dzień zemsty. Pewnego dnia w mieście pojawiły się plotki, że cesarz zamierza podnieść podatki. Biedota powiedziała „nie”. Zamordowano cesarskich urzędników, a rozruchy, jakie wybuchły w dzielnicy biedaków, szybko rozprzestrzeniły się na całe miasto. Izaak II Angelos popełnił fatalny błąd, wysyłając przeciw ludowi stolicy greckie oddziały, a nie węgierskich i słowiańskich najemników. Grecy przeszli na stronę buntowników i tego samego dnia cesarz został otoczony w pałacu przez biedotę i greckich żołnierzy.

Eugeniusz wiedział, że to koniec, więc ukrył się w klasztorze, którego mnisi byli mu bezgranicznie oddani. Pozostawił basileusa na łasce tłumu. Grecy żołnierze szybko przypomnieli sobie o przyrodnim bracie cesarza, Aleksym III, który do tej pory wiódł skromne życie mnicha wygnańca w jednym z klasztorów w Azji Mniejszej. Teraz, powróciwszy do Konstantynopola, zdobył pałac, przekupił najemników i koronował się na cesarza, a swego brata, Izaaka II Angelosa, oślepił, a następnie wtrącił do więzienia, po czym poślubił jego małżonkę.

Nowy cesarz bardzo potrzebował ministrów mających doświadczenie w rządzeniu. Ponieważ w trakcie buntu stracono wszystkich urzędników, którzy narazili się motłochowi, nowy cesarz musiał oprzeć się na kimś, kto byłby w stanie unieść ciężar władzy. W jednym z klasztorów odnalazł się biskup Eugeniusz, a Teodor Laskaris zachował stanowisko, gdyż przed buntem był tak samo popularny, jak i po nim. Bizancjum drżało w posadach. Już nikt nie mógł powstrzymać jego upadku.



Doża zasiadł za biurkiem, a Andrea rozłożył list od najlepszego szpiega, jakiego kiedykolwiek Wenecja miała nad Bosforem, dostojnego biskupa Odilona z Reinault, znanego teraz jako Eugeniusz, biskup świętej cerkwi prawosławnej. Młodzieniec zaczął czytać na głos:

Do najczcigodniejszego doży Enrica Dandola - biskup Eugeniusz

W Konstantynopolu źle się dzieje. Myślałem, że stracę życie, gdy okazało się, iż panowanie basileusa Izaaka II Angelosa zbliża się nieuchronnie do końca. Uciekłem przezornie do klasztoru, a gdy ten drań, basileus, został oślepiiony przez swego przyrodniego brata, mogłem powrócić na urząd. Jestem jednak bardzo ostrożny i każdego dnia lękam się o moje życie.

Kupcy weneccy poinformowali mnie o planach Waszej Miłości. Zgadzam się wziąć udział w wyprawie krzyżowej wspólnie z łacińskimi chrześcijanami, która może być nie w smak wielu wpływowym bizantyjskim urzędnikom i wszystkim Grekom, ale skoro współdziałanie chrześcijańskiego Zachodu i Wschodu jest nieodzownym warunkiem osiągnięcia powodzenia, zrobię, co będę mógł, abyś tego dokonał. Jednak z uwagi na dużą niestabilność polityczną dworu cesarskiego nie mogę zagwarantować pełnej współpracy Greków. Aleksy III jest miernotą pozbawioną politycznego talentu: typowy bizantyjski przykład hipokryty miłującego Najczystszą Dziewicę i bez litości mordującego swoich krewnych. Gdyby Republika otwarcie próbowała go kupić, nie zgodzi się. Głupota i patriotyzm to straszna mieszanka.

Jednak moi ludzie rozpuszczają w mieście wieści, że cesarz Aleksy szykuje wielką podwyżkę podatków, a Grecy najbardziej obawiają się właśnie wysokich podatków. Ci biedni ludzie stanowią siłę, którą muszę obłaskawić, aby ułatwić Waszej Miłości osiągnięcie celu. Aleksy ufa mi i jest głupcem. W odpowiednim momencie, kiedy będzie jadł mi z ręki, zrzucę go z tronu tym samym sposobem. Muszę jednak działać ostrożnie i roztropnie.

Pewnym problemem jest także coraz potężniejszy Teodor Laskaris, niegdyś właściciel flotylli handlowej, kupiec i podróżnik, wierzyciel templariuszy, a teraz mój przeciwnik, z którym muszę się liczyć. Nie wiem, jakie ma zamiary. Ludzie, których na niego nasłałem, nie wrócili żywi, mimo iż byli mistrzami w swoim fachu. Otoczył się Grekami nienawidzącymi synów Wenecji

oraz wszystkich zachodnich łacinników. Muszę wymyślić sposób, dzięki któremu ów wróg zostanie powalony jak antylopa przez lwa.

Myślę, Wasza Miłość, że cesarz Aleksy III nie utrzyma się długo. Nie wiem, iż władcy bizantyjscy są uzależnieni od ludu, którym tak bardzo pogardzają. W odpowiednim czasie przypomnę mu o tej sile.

Pokorny sługa Waszej Miłości.

Doża doszedł do wniosku, że hrabiego Bonifacego z Montferratu należy urobić. Przedstawiono mu dowody zdrady Bizantyjczyków, którzy co najmniej od trzydziestu lat mieli sabotować wysiłki krucjatowe podejmowane przez zachodnich chrześcijan. Wszystkie dowody oraz zeznania świadków spreparowali agenci weneccy. Urabianie hrabiego zaczęło przynosić niespodziewanie szybkie efekty. Bonifacy zaskarbił sobie łaskę wielu europejskich awanturników, których przyciągała już nie idea krucjat i męczeńskiej śmierci za wiarę, ale pragnienie zdobycia na Wschodzie lenna dla siebie i swojej rodziny. Doża zasugerował wówczas Bonifacemu, że przecież można zdobyć lenna znacznie bliżej Europy zamiast w krajach Lewantu. Z tygodnia na tydzień do Wenecji przybywały nowe grupy awanturników z Niemiec, Francji, Burgundii i państw włoskich i ktoś musiał nad nimi zapanować, a Bonifacy świetnie się do tego nadawał. Był szalony, umiarkowanie religijny i żądny sławy. Kochał władzę, której w Europie nikt nie chciał mu dać, a doża podsyczał nieustannie pragnienia młodego hrabiego. Mamił go nawet tronem jerozolimskim, choć Weneccjanom zależało tylko na jednym: złamaniu politycznej i handlowej potęgi Konstantynopola.

W tym czasie nowy cesarz Aleksy III tracił władzę i przychylność ludu, ponieważ nie dementował plotek głoszących, iż zamierza podnieść podatki. Eugeniusz realizował zatem swój plan, podburzając lud grecki przeciwko nowemu cesarzowi.

Doża wysłał do biskupa Eugeniusza list napisany atramentem sympatycznym na cudownie białym pergaminie, czyli skórze z

trzytygodniowych koźłat, używanym przez dyplomację wenecką do korespondencji szczególnej wagi.

Doża Republiki Świętego Marka, Enrico Dandolo, do biskupa Eugeniusza Odilonie, list Twój otrzymaliśmy. Pozwól, stary dobry przyjacielu, że tytułować Cię będziemy twym prawdziwym imieniem. Przyzwyczailiśmy się do niego i brzmi ono bardziej swojsko niż to wyniosłe greckie imię, pod którym jesteś znany w Konstantynopolu.

Zawarłem już przymierze z Bonifacym z Montferratu, zdolnym i przebiegłym awanturnikiem z niemieckiej Rzeszy. Jego zapatrywania na prowadzenie krucjat zasadniczo nie różnią się od moich, a to nie zdarza się często w naszych czasach. Teraz zbieramy ludzi. Muszę się jednak przekonać, jak bardzo hrabia Bonifacy jest zdeterminowany.

Republika, której przewodzę, ma zadawniony zatarg z miastem Zadar, leżącym na dalmatyńskim wybrzeżu, a podlegającym nominalnie zwierzchnictwu króla węgierskiego. Postanowiłem postawić Bonifacemu warunek: ma zająć Zadar. Mam nadzieję, że dobrze wywiąże się z tego zadania. Jeśli tak się stanie, będę pewny, że armia hrabiego mnie nie zawiedzie. Mam też nadzieję, że Ty, przyjacielu, będziesz miał okazję się o tym przekonać.

W tej chwili potrzebujemy sprzyjających okoliczności, a ja, niestety, nie jestem bogiem i nie mogę sprawić, aby nad Bosforem takowe zapanowały. Chcemy zmusić greckiego cesarza, aby dołączył do wyprawy przeciwko muzułmanom w Jerozolimie. Zależy mi na ścisłej współpracy Bizancjum i władców zachodnich. Koresponduję z papieżem Innocentym III, który popiera z całego serca nasz zamiar stworzenia jednego wspólnego frontu chrześcijan zachodnich i wschodnich przeciwko Saracenom.

Pragnę Cię zapewnić, że dopóki pracujesz rzetelnie i uczciwie dla naszej sprawy, nic ci nie grozi, a Twoi nowi prawosławni bracia nigdy nie dowiedzą się, że byłeś katarem. Pamiętaj jednak, Odilonie, że jeśli nie będziesz lojalny, mam sposoby, aby zmusić Cię do rzetelnego rozliczania się z powierzonych Ci

obowiązków. Nie zawieźdź mnie. Ja nie wierzę ani w Boga, ani w diabła i z tego powodu nie mam żadnych skrupułów. Pozdrawiam Cię serdecznie.

Eugeniusz nie rozumiał gry, jaką prowadzi Enrico Dandolo. Był kanalią, ale nie wyobrażał sobie, aby ktokolwiek z Zachodu mógł zająć Konstantynopol. Zresztą, jak można podbić tak potężne miasto? Ponieważ nie potrafił sobie tego wyobrazić, zaczął się zastanawiać, czy nie powinien uczynić z listu doży oręża w walce o przetrwanie. Wprawdzie zajmował przynoszące profity stanowisko, ale jeśli doża uzna za stosowne spełnić swą groźbę i doniesie papieżowi o jego przeszłości, cóż się z nim stanie? Nie miał złudzeń, że jako dawny papieski więzień oskarżony o herezję nie będzie mógł się obronić. Dojrzał do tego, by zrobić coś ze swoim nędznym życiem. Zaprzagnął znów walczyć dla idei. Tego samego dnia nakazał swoim szpiegom szukać mandylionu.

□ □ □

W Wielkanoc roku Pańskiego 1202 dotarliśmy do Rzymu, albowiem pragnąłem spotkać się z czcigodnym kardynałem Rupertem. Byłem mu to winny.

- Gotfrydzie, mój przyjacielu, mój bracie - mówił wzruszony Rupert, ściskając mnie serdecznie. - Nareszcie widzę cię pogodzonego z losem i z ludźmi.

- To dla mnie zaszczyt, eminencjo, że pamiętałeś o swoim starym słudze - odpowiedziałem, nie kryjąc wzruszenia.

- Ciesz się, że jesteś z nami właśnie teraz, kiedy od zdobycia mandylionu dzieli nas tylko krok.

Nie wiedzieliśmy, co zamierza ojciec Rupert. Nie miałem też pojęcia, jak dostaniemy się do Konstantynopola. I wtedy do Rzymu przyszły wieści o napaści Bonifacego z Montferratu na miasto Zadar w Dalmacji. Dowiedzieliśmy się, że armada wenecka wysadziła na brzeg niedaleko miasta kilkanaście tysięcy żołnierzy, którzy zdobyli je i złupili. Zginęło wielu chrześcijan. Rzymscy mieszczanie, poddani papieża, byli przerażeni, okazało się bowiem, że ludzie

mający reprezentować papieża, czyli krzyżowcy, to zwykle zbiry, łupiące kogo się da, byle tylko się wzbogacić. Rzymscy prałaci mówili ze smutkiem o wypaczeniu idei krzyżowej. To, co się stało, skłoniło mnie do zadania kilku pytań Henrykowi na temat tego, co nas czeka.

- Nie wiem, Gotfrydzie, co mam ci odpowiedzieć - westchnął. - Kardynał Rupert mówił wyraźnie, że nadszedł czas zdobycia mandylionu. Ja rozumiem to tak samo jak ty. Kardynał zawarł jakieś porozumienie z Wenecjanami albo z Bonifacym. Najlepiej zrobimy, jeśli zapytamy o to kardynała. Mamy prawo wiedzieć, w jaką awanturę się wdajemy.

Znaleźliśmy kardynała na Lateranie, gdzie prowadził rozmowy. Nie miał wesołej miny.

- Papież obłożył klątwą uczestników wyprawy na Zadar - oznajmił. - Nie mogłem temu zapobiec. Teraz nie pozostaje nam nic innego, tylko działać po cichu, żeby nikt się o nas nie dowiedział. Skoro Innocenty Trzeci potępił Bonifacego za zdobycie i złupienie Zadani, należącego do węgierskiego króla, to na pewno ekskomunikuje jego i weneckiego dożę, jeśli doprowadzą swój zamiar do końca.

- A co zamierzają? - chciałem wiedzieć.

- Uczynić z Bizancjum swoją kolonię. Miałem nadzieję, że przy okazji będziemy mogli oficjalnie przenieść mandylion do Rzymu, ale po tym, co się stało, to niemożliwe. Musicie działać tak, by nikt się o was nie dowiedział. Napiszę w tej sprawie do zaufanego człowieka w Wenecji. Tylko wy możecie wziąć na siebie ciężar tej wyprawy. Znacnie Konstantynopol.

- Co mamy zrobić? - zapytał Robert.

- Musicie pojechać do Wenecji, żeby dowiedzieć się, co knuje ten pies Dandolo. Połączone siły Bizancjum i naszych ludzi na Bliskim Wschodzie mogłyby dać nam ostateczne zwycięstwo w walce z islamem. Ale nie wiem, co chce zrobić doża. Wykorzystał mnie.

- A Bonifacy? - zapytałem.

- On się już nie liczy. - Rupert machnął lekceważąco ręką. - Mógł być wspaniałym krzyżowcem, jak jego kuzyn Konrad, lecz stał się marionetką w ręku Wenecjan.

Wyruszając z Cypru, Henryk zabrał dwudziestu służebnych braci i giermków. Mieliśmy w Wenecji czekać na rozwój wypadków.

Rozdział XXVIII

PRETENDENT

Wenecja, rok 1202

Laguna wenecka przywitała nas duchotą i smrodem. Staraliśmy się nie rzucać w oczy, byliśmy pewni, że szpiedzy doży doniosą mu o naszym przybyciu jeszcze tego samego dnia - wszyscy rozpoznawali przecież białe płaszcze zakonne.

Jeden z ludzi kardynała, członek Bractwa, miał nam wskazać bezpieczny statek i zaufanego kapitana, z którym mieliśmy pożeglować nad Bosfor.

Zbliżał się czas karnawału. Zamieszkaliśmy w konwencie niemieckich rycerzy Najświętszej Marii Panny.

Konstantynopol, w tym samym czasie

Biskup Eugeniusz miał mało czasu. Jeden z jego ludzi doniósł na niego jego najgorszemu wrogowi, Teodorowi Laskarisowi, a ten postanowił się z Eugeniuszem ostatecznie rozprawić. Biskup był jednak pewny, że zdoła wyekspediować posłańca z listem, zanim zostanie aresztowany przez ludzi Laskarisa.

Za sprawą owego posłańca Bizancjum miało upaść. Liczył sobie osiemnaście lat i był z cesarskiej rodziny. Młody książę Aleksy zdradzał już wszystkie złe cechy rodziny Angelosów. Był tak samo żądny władzy, chciwy, rozpustny i pobożny jak przebywający w więzieniu i oślepiiony Izaak II Angelos i jego panujący przyrodni brat Aleksy III. Książę zabawiał się na dworze cesarskim, wydając ogromne sumy ze skarbcza. W końcu dostojnik postanowił

się go pozbyć i oddać do klasztoru. Aleksy nie mógł tego znieść - zbuntował się i trafił pod opiekuńcze skrzydła biskupa Eugeniusza.

- Proszę, ekscelencjo, ukryj mnie - mówił. - Jesteś znakomitym doradcą mego kuzyna, który, zwiedziony przez tego wściekłego psa Laskarisa, chce mnie oddać do klasztoru.

- Klasztor to znakomite miejsce dla takiego szlachetnego młodzieńca jak ty, książę - rzekł Eugeniusz, a w jego głosie słychać było drwinę.

- Mylisz się, ekscelencjo. Wierzę wprawdzie w Boga tak jak ty, ale moja wiara jest... mniej żarliwa, że tak to ujmę.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Pomocy i opieki.

Eugeniusz nade wszystko pragnął błyszczeć, pokazać ludziom mniej znaczącym niż on, jaką ma władzę i jak może jej użyć. Wszystko miało jednak swoją cenę. Przyzwoitość biskupa Eugeniusza również. I bynajmniej nie była to cena niska.

- A co będę z tego miał? - zapytał.

- Jak to co? - zdziwił się młody człowiek, nieświadomy, w co się miesza.

- Gdy zostanę cesarzem, ty, biskupie, zostaniesz wielkim logotetą i patriarchą Konstantynopola.

Takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał próżny biskup, albowiem kochał władzę. Przyszła mu do głowy pewna myśl: przecież ten głupiec jest dokładnie tym, kogo potrzebuje doża Dandolo!

□ □ □

Tego dnia Eugeniusz i Aleksy mieli zostać aresztowani, jednak informatorzy biskupa na cesarskim dworze w porę ich ostrzegli. Eugeniusz skreślił szybko list do doży i wyruszył, chroniony przez mnichów (tylko oni cieszyli się wystarczającym poważaniem i nie byli atakowani przez fanatycznych mieszkańców miasta), do portu. Na redzie czekał żaglowiec.

Eugeniusz przygotował go zawczasu, aby uciec na którąś z wysp na Morzu Egejskim. Teraz miał zawieźć Aleksego do Wenecji.

- Nie płyniesz ze mną, ekscelencjo? - zdziwił się książę, widząc, że biskup wcale nie zamierza wejść na statek.

- Nie, mój drogi. Jestem patriotą. Nie opuszczę Konstantynopola - odpowiedział Eugeniusz.

- Jestem zbudowany twoją postawą - odparł Aleksey. - Gdy tylko wrócę, natychmiast wyniosę cię do najwyższych godności w państwie.

- Jestem zaszczycony, Wasza Miłość. - Eugeniusz skłonił się nisko.

Prawdziwym powodem jego decyzji, by zostać w Konstantynopolu, była obawa przed dożą. Zbyt dobrze znał mentalność Wenecjan, by nie wiedzieć, co z nim zrobią, kiedy nie będzie im już potrzebny - wtrąca go do papieskiego więzienia. Poza tym miał misję: szukał mandylionu. Żywił cichą nadzieję, że misja Aleksego się powiedzie. Głupcy zawsze mają szczęście, myślał.

Żołnierze Laskarisa aresztowali Eugeniusza, kiedy wrócił z mnichami do swego pałacu. Nie stawiał oporu.

□ □ □

Doża doczekał się wreszcie pierwszego listu z dworu papieskiego. Do tej pory korespondował tylko z kardynałem Rupertem, ale władca Wenecji chciał mieć absolutną pewność, że papież pobłogosławi wspólną wyprawę krzyżową zachodnich i wschodnich chrześcijan przeciwko Egipcjom, jądro muzułmańskiej siły.

Andrea rozłożył papirus od papieża Innocentego III. Kancelaria papieska jako jedyna pisała listy na tym niesłychanie rzadkim i bardzo drogim materiale. Kancelaria doży używała skóry zdzieranej z trzytygodniowych kozłat, która była tańsza. Młodzieniec spojrział na swego pana.

- Czytaj, Andreo - nakazał doża.

- *Innocenty Trzeci, sługa sług bożych...*

- Dalej!

- *W imię Przenajświętszej Trójcy...*

- Dalej!

- *Polecamy miłosierdziu bożemu Twoje zdrowie, Ekscelencjo...*

- Dalej! Do kroćset, Andreo, opuść te bzdury! - ponaglił sekretarza zniecierpliwiony Dandolo.

- Najpokorniej przepraszam Waszą Miłość - wyjąkał Andrea. - *Do naszych uszu doszła wieść o szczęśliwym zamiarze Waszej Ekscelencji, organizacji wielkiej wyprawy krzyżowej, celem połączenia Kościołów zachodniego i wschodniego, a nade wszystko zdruzgotania potęgi nieprzyjaciela chrześcijaństwa, wojowniczego i bezdusznego islamu.*

Doża się rozpromienił. Wiedział, że papież nie domyśla się nawet, co za wyprawa się szykuje.

- Mój Andreo, napisz dzisiaj w odpowiedzi, że Wenecja zgadza się płacić dwukrotnie wyższe świętopietrze.

Dandolo doskonale wiedział, że podwyższenie tego podatku ucieszy papieża i utwierdzi go w przekonaniu, że doża jest wiernym, pokornym i miłującym pokój synem Kościoła.

Tymczasem Andrea czytał dalej:

- *Bardzo leży nam na sercu sprawa unii naszych Kościołów. Jesteśmy zdania, iż powinien być tylko jeden Kościół i jeden pasterz. Polecamy zatem modlitwom wszystkich naszych sług zamiar Waszej Ekscelencji. Ufamy, że Wasza Ekscelencja zdoła przekonać grecki Kościół do uznania naszego zwierzchnictwa.*

- Taak, papieżowi śni się unia kościelna! To dobrze - ucieszył się doża. - Nie wierzę w żadną unię. Papież nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo Grecy go nie lubią...

- Rozumiem, mój panie, że nie zamierzamy wyprowadzać Jego Świątobliwości z błędu - rzekł Andrea.

- Naturalnie. Po cóż ma się martwić - odparł doża.

Papież upoważnił do oficjalnych kontaktów z dożą kardynała Ruperta. Polecił też nawracać wszystkich Żydów napotkanych na drodze krucjaty.

□ □ □

Kardynał Rupert, podejmując decyzję o wysłaniu nas do Wenecji, kierował się niezwykłą intuicją. Był pewny, że wenecki doża działa na dwa fronty: z jednej strony robił wszystko, aby w oczach papieża pozostać jedynym władcą naprawdę przejętym ideą krucjat, z drugiej prowadził zakulisową grę z hrabią Bonifacym. W tym jednym Rupert na pewno się nie pomylił: hrabia Bonifacy organizował wyprawę z ogromnym oddaniem.

Zastanawialiśmy się z Henrykiem i Robertem, skąd niemiecki możnowładca wziął na to pieniądze. Ale skoro zdolny intrygant szastał pieniędzmi, ściągając do Wenecji awanturników z całej Europy, mieliśmy podstawy przypuszczać, że to doża finansuje całą wyprawę. Zaatakowanie Zadani dobitnie świadczyło o tym, iż ci dwaj powzięli jakiś straszliwy zamiar i zrobią wszystko, aby doprowadzić go do końca.

- Mówię wam, że doża ma chrapkę na Konstantynopol - powiedział Henryk któregoś wieczoru, gdy siedzieliśmy przy wieczerzy.

- Nie twierdzę, że nie - odpowiedziałem - ale Dandolo nie może przecież tak po prostu zająć tego wielkiego miasta. Potrzebuje pretekstu. Byliśmy już w Konstantynopolu i wiemy, że jest nie do zdobycia.

Następnego dnia gruchnęła wieść, że do Wenecji przybył wygnany z Konstantynopola książę Aleksy z rodu Angelosów. Wiedzieliśmy już, że pretekst właśnie się znalazł.

□ □ □

Zaczął się karnawał. Widzieliśmy setki żołdaków hrabiego Bonifacego tak pijanych, że nie wiedzieli, co się wokół nich dzieje. Kiedy przed dziesięcioma laty wyruszałem na kniejatę w towarzystwie mojego syna, w armii cesarza Fryderyka Barbarossy pijących krzyżowców być nie mogło. Teraz wszystko się zmieniło. Widząc tych ludzi, zrozumiałem, że armia hrabiego

została stworzona tylko w jednym celu, żeby łupić, rabować i palić, a nie walczyć w imię Boga.

Dziwiłem się, dlaczego Henryk zdecydował, że opuścimy bezpieczny klasztor niemieckich rycerzy i wyruszymy na miasto. Henryk nie chciał nam tego zdradzić, podobnie jak tego, dlaczego zabronił nam nosić białe zakonne płaszcze. Włożyliśmy więc zwykłe, szare. Łamaliśmy regułę, ale Henryk miał w tym jakiś cel. Domyślałem się, że w dniu, w którym Wenecja nałożyła maski i oddawała się rozpuście, my mieliśmy się spotkać z tajnym współpracownikiem kardynała Ruperta.

- Nałóżcie maski - polecił Henryk.

Były to trzy maski pomalowane na czarno. Nikt takich nie nosił - dominowały kolory złoty i srebrny. Na placu Świętego Marka trwała zabawa, co miało nam ułatwić wtopienie się w tłum.

Nagle Henryk chwycił mnie za płaszcz i wciągnął do najbliższej bramy.

- Jesteśmy śledzeni - wyszeptał. - Musimy złapać szpicla i dowiedzieć się, dla kogo pracuje. Ma na sobie biały kaftan, jest młody.

Wmieszałem się w tłum, a Henryk i Robert weszli na most spajający brzegi kanału. Mijały nerwowe minuty. Mój brat i Henryk zatrzymali się przy jakimś warsztacie złotniczym obok mostu, dając mi bezcenny czas.

Wreszcie pojawił się śledzący nas mężczyzna. Rozglądał się niespokojnie, a kiedy skierował wzrok w moją stronę, pochyliłem się i udałem, że szukam czegoś między straganami. Mężczyzna ruszył na most, widząc, że Henryk i Robert są już po drugiej stronie. Uznałem, że to najlepszy moment na atak.

Podążyłem za mężczyzną i w chwili, kiedy postawił nogę na moście, przyłożyłem mu sztylet do boku.

- Jeśli piśniesz słowo, Bóg mi świadkiem, że zginiesz - szepnąłem mu do ucha.

Był tak zaskoczony, że nie zaprotestował. Nie mógł zresztą nic zrobić, bo wokół tłoczyli się rozbawieni ludzie. Wziąłem go pod ramię i zaciągnąłem na drugi koniec mostu, gdzie czekali moi towarzysze. Gdy skręciliśmy w zaułek, Henryk zerwał mu maskę z twarzy.

- Kim jesteś i dlaczego nas śledzisz? - zapytał po włosku. Szpieg był przerażony. Nie miał więcej niż dwadzieścia lat.

- Nie zabijajcie mnie... - wyjąkał.

- Gadaj, kto cię nasłał?

- Nie mogę powiedzieć...

Henryk kopnął go w podbrzusze i chłopak zgiął się z bólu.

- Co ty robisz, Henryku?! - krzyknąłem oburzony.

- Nienawidzę szpiegów - wycedził mój przyjaciel.

- Zostaw go mnie - poprosiłem cicho.

- Chłopcze, popatrz na mnie - rzekłem spokojnie po łacinie. - Jeśli odpowiesz na moje pytania, puścimy cię wolno, jeśli nie, oddam cię w ręce komtura. - Wskazałem Henryka. - Już on zmusi cię do mówienia.

Chłopak skinął głową na znak, że zrozumiał.

- Kim więc jesteś i kto cię nasłał?

Gdy usłyszeliśmy odpowiedź, ze zdumienia otworzyliśmy szeroko oczy.

- Mój pan kazał mi za wami iść, abym chronił was przed szpiegami doży. Powiedział mi też, że jesteście bardzo niebezpieczni - wyznał, popatrując z bojażnią to na mnie, to na Roberta.

- No to pięknie - westchnął Henryk. - Przecież mogliśmy cię zabić.

- Jak się nazywasz i kim jest twój pan? - dopytywał się Robert.

- Jestem Bertuccio, sługa dostojnego ministra Luigiego Poggiego.

- Poggi? - Coś zaczęło świtać mi w głowie. - Henryku, czy pamiętasz, jak przed mniej więcej dziesięcioma laty, w Konstantynopolu, uratowaliśmy od niechybnej śmierci pewnego weneckiego kupca?

Henryk zastanawiał się przez chwilę, po czym wykrzyknął:

- Tak, pamiętam doskonale! Do diabła!

Bertuccio uczynił szybko znak krzyża. Zapewne nigdy nie słyszał, aby templariusze używali takich słów.

- A zatem widzisz, Henryku, że historia zatacza koło. Człowiek, którego kiedyś uratowaliśmy, jest tym, na kogo czekaliśmy - podsumowałem.

Robert się roześmiał i powiedział:

- Jeśli to prawda, to Bractwo Mandylionu jest potężniejsze od samego weneckiego doży, skoro najwybitniejszy minister wenecki jest na jego usługach!

Na twarzy Bertuccia odmalowała się ulga. Podniósł z ziemi maskę i rzekł:

- Chodźcie więc ze mną, dostojni panowie. Mój pan czeka na was w kościele Świętego Rocha!

□ □ □

Dandolo odłożył właśnie ostatni list biskupa Eugeniusza, w którym ten prosił o opiekę nad księciem Aleksym. Doża spojrział na Aleksego siedzącego w głębokim fotelu. Co za głupiec, pomyślał.

- Książę, co stało się z dostojnym biskupem Eugeniuszem? Obawiam się o jego bezpieczeństwo. Dlaczego nie udał się z tobą do Wenecji? - zapytał uprzejmie doża po grecku.

Jeśli tylko tego chciał, Dandolo potrafił być czarujący. Młodzieniec rozparł się w fotelu. Greka doży wywarła na nim spore wrażenie.

- Niestety, mogę jedynie podzielić twoje obawy, Wasza Dostojność. Czcigodny biskup powiedział, że nie może opuścić miasta. Jego miłość do Konstantynopola jest silniejsza od strachu przed Teodorem Laskarisem - odpowiedział książę z emfazą.

Akurat w to uwierzę, pomyślał doża i uśmiechnął się jak stary poczciwy proboszcz.

- A kim jest Teodor Laskaris?

- To najzagorzalszy wróg biskupa - wyjaśnił Aleksy. - A zarazem wróg Wenecji. Sprawuje urząd wielkiego logotety. Jest groźny. O mało nie wtrącił mnie do więzienia. Uciekłem w ostatniej chwili.

- Podziwiam stałość poglądów i umiłowanie ojczyzny biskupa Eugeniusza. To rzadkie dzisiaj cechy. Nie przejmuj się Laskarisem. Zajmiemy się nim w odpowiednim czasie.

- Przed moim powrotem do Konstantynopola należy uczynić wszystko, aby ten nikczemnik nie wszedł nam w drogę. Eugeniusz mówił, że Wasza Miłość jest przyjacielem Bizancjum i że leży mu na sercu los mojej ojczyzny tak samo jak własnej. Ze swej strony zapewniam o szczerzej chęci współdziałania.

- Jestem wzruszony - mruknął doża.

Odilon miał rację, że los Bizancjum obchodzi mnie tak samo jak los Wenecji, pomyślał.

- Wasza Dostojność musi wiedzieć - ciągnął książę - że los mojej ojczyzny skłania mnie do szukania pomocy u wszystkich przyjaciół i sprzymierzeńców, którym zależy na odbudowie potęgi cesarstwa i utrzymywaniu dobrych kontaktów handlowych z Wenecją.

Czuł się pewnie. Był w końcu księciem krwi. Zastanawiał się, czy chciałby pędzić skromny żywot wygnańca, jednak szybko doszedł do wniosku, że jedyne, czego pragnie, to władza. A tę może zdobyć tylko w Konstantynopolu. Postanowił, że poprosi dożę o protekcję.

Nie zdawał sobie sprawy, iż wkłada głowę w paszczę lwa.

□ □ □

W kościele Świętego Rocha panował półmrok. Potężne kamienne mury świątyni pamiętały czasy bizantyjskiego cesarza Justyniana Wielkiego, który wznosił ją przed kilkoma wiekami. Wtedy władza cesarza bizantyjskiego sięgała aż po słoneczną Italię, a teraz, jak na ironię, śmiertelny cios wymierzony w serce prastarego cesarstwa miała zadać właśnie Wenecja.

Kościół był pusty. Bertuccio rozglądał się nerwowo, szukając swego pana. Zapewne wciąż pamiętał kopniaka wymierzonego przez Henryka. Kiedy nasze oczy przyzwyczyły się do półmroku, z bocznej nawy kościoła wyłonił się mężczyzna w czarnej długiej pelerynie i złotej masce.

- To ty, Bertuccio? - zapytał.

- Mój panie, cieszę się, że cię widzę - rzekł chłopak. - Miałeś rację, mówiąc, że bracia templariusze są groźnymi mężczyznami.

- Dostałeś po uszach, co, nicponiu? Bertuccio spuścił głowę.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni, wyjął pękatą sakiewkę i rzucił ją chłopakowi. Ten złapał ją jak zgłodniały pies łapie kość.

- Dziękuję pokornie Waszej Miłości. Twój wierny sługa... - Bertuccio, kłaniając się, dotarł do wrót kościoła.

- Dostojny Luigi, możesz zdjąć maskę - rzekł Henryk, wyłaniając się zza kolumny. - Poznaliśmy się dziesięć lat temu.

- Wybacz, dostojny rycerzu, ale w niej pozostanę - odrzekł Poggi. - Jest karnawał. Nie nosić dziś maski w Wenecji to jak przybyć do Rzymu i nie ucałować wizerunku papieża.

Wyjawiliśmy Poggiemu cel naszej wizyty w Wenecji. Nie był zdziwiony. Powiedział nam, że doża zamierza ruszyć na Egipt, gdy tylko armia Bonifacego z Montferratu odpowiednio przyciśnie Bizantyjczyków.

- Co to znaczy „przyciśnie”? - skrzywił się Henryk.

- Dostojni bracia, doża zawarł układy, między innymi ze stolicą apostolską, i zamierza ich dotrzymać. Gdyby tego nie uczynił, straciłby twarz. Nie posądzacie go chyba o nieczne zamiary?

Popatrzyliśmy po sobie. Pokręciłem głową, dając Henrykowi do zrozumienia, że nie chcę się wypowiadać. Irytowała mnie cała ta maskarada.

- Nie, skądże - odrzekł Henryk. - Jak jednak mamy wytłumaczyć papieżowi najazd armii Bonifacego na Zadar, który należy do króla

węgierskiego? To wywołało niepokój w Rzymie. Papież troszczy się przecież o chrześcijan, którzy są mieszkańcami tego miasta.

- Mogę jedynie wyrazić moje ubolewanie - powiedział Poggi. - Tego barbarzyńskiego aktu dokonali ludzie pozbawieni skrupułów. Niestety, część awanturników ściągniętych tu przez hrabiego nie uznała jego zwierzchnictwa i postanowiła sama odebrać żold, którego hrabia im nie wypłacił. Zaatakowali więc Zadar.

- Czy możemy zapewnić kardynała Ruperta, mistrza naszego Bractwa, że Wenecja nie przyłożyła ręki do tego najazdu? - zapytał Henryk.

Człowiek w złotej masce odpowiedział:

- Oczywiście, że tak. Wenecja dotrzymuje układów, które zawiera. Zadar to był niefortunny epizod, za który nie możemy wziąć odpowiedzialności. Czy jednak był to akt bardziej niszczycielski od tego, jakiego przed kilku laty dopuścił się król Anglii, Ryszard Lwie Serce? Anglicy złupili przecież w drodze na krucjatę chrześcijańską Sycylię, domenę cesarza Barbarossy, czyż nie?

- Jak... hrabia zebrał pieniądze na opłacenie armii? - Teraz z kolei ja zadałem pytanie.

- Nie zebrał. Krzyżowcy zostaną przewiezieni naszymi statkami do Egiptu, kiedy uda nam się nakłonić Bizancjum do wzięcia udziału w krucjacie. Ludzie, którzy zbrali się w Wenecji, są dobrymi chrześcijanami. Nie robią tego dla pieniędzy. To my zapłacimy za flotę. Jesteście templariuszami - ciągnął Poggi - podlegacie Ojcu Świętemu. Możecie zapewnić kardynała i papieża, że są jeszcze ludzie, którzy potrafią bezinteresownie walczyć za wiarę. Nasz doża do takich należy. Choć między nami mówiąc, to zepsuty do szpiku kości rozpustnik - dodał szeptem. - Przekażę naszemu doży dowody troski stolicy apostolskiej oraz powiem o obawach kardynała Ruperta. Obiecuję, że razem z dożą będziemy się modlili o to, by Bóg pobłogosławił nową krucjatę.

- Niech Bóg da nam zwycięstwo - odrzekł Henryk.

Doża przechadzał się nerwowo po swoim gabinecie. Gdy w końcu nadszedł Andrea, ubrany w pelerynę ministra Poggię, Dandolo podszedł do niego i serdecznie go uściskał.

- Mów, chłopcze, czy templariusze nie okazali się tacy mądrzy, za jakich się uważają, i połknęli haczyk?

- Będą nam jedli z ręki - zapewnił Andrea. - Podobnie jak kardynał i miłościwie nam panujący Innocenty Trzeci.

- Doskonale, mój kochany, doskonale! - wykrzyknął rozpromieniony doża.

- Przekonałem ich, że wyprawa krzyżowa nadal jest realna. Musiałem trochę usprawiedliwić najazd na Zadar.

- Ależ to drobiazg! Zbrodnie Ryszarda Lwie Serce były stokroć potworniejsze od naszych - zauważył doża z przekąsem. - Nie mówiąc już o tym, że poprzedni papież cieszył się, iż Ryszard złupił Sycylię, własność cesarza, swego największego wroga!

- Pozwoliłem sobie wtrącić uwagę o królu Anglii. Niech Pan ma w opiece jego duszę! - rzekł rozpromieniony Andrea.

- Amen! - zakończył doża.

- Pozwoliłem sobie także na małą złośliwość pod adresem Waszej Miłości - dodał wyzywająco chłopak.

- Ty nicponiu! - Doża pogroził sekretarzowi palcem. - Co im powiedziałaś?

- Prawdę. Jesteś przecież starym rozpustnikiem - odrzekł cicho Andrea, wiedząc, jaką przyjemność sprawi swemu panu.

Doża uśmiechnął się i uszczypnął sekretarza w rumiany policzek.

- Doskonale się spisałeś. Teraz już nic nam nie przeszkodzi.

Papież zrozumie, co się dzieje, dopiero wtedy, gdy staniemy u bram Konstantynopola.

Andrea skłonił się nisko. Już miał wyjść z komnaty, ale odwrócił się w drzwiach, by zadać pytanie:

- A Poggi?

- Poggi sam jest sobie winny - odrzekł Dandolo obojętnie. - Zdradził nas.

□ □ □

W ciemnym lochu, gdzieś w podziemiach Wenecji, siedział człowiek przykuty łańcuchami do ściany. Jego stopy posmarowano świeżą świńską krwią, żeby zwabić szczury, prawdziwych władców weneckich kanałów. Poggi był silnym mężczyzną, ale wytrzymał tylko dwa dni.

Przed dziesięcioma laty ludzie z Bractwa Mandylionu uratowali mu życie w Konstantynopolu. Z tego powodu wenecki dyplomata związał się z kardynałem Rupertem, stał się jego oczami i uszami w Wenecji.

Zgubiła go słabość do ładnych młodzieńców. Pragnął zdobyć Andreę, sekretarza doży, a gdy ten w końcu uległ jego namiętnym prośbom, Poggi stracił dla niego głowę. Andrea wykradł mu któreś nocy listy od kardynała Ruperta do weneckiego ministra i zaniósł je doży. Ich treść uznano za zdradę. A dla zdrajców nie ma litości.

□ □ □

Po kilku tygodniach książę Aleksy podpisał wreszcie traktat z dożą oraz hrabią Bonifacym. Wenecja oraz Bonifacy z Montferratu zobowiązywali się w nim do udzielenia pomocy pretendentowi do cesarskiego tronu. Książę obiecał zawrzeć z Wenecjanami korzystny traktat handlowy (tak jakby wszystkie inne traktaty nie były dla nich korzystne). Hrabia Bonifacy, po wyniesieniu Aleksego na cesarski tron, miał otrzymać tytuł książęcy. Traktat wspominał także o wyprawie krzyżowej przeciwko muzułmanom.

Aleksy miał zostać największym błaznem w historii swej ojczyzny.

□ □ □

Doża spoglądał ze statku na wenecką lagunę, w której cumowały setki większych i mniejszych okrętów wojennych - napędzanych żaglami, a także siłą

miężni wioślarzy - oraz dziesiątki mniejszych statków. Armada owa stanowiła ukoronowanie życia doży. Za kilka miesięcy miała zadać śmiertelny cios greckiemu cesarstwu i pod przykrywką wyprawy krzyżowej zrealizować marzenie Wenecjan. Bizancjum, przeżywające głęboki kryzys polityczny, miało stać się kolonią łacińskiego Zachodu. Doża oczywiście nie wykluczał, że Bizancjum z nową zachodnią dynastią wesprze krzyżowców na Bliskim Wschodzie, ale on wiedział, że jego dni są policzone i że pewnie tego nie dożyje. Miał osiemdziesiąt lat. Wykrzesał jednak z siebie jeszcze dość siły, aby stanąć na czele wyprawy. Nie mógł odmówić sobie tej przyjemności.

Rozdział XXIX

OBLĘŻENIE

Konstantynopol czerwiec roku 1203

Teodor Laskaris mógł czuć się panem sytuacji. Szpiegzy Teodora donieśli mu, iż w pałacu biskupa Eugeniusza znaleziono kompromitujące go listy od Wenecjan. Okazało się, że Eugeniusz prawdopodobnie współdziałał ze szpiegami weneckimi i przekazywał im tajne informacje.

Teodor tylko na to czekał - teraz mógł bez przeszkód postawić zarzut zdrady. Wszyscy w Konstantynopolu doskonale wiedzieli, że to wyrok śmierci. Bizancjum zżerała korupcja, upadek obyczajów i, co najważniejsze, całkowity upadek maszyny fiskalnej państwa, a bez pieniędzy nie ma armii. W Attyce i w Tesalii grasowały bandy dzikich Bułgarów. Najmowano ich, bo byli tańsi od Węgrów czy Rusinów z Kijowa. Tylko Konstantynopolowi nie groził jeszcze atak zbuntowanych wojsk, bo Laskaris zabezpieczył stolicę, wypłacając najemnikom złoto z kościelnych skarbców i utrzymując w ten sposób karność w szeregach. Tak jednak na dłuższą metę nie można było rządzić. Laskaris dobrze to wiedział i dlatego pragnął poznać myśli wroga swej ojczyzny - weneckiego doży.

Eugeniusz siedział w więzieniu już od kilku tygodni. Traktowano go dobrze, był przecież więźniem stanu. Gdy rozeszła się wieść, że to biskup, wielu współwięźniów okazało mu współczucie.

Z końcem 1202 roku, parę miesięcy przed aresztowaniem, Eugeniusz odwiedził sędziwego i złożonego ciężką chorobą patriarchę Konstantynopola, dostojnego Teofanosa, który nienawidził Kościoła katolickiego. Wiedział o przeszłości Eugeniusza, skłóconego z papieżem. Eugeniusz nie pisał oczywiście słowa o swojej heretyckiej przeszłości, podzielił się natomiast wiedzą o Rzymie. Pomagał Teofanosowi odpierać zarzuty zachodnich polemistów, zarzucających wschodniemu Kościołowi oddalenie się od Rzymu. Eugeniusz blokował wszystkie inicjatywy zmierzające do uszczuplenia kościelnych skarbców. Wprawdzie sporadycznie zdarzało się, że oślepiiony przez brata Izaak II Angelos bił monety z kościelnego złota, ale zapobiegliwy Eugeniusz zwracał wszystko do kościelnych kas z nawiązką, ściągając bezlitośnie podatki od udręczonego ludu.

Teofanos wiedział, że umiera, i chciał namaścić następcę. Wybrał Eugeniusza, swego najwierniejszego doradcę. Miał pewność, że kierunek jego polityki zostanie zachowany. Na łożu śmierci rzekł:

- Pragnę, bracie, abyś po mojej śmierci chronił nasz święty prawosławny Kościół przed złymi cesarzami, papieżem i barbarzyńskimi zachodnimi łacinnikami.

- Czcigodny bracie - odpowiedział wzruszony Eugeniusz - byłem przecież biskupem Kościoła rzymskiego.

- Właśnie dlatego chcę, byś zajął moje miejsce. Najbardziej zagraża nam Rzym. Wiem, że ty także nienawidzisz Rzymu i papieża.

- Nie mylisz się - potwierdził Eugeniusz. - Nienawidzę Rzymu i tego, co rzymski Kościół uosabia. Przysięgam, że będę chronił nasz Kościół przed zakusami papieża.

Eugeniusz ucałował drżącą, pomarszczoną dłoń Teofanosa, po czym nachylił się nad umierającym.

- Czcigodny bracie - szepnął - wiem, że istnieje na zachodzie potężne i wpływowe Bractwo, grupujące różnych ludzi o potężnych wpływach. To najbardziej fanatyczni rzymscy katolicy, jakich znam. Są bardzo niebezpieczni. Ich celem jest odnalezienie mandylionu.

Wypowiadając słowo „mandylion”, Eugeniusz schylił głowę, aby stary patriarcha nie widział błysku w jego oczach. Nigdy nie powiedział mu o tym, że przed wieloma laty był w Konstantynopolu. Nie przyznał się też, że kiedyś należał do sekty bogomiłów.

Patriarcha nieco się ożywił. Wbił oczy w Eugeniusza i dał znak, by ten zbliżył ucho do jego ust.

- Mandylion jest najświętszą ze świętych relikwii - wyszeptał z trudem. - Nikt nie wie, jak przetrwał tyle stuleci. To najcenniejsza rzecz, jaka została nam po naszym Panu, Jezusie Chrystusie. Musisz go strzec jak źrenicy oka.

- Czcigodny Teofanosie, powiedz mi, gdzie jest ukryty...

- W kaplicy Matki Bożej z Faros... pałac Bukoleon... Eugeniusz miał ochotę rozplakać się ze szczęścia. Jest tak

blisko celu! Starzec zamknął oczy. To były jego ostatnie słowa.

Pochowano go w kościele Hagia Sophia. Przed śmiercią Teofanos zabezpieczył sukcesję Eugeniusza i nawet jeśli cesarz lub Teodor Laskaris chcieliby się sprzeciwić, wola zmarłego patriarchy dla setek zagorzałych, ciemnych prawosławnych mnichów była święta.

□ □ □

Miasto ogarnęły rozruchy, wzniecone przez fanatycznych mnichów, dla których wola Teofanosa, ustanawiająca Eugeniusza nowym patriarchą, była niepodważalna.

Teodor wpatrywał się w siedzącego naprzeciwko wroga. Wiedział, że nie może mu nic zrobić, nie miał jednak najmniejszej ochoty wypuszczać go z

więzienia. Był pragmatykiem - czasami musiał wybierać pomiędzy złem mniejszym i większym. Wydawało mu się, że teraz nie stoi przed takim wyborem.

- Żądam, żebyś mnie uwolnił - rzekł Eugeniusz.

- To nie ty stawiasz warunki - odparł zimno Laskaris. - Pamiętaj, że jesteś oskarżony o zdradę.

- Udowodnij mi to.

Laskaris wstał, podszedł do dużej szafy, wyjął z niej kilka rulonów pergaminu i rzucił je na stół.

- Spiskowałeś z Wenecjanami - stwierdził. - Działałeś na szkodę swego cesarza, swego ludu i swego miasta. Mógłbym skazać cię na śmierć.

Eugeniusz zrozumiał, że to nie żarty. Miał jednak w ręku atut.

- Patriarcha Teofanos przed śmiercią wyznaczył mnie na swego następcę. Lud Konstantynopola oraz rzesze wiernych zakonników od wielu dni głośno domagają się mego uwolnienia - rzekł spokojnie. - Jeśli każesz mnie stracić, pomyśl, czy następnego dnia twojej głowy nie zetnie miecz sprawiedliwości.

- Nie powiedziałem, że zostaniesz stracony. Doszliśmy z cesarzem Aleksym do wniosku, że powinienes wyjść do ludzi i ich uspokoić. Zagrażają nam Wenecjanie. Te listy są tego dowodem. - Wskazał leżące na stole pergaminy. - Trzeba skonsolidować państwo. Cesarz wyraził przekonanie, że jeśli powiesz wszystko o swoich kontaktach z Wenecjanami, ocalisz życie.

Eugeniusz triumfował. Za stosunkowo niewielką cenę odzyskał wolność. Nagle do komnaty wpadł przerażony sługa.

- Proszę o wybaczenie, panie - wy sapał, a na jego twarzy malowało się przerażenie. - Płynie do nas wielka flota...

- Jaka flota, na miłość boską?

- Straże z wież oraz marynarze z portu donoszą o wielkiej flocie, która znajduje się na morzu Marmara. Kilka tysięcy statków. Przed wieczorem przybiją do brzegu.

Laskaris poderwał się z krzesła. Teraz zrozumiał aluzje z listów doży. Nagle wszystko stało się jasne: ucieczka księcia Aleksego, spisek Eugeniusza, listy od doży, zwiększona aktywność kupców weneckich... Laskaris rzucił biskupowi spojrzenie pełne pogardy i stwierdził:

- Sprzedałeś nas...

□ □ □

Od kilku dni Morze Egejskie było spokojne i mieliśmy czas na odpoczynek. Drzemałem, kiedy obudził mnie mój brat.

- Dopłynęliśmy - oznajmił Robert. - Jesteśmy już na morzu Marmara.

Narzuciłem płaszcz na białą tunikę - w warunkach bojowych mieliśmy obowiązek przez cały czas chodzić w pełnym rynsztunku - i wyszedłem na pokład. Zobaczyliśmy, że tysiące żołnierzy Bonifacego z Montferratu jest już na lądzie.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie rozmiary tego przedsięwzięcia. Ta armia została wysłana nad Bosfor tylko w jednym celu: by zdobyć tysiącletnie miasto i jego nieprzeliczone skarby. Perfidia doży sięgnęła szczytu.

- Robercie, co o tym sądzisz?

Mój brat patrzył na setki okrętów zacumowanych na przybrzeżnych płyciznach.

- Zostaliśmy oszukani - stwierdził.

- Doża wywiódł nas w pole - przyznałem. - Wyjeżdżając z Wenecji, wysłaliśmy przecież posłańca do papieża i kardynała Ruperta. On zawiadomił ich, że to wyprawa przeciwko Egipcjom.

- W Rzymie o niczym nie będą wiedzieli - zauważył Robert.

Patrzyliśmy na gigantyczną flotę. W drodze dołączyły do armady, która wypłynęła z Wenecji, statki weneckie z Morza Egejskiego i Rodos. Nikt chyba nie mógł już mieć wątpliwości, że taka siła skłoni Bizantyjczyków do poddania się.

Zeszliśmy z powrotem pod pokład. Na polecenie Henryka, który skończył właśnie poranną modlitwę, ściągnęliśmy z masztu naszego statku proporzec zakonu - czarno-białą chorągiew z czerwonym krzyżem. Henryk uznał, że jako zakon rycerski podporządkowany papieżowi nie możemy uczestniczyć w wyprawie wymierzonej przeciwko chrześcijanom. Chciał wracać na Cypr lub płynąć do Rzymu, żeby powiadomić o wszystkim Ruperta.

- Komturze - zwrócił się Robert do Henryka - jeśli nie odnajdziemy mandylionu teraz, nie odnajdziemy go nigdy. W tej chwili nie wiemy, jak zachowają się żołnierze Bonifacego.

- Masz rację, Robercie - poparłem brata - ale jeśli Bonifacy i doża nie dostaną tego, czego chcą, to możemy być pewni, że miasto zostanie wydane na pastwę tych dzikich zwierząt.

- Mówisz o krzyżowcach - zwrócił mi uwagę Henryk.

- Mówię o ludziach, którzy sprzeniewierzyli się prawdzie. Tylko, proszę, nie mów mi, Henryku, czym jest prawda. To pytanie zadał Piłat naszemu Panu. Powinniśmy zostać i spróbować ocalić mandylion, jeśli miasto rzeczywiście zostanie złupione. Mam jednak nadzieję, iż tak się nie stanie. W jakim celu doża i Bonifacy zawarli traktat z Aleksym? Jeśli chcą go umieścić na tronie jako marionetkę Wenecjan, muszą zadbać, by miał czym rządzić.

- Jestem podobnego zdania - dodał Robert.

Henryk spojrzał na nas, a na jego twarzy widać było troskę. Przeczuwał najgorsze.

- Macie rację - rzekł. - Nie wiemy jednak, jak zachowają się Grecy. Mogą podjąć walkę, a wtedy dla miasta nie będzie litości.

□ □ □

Pałac wielkiego logotety został wzniesiony nad samym brzegiem morza, a z tarasu na górnym piętrze rozciągał się wspaniały widok na cieśninę Bosfor. Teodor Laskaris oraz biskup Eugeniusz patrzyli początkowo z niedowierzaniem, a potem z coraz większym przerażeniem na setki żagli bielejących na wodzie.

- Zobacz, do czego doprowadziłeś. Jesteśmy zgubieni - utyskiwał Laskaris.

- Tracisz zimną krew - prychnął Eugeniusz. - Powinniśmy czym prędzej rozpocząć negocjacje.

- Zapominasz, że jesteś moim więźniem. W każdej chwili mogę wymóc na cesarzu wyrok śmierci dla ciebie.

Eugeniusz uśmiechnął się ironicznie.

- Nie zrobisz tego, Teodorze Laskarisie. Z Wenecjanami potrafię rozmawiać tylko ja. Obojętnie, czy tego chcesz, czy nie, jedziemy na tym samym wózku. Możemy razem dojechać szczęśliwie do celu, albo obaj z niego spadniemy. Wybieraj.

Laskaris pomyślał, że Eugeniusz musi mieć nerwy ze stali. Flota, jaka właśnie płynęła na Konstantynopol, radykalnie zmieniła sytuację. Teraz Eugeniusz mógł dyktować warunki. Teodor doskonale wiedział, że miasto nie jest w stanie się obronić. Najemnicy, marnie opłacani, nie będą umierali za Konstantynopol, szczególnie ci pochodzący z zachodu Europy oraz liczni Węgrzy. Jako katolicy nie podniosą miecza na krzyżowców. Wyznający prawosławie Rusini stanowili zbyt małą część cesarskich wojsk, żeby móc walczyć. Teodor wiedział, że musi negocjować. Musi też uwolnić Eugeniusza.

□ □ □

Negocjacje się przeciągały. Grecy stawiali twarde warunki, a krzyżowcy za wszelką cenę pragnęli osadzić na tronie Aleksego. Napięcie rosło. Miasto przygotowywało się do obrony, a krzyżowcy do oblężenia.

Znaleźliśmy się w impasie.

- Musimy, Henryku, spróbować dostać się do miasta. Jeśli nie odnajdziemy ukrytego przez Huberta dokumentu...

- Wiem, Gotfrydzie - przerwał mi Henryk. - Ale póki Wenecjanie prowadzą z Grekami negocjacje, wejście do miasta jest niemożliwe.

Musiałem przyznać mu rację. Pozostawało czekanie. Z pomocą przyszła nam polityka. Po dwóch miesiącach po obozie krzyżowców rozeszła się wieść, że w Konstantynopolu nastąpił przewrót.

Cesarz Aleksy III uciekł. Zabrał swą ukochaną córkę, kilka worków ze złotem i klejnotami i pod osłoną nocy, bez sług, załadował wszystko na wóz i zniknął bez śladu. Mógł tego dokonać, ponieważ armia krzyżowców nie zaniknęła miasta od strony lądu.

W pałacu cesarskim zapanowała konsternacja. Wielu nie mogło uwierzyć, że cesarz nie chce bronić swojego miasta i woli hańbę ucieczki od męczeńskiej śmierci. Grecy chyba wtedy zdali sobie sprawę, że jeśli szybko czegoś nie wymyślą, będą zgubieni. Biskup Eugeniusz przedstawił propozycję, która nawet Laskarisowi wydała się niegłupia.

- Wyciągnij z więzienia Izaaka Angelosa. To człowiek pochodzący z tej samej dynastii. Ktoś przecież musi rządzić.

Wyprowadzono zatem starego, schorowanego i ślepego basileusa z lochu, umyto go, ubrano i posadzono na tronie. Oczywiście nie był on w stanie samodzielnie podejmować decyzji - czynili to za niego Laskaris oraz Eugeniusz. Ci dwaj śmiertelni wrogowie byli teraz na siebie skazani. Musieli współdziałać, ponieważ zapasy żywności się kończyły, mnisi podburzali lud, a flota krzyżowców stała u bram miasta.

- Musimy ustąpić - przekonywał Eugeniusz.

- Jak to sobie wyobrażasz? Doża chce, żebyśmy respektowali traktat, który z tymi śmierdzącymi barbarzyńcami podpisał ten głupiec Aleksy.

- Właśnie o to chodzi. Aleksy jest synem Izaaka Drugiego Angelosa. Teraz musimy zrobić wszystko, żeby uspokoić lud i krzyżowców. Jeśli zyskamy trochę czasu, może uda się spłacić Wenecjan. Czy chcesz, żeby armia papieża weszła do Konstantynopola?

W wyniku porozumienia zawartego przez Greków z Wenecjanami flota krzyżowców mogła wpłynąć do zatoki Złotego Rogu. Łańcuch, rozciągnięty do

tej pory między europejskim i azjatyckim brzegiem cieśniny, nie stanowił już przeszkody. Do portu wpłynęły także statki ze zbożem. Sytuacja się uspokoiła. Ale tylko na jakiś czas.

Któregoś dnia Laskaris i biskup Eugeniusz zaprosili krzyżowców do miasta na ucztę, by ich przekupić. Jednak krzyżowcy nie chcieli złota i drogocennych podarków. Powoływali się na traktat z młodym Aleksym.

Tego dnia, kiedy w zatoce Złotego Rogu rozeszła się wieść, że kilkuset krzyżowców może wejść do Konstantynopola, uznaliśmy we trzech, że to najlepszy moment, by przystąpić do realizacji naszego planu.

□ □ □

Był początek jesieni 1203 roku. Zakwitły mimozy i w powietrzu unosił się ich słodkawy, nieco mdły zapach. Przeszliśmy przez bramę, a słowiańscy strażnicy nawet nie zapytali, kim jesteśmy. Henryk postanowił, że nie włożymy naszych białych płaszczy; nikt przecież nie może się dowiedzieć, że templariusze uczestniczą w wyprawie przeciwko chrześcijanom. Skierowaliśmy się w stronę dobrze nam znanej dzielnicy Perea. Tutaj przed laty mieszkali zachodni kupcy, a teraz zajmowali ją słowiańscy najemnicy, jedyna wciąż sprawna siła zbrojna greckiego cesarza.

- Do diaska - zaklął Henryk - chyba pomyliłem drogę. Nie pamiętam, gdzie stał dom, w którym mieszkał Hubert.

- Co teraz, Gotfrydzie? - zwrócił się do mnie Robert.

- Czekaście, ja sobie chyba przypominam... - odpowiedziałem.

Długo krążyliśmy po krętych ulicach, ale w końcu, zmęczeni, dotarliśmy pod dom otoczony drewnianym płotem. Byłem pewny, mimo ciemności, że to właśnie tu przed laty mieszkał Hubert.

Coś się jednak nie zgadzało. Dom miał dobudowaną kopułę, a nad nią w świetle księżyca ujrzeliśmy... półksiężyc. Nasze zdziwienie nie miało granic - to był meczet! Jak to się stało, że w Konstantynopolu muzułmanie mogli

utrzymywać świątynię, nie mieściło nam się w głowach. W żadnym innym mieście w Europie nie byłoby to możliwe.

Byliśmy tak poruszeni, że wróciliśmy na okręt. Musieliśmy się naradzić.

□ □ □

Nazajutrz zasięgnęliśmy języka. Okazało się, że w Konstantynopolu istnieje jedyny meczet, który służy przybywającym do miasta kupcom arabskim. Jak na ironię, Grecy przeznaczili na muzułmańską świątynię budowlę, która kiedyś służyła zakonowi templariuszy. Byliśmy wściekli.

- To niesłychane - kipiał Robert - nienawiść Greków do zachodnich chrześcijan jest niezrozumiała.

- Mylisz się, bracie, jest bardzo zrozumiała. Nienawidzą nas tak samo, jak my nienawidzimy ich - zauważyłem z naganą w głosie.

- Gotfrydzie, stałeś się nieznośnym moralizatorem - prychnął Henryk. - Musimy dostać się do wnętrza. Czy pamiętasz, gdzie Hubert ukrył ten rękopis?

Pokręciłem głową.

- No, to mamy podwójny kłopot. Jeśli się tam dostaniemy, będziemy musieli przewrócić wszystko do góry nogami - westchnął Robert.

- Ja zrobię to z przyjemnością - oświadczył Henryk.

□ □ □

Rozgłosiliśmy wśród najbardziej fanatycznych krzyżowców z Francji, że Grecy oddali na meczet budynek będący wcześniej siedzibą templariuszy. Ich reakcja była do przewidzenia - wpadli we wściekłość. Kilkuset uzbrojonych po zęby Francuzów pomaszerowało do Perei. Henryk powiedział, że na terenie meczetu, w srebrnej szkatule, ukryta jest cenna relikwia - palec wskazujący świętego Damazego.

- Palec świętego Damazego... Henryku, zaskakujesz mnie - mruknąłem.

- Cel uświęca środki - odrzekł Henryk z niewinną miną. Krzyżowcy włamali się do budynku i zaczęli go przetrząsać w poszukiwaniu relikwii. Po

kilku godzinach odnaleziono skrytkę w podłodze. Szkatuła była nienaruszona. Krzyżowcy oddali szkatułę templariuszom, meczet zaś podpalono.

Przeczytaliśmy uważnie to, co napisał Hubert. Szczególnie duże wrażenie wywarł na nas fragment poświęcony staremu ślepemu bibliotekarzowi, który odnalazł relikwię w kaplicy Matki Bożej z Faros, w pałacu Bukoleon.

□ □ □

Szczęście nas nie opuszczało. Któregoś wieczoru zauważyliśmy grupę Greków zmierzających do domu, w którym mieszkał doża. Podobno porozumienie Wenecjan z Grekami było kwestią dni i miasto miało zostać otwarte dla zachodnich wojsk.

Przypatrywałem się Grekom przez dłuższą chwilę, bo wydawało mi się, że skądś ich znam.

- Popatrz, czy to nie nasz przyjaciel, wielbny biskup Odilon z Reinault? - szepnąłem do Henryka.

Zobaczyłem, że jego twarz robi się purpurowa.

- Co ten drań tutaj robi? - syknął.

- Przed śmiercią Hubert powiedział nam, że ta kreatura jest w Konstantynopolu i że dobrze mu się powodzi.

Dla nas pozostał heretykiem i łajdakiem, gotowym dopuścić się każdej podłości.

- Właściwie za co go tak nienawidzicie? - chciał wiedzieć Robert.

- Za to, gdzie teraz jesteśmy - wyjaśnił Henryk. - Gdyby nie on, nigdy nie opuścilibyśmy Anglii, nigdy nie przelalibyśmy tyle krwi, a ty nie wychowywałbyś się bez brata.

- Henryku, nie masz racji - zaprotestowałem. - Zapominasz, że chciałem wyjechać do Londynu. Gdyby nie Odilon, nie poznałbym Katarzyny i nie miałbym syna.

Henryk zmierzył mnie groźnym spojrzeniem.

- Gdyby nie on, nie znalazłbym chusty w lesie Cotswold i w ten sposób nie zabrnęlibyśmy obydwaj tak daleko.

Zrozumiałem, że Henryk nienawidzi życia, jakie wie dzie.

- Musimy go dostać w nasze ręce - stwierdził z przekonaniem.

Robert przysłuchiwał się tej rozmowie, po czym zwrócił nam uwagę na fakt, że porwanie Odilona będzie miało istotne polityczne konsekwencje. Henryk powiedział, że jako komtur bierze odpowiedzialność za wszystko.

Ze Złotego Rogu do Złotej Bramy, prowadzącej do miasta, wiodł szeroki brukowany chodnik. Wychodząc z portu, zakręcał obok murów Konstantyna. Ów zakręt, ocieniony drzewami, doskonale nadawał się na miejsce zasadzki.

Przynętą miałem być ja. Postanowiłem, że odegram rolę porzuconego wychowanka, który odnalazł swego mentora.

□ □ □

Laskaris udał się wraz z Eugeniuszem na spotkanie ostatniej szansy. Zdawał sobie sprawę, że musi pójść na kompromis. Zazdrościł swemu wrogowi, że to on wpadł na pomysł osadzenia na tronie oślepiętego Izaaka II Angelosa. Teraz Eugeniusz nakłonił go do kompromisu z Wenecjanami.

- Czy chcesz, żeby miasto spłynęło krwią? - zapytał Eugeniusz.

- Ależ nie - zapewnił Laskaris.

- W takim razie pozwól mi działać.

Teodor dał za wygraną. Musieli ustalić jednak takie warunki, w które uwierzy lud. I wyjść z tego z twarzą. To drugie było znacznie trudniejsze.

- Cóż, mój drogi Teodorze, czasami trzeba popełnić mniejsze zło w imię większego dobra - skwitował Eugeniusz.

Kompromis został osiągnięty. Bizancjum zachowało, przynajmniej formalnie, niezależność. Eugeniusz miał nadzieję, że krzyżowcy wyniosą się po paru miesiącach.

W pewnej chwili Bizantyjczycy przystanęli. Teodor podszedł do Eugeniusza.

- Co się stało? - zapytał.

Biskup wskazał samotnego człowieka w białym płaszczu i wyraźnie widocznym w promieniach zachodzącego słońca rycerskim pasie.

- To templariusz - stwierdził Eugeniusz. - Nie miałem pojęcia, że wraz z krzyżowcami przybyli tu templariusze - wyszeptał zdenerwowany.

Rycerz zrobił kilka kroków w ich stronę.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedział po łacinie. - Dawno się nie widzieliśmy, Wasza Miłość.

Eugeniusz patrzył na twarz rycerza, starając się ją rozpoznać.

- Ja cię już gdzieś widziałem, rycerzu... - odpowiedział. Templariusz się uśmiechnął.

- Prawdę mówiąc, obawiałem się, że mnie nie poznasz. Minęło tyle lat. Pozwól zatem, że przypomnę ci historię pewnego młodego człowieka, którego przed trzydziestu laty wysłałeś z misją do Londynu.

- Gotfryd z Melville... - wyszeptał Eugeniusz.

- We własnej osobie. Biskupie, w imieniu Ojca Świętego Innocentego Trzeciego jesteś aresztowany pod zarzutem schizmy i zdrady.

W tej samej chwili zza zakrętu wyłoniło się kilku innych templariuszy.

- Odłóżcie broń, głupcy - powiedział na ich widok Eugeniusz do sług Laskarisa. - Nie macie żadnych szans. To najlepsi żołnierze w całym chrześcijańskim świecie.

□ □ □

Doża był bardzo zadowolony z układu. Teraz wystarczyło trochę poczekać, by Aleksy IV skompromitował się przed własnymi poddanymi. Starzec został nieformalnym władcą miasta. Ustalono, że w razie śmierci jego oraz jego ślepego ojca, Izaaka II Angelosa, łacinnicy dadzą Grekom nowego cesarza. Decyzję miało podjąć kolegium baronów. Na cesarski tron ostrzył sobie zęby Bonifacy z Montferratu.

- Co się stało, mój Andreo? - zapytał doża, widząc zatroskaną twarz swego sekretarza następnego ranka po podpisaniu układu.

- Wczoraj wieczorem templariusze zatrzymali biskupa Eugeniusza i odpłynęli na morze Marmara.

Doża się zasepił. Nie tego się spodziewał. Zdał sobie sprawę, że to oznacza złamanie dopiero co podpisanej umowy.

□ □ □

Laskaris zażądał zwolnienia Eugeniusza. Musiał to zrobić, bo ulica, podjudzona przez oddanych mu mnichów, głośno domagała się przed pałacem cesarskim na Blachernach uwolnienia biskupa, anulowania układów z krzyżowcami, ukarania awanturników i wygnania wszystkich obcych. Rusini i Pieczyngowie z gwardii cesarskiej z trudem uspokoili wzburzony tłum.

- Co teraz? - spytał Aleksy IV.

Tak niedawno byli przecież wrogami. Teraz musieli razem walczyć o przetrwanie.

- Wasza Wysokość, sam powinieneś wiedzieć, co robić, kiedy prosiłeś Wenecjan o interwencję.

- Nie pouczaj mnie, Teodorze. Trzeba po prostu ich spłacić - warknął Aleksy.

Minister parsknął śmiechem.

- Spłacić? Czym? Kasa państwa jest pusta. Myślałem, że ty masz pieniądze.

- Nie, nie mam.

Teodor zdał sobie sprawę, że Konstantynopol jest zgubiony. Jedyne człowiek, który mógł zebrać wszystkie kościelne skarby i przekonać mnichów o konieczności ich przetopienia na monety, został właśnie aresztowany przez templariuszy.

- Rób coś!!! - wrzasnął Aleksy. Minister cofnął się kilka kroków.

- Nic nie można już zrobić - powiedział zimno. - Nie mamy pieniędzy ani armii. Możesz tylko przedłużać negocjacje, ale bądź pewien, że ta wściekła dzicz z Zachodu w końcu spostrzeże, że nie masz im nic do zaoferowania. A wtedy uciekaj.

- A co ty zrobisz? - pytał przerażony Aleksy.

- To, co mądry człowiek zrobić powinien: będę ratował własną skórę - odparł Teodor. - Teraz możesz sobie rządzić do woli! Triumfuj w pustym pałacu! Albo się upij, bo chyba tylko wina jest pod dostatkiem!

Laskaris śmiał się jak szaleniec, ponieważ nic innego mu nie pozostało. Mógł tylko patrzeć na śmierć swojego miasta, wydanego na pastwę wrogów. Jego śmiech jeszcze długo odbijał się od ścian pustych komnat cesarskiego pałacu, przyprawiając o dreszcz służbę i urzędników.

Rozdział XXX

NIESTWORZONY RĘKĄ CZŁOWIEKA

Po aresztowaniu patriarchy zabrakło wśród Bizantyjczyków ludzi dorównujących Wenecjanom sprytem i bezwzględnością. Laskaris razem z wiernymi mu ludźmi przedostał się na azjatycki brzeg, do Galaty, a krzyżowcy mu w tym nie przeszkadzali. Dopiero tam, kiedy ochłonął, zaczął organizować obronę. Dołączyli do niego ci Grecy, którzy chcieli walczyć. Gdy krzyżowcy próbowali wdrzeć się do Galaty, pospolite ruszenie, dowodzone przez Laskarisa, stawiało zacięty odpór. Zaskoczeni krzyżowcy ponieśli duże straty i musieli wycofać się do Złotego Rogu, ale porażka tylko ich rozjuszyła.

Laskaris został okrzyknięty przez lud cesarzem. Był oszołomiony - ze zwykłego kupca nagle stał się władcą. Postanowił opuścić Galatę i udać się do greckich miast na wybrzeżu Azji Mniejszej, aby tam organizować opór przeciwko najeźdźcom.

Tymczasem Aleksy IV został zamordowany przez tłum mnichów, kiedy ogłosił konfiskatę kościelnych skarbów na rzecz państwa. Złotem tym miał zamiar spłacić krzyżowców, coraz głośniejszymi domagających się gigantycznego

haraczu. Jego głowa zawisła na bramie pałacu cesarskiego. Mnisi przypieczętowali tym czynem los Konstantynopola: teraz już nikt nie chciał go bronić. Na cesarza wybrano jakiegoś urzędnika, ale i on, obierając imię Aleksy V, długo się nie utrzymał. Legalny cesarz, Teodor Laskaris, nie mógł pomóc miastu. I tak oto nadszedł straszliwy dzień - rozwarły się bramy piekielne, rozpoczął się ostateczny szturm krzyżowców na miasto.

□ □ □

Odgłosy walki niosły się po tafli morza. Wiedzieliśmy, że bitwa o Konstantynopol właśnie się rozpoczęła. Na rozkaz Henryka związaliśmy Odilona, zostawiając go pod pokładem w towarzystwie kilku zakonnych żołnierzy. Skierowaliśmy statek do portu, chcąc widzieć szturm.

Kiedy dopłynęliśmy na miejsce, miasto jeszcze się broniło. Odparło już dwa szturmy krzyżowców. Konstantynopola broniły też kobiety i dzieci, dostarczając obrońcom strzał lub pełniąc rolę posłańców. Jednak nikt i nic nie mógł uratować miasta. Wenecjanie i żołnierze Bonifacego przygotowali się do ostatecznego ataku. Mieli zaatakować z lądu i z morza.

□ □ □

Rankiem trzynastego kwietnia 1204 roku na mury obronne spadła tak ogromna ilość kamiennych pocisków wystrzeliwanych z balist, że zdawało się, iż nikt, kto był na murach, nie mógł przeżyć.

Nagle powietrzem wstrząsnął ryk, który wydobył się z tysięcy gardeł. Żołnierze Bonifacego rzucili się z drabinami na mury i rozpoczęła się rzeź. Grecy bronili się zązarcie, ale musieli ulec przeważającym oddziałom hrabiego. Z najemników tylko Rusini stawiali zacięty opór, reszta salwowała się ucieczką. Greków bezlitośnie wymordowano.

Dzieci obnoszono ponabijane na włócznie, a greckie kobiety, widząc ich śmierć, przegryzały sobie żyły na przegubach rąk. Zdarzało się, że ciała kobiet, jeszcze niezesztynniałe, gwałcono na oczach żyjących członków rodziny. Ich

również zabijano, aby nikt nie mógł opowiedzieć o tym, co widział. Zwłoki zrzucano z murów do morza.

Po mieście wędrował stary mnich. Przez całe życie pościł i modlił się. Widząc rzeź, wściekłość niemieckich i francuskich krzyżowców, którzy nie bacząc na błagania ludzi, bezcześcili kościoły, wzywał ich do opamiętania. Jednak gdy zobaczył, że w kościele Mądrości Bożej nagie ladacznice stąpają po roztrzaskanych ikonach, pijąc wino z naczyń liturgicznych, zawołał donośnym głosem, że nawet Saladyn i muzułmanie okazaliby więcej miłosierdzia. Złapali go weneccy żołnierze, kazali mu uklęknąć, po czym ścięli mu mieczem głowę i bawili się nią jak piłką.

Tak konał tysiącletni Konstantynopol, który oparł się Hunom, Arabom i Turkom. Zwłoki greckich cesarzy krzyżowcy wydobyli z grobów i zbezczescili. Pod wieczór niebo nad umierającym miastem rozświetliły łuny pożarów.

Kiedy krzyżowcy wdarli się do miasta, my poszliśmy w ich ślady. Do pałacu Bukoleon dotarliśmy dopiero pod wieczór. Znaleźliśmy tam zmasakrowane ciała, co dowodziło, że część Greków musiała stawiać opór. Poczulem skurcz w gardle, pomyślałem, że ktoś zabrał już mandylion. Flamandzcy żołnierze zaczęli dewastować pałac, zabierając wszystko, co dało się wynieść.



Kaplica Matki Bożej z Faros nie rzucała się w oczy. Usytuowana na tyłach pałacu kiedyś pełniła funkcję reprezentacyjnej kaplicy cesarzy bizantyjskich. Kiedy wybudowano wielki pałac na Blachernach, Bukoleon stracił na znaczeniu. Sto lat po Justynianie Wielkim, w latach trzydziestych VII wieku zdecydowano, że w kaplicy przechowywana będzie najświętsza pośród relikwii chrześcijaństwa - mandylion z Edessy.

W Konstantynopolu tylko dwóch ludzi wiedziało, gdzie jest relikwia. Pierwszym był patriarcha, drugim mnich, który jako jedyny mógł sprawować ofiarę mszy świętej w kaplicy. Nikt inny nie miał prawa tam wejść. Gdy ktoś

łamał zakaz, karano go wykpieniem oczu i obcięciem rąk. Oczywiście istnienia relikwii nie sposób było ukryć przed światem i dlatego zwierzchnicy Kościoła bizantyjskiego wpadli na pomysł, żeby stworzyć jej replikę według wzorca, jaki pozostawił cesarz Konstantyn Porfirogeneta. Był to relikwiarz ze złotymi drzwiczkami, pod którymi wprawne oko dojrzeć mogło tkaninę. Legenda głosiła, że mandylion jest chustą, którą Weronika podała Chrystusowi w drodze na Golgotę. Zbawiciel odcisnął na niej zarys swej zmasakrowanej twarzy. Mandylion miał pozostać tajemnicą. Prości Grecy wierzyli, że relikwia obnoszona w procesjach po murach Konstantynopola jest tą prawdziwą, przewiezioną z Edessy.



Kiedy w końcu odnaleźliśmy kaplicę, okazało się, że nie jesteśmy pierwszymi, którzy do niej weszli. Przed wąskimi drzwiami prowadzącymi do korytarza o niskim stropie usłyszeliśmy flamandzkie przekleństwa.

- Gdzie masz złoto?! - wrzeszczał ktoś. Popatrzyłem na Henryka, który stał obok mnie. Zdałem sobie sprawę, że przybyliśmy w ostatniej chwili. W kaplicy buszowali pijani żołdacy, którzy na pewno zniszczą wszystko, co się w niej znajduje.

- Co robimy? - zapytał Robert.

- Wchodzimy - powiedziałem stanowczo. Wyciągnęliśmy miecze. Nasi giermkowie także. Flaman-

dowie byli tak zaskoczeni, że prawie nie stawiali oporu. Było ich czterech. Zabiliśmy wszystkich. Tylko prawosławny mnich opiekujący się kaplicą wciąż klęczał. Był skatowany, bo ci czterej bluźniercy torturowali go, nie zdając sobie sprawy, czego strzeże. Wziął nas zapewne za kolejnych złodziei i morderców. Rzeczywiście, każdy z nas był mordercą, nie mieliśmy jednak zamiaru go skrzywdzić.

Gdy zobaczyliśmy strzaskany ikonostas, oburzenie odebrało nam mowę. Dla tych łotrów nie ma żadnej świętości, pomyślałem.

- Papież musi się dowiedzieć, co się stało w Konstantynopolu - rzekł Henryk. - Doża poniesie karę.

Grecki mnich próbował pozbierać pociętą mieczem ewangelię. Zrobiło mi się żal tego człowieka, który poświęcił całe życie ochranianiu najświętszej relikwii chrześcijaństwa, a teraz widzi, jak obraca się w perzynę wszystko, co kochał.

- Te psy chciały nawet ukraść złote litery z ksiąg - powiedziałem do towarzyszy, wskazując mieczem powyrywane kartki. - Dlatego je zniszczyli. Ponieważ nie umieli czytać, nie wiedzieli, że każda z tych ksiąg warta jest kilka wsi.

- Barbarzyńcy, wściekle psy - syknął Henryk.

Nagle poczułem niewytłumaczalny impuls, jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzałem chustę Jeana z Rainecourt. Zdałem sobie sprawę, że muszę ją pokazać temu starcowi. Sięgnąłem pod kolczugę.

Twarz Chrystusa nie wyblakła. Jego oczy były pełne smutku tak samo jak przed laty, kiedy ujrzałem tę twarz po raz pierwszy. Starzec spojrzał na mnie zdziwiony, po czym wziął chustę w drżące ręce. Podszedł do nas Henryk i położył dłoń na jego głowie, mówiąc po łacinie, żeby się nas nie obawiał.

Mnich wyjął z fałd ciemnego wełnianego habitu taką samą chustę. Spoglądaliśmy osłupiali to na niego, to na siebie. Starzec wstał i popatrzył na nas dziwnie, po czym rzekł:

- Tak długo na was czekałem. Czy jesteście braćmi Hugona z Paynes? - A widząc nasze zdziwienie, dodał: - Myśleliście, że jestem niemy? Przed laty złożyłem śluby milczenia. To była część mojego przygotowania do posługi w tym niezwykłym miejscu. Miałem być strażnikiem mandylionu. Zgaduję, że nie jesteście barbarzyńcami. W przeciwnym razie nie pozabijalibyście tych bluźnierców.

- Jesteśmy rycerzami zakonu świątyni. Słyszałeś o nas? - spytał Henryk.

- Trudno o was nie słyszeć. Templariusz, którego poznałem, Hubert, narobił w Konstantynopolu sporego zamieszania. To on spotkał starego bibliotekarza, który opowiedział mu historię mandylionu. Czego chcecie?

- Chcemy zabrać mandylion z Konstantynopola - odpowiedziałem. - Grozi mu niebezpieczeństwo.

Starzec westchnął ciężko.

- Kiedy ci czterej barbarzyńcy wpadli do kaplicy, bałem się, że chcą zabrać mandylion. Ale wasze przybycie ocaliło mnie od śmierci. Oni na szczęście chcieli tylko złota.

Zapadła chwila ciszy, wreszcie starzec zapytał:

- Weneccjanie zdobyli miasto, prawda?

- Tak. I nie ludź się, że pałac Bukoleon pozostanie nietknięty - powiedział Henryk.

- Co zrobicie z mandylionem, jeśli go wam powierzę?

- Będziemy strzegli go jak oka w głowie - zapewnił Henryk. - Gwarantuje ci to mój zakon oraz papież.

- Ach, ten rzymski biskup... - westchnął mnich. Zamknął oczy, jak gdyby zmagał się z najtrudniejszą decyzją w życiu. A może się modlił? Musiał dokonać wyboru.

- Powierzam wam mandylion, ponieważ może zostać zniszczony. Te weneckie psy go nie uszanują. Uklęknijcie.

Spełniliśmy jego prośbę.

Starzec zmówił po grecku modlitwę *Ojcze nasz*.

- Kim jest Chrystus? - zapytał, gdy skończył.

- Słowem, przez które powstał cały świat i wszystko, co żyje - odpowiedzieliśmy.

- Tak, On jest słowem. Jak brzmi „słowo” po grecku? Popatrzyliśmy po sobie. Nikt z nas nie mówił dobrze w tym

języku. Tylko ja, mieszkając z greckimi mnichami w Palestynie, trochę go poznałem.

- *Logos* - odpowiedziałem niepewnie. Wzrok starca spoczął na mnie.

- Dobrze - pochwalił. - Naciśnij na ikonostasie literę gamma.

Wstałem z klęczek i podszedłem do ikonostasu, drząc z przejęcia. Nacisnąłem literę, co uruchomiło dźwignię i otworzyły się małe drzwiczki.

Po chwili zobaczyliśmy złoty relikwiarz. Mnich wziął go, po czym odwrócił się w naszą stronę, odmawiając grecki hymn, w którym powtarzało się słowo: *Acheiropoietos* - „niestworzony ręką człowieka”.

Rozdział XXXI

SŁUGA SŁUG BOŻYCH

Gdy tylko wiadomość o straszliwej rzezi w Konstantynopolu dotarła do Rzymu, papież wyklął wszystkich krzyżowców biorących w niej udział, a dozę ekskomunikował. Jednak nie wszyscy hierarchowie Kościoła podzielali radykalizm oceny papieża. Wielu wątpiło, czy rzeczywiście zniszczenia Konstantynopola są tak ogromne. Krytykowano powszechnie Greków, że mimo tak strasznych doświadczeń nie chcą uznać Rzymu. Na pytania kardynałów, dlaczego Grecy nie chcą unii z Rzymem, papież odpowiadał:

- Już prędzej przywdzieją turbany, niż uznają papieską tiarę. Nie dziwcie się, że nas nienawidzą, przecież zamiast nieść tym ludziom pokój, przynieśliśmy śmierć.

Papież Innocenty III doprowadził Kościół do szczytu potęgi. Większość władców płaciła podwojone świętopietrze. Tylko w Prowansji i Langwedocji sprawy nie szły po jego myśli: heretycy drwili sobie z niego. Ale Innocenty czekał. Prosił Boga o znak, o człowieka, który pomoże mu odzyskać wiernych. I taki człowiek się pojawił. Był Hiszpanem urodzonym w Kastylii, pilnym studentem teologii. Wędrując po Prowansji, był poruszony widokiem tysięcy ludzi owładniętych herezją. Wdawał się z nimi w zacięte dysputy. Wykształceniem teologicznym i sposobem życia - żył w ubóstwie - nie różnił się

od fanatycznych przywódców sekty, ponieważ miał w sobie to, czego od dwudziestu lat brakowało innym przedstawicielom Kościoła katolickiego - szczerość.

Dominik Guzman był dla Kościoła wyzwaniem. Z początku rzymscy prałaci wyśmiali go, ale on, niezrażony, sprzedał swoje książki (jedna książka warta była majątek) i zbudował pustelnię, w której zamieszkał. Wkrótce dołączyli do niego inni studenci teologii i zaczęli zwalczać herezję jej metodami - ubóstwem, pokorą i głęboką wiedzą teologiczną. Gdy wieści o Dominiku i jego przyjaciółach doszły do papieża, Innocenty III stanął przed poważnym dylematem. Jeśli potępi Guzmana, stworzy podstawy dla nowej herezji. Jeśli go uzna, narazi się bogatym biskupom i jeszcze bogatszym klasztorom.

Papież modlił się o znak.

I Bóg mu ten znak zesłał.

□ □ □

W Wielki Czwartek 1205 roku papież spotkał się z kardynałami, arcybiskupami i biskupami w bazylice laterańskiej. Mieli zdecydować o uznaniu lub wykluczeniu z Kościoła grupy Dominika Guzmana, która ośmieliła się polemizować z heretykami z Prowansji bez pozwolenia papieża. Biskupi pragnęli, aby papież potępił Dominika. Bali się, że będą musieli zrezygnować z dostatniego i wygodnego życia. Charyzmatyczny kaznodzieja głosił bowiem pochwałę życia ubogiego i prostego.

Papież wciągnął kardynałów w dysputę na temat swojego ulubionego fragmentu Ewangelii, mówiącego o bogatym młodzieńcu, który pragnął stać się uczniem Chrystusa, ale nie potrafił porzucić bogactwa. Zapytał zebranych kardynałów i biskupów, co myślą o odpowiedzi Chrystusa, który stwierdził, że prędzej pustynna bestia, zwana przez Saracenów wielbłądem, przejdzie przez ucho igielne, niż bogacz wejdzie do Królestwa Bożego. Kardynałowie popatrzyli po sobie zaskoczeni. Nikt dotąd nie stawiał przed nimi tak

skomplikowanych kwestii teologicznych. Biskup Wenecji, którego palce ozdabiały złote pierścienie ukradzione w Konstantynopolu, odpowiedział:

- Wasza Świątobliwość wie dobrze, że Pan Jezus, który nade wszystko cenił spokój, harmonię i dobro, nie mógłby powiedzieć czegoś takiego. On po prostu żartował.

Innocenty zawrzał z gniewu.

- Jesteście wszyscy sługami podstępного węża!!! - krzyczał. - Jesteście jak groby pobielane, a wewnątrz kryjące zgniliznę. Skoro uważacie, że Chrystus żartował, to ja wam mówię, że jesteście sługami czarnej bestii, o której pisze Apokalipsa. Ja wypełniam wolę Pana i wyprowadzę jego Kościół z mroków kłamstwa i obłudy!

□ □ □

Pewnego dnia do Rzymu przybył konny oddział templariuszy wiozący relikwię. W zamku Świętego Anioła zebrało się kilku rycerzy, a towarzyszył im kardynał Rupert.

- Dziękuję wam - powiedział wzruszony. - Proszę, pozwólcie staremu człowiekowi popatrzeć na mandylion.

Staliśmy przed tajemnicą. Przykryty białym płótnem relikwiarz zawierał przedmiot tak święty, że niewielu mogło na niego spoglądać. To, co widzieliśmy, było grobowym płótnem, a więc nasze wyobrażenia o mandylionie okazały się dalekie od prawdy.

Tkanina była o wiele dłuższa, niż sądziliśmy. Gdy wyjęliśmy ją z relikwiarza, okazało się, że została złożona na osiem. Po rozpostarciu jej zauważyliśmy, że cudownie utrwalony na jej powierzchni wizerunek mężczyzny ukazuje całą sylwetkę zarówno od przodu, jak i od tyłu. Zdaliśmy sobie sprawę, że mógł powstać tylko w sytuacji, gdy płótno okrywało całe ciało.

Człowiek ten z całą pewnością został zmasakrowany - płótno znaczyły plamy zakrzepłej krwi. Na plecach widzieliśmy siatkę ran. Rupert zacytował fragment z Horacego. Ten najsłynniejszy rzymski poeta, który nie miał wcale

miękkiego serca, nazywa narzędzie tej kary *horribile flagellum* - straszny bicz...Zdawaliśmy sobie sprawę, że wystawienie mandylionu na widok publiczny teraz, po rzezi Konstantynopola, wzbudzi we wschodnich Kościołach jeszcze większą nienawiść do papieża. A tymczasem papież nawet nie wiedział, że podczas oblężenia i szturmie przebywał w Konstantynopolu mały oddział templariuszy. Ponieważ jednak zakon nasz był podporządkowany papieżowi, niechybnie pojawiłyby się oskarżenia, że to na polecenie papieża Innocentego III ludzie mieniący się krzyżowcami splądrowali chrześcijańskie miasto. Rupert mógł podjąć tylko jedną decyzję.

- Mandylion zostanie u templariuszy - oznajmił. - Zakon jest potężny i tylko on może zagwarantować nietykalność relikwii. Jako głowa naszego Bractwa pragnę, aby ta święta relikwia znalazła się poza sporami politycznymi. Ani cesarz, ani Kościół nie może używać mandylionu do własnych celów. Rozumiecie?

- Oczywiście, eminencjo - odpowiedział Henryk. - Zabierzemy mandylion na Bliski Wschód, do Akki albo na Cypr. Tam będzie bezpieczny.

- Zgoda. Jak dowiedzieliście się, gdzie on się znajduje? Henryk rzucił mi wymowne spojrzenie, po czym odrzekł:

- Najpierw odnaleźliśmy opis sporządzony przez Huberta, świeć, Panie, nad jego duszą. Nie było to łatwe... Jak się okazało, mandylionu szukał również Odilon z Renault. Możesz, eminencjo, domyślać się, w jakim celu. Najlepiej jednak będzie, jeśli sam go o to zapytasz...

Zaprowadziliśmy kardynała do podziemi zamku Świętego Anioła, pamiętających czasy rzymskich cesarzy. Tam w jednej z cel siedział Odilon z Reinault. Gdy kardynał Rupert oraz dwóch templariuszy stanęło w jej drzwiach, więzień zerwał się na równe nogi.

- Witaj, Odilonie - rzekł kardynał. - Byłeś wrzodem na świętym ciele Kościoła, ale zostałeś usunięty. Zasłużyłeś na śmierć, jednak okażemy ci łaskę.

- Będę żył? - wyjąkał Odilon.

- Tak, jeśli powiesz nam wszystko o herezji katarów - odrzekł Rupert.

Więzień przystał na te warunki, albowiem liczył na nadzwyczajne złagodzenie kary. Rupert dotrzymał słowa. Odilon pozostał przy życiu, ale wypalono mu oczy i obcięto język. Od tej pory żył w Wiecznym Mieście jak żebrak, najędzniejszy spośród nędznych. Może się nawrócił i żebrał pod kościołami, a może knuł i mącił wśród żebraków? Tego nikt nigdy się nie dowiedział.

W tym momencie działalność Bractwa Mandylionu powinna się zakończyć. Mandylion został odnaleziony i znajdował się w rękach templariuszy. Jednak okazało się, że to nie koniec. Kilka dni później kardynał Rupert wezwał nas do siebie.

- Bractwo nie rozwiązało jeszcze jednej kwestii - oznajmił. Popatrzyliśmy na niego zdziwieni.

- Katarzy. Papież chce, aby templariusze pomogli ostatecznie rozwiązać ten problem. Staniecie przed obliczem Ojca Świętego.

□ □ □

Papież przyjął nas - mnie, Roberta i Henryka - w sali audiencyjnej swego pałacu na Lateranie. Innocenty III w niczym nie przypominał kardynała Lotariusza z Segni, którego kiedyś poznałem. Od pamiętnej dysputy w klasztorze w Sankt Gallen minęło wiele lat. Teraz twarz papieża poorly zmarszczki i naznaczyło zmęczenie. Miałem wrażenie, że spokorniał. Zdradzono go, Wenecjanie nadużyli jego zaufania, a jego marzenie o zjednoczeniu siostrzanych Kościołów, zachodniego i wschodniego, zostało pogrzebane.

Teraz stał przed innym wyzwaniem: herezją katarów. Prowansja i jej odmienna religia urosła do rangi problemu politycznego. Papież widział jednak promyk nadziei. Ruch zapoczątkowany przez kanonika z Osasuny, Dominika Guzmana, dawał Innocentemu do ręki nowe narzędzie: zdyscyplinowany i ortodoksyjny ruch wymierzony w heretyków.

Papież wstał z tronu i podszedł do nas. Zauważyłem, że wymienili z Rupertem znaczące spojrzenia - doskonale się rozumieli.

- A zatem, Gotfrydzie z Melville, znów się spotykamy - odezwał się Innocenty III. - Poprzednim razem prowadziliśmy spór. Bóg chyba pokazał ci, kto miał rację.

To była aluzja do tego, że biskup z Segni został papieżem.

- Jestem pokornym sługą Waszej Świątobliwości - odrzekłem.

- Wezwaliśmy was, ponieważ nadszedł czas, by rozstrzygnąć kwestię katarów. Pamiętam, że przed laty głosiłeś dość oryginalne poglądy w tej materii.

- W całości je podtrzymuję - odpowiedziałem. - Ojcze Święty, trzeba przekonywać heretyków metodami pokojowymi tak długo, jak się da.

- Doszliśmy do kresu - wtrącił się Rupert. - Katarzy nie wpuszczają już wysłanników papieża. Dochodzą nas słuchy, że ich przywódcy zamierzają wygnać z Prowansji wszystkich katolików, jacy tam jeszcze pozostali.

Papież oznajmił nam, że religia katarów podważa zasady wiary głoszone przez Kościół i nie może być tolerowana.

- A Dominik Guzman? - zapytał Rupert.

- Będzie mógł głosić słowo boże bez przeszkód. Uznaliśmy, że to, co robi w Prowansji, może pomóc Kościołowi. Zdecydowaliśmy również, że wyślemy z Rzymu misję ostatniej szansy, misję pojednania. Staniesz na jej czele. - Spojrzał na Ruperta. - Macie zrobić co w waszej mocy - te słowa zaadresował do nas wszystkich - żeby uniknąć najgorszego. Będę prosił Boga, żeby wam się udało.

□ □ □

Następnego dnia wybuchła w Rzymie nie lada sensacja: do Wiecznego Miasta przybył poseł wenecki Andrea Giraldino. Rupert wezwał Henryka do pałacu papieskiego, by był świadkiem jego rozmowy z posłem, papież bowiem odmówił przyjęcia Wenecjanina. Nie mógł przecież rozmawiać z przedstawicielem ekskomunikowanego władcy.

Gdy Henryk wrócił, był niezwykle poruszony.

- Co cię tak wyprowadziło z równowagi, Henryku? - spytałem.

- Pamiętasz, jak w Wenecji, w kościele Świętego Rocha, spotkaliśmy się z człowiekiem w złotej masce?

- Tak, to był Luigi Poggi, przedstawiciel kardynała w Wenecji - odparłem zaskoczony.

Henryk uśmiechnął się ironicznie.

- Widziałem dzisiaj posła doży. To ten sam człowiek. Poznałem go po głosie!

- Zostaliśmy oszukani. Doża od początku oszukiwał papieża - mówił wzburzony Henryk. - Mimo że dzisiaj poseł zapewniał kardynała, iż armia doży i Bonifacego z Montferratu wcale nie miała zamiaru atakować miasta. Musiała się bronić, bo zaatakowali ją Grecy. Poseł przysięgał na Maryję Dziewicę, że mówi prawdę.

- Perfidia doży nie zna granic - westchnąłem.

- Powiem więcej, Rupert podejrzewa, że Luigi Poggi został zamordowany. - Henryk popatrzył na mnie przenikliwie. - Wenecją rządzi diabeł - zakończył złowieszczo.

□ □ □

Zamiar zamordowania weneckiego posła był tak śmiały, że przeraził mnie i Roberta, któremu powtórzyłem rozmowę z Henrykiem. Przez kilka następných dni Henryk nie odzywał się do nas i nie opuszczał konwentu. Czekał. Wreszcie pewnej nocy usłyszeliśmy, że wychodzi. Obudziłem Roberta i zaczęliśmy czuwać, snując domysły. Gdy Henryk wrócił nad ranem, zauważyliśmy, że nie ma na sobie białych zakonnych szat, tylko prosty skórzany kaftan, a pod nim kolczugę. Kaftan był zakrwawiony.

- Coś ty zrobił, Henryku? - spytałem poblady.

- To sprawa między mną i Bogiem. Nie będziemy o tym rozmawiali - uciał.

Nazajutrz jeden z braci przyniósł z miasta wieść, że poseł wenecki został zasztyletowany przed pałacem, w którym się zatrzymał. Sprawcy nie złapano, Andrea zaś udał się w drogę powrotną do Wenecji w trumnie. Gdy tam dotarł, stary doża dostał apopleksji.

Trzy tygodnie później wyruszyliśmy do Prowansji. Mandylion pozostał w Rzymie, ukryty w tym samym relikwiarzu, w którym wywieźliśmy go z Konstantynopola. Od tej pory był najpilniej strzeżoną tajemnicą zakonu.

Rozdział XXXII

KWIATY PROWANSJI

Prowansja, rok 1209

Znów miałem stanąć na ziemi heretyków. Choć minęło ponad trzydzieści lat, wspomnienia były żywe i bolesne. Wracalem do Prowansji bez syna.

Byłem członkiem orszaku papieskiego legata, kardynała Ruperta z Sankt Gallen. Byłem też rycerzem zakonu templariuszy, nosilem na piersi krzyż. Jednak w przeciwieństwie do rzymskich prałatów nie dziwiłem się heretykom. Prowansalczyki wybrali swoją własną drogę, ponieważ przez wiele lat Kościół się nimi nie interesował. Biskupi pilnowali swoich majątków, a ludzi traktowali jak niewolników, bo dla nich życie chłopca było mniej warte niż życie bydła.

Kraina jak dawniej pachniała lawendą, winorośle uginały się od owoców, a ludzie oszaleli od herezji. Nie miałem pewności, co jest większym grzechem w oczach Boga: pycha rzymskich prałatów i zbytek Kościoła czy pragnienie Prowansalczyków, by za wszelką cenę poznać prawdę? Do dziś tego nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że trudno wychwycić granicę między odwagą i strachem, miłością i nienawiścią, ekstatyczną pobożnością i złowrogim błyskiem grzesznego opętania.

□ □ □

W zamku Rajmunda, hrabiego Tuluzy, panował nerwowy nastrój oczekiwania. Hrabia już wiedział o przybyciu Ruperta. Tym razem nie mógł uniknąć spotkania twarzą w twarz z wysłannikiem papieża. Musiał zająć jasne

stanowisko wobec katarów, których do tej pory chronił przed papieżem i królem Francji. Wiedział, że albo podporządkuje się Innocentemu III, albo zostanie ekskomunikowany.

Hrabia liczył sobie niespełna czterdzieści wiosen. Jego skóra ogorzała od prowansalskiego słońca, twarz nabrała rumieńców.

Pewnego dnia, gdy Rajmund siedział w swej komnacie, usłyszał pod drzwiami jakieś zamieszanie. Słudzy próbowali nie dopuścić do drzwi intruza. Po dłuższej chwili zapadła cisza i drzwi się otworzyły.

Hrabia Rajmund ujrzał wysokiego, bardzo chudego mężczyznę w brunatnej opończy.

- Czego chcesz, Jakubie? - wyjąkał hrabia.

Jakub utkwiał w nim przenikliwe spojrzenie. Orli nos przydawał mu drapieżności, która w zetknięciu z bladością cery i hipnotyzującymi oczami sprawiała, że nie było człowieka, który odważyłby się mu przeciwstawić.

- Musisz mi pomóc w zbawieniu ludzi - odpowiedział Jakub bez zbędnych wstępów.

- W zbawieniu?! - parsknął hrabia. - Czyś ty oszalał? Wiesz, co się dzieje?

- A co się niby dzieje? - Jakub wzruszył lekceważąco ramionami. - Ja twierdzę, że nie dzieje się nic, co mogłoby wzbudzić twój niepokój.

- Najwyraźniej nie wiesz, jak się sprawy mają - stwierdził z goryczą hrabia. - Do Tuluzy zmierza papieski wysłannik.

- Nie pierwszy i nie ostatni - mruknął Jakub.

- Nie możemy go lekceważyć!

- To kolejny wysłannik najstraszniejszego diabła, jaki chodzi po ziemi. Wiesz co, Rajmundzie? - Jakub podszedł do hrabiego na odległość łokcia. - Śmierdzisz strachem.

- Licz się ze słowami.

- Ty się licz ze swoim ludem, który nie chce rozmawiać z wysłannikami diabła - wycedził Jakub. - Co powiesz ludziom, których jeszcze nie tak dawno bezwzględnie wyzyskiwałeś? Byłeś gnuśny i rozpustny. Jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś nie spotkał mnie?

Hrabia opuścił głowę. Wiedział, że przegrywa z Jakubem walkę o swoją niezależność. Na początku Rajmund próbował wykorzystać ruch katarów do celów politycznych. Łudził się, że rozluźniając więzi łączące go z Kościołem, zyska większą swobodę. Wiedział już, że bardzo się pomylił. Teraz był zakładnikiem katarów i narzędziem w ręku Jakuba.

Po raz ostatni postanowił stawić mu opór.

- Jakim prawem wynosisz się ponad ksiąząt Kościoła? - zapytał.

- Ja? - zdziwił się Jakub. - Ponad nikogo się nie wynoszę.

- Tłusci prałaci, opaśli biskupi, którymi tak pogardzasz, Jakubie, w przeciwieństwie do ciebie pozostawiają ludziom wolny wybór, bo Kościół rzymski daje możliwość nawrócenia, nie odrzuca grzeszników, tak jak ty.

- Ja też daję ludziom nawrócenie, tylko w prostszy sposób. Daję także prawdziwą wiarę. Nie jestem hipokrytą. Tę prawdę przyjęli twoi poddani oraz twoja rodzina.

Ostatnie słowa Jakuba zabrzmiały jak groźba.

- Zostaw w spokoju moją rodzinę - warknął hrabia.

- A może, Rajmundzie, chcesz, aby twoja córka wyznała, jak bardzo jest związana z naszą wiarą? Może pragniesz, aby sama rzuciła się na służbę papieskiego legata? Jestem przekonany, że jeśli ją o to poproszę, uczyni to bez wahania.

Hrabia Rajmund miał łzy w oczach. Był władcą i rycerzem, lecz jeszcze nigdy nie czuł się taki bezradny.

- A może twoja żona ma się ciebie wyrzec? Ona wierzy w prawdę tak samo jak ja - ciągnął Jakub. - Mogę wszystko, Rajmundzie. Nie próbuj mi się przeciwstawiać.

- Co to jest prawda, Jakubie? - zapytał zrezygnowany hrabia.
- Już wkrótce ujrzysz jej blask - odparł Jakub z błyskiem w oczach.
- Czego ode mnie chcesz?
- Chcę, abyś uczestniczył w powitaniu papieskiego legata. Twoja żona i córka będą pilnowały, żebyś zachowywał się jak należy.
- Jesteś opętany. Jeśli chcesz walczyć z papieżem, zginiesz!
- Jeśli zginę, wszyscy umrzecie razem ze mną, a ty będziesz mógł odpokutować za swój nędzny żywot.

□ □ □

Jakub skierował się do setek oczekujących go kobiet i mężczyzn. Wiedział, że wszyscy mu wierzą. Sukces katarów był jego dziełem. To on sformułował teologię, mgliście opisaną przez założyciela sekty, Gilles'a z Rouvres, i wyświęcił kapłanów. Jakub wiedział bowiem, że tylko stworzywszy silną wspólnotę, będzie w stanie rzucić Rzymowi rękawicę.

Dał znak żołnierzom, a ci podnieśli go na wielkiej tarczy, aby mógł przemówić do tłumu. Ogarnął wzrokiem Tuluzę. W głębi jego serca rozpoczęła się już wojna i jedyne, co chciał uczynić, to rzucić pochodnię w najbardziej zapalne miejsce.

- Bracia! Wiem już, że hrabia Rajmund was zdradził! Pragnie poddać się woli legata papieskiego, którego diabeł wcielony, Innocenty Trzeci, przysłał do nas w nadziei, że porzucimy naszą wiarę i naszą prawdę.

Choć przemówienie było krótkie, wywarło odpowiednie wrażenie. Prowansalczyki, od lat karmieni groźbami o wysłannikach papieża oraz o okrutnych krzyżowcach, uwierzyli w każde słowo Jakuba. Dla tych tysięcy kobiet i mężczyzn jego prawda stała się ich prawdą. Za nią byli gotowi oddać życie.

□ □ □

Nie mieliśmy pojęcia, jak bojowe nastroje panują wśród mieszkańców Tuluzy. Wprawdzie podejrzewałem, że w Prowansji mieszka Jakub, ale jego postać zatarła się w mojej pamięci.

Kardynał Rupert był dobrej myśli. Żywił przekonanie, że jest dobrze przygotowany do debaty. Tego samego zdania byli liczni prałaci Jego Świątobliwości. Rupert nie był zadowolony z ich obecności, ponieważ stanowili dyskretne, acz znaczące ubezpieczenie legata przed zbytnią samodzielnością. Ludzie ci nie grzeszyli inteligencją, uważali, że heretycy muszą się ukorzyć przed papieskim majestatem, uosabianym przez legata. Nie wiedzieli natomiast nic o prawdziwej motywacji katarów i nie chcieli ich zrozumieć. Nie chcieli również wiedzieć, że winę za szerzenie się herezji wśród mieszkańców Prowansji i Langwedocji ponoszą członkowie Kościoła, albowiem umiłowanie dóbr materialnych przesłoniło im wiarę. Widząc podczas tej podróży ich pychę, zaślepienie i zakłamanie, przypomniałem sobie scenę z Ewangelii, kiedy Chrystus powiedział do uczniów o faryzeuszach:

- Zostawcie ich. To są ślepi przewodnicy ślepych. Lecz jeśli ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną.

□ □ □

Jakub odwiedził żonę i córkę hrabiego Rajmunda. Obydwie kobiety darzyły go fanatycznym uwielbieniem. Gdy do nich przemawiał, zawsze klęczały.

- To musi się stać, gdy zostaniecie sam na sam z legatem.

- Tak, Mistrzu.

- Musicie to uczynić. Tylko wtedy hrabia Rajmund nie zdradzi naszej świętej wiary.

- Czynienie twojej woli jest dla nas rozkoszą.

- Nie zawiedźcie mnie. Wasz czyn sprawi, że zbudujemy Królestwo Boże na ziemi.

□ □ □

Wjechaliśmy do Tuluzy, nikt jednak nie witał orszaku papieskiego legata. Kardynał Rupert był z tego powodu bardzo niezadowolony.

- Oni nie okazują mi należnego szacunku - narzekał.

- Nie mogę pogodzić się z tym, że kardynał jest pod tak wielkim wpływem tych głupców prałatów - westchnąłem. - Wydaje mi się, że ludzie ci mierzą świat wedle pozycji, jaką zajmują. Nie rozumieją, z jakim żywiołem będą mieli wkrótce do czynienia.

- Skąd wiesz, co kardynał i papieska delegacja zastaną w Tuluzie? - spytał Robert.

Na to odezwał się Henryk:

- Gotfryd i ja już kiedyś tutaj byliśmy. Znamy katarów jak mało kto.

- Nie mówiliście o tym - rzekł Robert z pretensją.

- Bo nigdy o to nie pytałeś.

Opowiedzieliśmy mu, co robiliśmy przed laty w Carcassonne: o Katarzynie i jej szalonym bracie, o zabójstwie Gilles'a z Rouvres oraz o tym, jak Henryk przystąpił do sekty, a potem uciekł do Hiszpanii, gdzie walczył z Maurami.

Wyjaśniliśmy mu też, że naiwnością jest myśleć, iż przywódcy sekty wyrzekną się z własnej i nieprzymuszonej woli religii, którą stworzyli, i światopoglądu, który stał się podstawą ich wizji świata. A że była to wizja pociągająca, sam miałem się okazję przekonać. Katarzy zrosli się z ziemią, na którą wkroczyliśmy, stanowili ojej odrębności. Mając świadomość, że na nawracanie tych ludzi jest o dwadzieścia lat za późno, rzekłem do towarzyszy:

- Będzie dobrze, jeśli wszystko skończy się na kilkudziesięciu stosach.

- Kilkudziesięciu? Sądzisz, że to rozwiąże sprawę? - oburzył się Robert. - Uważam, że można przekonać każdego człowieka bez używania miecza i bez grożenia mu szubienicą.

- Szubienicą? - prychnąłem. - Myślę, że perspektywa stosu jest bardziej przekonująca.

- Jesteś cyniczny, Gotfrydzie - stwierdził Robert. - Mówisz o skazaniu kogoś na śmierć na stosie z taką nonszalancją...

- Nie, Robercie, ja po prostu znam życie. Kilkadziesiąt stosów to nie będzie wysoka cena. Oczywiście, o ile przywódcy katarów nie okażą się głupcami i nie uczynią z hrabiego Tuluzy swojego zakładnika. Wtedy popłynie morze krwi.

Zapadło milczenie.

- Myślę, że niestety Gotfryd ma rację, Robercie - westchnął Henryk. - Jeśli przywódcą katarów jest człowiek, którego poznaliśmy przed laty, twój brat się nie myli.

- Chciałbym, żebyście obaj się mylili - rzekł smutno Robert.

- Mówisz, Robercie, jak kaznodzieja z Hiszpanii, którego poznałem przed laty, Dominik Guzman. On współczuł heretykom i katolikom. Próbował nawracać bez używania przemocy - odrzekłem.

Henryk zatrzymał konia i zwrócił twarz w moją stronę.

- Guzman jest w Prowansji. Słyszałem w Rzymie, że chodzi po kraju i wciąga katarów w teologiczne dysputy. On jest małym promykiem nadziei. Jeśli misja kardynała Ruperta się powiedzie, papież skłoni się ku rozwiązaniu proponowanemu przez niego. Niech Bóg ma Prowansję w swej opiece.

□ □ □

Nad ranem tego samego dnia, w którym orszak papieskiego legata miał przekroczyć bramy Tuluzy, Jakub oznajmił grupie fanatyków, że w owym dniu wszyscy mieszkańcy miasta poznają prawdę. Wkrótce rozeszła się wieść, że Mistrz pokona w dyspucie wysłannika szatana, papieża Innocentego III. Oczekiwano tego wydarzenia z podnieceniem i niecierpliwością.

Nikt jednak nie wiedział, że prawda Jakuba będzie miała kolor krwi i woń płonącego stosu.

□ □ □

Liczący dwadzieścia wozów i dwustu sześćdziesięciu jeźdźców orszak kardynała Ruperta przekroczył zwodzony most, główną bramę miejską, i znalazł się u celu podróży. Tłum mieszkańców utworzył po obu stronach ulicy szpaler, lecz przejazdowi orszaku towarzyszyło milczenie, nie licząc kilku wyzwisk rzuconych pod naszym adresem. Templariusze, okrywszy się złą sławą na Bliskim Wschodzie, budzili w Europie grozę.

- Henryku, nie podoba mi się to - mruknąłem.

- Nie tylko tobie. Najważniejsze, że kardynał Rupert jest już na miejscu. Zaraz się przekonamy, kto go powita.

Na spotkanie kardynała wyjechał hrabia Rajmund wraz z żoną i córką. Rozmawiali serdecznie i Henryk, dowodzący ochroną Ruperta, uznał, że nic nam nie grozi. Kardynał zaprosił hrabiego i jego rodzinę do swojego wozu. Ludzie hrabiego poprowadzili wóz w stronę zanikowego dziedzińca. Dopiero wtedy zobaczyliśmy, że między wozem kardynała a nami ustawił się szereg piechurów hrabiego.

- Henryku, nie powinieneś dopuścić, żeby kardynał został sam - rzekłem zdenerwowany.

- Nie powinniśmy ich prowokować - odrzekł Henryk spokojnie. - Rupert jest gościem hrabiego, a to tak, jakby Rajmund przyjmował samego papieża.

Te słowa mnie uspokoiły, choć w głębi mego serca pozostał ślad nienawiści, jaką żywiłem wobec katarów oraz ich przywódcy. Podjechałem do szeregu wartowników. Chciałem lepiej widzieć, co dzieje się z kardynałem, ponieważ wóz się zatrzymał dobre kilkadziesiąt jardów od bramy zamku. Spostrzegłem, że żołnierze hrabiego patrzą na mnie wrogo, a kilku z nich zaczęło mi wygrażać i przeklinać papieża.

- Jesteś sługą węża przewrotnego, który zasiada w Rzymie! - krzyczeli. - Porzuć ciemności Kościoła! Nawróć się na prawdziwą wiarę!

- A jaka jest ta prawdziwa wiara? - zapytałem z ironią.

- Wiara Mistrza Jakuba! - odpowiedzieli. - Święta wiara katarów! Mistrz Jakub dzisiaj pokaże oblicze prawdy nam wszystkim!

Poczułem, jak kropla zimnego potu spływa mi po kręgosłupie. Mój Boże, pomyślałem, a więc Jakub jest w Tuluzie.

□ □ □

Kardynał był mile zaskoczony tak serdecznym przyjęciem ze strony hrabiego i jego rodziny. Hrabia Rajmund ucałował nawet kardynalski pierścień Ruperta, lecz tego gestu, dla księcia Kościoła jakże oczywistego, nie powtórzyły żona i córka hrabiego. Rupert wiedział jednak, że będzie musiał znosić różne drobne upokorzenia.

Przez cały czas przypatrywał się twarzy Rajmunda. Stary Rupert był znawcą ludzkiej duszy, bo wyspowiadał w swoim kapłańskim życiu setki ludzi. Uznał, że gdy tylko będzie mógł porozmawiać z hrabią sam na sam, zaproponuje mu spowiedź, by ulżyć jego duszy.

Nagle Rupert poczuł ciepło rozlewające się w okolicach podbrzusza. Spojrzał w dół i zobaczył, że w jego brzuchu tkwi wbity po rękojeść sztylet.

- Jakiż byłem naiwny! - jęknął.

Żona hrabiego nachyliła się nad umierającym i syknęła mu do ucha:

- Przybyłeś, aby nas zniszczyć. A to ja zniszczyłam ciebie.

□ □ □

Wpatrywałem się w wóz kardynała. W pewnej chwili zatrzymał się, z tyłu otworzyły się drzwiczki i na bruk wyskoczyły żona hrabiego i jej córka. Ich suknie były czerwone od krwi.

- Wysłannik szatana nie żyje! Radujcie się! - krzyknęły. Chwilę potem z wozu wysiadł hrabia, dźwigający ciało Ruperta i szlochający jak dziecko.

Zamarłem. Powoli docierało do mnie, że kardynał nie żyje.

Jeden ze strażników próbował złapać mego konia za uzdę, dobyłem jednak miecza i ciąłem go po twarzy. Rozpętało się piekło. Mieszkańcy Tuluzy

rozpierzchli się na wszystkie strony. Dwie setki strażników skierowały włącznie przeciw nam.

Wielu rzymskich prałatów, których umiłowanie bogactwa i gnuśność krytykowałem, przypłaciło ten atak życiem. Ściągnięto ich z koni i zabito, zanim nieszczęśnicy zdolali się zorientować, co się dzieje.

Tylko templariusze zdolali zachować szyk. Gdy wróciłem do moich towarzyszy, wyciągnęliśmy miecze i zaczęliśmy torować sobie drogę. Za wszelką cenę musieliśmy wydostać się z miasta. Na domiar złego, strażnicy stojący na murach zamku zaczęli strzelać z łuków. Nasze białe płaszcze były łatwym celem.

Rzuciliśmy się do ucieczki. Straciliśmy kilku ludzi, głównie giermków i braci służebnych. W końcu, daleko za miastem, zebraliśmy się, chcąc się naradzić, co robić.

Nagle ujrzeliśmy nadjeżdżającego Henryka.

Z jego boku sterczała krótka strzała. Jęknął, po czym osunął się z konia w ramiona Roberta.

Ułożyliśmy go ostrożnie na ziemi. Był przytomny. Domagał się, by posadzić go z powrotem na koniu. Uznał najwidoczniej, że najważniejsze jest wyprowadzenie oddziału zakonnego z zagrożonego terenu. Postępował wedle reguły nakazującej za wszelką cenę chronić porządek zakonu.

- Henryku, jesteś poważnie ranny - tłumaczyłem. - Spróbujemy wyjąć strzałę.

Nieopodal znajdował się las. Przenieśliśmy tam naszego komtura i rozpaliliśmy ognisko. Nie mieliśmy pojęcia, jak wyciągnąć strzałę. Śmiercionośny bełt utkwiał bowiem głęboko w prawym boku, między żebrami. Nie chcieliśmy przysporzyć Henrykowi cierpień. Wziąłem przyjaciela za rękę.

- Henryku, musisz wiedzieć, że nie możemy wyciągać strzały. Jeśli to zrobimy, wykrwawisz się na śmierć. Nie mamy żadnych środków

opatrunkowych ani narzędzi lekarskich. Wszystko zostało w wozach. A te, jak wiesz, musieliśmy zostawić w Tuluzie.

Henryk pokiwał głową na znak, że rozumie. Byliśmy zrozpaczeni. Wiedzieliśmy, że go tracimy. Spędziliśmy przy nim noc, modląc się. Kiedy Henrykowi wracała świadomość, mówił do nas:

- Pamiętajcie, że papież musi dowiedzieć się o wszystkim, co zaszło. Przysięgnijcie, że będziecie chronili mandylion. Nikt nie może się dowiedzieć, że znajduje się w rękach zakonu.

Nad ranem, kiedy bardzo osłabł, powiedział, żebyśmy go nie oplakiwali.

- Nie żyjemy dla siebie. Jestem wdzięczny Bogu, że mogłem was spotkać.

To jednak nie były jego ostatnie słowa. Wyznał, że to on zabił w Rzymie weneckiego posła i że tego żałuje.

Czułem dojmujący żal. Mój przyjaciel odchodził, a ja nie mogłem mu pomóc. Nasza przyjaźń przetrwała długie lata i mimo mojego szaleństwa po śmierci Baldwina Henryk nigdy się ode mnie nie odwrócił.

- Proszę, wybacz mi, Henryku - wyszeptalem. Henryk próbował jeszcze żartować, ale kiedy wszyscy bracia

służebni i giermkowie zebrali się, by odmówić poranny brewiarz, przestał oddychać. Umarł z uśmiechem na ustach. Straciłem najlepszego przyjaciela. Nie potrafiłem płakać ani się modlić. Prosiłem jedynie Boga, aby uwolnił mnie od nienawiści do jego morderców.

Z gorzkiej zadumy wyrwał mnie Robert. Powiedział, że Henryk musi zostać pochowany jak najszybciej. Zdecydowaliśmy, że nie pozwolimy, aby spoczął w heretyckiej, niepoświęconej ziemi. Ścieliśmy kilka drzew i ułożyliśmy na leśnej polanie stos. Ciało Henryka przykryliśmy jego płaszczem zakonnym.

Gdy stos zapłonął, zaczęliśmy się modlić. Płomienie strzelały w górę, czuliśmy na twarzach ich żar. Gdy dopaliły się ostatnie kawałki drewna, zebraliśmy popiół i zakopaliśmy, oznaczając to miejsce cyprysowym krzyżem.

Następnie udaliśmy się do Lyonu, jedyne miasta, w którym herezja jeszcze się nie rozpanoszyła.



Zamordowanie papieskiego legata rozeszło się głośnym i złowrogim echem po Prowansji i przyległych krainach. Papież Innocenty III obłożył hrabiego Rajmunda klątwą i zwołał przeciw katarom wyprawę krzyżową.

- To będzie rzeź - oznajmiłem Robertowi, gdy tylko nadeszły wieści z Rzymu.

- Co zamierzasz zrobić?

- Wiem, kto kazał zamordować Ruperta. Muszę odnaleźć tego człowieka. Wierzę, że jego schwytanie ocali tę krainę przed tragedią.

- Kim on jest?

- Nazywa się Jakub z Rainecourt. Teraz zwał go Mistrzem Jakubem. Myślę, że to on pociąga za sznurki. Tuż przed zamordowaniem kardynała słyszałem, jak jeden z żołnierzy hrabiego wygrażał mi, mówił, że „prawda Mistrza Jakuba zatriumfuje”. Muszę uczynić co w ludzkiej mocy, by tak się nie stało.

Rozdział XXXIII

WARKOCZ CZASU

Dotarliśmy do pustelni Pruilly koło Tuluzy. Mieszkał tam człowiek, który przed kilkoma miesiącami wywołał spore zamieszanie w kurii rzymskiej. Słyszałem o nim niejedną opowieść, która dała mi nadzieję właśnie teraz, kiedy wydawało się, że nadziei nie ma już żadnej.

Był to hiszpański mnich, Dominik Guzman. Tylko on mógł pomóc mi odnaleźć Jakuba. Tylko on mógł stawić mu czoło. Kiedy zobaczyliśmy, w jakich warunkach mieszka naj słynniejszy katolicki kaznodzieja w Prowansji, nawet sceptyczny Robert zrozumiał, dlaczego przyjechaliśmy do tej pustelni. Myślę, że żaden z poznanych przeze mnie dostojników Kościoła, nie wyłączając kardynała Ruperta oraz wszystkich rzymskich prałatów Jego Świątobliwości, nie mógłby

tak żyć, ponieważ wystarczała mu mała lepianka ze strzechą z gałęzi. Jadł to, co wyprosił u ludzi. Jego ascetyczny sposób życia, inteligencja oraz dar przemawiania zjednały mu szacunek nawet wśród heretyków. Słyszałem, że jego słowa trafiają zarówno do uczonych doktorów, jak i do maluczkich. Miał więc nad dotychczasowymi wysłannikami papieża niezaprzeczną przewagę. Pragnąłem, aby pomógł mi powstrzymać rzeź, do której dojdzie, gdy tylko krzyżowcy wkroczą do Prowansji.

Współbracia Dominika poznali nasze płaszcze. Podejrzewali zapewne, że przybyliśmy zabrać ich duchowego mistrza. Powiedzieli nam, że kaznodzieja jest kilka mil dalej, w gospodzie. Zdziwiło nas, co tak pobożny człowiek robi w takim miejscu, lecz ja byłem pewny, że nie udał się tam w poszukiwaniu rozrywki.

Gospoda stała przy gościńcu prowadzącym do Lyonu. Gdy przed nią zajechaliśmy, psy właściciela zaczęły wściekle szczekać, czym oznajmiły wszystkim nasze przybycie. Pierwsza wyszła gospodyni, tęga kobieta, która na nasz widok wybuchnęła płaczem.

Gdy zsiadliśmy z koni, przed gospodę wyszedł karczmarz oraz człowiek ubrany w zgrzebną koszulę przepasaną skórzanym pasem. Spojrzałem mu w twarz: ta sama blada twarz i niezwykle oczy. Odezwał się melodyjnym, spokojnym głosem:

- Jeżeli, bracia templariusze, przybyliście po gospodarza, oświadczam wam, że tej nocy porzucił herezję i znów jest prawowiernym synem Kościoła. Zaświadczam to własnymi słowami i tym dokumentem.

Dopiero teraz spostrzegłem rulon kozłej skóry, na którym Dominik Guzman wystawił gospodarzowi świadectwo. Kaznodzieja pokazywał mi go, jakby pragnął ocalić człowieka, którego właśnie nawrócił.

- Nie mam najmniejszego zamiaru czynić temu człowiekowi krzywdy. Przybyłem tu z twego powodu, bracie - rzekłem.

- Czyń, więc, rycerzu, swą powinność - rzekł Dominik, najwyraźniej opacznie rozumiejąc moje intencje.

Z uśmiechem wyprowadziłem go z błędu:

- Przybyliśmy do ciebie, a nie po ciebie. Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale ja doskonale pamiętam ciebie.

Wpatrywał się we mnie, chcąc przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach się spotkaliśmy. Postanowiłem mu pomóc.

- Spotkanie Bractwa Mandylionu w opactwie Sankt Gallen w tysiąc sto osiemdziesiątym siódmym roku. Przybyłeś, bracie, na spotkanie z moim przyjacielem Henrykiem z Brienne, do niedawna naszym komturem. Wymieniliśmy wtedy kilka uwag na temat wiary, herezji i życia. Jego twarz się rozpromieniła.

- Ależ tak, pamiętam! Przypominam sobie, że podróżowałeś z synem.

Wspomnienie Baldwina sprawiło, że posmutniałem. Hiszpan dostrzegł to i zapytał:

- Co się stało z twoim synem?

- Zginął podczas krucjaty w Jerozolimie.

Zapadła chwila gorzkiej zadumy, po której Guzman powiedział:

- Przykro mi, Angliku. A teraz bądź łaskaw powiedzieć mi, czego templariusze chcą od kogoś takiego jak ja.

Spojrzałem mu głęboko w oczy.

- Tylko ty możesz powstrzymać rzeź.

□ □ □

Wróciliśmy do pustelni. Dominik poczęstował nas tym, co miał - plackami z prosa i wodą.

- Jak mogę ci pomóc? - zapytał.

- Muszę odnaleźć pewnego człowieka.

- Kogo?

- To Jakub z Rainecourt. Nazywany jest teraz Mistrzem Jakubem i jest najprawdopodobniej przywódcą wszystkich katarów w Prowansji. Muszę go uwięzić, zanim dojdzie do katastrofy.

- Dlaczego go prześladujesz?

- Nie dalej jak przed dwoma miesiącami na jego polecenie zamordowano legata papieskiego.

Guzman ukrył twarz w dłoniach.

- Hiszpanie, wiesz, że teraz już nic nie powstrzyma papieża Innocentego - ciągnąłem. - Gdy ogłosi krucjatę, ta kraina spłynie krwią. Musimy odnaleźć Jakuba, bo tylko w ten sposób możemy ograniczyć liczbę ofiar.

- Skąd ta pewność?

- Znam go. Wiem, że nie cofnie się przed niczym. Pragnie ponieść męczeńską śmierć za wiarę. Nie widzę jednak powodu, aby wraz z nim miała zginąć cała Prowansja. Tylko ty możesz sprawić, że Jakub porzuci drogę walki.

- Mylisz się, Angliku - odpowiedział Dominik. - Ostatnio zdołałem nawrócić tylko oberżystę, którego widzieliście. Nikt nie chce mnie słuchać. A jeśli nawet znajdą się tacy, którzy chcą słuchać słowa bożego, boją się, że będą prześladowani przez katarów. Ich nienawiść do Kościoła rzymskiego jest ogromna.

Zamyśliłem się na chwilę.

- Dominiku, jesteś człowiekiem prawym i coraz bardziej znanym w Prowansji. Odróżniasz się od rzymskich prałatów żarliwością swej wiary. Tylko ty mógłbyś wyzwąć Jakuba na debatę i tylko twoje wyzwanie on przyjmie bez wahania. Znam go i wiem, że szczególnie bliski jest mu jeden z grzechów głównych...

- Pycha.

- Właśnie. Wtedy go aresztujemy. Mam nadzieję, że zapobiegnie to koszmarowi, jaki tej krainie zgotują wojska krzyżowców.

Wkrótce wyruszyliśmy w drogę. Dominik zgodził się nam towarzyszyć. *Fiat voluntas Domini* - Niech się stanie wola Pana. Z takimi słowami na ustach zaczynał i kończył każdy dzień. Wędrowaliśmy przez wiele tygodni od miasteczka do miasteczka, od wioski do wioski. Przekonałem się, że religia katarów zapuściła w tej krainie korzenie mocne i sięgające bardzo głęboko. Chociaż nikogo nie udało nam się nawrócić, wielu katarów mówiło otwarcie, że nie widzieli jeszcze katolika, który z równą pogardą dla zbytku i bogactwa Kościoła naucza pokory.

Napotykanii przez nas katarzy mówili Dominikowi, że Mistrz Jakub zwycięży i że przypieczętuje swoje zwycięstwo nad Kościołem męczeńską śmiercią. Pomyślałem, że jest szalony.

Nawet najwięksi męczennicy Kościoła nie pragnęli przecież śmierci dla niej samej. Ciągłe powtarzałem, że jego aresztowanie zapobiegnie rozlewowi krwi. Słyszając to po raz kolejny, Dominik stwierdził:

- Nienawidzisz tego człowieka. Za co?

- Zabrał mi szczęście. Gdyby nie on, miałbym żonę i syna.

- I może miałbyś też święty spokój - mruknął Guzman. Jego słowa mnie zraniły. Opowiedziałem mu więc, jakie

jeszcze są powody mojej nienawiści do Jakuba.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego tak go nienawidzisz - rzekł, gdy skończyłem. - Obwiniasz tego człowieka o różne rzeczy, nie winisz jednak siebie. Decyzja o wyruszeniu na krucjatę nie była skutkiem namowy Jakuba, ty sam o tym zdecydowałeś. Nie możesz też twierdzić, że to on rozdzielił cię z ukochaną żoną. Ona należała do sekty. Opuściła cię.

Te słowa były oczyszczające. Zrozumiałem, że przez tyle lat okłamywałem sam siebie. Żyłem w poczuciu krzywdy. Widziałem drzazgę w oku bliźniego, nie dostrzegając belki we własnym. Zdecydowałem się też powiedzieć Dominikowi o mandylionie.

Umiał słuchać jak mało kto. Gdy skończyłem opowiadać o dziejach Bractwa oraz o tym, w jaki sposób zakon templariuszy wszedł w posiadanie mandylionu, rzekł:

- Nie mam powodu wątpić, że relikwia, którą wywieźliście z Konstantynopola, jest prawdziwym całunem naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Pozwól, Angliku, że powiem ci, iż w całej tej historii z całunem wcale nie chodzi o autentyczność mandylionu. Sama relikwia nie jest najważniejsza.

- A to dlaczego? Wielu ludzi zginęło, by nie dopuścić do jej zniszczenia.

- Powtarzam ci, że żaden przedmiot nie ma mocy nawracania. To może tylko Bóg.

- Uparty Hiszpanie, w zbawczą moc mandylionu wierzył nie tylko Rupert.

- Siła i prawdziwość wiary nie polega na oddawaniu czci świętym przedmiotom ani wszelkim innym wyobrażeniom uczynionym przez człowieka, ale na pewności, że nie uważam Boga za surowego, bezlitosnego władcę, jakiego czczą Żydzi, ani za sprytnego, ale pozbawionego miłości stwórcę, jakiego czczą muzułmanie.

- Skoro tak mówisz, dlaczego chcesz nawracać katarów?

- Lituję się nad nimi. Żaden inny katolik nie lituje się nad nimi tak jak ja - odpowiedział Guzman.

- Poczytujesz to sobie za zasługę? Zapewniam cię, że katarzy nie chcą twojego współczucia.

Dominik postanowił rozwiać moje wątpliwości i rzekł:

- Każdy człowiek, obojętne, czy prowadzi życie grzeszne, czy też czyste, potrzebuje zrozumienia. Ja dostrzegam przyczynę porażki Kościoła w Prowansji w tym, że ludzie Kościoła przestali żyć zgodnie z zasadami wiary. W wielu częściach Europy dzieje się tak samo. Kiedyś jako poseł byłem w Danii. To koniec cywilizowanego świata, ale tamtejsi biskupi prowadzili wygodne i dostatnie życie. Moja litość nad tymi ludźmi, sprzedającymi Chrystusa za trzydzieści srebrników, nie była jednak podobna do płaczu starej przekupki

rozpaczającej nad rozbitym garnkiem. Moja litość to próba zrozumienia, dlaczego takimi się stali.

- Litość, współczucie... To bardzo piękne, jestem jednak ciekaw, czy będziesz także współczuł żołdakom, którzy już niebawem przeleją w tym kraju krew.

- Tak - odrzekł, a w jego głosie brzmiała niezachwiana pewność.

Taki właśnie był: pokorny, prosty, żarliwie wierzący. W jego słowach odnalazłem wiarę, jakiej szukałem, wiarę, która jest spotkaniem w ciemnościach.

- Ja, w przeciwieństwie do mojego nieżyjącego przyjaciela Henryka, nigdy nie twierdziłem, że zdołamy nawrócić katarów. Łudziłem się jedynie, że prawdziwy całun grobowy Jezusa przypomni im, kim są i w co wierzą - rzekłem. - To samo dotyczy Żydów. Co o tym sądzisz?

Dominik znów utkwiał we mnie łagodne, ale mimo to hipnotyzujące spojrzenie.

- Myślę, że tragedia katarów, a także wszystkich heretyków, tkwi w niewłaściwie rozumianej wolności człowieka. Nie znaczy to, że nie należy się heretykom przeciwstawiać. Tak jak Jezus ostro napominał faryzeuszy, tak samo my powinniśmy napominać heretyków.

- Ale Żydzi, jak sam przyznasz, nie są lubiani przez chrześcijan. Kiedyś widziałem, jak spalono na stosie dziewczynę oskarżoną o czary tylko dlatego, że była Żydówką.

- To kolejny powód, by współczuć chrześcijanom. Nie rozumiem przyczyn niewiary Żydów, ale wiem też, że to tajemnica tego ludu. Święty Paweł pisał w jednym z Listów Apostolskich, że Żydzi kiedyś się nawrócą. Zauważ jednak, jak wielu dzisiejszych chrześcijan nienawidzi Żydów, bo ukrzyżowali Chrystusa, zapominając, że sam Jezus, jego matka Maryja i wszyscy apostołowie byli Żydami.

Gdy tak wędrowaliśmy, mając nadzieję, że Jakub w końcu przyjmie zaproszenie Dominika na debatę, doszły nas wieści, że armia krzyżowców wkroczyła do Prowansji od strony doliny Rodanu. Liczyła kilka tysięcy doskonale wyszkolonych żołdaków i rycerzy biorących udział w płądrowaniu i paleniu Konstantynopola. Co za ironia losu! Jeszcze kilka miesięcy temu papież Innocenty III wyklął tych ludzi i postawił poza Kościołem poprzez obłożenie ich ekskomuniką, a teraz, dotknięty zabiciem swojego legata, wezwał tych samych ludzi, aby w jego imieniu ukarali heretyków.

Byliśmy z Dominikiem niezwykle poruszeni, nie przypuszczaliśmy bowiem, że oddziały krzyżowców zbiorą się tak szybko. Nie było czasu do stracenia. Templariusze musieli zawrócić i dołączyć do armii krzyżowej. Dominik postanowił, że będzie nam towarzyszył.

□ □ □

I tak dotarliśmy do miasta Beziers.

Dowiedziałem się, że armią krzyżowców dowodzi Arnold Amaury, legat papieski. Jego żołnierze nie napotkali w Beziers oporu, ponieważ hrabia Tuluzy, Rajmund, nie wysłał przeciw nim ani jednego żołnierza, co oznaczało, że pragnie powrócić na łono Kościoła, albowiem jedyną drogą do zdjęcia papieskiej ekskomuniki było podporządkowanie się siłom działającym z formalnym błogosławieństwem papieża.

Mój biały płaszcz nieoczekiwanie mi pomógł. Krzyżowcy odnosili się z dużym szacunkiem do templariuszy, jedynej siły w Europie podporządkowanej tylko i wyłącznie papieżowi. Arnold zaprosił mnie i Roberta na naradę. Mieszkańcy Beziers zamknęli bramy przed siłami katolickimi i hrabia zastanawiał się, czy powinien zagłodzić miasto, czy też zdobyć je szturmem, doszły nas bowiem słuchy, że w mieście znajduje się także grupa ludzi wiernych Kościołowi.

- Dostojny legacie, to oznacza, że katarzy nie są tak żądni krwi, jak się opowiada - rzekłem. - Są heretykami, ale możemy spróbować przemówić im do rozsądku bez stosowania przemocy.

Moje stanowisko gorąco poparł Dominik. Legat nie był fanatykiem i myślał trzeźwo. Wiedział, że na okrucieństwo zawsze przyjdzie czas. Postanowił wysłać posłów.

Wrócili jednak z niczym. Kilku księży opowiedziało nam, że z murów rzucano w nich kamieniami. Robili to ludzie ubrani w szare proste szaty. Wiedziałem, kim są. Powiedziałem Robertowi i Dominikowi, że to mała, ale fanatyczna i bardzo wpływowa grupa heretyków trzyma w szachu miasto. Nie chciałem jednak uwierzyć, że całe Beziery jest po ich stronie.

- Masz rację - przyznał Robert - wszyscy chcą mieć święty spokój.

Nasze poglądy nie znalazły jednak posłuchu u Arnolda Amaury'ego. Kazał nocami zbijać w pobliskich lasach drabiny, by wykorzystać je w nagłym nocnym ataku na mury. Byłem bardzo zasmucony, oczyma duszy widziałem rozdzierające sceny z Konstantynopola. Tamta masakra była straszna i oto znowu miała się powtórzyć. Tylko Dominik się nie poddawał. Przez kilka dni i nocy, nie jedząc i nie pijąc, chodził po obozie krzyżowców i przekonywał, aby żołdacy i francuscy rycerze (z nich składało się wojsko Arnolda) oszczędzali kobiety i dzieci, okazali miłosierdzie starcom i zabijali tylko w obronie własnej. Patrzyłem na niego z rosnącym podziwem.

- To będzie wielki święty - powiedziałem do Roberta.

- Będzie święty, jeśli nie narazi się klikom w Rzymie - odrzekł z goryczą.

- Tylko rozmowa z papieżem mu pomoże. Mógłby założyć zakon.

- To dobry pomysł. Podsunie mu go przy najbliższej okazji.

□ □ □

Arnold Amaury kazał swoim ludziom obwiązać szmatami stopy i końskie kopyta, nie chciał bowiem, aby tupot i tętent zbudził śpiących katarów. Oczekiwano, że i my weźmiemy udział w ataku, stanęliśmy więc w pierwszym

szeregu. Gdy opuszczałem namiot, zauważyłem, że Dominik klęczy i modli się. Zapewnił nas, że będzie się modlił do samego końca.

- Za kogo? - zapytałem.

- Za was, abyście nie zgrzeszyli, dopuszczając się zabójstw, oraz za heretyków, aby się nawrócili.

□ □ □

Żołnierze legata wdarli się na mury miasta pod osłoną nocy. Obrońców, zresztą bardzo nielicznych, zabito. Wyciągnięto z łóżek wszystkich mieszkańców. Dwadzieścia tysięcy ludzi, w tym kobiety i dzieci, czekały w chłodzie nocy na to, co im zgotował okrutny los. Aby stwierdzić, kto jest heretykiem, a kto nie, księża wpadli na prosty pomysł: kazali dorosłym wyrecytować po łacinie nicejskie wyznanie wiary oraz dwie modlitwy: *Ojcze Nasz* i *Zdrowaś Mario*. Jeden po drugim mieszkańcy Beziars zaczęli recytować: *Credo in unum Deum Omnipotentem...*

Dzieci nie musiały tego robić, uznano bowiem, że odpowiadają za nie rodzice.

Kilkuset ludzi ukryło się w katedrze i dopiero kiedy wyważono drzwi, można było zadać im pytanie o wyznawaną wiarę. Wśród krzyżowców znaleźli się jednak fanatycy, którzy uznali, że oddzielenie ziarna od plew w tym przypadku nie będzie możliwe. Doszli do wniosku, że ludzie, którzy schronili się w katedrze, mają coś do ukrycia, skoro nie chcieli po zajęciu miasta wyznać szczerze wiary. Legat papieski, zwiedziony przez fanatyków z szeregów krzyżowców, wydał rozkaz:

- Zabijcie wszystkich. Bóg rozpozna swoich.

□ □ □

Zaalarmowały nas krzyki. Zawróciliśmy konie i skierowaliśmy się w okolice katedry. Przypomniałem sobie masakrę, jakiej krzyżowcy dokonali pod wodzą Ryszarda Lwie Serce pod Jaffą. Ciała leżały wszędzie, zabijano

wszystkich. Jedna postać szczególnie przykuła moją uwagę: przeraźliwie chudy człowiek stał z lampą oliwną w prawej ręce i modlił się za konających.

Nie mogłem się mylić - to był Jakub z Rainecourt. Czas odcisnął na nim swoje piętno: był jeszcze bardziej wychudzony i przypominał fanatycznych derwiszów, których widziałem na Bliskim Wschodzie.

- Komu się tak przyglądasz? - zainteresował się Robert.

- To on. - Wskazałem Jakuba chodzącego między trupami.

Skierowaliśmy konie w jego stronę. To dziwne, pomyślałem, ale teraz, kiedy widzę go po tylu latach, w moim sercu nie ma już miejsca na nienawiść. Kiedyś go nienawidziłem najbardziej na świecie, prawie tak samo jak Mahmuda al-Faisa, jednak tamta nienawiść, śmierć mego wroga i pokuta sprawiły, że nie pragnąłem śmierci Jakuba. Chciałem zobaczyć w nim człowieka.

Gdy zastąpiliśmy mu drogę, popatrzył na nas zdziwiony.

- Dlaczego mi przeszkadzacie? Modlę się za moje dzieci, które oddały życie za prawdę.

- Popatrz na mnie, Jakubie. To ja, Gotfryd.

Mówiąc to, zsiadłem z konia i zdjąłem z głowy szyszak. Jakub mnie nie rozpoznał.

- Kim jesteś? Skąd znasz moje imię? - zapytał.

- Byłem mężem twojej siostry. Jestem Gotfryd z Melville. Jakub zadrżał i upuścił lampę.

- Wróciłeś, Angliku, w złym czasie - wyszeptał.

- Wiem. Muszę cię aresztować - odparłem.

- Według jakiego prawa?

- Wiesz dobrze, że nie mogę puścić cię żywego. Musisz pójść ze mną.

- Jestem gotowy na męczeństwo za moją wiarę - rzekł dumnie Jakub, unosząc głowę.

- Nie pochlebiaj sobie.

Nagle do katedry wpadło kilkunastu żołdaków Arnolda Amaury'ego i natychmiast ruszyli w naszą stronę. Całe szczęście, że dołączył do nas Robert z zakonnymi giermkami. Przywódca żołdaków, grubas z wielkim toporem, wyszczerzył zęby i warknął:

- Ten człowiek należy do hrabiego!
- Nie - odparłem - ten człowiek jest więźniem naszego zakonu.
- Mówię, żebyście go nam oddali!
- A ja mówię, że nic z tego, tłuszciochu.

Grubas spurpurowiał z wściekłości. Zrobił dwa kroki w moją stronę i złapał mnie za lewe ramię. Poczulem jego oddech zalatujący czosnkiem i piwem.

- Nie zadzieraj ze mną, rycerzyku - warknął - jeśli nie chcesz posmakować mojego pieścidełka.

Łypnął na swój topór.

- Zabieraj to brudne łapsko, wieprzu.

Spojrzałem mu w oczy. Była w nich tylko wściekłość. Nie zastanawiając się długo, błyskawicznym ruchem wykręciłem mu ramię lewą ręką, a prawą wyciągnąłem z pochwy u pasa arabski kindżał. Damasceńskie ostrze błysnęło złowrogo i przecięło grubasowi gardło od ucha do ucha. Trysnęła krew. Grubas zacharczał, cofnął się o krok, po czym runął na plecy.

Jego kompani zaczęli krzyczeć, że templariusz zabił prawowiernego krzyżowca, syna Kościoła. Dwóch z nich chwyciło zakrwawionego trupa za ręce i przeciągnęło na swoją stronę.

Jakub przypatrywał się temu wszystkiemu z niezmaconym spokojem.

□ □ □

Dominik Guzman był zrozpaczony. Gdy tylko dowiedział się o rozmiarach rzezi, powiedział, że Kościół poniósł porażkę. Trudno było się z nim nie zgodzić. Zdawał sobie sprawę, że masakra katarów w Beziers odbije się w Europie szerokim echem.

- Teraz już nic nie zapobiegnie rzezi - stwierdził. - Nic tu po mnie. Wyruszę do północnej Italii. Tam też sięgają wpływy katarów i tam zacznę na nowo zbierać żniwo dla Pana.

Opowiedziałem mu o odnalezieniu Jakuba, a Dominik zapragnął z nim pomówić. Nie miałem nic przeciwko temu. Heretyk i kaznodzieja rozmawiali przez cały dzień. Wieczorem Dominik powiedział mi, że Jakub żarliwie wierzy w herezję i że nic nie można zrobić, aby to zmienić.

- Musimy oddać go biskupowi Lyonu. On go osądzi - stwierdził.

Wyznałem Dominikowi, że nie czuję już do Jakuba nienawiści. Dodałem, że w chwili gdy zobaczyłem go kroczącego z kagankiem wśród ciał współwyznawców, czułem jedynie litość. Słyszając to, Dominik się uśmiechnął.

- Tylko czując litość, można zobaczyć w heretyku człowieka - rzekł.

Jakub nie stawiał oporu, kiedy umyliśmy go, nakarmiliśmy i powiedzieliśmy, że musi stanąć przed trybunałem papieskim w Lyonie. Sprawiał wrażenie, jakby przebywał w innym świecie albo był szalony.

□ □ □

Gdy przybyliśmy do Lyonu, Jakuba natychmiast wtrącono do więzienia. Spędził tam kilka miesięcy. Podczas śledztwa nie próbował ukryć, że to z jego rozkazu zamordowano papieskiego legata. Wiele razy zaskoczył mnichów prowadzących przesłuchania, bo nie tylko znał Pismo Święte lepiej niż niejeden katolik, ale wytykał też biskupowi Lyonu gnuśność, pogardę dla biedaków i zamiłowanie do zbytku. Umiejętnie dowodził, że tylko katarzy potrafili upomnieć się o maluczkich. Podczas procesu powtórzył wszystkie te oskarżenia i zachowywał się bardzo wyniośle. Proces był jawny, więc siedzieliśmy z Dominikiem na sali.

- Ja też upominam się o maluczkich - szepnął Hiszpan.

- Jakub nigdy nie widział niczego poza czubkiem własnego nosa - odszepnąłem.

Po sześciu miesiącach trybunał biskupa wydał wyrok: Jakub został uznany za winnego herezji, jej rozpowszechniania, prześladowania katolików i zamordowania papieskiego legata.

Miał spłonąć na stosie.

□ □ □

Pewnej nocy znów przyśnił mi się Baldwin. Powiedział, że jego matka za mną tęskni, a ja wyjaśniłem mu, że nie żyje. Wtedy się obudziłem. Ten dziwny sen sprawił, że zapragnąłem porozmawiać z Jakubem.

Strażnicy nie chcieli mnie do niego wpuścić, zagroziłem więc, że pójde do biskupa i oskarżę ich o czary. Poskutkowało.

Jakub siedział skulony w kącie celi.

- Czego chcesz? - mruknął.

- Chciałbym wiedzieć, co stało się z Katarzyną. Dokąd ją zabraliście po urodzeniu dziecka? Dlaczego mnie opuściła? Dlaczego mnie nie kochała?

Jakub się uśmiechnął.

- Ona nigdy nie przestała cię kochać, Angliku - powiedział z goryczą. - To ja nie mogłem znieść tego, że śmiała pokochać kogoś innego niż ja. Nienawidziłem cię i życzyłem ci śmierci.

- A dziecko?

- To Gilles chciał mieć to dziecko. Jego żona była bezpłodna, a on pragnął dziedzica. Dziecko miało stać się przywódcą naszej religii. Musiałem zatem działać. Nie mogłem pozwolić, żeby Gilles zabrał to, co należało się mnie. Przechytryłem więc i jego, i ciebie.

Spojrzałem podejrzliwie na Jakuba. Znowu coś knuł.

- O czym ty mówisz?

- Pamiętasz starego Salgada? - zapytał.

- Pamiętam. Pomagał mi i wychowywał przez kilka lat mojego syna.

- Nie, pomagał mnie i działał z mojego polecenia - odparł Jakub ze złośliwym uśmieszkiem. - Znienawidziłem Gilles'a, kiedy okazało się, że miał

zamiar ogłosić swoim następcą syna mojej siostry. Salgado uratował cię, bo tak mu poleciłem.

- Powiedział mi, że Katarzyna była twoim złym cieniem.

- Kłamał, ponieważ tak mu kazałem. Musiałem wzbudzić w tobie tak wielką niechęć do niej, żebyś przestał jej szukać. Wystarczyło mi, że w przyływie zemsty zabijesz Gilles'a. Tak się stało: zabiłeś go i zabrałeś syna. W ten sposób znikła przeszkoda stojąca na drodze do władzy. Mógł być tylko jeden Wielki Budowniczy. Zgadnij kto, Angliku.

Zdałem sobie sprawę, że z powodu intrygi Jakuba zostałem rozdzielony z kobietą, którą kochałem. Nie mogłem wyobrazić sobie większej podłości.

- Jakubie, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co nam uczyniłeś?

- Tak, ale nie łudź się, Angliku, że twoje cierpienie było większe niż moje. Przez lata Katarzyna nie zamieniła ze mną słowa. Znienawidziła mnie. Mieszkała we wspólnocie beginek, kilkadziesiąt mil na południe od Carcassonne. Kilka lat temu przysłała do mnie człowieka, który powiedział mi coś, co sprawiło, że moje serce pękło.

- Co takiego?

- Że Katarzyna zaraziła się trądem. Poczułem, że robi mi się słabo.

- Jesteś żaloszny, Jakubie - wykrztusiłem. - Jesteś szalony. Nie zdołam cię uratować. Myślę, że dobrze to wiesz. Zaklinam cię jednak na wszystkie świętości, powiedz mi, gdzie jest Katarzyna. Chcę to wiedzieć, obojętnie, czy jest martwa, czy żywa. Jesteś mi to winny.

Jakub spuścił głowę. Oddychał ciężko. Pomyślałem, że pozostał bezlitosnym, niewrażliwym na ludzką krzywdę, zapatrzonym w siebie łotrem. Jednak zrozumiałem, że jemu również nie jest łatwo. Walczył z nienawiścią do mnie. Po chwili znów spojrzał mi w oczy.

- Poradziłem Katarzynie, aby udała się do doliny Aosty. Podobno od lat żyją tam trędowaci. Spiesz się. Trąd zabija w ciągu kilku lat.

Patrzyłem na Jakuba i nagle zdałem sobie sprawę, że już nie widzę w nim wroga, tylko samotnego człowieka, który ma umrzeć na stosie. Zobaczyłem, że boi się śmierci, mimo iż tak często o niej mówił. Prosił mnie, żebym został z nim do rana. Spełniłem jego prośbę, bo skazańcowi się nie odmawia. Kiedy rano przyszli po niego żołnierze biskupa, powiedział cicho:

- Kochałem ją jak nikogo na świecie.

- Ja też...

□ □ □

Jakub miał zostać spalony na placu przed katedrą w Lyonie. Od wczesnego ranka zbierali się tam mieszkańcy miasta, pragnący nasycić oczy okrutnym widowiskiem. Ja, Dominik i Robert obserwowaliśmy, jak od strony więzienia powoli zbliża się wózek ciągnięty przez dwa osły. Stał na nim Jakub. Modlił się i nie reagował na wyzwiska.

Wózek dojechał na plac i żołdacy zwlekli z niego Jakuba. Gdy jeden z prałatów skończył odczytywać wyrok, zapytał głośno skazańca, czy wyrzeka się szatana i herezji. Jakub odparł:

- Wyrzekam się szatana, którym jest biskup Lyonu oraz papież. Wyrzekam się przemocy, chociaż ciężko zgrzeszyłem, stosując ją wobec katolików. Umieram za moją wiarę.

- Nieszczęsny człowieku - odezwał się prałat - pomyśl o mękach piekielnych, na które się skazujesz, odrzucając święty Kościół!

- Skoro przez całe życie nie wierzyłem w wasz Kościół, czy moje nawrócenie na chwilę przed śmiercią jest coś warte? Torturowaliście mnie, lecz nie wyrzekłem się mojej wiary i nie zrobię tego teraz. Wybaczam wszystkim, którzy wyrządzili mi zło, i sam proszę o wybaczenie tych, którym zło wyrządziłem.

Mówiąc to, spojrzął na mnie. Księża dali znak katom, a ci podeszli do skazańca i zdarli z niego łańchmany. Dopiero teraz zobaczyłem, jak bardzo jest

pobity. Posmarowali mu oliwą nogi, żeby lepiej się palił. Dominik Guzman zaczął modlić się za umierającego.

- Wybaczam ci, Jakubie! - krzyknąłem. Uśmiechnął się do mnie. Chciałem, żeby patrzył na mnie do końca, na jedyne go człowieka, który nie czuje do niego nienawiści.

Kaci przywiązali go łańcuchami do słupa. Kiedy podłożyli ogień, Jakub dmuchał na niego, żeby palił się szybciej. Kiedy ogromne płomienie w końcu strzeliły w górę, stał wyprostowany i śpiewał. Po chwili dym zasłonił wszystko. Przez moment widziałem, że jego ciało kurczy się niczym uschnięty liść.

EPILOG

Akka, wrzesień, rok 1238

Robert odłożył z westchnieniem ostatni arkusz pergaminu i ciężko oparł głowę na rękę, wpatrując się w deski stołu. Miał przed sobą dzieje Gotfryda z Melville, które ten podyktował Dominikowi Guzmanowi w bolesnych miesiącach przed śmiercią. Zadumał się nad losem człowieka, który był jego bratem, nad losem kogoś, kto kochał i nienawidził, zabijał i starał się odpokutować za grzechy, stracił tych, których kochał, aż wreszcie umarł na trąd w tej samotnej wieży stojącej w dolinie, do której prawie nigdy nie zagląda słońce.

□ □ □

W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego! Ja, Robert z Melville, rycerz zakonu świątyni, chcę dodać coś jeszcze o losach mego brata.

Po śmierci Jakuba Gotfryd udał się do Rzymu i zdał papieżowi Innocentemu III dokładną relację z przebiegu krucjaty przeciwko katarom w Prowansji, ja zaś wywozłem z Wiecznego Miasta całun Naszego Pana i udałem się z nim do Akki, gdzie złożyłem go w zakonnym skarbcu. Odtąd miał pozostać najpilniej strzeżoną tajemnicą templariuszy. Wróciłem do Europy, a ponieważ nie miałem wieści o bracie, zacząłem go szukać.

Odwiedziłem Dominika w jego pustelni i dowiedziałem się, że Gotfryd wyruszył na poszukiwanie doliny trędowatych, o której mówił Jakub. Wiedziony złymi przeczuciami, wraz z Dominikiem wyruszyłem w Alpy.

Odnaleźliśmy Gotfryda przez przypadek w dolinie u podnóża masywu Mont Blanc. Był wyczerpany. Opowiedział, że jesienią zaskoczyła go w górach śnieżycyca, a od niechybnej śmierci uratowali go pasterze.

□ □ □

Wiosną 1211 roku pokonaliśmy szczęśliwie przełęcz Świętego Bernarda, kierując się do doliny Aosty. W mieście o takiej samej nazwie dowiedzieliśmy się, że w dolinie mieszkają trędowaci. Mieszkańcy miasta bali się ich i nienawidzili.

Dolina sprawiała wrażenie, jakby czas się w niej zatrzymał. Szczyty gór tonęły w chmurach, a lasy szumiały groźnie. Dominik rozpoczął wkrótce nauczać w dolinie i w całej północnej Italii, nawracając włoskich katarów i waldensów oraz innych niebezpiecznych heretyków.

Mieszkańcy miasta powiedzieli nam, że od wielu setek lat w dolinie stoi wieża zamieszkała przez trędowatych. Postanowiliśmy się tam udać. Dojechaliśmy do rzeki przecinającej dolinę. Jej brzegi spinał most. Gotfryd oświadczył, że dalej pojedzie sam. Nie chciał zapewne, abym miał styczność z chorymi.

Umówiliśmy się przy moście za dwa dni. Jeśli odnajdzie Katarzynę, przyjedzie na most i się ze mną pożegna. Chciał przy niej zostać, nie dbając o to, że może zarazić się tą potworną chorobą.

Gdy po dwóch dniach się spotkaliśmy, patrzyłem zasmucony, jak Gotfryd zdejmuje biały zakonny płaszcz i odpina pas rycerski z mieczem.

- Co ty robisz? - zapytałem zdumiony.
- Już nie będę potrzebował ani konia, ani miecza. Znalazłem ją.
- Czy ona jest...
- Tak, jest chora.

W tym momencie zrozumiałem, że nic już nie mogę zrobić.

- Żegnaj. Po śmierci Baldwina to ty trzymałeś mnie przy życiu. Dbaj o siebie i strzeż całunu - rzekł Gotfryd i odwrócił się, by odejść.

Dolinę spowiła mgła i słyszałem tylko jego cichnące kroki na moście.

□ □ □

Dominik Guzman uzyskał od papieża Honoriusza III pozwolenie na założenie zakonu - zakonu braci kaznodziejów. Dominik nauczał przez jakiś czas w północnej Italii. Umarł w 1221 roku. Podobno przed śmiercią powiedział swoim braciom, że bardziej przyda się im po śmierci niż za życia. Miał rację. Dominikanie jednak nie zatrzymali krwawego podboju Prowansji. Rzeź trwała prawie dwadzieścia lat. Katarzy mieli zniknąć na zawsze z powierzchni ziemi.

Templariusze brali udział w walkach z katarami. Rzezie, które widziałem, wstrząsnęły mną do głębi, czułem się zbrukany. Zrozumiałem, że politycy, wykorzystując wiarę katolicką do swoich celów, są jeszcze bardziej obrzydliwi od heretyków, którzy uczynili ze swej wiary młot na chrześcijan. Nie mogąc znieść tych okropności, udałem się do Paryża, do naszego największego w Europie zamku. Tam uzyskałem zgodę komtura na wyjazd z Europy. Postanowiłem więc pożegnać się z bratem i wyruszyć na Bliski Wschód. Nie wyjechałem jednak tak prędko, jak myślałem.

Zbliżała się wielka wojna francuskiego króla Filipa Augusta z królem Anglii, Janem bez Ziemi, oraz cesarzem niemieckim, Ottonem Brunszwickim. Król francuski rozgromił wkrótce armię niemiecko-angielską pod Beauvines we Flandrii w roku 1215 i zapanował pokój. Udałem się z kilkoma giermkami na południe, w stronę Alp. Pokonaliśmy przełęcz Świętego Bernarda wiosną 1216 roku i skierowaliśmy się do doliny Aosty. Stwierdziłem, że stosunek mieszkańców Aosty do trędowatych żyjących w dolinie się nie zmienił. Powiedziano mi, że trędowaci cierpią za swoje grzechy i że na pewno zostaną potępieni, a także odbudowali wieżę i w niej zamieszkali. Pytałem o mojego brata, nikt jednak nie potrafił mi powiedzieć niczego pewnego.



Wieża miała ponad dwadzieścia metrów wysokości, a jej ściany kryły świat ludzi skazanych na piekło za życia. Czekałem przez cały dzień, aż ktoś się pojawi.

W końcu postanowiłem wejść do środka. Znalazłem w niej kilka izb oddzielonych schodami prowadzącymi na wyższe kondygnacje. Wszędzie panował porządek. Na palenisku stała duża patelnia, na której niedawno smażyły się warzywa, a na stole kubek z mlekiem. Na ścianie wisiał krucyfiks. Podeszedłem do niego.

Zrozumiałem, że to właśnie krzyż jest w tej wieży najważniejszy. To on nadaje sens cierpieniu tych ludzi, zspala w jedno cierpienie i miłość. A cierpienie jest największą łaską, jaką Bóg może ofiarować człowiekowi. Błogosławieni, którzy je przyjęli.

Kiedy wsiadłem na konia, zamierzając opuścić dolinę, zauważyłem człowieka idącego drogą. Miał na sobie długi wełniany płaszcz i podpierał się łaską. Gdy mnie zobaczył, przystanął. To był mój brat. Zsiadłem z konia i zacząłem biec w jego stronę. Z daleka usłyszałem jego głos:

- Robercie, nie dotykaj mnie...! - krzyknął, wyciągając przed siebie rękę.

Zrobiłem jeszcze kilka kroków, a Gotfryd zasłonił twarz kapturem.

- Nie patrz na mnie...

Okazało się, że jest jedynym mieszkańcem wieży, choć ludzie z Aosty uważali, że dolina pełna jest trędowatych, i nigdy się do niej nie zapuszczali. Przepraszał, że nie może mnie niczym poczęstować ani podać mi wody. Nie chciałem niczego innego, tylko zobaczyć go i побыć z nim choćby przez chwilę.

- Mam nadzieję, że niczego nie dotykałeś - powiedział.

Choroba atakowała go coraz gwałtowniej. Tracił siły. Opowiedział mi, że kiedy przybył tu przed laty, Katarzyna była umierająca, jej ciało się rozpadało. Błagała, żeby odszedł, lecz Gotfryd nie mógł tego zrobić, bo wciąż ją kochał.

Spędził z ukochaną ostatnie kilka miesięcy jej życia, a kiedy umarła, pochował ją w dolinie.

- Wiesz, Robercie, mam wrażenie, że odkąd przed laty pogodziłem się ze śmiercią Baldwina w klasztorze w Libanie, wiem, że w przedziwny sposób Baldwin mi towarzyszył. Katarzynie też się śnił, choć nie wiedziała, kim jest. Nazywała go aniołem stróżem. To on powiedział jej, że spotkamy się w ciemnej dolinie. Dotrzymał słowa - zakończył z goryczą Gotfryd.

Powiedział mi też, że podyktował dzieje swego życia Dominikowi Guzmanowi, który odwiedza go każdego roku. Dominik zatytułował to dzieło *De honesti viri gentis Anglorum*.

Gotfryd słabł z dnia na dzień. Przemogłem strach przed trądem i postanowiłem opiekować się nim, dopóki nie umrze.

Odszedł w czerwcu 1216 roku.

Ostatnie słowa, jakie powiedział przed śmiercią, brzmiały:

- Świat bez Chrystusa jest trędowaty. Pochowałem go obok Katarzyny.

Nigdy nie zachorowałem na trąd. Wiem jednak, że istnieje jeszcze gorsza postać choroby niż ta, która zabiła mego brata. Na ten trąd cierpieli mieszkańcy Aosty oraz krzyżowcy, którzy w imię Boga zamienili Prowansję w krwawe piekło. Bo ten bakcyl nigdy nie zginie i będzie zbierał smutne żniwo po ostatni dzień tego szczęśliwego świata.

SPIS TREŚCI

Wstęp.....	9
Prolog.....	13
CZĘŚĆ PIERWSZA	
Rozdział I: Święta edukacja.....	17
Rozdział II: Człowiek z kuszą.....	28
Rozdział III: Wizja.....	37
Rozdział IV: Śmierć pomazańca.....	48

Rozdział V: Wtajemniczenie.....	62
Rozdział VI: Zabłąkane owce.....	73
Rozdział VII: Kraina heretyków.....	81
Rozdział VIII: Lawendowe Wzgórze.....	97
Rozdział IX: Ucieczka.....	110
Rozdział X: Wielki Budowniczy.....	123

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział XI: Powrót syna marnotrawnego.....	139
Rozdział XII: Dysputa.....	150
Rozdział XIII: Turniej.....	162
Rozdział XIV: Saladyn.....	177
Rozdział XV: Córka Izraela.....	193
Rozdział XVI: Basileus.....	204
Rozdział XVII: Szczęśliwy ślepiec.....	214
Rozdział XVIII: Nad Bosforem.....	225
Rozdział XIX: Śmierć Barbarossy.....	241
Rozdział XX: Asasyni.....	252
Rozdział XXI: Król jest nagi.....	262
Rozdział XXII: Poseł.....	273
Rozdział XXIII: Bitwa.....	286
Rozdział XXIV: Życie za życie.....	305

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział XXV: Szaleniec z Akki.....	323
Rozdział XXVI: Przebudzenie.....	336
Rozdział XXVII: Sen starego doży.....	350
Rozdział XXVIII: Pretendent.....	362
Rozdział XXIX: Oblężenie.....	376
Rozdział XXX: Niestworzony ręką człowieka.....	391
Rozdział XXXI: Sługa sług bożych.....	397

Rozdział XXXII: Kwiaty Prowansji.....	405
Rozdział XXXIII: Warkocz czasu.....	417
Epilog.....	433